

George R.R. Martin

Ostatni rejs
„Fevre Dream”

Tłumaczył Robert P. Lipski

*Dla Howarda Waldropa,
świetnego pisarza, wyjątkowego przyjaciela i prawdziwego
marzyciela*

ROZDZIAŁ 1

St. Louis *kwiecień 1857*

Abner Marsh energicznie zastukał gałką hikorowej łaski w kontuar, aby zwrócić na siebie uwagę hotelowego recepcjonisty.

– Mam się tu spotkać z niejakim Yorkiem – oznajmił. – O ile mnie pamięć nie myli, z Joshua Yorkiem. Czy jest tu ktoś taki?

Recepcjonista był mężczyzną w podeszłym wieku i w okularach. Usłyszawszy stukanie, poderwał się, odwrócił i na widok Marsha uśmiechnął się szeroko.

– Proszę, proszę, kapitan Marsh we własnej osobie – rzekł jowialnym tonem. – Nie pojawiał się pan już chyba z pół roku. Słyszałem, że los nie był dla pana łaskawy. To straszne, po prostu straszne. Jestem tu od trzydziestego szóstego i jeszcze nigdy nie widziałem takiego zatoru lodowego.

– To bez znaczenia – mruknął Abner Marsh z rozdrażnieniem.

Spodziewał się takich komentarzy. Posesja Plantatora była popularnym hotelem, zwykle zatrzymywali się w nim członkowie załóg parowców. Marsh również bywał w nim częstym gościem aż do owej siarczystej zimy. Odkąd rzekę pokrył gruby zator lodowy, trzymał się z dala od Posesji i bynajmniej powodem tego nie były

wygórowane ceny. Choć przepadał za podawanym tam jadłem, nie miał ochoty na spotkanie hotelowych gości, pracowników żeglugi rzecznej, pilotów, kapitanów i marynarzy, starych przyjaciół i starych rywali, którzy doskonale wiedzieli o jego ostatnich niepowodzeniach. Abner Marsh nie potrzebował niczyjego współczucia.

– Powiedz pan tylko, w którym pokoju znajdę tego Yorka – burknął, zwracając się do recepcjonisty. Mężczyzna nerwowo pokiwał głową.

– Pana Yorka nie ma teraz w pokoju, kapitanie. Znajdzie go pan w jadalni, gdyż właśnie spożywa posiłek.

– Teraz? O tej porze? – Marsh zerknął na ozdobny hotelowy zegar, po czym rozpiął mosiężne guziki surduta i wyjął swój złoty zegarek kieszonkowy. – Dziesięć minut po północy – stwierdził z niedowierzaniem. – Powiada pan, że się teraz posila?

– Właśnie. Pan York to ekscentryk, ma dość osobliwy plan dnia. To człowiek nie znoszący sprzeciwu, kapitanie.

Abner Marsh parsknął drwiąco, schował czasomierz do kieszonki i odwrócił się bez słowa, przechodząc przez hol długim, ciężkim krokiem. Był potężnym, niecierpliwym mężczyzną, nie nawykłym do spotkań w interesach o północy. Chwacko wywijał laseczką, jakby życie wcale mu ostatnio nie dopiekło i wszystko było w jak najlepszym porządku.

Jadalnia była niemal równie wytworna i pełna przepychu jak ta na parowcu, z kandelabrami z rżniętego szkła, mosiężnymi ozdobami i stołami nakrytymi nieskazitelnie białymi obrusami, na których stała porcelanowa zastawa i kryształowe naczynia. O zwykłej porze przy stołach siedziałyby grupki podróżnych i marynarzy z parostatków, lecz teraz w pomieszczeniu było pusto; prawie wszystkie lampy zostały wygaszone. Może jednak nocne spotkania miały swoje dobre strony, skonstatował Marsh, przynajmniej nikt nie będzie mu współczuł. Przy drzwiach do kuchni dwóch czarnych kelnerów rozmawiało o czymś półgłosem. Marsh zignorował ich i przeszedł na drugi koniec sali, gdzie samotnie posilał się dobrze ubrany nieznajomy.

Mężczyzna musiał usłyszeć nadchodzącego przybysza, ale nie

uniósł wzroku. Był zajęty wyjadaniem z porcelanowej miseczki rzekomej zupy żółwiowej. Po kroju długiego, czarnego płaszcza widać było, że nie należał do pracowników żeglugi rzecznej. Musiał pochodzić ze wschodu, a może nawet ze Starego Kraju. Był wysoki, potężnie zbudowany, choć nie tak postawny jak Marsh, nawet na siedząco imponował posturą, lecz daleko mu było do niedźwiedziowałej sylwetki Abnera. Z początku Marsh sądził, że tamten jest stary, miał bowiem siwe włosy. Gdy jednak podszedł bliżej, okazało się, że włosy wcale nie były białe, lecz blond, o bardzo jasnym odcieniu, który nadawał jego obliczu chłopięcy wyraz. York był gładko ogolony, jego pociągłej, przystojnej twarzy nie zdobiły wąsy ani baczki, a skóra była równie jasna jak włosy. Stając przy stole, Marsh stwierdził, że nieznamy ma delikatne, niemal kobiece dłonie.

Postukał laską w blat. Obrus stłumił dźwięk, nieco łagodząc wymowę całego gestu.

– Pan Joshua York? – zapytał Marsh.

York uniósł wzrok, ich spojrzenia spotkały się.

Abner Marsh zapamiętał tę chwilę do końca swego życia, ten krótki moment, gdy spojrział w oczy Joshuy Yorka. W ich otchłani znikły wszystkie nurtujące go myśli i finezyjne plany. Chłopiec, starzec, dandys i cudzoziemiec, wszyscy oni przepadli w okamgnieniu i odtąd był tylko York, mężczyzna, którego miał przed sobą, człowiek pełen mocy, marzeń i intensywności.

Oczy Yorka były szare i zdumiewająco ciemne jak na tak blade oblicze. Żrenice, niewielkie jak łebki od szpilek, płonęły żywą czernią, sięgając w głąb Marsha i przytłaczając jego duszę nowym, niewyobrażalnym brzemieniem. Szarość wokół nich zdawała się żyć i poruszać niczym mgła na rzece w ciemną noc, kiedy brzeg znika, znikają światła, a cały świat dokoła przestaje nagle istnieć. Pośród tych oparów Abner Marsh dostrzegł różne rzeczy, jakieś istoty, obrazy widoczne tylko przez ułamek chwili i rozplywające się w dali. Zdawało mu się, że z owych oparów przygląda mu się coś obdarzonego chłodną, wyrachowaną inteligencją. Jednakże była tam także bestia, mroczna i przerażająca, spętana łańcuchami i gniewna, wściekle atakująca i usiłująca rozerwać woal mgieł. Śmiech,

samotność i okrutna pasja – to wszystko malowało się w oczach Yorka.

Jednak przede wszystkim była w nich siła, przerażająca moc, potęga tak nieokiełznana i bezlitosna jak lód, który skruszył marzenia Marsha. Gdzieś w tej mgle Marsh wyczuł, że lód zaczyna się przemieszczać, wolno, bardzo wolno, i usłyszał ów niesamowity, przejmujący zgrzyt miażdżonych kadłubów statków zwiastujący kres wszelkiej nadziei.

Abner Marsh w swoim czasie wielokrotnie pojedynkował się na spojrzenia z innymi mężczyznami i także tym razem bardzo długo nie odwracał wzroku, jego palce zacisnęły się na smukłej drewnianej lasce z taką siłą, jakby miały przełamać ją na pół. A jednak w końcu skierował spojrzenie w inną stronę.

Mężczyzna przy stole odsunął miseczkę z zupą, skinął ręką i rzekł:

– Kapitanie Marsh, oczekiwałem pana. Zapraszam, niech się pan przysiadzie. – Mówił łagodnym, delikatnym, miódopłynnym tonem.

– Tak – rzekł nazbyt miękko Marsh.

Odsunął krzesło znajdujące się naprzeciw Yorka i usiadł. Marsh był potężnym mężczyzną, miał sześć stóp wzrostu i ważył trzysta funtów. Rumiana cera i gęsta, czarna broda niezbyt skutecznie odwracały uwagę od płaskiego, złamanego nosa i licznych brodawek zdobiących jego oblicze. Nie pomagały w tym nawet sumiaste wąsy. Nazywano go najszeptniejszym mężczyzną na rzece i zdawał sobie z tego sprawę. W granatowym kapitańskim surducie z dwoma rzędami mosiężnych guzików wyglądał zarazem imponująco i groźnie. Jednakże oczy Yorka pozbawiły go zwyczajnej zadzierzystości.

Ten człowiek to fanatyk, uznał Marsh. Widział już wcześniej takie oczy – u obłąkańców i nawiedzonych pastorów, a także u niejakiego Johna Browna w zafajdanym Kansas. Marsh nie chciał mieć do czynienia z fanatykami, kaznodziejami, abolicjonistami i gwarantnikami.

York przemówił, a w jego głosie nie dało się wychwycić nuty fanatyzmu.

– Kapitanie, nazywam się Joshua Anton York, dla przyjaciół

Joshua. Mam nadzieję, że będziemy zarazem współnikami w interesach i przyjaciółmi. Czas pokaże. – Mówił serdecznym, zrównoważonym tonem.

– To się zobaczy – mruknął niepewnie Marsh.

Szare oczy naprzeciw niego wydawały się teraz pełne rezerwy, lecz dziwnie rozbawione, cokolwiek malowało się w nich wcześniej, zniknęło. Poczul się zdezorientowany.

– Mniemam, że otrzymał pan mój list?

– Mam go przy sobie – odparł Marsh, wyjmując kopertę z kieszeni surduta. Gdy ją otrzymał, ta oferta wydała mu się istnym darem niebios, uśmiechem losu, nadzieją na odzyskanie wszystkiego, co, jak się obawiał, utracił bezpowrotnie. Teraz nie był już tego taki pewien. – Chce pan zainwestować w żeglugę rzeczną? – zapytał, wychylając się do przodu.

Pojawił się kelner.

– Kapitanie, czy zechce pan zjeść kolację z panem Yorkiem?

– Bardzo proszę – nalegał York.

– Chyba się skuszę – powiedział Marsh. York mógł mieć silniejsze od niego spojrzenie, ale na całej rzece nie było mężczyzny, który dorównałby mu w jedzeniu. – Poproszę o porcję tej zupy, tuzin ostryg oraz dwa pieczone kurczaki z ziemniaczkami i sosem. Tylko żeby były dobrze wypieczone. I coś do popicia. Co pan pije, York?

– Burgunda.

– Świetnie. Dla mnie też butelkę.

York wyglądał na rozbawionego.

– Widzę, że dopisuje panu apetyt, kapitanie.

– To cudowne miasto – odrzekł niepewnie Marsh – i cudowna rzeka, panie York. Mężczyzna musi dbać, by nie zbrakło mu sił. To nie Londyn ani Nowy Jork.

– Jestem tego świadom – przytaknął York.

– Mam nadzieję, skoro chce pan inwestować w ten interes. Żegluga rzeczna to także coś cudownego.

– Może zatem przejdziemy od razu do rzeczy? Jest pan właścicielem linii żeglugowej. Chciałbym wykupić od pana połowę udziałów. Skoro się pan zjawił, przyjmuję, że jest pan zainteresowany moją ofertą.

– Jak najbardziej – przyznał Marsh – ale także trochę zaskoczony. Wygląda mi pan na inteligentnego i bystrego młodzieńca. Podejrzewam, że przed wysłaniem listu dowiedział się pan tego i owego na mój temat. – Postukał palcem w kopertę. – Powinien pan wiedzieć, że zeszła zima omal nie doprowadziła mnie do ruiny.

York milczał, ale coś w jego twarzy skłoniło Marsha, aby mówić dalej.

– Kompania Żeglugi Śródlądowej „Fevre Dream” to ja – ciągnął Marsh. – Nazwana na cześć Fevre pod Galeną, gdzie się urodziłem, nie dlatego, że pracowałem na tej rzece, gdyż nigdy po niej nie pływałem. Miałem sześć statków kursujących głównie po Missisipi, z St. Louis do St. Paul; niekiedy zdarzały się także rejsy po Fevre, Illinois i Missouri. Wiodło mi się nieźle, niemal co roku dokupowałem nowy statek i zastanawiałem się nawet nad przeniesieniem interesu do Ohio albo i do Nowego Orleanu. Jednak w lipcu ubiegłego roku na mojej „Mary Clarke” nastąpiła eksplozja kotła i statek spłonął; stało się to pod Dubuque, spalił się aż po linię wodną, było sto ofiar śmiertelnych. A ta zima, ostatnia zima, okazała się po prostu zabójcza. Cztery moje statki

– „Nicholas Perrot”, „Dunleith”, „Sweet Fevre” i „Elizabeth A.” – zimowały tu, w St. Louis. „Elizabeth A.” była moją najnowszą jednostką, służyła mi zaledwie od czterech miesięcy, miała trzysta stóp długości, dwanaście wielkich kotłów, a na rzece dorównywała szybkością parostatkowi. Była moją chlubą. Kosztowała mnie dwieście tysięcy dolarów, ale była warta każdego centa. – Podano zupę. Marsh posmakował i skrzywił się. – Za gorąca – stwierdził. – St. Louis to dobre miejsce, aby przezimować ze statkiem. Zimy nie są tu ani zbyt długie, ani nazbyt ostre. Ale tego roku było inaczej. Zator lodowy. Cała rzeka została skuta lodem. Na amen. – Marsh wyciągnął wielką, czerwoną rękę i przesunął nią po stole wierzchem do dołu, z wolna zaciskając palce w pięść.

– Niech pan sobie wyobrazi, York, że trzymam w tej ręce jajko, a zrozumie pan, co mam na myśli. Lód może zmiażdżyć statek szybciej niż ja to jajko. Jeszcze gorzej, gdy nadchodzi odwilż, wielkie kry płyną w dół rzeki, roztrzaskując nabrzeża, mola, statki,

niemal wszystko, co napotkają na swojej drodze. Nim zima dobiegła końca, straciłem wszystkie cztery statki. Zabrał mi je lód.

– A ubezpieczenie?

Marsh znów zajął się zupą, siorbiąc hałaśliwie. Pomiedzy kolejnymi łyżkami pokręcił głową.

– Nie jestem hazardzistą, panie York. Nie topię pieniędzy w ubezpieczeniach. Bo to jest hazard, tylko że w takich sytuacjach obstawia się przeciwko sobie. To, co zarobiłem, włożyłem w moje statki.

York skinął głową.

– Wydaje mi się, że ma pan jeszcze jeden parostatek.

– To prawda – przyznał Marsh. Dopił zupę i poprosił o następne danie. – „Eli Reynolds”, mały, stu pięćdziesięcotonowy statek z rufowym kołem łopatkowym. Pływałem nim po Illinois, bo tam się sprawdził najlepiej, a ponieważ zimował w Peorii, ominęły go największe mrozy. To wszystko, co mam. Cały mój majątek. Kłopot w tym, panie York, że „Eli Reynolds” nie jest wiele wart. Kosztował mnie tylko dwadzieścia pięć tysięcy nowych dolarów i to jeszcze w 1850 roku.

– Siedem lat temu – mruknął York. – To niedawno.

Marsh pokręcił głową.

– Siedem lat to dla parowca szmat czasu – zaoponował. – Większość z nich przetrwa zaledwie cztery, najwyżej pięć. Rzeka je pożera. „Eli Reynolds” wykonano lepiej od innych, ale i on już zaczyna się sypać. – Marsh wlepił wzrok w ostrygi, po czym jął podnosić, jedną po drugiej, połówki skorup i połykając zawartość, popijał każdą z ostryg tęgim łykiem wina. – To mnie właśnie dziwi, panie York – ciągnął, gdy spałaszował już pół tuzina ostryg. – Chce pan wykupić połowę udziałów w mojej firmie żeglugowej, którą tworzy obecnie jeden mały, stary parostatek. W liście podał pan cenę. Nazbyt wysoką cenę. Może gdybym miał sześć jednostek, moja firma byłaby tyle warta. Ale nie teraz. – Połknął kolejną ostrygę. – Pański wkład nie zwróci się panu nawet przez dziesięć lat, nie z „Reynoldsem”. Ten statek nie jest w stanie przewozić dostatecznie ciężkiego ładunku ani pasażerów. – Marsh otarł usta serwetką i popatrzył na siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Posiłek wzmocnił

go, znów czuł się sobą, odzyskał kontrolę nad sytuacją. York miał przejmujące spojrzenie, to prawda, lecz nie było w nim nic strasznego.

– Potrzebuje pan moich pieniędzy, kapitanie – powiedział York.
– Po co mówi mi pan to wszystko? Nie obawia się pan, że znajdzie sobie innego współnika?

– To nie w moim stylu – odparł Marsh. – Pracuję na rzece od trzydziestu lat. Gdy byłem jeszcze chłopcem, pływałem na tratwach do Nowego Orleanu, a zanim nastały czasy parowców, na łódkach płaskodennych i kutrach galarowych. Byłem pilotem, flisakiem, zastępcą kapitana i nie tylko. Robiłem, co się tylko da w tym interesie, ale jedno jest pewne – nigdy nie splamiłem się kłamstwem. Nie oszukuję i nie oszukiwałem moich potencjalnych klientów.

– Uczciwy z pana gość – rzekł York takim tonem, że Marsh nie był pewien, czy tamten zeń nie podrwiwa. – Cieszę się, że zechciał mi pan wyjawić szczegóły związane z obecnym stanem pańskiej firmy, kapitanie. Szczerze mówiąc, wiedziałem o tym już wcześniej. Podtrzymuję swoją ofertę.

– Dlaczego? – burknął z przejęciem Marsh. – Jedyne głupiec wyrzuca pieniądze w błoto. Pan nie wygląda na głupca.

Zanim York zdążył odpowiedzieć, przyniesiono kolejne danie. Kurczaki były pięknie wypieczone, dokładnie tak jak Marsh lubił. Odciał jedno udko i zaczął zajadać ze smakiem. Yorkowi podano gruby plaster rostbefu, krwisty, prawie nie wysmażony, ociekający krwią i sokami. Marsh patrzył, jak tamten zabiera się z wprawą do mięsiwa. Nóż wszedł w rostbef jak w masło, gładkim cięciem, bez konieczności wykonywania mozolnych, piłujących ruchów, jak to często zdarzało się Marshowi. Tamten posługiwał się widelcem jak džentelmen, zmieniając dłonie, gdy sięgał po nóż. Siła i gracia; York miał jedno i drugie w tych swoich długich, białych dłoniach i Marsh szczerze go podziwiał. Zastanawiał się, jak mógł przyrównać te dłonie do kobiecych. Były białe lecz silne, mocne niczym białe klawisze fortepianu stojącego w głównej kajucie „Eclipse”.

– A więc? – wtrącił Marsh. – Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Joshua York znieruchomiał na chwilę. Wreszcie się odezwał:

– Był pan wobec mnie uczciwy, kapitanie Marsh. Nie odpłacę panu za uczciwość kłamstwem, jak uprzednio zamierzałem. Nie chcę jednak również obciążać pańskich barków brzemieniem prawdy. Są pewne rzeczy, o których nie mogę panu opowiedzieć, rzeczy, o których lepiej, aby pan nie wiedział. Przyjmijmy, że to jeden z wiążących warunków umowy, i jeśli chce pan na nią przystać, musi pan pohamować swą ciekawość w tym względzie. Jeżeli się pan nie zgadza, w tym momencie nasze spotkanie dobiegnie końca.

Marsh odkroił pierś drugiego kurczaka.

– Proszę mówić – ponaglił. – Nigdzie się nie wybieram.

York odłożył nóż i widelec i złączył dłonie samymi tylko koniuszkami palców.

– Z pewnych powodów, o których tu nie wspomnę, chcę zostać właścicielem parostatku. Chcę pływać po tej wielkiej rzece w komforcie i prywatności nie jako pasażer, lecz jako kapitan statku. Mam pewne marzenie, pewien cel. Poszukuję przyjaciół i sprzymierzeńców, ale mam również wrogów, i to dość licznych. Szczegóły nie powinny pana interesować. Jeśli będzie mnie pan o nie wypytywał, nie zawaham się przed wymyśleniem zgrabnej bajeczki. Niech więc pan nie naciska. – Jego spojrzenie stało się przez chwilę zimne jak lód, po czym złagodniało, kiedy się uśmiechnął. – Pańskim zadaniem będzie dopilnowanie, abym otrzymał właściwą jednostkę, i podporządkowanie się moim rozkazom jako kapitana parowca. Jak pan zapewne zauważył, nie mam nic wspólnego z żeglugą rzeczną. Nie znam się na parowcach ani nie pływałem po Missisipi. Przeczytałem jedynie kilka książek i zasięgnąłem nieco informacji podczas mego kilkutygodniowego pobytu w St. Louis. Potrzebny mi współnik, ktoś kto będzie umiał zarządzać moją łodzią i dbać o nią, podczas gdy ja będę zajmować się swoimi sprawami i w związku z tym niezbędny mi będzie absolutny spokój i sporo prywatności.

Wspólnik ów musi spełniać również inne warunki. Musi być dyskretny, gdyż nie życzę sobie, by plotki o moich skądinąd dość osobliwych zwyczajach i zachowaniach zaczęły rozchodzić się wśród pracowników żeglugi rzecznej. Musi być godny zaufania, gdyż w jego rękach spoczywać będzie los mojego statku. Ponadto musi być odważny. Nie potrzeba mi słabeuszy, ludzi zabobonnych

ani odznaczających się fanatyczną wręcz religijnością. Czy jest pan religijny, kapitanie?

– Nie – odparł Marsh. – Nie przepadam za fanatykami w koloratkach, i z wzajemnością.

York uśmiechnął się.

– Pragmatyk. Potrzebny mi pragmatyk. Ktoś, kto będzie umiał skupić się na tym, co do niego należy, i nie jest zbyt ciekawski. Cenię sobie prywatność i jeśli nawet moje poczynania będą czasem wydawać się dziwne, zastanawiające czy ekscentryczne, nie życzę sobie, by je kwestionował. Czy moje żądania są dla pana dostatecznie zrozumiałe?

Marsh w zamyśleniu skubał swoją brodę.

– A jeśli tak?

– Zostaniemy współnikami – odparł York. – Niech pan zleci swoim prawnikom i pracownikom obsługiwaniu pańskiej linii żeglugowej. Pan zaś będzie pływał ze mną po rzece. Ja zostanę kapitanem statku. Panu pozostawiam funkcję pilota, zastępcy kapitana, cokolwiek pan tylko zechce. Do pana będzie również należało sterowanie jednostką. Rozkazy będzie pan przyjmował ode mnie raczej rzadko, ale gdy to nastąpi, oczekuję, że zostaną wypełnione bez szemrania i co do joty. Mam przyjaciół, którzy będą podróżować razem z nami w kajutach i bez jakichkolwiek opłat. Bardzo możliwe, że zechcą przydzielić im pewne funkcje oraz takie stopnie, jakie uznam za stosowne. Mam nadzieję, że nie spróbuje pan kwestionować moich decyzji. Spodziewam się, że po drodze mogę napotkać kolejnych przyjaciół i także sprowadzę ich na pokład. Powita ich pan serdecznie. Jeśli zgodzi się pan na moje warunki, kapitanie Marsh, obaj rychło się wzbogacimy i będziemy sobie pływać po pańskiej rzece w spokoju i luksusie.

Abner Marsh wybuchnął śmiechem.

– Cóż, być może. Ale to nie jest moja rzeka, panie York, i jeśli sądzi pan, że możemy pływać po niej w luksusie na pokładzie wysłużonego „Eli Reynoldsa”, to grubo się pan myli. Przekona się pan o tym, gdy tylko wejdzie na tę starą łajbę. To nędznie wyposażony, ciasny rupieć, przewożący dotąd głównie cudzoziemców. Nie widziałem go od dwu lat, pływa nim za mnie

stary kapitan Yorger, ale kiedy ostatni raz byłem na pokładzie, ta rozłaząca się barka cuchnęła jak nieboskie stworzenie. Jeżeli pragnie pan luksusu, powinien pan raczej nabyć „Eclipse” albo „Johna Simondsa”.

Joshua York upił łyk wina i uśmiechnął się.

– Nie myślałem o „Elim Reynoldsie”, kapitanie Marsh.

– To jedyny statek, jaki posiadam.

York odstawił swoje wino.

– Proszę ze mną – powiedział. – Chciałbym ostatecznie zamknąć tę sprawę. Przejdźmy do mego pokoju i tam wszystko dokładnie uzgodnimy.

Marsh usiłował protestować, w hotelu oferowano wyborne desery i nie miał zbytnej ochoty z nich zrezygnować.

Jednakże York nalegał.

Jego pokój okazał się wspaniale urządzone, dużym apartamentem, najlepszym w całym hotelu i zwykle zarezerwowanym dla zamożnych plantatorów z Nowego Orleanu.

– Proszę usiąść – rzekł władczo York, wskazując Marshowi obszerny, wygodny fotel w salonie. Marsh usiadł, a jego gospodarz udał się do sąsiedniego pomieszczenia i wrócił po chwili, niosąc nieduży, obity metalem kuferek. Postawił go na stole i zaczął manipulować przy zamku. – Proszę podejść – powiedział, ale Marsh już podniósł się i stanął za nim. York uniósł wieko.

– Złoto – rzucił półgłosem Marsh. Wyciągnął rękę i dotknął monet, przesypując je między palcami, delektując się dotykiem miękkiego, żółtego metalu i wsłuchując się w cichy brzęk. Podniósł jedną z monet do ust i przygryzł zębami. – Wydaje się raczej prawdziwe – powiedział i splunął. Wrzucił monetę na powrót do kufierka.

– Dziesięć tysięcy dolarów w złotych monetach dwudziestodolarowych – wyjaśnił York. – Mam jeszcze dwa takie kufry i akredytywy z banków w Londynie, Filadelfii oraz Rzymie, opiewające na znacznie wyższe kwoty. Jeśli przyjmie pan moją ofertę, kapitanie Marsh, wkrótce będzie miał pan drugi statek, o wiele lepszy i znacznie wspanialszy niż „Eli Reynolds”. A może raczej powinienem powiedzieć: będziemy mieć.

Uśmiechnął się.

Abner Marsh postanowił odrzucić ofertę Yorka. Co prawda, rozpaczliwie potrzebował pieniędzy, ale był człowiekiem podejrzliwym, nie lubił sekretów, a York nakazywał mu przyjąć zbyt wiele rzeczy na wiarę. Oferta wydawała się nazbyt korzystna; Marsh był pewien, że gdzieś tam czaiło się niebezpieczeństwo, i gdyby przyjął propozycję, on również mógłby paść ofiarą bliżej nie sprecyzowanego zagrożenia. Teraz jednak, rozkoszując się blaskiem bogactwa Yorka, poczuł, że jego stanowczość słabnie.

– Nowy statek, powiada pan? – zapytał półgłosem.

– Tak – odrzekł York. – I to całkiem gratis, jako dodatek do sumy, którą otrzyma pan za połowę udziałów w pańskiej firmie przewozowej.

– A ile... – zaczął Marsh. Jego wargi wyschły. Obliznął je nerwowo. – Ile jest pan gotów wydać na budowę tego nowego statku, panie York?

– Ile potrzeba? – zapytał cicho York.

Marsh nabrał garść złotych monet, po czym wrzucił je z powrotem do kufierka. Jak błyszczą, pomyślał i powiedział:

Nie powinien pan wozić ze sobą takiej fortuny, panie York. Te kanalie zarżnęłyby pana za choćby jedną z tych monet.

– Potrafię się obronić – odparł York.

Marsh dostrzegł wyraz jego oczu i zrobiło mu się zimno. Żał mu było rabusia, który spróbowałby ukraść złoto Joshuy Yorka.

– Może wybrałby się pan ze mną na spacer? Nad rzekę?

– Nie usłyszałem pańskiej odpowiedzi, kapitanie.

– Usłyszysz pan. Ale proszę najpierw pójść ze mną. Chciałbym coś panu pokazać.

– Dobrze – zgodził się York.

Zamknął wieko kufierka i słaba złocista poświata znikła, a wewnątrz pokoju stało się nagle mroczne i zimne.

Nocne powietrze było wilgotne i chłodne. Gdy tak szli ciemnymi, opustoszałymi ulicami, w dal niesło się echo stukotu ich butów. York maszerował zwinnie i z gracją, Marsh natomiast ciężko i zdecydowanie. York miał na sobie luźny płaszcz pilota, skrojony jak peleryna, i wysoką, starą czapkę z bobrowej skóry, rzucającą

długie cienie w blasku sierpu księżyca. Marsh łytał w głąb mijanych ciemnych uliczek pomiędzy ceglanyymi magazynami w nadziei, że swym buńczucznym zachowaniem i zuchwałą postawą wystraszy potencjalnych rzezimieszków, którzy mogli się w nich czaić.

Przy nabrzeżu stało chyba ze czterdzieści parowców przycumowanych do słupków na przystani i łodzi pilotujących. Nawet o tej porze nie było tu ani cicho, ani spokojnie. Ogromne stopy skrzyń z towarami rzucały czarne cienie w blasku księżyca, a stojący przy nich i przy belach siana robotnicy portowi przekazywali sobie z rąk do rąk butelkę i palili fajki. W oknach kajut około tuzina jednostek wciąż paliły się światła. Jedna z nich, „Wyandotte”, szykowała się do wypłynięcia – ogień pod kotłem buzował w najlepsze, rosło ciśnienie pary. Dostrzegli mężczyźnę stojącego na górnym pokładzie pasażerskim statku z bocznym kołem łopatkowym i przyglądającego się im z zaciekawieniem. Abner Marsh przepuścił Yorka przed sobą, po czym ruszył za nim wzdłuż rzędu mrocznych, milczących parowców z wysokimi kominami odcinającymi się na tle rozgwieżdżonego nieba niczym poczerńiałe drzewa z dziwnymi kwiatami na wierzchołkach.

Wreszcie zatrzymał się przed wielkim, ozdobnym bocznokołowcem, na którego głównym pokładzie piętrzyły się towary; wzniesiony pomost miał zapobiec wizytom intruzów, a w oddali można było dostrzec wysłużoną łódź pilotującą.

Nawet w słabym świetle księżyca jednostka prezentowała się majestatycznie. Żaden z parowców na przystani nie dorównywał jej wielkością ani splendorem.

– Tak? – zapytał powoli, z szacunkiem, Joshua York. Marsh pomyślał później, że być może to właśnie przeważało szalę – szacunek w głosie tamtego.

– To „Eclipse” – wyjaśnił Marsh. – Widzi pan, na sterówce wisi tabliczka z nazwą tego statku. – Wskazał ją swoją laseczką. – O, tam.

– Widzę. Mam niezły wzrok. Nawet w nocy. To jakiś szczególny statek?

– Jeszcze jak. Bardzo szczególny. To „Eclipse”. Zna go każdy mężczyzna i chłopiec na tej rzece. Jest już dość stary, zbudowano go w pięćdziesiątym drugim, przed pięćcioma laty. Mimo to wciąż jest

wspaniały. Ma klasę. Mówią, że kosztował trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy i jest tego wart. Nigdy nie było większego, wspanialszego i piękniejszego parostatku niż ten tutaj. Znam go jak własną kieszeń. Może mi pan wierzyć. Ja to wiem.

– Marsh wskazał na parowiec. – Ma trzysta sześćdziesiąt pięć stóp na czterdzieści, a jego wielki salon trzysta trzydzieści stóp długości i zapewniam, że nie widział pan drugiego takiego. Na jednym końcu stoi złocony posąg Henry’ego Claya, a na drugim Andy’ego Jacksona – gapią się jeden na drugiego przez całą długość sali. Jest tam więcej kryształów, srebra i witrażowego szkła, niż mógłby sobie wymarzyć kierownik Posesji Plantatora, obrazy olejne, jedzenie, jakiego nigdy pan nie kosztował, i lustra – te lustra. Ale to wszystko nic w porównaniu z jego szybkością. Pod głównym pokładem znajduje się piętnaście kotłów. Przy jedenastostopowym skoku, powiadam panu, żaden statek nie jest w stanie mu dorównać, gdy kapitan Sturgeon wydusi z niego pełną moc. Ten statek z łatwością pokonuje osiemnaście mil na godzinę, i to pod prąd. W pięćdziesiątym trzecim ustanowił rekord na dystansie z Nowego Orleanu do Louisville. Znam jego wynik na pamięć. Cztery dni, dziewięć godzin i trzydzieści minut. Pokonał cholernego „A.L. Shotwella” o pięćdziesiąt minut, choć przecież „Shotwell” jest diabło szybką jednostką. – Marsh odwrócił się do Yorka. – Miałem nadzieję, że któregoś dnia moja „Lady Liz” pokona „Eclipse” lub choćby mu dorówna, ale dziś wiem już, że to niemożliwe. Oszukiwałem sam siebie. Nie stać mnie było na zbudowanie statku, który mógłby pokonać „Eclipse”. Pan zapewnił mi te pieniądze i dzięki temu zyskał we mnie współnika. Oto odpowiedź, której pan oczekiwał. Żąda pan połowy udziałów w mojej firmie, partnera, który nie będzie zadawał kłopotliwych pytań, a jednocześnie będzie trzymał rękę na pulsie i zajmie się statkiem? Nie ma sprawy. Proszę więc, aby dał mi pan dość pieniędzy na zbudowanie parowca takiego jak ten tutaj.

Joshua York spojrział na wielki bocznokołowiec, cichy i pełen powagi, tonący pośród ciemności, unoszący się łagodnie na wodzie i oczekujący na kolejnych śmiałków pragnących rzucić mu wyzwanie. Odwrócił się do Abnera Marsha z uśmiechem na ustach

i drobnymi iskierkami w ciemnych oczach.

– Załatwione – powiedział krótko. A potem wyciągnął do niego rękę.

Marsh wyszczerzył się do Yorka, ujął jego szczupłą, białą dłoń w swoje wielkie łapsko i ścisnął.

– Wobec tego umowa stoi – powiedział na głos i zacisnął palce z całej siły, jak to miał w zwyczaju przy każdej transakcji, aby w ten sposób, miażdżąc i ściskając, sprawdzić odwagę oraz determinację swoich kontrahentów. Wzmagał uścisk, dopóki nie spostrzegł wyrazu bólu w ich oczach.

Oczy Yorka pozostały jednak niewzruszone, a jego dłoń zamknęła się na ręce Marsha z isticie zdumiewającą siłą. Palce, długie i smukłe, zaciskały się coraz mocniej i mocniej, mięśnie ukryte pod białą skórą ściągały się niczym żelazne sprężyny, a Marsh przełknął ślinę i zacisnął zęby, aby nie krzyknąć z bólu.

York puścił jego dłoń.

– Chodźmy – rzekł i klepnął Marsha w plecy tak mocno, że niedźwiedziowaty mężczyzna zachwiał się na nogach. – Musimy wszystko starannie zaplanować.

ROZDZIAŁ 2

Nowy Orlean maj 1857

Zgorzkniały Billy Tipton zjawił się na francuskiej giełdzie o dziesiątej rano, obserwując aukcję czterech beczulek wina, siedmiu skrzyń produktów sypkich oraz ładunku mebli, zanim przyprawiono niewolników. Stał w milczeniu, oparłszy łokcie o długi, marmurowy kontuar sięgający do połowy obwodu rotundy, i popijając absynt, patrzył, jak *encanteurs* zachwalają swój towar w dwóch językach. Zgorzkniały Billy był posepnym, trupiobladym mężczyzną o pociągłym końskim obliczu pooranym bliznami po ospie, którą przechodził w dzieciństwie; miał długie, rzadkie, cienkie, kasztanowe włosy. Rzadko się uśmiechał, a przeraźliwe oczy o barwie lodu, tak zimne i groźne, stanowiły jego wielki atut i odstraszwały potencjalnych napastników.

Francuska giełda była wytwornym miejscem, nazbyt wytwornym jak na jego gust, i w gruncie rzeczy wcale nie lubił tu przychodzić. Mieściła się w rotundzie hotelu St. Louis pod wysoką kopułą, skąd na podium aukcyjne i kupców spływały kaskady słonecznego światła. Kopuła miała, lekko licząc, osiemdziesiąt stóp średnicy. Salę otaczały strzeliste kolumny, wzdłuż ścian biegiły wąskie galeryjki,

sklepienie było pokryte wykwintnymi zdobieniami, ściany natomiast barwnymi freskami, kontuar baru wykonano z marmuru, podobnie jak posadzki i stoły *encanteurs'ów*.

Tutejsi kupcy wywodzili się z miejscowych elit, byli wśród nich zamożni plantatorzy znad rzeki i młodzi kreolscy dandysi ze starego miasta. Zgorzkniały Billy nie znosił Kreolów ich wytwornych strojów, wyniosłej postawy i ciemnych, pełnych pogardy oczu. Nie lubił przebywać w ich towarzystwie. Byli zapalczywi, popędliwi i skorzy do awantur; bywało, że temu czy owemu nie spodobało się, w jaki sposób Billy kaleczył ich język i gapił się na ich kobiety, mierzyła ich jego obcesowa, ostentacyjna amerykańskość. I wtedy dostrzegali jego oczy, blade, zimne i łypiące na nich bez cienia litości, a wówczas – zwykle – rejterowali.

Jeżeli chodziło o niego, zazwyczaj kupował Murzynów na giełdzie amerykańskiej w St. Charles, gdzie obowiązywały mniej wykwintne maniery, miast po francusku mówiono po angielsku, i gdzie czuł się znacznie swobodniej. Przepych rotundy w St. Louis nie robił na nim wrażenia, jeśli nie liczyć wspaniałych drinków, które tu serwowano.

Zjawiał się tutaj raz w miesiącu, regularnie, i nic nie mógł na to zaradzić. Amerykańska giełda była dobrym miejscem, by kupić robotników na plantację lub ciemnoskórego kucharza, jednak po młodziutkie, śniade lub czekoladowe piękności, za którymi przepadał Julian, musiał przybyć właśnie tu, na giełdę francuską. Julian pragnął prawdziwych ślicznotek, musiały być naprawdę olśniewające.

Zgorzkniały Billy wypełniał polecenia Damona Juliana.

Około jedenastej uporano się ze sprzedażą win i handlarze zaczęli prezentować pierwszych niewolników z zagród na Moreau, Esplanadzie i Common; mężczyzn i kobiety, młodych i starych, nawet małe dzieci – jedne z nich miały skórę jaśniejszą, inne czarną jak heban. Zgorzkniały Billy domyślał się, że niektórzy spośród tych ludzi musieli być inteligentni, może nawet mówili po francusku. Zostali ustawieni w rzędzie po jednej stronie sali, do przeglądu, a kilku młodych Kreolów przeszło obok nich wolnym krokiem, wymieniając między sobą krótkie uwagi i pobieżnie oglądając towar. Zgorzkniały Billy pozostał przy barze i zamówił jeszcze jeden

absynt. Większość zagród odwiedził już wczoraj i przyjrzał się bieżącej ofercie. Wiedział, czego poszukuje.

Jeden z licytatorów stuknął młotkiem w marmurowy pulpit i rozmawiający półgłosem kupcy natychmiast przerwali konwersację. Mężczyzna skinął ręką i na stojącą opodal skrzynię wspięła się niepewnie młoda, niespełna dwudziestoletnia dziewczyna. Miała trochę za szeroko rozstawione oczy, ale mogła się podobać. Nosiała perkalową sukienkę, a we włosach miała wplecione zielone wstążki; licytator zaczął energicznie wymieniać wszystkie jej zalety. Zgorzkniały Billy przyglądał się obojętnie, jak dwaj Kreole podbijają między sobą cenę dziewczyny. Wreszcie sprzedano ją za tysiąc czterysta dolarów.

Następnym obiektem licytacji była starsza kobieta, rzekomo wyśmienita kucharka, a potem młoda matka z dwójką dzieci. Sprzedano je w komplecie.

Billy czekał cierpliwie, podczas gdy kolejne obiekty znajdowały swoich nabywców. Kwadrans po dwunastej, gdy sala wypełniła się widzami i kupcami, na podium wprowadzono dziewczynę, którą uprzednio sobie upatrzył.

Miała na imię Emily, jak poinformował ich licytator.

– Spójrzcie na nią, panowie – rzekł po francusku – przyjrzyjcie się uważnie. Cóż za doskonałość! Od lat nie mieliśmy tu takiego okazu.

Zgorzkniały Billy całkowicie się z tym zgadzał. Emily miała szesnaście, może siedemnaście lat, jak oszacował, ale była nad wiek kobieca. Stojąc przy pulpicie licytatora, wydawała się odrobinę spłoszona, ale dzięki ciemnej, prostej sukience podkreślającej walory figury z pewnością wyglądała korzystniej. Do tego miała naprawdę przepiękną twarz, duże, łagodne oczy i aksamitną skórę o barwie kawy z mlekiem. Julianowi z pewnością się spodoba.

Licytacja była bardzo zacięta. Dla plantatorów taka śliczna skądinąd dziewczyna była bezużyteczna, lecz sześciu czy siedmiu Kreolów wyraźnie zagięło na nią parol. Emily musiała spodziewać się, co ją czeka, z pewnością zadbali o to inni niewolnicy. Była dość ładna, by w swoim czasie wywalczyć sobie wolność, zostając kochanką któregoś z Kreolów, którzy tak zawzięcie podbijali cenę.

Towarzystwo swojego nabywcy musiałyby zapewne znieść do dnia jego ślubu. Gdyby znalazła się na którymś z balów, ubrana w jedwabną suknię i ze wstążkami we włosach, z pewnością stałaby się przyczyną niejednego pojedynku. Jej córki będą miały skórę jeszcze jaśniejszą od niej i znacznie dostatniejsze życie. Może po latach nauczy się sztuki fryzjerskiej albo otworzy pensjonat.

Zgorzkniały Billy z niewzruszoną twarzą wypił łyk swego drinka.

Stawka rosła. Przy dwóch tysiącach odpadła większość licytujących. Pozostało ich już tylko trzech. W pewnej chwili jeden z nich, śniady, łysy mężczyzna, zażądał, aby dziewczyna się rozebrała. *Encanteur* wydał stosowne polecenie, a Emily skrzętnie rozpięła i zdjęła sukienkę. Ktoś rzucił lubieżny komentarz, który wywołał salwę śmiechu wśród zgromadzonych. Dziewczyna uśmiechnęła się półgębkiem, a licytator, wyszczerzywszy się, dorzucił własną ciętą uwagę. Wreszcie podjęto przerwana licytację.

Przy stawce dwa i pół tysiąca dolarów łysy mężczyzna zrezygnował, ale przynajmniej rzucił okiem na powabny towar. Pozostało już tylko dwóch licytujących. Obaj byli Kreolami. Podbijali cenę, aż stawka urosła do trzech tysięcy dwustu dolarów. Tu nadeszła chwila zawahania. Licytator usłyszał, że młodszy z kupców zaoferował jako swoją ostatnią stawkę trzy tysiące trzysta dolarów.

– Trzy tysiące czterysta – rzekł półgłosem drugi licytujący.

Zgorzkniały Billy rozpoznał go. Był to młody, szczupły Kreol nazwiskiem Montreuil, znany hulaka, hazardzista i amator pojedynków.

Młodszy z licytujących pokręcił głową, aukcja dobiegła końca. Montreuil spojrział niedwuznacznie na Emily i uśmiechnął się znacząco. Zgorzkniały Billy odczekał tyle, ile trwają trzy uderzenia serca, zanim młotek zdążył opaść na marmurowy blat.

– Trzy tysiące siedemset – oznajmił mocnym, donośnym głosem.

Encanteur i dziewczyna zaskoczeni unieśli wzrok. Montreuil i garstka jego przyjaciół obrzucili Billy'ego gniewnymi, groźnymi spojrzzeniami.

– Trzy tysiące osiemset – zripostował Montreuil.

– Cztery tysiące – rzekł Zgorzkniały Billy.

Nawet jak na taką piękność była to wygórowana cena. Montreuil powiedział coś do dwóch mężczyzn stojących tuż przy nim, po czym cała trójka jak na komendę obróciła się i stukając gniewnie obcasami butów o marmurową posadzkę, nie obejrzawszy się, wymaszerowała z rotundy.

– Chyba wygrałem tę licytację – stwierdził Zgorzkniały Billy. – Niech się ubierze i przygotuje do drogi. Zabieram ją natychmiast. – Pozostali wciąż na niego patrzyli.

– Ależ oczywiście! – wykrzyknął *encanteur*.

Przy jego pulpicie pojawił się kolejny handlarz, a uderzenie młotka obwieściło wejście na skrzynię jeszcze jednej niebrzydkiej dziewczyny, której widok ucieszył zebranych na sali widzów. Wkrótce sala giełdy znów rozbrzmiała gwarem głosów.

Zgorzkniały Billy poprowadził Emily wzdłuż długiego pasażu wiodącego z rotundy na St. Louis Street; gdy mijali po drodze modne sklepiki, stojący przed nimi próżniacy i zamożni wędrowcy obrzucali ich pełnymi zaciekawienia spojrzzeniami.

Gdy Billy wyszedł na ulicę, skąpaną w złocistym blasku, mrugając powiekami, bo słońce tego dnia świeciło wyjątkowo silnie, nagle tuż przy nim pojawił się Montreuil.

– Monsieur – zaczął.

– Jeżeli zwracasz się do mnie, mów po angielsku – uciął Billy. – I mów mi panie Tipton, Montreuil. – Jego długie palce zadrżały, gdy zmierzył tamtego spojrzeniem lodowatych, beznamiętnych oczu.

– Panie Tipton – rzekł Montreuil, powoli cedząc słowa. Jego oblicze lekko pokraśniało. Dwaj przyjaciele za nim wyprężyli się nerwowo. – Zdarzało mi się już w przeszłości tracić dziewczęta – ciągnął Kreol. – To prawdziwa ślicznotka, ale jej utrata nic dla mnie nie znaczy, panie Tipton. Sęk w tym, że zrobił pan ze mnie publicznie pośmiewisko, pozwolił mi pan łudzić się zwycięstwem, a potem wystrychnął mnie na dudka.

– Coś takiego – mruknął Zgorzkniały Billy. – Coś takiego.

– Gra pan w niebezpieczną grę – ostrzegł Montreuil. – Czy wie pan, kim jestem? Gdyby był pan dżentelmenem, wywałbym pana na pojedynek.

– Pojedynki są zabronione, Montreuil – odparował Billy. – A może nic ci o tym nie wiadomo? Poza tym ja nie jestem dżentelmenem. – Odwrócił się do dziewczyny stojącej pod murem hotelu i przyglądającej się im niepewnie. – Chodź – powiedział. Ruszył wzdłuż chodnika. Dziewczyna poszła za nim.

– Zapłaci mi pan za to, monsieur! – zawołał Montreuil.

Zgorzkniały Billy puścił jego słowa mimo uszu i skręcił za róg budynku. Szedł szybkim, zadzierzystym krokiem, sprawiał teraz zupełnie inne wrażenie niż w budynku francuskiej giełdy. Na ulicy Zgorzkniały Billy czuł się jak w domu, tu dorastał i tu uczył się sztuki przetrwania. Niewolnica Emily usilnie starała się dotrzymać mu kroku, jej bosa stopy wydawały ciche plaśnięcia na ceglany chodniku. Wzdłuż ulic Vieux Carre ciągnęły się rzędy ceglanych i tynkowanych domów z misternymi balkonami z kutego żelaza, zwieszającymi się nad wąskim pasem chodnika. Same ulice nie były brukowane, niedawne deszcze zmieniły je w jeziora lepkiego, gęstego błocka. Przy chodnikach ciągnęły się otwarte rynsztoki, głębokie rowy pełne stojącej wody, wydzielające silny odór nieczystości i ścieków.

Mijali miłe, małe sklepiki i zagrody niewolników, budowle z grubymi kratami w oknach, eleganckie hotele i zadymione pijalnie grogu z gromadami posępnych, czarnoskórych wyzwolenców, przemierzali duszne, ciasne uliczki i rozległe place, zwykle ozdobione fontannami, spotkali na swej drodze Kreolki ze świtą i przyzwoitkami, a także grupę zbiegłych niewolników z żelaznymi obrożami na szyjach i łańcuchami wlokącymi się w rynsztoku za nimi, nad którą czuwał zimnooki biały osiłek z batem w garści. Niebawem opuścili kwartał francuski i znaleźli się w toporniejszej, młodszej dzielnicy amerykańskiej Nowego Orleanu. Zgorzkniały Billy pozostawił swego konia uwiązanego przed pijalnią grogu. Wsiadł na wierzchowca i nakazał dziewczynie, aby szła obok niego. Po opuszczeniu miasta wyruszyli na południe i wkrótce zeszli z głównej drogi; zatrzymali się tylko raz, aby dać odpocząć wierzchowcowi Billy'ego i aby on sam mógł posilić się wyjętym z juków kawałkiem czerstwego chleba z serem. Mężczyzna pozwolił Emily napić się trochę wody ze strumienia.

– Czy pan jest moim nowym panem? – zapytała go wówczas zdumiewająco poprawną angielszczyzną.

– Nadzorcą – odparł Billy. – Juliana spotkasz dzisiejszej nocy. Po zmroku. – Uśmiechnął się. – Na pewno cię polubi. – I nakazał jej, aby zamilkła.

Ponieważ dziewczyna szła pieszo, poruszali się dość wolno i zaczynało już zmierzchać, gdy dotarli na plantację Juliana. Droga biegła wzdłuż mokradeł, wijąc się pośród gęstego zagajnika, konary drzew ciężkie były od hiszpańskiego mchu. Okrążyli wielki, nagi dąb i znaleźli się wśród rozległych pól, skąpanych w czerwonej poświacie zachodzącego słońca. Pola leżały odłogiem, zarośnięte chwastami od brzegu rzeki aż po dom. Było tam stare, gnijące nabrzeże i przystań dla przepływających parowców, a za domem rząd baraków dla niewolników. Jednak nie było w nich ani jednego niewolnika, a pól nie uprawiano od wielu lat. Dom nie dorównywał rozmiarami większości tego typu rezydencji, brakowało mu także ich przepychu. Ot, prosta, kanciasta budowla z poszarzałego drewna, z odłazącymi ze ścian płatami farby; uwagę zwracała przede wszystkim wieżyczka otoczona z czterech stron niską balustradką.

– Dom – rzekł Zgorzkniały Billy.

Dziewczyna zapytała, czy plantacja ma jakąś nazwę.

– Miała – odparł Billy – przed laty, gdy mieszkał tu Garoux. Ale zachorował i umarł, on i jego synowie, i od tej pory nie ma nazwy. A teraz zamknij się i przyspiesz kroku.

Zaprowadził ją na tyły domu, do wejścia, z którego sam korzystał, po czym otworzył kłódkę kluczem, który nosił na łańcuszku na szyi. Miał do swego użytku trzy pokoje należące niegdyś do służby. Wprowadził Emily do sypialni.

– Rozbierz się – warknął do dziewczyny.

Emily niezdarnie zaczęła wypełniać polecenie, ale przez cały czas patrzyła na Billy'ego z trwogą w oczach.

– Nie gap się tak – powiedział. – Należysz do Juliana, z mojej strony nic ci nie grozi. Zagrzej wodę. W kuchni jest wanna. Umyj się i przebierz. – Otworzył szafę z misternie rzeźbionego drewna i wyjął z niej ciemną suknię z brokatu. – Masz, powinna pasować.

Westchnęła.

– Nie mogę jej włożyć. To suknia białej pani.

– Stul dziób i rób, co mówię – uciął Billy. – Julian chce, abyś ładnie wyglądała. – To rzekłszy, wyszedł, udając się do głównej części domu.

Odnalazł Juliana w bibliotece, siedzącego w ciemnościach w wielkim skórzanym fotelu, z koniakówką w dłoni. Na regałach dokoła stały rzędy zakurzonych ksiąg, należących do starego Rene Garoux. Od lat nikt nie sięgnął po żadną z nich. Damon Julian nie lubił czytać.

Zgorzkniały Billy wszedł do pokoju i stanął w należytej odległości od swego pana, oczekując w milczeniu, aż tamten przemówi.

– Ile? – dobiegł go w końcu głos dochodzący z mroku.

– Cztery tysiące – odparł Billy – ale spodoba się panu. Jest młoda, ładna, czuła i piękna, naprawdę piękna.

– Wkrótce zjawią się tu inni. Alain i Jean już są; głupcy, trawi ich pragnienie. Gdy będzie gotowa, przyrowadź ją do sali balowej.

– Tak jest – rzucił pospiesznie Billy. – Podczas aukcji zdarzył się pewien kłopotliwy incydent.

– Incydent?

– Miałem zatarg z pewnym Kreolem nazwiskiem Montreuil. On także chciał ją kupić. Nie spodobało mu się, że został przelicytowany. To hazardzista, częsty bywalec domów gier. Czy mam zająć się nim którejs nocy?

– Opowiedz mi o nim – rozkazał Julian. Głos miał płynny, miękki, głęboki i zmysłowy, upojny jak wyborny koniak.

– Młody, śniady. Czarne oczy, czarne włosy. Wysoki. Mówią, że lubi się pojedynkować. Jest twardy. Silny i szczupły, ale przystojny jak większość z nich.

– Zajmę się nim – rzekł Damon Julian.

– Tak jest – dokończył Billy.

Zrobił w tył zwrot i wrócił do swojego pokoju.

Gdy Emily włożyła brokatową suknię, stała się kimś zupełnie innym. Niewolnica i dziecko zniknęły. Doprowadzona do porządku i przebrana zmieniała się w ciemnowłosą kobietę, niemal eterycznej urody piękność. Zgorzkniały Billy otaksował ją spojrzeniem.

– Może być – stwierdził. – Chodź, idziesz na bal.

Sala balowa była największym i najwspanialszym pomieszczeniem w całym domu. Oświetlały ją trzy wielkie kandelabry z rżniętego szkła, w których płonęła setka niedużych świec. Na ścianach wisiały obrazy olejne przedstawiające pejzaże mokradeł, posadzkę wyłożono drogim polerowanym parkietem. Szerokie, dwuskrzydłowe drzwi na jednym końcu sali wiodły do rozległego holu, po drugiej stronie wznosiły się olbrzymie schody, rozchodzące się w dwóch kierunkach; drewniane barierki lśniły w słabym, złocistym blasku.

Gdy Zgorzkniały Billy wprowadził Emily do sali balowej, już na nią czekali. Było ich dziewięcioro, włącznie z Julianem; sześciu mężczyzn i trzy kobiety – mężczyźni w ciemnych garniturach o europejskim kroju, kobiety w jasnych jedwabnych sukniach. Z wyjątkiem Juliana wszyscy czekali na schodach, nieruchomi i milczący, pełni szacunku. Zgorzkniały Billy znał ich wszystkich, kobiety nosiły imiona Adrienne, Cynthia i Valerie. Obok nich stał posepnie przystojny Raymond o chłopcym obliczu, Kurt z oczyma jak gorejące węgle i pozostali. Jeden z nich, Jean, wyraźnie dygotał nerwowo, jego wargi rozchyłały się, ukazując długie, białe zęby, a palce dłoni zaciskały się i rozluźniały na przemian. Dręczyło go pragnienie, ale jakoś się trzymał. Czekał na Damona Juliana. Wszyscy czekali na Damona.

Julian podszedł do Emily przez całą długość sali. Poruszał się z miękkością i gracją kota. Szedł majestatycznym krokiem należnym arystokracji, a może nawet królowi. Szedł jak przepływający mrok, jak rwąca fala, niepohamowana i nieuchronna. Pomimo bardzo bladej cery był mrocznym mężczyzną o kędzierzawych, czarnych włosach, ubranym w elegancki, ciemny strój; jego oczy wyglądały jak dwa lśniące krzemienie.

Przystanął przed nią i uśmiechnął się. Miał czarujący, olśniewający uśmiech.

– Wyborna – rzekł krótko.

Emily zaczerwieniła się i próbowała coś powiedzieć.

– Zamilcz – uciszył ją bezceremonialnie Zgorzkniały Billy. – Nie odzywaj się, dopóki nie zażyczy sobie tego pan Julian.

Julian przesunął palcem po jej miękkim, ciemnym policzku, a dziewczyna zadrżała, usiłując zachować niewzruszoną postawę. Leniwie pogładził ją po włosach, po czym uniósł jej twarz, aby móc na nią spojrzeć, i przez chwilę napawał się jej widokiem.

Emily dostrzegła coś w jego oczach i drgnęła, wydając cichy okrzyk przerażenia, ale Julian przytrzymał ją dłońmi za głowę i nie pozwolił, by odwróciła od niego wzrok.

– Cudowna – mruknął. – Jesteś piękna, dziecino. Tak się składa, że wszyscy tutaj jesteśmy miłośnikami wszelkiego piękna. – Odsunął dłonie od jej twarzy, ujął ją za rękę, którą delikatnie odwrócił i uniósł do ust, by złożyć na jej nadgarstku od wewnętrznej strony czuły pocałunek.

Niewolnica wciąż dygotała, ale nie stawiała oporu. Julian odwrócił ją lekko i podał jej rękę Billy’emu Tiptonowi.

– Zechcesz czynić honory, Billy?

Zgorzkniały Billy sięgnął do tyłu i z pochwy, którą nosił na plecach na wysokości nerek, wydobył długi nóż. Emily wybałuszyła oczy z przerażenia i próbowała uciec, ale on był szybki, bardzo szybki i trzymał ją naprawdę mocno. Ostrze gładko przecięło powietrze i nagle pokryło się czerwienią; nawet nie było widać, kiedy rozplatało nadgarstek dziewczyny w miejscu ucałowanym przez Juliana. Krew wypłynęła z rany i zaczęła skapywać na podłogę, odgłos spadających kropeł zmącił panującą w sali ciszę.

Dziewczyna pojękiwała cichutko, ale trwało to tylko chwilę. Zanim zorientowała się, co ją spotkało, Zgorzkniały Billy schował nóż do pochwy i cofnął się, a Julian ponownie wziął ją za rękę. Znów uniósł jej dłoń ku górze i przytknąwszy usta do rozciętego nadgarstka, zaczął ssać.

Zgorzkniały Billy wycofał się do drzwi. Pozostali zeszli po schodach i podeszli bliżej, długie suknie kobiet zaszeleściły na parkiecie. Otoczyli Juliana i jego ofiarę głodnym kręgiem, ich oczy były ciemne i gorejące. Kiedy Emily straciła przytomność, Zgorzkniały Billy podbiegł i podtrzymał ją pod pachami. Była lekka jak piórko.

– Jaka piękna – wymamrotał Julian, odsuwając się od niej z wilgotnymi ustami, maślanymi oczami i wyrazem zadowolenia na

twarży. Uśmiechnął się.

– Proszę, Damonie – rzekł ten, którego nazywano Jean, dygocząc jak chory w gorączce.

Krew spływała powoli ciemną strużką po rękę Emily, gdy Julian zmierzył Jeana lodowatym, wrogim spojrzeniem.

– Valerie – powiedział. – Teraz ty.

Błada młoda kobieta o fiołkowych oczach i w żółtej sukni podeszła bliżej, ukłękła kornie i zaczęła zlizywać ściekającą strużkę. Dopiero gdy wylizowała skórę do czysta, przytknęła usta do otwartej rany.

Decyzją Juliana potem przyszła kolej na Raymonda, następnie na Adrienne i Jorge'a. Na samym końcu Julian odwrócił się do Jeana i szerokim gestem z uśmiechem zaprosił go do uczyty.

Jean rzucił się na dziewczynę ze stłumionym chlipnięciem, wrywając ją z uścisku Zgorzkniałego Billy'ego, a potem zaczął rozszarpywać miękkie tkanki jej gardła. Damon Julian skrzywił się z niesmakiem.

– Posprzątaj tu, gdy skończy – zwrócił się do Billy'ego Tiptona.

ROZDZIAŁ 3

New Albany

Indiana, czerwiec 1857

Nad rzeką zaległa gęsta mgła, powietrze było chłodne i wilgotne. Tuż po północy Joshua York, który wrócił właśnie z St. Louis, spotkał się z Abnerem Marshem na opustoszałej przystani stoczni w New Albany. Marsh czekał prawie pół godziny, gdy pojawił się York, wyłaniając się spośród oparów niczym blada zjawa. Za nim, cicho jak cienie, podążało czworo innych.

Marsh uśmiechnął się doń szeroko.

– Joshua – rzekł.

Skinął lekko głową do pozostałych. Spotkał się z nimi przelotnie w kwietniu w St. Louis, zanim udał się do Albany, by nadzorować budowę swego marzenia. Byli przyjaciółmi Yorka i jego towarzyszami podróży, jednak Marsh nigdy dotąd nie widział równie osobliwych indywiduów. Dwóch spośród nich, w bliżej nieokreślonym wieku, o obco brzmiących imionach, których nie potrafił wymówić ani tym bardziej zapamiętać, Marsh ku ucieście Yorka ochrzcił mianem Smitha i Browna. Ci dwaj stale dyskutowali ze sobą w jakimś obcym języku przypominającym szczekanie psa. Trzeci mężczyzna, ze wschodu, o mocno zapadniętych policzkach

i wyglądzie przedsiębiorcy pogrzebowego, miał na imię Simon i nigdy się nie odzywał. Kobieta, Katherine, była rzekomo Angielką. Wysoka, nieco przygarbiona, wyglądała niezdrowo, jakby trawiła ją jakaś wyniszczająca choroba. Przypominała Marshowi wielkiego białego sępa. Mimo to jak oni wszyscy była przyjaciółką Yorka, a ponieważ ten zawnaz ostrzegł go, że miewa dość dziwnych przyjaciół, Abner Marsh nie pokusił się o żaden komentarz.

– Dobry wieczór, Abnerze – rzekł York. Przystanął i rozejrzał się dokoła, lustrując nie ukończone jeszcze parowce, spoczywające niczym szkielety wśród szarych, falujących mgieł. – Zimna noc, czyż nie? Zwłaszcza jak na czerwiec.

– To prawda. Gdzie się zatrzymaliście?

– Wynająłem apartament w Gait House w Louisville. Przepłynęliśmy przez rzekę w wypożyczonej łodzi. – Jego chłodne, szare oczy z zainteresowaniem mierzyły najbliższy z parowców. – Czy to nasz?

Marsh parsknął.

– To maleństwo? Na Boga, nie, to jedynie tani tylnokołowiec, budowany do rejsów handlowych w Cincinnati. Chyba nie sądzisz, że mógłbym wybrać dla nas tak nędzną tylnokołową jednostkę?

York uśmiechnął się.

– Wybacz moją niewiedzę. Gdzie zatem jest nasz statek?

– Proszę tędy – rzekł Marsh, wykonując zamaszty ruch laseczką. Poprowadził ich przez stocznię. – Tam – powiedział, wskazując laseczką przed siebie.

Mgły rozstały się przed nimi i ujrzeli statek, wysoki i dumny, przy którym wszystkie inne dokoła wydawały się małe i kruche.

Kabiny i relingi lśniły śnieżną bielą farby, a otoczone szarym całunem mgieł wydawały się jeszcze jaśniejsze. Wysoko w górze wznosiła się dumnie pilotówka, znajdująca się w pół drogi do gwiazd szklana świątynia, jej kupała ozdobiona była misterną drewnianą mozaiką ułożoną niczym irlandzka koronka. Przed pokładem widokowym na sto stóp w górę pięły się dwa wielkie kominy, bliźniacze kolumny, czarne jak smoła, mocne i eleganckie. Ich wierzchołki przypominały dwa ciemne, metalowe kwiaty. Kadłub był smukły i zdawał się nie mieć końca, rufa nikła gdzieś we mgle.

Jak najlepsze jednostki, ta również była bocznokołowa. Umieszczone na wysokości śródkręcia ogromne, półkoliste osłony kół łopatkowych wydawały się gigantyczne i pozwalały jedynie domyślać się tkwiącej pod nimi mocy. Wydawały się tym większe, że w ich centrum wciąż brakowało tablic z nazwą jednostki. W nocy wśród mgieł i pomniejszych statków ten jawił się niczym niezemska zjawia, białe widmo z wizji rzecznoego żeglarza.

Gdy tak tam stał, Marsh czuł, że widok statku zapiera mu dech.

Smith i Brown mamrotali coś do siebie, a Joshua York tylko patrzył. Patrzył długo, a potem pokiwał głową.

– Stworzyliśmy coś pięknego, Abnerze – powiedział.

Marsh uśmiechnął się.

– Nie spodziewałem się, że będzie już prawie gotowy – dodał York.

– To New Albany – odparł Marsh. – Właśnie dlatego jesteśmy tutaj, a nie w jednej ze stoczni w St. Louis. Budowano tu statki, odkąd jeszcze byłem chłopcem, w ubiegłym roku powstało ich dwadzieścia dwa. W tym roku, podejrzewam, niewiele mniej. Wiedziałem, że tutejsi szkatownicy spiszają się na medal. Powinieneś tu być. Zjawiłem się tu zjedna z twoich szkatulek ze złotem, postawiłem ją na biurku kierownika i mówię: Chciałbym zbudować parowiec i życzę sobie, aby stało się to możliwie szybko, a poza tym chcę, aby to był najszybszy, najpiękniejszy i najlepszy statek, jaki kiedykolwiek powstał w waszej stoczni, czy to jest jasne? Da mi pan najlepszych fachowców i nie obchodzi mnie, skąd ich pan ściągnie. Chcę spotkać się z nimi jeszcze dzisiejszego wieczoru, aby prace mogły zacząć się już od jutra. Załatwi mi pan najlepszych cieśli, malarzy, producentów kotłów i całą resztę, i niech się postarają dać z siebie wszystko, bo jeżeli nie otrzymam towaru w najlepszym gatunku, srodze pan tego pożałuje. – Marsh wybuchnął śmiechem. – Powinieneś być go widzieć. Nie wiedział, czy ma patrzeć na złoto, czy raczej mnie słuchać, potwornie go wystraszyła cała ta sytuacja. Ale trzeba przyznać, że spisał się na medal. – Skinął w stronę statku. – Oczywiście nie jest jeszcze skończony. Trzeba odmalować wykończenia na niebiesko i srebrno, aby pasowały do srebrnego wystroju salonu. Poza tym wciąż czekamy na partię mebli i luster,

które zamówiłem w Filadelfii, i parę innych drobiazgów. Ale muszę przyznać, że statek jest już prawie gotów i w zasadzie można by rzec, że jest ukończony. Chodź, Joshua, oprowadzę cię.

Robotnicy zostawili latarnię na stercie desek przy rufie statku. Marsh zapalił o nogę zapałkę i podał latarnię Brownowi.

– Masz, będziesz ją niósł – rzucił oschle. Tupiąc głośno, wszedł po trapie na główny pokład. Pozostali ruszyli za nim. – Niczego nie dotykajcie – powiedział. – Świeżo malowane.

Na najniższym albo inaczej głównym pokładzie znajdowały się maszyny. Latarnia roztaczała silny, łagodny blask, ale Brown przesunął ją z boku na bok, wskutek czego cienie ogromnych maszyn zdawały się poruszać i drgać złowrogo jak żywe istoty.

– Ejże, nie machaj tak tą lampą – upomniął go Marsh.

Odwrócił się do Yorka i zaczął go oprowadzać, wskazując laseczką z hikory na kotły, wielkie metalowe cylindry biegnące po obu stronach wzdłuż przedniej części pokładu.

– Osiemnaście kotłów – rzekł z dumą Marsh. – O trzy więcej niż ma „Eclipse”. Trzydzieści osiem cali średnicy, dwadzieścia osiem stóp długości każdy. – Machnął laseczką. – Piece wykonano z cegły ogniotrwałej i cienkiej blachy stalowej, umieszczono je zaś na podpórkach ponad pokładem i zabezpieczono na wypadek pożaru. – Przesunął laseczką wzdłuż biegnących w górze przewodów parowych ciągnących się od kotłów do silników, po czym wszyscy odwrócili się w stronę rufy. – Mamy trzydzieści sześć cylindrów pod ciśnieniem i jedenastostopowy skok, podobnie jak „Eclipse”. Powiadam ci, ta łajba pożre tę starą rzekę na surowo.

Brown i Smith wymienili krótki, bełkotliwy komentarz, a Joshua York uśmiechnął się.

– Chodźmy na górę – rzekł Marsh. – Twoi przyjaciele nie wydają się zbyt zainteresowani silnikami, ale to, co znajduje się powyżej, powinno ich, jak sądzę, zaciekawić.

Schody, szerokie i ozdobne, z polerowanego dębu, miały misternie cyzelowane barierki. Zaczynały się przy dziobie i były tak szerokie, że ukrywały przed wchodzącymi zarówno kotły, jak i silniki, a następnie rozszczepiały się na dwoje, prowadząc w dwóch kierunkach na taras na drugim pokładzie, zwanym także pokładem

kotłowym. Ruszyli wzdłuż sterburty, Marsh ze swoją laseczką i Brown z latarnią szli na przedzie; ich buty stukały na wyłożonej twardym drewnem promenadzie. Cała piątka podziwiała przepiękne gotyckie kolumny i balustrady z misternie rzeźbionego drewna, zdobione wzorami kwiatowymi, zawijasami i żołądziami. Drzwi i okna kajut ciągnęły się długim, bardzo długim rzędem od dziobu po rufę, drzwi wykonano z ciemnego orzecha, okna z przyciemnionego szkła.

– Kajuty nie zostały jeszcze wykończone – wyjaśnił Marsh, otwierając drzwi i wprowadzając gości do środka – ale z pewnością będą luksusowe, miękkie puchowe pierzyny i poduszki, w każdej kajucie lustro i lampa naftowa. Poza tym kajuty są większe niż przeciętnie, nie będziemy mogli zabrać tylu pasażerów co podobna jednostka tych rozmiarów, ale nasi goście będą mieć znacznie więcej przestrzeni dla siebie. – Uśmiechnął się.

– I stosownie za nią zapłacą.

W każdej kajucie znajdowało się dwoje drzwi, jedno prowadzące na pokład, a drugie do wielkiego salonu, głównego pomieszczenia na statku.

– Sala główna też jeszcze nie jest gotowa – dodał Marsh – ale mimo to zapraszam.

Weszli do środka i przystanęli, podczas gdy Brown uniósł latarnię, by omieść jej blaskiem wewnątrz rozległej sali. Wielki salon ciągnął się wzdłuż całej długości pokładu kotłowego, przedzielony tylko na wysokości śródokręcia niedużą schodnią.

– Kajuty panów znajdują się na dziobie, pań natomiast na rufie – wyjaśnił Marsh. – Proszę spojrzeć. Jeszcze nie wykończone, ale i tak robi wrażenie. Marmurowy bar ma czterdzieści stóp długości, a na ścianie za nim umieścimy tejsze długości lustro. Zostało już zamówione. Lustra w srebrnych ramach znajdują się także na wszystkich drzwiach kajut, a na rufie, przy kajutach pań, dwunastostopowej wysokości zwierciadło. – Wskazał laseczką w górę. – Teraz nic tu nie widać, jest ciemno i w ogóle, ale świetliki wykonane z witrażowego szkła biegną wzdłuż całej długości kajuty. Wyposażymy każdą z nich w belgijskie dywany, kobierce znajdują się także w głównej sali. Będziemy mieli tutaj srebrną chłodziarkę do

wody ze srebrnymi pucharami, które będą stać na drewnianym stole, a także fortepian, nowiutkie, obite aksamitem krzesła i śnieżnobiałe, lniane obrusy. Jak na razie tego tu nie ma.

Nawet bez kobierca, zwierciadeł i mebli ogromna sala prezentowała się z wielkim przepychem. Goście przeszli powoli przez całą długość pomieszczenia, a w kołyszącym świetle latarni wylaniające się z mroku kształty na mgnienie oka ukazywały im swe niewysłowione piękno, by zaraz potem znów wtopić się w ciemność. Wysokie, łukowate sklepienia z półkolistymi krokwiami, starannie rzeźbionymi i pomalowanymi, miały w sobie urok i czar misternie haftowanych koronek. Długie rzędy strzelistych kolumn ciągnące się wzdłuż drzwi do kajut zdobiły delikatne, wąskie żłobienia. Czarny, marmurowy bar przecinały grube, barwne żyłki. Ciemne drewno połyskiwało w złocistym blasku. Z pajęczyny z kutego żelaza zwisały się bliźniacze rzędy kandelabrow z czterema kryształowymi kulami, brakowało tylko ognia, nafty i zwierciadeł, aby cały salon zatonął w powodzi miodowego, migoczącego światła.

– Moim zdaniem kajuty są trochę za małe – rzekła nagle Katherine – ale ta sala będzie z pewnością wspaniała.

Marsh zerknął na nią z ukosa.

– Kajuty są duże, proszę pani. Osiem stóp kwadratowych. Norma to sześć stóp. Wszak to parowiec. – Odwrócił się od niej, wskazując laseczką przed siebie. – Tam, z przodu, będzie gabinet kapitański, kuchnia i łazienki mieszczą się na śródkręciu. Mam już upatrzonego kucharza. Pływał na „Lady Liz”.

Dach pokładu kotłowego stanowił równocześnie pokład spacerowy. Weszli po wąskich schodach i wyłonili się tuż przed ogromnymi, czarnymi, żelaznymi kominami, po czym krótszymi schodami dotarli na taras widokowy biegnący od kominów aż do sterówki.

– Kajuty załogi – rzucił jakby od niechcienia Marsh.

Pilotówka znajdowała się na szczycie otwartego tzw. teksaskiego pokładu. Wprowadził ich do środka.

Z tego miejsca widać było całą stocznię, mniejsze jednostki otulone płaszczem mgieł, czarne wody rzeki Ohio w oddali i jeszcze odleglejsze światła Louisville, majaczące widmowo wśród oparów.

Wnętrze obszernej pilotówki tonęło w pluszu. Okna wykonano z najlepszego i najczystszej szkła z witrażowymi obwódkami. Wszystko wyłożono ciemną, drewnianą boazerią, a polerowane srebro lśniło bladym, chłodnym blaskiem w świetle latarni.

Tu znajdowało się koło sterowe. Widać było tylko górną jego część – było tak duże, że prawie dorównywało wielkością Marshowi, dolna połowa nikła w szczelinie wśród desek pokładu. Wykonano je z czarnego, miękkiego drewna tekowego, było gładkie w dotyku, a szprychy ozdobiono srebrnymi opaskami przywodzącymi na myśl podwiązki na nogach dziewcząt z rewii. Koło zdawało się błagać, by dotknęły go wreszcie dłonie pilota.

Joshua York podszedł do koła i dotknął go, przesuając bladą dłonią po ciemnym drewnie i srebrze. A potem ujął je mocno, jakby sam był pilotem, i stał tak przez chwilę, wpatrując się szarymi oczami w noc i nietypową jak na tę porę roku czerwcową mgłę. Pozostali zamilkli i przez krótką chwilę Abner Marsh miał wrażenie, jakby parowiec drgnął, wyruszając w dziwny, nie mający końca rejs po mrocznej rzece umysłu.

Wtedy też Joshua York odwrócił się, wyrrywając go z zamyślenia.

– Abnerze – powiedział. – Chciałbym nauczyć się sterować tym statkiem. Czy mógłbyś nauczyć mnie sztuki pilotażu?

– Sztuki pilotażu? – mruknął ze zdumieniem Marsh.

Nietrudno mu było wyobrazić sobie Yorka jako właściciela i kapitana tej jednostki, ale pilotowanie jej to zupełnie co innego. Niemniej jednak ton, jakim wypowiedziano tę prośbę, sprawił, że poczuł przyływ sympatii do swego partnera i zrozumiał, co było przyczyną jego niezwykłego życzenia. Abner Marsh wiedział, skąd wzięła się u niego chęć pilotowania tego statku, co było tego powodem.

– Cóż, Joshua – powiedział. – W swoim życiu pilotowałem wiele statków, tego uczucia nie da się porównać z niczym innym. To coś wspaniałego. Bycie kapitanem to nic w porównaniu z funkcją pilota. Ale tego nie można nauczyć się ot tak, z dnia na dzień, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

– Wydaje się, że operowanie kołem sterowym to żadna sztuka –

stwierdził York.

Marsh wybuchnął śmiechem.

– To prawda, jednak nie o operowanie kołem tu chodzi. Idzie o rzekę, York, o rzekę. O starą, dobrą Missisipi. Przez osiem lat byłem pilotem, zanim zdobyłem moje własne jednostki i licencję na żeglugę po górnym biegu Missisipi i Illinois. Nigdy jednak nie zdobyłem licencji na Ohio i dolną Missisipi i choć wiem co nieco na temat parowców, życie mi jest miłe i nie zdecydowałbym się na taką przygodę – po prostu nie znam tych rzek. Poznanie tych rzek, które znam, zajęło mi całe lata i w zasadzie nauka ta trwa przez całe życie. Od tak dawna nie zajmowałem miejsca w pilotówce, że musiałbym znów nauczyć się tych rzek. Widzisz, Joshua, rzeka się zmienia, tak to już bywa. Nigdy nie jest dwa razy taka sama i musisz poznać każdy cal jej biegu. – Marsh podszedł do koła sterowego i pieszczotliwie pogłodził je dłonią. – Zamierzam co najmniej raz pilotować ten statek. Zbyt długo o nim marzyłem i pragnę choć raz nim pokierować. Chcę zmierzyć się z „Eclipse” i chcę wówczas pilotować nasz statek. Przyznaj, że jest zbyt wspaniała, by obsługiwać inną linię żeglugową niż nowoorleańska. To oznacza żeglugę po dolnym biegu rzeki, a co za tym idzie, muszę poznać ten odcinek rzeki, nauczyć się go od nowa. To wymaga wiele czasu i ogromnej pracy. – Spojrzał na Yorka. – Czy także teraz, gdy już wiesz, co to oznacza, wciąż chcesz nauczyć się pilotażu?

– Możemy uczyć się razem, Abnerze – odparł York.

Towarzysze Yorka zaczęli się niecierpliwić. Krążyli od okna do okna. Brown przekładał latarnię z ręki do ręki, Simon był posepny jak trup, Smith zagadał coś do Yorka w swoim języku. York skinął głową.

– Musimy wracać – oznajmił.

Marsh po raz ostatni rozejrzał się dokoła, nawet teraz nie miał ochoty stąd odchodzić, ale w końcu wyprowadził gości z pilotówki.

Gdy przechodzili przez stocznię, York odwrócił się i spojrzał na swój statek stojący na drewnianych palach, odcinający się jasno pośród ciemności.

Inni także przystanęli i czekali w milczeniu.

– Znasz Byrona? – York zwrócił się do Marsha.

Marsh zamyślił się przez chwilę.

– Znałem kiedyś faceta zwanego Blackjack Pete; był pilotem na „Grand Turk”. Chyba miał na imię Brian.

York uśmiechnął się.

– Nie chodziło mi o Briana, lecz o Byrona. Lorda Byrona, angielskiego poetę.

– Ach – mruknął Marsh. – O niego. Nie jestem zagorzałym miłośnikiem poezji. Mimo to chyba o nim słyszałem. Goguś, czyż nie? I bawidamek, o ile się nie mylę.

– To prawda, Abnerze. Był wielkim miłośnikiem kobiet. Zdumiewającym człowiekiem. Miałem przyjemność i zaszczyt poznać go osobiście. Nasz parowiec przywiódł mi na myśl jeden z jego poematów. – Zaczął recytować:

*Idzie w piękności, jak noc, która kroczy
W cichym gwiazd gronie, przez bezchmurne kraje
Co cień i światło w sobie kras jednoczy
To w jej obliczu i w jej oczach taje
I razem splywa w taki stan uroczy
Jakiego niebo dumie dnia nie daje.*

– Byron pisał, rzecz jasna, o kobiecie, ale słowa te pasują także do naszego statku, czyż nie? Spójrz na niego, Abnerze. Co o tym sądzisz?

Abner nie bardzo wiedział, co ma o tym myśleć. Marynarze żeglugi śródlądowej rzadko mają do czynienia z poezją, a w zetknięciu z nią nie nawykli do wyrażania własnych osądów.

– To bardzo ciekawe, Joshua – wykrztusił tylko.

– Jak nazwiemy naszą jednostkę? – zapytał York, bez przerwy wpatrując się w statek z lekkim uśmiechem na twarzy. – Czy ten wiesz coś ci podpowiada?

Marsh zmarszczył brwi.

– Nie nadamy jej nazwy na cześć jakiegoś angielskiego bawidamka, jeśli o to ci chodzi.

– Nie – zaproponował York. – Myślałem raczej o mrocznej damie lub...

– Mam pewną propozycję – mruknął Marsh. – Nasza firma nazywa się Kompania Żeglugi Śródlądowej Fevre River, a ten statek

to ziszczenie moich marzeń. – Uniósł swoją laseczkę z hikory i wymierzył nią w osłonę koła łopatkowego. – Umieścimy nazwę dokładnie pośrodku, litery będą niebiesko-srebrne i duże. Wymyślne. Nazwiemy te jednostkę FEVRE DREAM. – Uśmiechnął się. – FEVRE DREAM przeciw ECLIPSE. O tym wyścigu będą opowiadać po kres naszych dni.

W szarych oczach Joshuy Yorka pojawiło się coś mrocznego, osobliwego i ulotnego. Ale trwało to zaledwie krótką chwilę.

– FEVRE DREAM... – powiedział. – Czy nie sądzisz, że to trochę... złowróźbna nazwa? Kojarzy mi się z chorobą, z gorączką, śmiercią i wizjami nawiedzającymi człowieka w malignie. Z marzeniami, które... nie powinny się ziścić, Abnerze. O których nigdy nie powinniśmy śnić.

Marsh zasepił się.

– Ja nie mam takich skojarzeń. Mnie ta nazwa się podoba.

– Czy ludzie zechcą pływać na pokładzie statku o takiej nazwie? Powszechnie wiadomo, że parowce przewoziły ludzi chorych na tyfus i żółtą febrę. Wybuchaly epidemie. Czy chcemy przypominać ludziom o takich rzeczach?

– Ludzie pływali na moim „Sweet Fevre” – odrzekł Marsh. – A także na statkach „War Eagle”, „Ghost” i innych nazwanych imionami Indian. Na tym także będą pływać.

Wychudły, błydy mężczyzna imieniem Simon wychrypiał coś głosem brzmiącym jak zgrzyt starej, zardzewiałej piły w nieznanym Marshowi języku, innym wszelako niż ten, którym posługiwali się Smith i Brown. York usłyszał go, a na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego zamyślenia, nieomal zatroskania.

– „Fevre Dream” – powtórzył. – Miałem nadzieję na jakąś... zdrowszą nazwę, ale Simon mnie przekonał. Znalazł całkiem trafny argument. Niech zatem będzie, jak zechcesz, Abnerze. Niechaj ten statek nosi nazwę „Fevre Dream”.

– Doskonale – mruknął Marsh.

York jakby od niechcienia skinął głową.

– Spotkajmy się jutro na kolacji w Gait House. O dwudziestej. Musimy opracować plan naszej wyprawy do St. Louis, przedyskutować kwestię załogi oraz oprowiantowania, jeżeli nie

masz co do tego przeciwwskazań.

Marsh zgodził się burkliwie, a York i jego towarzysze wrócili do swej łodzi, rozplywając się we mgle. Jeszcze długo po tym, jak zniknęli mu z oczu, Marsh stał w stoczni, wpatrując się w nieruchomy, cichy parowiec.

– „Fevre Dream” – rzekł na głos, aby poczuć brzmienie tych słów.

To dziwne, lecz po raz pierwszy nazwa ta zabrzmiała w jego uszach fałszywie, zawierając w sobie konotacje, które bynajmniej nie przypadły mu do gustu. Zadrżał, gdy przez chwilę poczuł lodowaty chłód, a potem prychnął i czym prędzej udał się na spoczynek.

ROZDZIAŁ 4

Na pokładzie parowca „Fevre Dream” rzeka Ohio, lipiec 1857

„Fevre Dream” opuścił Albany po zmierzchu pewnej parnej, lipcowej nocy. Choć Abner Marsh spędził na rzece wiele lat, nigdy tak jak tego dnia nie czuł, że żyje. Przez cały ranek załatwiał ostatnie pilne sprawy, zajmując golibrodę, spożywając lunch ze stoczniovcami i wysyłając kilka listów. W upalne popołudnie wprowadził się do swej kajuty, dokonał ostatniego obchodu parowca, by upewnić się, że wszystko w porządku, i przywitał kilkoro przybyłych właśnie pasażerów. Kolację zjadł w pośpiechu, po czym udał się na pokład główny, by zajrzeć do mechanika i palaczy przy kotłach; skontrolował też pierwszego oficera podczas załadunku ostatniej partii towarów. Słońce prażyło niemiłosiernie, powietrze było gęste i nieruchome, robotnicy o ciałach błyszczących od potu wnosili po wąskich deskach załadunkowych bele, beczki i skrzynie, pierwszy oficer zaś nieustannie ich poganiał i łajał. Marsh wiedział, że po drugiej stronie rzeki, w Louisville, inne parowce również kończyły załadunek i szykowały się do rejsu; były to: wielki, niskociśnieniowy „Jacob Strader”, pocztowiec z Cincinnati, szybki

„Southerner” z Kompanii Przewozowej Cincinnati i Louisville oraz pół tuzina mniejszych jednostek. Wypatrywał ich na rzece pomimo upału i rojów komarów, które pojawiły się nad wodą po zachodzie słońca.

Na głównym pokładzie, od dziobu po rufę, piętrzyły się stosy towarów zapelniających niemal każdy wolny skrawek przestrzeni, nie zajęty przez kotły, piece i silniki. Na pokładzie znalazło się sto pięćdziesiąt ton bel liści tytoniowych, trzydzieści ton prętów żelaznych, niezliczona ilość baryłek cukru, mąki oraz brandy, skrzynie z wytwornymi meblami, zamówione przez jakiegoś bogacza z St. Louis, parę brył soli, kilka bel jedwabiu i bawełny, trzydzieści beczek gwoździ, osiemnaście skrzyń z karabinami, trochę książek, gazet, a także innych drobiazgów. No i smalec. Tuzin wielkich beczek najprzedniejszego smalcu. Ale to nie był towar przewozowy. Zakupił go sam Marsh i nakazał wnieść na pokład.

Na statku byli także pasażerowie, mężczyźni, kobiety i dzieci, roili się jak uciążliwe komary, kręcąc się w tę i z powrotem po pokładzie. W sumie „Fevre Dream” miał zabrać około trzystu pasażerów płacących za dotarcie do St. Louis po dolarze od osoby. Płacili jedynie za rejs, żywność musieli zorganizować sobie we własnym zakresie, a szczęśliwcami byli ci, którzy znaleźli dla siebie miejsce do spania na pokładzie. Byli to głównie cudzoziemcy, Irlandczycy, Szwedzi i potężni Duńczycy, pokrzykujący jeden na drugiego w językach, których Marsh nie znał. Ludzie ci pili, kłócili się i bili swoje dzieci. Na pokładzie znalazło się też kilku traperów i prostych robotników na tyle biednych, że stać ich było jedynie na warunki podróży oferowane przez kapitana Marsha.

Pasażerowie w kajutach płacili po dziesięć dolarów – a w każdym razie ci, którzy wybierali się aż do St. Louis. Prawie wszystkie kajuty były zajęte mimo wygórowanej ceny; oficer powiedział Marshowi, że mieli na pokładzie sto siedemdziesiąt siedem kajut pasażerskich, a Marsh uznał, że to całkiem niezła liczba, szczęśliwa, bo aż z dwiema siódmkami. Wśród pasażerów było dwunastu plantatorów, prezes firmy futrzarskiej z St. Louis, dwóch bankierów, zamożny Brytyjczyk z trzema córkami i cztery zakonnice udające się do Iowy. Mieli także na statku kaznodzieję, ale

nie przejęli się tym, bo nie przewozili szarej klaczy; jak wiadomo wszystkim pracownikom żeglugi rzecznej, obecność na pokładzie pastora i szarej klaczy niechybnie przynosi pecha.

Marsh był zadowolony z załogi. Dwóch pilotów było przeciętnych, ale wynajął ich tymczasowo, na odcinek do St. Louis; piloci ci pływali głównie po rzece Ohio, a „Fevre Dream” miał obsługiwać trasę nowoorleańską. Marsh napisał już listy do St. Louis i Nowego Orleanu, i w Posesji Plantatora czekali nań doborowi piloci obsługujący dolny bieg Missisipi. Co do reszty załogi Marsh był pewien, że zatrudnił najlepszych specjalistów. Mechanik, Whitey Blake, był niskim, szpakowatym mężczyzną o sumiastych, siwych, lecz zawsze ubabranych smarem wąsach. Whitey pływał z Abnerem na „Elim Reynoldsie”, a następnie na „Elizabeth A.” i „Sweet Fevre”. Nikt tak jak on nie znał się na silnikach okrętowych. Oficer pokładowy, Jonathan Jeffers, nosił fikuśne, zapinane na guziki kamasze, okulary w złotych oprawkach, brązowe włosy miał gładko szczesane do tyłu, ale był specjalistą od rachunków i rozliczeń, nigdy o niczym nie zapominał, był nieprzejednany w interesach, lubił hazard i grę w szachy. Jeffers pracował w biurze firmy, dopóki Marsh nie zaproponował mu listownie przeniesienia na „Fevre Dream”. Jonathan zjawił się natychmiast. Pomimo że wyglądał na dandysa, był marynarzem żeglugi rzecznej do szpiku kości. Nigdy nie rozstawał się ze swoją laseczką o złoczonej rękojeści, wewnątrz której kryło się długie, wąskie ostrze rapiera. Kucharz, wolny, ciemnoskóry mężczyzna nazwiskiem Toby Lanyard, był z Marshem od czternastu lat, odkąd Abner podczas swego pobytu w Natchez skosztował jego potraw, wykupił go i obdarował wolnością.

Pierwszy oficer, Michael Theodore Dunne, choć wszyscy nazywali go Kudłatym Mikiem, z wyjątkiem robotników portowych zwracających się doń per „panie Dunne”, był jednym z najpotężniejszych, najtwardszych i najpaskudniejszych mężczyzn, którzy kiedykolwiek parali się żeglugą rzeczną. Miał ponad sześć stóp wzrostu, zielone oczy, czarne wąsy i gęste, czarne, kędzierzawe włosy porastające ramiona, nogi i klatkę piersiową. Miał również paskudny charakter, niewyparzoną gębę i nigdy nie pokazywał się bez trzystopowej, czarnej, żelaznej sztaby. Abner Marsh nie widział,

aby Kudłaty Mike przyłożył komuś tą sztabą, no, może zdarzyło się to raz czy dwa, a wśród robotników portowych krążyły plotki, jakoby pierwszy rozwalił kiedyś czaszkę nieszczęśnikowi, który upuścił do rzeki beczułkę brandy. Był twardym, prostolinijnym mężczyzną, mającym oko na wszystko i nie tolerującym błędów. Na rzece wszyscy czuli respekt przed Kudłatym Mikiem Dunne'em.

„Fevre Dream” mógł poszczycić się prawdziwie doborową załogą. Od pierwszego dnia wszyscy wypełniali swoje obowiązki, dzięki czemu, gdy na niebie nad New Albany pojawiły się gwiazdy, cały towar i pasażerowie byli już na pokładzie, oczekując na wypłynięcie w rejs; ciśnienie pary rosło, a kotły emanowały przeraźliwie czerwony blask i taki żar, że na głównym pokładzie było cieplej niż w Natchez-under-the-hill w upalną noc, w kuchni zaś szykowano smakowity posiłek. Abner Marsh sprawdził to wszystko, po czym z nieskrywanym zadowoleniem wszedł na górę do pilotówki, wznoszącej się dumnie ponad panującym w dole chaosem i gwarem.

– Proszę wyprowadzić jednostkę z portu – zwrócił się do pilota.

Ten skontaktował się z maszynownią, poprosił o podniesienie ciśnienia pary i ustawił dwa wielkie koła sterowe w pozycji do wycofywania statku.

Abner Marsh stał nieco z tyłu, za nim, obserwując pilota z powagą i szacunkiem, podczas gdy „Fevre Dream” gładko wypłynął na czarne, rozjaśnione blaskiem gwiazd wody Ohio.

Znalazłszy się na rzece, pilot zakręcił kołami, kierując jednostkę w dół rzeki; wielki parowiec leciutko zawibrował i łagodnie wszedł w rwący nurt, koła zakołatały miarowo tuptuptuptup, obracając się i burząc wodę, statek zaczął nabierać prędkości, przyspieszając dzięki nurtowi rzeki i mocy swoich potężnych silników.

Wkrótce „Fevre Dream” pomknął po falach Ohio niczym senna mara, szybka i ulotna jak „Eclipse”. Z kominów powyżej buchnęły dwa pióropusze gęstego, czarnego dymu oraz snopy iskier, które opadały szerokim łukiem ku rzece, by zgasnąć w niej jak roje czerwonych i pomarańczowych świetlików. Dla Abnera Marsha widok tego dymu, pary oraz iskier był piękniejszy aniżeli pokaz ogni sztucznych w Louisville z okazji 4 Lipca. Pilot sięgnął ręką

i uruchomił syrenę parową, przeciągły, zawodzący jęk był ogłuszający, ale i cudowny zarazem – zawierał w sobie dziki zew i tęskną nutę, a w dodatku niósł się na wiele mil.

Dopiero gdy światła Louisville i New Albany znikły w dali za nimi, a „Fevre Dream” płynął pomiędzy brzegami, pustymi i czarnymi jak przed stu laty, Abner Marsh zorientował się, że Joshua York wszedł do pilotówki i stanął obok niego.

Był ubrany od stóp do głów na biało, w białe spodnie, frak, białą koszulę z koronkami przy kołnierzu i mankietach i do tego w niebieski, jedwabny krawat i takąż kamizelkę. Z kieszonki kamizelki wyłaniał się srebrny łańcuszek od zegarka, a na bladej dłoni York nosił wielki, srebrny pierścień z niebieskim, połyskującym kamieniem. Biel, błękit i srebro, takie były barwy statku, a York wyglądał teraz jak jego element. Pilotówkę zdobiły błękitno-szare zasłony, wielka, miękka kanapa z tyłu pomieszczenia była również niebieska, podobnie jak cerata.

– Ładny strój, Joshua – rzekł do niego Marsh.

York uśmiechnął się.

– Dziękuję – mruknął. – Wydał mi się odpowiedni. Ty także wyglądasz olśniewająco.

Marsh kupił sobie nową marynarkę pilota z lśniącymi, mosiężnymi guzikami i czapkę z nazwą statku wyszytą na otoku srebrną nicią.

– Tja – odparł Marsh. Nie nawykł do komplementów, łatwiej mu było kląć i sarkać. – No i jak – mruknął. – Spałeś jeszcze, gdy wychodziliśmy z portu?

York sypiał za dnia w kajucie kapitańskiej na najwyższym pokładzie, podczas gdy Marsh pocił się, martwił i wypełniał większość faktycznych obowiązków kapitana. Marsh powoli przywykał do nocnego trybu życia Yorka i jego przyjaciół, którzy podobnie jak on przesypiali całe dnie. Kiedy któregoś razu zapytał Yorka o ten drobny, łączący ich ekstrawagancki szczegół, Joshua tylko się uśmiechnął i powtórzył fragment wiersza o „dumie dnia”.

– Stałem na niższym pokładzie, przed kominami, i wszystko obserwowałem. Gdy wypłynęliśmy, zrobiło się tam znacznie chłodniej.

– Szybki parowiec sam wytwarza wiatr – wtrącił Marsh. – Niezależnie jak upalny jest dzień ani ile drewna się spala, na górze jest zawsze chłodno i przyjemnie. Czasami żał mi tych nieszczęśników z pokładu głównego, ale co tam, przecież płacą tylko dolara za rejs.

– Oczywiście – zgodził się York.

Nagle rozległ się głuchy trzask i statek lekko się zakolebał.

– Co to było? – zapytał York.

– Zapewne przepłynęliśmy po jakiejś kłodzie – odparł Marsh. – Zgadza się? – zwrócił się do pilota.

– Otarliśmy się tylko – odparował tamten. – Bez obaw, kapitanie. Nic się nie stało.

Abner Marsh skinął głową i odwrócił się do Yorka.

– Może zejdziemy do sali głównej? Jak na pierwszą noc przystało, wszyscy pasażerowie wylegną na pokłady, aby podziwiać widoki, będziemy mogli porozmawiać z kilkoma z nich, upewnić się, że wszystko jest, jak należy.

– Z przyjemnością. – York przystał na propozycję. – Najpierw jednak chciałbym zaprosić cię do mojej kajuty na drinka. Powinniśmy wszak uczcić rozpoczęcie naszego rejsu, nie uważasz?

Marsh wzruszył ramionami.

– Drinka? W sumie dlaczego by nie? – Skłonił się z galanterią pilotowi. – Życzę przyjemnej nocy, panie Daly. Jeżeli pan sobie życzy, każę przynieść panu kawę.

Wyszli z pilotówki i udali się do kajuty kapitańskiej, przed którą przystanąli na chwilę, podczas gdy York otworzył drzwi – uparł się, aby zarówno w jego kajucie, jak i w pozostałych kajutach oficerskich założono możliwie najlepsze zamki. Było to dość szczególne życzenie, jednakże Marsh wypełnił je bez szemrania. York nie przywykł do życia na parowcu i większość jego pozostałych życzeń wydawała się całkiem sensowna, choćby te wszystkie lustra i srebra, które czyniły salon prawdziwie wytwornym, wręcz baśniowym miejscem.

Kajuta Yorka była trzykrotnie dłuższa i dwukrotnie szersza od pozostałych kabin oficerskich, a co za tym idzie, jak na standardy parowca wydawała się naprawdę olbrzymia. Abner Marsh po raz

pierwszy przestępował teraz jej próg, odkąd wprowadził się tu Joshua York, tak więc znalazłszy się w środku, z zaciekawieniem rozejrzał się dokoła. Dwie lampy naftowe umieszczone w przeciwnych rogach pomieszczenia rozciąły ciepły, miodowy blask. Duże witrażowe okna były zasłonięte grubymi, czarnymi, aksamitnymi kotarami, które w świetle lamp wydawały się miękkie i drogie. W kącie stał wysoki kredens, na nim miednica z wodą, na ścianie zaś wisiało lustro w srebrnej ramie. Opodal stało wąskie, lecz wygodne łóżko nakryte puchową pierzyną, dwa duże, skórzane fotele, a pod ścianą szerokie biurko z różanego drewna z mnóstwem szuflad i szafek. Nad biurkiem do ściany przypięto starą, lecz aktualną mapę dorzecza Missisipi. Na blacie biurka zalegała sterta oprawnych w skórę ksiąg i całe mnóstwo gazet. Była to kolejna z osobliwości Joshuy – czytał niezliczone ilości gazet z całego świata – z Anglii i z innych krajów, gazety w obcych językach, „Tribune” pana Greeleya, nowojorskiego „Heralda”, lokalne periodyki z St. Louis i Nowego Orleanu, a także wychodzące raz na tydzień gazety z pomniejszych nadbrzeżnych miasteczek. Sterty gazet dostarczano mu codziennie. Podobnie jak książki; w kajucie stał okazały regał, którego półki ugięły się pod rządami książek, te, dla których zabrakło miejsca na regale, ułożono w stosy na stoliku przy łóżku; na najwyższym z nich stała na wpół wypalona świeca.

Abner Marsh nie marnował czasu na przyglądanie się książkom. Obok regału znajdował się stojak na wino z ułożonymi na nim rzędem kilkudziesięcioma butelkami. Podszedł do stojaka i sięgnął po jedną z butelek. Nie była oznakowana, a płyn w butelce był czerwony, o tak ciemnym odcieniu, że wydawał się niemal czarny. Korek zalakowano grubą warstwą lśniącego, czarnego wosku.

– Masz nóż? – zwrócił się do Yorka, odwracając się z butelką w dłoni.

– Nie sądzę, aby ten rocznik przypadł ci do gustu, Abnerze – rzekł York. – Trzymał tacę z dwoma srebrnymi pucharami i kryształową karafką. – Mam tu wyborną sherry. Może poprzestaniemy na tym?

Marsh zawahał się. Sherry Yorka była naprawdę przednia i nie chciał z niej zrezygnować, jeśli jednak Joshua przechowywał w swej

kajucie prywatny zapas wina, musiało ono być naprawdę wyśmienite. Poza tym zżerała go ciekawość. Przełożył butelkę z jednej ręki do drugiej. Płyn wewnątrz zafalował leniwie niczym słodki, gęsty likier.

– Co to w ogóle jest? – zapytał Marsh, marszcząc brew.

– Domowe wino – odrzekł York. – Po części wino, po części brandy, po trosze też likier, ale o szczególnym smaku. To rzadki trunek, Abnerze. Lubimy go z moimi towarzyszami, choć większości ludzi raczej on nie smakuje. Jestem pewien, że sherry bardziej przypadnie ci do gustu.

– No cóż – mruknął Marsh, ważąc butelkę w rękę. – Podejrzewam, że mamy podobne gusta i tym, co smakuje tobie, raczej bym nie pogardził. Niemniej jednak masz tu naprawdę przednią sherry i uwierz mi, wiem, co mówię. Rozpromienił się. – Skoro jednak nigdzie się nam nie spieszy, może skosztowalibyśmy obu tych trunków?

Joshua York zaśmiał się z czystą, nieskalaną, spontaniczną radością; był to donośny, melodyjny dźwięk.

– Abnerze – powiedział – jesteś niezwykłym i nader urokliwym człowiekiem. Lubię cię. Wiem na pewno, że mój trunek nie przypadnie ci do gustu. Skoro jednak nalegasz, skosztujmy obu.

Usadowili się w dwóch skórzanych fotelach. York postawił tacę na niskim stoliku pomiędzy nimi. Marsh podał Yorkowi butelkę z „winem”. W dłoni Yorka jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się mały, wąski nóż z rękojeścią z kości słoniowej i srebrnym, długim ostrzem. Joshua zeszkrobał wosk, po czym zwinnym ruchem wbił ostrze noża w korek i wyłuskał go z butelki przy wtórze głośniego plaśnięcia. Płyn spływał wolno, niczym czerwoczarny miód, gęstą strugą do srebrnych pucharów. Był nieprzejrzysty i wydawał się upstrzony maleńkimi, czarnymi cętkami. Miał też silny bukiet; Marsh uniósł kielich i powąchał; od zapachu alkoholu zakręciło go w nosie, a z oczu pociekły łzy.

– Powinniśmy wznieść toast – rzekł York, unosząc kielich.

– Za wszystkie pieniądze, które wspólnie zarobimy – zażartował Marsh.

– Nie – zaoponował z powagą York. W jego diabelskich, szarych

oczach pojawiła się iskierka smętnej melancholii, stwierdził Marsh. Miał nadzieję, że York nie zacznie znów recytować wierszy. – Abnerze – ciągnął York. – Wiem, ile znaczy dla ciebie „Fevre Dream”. Chcę, abyś wiedział, że dla mnie znaczy on tyle samo. Dzisiejszy dzień jest początkiem mego nowego, wspaniałego życia. My dwaj, wspólnie, uczyniliśmy tę jednostkę taką, jaka jest, i sprawimy, że stanie się ona legendą. Zawsze podziwiałem piękno, Abnerze, ale dopiero teraz po raz pierwszy w moim długim życiu udało mi się je stworzyć lub raczej pomóc w jego stworzeniu. To przyjemne uczucie dać temu światu coś pięknego i nowego. Zwłaszcza dla mnie. I muszę ci za to podziękować. – Uniósł swój puchar. – Wypijmy za „Fevre Dream” i wszystko, co sobą uosabia, przyjacielu – piękno, wolność, nadzieję. Za nasz statek i lepszy świat!

– Za najszybszy parowiec na rzece! – odrzekł Marsh i wypili.

Omam się nie zakrztusił. Osobisty trunek Yorka palił jak ogień, spłynął gorącą strugą w głąb jego przetyku, rozciągając gorące macki aż do żołądka, lecz był niemal dławiająco słodki i miał dziwną, nieprzyjemną woń, której nie zdołały zabić słodycz ani alkohol. Smakował tak jakby butelce coś zgniło, pomyślał Marsh. Joshua York opróżnił swój kielich jednym łykiem, mocno odchylając głowę do tyłu. Następnie odstawił go na bok, spojrział na Marsha i znów się roześmiał.

– Masz zabawny i dość osobliwy wyraz twarzy, Abnerze. Nie musisz silić się na uprzejmość. Uprzedzałem cię. Może kropelkę sherry?

– Chyba się skuszę – odparł Marsh. – Może nawet więcej niż kropelkę.

Później, gdy dwa kieliszki sherry zabiły w ustach Marsha posmak trunku Yorka, powrócili do rozmowy.

– Jaki będzie nasz następny krok po St. Louis, Abnerze? – zapytał York.

– Rejsy handlowe do Nowego Orleanu. Dla tak wspaniałego statku to jedyna możliwość.

York pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

– To akurat wiem, Abnerze. Zastanawiało mnie, jak zamierzasz

zrealizować swoje marzenie o pokonaniu „Eclipse”. Chcesz go odszukać i otwarcie rzucić wyzwanie? Jestem za tym, jeśli tylko zbytnio nas to nie opóźni ani nie zmusi do zmiany trasy.

– Gdybyż to było takie proste, ale niestety nie jest. Zrozum, Joshua, na tej rzece są tysiące parowców i każdy z nich chciałby pokonać „Eclipse”. A on, tak jak my, odbywa regularne rejsy, przewożąc pasażerów i fracht. Nie może się przez cały czas ścigać. Poza tym kapitan „Eclipse” byłby głupcem, gdyby przyjął nasze wyzwanie. No bo kim my w gruncie rzeczy jesteśmy? Mamy nowy parowiec, prosto ze stoczni w New Albany, o którym nikt nigdy nie słyszał. Ścigając się z nami, „Eclipse” nie ma nic do stracenia ani do zyskania. – Opróżnił kolejny kieliszek sherry i podstawił Yorkowi do ponownego napełnienia. – Nie, najpierw musimy zająć się naszą pracą, wyrobić sobie reputację. Dać się poznać na rzece, ludzie muszą zobaczyć, że nasz statek jest naprawdę szybki. Wkrótce zaczną rozpowiadać na prawo i lewo o jego zaletach i zastanawiać się, co by było, gdyby „Fevre Dream” i „Eclipse” stanęły do wyścigu. Może spotkamy się z nim na rzece raz czy dwa i, dajmy na to, wyprzedzimy go. Nagłośnimy ten fakt, a ludzie zaczną obstawiać zakłady. Może przyjmiemy kilka kursów na tej samej trasie co „Eclipse” i dotrzemy do celu szybciej od niego. Jak wiesz, kto pierwszy, ten lepszy. Taka obowiązuje tu zasada handlowa. Plantatorzy, spedytorzy i cała reszta chcą, aby ich towary jak najprędzej znalazły się na rynku, i wynajmują najszybsze jednostki. Pasażerowie zaś, jeśli tylko ich na to stać, uwielbiają rejsy słynnymi statkami. Mój plan zakłada, że w niedługim czasie ludzie zaczną uważać nasz statek za najszybszą jednostkę na rzece, przejmiemy najlepsze zlecenia przewozowe, a „Eclipse” dostanie po kieszeni, czyli tam, gdzie najbardziej boli. Przekonasz się, że w tej sytuacji przyjmie nasze wyzwanie raz dwa, aby udowodnić wszem wobec, że nie mamy z nim żadnych szans.

– Rozumiem – rzekł York. – Czy rejs do St. Louis ma na celu wyrobienie sobie przez nas reputacji?

– Szczerze mówiąc, nie nastawiałem się na dotarcie tam w rekordowym czasie. To nowy statek i musimy go trochę dotrzeć. Nie mamy nawet na pokładzie naszych stałych pilotów, załoga

jeszcze nie wyczuwa statku, a Whitey potrzebuje czasu, aby zorientować się w ewentualnych kłopotach z silnikami i zgrać się z palaczami. – Odstawił swój pusty kieliszek. – Co nie oznacza, że nie możemy zacząć z innej beczki – dodał z uśmiechem. – Mam parę pomysłów. Zresztą sam się wkrótce przekonasz.

– Świetnie – mruknął Joshua. – Jeszcze sherry?

– Nie, dziękuję – odparł Marsh. – Chyba powinniśmy zejść do baru. Z przyjemnością postawię ci tam drinka. Gwarantuję, że będzie o niebo lepszy niż ten twój cuchnący zajzajer.

York uśmiechnął się.

– Z przyjemnością – powiedział.

Ta noc nie mogła się równać z żadną inną, przynajmniej w mniemaniu Abnera Marsha. Była to noc magii, noc jak ze snu. Był gotów przysiąc, że trwała czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt godzin, a każda z nich wydawała się bezcenna. Obaj z Yorkiem byli na nogach do świtu, pijąc i rozprawiając na różne tematy, spacerując po zbudowanym przez nich statku. Następnego dnia Marsh obudził się z takim bólem głowy, że nie potrafił przypomnieć sobie połowy wydarzeń owej wyjątkowej nocy. Jednakże kilka z nich na zawsze wryło mu się w pamięć. Przypomniał sobie wejście do wielkiego salonu, było lepsze aniżeli wejście do najwytworniejszego hotelu na świecie. Kandelabry lśniły, lampy roztaczały łagodny blask, pryzmaty skrzyły się. Lustra sprawiały, że długie, wąskie pomieszczenie wydawało się dwa razy szersze niż w rzeczywistości. Przy barze zebrał się tłum, rozmawiano o polityce i nie tylko; Marsh przyłączył się na chwilę, przysłuchując się skargom na abolicjonistów i sporom o to, czy Stephen A. Douglas powinien zostać prezydentem, podczas gdy York przywitał się ze Smithem i Brownem, siedzącymi przy jednym ze stolików i grającymi w karty z paroma plantatorami i zawodowym hazardzistą. Ktoś brzdąkał na fortepianie, drzwi do pomieszczenia raz po raz otwierały się i zamykały, kajutę spowitą jasnym światłem wypełniał głośny śmiech.

Później zeszli do innego świata na pokład główny; wszędzie stały skrzynie z towarami, robotnicy i pasażerowie spali na zwojach lin i workach z cukrem, jakaś rodzina zebrała się przy ognisku, nad

którym coś się piekło, pod schodami zdrzemnął się pijak.

Maszynownia skąpana była w piekielnej, czerwonej poświacie bijącej z pieców. Whitey stał pośrodku pomieszczenia w koszuli mokrej od potu, z brodą brudną od smaru, pokrzykując na swych pomocników, pośród głośnego syku pary i monotonnego łupłupłup kół burzących wodę. Wały były niesamowite, gdy tak poruszały się w przód i w tył długimi, potężnymi skokami. York i Marsh patrzyli przez chwilę, aż w końcu mieli już dość żaru i woni smarów.

W jakiś czas później znów znaleźli się na wyższym pokładzie, zwanym powszechnie huraganowym, spacerując, przekazując sobie z rąk do rąk butelkę i rozmawiając o tym i owym. Gwiazdy świeciły niczym rozrzucone po niebie brylanty, na masztach trzepotały bandery „Fevre Dream”, rzeka dokoła była zaś czarniejsza niż najczarniejszy niewolnik, którego Marsh miał okazję widzieć.

Płynęli przez całą noc, Daly spędził pierwszą długą wachtę w pilotówce, utrzymując tę samą, dość sporą prędkość, aczkolwiek Marsh wiedział, że była ona niczym w porównaniu z tym, co można by wycisnąć z „Fevre Dream” na mrocznej Ohio, gdyby wokół nich nie było żadnych przeszkód czy zagrożeń. Był to czarowny rejs, bez konieczności usuwania zwalonych drzew czy unikania mielizn. Dwa razy wysyłali niedużą jolkę, aby przeprowadzić sondowanie, i w obu przypadkach poziom rzeki okazał się dostatecznie głęboki, a co za tym idzie, „Fevre Dream” mógł kontynuować rejs. Na brzegu widać było nieliczne domki, w większości z nich nie paliły się światła, a okiennice pozamykano na noc, w jednym jednak, w oknie na piętrze, nadal było jasno. Marsh zastanawiał się, kto czuwał o tak późnej porze i co mógł sobie pomyśleć o przepływającym opodal parowcu.

Statek z pewnością prezentował się okazale, z oświetlonymi pokładami, niosącą się po rzece muzyką i śmiechem, z dymem i snopami iskier bijącymi z kominów i z wielką tablicą na obudowie koła łopatkowego z napisem FEVRE DREAM, wymalowanym fantazyjnymi niebieskimi literami z szeroką, srebrną obwódką. Nieomal chciał być teraz na brzegu, by móc to zobaczyć.

Największa atrakcja tej nocy zdarzyła się tuż przed północą, gdy po raz pierwszy ujrzeli inny parowiec prujący fale przed nimi. Kiedy

Marsh go spostrzegł, ujął Yorka za łokieć i poprowadził na górę do pilotówki. Było tam dość tłoczno, Daly wciąż stał za sterem, popijając kawę, na kanapie za nim siedziało dwóch pozostałych pilotów i trzech pasażerów. Piloci nie byli tymi, których wynajął Marsh, ale zgodnie z obyczajem rzeczonym piloci mogli odbywać rejsy za darmo na pokładzie każdego wybranego przez siebie statku, zwykle zaś spędzali podróż w pilotówce, rozmawiając ze sternikiem i uważnie obserwując rzekę. Marsh zignorował ich.

– Panie Daly – zwrócił się do swego pilota. – Jakiś parowiec przed nami.

– Widzę go, kapitanie – odrzekł Daly z oszczędnym uśmiechem.

– Ciekawe, co to za statek? Jak pan sądzi, Daly?

Statek, jakkolwiek się nazywał, nie prezentował się zbyt okazale, ot toporny tylnokołowiec z kanciąstą, paskudną pilotówką.

– Nie mam pojęcia – odparł pilot.

Abner Marsh odwrócił się do Joshuy Yorka.

– Joshua – rzekł. – Jesteś teraz prawdziwym kapitanem i nie chcę ci nadmiernie niczego sugerować. Prawda jest jednak taka, że piekielnie mnie ciekawi, jakież to statek znajduje się przed nami. Może polecisz panu Daly’emu, aby go dogonił, dzięki czemu zaspokoilibym swoją ciekawość i mógłbym się odrobinę rozluźnić?

York uśmiechnął się.

– Oczywiście – zgodził się. – Panie Daly, słyszał pan, co powiedział kapitan Marsh. Czy uważa pan, że „Fevre Dream” może doścignąć tę jednostkę przed nami?

– Może doścignąć każdy statek – odparł pilot.

Skontaktował się z maszynownią, aby nieco zwiększyła moc silników, i ponownie uruchomił syrenę parową, a po rzece przetoczyło się zawodzące echo przeciągłego jęku niczym ostrzeżenie dla nieznannej jednostki, że „Fevre Dream” ruszył za nią w pościg.

Syrena była tak głośna, że wszyscy goście z głównego salonu wylegli tłumnie na pokład. Obudzili się nawet śpiący na linach i workach z mąką podróżni z pokładu głównego. Kilka osób weszło na górę i próbowało dostać się do pilotówki, ale Marsh ponownie przegonił je na dół wraz z trzema innymi, które znalazły się tam

wcześniej. Wszyscy pasażerowie zgromadzili się najpierw na dziobie, a następnie wzdłuż bakburty, gdy stało się jasne, że z tej właśnie strony będą wyprzedzać tylnokołowca.

– Cholerni pasażerowie – mruknął Marsh do Yorka. – Nie mają zielonego pojęcia o trymie. Któregoś dnia wszyscy zlecą się w jedno miejsce i jakiś nieszczęsny parowiec wywróci się do góry dnem. Daję głowę, że tak się stanie.

Pomimo że narzekał, w głębi duszy był szczęśliwy. Whitey na dole kazał dorzucić do pieców, ogień buzował aż miło, a wielkie koła obracały się coraz prędzej. Trzask-prask! i było po wszystkim. „Fevre Dream” zdawał się pożerać mile dzielące go od tylnokołowca, a kiedy go wyprzedził, z dolnych pokładów rozległy się głośnie okrzyki oraz śmiech, najśłodsza muzyka dla uszu Abnera Marsha.

Gdy przepłynęli obok niedużego parowca, York odczytał jego nazwę z tablicy na pilotówce.

– Nazywa się „Mary Kaye” – oznajmił.

– Niech mnie drzwi ścisną! – ryknął Marsh.

– Czy to jeden z bardziej znanych statków? – zapytał York.

– Tam do kata, nie! – burknął Marsh. – Nigdy o nim nie słyszałem. I co ty na to? – Marsh ryknął głośnym śmiechem, poklepał Yorka po plecach i w kilka chwil później śmiali się wszyscy znajdujący się w pilotówce.

Zanim noc dobiegła końca, „Fevre Dream” dogonił i prześcignął pół tuzina parowców, w tym także jeden bocznokołowiec niemal dorównujący mu rozmiarami, lecz nie było to w żadnej mierze tak ekscytujące jak za pierwszym razem, kiedy ścigał się z „Mary Kaye”.

– Chciałeś wiedzieć, jak to się zacznie – rzekł Marsh do Yorka, kiedy wyszli z pilotówki. – Właśnie się zaczęło.

– Tak – powiedział York, spoglądając wstecz, gdzie w oddali widać było coraz bardziej zmniejszającą się sylwetkę „Mary Kaye”.
– Zaczęło się.

ROZDZIAŁ 5

Na pokładzie parowca „Fevre Dream” rzeka Ohio, lipiec 1857

Pomimo bólu głowy Abner Marsh był zbyt starym wygą, doświadczonym pracownikiem żeglugi rzecznej, aby przespać dzień, zwłaszcza tak ważny jak ten. Usiadł na łóżku około jedenastej po zaledwie kilku godzinach snu, spryskał sobie twarz ciepłą wodą z miednicy na nocnym stoliku i ubrał się. Miał wiele pracy, a York wstanie dopiero po zmierzchu. Nałożył czapkę, przejrzał się w lustrze, przecesał palcami brodę, po czym sięgnął po laseczkę i zszedł z górnego pokładu na główny. Najpierw odwiedził umywalnię, a potem zajrzał do kuchni.

– Nie wstałem na śniadanie, Toby – rzucił do kucharza, który właśnie szykował obiad. – Niech jeden z twoich chłopców usmaży dla mnie jajecznicę z sześciu jaj na szynce i podeśle ją na górny pokład, dobra? I kawę. Dużo kawy.

W wielkim salonie Marsh wypił pospiesznie parę drinków, które sprawiły, że poczuł się nieco lepiej. Porozmawiał chwilę z kilkoma pasażerami i kelnerami, po czym wrócił na pokład teksaski, oczekując na posiłek.

Kiedy zjadł jajecznicę, znów poczuł się w pełni sił.

Po śniadaniu odwiedził pilotówkę. Nastąpiła zmiana wachty i za sterem stał inny pilot; towarzystwa dotrzymywał mu jeden z „wolnych strzelców”.

– Dzień dobry, panie Kitch – rzekł do swego pilota Marsh.

– Jak się prowadzi?

– Nie mogę się skarżyć – odparł pilot. Spojrzał na Marsha.

– Ma pan mocno rozbrykany statek, kapitanie. Gdy dotrze pan do Nowego Orleanu, niech pan postara się o najlepszych pilotów. Ten ster powinien być w naprawdę dobrych rękach.

Marsh pokiwał głową. Mógł się tego spodziewać. Często bywało tak, że szybsze jednostki okazywały się trudniejsze w obsłudze. Nie przejął się tym. Za sterami „Fevre Dream” nigdy nie stanie pilot nie znający się na rzeczy.

– Jaki mamy czas? – zapytał Marsh.

– Całkiem niezły – odrzekł pilot, wzruszając ramionami. – Mógłby być lepszy, ale pan Daly powiedział, że kapitanowi się nie spieszy, więc trochę się snujemy.

– Zawiniemy do Paducah – polecił Marsh. – Schodzi tam na ląd kilku pasażerów i zostawiamy partię towaru.

Jeszcze przez chwilę rozmawiał z pilotem, po czym udał się na pokład kotłowy.

W głównej kajucie zastawiono już stoły do obiadu. Promienie popołudniowego słońca wpływały przez świetliki kaskadą barw, zalewając swym blaskiem długie rzędy stołów ustawione wewnątrz pomieszczenia. Kelnerzy rozkładali na stołach srebrną i porcelanową zastawę; kryształowe kieliszki skrzyły się w blasku słońca. Marsh poczuł płynące z kuchni smakowite zapachy, od których aż pocięła mu ślinka. Sięgnął po menu, przejrzał i stwierdził, że wciąż był głodny. Poza tym York nie pojawi się aż do wieczora, a obyczaj nakazywał, by choć jeden z kapitanów towarzyszył pasażerom i oficerom pokładowym przy obiedzie.

Marsh uznał, że obiad był wręcz wyśmienity. Kapitan spałaszował potężną porcję jagnięciny z rusztu w sosie pietruszkowym, gołąbka, a do tego sporo irlandzkich ziemniaczków, zielonego groszku i buraczków, a także dwa kawałki słynnego ciasta

z orzechami, specjału Toby'ego. Zanim obiad dobiegł końca, kapitan poczuł się błogo. Pozwolił nawet kaznodziei na wygłoszenie krótkiego kazania o nawracaniu Indian na wiarę chrześcijańską, choć na jego statkach głoszenie Słowa Bożego było zabronione. Musiał jednak w jakiś sposób rozbawić pasażerów, albowiem nawet najpiękniejsze krajobrazy po pewnym czasie zaczynają się ludziom nudzić.

Wczesnym popołudniem „Fevre Dream” zawinął do Paducah, po kentuckiańskiej stronie rzeki, gdzie Tennessee wpływa do Ohio. Był to trzeci postój podczas ich rejsu, ale pierwszy naprawdę długi.

Nocą na krótko zatrzymali się w Rossborough, aby wysadzić na ląd trzech pasażerów, a potem, kiedy Marsh spał, zawinęli do Evansville, aby zabrać zapas drewna opałowego i jeszcze jedną partię towarów. W Paducah wszelako czekał ich wyładunek dwunastu ton prętów żelaznych, części ładunku mąki, cukru i książek oraz przeniesienie na pokład jakichś pięćdziesięciu ton drewna. Paducah było wielkim miastem czerpiącym zyski z przemysłu drzewnego, tratwy z drewnianych bali przez cały czas spławiane były w dół rzeki Tennessee, tarasując nurt i utrudniając żeglugę parowcom. Jak większość załóg parowców Marsh nie przepadał za flisakami. Nocami tratwy były zwykle nie oświetlone i często dochodziło do zderzeń z parostatkami, które w najlepszym razie kończyły się na wymianie inwektyw pomiędzy flisakami a załogantami statku.

Na szczęście gdy zawijali do Paducah, na ich drodze nie pojawiły się tratwy flisaków i „Fevre Dream” spokojnie zacumował w porcie. Marsh przyjrzał się towarom czekającym na nabrzeżu – były wśród nich sterty skrzyń oraz kilkanaście bel tytoniu – po czym uznał, że mógłby przyjąć znacznie więcej frachtu, jeśli umieści towar na pokładzie głównym. Stwierdził, że szkoda byłoby odpłynąć z Paducah, pozostawiając choć część tych dóbr dla jakiejś innej jednostki.

„Fevre Dream” zacumował już przy nabrzeżu i chmara robotników portowych natychmiast zeszła po deskach, rozpoczynając rozładunek towarów. Kudłaty Mike dwoił się i troił wśród nich, pokrzykując: Szybciej tam, nie przyszedłeś tu na spacer,

weź się wreszcie do roboty! albo: Jeśli to upuścisz, ja upuszczę to żelastwo na twój żaloszny czerep, chłopcze!

Z cichym puf! opuszczono trap i kilku pasażerów do Paducah jeden po drugim zeszło z pokładu.

Marsh podjął decyzję. Udał się do gabinetu oficera pokładowego, który zliczał właśnie jakieś rachunki za fracht.

– Musi pan robić to właśnie teraz, panie Jeffers? – zapytał.

– Niekoniecznie, kapitanie – odrzekł Jeffers. Zdjął okulary i otarł je chusteczką. – To fracht do Cairo.

– Świetnie – mruknął Marsh. – Wobec tego proszę ze mną. Zejdziemy na brzeg i dowiemy się, kto jest właścicielem towarów, które prażą się właśnie na słońcu, i dokąd mają zostać dostarczone. Podejrzewam, że do któregoś z miast na trasie do St. Louis. Może udałoby się nam trochę na nich zarobić.

– Wyśmienicie – odrzekł Jeffers. Podniósł się ze stołka, poprawił swój nieskazitelny czarny surdut, upewnił się, że wielki żelazny sejf jest zamknięty, i sięgnął po laseczkę z ukrytym wewnątrz ostrzem. – Znam w Paducah knajpę, gdzie podają wyborny grog – dodał, gdy już wychodzili.

Pomysł Marsha nie okazał się chybiony. Z łatwością odnaleźli właściciela bel tytoniu i zaprowadzili go do wspomnianego lokalu, gdzie Marsh przekonał spedytora, aby powierzył swój towar właśnie jemu, a Jeffers uzgodnił całkiem przyzwoitą opłatę za przewóz. Zajęło to około trzech godzin, ale Marsh był zadowolony ze swego osiągnięcia, gdy wspólnie z Jefferssem wracał na nabrzeże, gdzie czekał na nich „Fevre Dream”.

Gdy dotarli na miejsce, Kudłaty Mike spacerował akurat po pirsie, paląc czarne cygaro i rozmawiając z oficerem z innego statku.

– To jest teraz nasze – poinformował go Marsh, wskazując laseczką transport bel tytoniu. – Niech twoi chłopcy załadują je w trymiga, abyśmy mogli jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę.

Marsh oparł się o reling na pokładzie kotłowym i stojąc w cieniu, zadowolony obserwował, jak robotnicy wnoszą bele na pokład, podczas gdy Whitey powoli zwiększał ciśnienie pary. Przez przypadek dostrzegł rząd ciągniętych przez konie hotelowych omnibusów czekających przy drodze opodal nabrzeża. Marsh przez

chwilę przyglądał się im z zaciekawieniem, podkręcając węża, po czym udał się na górę do pilotówki.

Pilot pałaszował właśnie kawałek placka, popijając go kawą.

– Panie Kitch – zwrócił się do niego Marsh – niech pan wstrzyma się z wypłynięciem z portu, dopóki panu nie powiem.

– A to czemu, kapitanie? Załadunek już prawie zakończony, ciśnienie pary rośnie.

– Proszę spojrzeć – rzekł Marsh, unosząc laseczkę. – Te omnibusy dowożą pasażerów na nabrzeże albo oczekują na ich przybycie. Nie chodzi z pewnością o naszych pasażerów, a tyle pojazdów nie zjawiłoby się w oczekiwaniu na jakiś marny tylnokołowiec. Mam dziwne przeczucie...

W kilka chwil później okazało się, że przeczucie go nie myli. W ich polu widzenia pojawił się buchający dymem, parą i fontannami iskier, prujący fale Ohio jak sam szatan, długi, wytworny bocznokołowiec. Marsh rozpoznał go niemal natychmiast, zanim jeszcze zdołał odczytać nazwę SOUTHERNER; statek należał do Towarzystwa Żeglugi Rzecznej Cincinnati & Louisville.

– Wiedziałem! – krzyknął. – Musiał wypłynąć z Louisville pół dnia po nas. Ale ma niezły czas. – Podszedł do bocznego okna, odsunął grube zasłony, zaciągnięte, ponieważ nawet po południu słońce prażyło niemiłosiernie, i patrzył, jak drugi parowiec zawija do portu, zacumowuje i pasażerowie zaczynają schodzić na ląd. – Nie zabawi tu długo – rzekł Marsh do pilota. – Nie ma towaru do wyładowania ani do załadunku, zostawia tu tylko pasażerów. Pozwoli pan, aby „Southerner” wypłynął pierwszy. Niech kawałek odplynie, a potem ruszymy za nim w pościg.

Pilot dokończył swój kawałek placka i chusteczką otarł z kącika ust odrobinę merengi.

– Mam pozwolić, by „Southerner” oddalił się od nas, a potem zacząć go ścigać? Kapitanie, będziemy wachać jego dym stąd aż do Cairo. Jeżeli damy mu fory, nijak nie zdołamy go dogonić.

Abner Marsh nasrożył się jak gradowa chmura.

– Niech pan tak nie mówi, panie Kitch. Nie chcę tego słuchać! Jeśli nie jest pan w stanie tego dokonać, proszę powiedzieć mi wprost, a natychmiast pójdę i wyciągnę z łóżka pana Daly’ego, aby

zajął pana miejsce za sterem.

– Przecież to „Southerner” – zaoponował Kitch.

– A to jest „Fevre Dream” i radzę o tym nie zapominać! – wrzasnął Marsh.

To rzekłszy, odwrócił się i z posepną miną opuścił pilotówkę. Cholerni piloci. Każdy z nich uważał się za króla rzeki. Naturalnie byli nimi, gdy tylko wypływali z portu, ale to nie powód, by mieli coś przeciwko niewielkiemu wyścigowi i powątpiewali w możliwości jego jednostki.

Jego gniew przygasł, kiedy spostrzegł, że „Southerner” zabrał już pasażerów. Miał nadzieję na podobne spotkanie, odkąd spostrzegł „Southernera” po drugiej stronie rzeki, jeszcze w Louisville, ale wolał się zbyt nie łudzić. Gdyby „Fevre Dream” zdołał dogonić „Southernera”, jego reputacja zostałaby na wpół ukształtowana. Wystarczy, że usłyszeliby o tym ludzie pracujący na rzece. Ten parostatek i jego siostrzana jednostka, „Northerner”, były dumą swojej linii przewozowej. Były to szczególne statki, zbudowane w 1853 roku. Ich atut stanowiła szybkość. Mniejsze niż „Fevre Dream”, były jedynymi parowcami, o których Marsh wiedział, że nie przewoziły frachtu, a wyłącznie pasażerów. Nie potrafił powiedzieć, w jaki sposób na siebie zarabiały, ale to nie miało znaczenia. Najważniejsza była ich szybkość. „Northerner” ustanowił w 1854 roku nowy rekord na trasie Louisville – St. Louis. „Southerner” pobił go w rok później i jak dotąd rekord ten nie został pobity, a wynosił równo jeden dzień i dziewiętnaście godzin. Znajdującą się na najwyższym pokładzie pilotówkę zdobyło złocone poroże, symbol najszybszej jednostki pływającej po Ohio.

Im dłużej Marsh zastanawiał się nad perspektywą pokonania bocznokołowca, tym bardziej rosło jego podniecenie. Nagle uświadomił sobie, że Joshua z pewnością nie chciałby przeoczyć takiego wydarzenia, niezależnie od tego, czy spał akurat w najlepsze, czy też nie. Marsh udał się do kajuty Yorka, zdecydowany za wszelką cenę go obudzić. Zastukał głośno do drzwi gałką swojej laski.

Bez odpowiedzi. Zastukał głośniejsze i energiczniej.

– Hej, tam! – zagrzmiął. – Wyłaż z łóżka, York, szykuje się nam

nie lada wyścig!

Z kajuty Yorka wciąż nie dochodził żaden dźwięk. Marsh poruszył klamką i stwierdził, że drzwi zamknięto na klucz. Poruszył nią raz jeszcze, po czym załomotał w ścianę, zastukał w zasłonięte okno i przez cały czas nawoływał, jednak bez rezultatu.

– Niech cię diabli, York! – powiedział. – Wstawaj albo będziesz żałował, że cię to ominęło. – Wtem przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Wrócił do pilotówki. – Panie Kitch! – zawołał. Abner Marsh miał płuca jak miechy i jeśli zechciał, jego głos brzmiał jak ryk trąby jerychońskiej. Kitch wychylił głowę przez drzwi i spojrzał w dół. – Proszę uruchomić syrenę – polecił mu Marsh – i nie wyłączać jej, dopóki nie machnę ręką. Czy to jasne?

Wrócił pod zamknięte drzwi kajuty Yorka i znów zaczął się do nich dobijać. Wtem rozległ się zawodzący jęk syreny okrętowej. Jeden. Drugi. Trzeci. Długie, gniewne dźwięki.

Marsh zamachał laseczką.

Drzwi do kajuty Yorka otworzyły się.

Marsh jeden jedyny raz spojrzał w oczy Yorka i jego usta rozwarły się jak do krzyku. Znów zabrzmiała syrena i kapitan energicznie zamachał ręką.

Syrena ucichła.

– Właż do środka – rzucił lodowatym szeptem Joshua York.

Marsh przestąpił próg kajuty, a York natychmiast zatrzasnął za nim drzwi. Marsh usłyszał szcęk klucza przekręcanego w zamku. Nie zobaczył tego jednak. Nie zobaczył niczego. Po zamknięciu drzwi w kajucie było ciemno jak w grobie. Nawet promyk światła nie przenikał przez drzwi ani przez szczelnie zasłonięte okna. Marsh poczuł się jak ślepiec.

Jednakże w wyobraźni wciąż widział stojącego w drzwiach kajuty Joshuę Yorka, nagiego, jak go Pan Bóg stworzył, o skórze barwy alabastru, z wargami rozchylonymi w gniewnym, zwierzęcym grymasie i z oczyma jak dwie mroczne szczeliny, przez które można dostrzec najgłębszą otchłań piekieł.

– Joshua, czy mógłbyś zapalić lampę? – zapytał Marsh. – Albo odsunąć którąś z zasłon. Nic nie widzę.

– Ja widzę doskonale – dobiegł go z ciemności za plecami głos

Joshuy Yorka. Marsh usłyszał za sobą jakieś poruszenie.

Odwrócił się i wpadł na coś. – Nie ruszaj się – rozkazał York tak zagniewanym i rozkazującym tonem, że Marsh nie mógł mu się nie podporządkować. – Chcesz trochę światła, to masz, zanim zdemolujesz moją kajutę.

Po drugiej stronie pomieszczenia błysnęła zapalka i York zapalił nią świecę, po czym usiadł na skraju łóżka. Miał już na sobie spodnie, ale jego oblicze wyglądało groźnie i nieustępliwie.

– No dobra – warknął. – Co cię sprowadza? Ostrzegałem cię, mam nadzieję, że potrafisz to jakoś wytłumaczyć! Obyś miał naprawdę ważny powód!

Marsh poczuł, jak narasta w nim gniew. Nikomu nie wolno było zwracać się do niego takim tonem, absolutnie nikomu.

– Tuż obok nas cumuje „Southerner” – rzucił krótko. – To najszybsza jednostka na tej rzece, ma złote poroże i w ogóle. Zamierzam ruszyć za nią w pościg i pomyślałem, że będziesz chciał to zobaczyć. Jeśli twoim zdaniem to nie wystarczający powód na zwłczenie cię z łóżka, to wybaczone, ale nie jesteś i nigdy nie będziesz prawdziwym kapitanem parowca. I gdy ze mną rozmawiasz, racz liczyć się ze słowami, spuść trochę z tonu, rozumiemy się?

W oczach Joshuy Yorka coś rozbłysło i zaczął podnosić się z łóżka, jednak w chwilę później zmiętył się i odwrócił do ściany.

– Abnerze – powiedział. Przerwał, zmarszczył brwi. – Przepraszam, nie chciałem potraktować cię obcesowo ani tym bardziej przestraszyć. Twoje zamiary były słuszne. – Marsh zdziwił się, widząc, że tamten gwałtownie zacisnął dłoń w pięść, jakby chciał opanować jej drżenie. Po chwili York trzema szybkimi krokami przeszedł na drugi koniec kajuty. Na biurku stała butelka jego osobistego trunku, do której otworzenia Marsh nakłonił go poprzedniej nocy. Napełnił swój kielich, odchylił głowę do tyłu i wypił duszkiem. – Ach – rzekł półgłosem. Znów odwrócił się do Marsha. – Abnerze – powiedział. – Dałem ci twój wymarzony statek, lecz nie był to podarunek. Ubiliśmy interes. Mamy układ. Twoim zadaniem jest wypełniać moje rozkazy, uszanować moje ekscentryczne zachowanie i nie zadawać żadnych pytań. Czy jesteś

w stanie dotrzymać swojej części umowy?

– Jestem człowiekiem honoru i zawsze dotrzymuję słowa! – wykrzyknął Marsh.

– To dobrze – odrzekł York. – A teraz posłuchaj. Chciałeś dobrze, ale nie powinieneś być mnie obudzić. Popełniłeś błąd. Nigdy więcej tego nie rób. Przenigdy. Niezależnie od przyczyny.

– A gdyby kocioł stanął w ogniu, mam pozwolić, abys spalił się na skwarce?

Oczy Yorka rozbłysły w słabym świetle.

– Nie – przyznał. – Choć zapewne byłoby dla ciebie bezpieczniej, gdybyś do tego dopuścił. Gwałtownie przebudzony bywam porywczy i popędliwy. Nie jestem sobą. Bywało, że w takich sytuacjach robiłem rzeczy, których potem żałowałem. Dlatego potraktowałem cię tak oschle. Przepraszam za moje zachowanie, ale to bez wątpienia by się powtórzyło. Kto wie, może nawet stałoby się coś gorszego. Rozumiesz, o co mi chodzi, Abnerze? Nigdy tu nie wchodzi, gdy drzwi mojej kajuty są zamknięte na klucz.

Marsh sposepniał, ale nie wiedział, co ma w tej sytuacji powiedzieć. Bądź co bądź zawarł z Yorkiem układ; skoro Joshua chciał kruszyć kopie o odrobinę snu, to jego sprawa.

– Rozumiem – powiedział. – Przyjmuję przeprosiny, mam nadzieję, że z wzajemnością. A teraz czy zechcesz wejść na górę i być świadkiem, jak doganiamy „Southernera”? Zwłaszcza że i tak już wstałeś...

– Nie – odparł z marsową miną York. – Choć przyznaję, Abnerze, że bardzo mnie to interesuje. Musisz jednak zrozumieć, że potrzebuję odpoczynku, jest on mi naprawdę niezbędny. Widzisz, ja nie lubię światła słonecznego. Promienie słońca są takie mocne i palące. Doznałeś kiedykolwiek oparzenia słonecznego? Jeżeli tak, powinieneś mnie zrozumieć. Widzisz, jaką mam bladą cerę. Słońce i ja nie pasujemy do siebie. To swego rodzaju choroba, Abnerze. Nie chcę dłużej o tym rozmawiać.

– W porządku – rzekł Marsh. Pokład pod jego stopami zaczął lekko wibrować. Znów rozległo się przeciągłe zawrodo syreny parowej. – Wyprzedzamy – wyjaśnił Marsh. – Muszę już iść. Przepraszam, że zakłóciłem twój spokój, Joshua. Naprawdę bardzo

mi przykro.

York pokiwał głową, odwrócił się i zaczął nalewać sobie kolejnego cuchnącego drinka.

– Wiem. – Tym razem sączył trunek powoli. – Idź – powiedział. – Zobaczmy się wieczorem, przy kolacji. – Marsh skierował się ku drzwiom, ale zanim je otworzył, przystanął, ponownie usłyszawszy głos Yorka. – Abnerze.

– Tak? – rzucił Marsh.

Joshua York posłał mu słaby, wymuszony uśmiech.

– Dogoń go, Abnerze. Pokonaj go. Wygraj.

Marsh uśmiechnął się i wyszedł z kajuty.

Zanim dotarł do pilotówki, „Fevre Dream” odbił od nabrzeża i koła łopatkowe zmieniły kierunek obrotów. „Southerner” przepłynął już całkiem spory dystans. W pilotówce zrobiło się tłoczno, przebywało w niej pół tuzina nie mających akurat wachty pilotów, rozmawiających, żujących tytoń i obstawiających zakłady, czy „Fevre Dream” zdoła doścignąć „Southernera”, czy też raczej to mu się nie uda. Nawet pan Daly przerwał beztroski odpoczynek, aby zjawić się w pilotówce i wraz z innymi obserwować wyścig.

Pasażerowie wiedzieli, że coś się kroi; na dolnych pokładach zaroilo się od ludzi, stali ściśnięci jak sardynki przy relingach i aby mieć lepszy widok, obsadzili także forkasztel.

Kitch zakręcił wielkim czarno-srebrnym kołem, a „Fevre Dream” skierował się ku głównemu kanałowi, wpływając w rwący nurt za swoim rywalem. Pilot skontaktował się z maszynownią i zażądał więcej pary. Whitey dorzucił do pieców trochę smoły, dzięki czemu ludzie na brzegu mieli przez chwilę niezłe widowisko, z kominów „Fevre Dream” buchnęły bowiem pod niebo gęste kłęby czarnego dymu. Abner Marsh stanął za pilotem, opierając się na laseczce i lekko mrużąc oczy. Popołudniowe słońce rozświetlało nurt błękitnej, czystej rzeki przed nimi, rzucając oślepiające refleksy, które tańczyły, migotały i raziły oczy; z wyjątkiem kilwatera za „Southernerem”, gdzie koła łopatkowe wielkiego statku, burząc wodę, rozszczerpały je na tysiące roziskrzonych odłamków.

Przez kilka chwil wydawało się to względnie łatwe. „Fevre Dream” sunął naprzód pełna parą, z kominów buchał dym,

amerykańskie bandery na dziobie i rufie trzepotały jak szalone, koła młóciły wodę w coraz szybszym tempie, silniki pracowały miarowo. Dystans pomiędzy dwoma statkami stopniowo zaczął się zmniejszać.

Jednak „Southerner” to nie „Mary Kaye”, marny tylnokołowiec, który można prześcignąć bez najmniejszego trudu.

Niebawem kapitan lub może pilot „Southernera” zorientowali się, co się dzieje, i w rezultacie ich jednostka zaczęła przyspieszać. Kłęby dymu bijące z kominów w stronę „Fevre Dream” zgęstniały, kilwater spienił się jeszcze bardziej, woda wzburzyła się; Kitch zmuszony był wykonać szeroki zwrot, aby uniknąć dymu i rozszalanej kipieli, wskutek czego wypadli z głównego nurtu.

Dystans pomiędzy nimi znów się powiększył, po czym nieco się ustabilizował.

– Proszę utrzymać kurs – rzucił Marsh do pilota, kiedy było już pewne, że dwa parowce utrzymają swoje pozycje. Wyszedł z pilotówki i udał się na poszukiwanie Kudłatego Mike’a Dunne’a. Odnalazł go ostatecznie na forkaasztelu na głównym pokładzie, gdzie siedział z nogami opartymi o jedną ze skrzyń, paląc wielkie, czarne cygaro. – Zbierz robotników i tragarzy, chcę, aby wytrzymowali statek. – Kudłaty Mike pokiwał głową, wstał, wypuścił ustami kłąb dymu i zaczął nawoływać swoich ludzi.

W kilka chwil większość załogi została rozstawiona na rufie i bakburcie, aby częściowo zrównoważyć ciężar pasażerów, którzy zgromadzili się głównie na dziobie i sterburcie, skąd mogli obserwować wyścig.

– Cholerni pasażerowie – mruknął Marsh.

„Fevre Dream”, obecnie trochę lepiej zrównoważony, znów zaczął przybliżać się do „Southernera”. Marsh wrócił do pilotówki. Oba statki sunęły pełną parą i wydawało się, że dysponują zbliżoną mocą. Abner Marsh sądził, że „Fevre Dream” jest potężniejszy, ale najwyraźniej się przeliczył. Statek był mocno przeciążony, miał na pokładzie pasażerów i całą masę towarów, trzymał się nisko na wodzie, a w dodatku musiał płynąć w kilwaterze „Southernera”, wzburzone fale kołysały nim i mocno go spowalniały, podczas gdy „Southerner” przewoził jedynie pasażerów, a przed sobą miał tylko gładkie jak stół rozlewisko rzeki. Teraz, jeśli nie liczyć

potencjalnych awarii czy wypadków, wszystko zależało od pilotów. Kitch stał za sterem skupiony i kierował statkiem swobodnie, starając się przy każdej nadarzającej się okazji uszczknąć umykającej jednostce choć kilka minut przewagi.

Z tyłu, za nim, Daly i pozostali piloci dyskutowali z ożywieniem, rzucając dobre rady dotyczące rzeki, jej stanu oraz najlepszych sposobów na pokonywanie kolejnych jej odcinków.

Przez ponad godzinę „Fevre Dream” ścigał „Southernera”, tracąc go z pola widzenia raz i drugi, gdy statek zniknął za zakrętem rzeki, ale Kitch systematycznie zmniejszał dzielący ich dystans. Raz zbliżyli się na tyle, że Marsh był w stanie dostrzec twarze pasażerów stojących przy relingu rufowym prowadzącego parowca, nagle jednak „Southerner” znowu przyspieszył, powiększając dystans pomiędzy nimi.

– Założę się, że właśnie wymienili pilotów – rzucił Kitch, strzykając sokiem tytoniowym do najbliższej spluwaczki. – Widzicie, jakiego nabrał animuszu?

– Widzę – warknął Marsh. – I chciałbym teraz zobaczyć, jak „Fevre Dream” nabiera animuszu.

Szansa nadarzyła się już niebawem. W pewnej chwili „Southerner” znajdował się daleko w przodzie, przed nimi, pokonując wąskim łukiem gęsto zalesiony załom rzeki. Wtem dał się słyszeć dźwięk syreny parowej i „Southerner” zwolnił, zadygotał, a koła łopatkowe zaczęły obracać się wstecz.

– Ostrożnie – rzekł Daly do Kitcha.

Kitch znów strzyknął sokiem tytoniowym i delikatnie zakręcił kołem, a „Fevre Dream” przeszedł gładko przez spieniony kilwater „Southernera”, obchodząc go szerokim łukiem od sterburty. Gdy znaleźli się w połowie załomu rzeki, spostrzegli, co było przyczyną kłopotów „Southernera” – inny wielki parowiec, którego główny pokład zawalony był belami tytoniu, osiadł na mieliźnie. Oficer i załoga zeszli z pokładu z drzewcami i wyciągami, usiłując zepchnąć statek na głębszą wodę. „Southerner” omal się z nim nie zderzył. Przez kilka długich minut na rzece panował chaos. Ludzie na mieliźnie krzyczeli i machali rękami, „Southerner” dał całą wstecz, a „Fevre Dream” pełną parą pomknął ku przesmykowi

między brzegiem a mielizną. W końcu „Southerner” ponownie zmienił kierunek obrotu kół i popłynął naprzód, jakby chciał przeciąć tor „Fevre Dream”.

– Cholerny tępogłowy kretyń – mruknął Kitch i lekko zakręcił kołem, nakazując Whiteyowi, aby nieco zluźował bakburtę. Nie spróbował jednak zawrócić ani zatrzymać statku.

Dwa wielkie parowce szły zbieżnym kursem, odległość między nimi zmniejszała się nieubłaganie. Marsh słyszał dochodzące z dołu okrzyki zaniepokojonych pasażerów i przez sekundę lub dwie nawet on sam był przekonany, że dojdzie do zderzenia. Wtedy „Southerner” zwolnił, a jego pilot znów skierował dziób statku z prądem rzeki i „Fevre Dream” wyminął go zaledwie o stopę.

Z dołu dobiegł głośny śmiech oraz brawa.

– Proszę utrzymywać tę prędkość, panie Kitch – wymamrotał Marsh tak cicho, że nikt go nie usłyszał.

„Southerner” burzył wodę wielkimi łopatkowymi kołami, pozostał w tyle, ale jeszcze nie dość daleko, od rufy „Fevre Dream” dzieliła go niespełna jedna długość parowca. Rzecz jasna, wszyscy pasażerowie, ta przeklęta hołota, natychmiast pospieszyli na rufę, a cała załoga musiała przenieść się na dziób i przez dłuższą chwilę pokład rozbrzmiewał tupotem stóp.

„Southerner” znowu się do nich przybliżał. Podchodził od bakburty równolegle i nieco z tyłu. Dziób parowca zrównał się z rufą „Fevre Dream” i cał po calu zmniejszał dzielący ich dystans. Burty obu parostatków znajdowały się tak blisko siebie, że pasażerowie mogliby przeskoczyć z jednej jednostki na drugą, gdyby tylko zechcieli, pomimo że „Fevre Dream” był wyższy od swego rywala.

– Cholera – mruknął Marsh, kiedy drugi statek niemal się z nimi zrównał. – Wystarczy. Kitch, niech pan połączy się z dołem i każe Whiteyowi użyć mego łoju.

Pilot spojrział na niego, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Łoju, kapitanie? Wiedziałem, że z pana niezły spryciarz!

Rzucił przez tubę łączącą go z maszynownią kilka krótkich rozkazów.

Dwa parowce szły łeb w łeb. Dłoń Marsha zaciśnięta na gałce laski była wilgotna od potu. Zapewne pod pokładem robotnicy

kłócili się teraz z garstką cudzoziemców, którzy rozłożyli się w najlepsze na wspomnianych beczkach i trzeba ich było usunąć, zanim łój dotrze do palaczy. Marsh pałał ze zniecierpliwienia, całe jego wnętrze płonęło żywym ogniem. Dobry łój był drogi, ale na parowcu bywał wielce przydatny. Zwłaszcza dla kucharza, aczkolwiek łój palił się wyjątkowo silnie i tego właśnie teraz potrzebowali, potężnej dawki żaru, buzujących płomieni, które zwiększą ciśnienie pary, czego nie mogło dokonać samo drewno.

W pilotówce nikt nie miał wątpliwości co do tego, kiedy do pieców dorzucono łoju. Długie słupy białej pary wypłynęły przez rury odprowadzające, a z wysokich kominów buchnął gęsty dym. „Fevre Dream” parsknął ogniem i lekko się zakolebał, a potem przyspieszył niczym spuszczonej ze smyczy ogar. Wyprysnął do przodu, wyprzedzając „Southernera” i ustawiając się rufą do jego dziobu, tak że drugi parowiec zmuszony był walczyć ze wzburzonymi falami kilwateru. Obecni w pomieszczeniu, nie pełniący obecnie wachty piloci, śmiali się w głos i wychwalali zalety „Fevre Dream”, podczas gdy „Southerner” zostawał coraz bardziej w tyle, Abner Marsh zaś uśmiechał się jak głupi do sera.

Do Cairo, w miejscu, gdzie rozległe, czyste wody Ohio łączą się z mulistą Missisipi, zawinęli całe dziesięć minut przed „Southernerem”. Do tego czasu Abner Marsh niemal całkiem zapomniał już o drobnym incydencie z Joshua Yorkiem.

ROZDZIAŁ 6

Plantacja Juliana, Luizjana, lipiec 1857

Zgorzkniały Billy Tipton stał przed posesją, rzucając nożem w wielkie uschłe drzewo rosnące przy zwirowanej ścieżce, gdy pojawili się jeźdźcy. Był ranek, ale upalny jak w piekle i Zgorzkniały Billy nieźle się napocił; postanowił, że gdy skończy rzucać nożem, trochę sobie popływa.

W tej samej chwili spostrzegł jeźdźców wyłaniających się z lasu przy zakręcie drogi. Podszedł do uschniętego drzewa, wyciągnął nóż i wsunął na powrót do pochewki na plecach. Zapomniał już o pływaniu.

Jeźdźcy zbliżali się wolno, ale dumnie, sunąc w prażącym słońcu, jakby cały świat należał wyłącznie do nich. Nie mogą pochodzić z tych stron, skostatował Billy, wszyscy ich sąsiedzi wiedzieli, że nieroztropnie jest zapuszczać się na teren posiadłości Damona Juliana pod jego nieobecność. Byli jeszcze zbyt daleko, aby mógł ich rozpoznać, ale podejrzewał, że są to przyjaciele Kreola, Montreuila, którzy przybywają tu, szukając guza. Jeśli tak, to trafili pod właściwy adres. I srodze tego pożałują.

Wtedy Zgorzkniały Billy spostrzegł, dlaczego jechali tak wolno,

i rozluźnił się. Za dwoma jeźdźcami truchtała dwójka zakutych w kajdany czarnych. Billy skrzyżował ramiona na piersiach i oparł się plecami o drzewo, czekając, aż jeźdźcy podjadą bliżej.

Tak też się stało. Jeden z jeźdźców spojrział na budynek z płatami łuszczącej się farby i na wół przegniłymi frontowymi schodami, strzyknął sokiem tytoniowym i zwrócił się do Billy'ego: – Czy to plantacja Juliana? – zapytał.

Był mężczyzną o rumianej twarzy, z wielką brodawką na nosie, ubranym w cuchnące skóry i w kapeluszu o obwisłym rondzie na głowie.

– A jakże – odparł Billy. Podążył wzrokiem poza czerwonoliciego i jego kompana, szczupłego, pokraśniałego na policzkach młodzieńca, który był zapewne jego synem. Podeszedł do dwojga wycieńczonych Murzynów, tak żałosnych i smutnych w kajdanach, i uśmiechnął się. – A niech mnie – mruknął – jeśli to nie Lily i Sam. Nie sądziłem, że jeszcze tu wpadniecie. Uciekliście stąd dobre dwa lata temu. Panicz Julian będzie naprawdę zadowolony z waszego powrotu.

Sam, muskularny, potężnie zbudowany czarny uniósł głowę i popatrzył na Billy'ego, ale w jego oczach nie było nawet cienia zuchwałości. Jedynie strach.

– Dopadliśmy ich aż w Arkansas, mój chłopak i ja – rzekł rumianolicy mężczyzna. – Twierdzili, że są wyzwoleńcami, ale nie zdołali mnie oszukać, o nie, bynajmniej.

Zgorzkniały Billy spojrział na łowców niewolników i pokiwał głową.

– Mów pan dalej.

– Tych dwoje to prawdziwe uparciuchy. Bardzo długo nie chcieli nam wyznać, skąd są. Ale wychłostałem ich, jak trza, i użyłem kilku sobie tylko znanych sztuczek. Z czarnuchami jest zwykle tak, że wystarczy ich postraszyć i zaraz się łamią. Z tymi było inaczej. – Splunął. – W końcu jednak zaczęli śpiewać. Pokaż mu, Jim.

Chłopak zsiadł z konia, podeszedł do kobiety i uniósł jej prawą rękę. U dłoni brakowało trzech palców. Na jednym z kikutów pozostał jeszcze czarny strup.

– Zaczęliśmy od prawej, bo zauważyliśmy, że jest leworęczna –

rzekł mężczyzna. – Nie chcieliśmy jej zanadto okaleczyć, ma się rozumieć, ale nie znaleźliśmy niczego w gazetach, żadnych listów gończych, plakatów i w ogóle... – Wzruszył wymownie ramionami. – Jak widać, musieliśmy obciąć aż trzy palce, zanim mężczyzna wreszcie zaczął mówić. Kobieta zresztą ostro go za to zrugowała. – Wybuchnął rubasznym śmiechem. – No i tym sposobem są teraz tutaj. Dwójka takich niewolników powinna być dość cenna. Mam nadzieję, że opłaci się nam ta podróż. Czy panicz Julian jest w domu?

– Nie – odparł Zgorzkniały Billy, spoglądając w słońce. Do południa zostało jeszcze parę godzin.

– Pan jest tu nadzorcą, zgadza się? – rzekł rumianolicy. – Nazywają pana Zgorzkniały Billy, prawda?

– Zgadza się – odparł Billy. – Sam i Lily wspominali o mnie?

Łowca niewolników znów się roześmiał.

– O tak, gdy tylko dowiedzieliśmy się, skąd są, mówili niemal bez przerwy. Przez całą drogę trajkotali jak najęci. Raz czy dwa musieliśmy ich z moim chłopakiem uciszać, ale oni zaraz znów zaczynali swoje. Muszę przyznać, że ich opowieści brzmiały nader interesująco.

Zgorzkniały Billy posłał dwójce uciekinierów chłodne, złowrogie spojrzenie, Murzyni jednak starali się unikać jego wzroku.

– Może przejmie pan od nas tę dwójkę i wypłaci nam nagrodę, abyśmy mogli ruszyć w dalszą drogę – zaproponował mężczyzna.

– Nie – odparł Zgorzkniały Billy. – Musicie poczekać. Panicz Julian zechce osobiście wam podziękować. To nie potrwa długo. Powinien wrócić o zmierzchu.

– O zmierzchu, he? – mruknął mężczyzna. Wymienili z synem spojrzenia. – Zabawne, panie Zgorzkniały Billy, ale te tu czarnuchy powiedziały, że to właśnie od pana usłyszymy. Opowiadają dziwne i niezwykle historie o tym, co się tu wyprawia po zmierzchu. Tak więc, jeśli łaska, wolelibyśmy razem z synem odebrać nasze pieniądze już teraz i niezwłocznie ruszyć w swoją stronę.

– Panu Julianowi to się nie spodoba – odparł Zgorzkniały Billy. – A ja, niestety, nie mogę wam wypłacić ani grosza. Jesteście skłonni uwierzyć w bajdy opowiadane przez parę czarnuchów?

Mężczyzna zmarszczył brwi, przez cały czas żując tytoń.

– Bajdy czarnuchów to jedno – odezwał się w końcu – ale zdarzyło mi się spotkać czarnuchów, którzy mówili prawdę. Dobrze więc, powiem panu, co teraz zrobimy. Zaczekamy na powrót panicza Juliana. Jednakże niech pan sobie nie myśli, że damy się oszukać.

U boku nosił pistolet. Poklepał go jedną ręką.

– Zaczekam tu, z moim nieodłącznym towarzyszem. Mój chłopak też ma taką pukawkę, a poza tym obaj z młodym nieźle umiemy posługiwać się nożami. Czy to jest jasne? Czarnuchy mówiły nam o tym małym koziku, który trzyma pan za plecami, więc lepiej nie sięgaj pan po niego, żeby się podrapać ani nic, bo nas też mogą zaświerzbiec palce. Po prostu spokojnie tu zaczekamy w miłej, przyjacielskiej atmosferze.

Zgorzkniały Billy posłał łowcy niewolników lodowate spojrzenie, ale postawny mężczyzna był zbyt głupi, aby je zauważyć.

– Zaczekamy w środku – rzekł Billy, starając się nie sięgać rękoma za siebie.

– Może być – mruknął łowca niewolników. Zsiadł z konia. – Nawiasem mówiąc, nazywam się Tom Johnston, a to mój syn, Jim.

– Panicz Julian ucieszy się, mogąc panów poznać – rzekł Zgorzkniały Billy. – Uwiążcie konie i wprowadźcie czarnuchów do środka. Tylko uważajcie na schodach. Są miejscami zbutwiałe.

Kobieta zachlipała, gdy prowadzono ją w stronę domu, ale Jim Johnston wymierzył jej siarczasty policzek i ponownie zamilkła.

Zgorzkniały Billy zaprowadził ich do biblioteki i odsunął zasłony, aby wpuścić do ciemnego, zakurzonego pokoju nieco światła. Niewolnicy usiedli na podłodze, podczas gdy dwaj łapacze rozsiedli się w miękkich, skórzanych fotelach.

– Taa – mruknął Tom Johnston – tu jest naprawdę miło.

– Tato, przecież wszystko jest tu zakurzone i zbutwiałe – zauważył młodzieniec. – Dokładnie tak jak mówiły te czarnuchy.

– No, no, no – rzucił Zgorzkniały Billy, spoglądając na dwójkę czarnych. – Proszę, proszę. Panicz Julian nie będzie zadowolony, że rozpowszechniacie plotki dotyczące tego domu. Zasłużyliście sobie na solidną chłostę.

Potężny czarny Sam, odnalazłszy w sobie odwagę, uniósł głowę

i łypnął spode łba.

– Chłosta mi nie straszna.

Zgorzkniały Billy lekko się uśmiechnął.

– To fakt, są gorsze rzeczy niż chłosta, Sam.

Tego było już za wiele dla Lily. Spojrzała na młodzieńca.

– On mówi prawdę, paniczu Jim, w rzeczy samej. Słuchajcie go uważnie. Musicie zabrać nas stąd przed zmierzchem. Wy i wasz ojciec możecie zostać naszymi nowymi panami. Będziemy dla was pracować. Nie będziemy szczeni sił. Ciężka praca nam nie straszna. I nie będziemy już uciekać. Jesteśmy dobre czarnuchy. Stąd też byśmy nie uciekli, gdyby nie... gdyby nie... nie czekajcie do zmierzchu, paniczu. Wtedy już będzie za późno.

Chłopak uderzył Murzynkę mocno kolbą swego pistoletu, pozostawiając spory czerwony ślad na jej policzku i przewracając ją na podłogę, gdzie zległa, dygocząc i szlochając.

– Stul te parszywą czarną mordę – warknął.

– Napijesz się? – spytał go Zgorzkniały Billy.

Minęło kilka godzin. Opróżnili prawie dwie butelki najlepszej brandy Juliana, pijąc ją jak tanią whisky. Zjedli posiłek. Rozmawiali. Zgorzkniały Billy odzywał się raczej mało, zadawał tylko pytania, by pociągnąć za język Toma Johnstona, który miał mocno w czubie, był próżny i uwielbiał słuchać własnego głosu. Dwaj łowcy niewolników działali ostatnio w Napoleon, w Arkansas, lecz nie zabawili tam długo, sporo podróżowali. Pani Johnston pozostała z córeczką w domu. Nie opowiadali jej wiele o swojej profesji.

– Kobieta nie musi wiedzieć, dokąd chodzi i czym się zajmuje jej mężczyzna. Mówi się jej to czy tamto, na odczepnego, i żeby nie zawracała człowiekowi głowy, jeśli wróci do domu późno. Bo potem trzeba takiej wygarbować skórę. – Splunął. – Lepiej, jak kobieta się zastanawia, bo jak człowiek wraca do domu, to jest mu za to wdzięczna. – Johnston, zdaniem Zgorzkniałego Billy’ego, wolał chwycić czarnoskórą kobietę, a żona znała dłań tyle co nic.

Na zewnątrz słońce wolno chyliło się ku zachodowi.

Kiedy w pokoju zaległy gęste cienie, Zgorzkniały Billy wstał, zaciągnął zasłony i zapalił kilka świec. – Pójdę po panicza Juliana – oznajmił.

Młodszy Johnston, odwracając się do ojca, wyglądał przeraźliwie blado, jak uznał Billy.

– Tato, nie słyszałem, aby ktokolwiek tu zajeżdżał – rzekł półgłosem.

– Zaczekajcie – rzucił Zgorzkniały Billy.

Zostawił ich, przeszedł przez mroczną, opustoszałą salę balową i wszedł po olbrzymich schodach. Na piętrze wszedł do ogromnej sypialni z szerokimi francuskimi oknami, zabitymi deskami, i ozdobnym łóżkiem przesłoniętym czarnym aksamitnym baldachimem.

– Paniczu Julianie! – zawołał niezbyt głośno od drzwi. W pokoju było ciemno i duszno.

Pod baldachimem coś się poruszyło. Aksamitne zasłony zostały rozsunięte. Po chwili pojawił się Damon Julian, blady, cichy, zimny. Jego czarne oczy zdawały się sięgać poprzez mrok i w końcu odnalazły Billy’ego.

– Tak, Billy? – rozległ się łagodny głos.

Zgorzkniały Billy wszystko mu opowiedział.

Damon Julian uśmiechnął się.

– Sprowadź ich do jadalni. Dołączę do was za kilka chwil.

W jadalni wisiał wielki stary kandelabr, ale odkąd Billy sięgał pamięcią, nigdy go nie zapalano. Przyproceedziwszy do pomieszczenia łapaczy niewolników, znalazł gdzieś zapalki i zapalił niedużą lampę naftową, którą postawił pośrodku długiego stołu. Na białym lnianym obrusie pojawił się niewielki krąg światła, jednakże resztę wąskiego pokoju o wysokim sklepieniu spowijały głębokie cienie. Johnstonowie zajęli miejsca, młodszy niespokojnie rozglądał się wokół, ani na chwilę nie odrywając dłoni od kolby pistoletu. Czarnuchy, obejmując się wzajemnie ramionami, przysiadły przy końcu stołu.

– No i gdzie ten Julian? – warknął Tom Johnston.

– Już niedługo – odparł Zgorzkniały Billy. – Cierpliwości.

Przez prawie dziesięć minut żadne z nich się nie odezwało. Wreszcie Jim Johnston wziął głęboki oddech.

– Tato! – powiedział. – Spójrz. Ktoś stoi w tamtych drzwiach!

Drzwi prowadziły do kuchni. Panowały w niej egipskie

ciemności.

Zapała noc i jedyne oświetlenie w całym domu płynęło z lampki naftowej. Za kuchennymi drzwiami nie było widać nic prócz rozmytych, groźnych cieni i czegoś, co wyglądało jak stojąca w bezruchu ludzka postać.

Lily zakwiliła, a Sam przytulił ją mocniej do siebie. Tom Johnston poderwał się na równe nogi, jego krzesło zaszorowało na drewnianej podłodze; twarz przybrała wyraz zaniepokojenia. Wydobylł pistolet i odciągnął kurek.

– Kto tam jest? – zawołał. – Wyłaż natychmiast!

– Proszę się nie niepokoić – odezwał się Damon Julian. Wszyscy się odwrócili, Johnston drgnął, jakby coś go przstraszyło.

Julian stał pod łukowatym wejściem do foyer, odcinając się na tle aksamitnej czerni; uśmiechał się promiennie, ubrany w czarny garnitur z lśniącem, czerwonym, jedwabnym krawatem na szyi. Oczy miał ciemne i rozbawione, odbijało się w nich światło lampy.

– To tylko Valerie – wyjaśnił Julian.

Wyszła z cienia, szeleszcząc spódnicą, i stanęła w drzwiach kuchni, blada i cicha, a przecież zdumiewająco piękna. Johnston spojrział na nią i wybuchnął śmiechem.

– Ach – mruknął – to tylko kobieta. Proszę wybaczyć, paniczu Julianie. Te bajdy czarnuchów wytrąciły mnie z równowagi.

– W pełni to rozumiem – przyznał Damon Julian.

– Są za nim inni – wyszeptał Jim Johnston.

Teraz ujrzeli ich wszyscy; mgliste postacie niknące w mroku za plecami Juliana.

– To tylko moi przyjaciele – wtrącił Damon Julian, uśmiechając się. Po jego prawej stronie pojawiła się kobieta w jasnoniebieskiej sukni. – Cynthia – powiedział. – Po jego lewej stanęła kobieta ubrana na zielono. – Adrienne – dodał Julian. Uniósł rękę powolnym, płynnym gestem. – A to Raymond, Jean i Kurt. – Pojawili się równocześnie, poruszając się bezszelestnie niczym koty, wychodząc z mroku jeszcze jednych drzwi znajdujących się w długiej sali. – Za wami zaś są Alain, Jorge i Vincent.

Johnston odwrócił się i zobaczył ich, wyłaniających się spośród cieni. Za Julianem ukazali się następni. Jeżeli nie liczyć szelestu

materiału towarzyszącego ich ruchom, żaden z nich nie wydał najmniejszego nawet dźwięku. Wszyscy oni tylko patrzyli i uśmiechali się zapraszająco.

Zgorzkniały Billy nie uśmiechał się, choć rozbawiło go, gdy zobaczył, jak Tom Johnston ściska w dłoni pistolet, a jego oczy wyglądają jak ślepie przerażonego zwierzęcia.

– Paniczu Julianie – powiedział – pragnę zaznaczyć, że tu obecny pan Johnston nie zamierza dać się oszukać. Ma broń, paniczu Julianie, podobnie jak jego syn, a w dodatku obaj wprawnie posługują się nożami.

– Ach – mruknął Damon Julian.

Czarni zaczęli się modlić. Młody Jim Johnston spojrzął na Damona Juliana i także wyciągnął broń.

– Przyprawiliśmy ci twoich czarnuchów – odezwał się. – Ale nie chcemy za to ani grosza. Nie zależy nam na zapłacie. Wobec tego już sobie pójdziemy.

– Pójdziecie sobie? – rzekł Julian. – Czyż mógłbym wypuścić was bez należnej zapłaty? Bądź co bądź przybyliście tu aż z Arkansas, aby oddać mi parę czarnuchów. To niebywałe.

Przeszedł przez pokój. Jim Johnston dostrzegł jego ciemne oczy i pochwycawszy jego spojrzenie, uniósł pistolet, a potem nagle zastygł w kompletnym bezruchu. Julian wyjął mu broń z ręki i odłożył na stół. Dotknął policzka młodzieńca.

– Pod tą warstwą brudu wydajesz się całkiem przystojny, chłopcze – stwierdził.

– Co robisz z moim synem? – ryknął Tom Johnston. – Odejdź od niego! – Wykonał groźny gest pistoletem.

Damon Julian rozejrzał się.

– Twój chłopak ma w sobie odrobinę piękna – powiedział. – Ty natomiast masz na nosie pryszcz.

– On jest pryszczem – wtrącił Zgorzkniały Billy.

Tom Johnston łypnął gniewnie, a Damon Julian uśmiechnął się.

– W rzeczy samej – rzekł. – To zabawne, Billy. – Julian skinął na Valerie i Adrienne. Podpłynęły ku niemu i ujęły młodego Jima Johnstona za ręce.

– Pomóc panu? – zaproponował Zgorzkniały Billy.

– Nie, dziękuję – odparł Julian.

Płynnym, niemal nonszalanckim ruchem uniósł rękę i leciutko musnął nią długą szyję chłopaka. Jim Johnston wydał bulgoczący, wilgotny charkot. Na jego szyi pojawiła się nagle cienka czerwona linia niczym szkarłatny naszyjnik, którego perełki z każdą chwilą nabrzmiewały coraz bardziej, aż w końcu jedna po drugiej pękły i spłynęły wąskimi strużkami w dół. Jim Johnston zaczął się szamotać, ale żelazny uścisk dwóch bladych kobiet unieruchomił go na dobre. Damon Julian wychylił się do przodu i przywarł ustami do otwartej rany, aby pić gorącą, świeżą krew.

Z piersi Toma Johnstona dobył się nieartykułowany zwierzęcy odgłos, a jego czas reakcji niemiłosiernie się wydłużył. Wreszcie znów odciągnął kurek pistoletu i wymierzył.

Na jego drodze stanął Alain, a niespodziewanie tuż przy nim pojawili się Vincent i Jean. Raymond i Cynthia dotknęli go z tyłu lodowatymi białymi dłońmi. Johnston zaklął szpetnie i wypalił. Błysnęło, powietrze wypełniła chmura kwaśnego dymu, a chudy jak szczapa Alain zachwiał się do tyłu i padł, powalony impetem kuli. Na białej koszuli z koronkowym kołnierzem, którą nosił, pojawiła się rozszerzająca się plama ciemnej krwi. Na wpół leżąc, na wpół siedząc, Alain dotknął swojej piersi i na jego dłoni pozostały ślady krwi.

Tymczasem Raymond i Cynthia pochwycili Johnstona za ręce, a Jean płynnym, swobodnym ruchem wyjął z jego dłoni pistolet. Postawny, czerwonołocy mężczyzna nie stawiał oporu. Patrzył na Alaina. Krwotok ustał, Alain uśmiechnął się, ukazując długie, białe zęby, ostre i przerażające. Wstał i ruszył w jego stronę.

– Nie! – wrzasnął Johnston – nie, przecież cię zastrzeliłem, powinieneś nie żyć, wpakowałem ci kulę w pierś!

– Czasami czarnuchy mówią prawdę, panie Johnston – wtrącił Zgorzkniały Billy Tipton. – Całą prawdę i tylko prawdę. Trzeba było słuchać.

Raymond sięgnął pod obwisłe rondo kapelusza i schwyciwszy mężczyznę za włosy, odchylił jego głowę do tyłu, odsłaniając grubą, poczerwieniałą szyję.

Alain roześmiał się i zębami rozdarł gardło Johnstona. Wówczas

podeszli do nich inni.

Zgorzkniały Billy Tipton sięgnął za siebie, wyciągnął nóż i kołyszącym krokiem zbliżył się do pary czarnuchów.

– Chodźcie – powiedział. – Dzisiejszej nocy panicz Julian nie będzie was potrzebował, ale już nigdy stąd nie uciekniecie. Zejdźcie do piwniczki. No dalej, pospieszcie się albo zostawię was tu z nimi. – To ich przekonało. Zgorzkniały Billy wiedział, że tak będzie. Nie spodziewał się innej reakcji.

Piwniczka była nieduża i zawilgocona. Aby się do niej dostać, trzeba było zejść po schodkach przez uchylną klapę ukrytą pod dywanem. Ziemia była tu zbyt wilgotna, aby można było coś w niej przechowywać, ale też towary, które do niej trafiały, nie należały do zwyczajnych.

Poziom wody na dnie piwniczki sięgał dwóch cali, sklepienie było tak niskie, że rośli mężczyzna nie mógłby się w niej wyprostować, a ściany zieleniły się od mchu. Zgorzkniały Billy zakuł czarnuchów w kajdany, blisko siebie, aby mogli dotknąć się nawzajem. Uznał to za miły gest ze swej strony.

Przyniósł im także ciepłą kolację.

Później przyrządził kolację dla siebie, popijając ją tym, co pozostało z drugiej butelki brandy otwartej przez Johnstonów. Właśnie kończył, kiedy do kuchni wszedł Alain. Krew na jego koszuli zaschła, a w miejscu, gdzie otrzymał postrzał, ziała wypalona czarna dziura, ale poza tym wyglądał niezgorzej.

– Już po wszystkim – powiadomił go Alain. – Julian czeka na ciebie w bibliotece.

Zgorzkniały Billy odstawił talerz i udał się na spotkanie.

Jadalnia wymagała gruntownego wysprzątania, stwierdził, gdy przez nią przechodził. Adrienne, Kurt i Armand raczyli się tam w milczeniu jakimś winem, ciała zaś lub raczej to, co z nich zostało, spoczywały tuż obok nich. Kilkoro pozostałych spędzało czas w salonie, rozmawiając.

W bibliotece było ciemno, choć oko wykol. Zgorzkniały Billy spodziewał się zastać Damona Juliana samego, ale gdy wszedł, spostrzegł wśród cieni trzy rozmyte postacie, dwie siedzące i jedną stojącą.

Nie rozpoznał żadnej z nich. Zaczekał w drzwiach, aż Julian wreszcie się odezwał.

– W przyszłości nie wprowadzaj ludzi takiego pokroju do mojej biblioteki – oznajmił. – Byli brudni. Pozostawili po sobie smród.

Zgorzkniały Billy poczuł narastający niepokój.

– Tak, panie – rzekł, zwracając się w stronę fotela, gdzie siedział przemawiający do niego Julian. – Racz wybaczyć, paniczu Julianie.

Po chwili milczenia Julian rzekł:

– Zamknij drzwi, Billy. Wejdz. Możesz zapalić lampę.

Lampa wykonana była z przezroczystego, zabarwionego na czerwono szkła; jej blask wypełnił zakurzony pokój szkarłatnobrazową poświatą, przywodzącą na myśl zakrzepłą krew. Damon Julian siedział na fotelu z wysokim oparciem, długie, białe palce złączył pod brodą, na jego wargach błąkał się lekki uśmieszek.

Po jego prawicy siedziała Valerie. Podczas szamotaniny został rozdarty rękaw jej sukni, ale ona nawet nie zwróciła na to uwagi. Zgorzkniały Billy uznał, że wyglądała bardziej blado niż zazwyczaj. O kilka stóp dalej, za następnym fotelem, stał Jean. Wydawał się niespokojny, czujny, jakby czymś podenerwowany, przekręcał na palcu wielki złoty pierścień.

– Czy on musi tu być? – Valerie zwróciła się do Juliana. Rzuciła Billy’emu krótkie, pogardliwe spojrzenie. Miała duże, fiołkowe oczy.

– Ależ, Valerie – odparł Julian. Sięgnął i ujął ją za rękę. Zadrzała i mocno zacisnęła wargi. – Sprowadziłem tu Billy’ego, abyś się uspokoiła – ciągnął Julian.

Jean zebrał się na odwagę i spojrzał na Billy’ego z marsową miną.

– Ten Johnston miał żonę.

A więc o to chodzi, pomyślał Zgorzkniały Billy.

– Boisz się? – zapytał drwiąco Jeana. Jean nie należał do faworytów Juliana, mógł zatem sobie na to pozwolić. – Miał żonę – odparł Billy – ale nie ma się czym przejmować. Prawie z nią nie rozmawiał, nie mówił, dokąd się wybiera ani kiedy wróci. Naprawdę nie musisz się martwić, że napyta ci biedy.

– Nie podoba mi się to, Damonie – burknął Jean.

– A co z niewolnikami? – dopytywała się Valerie. – Nie było ich dwa lata. Rozmawiali z Johnstonami, mówili im rozmaite rzeczy, niebezpieczne rzeczy. Zapewne rozmawiali też z innymi.

– Billy? – zapytał Julian.

Zgorzkniały Billy wzruszył ramionami.

– Podejrzewam, że opowiedzieli swoją historię każdemu cholernemu czarnuchowi stąd aż do Arkansas. Ale nie martwię się tym. To tylko bajdy czarnuchów, nikt nie zechce w nie uwierzyć.

– No, nie wiem – wtrąciła Valerie. Odwróciła się i popatrzyła błagalnie na Damona Juliana. – Proszę, Damonie. Jean ma rację. Zabawiliśmy tu zbyt długo. To niebezpieczne. Pamiętasz, co zrobili z tą Lalaurie w Nowym Orleanie, tą, która dla zabawy torturowała swych niewolników? Plotki przyniosły w końcu ponure żniwo. A przecież to, co robiła, było niczym, w porównaniu z... – Zawahała się, przełknęła ślinę i nieco ciszej dodała... – z tym, co my uczyniliśmy. Z tym, co musimy zrobić.

Odwróciła się od Juliana.

Damon powoli, delikatnie wyciągnął bladą dłoń, dotknął jej policzka i czule musnąwszy palcem bok jej twarzy, ujął ją pod brodę, odwracając na powrót ku sobie.

– Czyżbyś tak bardzo się bała, Valerie? Czemu właśnie teraz? Czy muszę przypomnieć ci, kim jestem? Czyżbyś znów nasłuchiwała się Jeana? Czy to on jest mistrzem? Czy to Jean jest mistrzem krwi?

– Nie – odparła; jej fiołkowe oczy wydawały się większe niż zwykle, a głos drżał z przerażenia. – Nie.

– Kto jest mistrzem krwi, moja droga Valerie? – zapytał Julian. Świdrował ją przenikliwym, niewzruszonym i nieco znużonym spojrzeniem.

– Ty nim jesteś, Damonie – wyszeptwała. – Ty.

– Spójrz na mnie, Valerie. Czy uważasz, że mógłbym lękać się bajd rozprowadzanych przez jakichś czarnuchów? Co mnie obchodzi, co mówią na mój temat?

Valerie otworzyła usta, ale nie powiedziała ani słowa.

Damon Julian zadowolony puścił ją. Na jej ciele, w miejscu gdzie zacisnął palce, widniały głębokie, czerwone ślady. Uśmiechnął się do Zgorzkniałego Billy'ego, gdy Valerie cofnęła się.

– I co o tym sądzisz, Billy?

Zgorzkniały Billy wlepił wzrok w swoje stopy i nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

Wiedział, co powinien powiedzieć; ostatnio trochę się nad tym zastanawiał i choć było parę rzeczy, o których należało powiadomić Juliana, Billy zdawał sobie sprawę, że Damon nie przyjmie tego ze spokojem. Odkładał tę chwilę, ale dłużej już nie potrafił.

– Nie wiem, paniczu Julianie – odparł półgłosem.

– Nie wiesz, Billy? A czego to niby nie wiesz? – Ton był chłodny i krył w sobie zawołowaną groźbę.

Zgorzkniały Billy wyłożył kawę na ławę.

– Nie wiem, jak długo możemy tak jeszcze ciągnąć, paniczu Julianie – rzucił zuchwale. – Trochę nad tym myślałem i są rzeczy, które mi się nie podobają. Ta plantacja przynosiła spore zyski, kiedy prowadził ją Garoux, ale teraz jest prawie bezwartościowa. Wie pan doskonale, że potrafię przymusić do pracy każdego niewolnika. Co jak co, ale to umiem najlepiej. Kto jednak matu pracować, skoro jedni niewolnicy nie żyją, a reszta uciekła? Nasze kłopoty zaczęły się, kiedy pan i pana przyjaciele zaczęliście porywać dzieci z dzielnic nędzy albo zwozić tu piękne dziewczęta, których nikt już nigdy potem nie widział. Nie ma pan niewolników od roku z okładem, są tu tylko te ślicznotki, a i one nigdy nie zabawiają długo. – Zaśmiał się nerwowo. – Pola leżą odłogiem. Sprzedał pan połowę majątku, najlepsze ziemie z całej swej posiadłości. A te śliczne dziewczęta, paniczu, są niestety bardzo drogie. Mamy poważne kłopoty finansowe.

Ale to nie wszystko. Odsączenie czarnuchów to jedno, a zaspokajanie pragnienia białymi może się okazać nader niebezpieczne. Może byłoby to mniej ryzykowne w Nowym Orleanie, ale obaj wiemy doskonale, że to Cara zabiła najmłodszego syna Henriego Cassanda. To nasz sąsiad, paniczu. Wszyscy i tak już wiedzą, że dzieje się tu coś dziwnego; jeśli zaczną umierać ich dzieci i niewolnicy, napytamy sobie biedy.

– Napytamy sobie biedy? – burknął Damon Julian. – Jest nas z tobą prawie dwudziestka. Co może nam grozić ze strony bydła?

– Paniczu – rzekł Zgorzkniały Billy. – A jeśli przyjdą za dnia?

Julian nonszalancko machnął ręką.

– Nie dojdzie do tego. A gdyby nawet, rozprawimy się z nimi, tak jak na to zasługują.

Zgorzkniały Billy skrzywił się. Julian może się tym nie przejmował, ale to właśnie on, Billy, zwykle ryzykował najwięcej.

– Sądzę, że powinniśmy wyjechać w jakieś inne miejsce. To osuszaliśmy do cna. Pozostawanie tu dłużej może się okazać niebezpieczne.

– Ja czuję się tu wyśmienicie – odparł Julian. – Bydło zapewnia mi pożywienie. Nie zamierzam porzucać mojej trzódki.

– A co z pieniędzmi? Skąd weźmiemy pieniądze?

– Nasi goście zostawili konie. Jedź z nimi jutro do Nowego Orleanu i tam je sprzedaj. Upewnij się, że nie są oznakowane. Możesz sprzedać także kolejną partię gruntów. Neville z Bayou Cross z pewnością zechce je nabyć. Skontaktuj się z nim, Billy. – Julian uśmiechnął się. – Mógłbyś nawet zaprosić go do nas na kolację, abyśmy przedyskutowali moją propozycję. Poproś, by odwiedził nas ze swą piękną małżonką i ich smukłym, młodym synem. Sam i Lily obsłużą gości. Będzie tak jak dawniej, zanim uciekli niewolnicy.

Billy zorientował się, że Damon szydzi zeń w żywe oczy. Mimo to nieroztropnie było lekceważyć słowa Juliana.

– Dom – stwierdził Billy. – Przyjdą na wieczerzę i zobaczą, w jakim jest stanie. Zorientują się, że to ruina. Nie, to zbyt niebezpieczne. Zaczną o tym opowiadać.

– Jeżeli wrócą do domu.

– Damonie – wtrącił drżącym głosem Jean. – Chyba nie zamierzasz...

W mrocznym, skapanym w czerwieni pokoju było gorąco. Zgorzkniały Billy zaczął się obficie pocić.

– Neville jest... proszę, paniczu Julianie, nie może pan wziąć Neville'a. Nie może pan karmić się sąsiadami i kupować tych ślicznych dziewcząt.

– Twój chowaniec choć raz powiedział coś sensownego – odezwała się niemal szeptem Valerie. – Posłuchaj go. – Jean także pokiwał głową. Fakt, że poparli go inni, dodał mu odwagi.

– Moglibyśmy sprzedać całą tę posesję – rzekł Billy. – Dom i tak popadł w ruinę. Wszyscy przenieśliśmy się do Nowego Orleanu. Tam będzie nam lepiej. Mnóstwo Kreoli, wyzwolonych czarnuchów i rzeczno tałatajstwa, kto zauważy, że kilku z nich ubyło.

– Nie – rzekł lodowatym tonem Damon Julian.

Wymówił to słowo tonem nie znoszącym sprzeciwu. Zgorzkniały Billy natychmiast nabrał wody w usta. Jean znów zaczął bawić się pierścieniem, a na jego twarzy pojawił się smętny, przerażony grymas.

Wtem, zgoła niespodziewanie, Valerie powiedziała:

– Wobec tego pozwól nam odejść.

Julian leniwie odwrócił głowę.

– Nam?

– Jeanowi i mnie – odparła. – Odeślij nas. Tak będzie... lepiej. Im nas mniej, tym bezpieczniej. A i twoje ślicznotki starczą na dłużej.

– Miałbym cię odesłać, moja droga Valerie? Ależ bardzo by mi ciebie brakowało. I martwiłbym się o ciebie. A nawiasem mówiąc, dokąd byś się wybrała?

– Dokąds. Dokądkolwiek.

– Wciąż masz nadzieję, że odnajdziesz swoje mroczne miasto ukryte w jakiejś jaskini? – dorzucił drwiąco Julian. – Twoja wiara jest wzruszająca, moje dziecko. Czyżbyś omyłkowo wzięła nieszczęsnego, słabego Jeana za swojego bladego króla?

– Nie – odrzekła Valerie. – Nie. Chcemy jedynie odrobiny spokoju. Proszę, Damonie. Jeśli zostaniemy tu wszyscy, dowiedzą się o nas, zaczną na nas polować i pozabijają. Pozwól nam odejść.

– Jesteś taka piękna, Valerie. Taka niezwykła. Wyjątkowa.

– Błagam – powiedziała drżąc. – Chcę odejść. Pragnę spokoju.

– Biedna, mała Valerie – rzekł Julian. – Nie ma spokoju. Dokądkolwiek się udasz, pragnienie będzie ci towarzyszyć. Nic z tego. Zostaniesz tu.

– Błagam – powtórzyła żałośnie. – Mój mistrzu krwi.

Damon Julian lekko przymrużył oczy, uśmiech na jego ustach wygasł.

– Skoro tak bardzo pragniecie odejść, może powinienem wam na

to pozwolić.

Oboje, Valerie i Jean, spojrzeli na niego z nadzieją.

– Może powinienem was odesłać – rzekł z zamyśleniem Julian. – Oboje. Ale nie razem, o nie. Jesteś taka piękna, Valerie. Zaslugujesz na kogoś lepszego niż Jean. Co o tym sądzisz, Billy?

Zgorzkniały Billy uśmiechnął się z przymusem.

– Niech pan ich odeśle, paniczu Julianie. Wszystkich. Nie potrzebuje pan nikogo z nich. Ma pan mnie. Niech pan ich odeśle, by się przekonali, czy wolność rzeczywiście ma słodki smak.

– To ciekawe – rzekł Damon Julian. – Przemyślę to. A teraz wyjdźcie. Wszyscy. Billy, zajmij się sprzedażą koni. I spotkaj się z Neville'em w sprawie ziemi.

– Ani słowa o kolacji? – zapytał z ulgą Zgorzkniały Billy.

– Ani słowa.

Zgorzkniały Billy wyszedł jako ostatni. Z tyłu za nim Julian zgasił lampę i pokój wypełniła ciemność. Zgorzkniały Billy przystanął jednak w progu i odwrócił się.

– Paniczu Julianie – powiedział. – Obiecał mi pan... wiele lat temu. Kiedy to się stanie?

– Kiedy nie będziesz mi już potrzebny, Billy. Za dnia jesteś moimi oczami. Czyż mógłbym obyć się bez ciebie? Zwłaszcza teraz? Nie lękaj się jednak. To stanie się już niedługo. A gdy do nas dołączysz, czas nic nie będzie dla ciebie znaczył. Dla tego, kto żyje wiecznie, dni i lata są jednym i tym samym.

Ponowiona obietnica uspokoiła Zgorzkniałego Billy'ego. Czym prędzej ruszył, by wypełnić polecenie Juliana.

Tej nocy miał sen. We śnie był równie mroczny i pełen wdzięku jak Julian, stał się eleganckim drapieżką. W jego snach zawsze panowała noc, a on sam przemierzał uliczki Nowego Orleanu w blasku bladego księżyca w pełni.

Obserwowali go, jak szedł, patrzyli nań z okien i z balkonów, czuła na sobie ich wzrok; mężczyźni lękali się go, kobiety zaś pociągała jego mroczna moc. Krążył pośród ciemności, polując, prześlizgiwał się bezgłośnie nad ceglanyimi chodnikami, wsłuchując się w szaleńczy tupot ich kroków i przyspieszone oddechy. W migoczącym blasku kołyszącej się wiszącej lampy naftowej

spostrzegł młodego, przystojnego dandysa i śmiejąc się, rozerwał mu gardło. Z oddali przyglądała mu się młoda, piękna Kreolka i natychmiast ruszył za nią w pościg. Gonił ją przez labirynt ciemnych uliczek i podwórek, a ona umykała przed nim w panice. Wreszcie na podwórzu oświetlonym przez pochodnię w obsadzie z kutego żelaza przystanęła i odwróciła się twarzą ku niemu. Wyglądem przypominała Valerie. Miała fiołkowe oczy gorejące ogniem. Podeszedł do niej, przewrócił na ziemię i wziął ją. Krew Kreolki była gorąca i sycąca jak kreolska strawa. Ta noc i wszystkie inne aż do końca świata należały do niego, a jego wewnątrz przepełniało czerwone pragnienie.

Kiedy się obudził, cały był rozpalony jak od gorączki, a jego pościel wilgotna.

ROZDZIAŁ 7

St. Louis *lipiec 1857*

„Fevre Dream” pozostał w St. Louis przez dwanaście dni.

Był to czas uciążliwej pracy dla całej załogi, z wyjątkiem Joshuy Yorka i jego osobliwych towarzyszy. Abner Marsh wstawał bardzo wcześnie niemal każdego ranka, a o dziesiątej krążył po ulicach, odwiedzając szyprow i kierowników hoteli, zachwalając walory swego statku i usiłując wystraszyć konkurencję. Miał całe mnóstwo ulotek Kompanii Żeglugi Śródlądowej Fevre River i wynajął gromady chłopców, aby porozklejali je w całym mieście. Pijąc i posilając się w najlepszych lokalach, Marsh raz po raz opowiadał historię o tym, jak „Fevre Dream” pokonał „Southernera”, aby wieści o jego sukcesie rozeszły się możliwie najdalej. Umieścił nawet reklamy w trzech lokalnych gazetach.

Piloci, których Abner Marsh wynajął do pokonania dolnego biegu rzeki, weszli na pokład, gdy tylko „Fevre Dream” zawinął do St. Louis, i odtąd opłacał ich, mimo że jak na razie zajmowali się głównie próżnowaniem. Piloci nie byli tani, zwłaszcza tacy jak ci dwaj, ale Marsh nie skąpił grosza, gdyż chciał, by jego parowiec miał wszystko, co najlepsze. Po otrzymaniu zapłaty mężczyźni ponownie

powrócili do beztroskiego próżnowania; choć za cały swój pobyt na statku otrzymywali pełną stawkę, nie zamierzali nawet kiwnąć palcem, dopóki parowiec nie wypłynie z portu. Każde zajęcie z wyjątkiem pilotażu uwłaczało ich godności.

Dwaj piloci wynajęci przez Marsha preferowali diametralnie odmienne style próżnowania. Dan Albright, pedantyczny, małomówny i elegancki, wszedł na pokład w dniu, gdy „Fevre Dream” zawinął do portu, rozejrzał się po statku, odwiedził maszynownię i pilotówkę, po czym, skinąwszy głową z zadowoleniem, czym prędzej rozgościł się w przygotowanej dla niego kajucie. Spędzał w niej całe dnie, pogrążając się w lekturze książek z doskonale wyposażonej biblioteki znajdującej się na parowcu albo dla odmiany przesiadywał z Jonathanem Jefferssem w głównym salonie, grając w szachy, choć ciągle przegrywał. Karla Framma natomiast można było znaleźć najczęściej w salonach bilardowych na nabrzeżu, gdzie szczerząc w uśmiechu krzywe zęby i poprawiając noszony stale na głowie szerokoskrzydły kapelusz, chęłpił się, że on i jego nowa jednostka są w stanie pokonać na rzece każdy inny statek. Framm cieszył się nie lada reputacją. Lubił żartować, że ma jedną żonę w St. Louis, drugą w Nowym Orleanie, trzecią zaś w Natchez.

Abner Marsh nie miał czasu, by przejmować się tym, co porabiają jego piloci, był zbyt zajęty licznymi, znacznie pilniejszymi sprawami. Nie widywał też za często Joshuy Yorka i jego przyjaciół, choć wiedział, że York chętnie udawał się do miasta na długie nocne przechadzki. Zwykle towarzyszył mu w nich milczek imieniem Simon. Niejako przy okazji Simon uczył się przyrządzania drinków, gdyż, jak Joshua wyznał Marshowi, podczas rejsu do Nowego Orleanu miał pełnić na pokładzie funkcję nocnego barmana.

Marsh najczęściej spotykał swego partnera przy kolacji, którą Joshua York zwyczajowo spożywał w głównej kajucie wraz z innymi oficerami, po czym udawał się do swojej kajuty lub do biblioteki, aby czytać najświeższe gazety, które całymi plikami dostarczano mu każdego dnia z pokładu kolejnych zawijających do portu parostatków. Któregoś razu York oznajmił, że udaje się do miasta, by obejrzyć występ trupy aktorskiej. Zaprosił Abnera Marsha i innych

oficerów, aby mu towarzyszyli, Marsh jednak nie miał na to ochoty i koniec końców York wybrał się na występ w towarzystwie Jonathana Jeffersa.

– Wiersze i sztuki teatralne – wymamrotał Marsh do Kudłatego Mike’a Dunne’a, gdy tamci zeszli z pokładu. – Cała ta cholerna rzeka zaczyna schodzić na psy.

Od tej pory Jeffers zaczął uczyć Yorka gry w szachy.

– Tęga głowa, nie ma co – rzekł Jeffers do Marsha w kilka dni później, rankiem, ósmego dnia ich pobytu w St. Louis.

– Kto taki?

– Joshua, ma się rozumieć. Dwa dni temu wyjaśniłem mu zasady gry w szachy. Wczoraj wieczorem widziałem, jak w salonie rozpracowywał ruchy jednej z rozgrywek, wydrukowane w gazecie z Nowego Jorku. Dziwny z niego człowiek. Co pan o nim wie?

Marsh zasepił się. Nie chciał, aby ludzie nadmiernie interesowali się osobą Joshuy Yorka; było to elementem ich układu.

– Joshua nie lubi mówić wiele o sobie. Ja także go nie wypytuję. Jego przeszłość ani trochę mnie nie interesuje. I pana także nie powinna ona interesować, panie Jeffers. Proszę zająć się tym, co do pana należy.

Cienkie, ciemne brwi mężczyzny wygięły się w bliźniacze łuki.

– Skoro pan tak mówi, kapitanie – stwierdził. Jednak chłodny uśmiech na jego ustach nie uspokoił Abnera Marsha.

Jeffers nie był jedynym, który zaczął zadawać kłopotliwe pytania. Kudłaty Mike także zjawił się u Marsha i powiedział, że palacze oraz robotnicy portowi opowiadają dziwne historie o Yorku i jego czwórce gości, po czym zapytał, czy Marsh ma zamiar coś z tym zrobić.

– Jakie znowu dziwne historie?

Kudłaty Mike wymownie wzruszył ramionami.

– No, mówią, że on wychodzi z kajuty wyłącznie nocą. I ci jego dziwni kumple też. Zna pan Toma, palacza obsługującego kotły na bakburcie? Opowiedział mi następującą historię – otóż tej nocy, gdy opuściliśmy Louisville, było mnóstwo komarów. Pamięta pan, były wyjątkowo duże i tłuste; Tom powiedział, że zobaczył starego Simona na głównym pokładzie, stał i podziwiał widoki, gdy nagle

komar wylądował mu na rękę. Simon odruchowo uderzył drugą dłonią i rozgniół komara na miazgę. Wie pan, że niekiedy taki komar, jak jest nazarty, okropnie się rozpaćka i rozsmaruje po całej ręce. Ten był właśnie taki. Pełen krwi. Tom mówi, że gdy Simon plasnął tego komara, upaćkał sobie całą rękę we krwi. Ale to nie wszystko. Podobno Simon przez dłuższą chwilę gapił się na tę brudną rękę, a potem uniósł ją do ust i wylizal do czysta.

Abner Marsh łypnął na Mike'a spode łba.

– Powiedz Tomowi, żeby przestał opowiadać takie historie albo będzie zmuszony szukać sobie roboty na innym parowcu. – Kudłaty Mike pokiwał głową, uderzył się zamazyście metalową sztabą w otwartą dłoń i odwrócił się, by odejść. Marsh powstrzymał go. – Nie – zmienił zdanie. – Nie mów mu tego. Powiedz tylko, że w razie gdyby jeszcze kiedyś spostrzegł coś równie dziwnego, ma natychmiast przyjść z tym do mnie albo do ciebie. Powiedz, że dostanie za to od nas pół dolara.

– Za pół dolara nie zawaha się czegoś zmyślić.

– No dobrze, ani słowa o pieniądzach, ale reszta niech pozostanie bez zmian.

Im dłużej Abner myślał o opowieści Toma, tym bardziej go ona niepokoiła. Cieszył się, że Joshua zamierzał przydzielić Simonowi funkcję barmana, gdyż przez cały czas będzie na widoku i obserwowanie go nie powinno sprawić Marshowi większego trudu. Marsh nigdy nie lubił przedsiębiorców pogrzebowych, a Simon nieodparcie kojarzył mu się z czymś plugawym lub w najlepszym razie z nieboszczykiem. Miał nadzieję, że Simon nie zechce zlizywać komarów z dłoni, serwując drinki dla pasażerów w ich kajutach. Taki incydent mógłby błyskawicznie zrujnować reputację nawet najlepszej jednostki.

Marsh niebawem zapomniał o całym zdarzeniu i ponownie rzucił się w wir pracy. Jednakże w noc poprzedzającą ich wypłynięcie z portu wydarzyło się coś jeszcze, co spotęgowało jego niepokój.

Odwiedził Joshuę Yorka w jego kajucie, aby wypytać go o pewne drobne szczegóły związane z rejssem. York siedział przy biurku, trzymając w dłoni wąski nóż o rękojeści z kości słoniowej, i wycinał z jednej z gazet jakiś artykuł. York i Marsh rozmawiali

przez kilka minut o najpilniejszych bieżących sprawach, po czym Abner miał już wyjść, gdy dostrzegł leżący na biurku egzemplarz pisma „Democrata”.

– Mieli wydrukować dziś jedno z naszych ogłoszeń – stwierdził Marsh, sięgając po gazetę. – Skończyłeś już, Joshua?

York machnął przyzwalająco ręką.

– Weź ją, jeśli chcesz – powiedział.

Abner Marsh z gazetą pod pachą udał się do głównej kajuty i przejrzał egzemplarz, podczas gdy Simon przyrządzał mu drinka. Był rozdrażniony. Nie znalazł ogłoszenia. Naturalnie mógł je przeoczyć.

York wyciął artykuł, po którego drugiej stronie znajdowały się informacje żeglugowe, i dziura był dość spora. Marsh opróżnił szklaneczkę, złożył gazetę, po czym udał się do kajuty oficerskiej.

– Ma pan może ostatni numer „Democracy”? – zwrócił się do Jeffersa. – Wydaje mi się, że ten przekłety Blair nie wydrukował mojego ogłoszenia.

– Bynajmniej – odparł Jeffers. – Widziałem je. Proszę spojrzeć na stronę żeglugową.

I rzeczywiście tam było, prostokątne ogłoszenie, wśród wielu innych tego rodzaju.

KOMPANIA ŻEGLUGI ŚRÓDLĄDOWEJ FEVRE RIVER

Wspaniałe parostatek, chluba żeglugi rzecznej, „Fevre Dream”, wypływa w czwartek w rejs do Nowego Orleanu w Luizjanie, zawija do wszystkich portów na tej trasie; postaramy się dotrzeć do celu możliwie najszybciej, statkiem zaś, obsługiwany przez doborową załogę, dowodzić będą doświadczeni oficerowie. Osoby zainteresowane rejssem lub pragnące przesłać naszą jednostką swój fracht proszone są o zgłoszenie się na pokładzie statku lub w biurze firmy przy Pine St.

Prezes Abner Marsh

Marsh przeczytał ogłoszenie, pokiwał głową i przewrócił stronę, by sprawdzić, co wyciął Joshua York. Artykuł, najwyraźniej przedruk z jakiejś lokalnej gazety, mówił o znalezieniu w chatce nad rzeką, na północ od New Madrid, zwłok jakiegoś starego, nie wymienionego z nazwiska pracownika składu drewna. Oficer

z parowca, który zajmował się załatwianiem dostaw drewna, odnalazł mężczyznę, gdy ten nie zjawił się na umówionym spotkaniu. Rzekomo było to sprawką Indian, aczkolwiek niektórzy twierdzili, że zabiły go wilki, ciało bowiem zostało rozszarpane i na wpół pożarte. Tyle artykuł.

– Coś nie tak, kapitanie? – zapytał Jeffers. – Ma pan dziwny wyraz twarzy.

Marsh złożył należący do Jeffersa egzemplarz gazety i wcisnął pod pachę wraz z gazetą Yorka.

– Nie, nic, tyle tylko, że te cholerne pismaki poprzekręcały to i owo. Chyba są na bakier z ortografią.

Jeffers uśmiechnął się.

– Jest pan pewien? Wiem, że ortografią nie jest pańską najmocniejszą stroną.

– Przywołuję pana do porządku, chyba że chce pan wylądować za burtą, panie Jeffers – odrzekł Marsh. – Jeśli można, pozwolę sobie zabrać pańską gazetę.

– Proszę bardzo – odparł Jeffers. – Już ją przeczytałem.

Po powrocie do baru Marsh raz jeszcze przeczytał artykuł o śmierci pracownika składu drewna. Dlaczego Joshua York miał wycinać artykuł o jakimś żalonym nieszczęśniku zagryzionym przez wilki? Marsh nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, ale bardzo go ono nurtowało. Uniósł wzrok i dostrzegł w lustrze nad barem, że Simon przyglądał mu się z uwagą. Marsh pospiesznie złożył gazetę i włożył ją do kieszeni.

– Daj mi jeszcze małą whisky – powiedział.

Marsh opróżnił zawartość szklaneczki jednym haustem, wydając z siebie głośne – Aaach! – gdy palące ciepło spłynęło mu do żołądka. Po alkoholu trochę przejaśniło mu się w głowie. Istniały sposoby, aby dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, jednakże w gruncie rzeczy to, o czym czytał w gazetach Joshua York, nie powinno go było interesować. Dał przecież słowo, że nie będzie wtrącał się w sprawę Yorka, a Abner Marsh uważał się za człowieka honoru. Z wahaniem odstawił szklaneczkę na kontuar i oddalił się od baru. Wszedł po wielkich, biegnących półkoliście schodach na główny pokład i wrzucił obie gazety w głąb jednego z ciemnych pieców.

Palacze dziwnie na niego spojrzeli, ale Abner od razu poczuł się lepiej. Człowiek nie powinien zachowywać się podejrzliwie wobec swego współnika, zwłaszcza jeśli jest on tak hojny i dobrze wychowany jak Joshua York.

– Na co się gapicie!?! – warknął na palaczy. – Nie macie nic do roboty? Poszukam Kudłatego Mike’a, a na pewno znajdzie wam jakieś zajęcie!

Tamci natychmiast zabrali się do pracy. Abner Marsh wrócił do głównej kajuty i wypił jeszcze jednego drinka.

Następnego ranka Marsh udał się na Pine Street, do biura swojej firmy, i przez kilka godzin zajmował się sprawami urzędowymi. Zjadł lunch w Posesji Plantatora w towarzystwie starych przyjaciół i starych rywali; czuł się wyśmienicie. Marsh chełpił się możliwościami swego parowca i musiał znosić przechwałki Farrella i O’Briena dotyczące ich jednostek, ale tym razem przełknął je bez większego trudu; uśmiechnął się tylko i rzekł:

– No cóż, chłopcy, być może spotkamy się na rzece. Czyż to nie byłoby wspaniałe?

Nikt słowem nie wspomniał o jego wcześniejszych niepowodzeniach, a do jego stolika podeszło aż trzech mężczyzn, pytając, czy nie potrzebuje pilota do przeprowadzenia statku przez dolny bieg Missisipi. To były naprawdę dobre i miłe godziny.

Wracając nad rzekę, Marsh minął salon krawiecki. Zawahał się, muskając z zamyśleniem swą gęstą brodę, i przez chwilę rozważał myśl, która przyszła mu właśnie do głowy. W końcu wszedł do środka, uśmiechnął się i zamówił dla siebie nowy kapitański surdut. Białe, z dwoma rzędami srebrnych guzików, taki jaki miał Joshua. Marsh zostawił krawcowi dwa dolary zadatku i umówił się, że odbierze surdut, gdy „Fevre Dream” powróci do St. Louis. Był z siebie bardzo zadowolony.

Na nabrzeżu panował chaos. Dostawa towarów sypkich spóźniła się i robotnicy portowi dwoili się i troili, by na czas załadować je na pokład. Whitey rozpalili już pod kotłami; z kominów buchały kłęby czarnego dymu, a u wylotu przewodów parowych wykwitły białe pióropusze. Parowiec po lewej stronie „Fevre Dream” cofał się w kłębach czarnego dymu, przy wtórze donośnego wycia syren.

Z wielkiego bocznokołowca po prawej wyładowywano fracht, towary przenoszono na pokład jednostki stojącej przy nabrzeżu, starego parowca cumującego już na stałe przy przystani. Jak okiem sięgnąć, wzdłuż nabrzeża w porcie cumowały parostatki. Było ich więcej, niż Marsh mógłby zliczyć. Dziewięć jednostek dalej stał luksusowy trzypokładowy „John Simonds”, który właśnie przyjmował pasażerów. Tuż obok dostrzec można było bocznokołowy „Northern Light” z barwnym wizerunkiem zorzy polarnej na osłonach kół łopatkowych. Był to całkiem nowy parowiec pływający po górnej Missisipi, a linia żeglugowa Northwestern chwaliła się, że na tych wodach nie było dotąd tak szybkiej jednostki. Nieco dalej w dół rzeki stał „Grey Eagle”, wspaniały statek, który musiał zostać pokonany, jeśli „Northern Light” rzeczywiście miał zasłużyć na miano najszybszego statku na górnej Missisipi. W porcie stały również „Northerner”, toporny, mocny tylnokołowiec, „St. Joe” oraz „Die Vernon II” i „Natchez”.

Marsh przyjrzał się każdemu z nich z osobna, lustrując złożone instalacje zwieszające się pomiędzy ich kominami, wykwintne ciesielskie mozaiki i jaskrawe malowania, bijące w niebo kłęby pary i potężne, częściowo zanurzone w wodzie koła łopatkowe. A potem spojrzął na własny statek, na „Fevre Dream”, mieniący się bielą, błękitem i srebrem, i odniósł wrażenie, że para biła z jego kominów wyżej od innych, syrena miała czystszy, dźwięczniejszy ton, farba była jaśniejsza, koła silniejsze, a cała jednostka większa niż którakolwiek z pozostałych cumujących obecnie przy nabrzeżu.

– Pokonamy je wszystkie – mruknął do siebie i ruszył w stronę swojego statku.

ROZDZIAŁ 8

Na pokładzie parowca „Fevre Dream” rzeka Missisipi, lipiec 1857

Abner Marsh odciął z leżącej na stole gomółki kawałek cheddara, położył ostrożnie na tym, co pozostało z jabłecznika, i uniósł do ust szybkim ruchem wielkiej czerwonej dłoni. Czknął, otarł usta chusteczką, strzepnął z brody kilka okruchów i usiadł wygodnie z uśmiechem na twarzy.

– Dobry placek? – zapytał Joshua York, uśmiechając się do Marsha znad szklaneczki brandy.

– Toby innych nie piecze – odparł Marsh. – Powinieneś spróbować kawałek. – Odsunął się od stołu i wstał. – Dobra, Joshua, dopijaj. Już czas.

– Czas?

– Chyba chciałeś nauczyć się pływać po rzece, zgadza, się? Nie nauczysz się tego, siedząc za stołem. To mogę ci zaręczyć.

York dopił brandy, po czym wraz z kapitanem udał się do pilotówki. Wachtę pełnił Karl Framm. Siedział rozparty na kanapie, ćmiąc fajkę, podczas gdy przy sterze stał jego uczeń, młody chłopak o długich, jasnych, sięgających kołnierza włosach.

– Kapitanie Marsh – rzucił Framm, kiwając głową. – A pan to zapewne ten tajemniczy kapitan York. Miło mi pana poznać. Nigdy dotąd nie pływałem na parowcu, który miał dwóch kapitanów. – Uśmiechnął się od ucha do ucha, błyskając złotym zębem. – Na tej łajbie kapitanów jest niemal tylu, ile ja miałem żon. Oczywiście nie bez powodu. Skoro jest tu więcej kotłów, luster i sreber niż na jakiegokolwiek innej łajbie, którą dane mi było oglądać, to trudno się dziwić, że ma też więcej kapitanów.

Wymizerowany pilot wychylił się do przodu i wystukał nieco popiołu z fajki do wielkiego, żelaznego piecyka. Był zimny i czarny, noc zaś gorąca i parna.

– Czym mogę służyć, panowie? – zapytał Framm.

– Niech pan nas nauczyc tej rzeki – odparł Marsh.

Framm uniósł brwi.

– Nauczyc was rzeki? Ale przecież jest tu mój młodziak. No nie, Jody?

– Naturalnie, panie Framm.

Framm uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Teraz uczę tu obecnego Jody'ego, tak jak było ustalone. Mam dostać sześćset dolarów z pierwszych zarobków, które otrzyma po uzyskaniu patentu i przyjęciu do związku. Liczę sobie tak tanio, bo znam jego rodzinę. A waszych rodzin, panowie, niestety nie miałem nigdy okazji poznać.

Joshua York rozpiął guziki swej ciemnoszarej kamizelki. Nosił pas na monety. Wyłuskał zeń złotą dwudziestodolarówkę i położył na piecyku, złoto zabłysło żółtawo na tle metalicznej czerni.

– Dwadzieścia – rzekł York. Obok położył drugą monetę.

– Czterdzieści – powiedział. Dołożył trzecią. – Sześćdziesiąt.

– Doliczywszy w ten sposób do trzystu, York zapiął kamizelkę.

– Niestety, panie Framm, obawiam się, że to wszystko, co mam przy sobie, ale zapewniam, że posiadam jeszcze pewne fundusze. Umówmy się na siedemset dolarów dla pana i tyle samo dla pana Albrighta, jeżeli zgodzicie się obaj nauczyć mnie podstaw pilotażu i odświeżycie pamięć kapitanowi Marshowi, aby mógł osobiście sterować swoją jednostką. Płatność od ręki, nie z przyszłych zarobków. Co pan na to?

Frammowi ta propozycja bardzo przypadła do gustu, jak zauważył Marsh. Przez chwilę z zamyśleniem ssał ustnik fajki, jakby rozważał ofertę, zaraz jednak sięgnął ręką i zgarnął leżące na piecu monety.

– Nie mogę wypowiadać się w imieniu pana Albrighta, ale ja zawsze lubiłem złoty kolor. Będę panów uczył. Co powiecie na rozpoczęcie jutro, na mojej wachcie?

– Kapitanowi Marshowi na pewno nie zrobi to różnicy – odrzekł York – ale ja wolałbym zacząć od razu.

Framm rozejrzał się dokoła.

– Niech to licha – powiedział. – Nie widzi pan? Jest noc. Uczę Jody’ego już od roku, a zaledwie od miesiąca pozwalam mu sterować po zmierzchu. Pływanie nocą nigdy nie jest łatwe. Absolutnie – stwierdził autorytatywnie. – Zaczniemy naukę od pływania za dnia, kiedy dobrze widać rzekę.

– Będę się uczył wyłącznie nocami. Prowadzę dość ekscentryczny tryb życia, panie Framm. Niech się pan jednak nie martwi. W nocy widzę doskonale, może nawet lepiej niż pan. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Pilot rozprostował swe długie nogi, wstał i podszedł bliżej, a następnie przejął ster.

– Idź na dół, Jody – zwrócił się do chłopaka. Kiedy młodzieniec wyszedł, Framm powiedział: – Nikt nie ma na tyle dobrego wzroku, aby przepłynąć nocą wyjątkowo paskudny odcinek rzeki. – Stał odwrócony do nich plecami, wpatrzony w czarne, rozjaśnione blaskiem gwiazd wody przed nimi. W oddali można było dostrzec światła innego parowca. – Dziś noc jest pogodna, bezchmurna, księżyc w kwadrze i rzeka jak stół. Spójrzcie na wodę. Jak czarne szkło. Przyjrzyjcie się brzegowi po obu stronach. Widać go wyraźnie, zgadza się?

– Tak – odparł York. Marsh, uśmiechając się, nie odpowiedział.

– Otóż to – rzekł Framm. – Nie zawsze tak jest. Czasami nie widać księżyca, a niebo zasnuwane jest chmurami. Bywa wtedy naprawdę ciemno. Ciemno, choć oko wykol. Nie widać brzegu i jeśli nie zna się rzeki, można wpakować łajbę wprost na niego. Kiedy indziej widać cienie, wydaje się, że są rzucane przez skały albo stały

ład i trzeba wiedzieć, że to nieprawda, bo w przeciwnym razie zmarnuje się pół nocy na omijanie czegoś, co nie istnieje. Jak się panu zdaje, panie York, co sprawia, że pilot wie te wszystkie rzeczy?

Framm nie dał Yorkowi sposobności, by odpowiedział na to pytanie. Postukał się w skroń.

– Sprawia to pamięć. Za dnia patrzy się na tę cholerną rzekę i zapamiętuje ją cal po calu, każdy zakręt i załom, każdy dom na brzegu, każdy skład drewna, każdą głębię i mieliznę, miejsca, gdzie można przepłynąć. Pilotując parowiec, kapitanie York, korzysta się ze swojej pamięci, z nagromadzonej wiedzy, a nie polega na tym, co akurat widać. Zanim jednak zdobędzie się wiedzę, trzeba coś zobaczyć, a w nocy widać raczej niewiele.

– To prawda, Joshua – potaknął Abner Marsh, kładąc dłoń na ramieniu Yorka.

York rzekł półgłosem:

– Statek przed nami to bocznokołowiec, z symbolem przypominającym ozdobną literę K pomiędzy kominami i pilotówką o kopułowym dachu. Obecnie mija skład drewna. Jest tam stare, zbutwiałe nabrzeże, na którego końcu siedzi jakiś kolorowy i spogląda na rzekę.

Marsh puścił ramię Yorka i podszedł do okna, mrużąc powieki. Drugi statek znajdował się daleko przed nimi. Był to rzeczywiście bocznokołowiec, ale Marsh nie dojrzał niczego pomiędzy kominami, wydawały się czarne... jak nocne niebo, prawie niewidoczne, zauważył je dopiero dzięki snopom buchających iskier.

– Cholera – mruknął.

Framm ze zdumieniem spojrział na Yorka.

– Nie dostrzegłem nawet połowy tego, o czym pan wspomniał – rzekł z podziwem – ale wierzę, że to wszystko prawda.

W kilka chwil później „Fevre Dream” przeszedł obok składu drewna, a przy nabrzeżu siedział wspomniany przez Yorka kolorowy mężczyzna.

– Pali fajkę – wtrącił z uśmiechem Framm. – O tym nam pan nie powiedział.

– Przepraszam – rzekł Joshua York.

– No cóż... – mruknął z zamyśleniem Framm – no cóż... – Żuł

ustnik fajki, nie odrywając wzroku od rzeki przed nimi. – Przyznaję, że faktycznie doskonale widzi pan w nocy. Mimo to wciąż nie jestem pewien. W jasną, pogodną noc nietrudno jest dostrzec w oddali skład drewna. Nieco trudniej wypatrzeć starego Murzyna, bo zlewa się z tłem i w ogóle, ale tak czy siak, dobry wzrok to jedno, a rzeka to całkiem co innego. Jest wiele drobiazgów, które musi dostrzec pilot, a których pański pasażer nigdy by nie zauważył. Wygląd wody, kiedy kryje się pod nią pień drzewa albo piaszczysta łacha. Stare, uschłe drzewa, które pozwalają określić stan rzeki o sto mil dalej. Siła wiatru zdradzająca ukształtowanie terenu. Z rzeki trzeba nauczyć się czytać jak z książki, zapisanej zamiast słowami drobnymi zmarszczkami i pływami; niekiedy wszystko to błędnie i nie sposób właściwie jej odczytać, a wówczas trzeba polegać na tym, co się zapamiętało z ostatniej lektury tej konkretnej strony. Przypuszczam, że raczej nie próbowałby pan czytać książki po ciemku, prawda?

York zignorował tę uwagę.

– Jestem w stanie dostrzec zmarszczkę na wodzie równie wyraźnie jak skład drewna, jeżeli tylko wiem, czego mam wypatrywać. Panie Framm, jeżeli nie może pan nauczyć mnie rzeki, znajdę kogoś, kto się tego podejmie. Przypominam panu, że jestem właścicielem i kapitanem „Fevre Dream”.

Framm zmarszczył brwi i rozejrzał się dokoła.

– Noc wymaga więcej pracy – stwierdził. – Jeżeli chce pan uczyć się nocą, będzie to pana kosztowało osiem setek.

Na twarzy Yorka powoli wykwitł uśmiech.

– Zgoda – rzekł. – A teraz już zaczynamy.

Karl Framm zsunął swój kapelusz z obwisłym rondem na tył głowy i westchnął przeciągle jak ofiara długich, bolesnych tortur.

– W porządku – mruknął. – Pan płaci i pan jest tu szefem. Tylko proszę nie przychodzić do mnie ze skargą, kiedy wpakuje pan tę łajbę na mieliznę albo rozpruje dno na jakiejś skale. A teraz proszę posłuchać. Na odcinku od St. Louis do Cairo rzeka płynie raczej prosto, schody zaczną się dopiero, gdy dotrzemy do Ohio. Mimo to musi pan dobrze poznać ten odcinek. Niektórzy nazywają go „cmentarzyskiem”, ponieważ poszło tu na dno wiele jednostek.

Niektóre wciąż jeszcze widać, nad wodą sterczą kominy, a gdy obniża się poziom rzeki, dostrzec można nawet całe wraki spoczywające w mule; warto jednak znać położenie tych, które znajdują się w całości pod wodą, bo jeśli się o tym zapomni, następnym statkiem, który spocznie na dnie i na który będą musieli uważać inni, będzie pańska łajba. Musi pan poznać te miejsca i dobrze je zapamiętać, a także, a może przede wszystkim, musi pan nauczyć się kierować swoim statkiem. Proszę tu stanąć i przejąć ster, niech go pan wyczuje. Mamy tyle wody pod kilem, że zmieściłby się tam nawet mały kościółek z dzwonnica, jest całkiem bezpiecznie. – York i Framm zamienili się miejscami. – A teraz pierwszy punkt po wyjściu z St. Louis... – zaczął Framm.

Abner Marsh usiadł na kanapie i nasłuchiwał, podczas gdy pilot mówił bez końca, lawirując od rozpoznawania mielizn poprzez techniki sterowania, rozmaite sztuczki aż po długie opowieści o parowcach spoczywających pod wodą na cmentarzysku, które właśnie przemierzali. Był barwnym gawędziarzem, ale po każdej historii powracał do swojego obecnego zajęcia i ponownie koncentrował się na przedstawianiu trasy żeglugi. York chłonął to wszystko w milczeniu. Zdawał się chwytac w lot podstawowe zasady sterowania statkiem, a gdy Framm przerywał i prosił go o powtórzenie tej czy innej informacji, Joshua natychmiast wykonywał polecenie.

W końcu, gdy doścignęli i przegonili wyprzedzający ich dotąd bocznokołowiec, Marsh zaczął ziewać. Noc była jednak tak piękna, że nie miał ochoty kłaść się do łóżka. Wstał zatem i udał się na górny pokład, skąd przyniósł dzbanek gorącej kawy i talerz z ciastem. Gdy wrócił, Karl Framm opowiadał właśnie o wraku „Drennana Whyte’a”, który zatonął niedaleko Natchez w roku 1850 ze skarbem na pokładzie. „Evermonde” próbował go podnieść, ale wybuchł pożar i on również poszedł na dno. W roku 1851 parowiec ratowniczy „Ellen Adams” przybył w poszukiwaniu skarbu na to miejsce, ale wpadł na łachę piaszczystą i zatonął.

– Widzi pan – ciągnął Framm. – Ten skarb jest ani chybi przeklęty. Albo to, albo ta cholerna stara rzeka nie chce się z nim rozstać.

Marsh uśmiechnął się i nalał kawy. – Joshua – rzekł – w tej opowieści jest co prawda ziarno prawdy, ale nie wierz we wszystko, co od niego usłyszysz. Ten człowiek ma na rzece opinię wierutnego łgarza.

– Ależ kapitanie! – rzucił z uśmiechem Framm. Ponownie odwrócił się w stronę rzeki. – Widzi pan tę starą chatę, o tam, tę z zapadniętym gankiem? – zapytał. – To dobrze, bo musi ją pan zapamiętać... – i znów się wyłączył. Minęło dobrych dwadzieścia minut, zanim ponownie się odezwał, by opowiedzieć historię „E. Jenkinsa”, parowca o długości trzydziestu mil, z zawiasami pośrodku, dzięki czemu mógł wykonywać skręty na rzece. Ta opowieść sprawiła, że nawet Joshua York spojrzął na Framma z niedowierzaniem. Ale Framm tylko się uśmiechnął.

Marsh w godzinę po uporaniu się z plackiem udał się do swojej kajuty. Framm był dość zabawny, ale on swoje lekcje będzie odbywać za dnia, gdy wszystkie znaki orientacyjne wzmiankowane przez pilota będą jako tako widoczne.

Kiedy obudził się, był już ranek, a „Fevre Dream” stał w porcie Cape Girardeau, zabierając stamtąd ładunek ziarna. Jak się dowiedział, Framm zawinął tam jeszcze nocą, kiedy na rzece pojawiła się gęsta mgła. Cape Girardeau było hardą miejsciną leżącą na surowych skałach przylądka, jakieś sto pięćdziesiąt mil w dół rzeki od St. Louis, a Marsh po dokonaniu kilku prostych obliczeń ucieszył się, stwierdziwszy, że mieli doskonały czas. Nie rekordowy, co prawda, ale całkiem niezły.

W ciągu godziny „Fevre Dream” był znów na rzece, płynąc z jej prądem. Z nieba lał się lipcowy żar, powietrze było parne, a owady dawały się we znaki, lecz na pokładzie teksaskim panował chłód i spokój. Postoje zarządzano często. Jako że osiemnaście wielkich kotłów musiało pracować pełną parą, statek pochłaniał mnóstwo opału, to wszelako nie stanowiło żadnego problemu, na obu brzegach w regularnych odstępach znajdowały się składy drewna. Gdy tylko zaczynało brakować opału, mat dawał sygnał pilotowi i wkrótce zawijali do brzegu, przy którym stała mała, zapuszczona chatka otoczona wielkimi sagami dębowego lub orzechowego drewna, a Marsh lub Jonathan schodzili na ląd, by dobić targu z tamtejszym

handlarzem. Na dany sygnał na ład schodzili robotnicy, by w mig załadować zakupioną partię drewna na pokład. Pasażerowie lubili oglądać załadunek, stojąc przy relingu na pokładzie kotłowym, pasażerowie z głównego zaś lubili im przeszkadzać.

Postoje robili w większości napotykanych po drodze miast i miasteczek, nieodparcie wzbudzając wielką sensację. Zatrzymali się na nie oznakowanej przystani, by wysadzić jednego pasażera, a na prywatnej, aby jednego przyjąć. Około południa stanęli, aby wziąć na pokład kobietę z dzieckiem, która zamachała do nich z brzegu, a przed czwartą musieli zwolnić i dać całą wstecz, aby mogli ich dogonić trzej mężczyźni w łodzi wiosłowej i wejść na pokład. „Fevre Dream” nie pokonał tego dnia dużego dystansu ani nie płynął szybko. Zanim zachodzące słońce ubarwiło rozległe wody ciemną czerwiecią, ujrzeli przed sobą Cairo, a Dan Albright postanowił, że zwiną tam na noc.

Na południe od Cairo Ohio wpływała do Missisipi i te dwie rzeki wyglądały dość osobliwie. Nie łączyły się od razu, lecz płynęły równoległe, czysta, błękitna wstęga Ohio znacznie różniła się od błotnistobrazowych wód Missisipi. Tu także dolny bieg rzeki nabierał szczególnego charakteru, na dystansie około tysiąca stu mil od Cairo do Nowego Orleanu i Zatoki, Missisipi tworzyła niezliczone meandry niczym skręcający się konwulsyjnie wąz, zmieniając bieg wedle własnego uznania, pochłaniając miękką ziemię w najmniej oczekiwanych miejscach, niekiedy pozostawiając porty wyschnięte na wiór, to znów zalewając całe miasta. Piloci twierdzili, że rzeka ta nigdy nie była dwa razy taka sama. Górna Missisipi, gdzie urodził się i nauczył fachu Abner Marsh, była całkiem innym miejscem, uwięzionym pomiędzy wysokimi, skalistymi brzegami, na poszczególnych odcinkach rzeka biegła mniej więcej w linii prostej. Marsh stał przez długi czas na pokładzie huraganowym, obserwując krajobraz i starając się wyczuć jego odmienność. Zamienił górny bieg rzeki na dolny i, jak stwierdził, rozpoczął nowy etap w swoim życiu.

Wkrótce potem Marsh dyskutował z Jeffersem w jego gabinecie, gdy usłyszał trzy dzwonki, sygnał, że przybijają do brzegu.

Zmarszczył brwi i wyjrzał przez okno. Nie było widać nic prócz

gęsto zalesionego brzegu.

– Ciekawe, dlaczego się zatrzymujemy – zastanawiał się głośno Marsh. – Następny postój mamy w New Madrid. Może nie znam tego odcinka rzeki, ale to na pewno nie jest New Madrid.

Jeffers wzruszył ramionami.

– Może ktoś nas zatrzymał.

Marsh przeprosił go i udał się do pilotówki. Za sterem stał Dan Albright.

– Czy ktoś nas przywoływał? – zapytał Marsh.

– Nie, panie kapitanie – odparł lakonicznie Albright. Był małomówny, trudno było wycisnąć zeń coś więcej prócz zwięzłej odpowiedzi na pytanie.

– Dlaczego stajemy?

– Skład drewna, kapitanie.

Marsh spostrzegł, że istotnie przed nimi na zachodnim brzegu znajdował się skład opału.

– Panie Albright, o ile wiem, uzupełnialiśmy nasze zapasy niespełna godzinę temu. Nie mogliśmy jeszcze wszystkiego spalić. Czy to Kudłaty Mike poprosił o przybicie do brzegu?

Mat miał dopilnować, aby na statku nie zabrakło opału.

– Nie, panie kapitanie. To rozkaz kapitana Yorka. Polecono mi przybicie do brzegu przy tym konkretnym składzie, niezależnie od tego, czy będziemy potrzebować opału, czy też nie. – Albright obejrzał się przez ramię. Był niskim, drobnym mężczyzną z cienkim, ciemnym wąsikiem, w czerwonym jedwabnym krawacie i szytych na miarę skórzanych butach. – Czy każe mi pan płynąć dalej?

– Nie – odrzekł pospiesznie Abner Marsh. – York mógł go ostrzec, ale zgodnie z ich umową miał prawo do wydawania niezwykłych rozkazów. – Czy wiadomo, jak długo tu zabawimy?

– Słyszałem, że pan York ma coś do załatwienia na brzegu. Jeśli nie wstanie do zmierzchu, to podoimy tu cały dzień.

– Niech to szlag. Mamy terminy... pasażerowie zasypią mnie tysiącami pytań. – Marsh zasepił się. – Cóż, chyba nic na to nie poradzimy. Skoro już tu jesteśmy, możemy dobrać jeszcze trochę drewna. Dopilnuję tego.

Marsh dobił targu z chłopakiem prowadzącym skład, szczupłym

Murzynem w cienkiej bawełnianej koszuli. Młodzik nie przywykł do handlowania. Marsh wytargował u niego buczynę po cenie topoli i nakłonił do dorzucenia także paru sosnowych pniaków. Gdy robotnicy zajęli się załadunkiem, Marsh spojrzał kolorowemu chłopakowi prosto w oczy, uśmiechnął się i rzekł:

– Jesteś nowy w tym interesie, prawda?

Chłopak pokiwał głową.

– Tak, panie kapitanie. – Marsh skinął głową i już zaczął się odwracać, by udać się na statek, gdy czarnoskóry dorzucił: – Jestem tu zaledwie od tygodnia, kapitanie. Białego staruszka, co tu był wcześniej, pożarły wilki.

Marsh zmierzył chłopaka wzrokiem.

– Znajdujemy się zaledwie kilka mil na północ od New Madrid, zgadza się?

– Tak jest, panie kapitanie.

Po powrocie na „Fevre Dream” Abner Marsh wydawał się dziwnie ożywiony. Cholerny Joshua York, pomyślał. Co ten człowiek knuł i dlaczego mieli zmarnować przy tym parszywym składzie cały dzień? Marsh był bliski wdarcia się do kajuty Yorka i przekonania go do zmiany decyzji. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym rozmyślił się.

To nie była jego sprawa, upomniał sam siebie. I uzbroił się w cierpliwość.

Godziny mijały powoli, podczas gdy „Fevre Dream” stał przy brzegu, na którym wznosił się skład opałowy. Ku rozdrażnieniu Abnera Marsha w dół rzeki przepłynął w tym czasie tuzin innych parowców. Niemal drugie tyle popłynęło mozolnie pod prąd. Popołudniową rozrywkę zapewniła krótka bójka na noże między dwoma pasażerami, żaden z nich jednak nie odniósł obrażeń. Pasażerowie i załoga „Fevre Dream” przez większość czasu oddawali się błogiemu lenistwu na pokładach, przesiadując na krzesłach w słońcu, paląc, żując tytoń lub dyskutując o polityce.

Jeffers i Albright grali w pilotówce w szachy. Framm w głównym salonie opowiadał niestworzone historie. Kilka dam zaproponowało, aby urządzić tańce. Abner Marsh zaś coraz bardziej się niepokoił.

O zmierzchu Marsh siedział na tarasie górnego pokładu, popijając kawę i oganiając się przed komarami, gdy zgoła przypadkiem zerknął w stronę brzegu i spostrzegł schodzącego ze statku Joshuę Yorka. Był z nim Simon. Zatrzymali się przy chacie i zamienili kilka słów z ciemnoskórym chłopakiem, po czym zapuszczoną ścieżką weszli w głąb lasu.

– A niech mnie – mruknął Marsh, wstając. – Nawet się nie przywitał ani nic. – Zmarszczył brwi. – Kolacji także nie zjadł. – To mu o czymś przypomniało i czym prędzej zszedł na główny pokład, aby się posilić.

Nadeszła noc; pasażerowie i załoga stawali się coraz bardziej niespokojni. Przy barze pito coraz więcej trunków. Jakiś plantator starał się udowodnić innym, jaką ma mocną głowę, pozostali zaczęli śpiewać, a pewien młody mężczyzna, nadgorliwy zwolennik abolicji, dostał laską za swoje przekonania.

Około północy Simon wrócił na statek, sam. Abner Marsh był przy barze, gdy Kudłaty Mike poklepał go po ramieniu; Marsh polecił, by o powrocie Yorka informowano go natychmiast.

– Ściągnij swoich ludzi na pokład i każ Whiteyowi zwiększyć ciśnienie pary – rzucił do mata. – Musimy nadrobić stracony czas. – To rzekłszy, poszedł zobaczyć się z Yorkiem. Jednakże Yorka nie było na pokładzie.

– Joshua chce, aby ruszył pan w dalszą drogę – powiadomił go Simon. – On sam będzie podróżował łądem i spotka się z panem w New Madrid. Tam zaczeka pan na niego.

Mimo licznych pytań nie zdołał wyciągnąć z niego nic więcej; Simon spojrzał tylko na Marsha swymi małymi, zimnymi oczami i powtórzył wiadomość:

– „Fevre Dream” ma zaczekać na Yorka w New Madrid.

Dotarcie do celu nie zajęło im wiele czasu. Była to przyjemna podróż. New Madrid leżał zaledwie o kilka mil od składu, przy którym zmitrężyli cały dzień. Marsh bez cienia żalu opuścił posępne miejsce i odpłynął w noc.

– Niech diabli porwą tego Joshuę – wymamrotał.

W New Madrid stracili niemal całe dwa dni.

– On nie żyje – zawyrokował Jonathan Jeffers po

półtoradniowym oczekiwaniu.

W New Madrid były hotele, salony bilardowe, kościoły oraz wiele innych rozrywek, o których w składzie opałowym można jedynie pomarzyć, toteż czas spędzony w porcie nie dłużył się tak bardzo, jednakże tak czy siak był to czas stracony. Pół tuzina pasażerów, zniecierpliwionych zwłoką przy sprzyjającej pogodzie – statek wydawał się w doskonałym stanie, poziom rzeki zadowolający – zjawilo się u Marsha z żądaniem zwrotu opłaty za przewóz. Odmówiono im w stanowczy i gwałtowny sposób, ale Marsh wewnątrz się burzył i otwarcie zastanawiał się, co też mogło przydarzyć się Joshui Yorkowi.

– York żyje – twierdził. – Przypuszczam, że pożałuje tego, gdy dostanę go w swoje ręce, ale jestem pewien, że na razie cieszy się dobrym zdrowiem.

Brwi Jeffersa za szklami okularów w złotych oprawkach uniosły się w dwa łuki.

– Czyżby? Skąd ta pewność, kapitanie? Był sam, powędrował pieszo przez las. W kniei można spotkać rozmaitych drapiezców, w tym także zwierzęta. O ile wiem, w okolicy New Madrid zdarzyło się ostatnio kilka wypadków śmiertelnych.

Marsh spojrzał na niego.

– Co takiego? – zapytał. – Skąd pan to wie?

– Czytam gazety – odrzekł Jeffers.

Marsh łypnął nań gniewnie.

– Cóż, to bez znaczenia. York żyje. Wiem to, panie Jeffers. Jestem o tym przekonany.

– Może więc się zgubił? – zastanawiał się oficer z chłodnym uśmiechem. – Co pan powie na zorganizowanie grupy poszukiwawczej?

– Pomyślę nad tym – odrzekł Abner Marsh.

Nie było jednak takiej potrzeby. Tej nocy, godzinę po zachodzie słońca, Joshua York zjawił się na nabrzeżu. Nie wyglądał jak ktoś, kto spędził dwa dni samotnie w środku lasu. Buty i nogawki miał mocno zakurzone, poza tym jednak jego ubranie wyglądało równie elegancko jak tego wieczoru, gdy zszedł z pokładu. Szedł szybkim, lecz wytwornym krokiem. Wchodząc na pokład, spostrzegł drugiego

mechanika, Jacka Ely'ego.

– Znajdź Whiteya, niech zwiększy ciśnienie pary – poinformował go. – Wyływamy. – I zanim ktokolwiek zdążył go o cokolwiek zapytać, znalazł się w połowie wielkich schodów.

Powrót Joshuy sprawił, że Marsh pomimo gniewu i zaniepokojenia poczuł głęboką ulgę.

– Zadzwoń tym cholernym dzwonem, żeby wszyscy, którzy zeszli na ląd, wiedzieli, że odpływamy – zwrócił się do Kudłatego Mike'a. – Chcę, abyśmy najszybciej, jak to możliwe, znów znaleźli się na rzece.

York był w swojej kajucie, mył ręce w miednicy z wodą, którą postawił na komódce.

– Abnerze – powiedział uprzejmie, gdy Marsh wmaszerował do środka, głośno zapukawszy uprzednio do drzwi. – Czy sądzisz, że przyrządzenie późnej kolacji sprawiłoby Toby'emu wiele kłopotu?

– Czy tobie sprawiłoby wiele kłopotu, gdybyś odpowiedział mi, dlaczego zmarnowaliśmy tyle czasu? – odparował Marsh. – Niech to dunder świśnie, Joshua, co prawda mówiłeś, że niekiedy zachowujesz się dziwnie, ale żeby tak zniknąć na dwa dni! To nie służy interesom firmy przewozowej, możesz mi wierzyć.

York starannie osuszył długie blade palce i odwrócił się.

– To było ważne. I ostrzegam cię, że może się powtórzyć. Musisz przywyknąć do moich dziwactw, Abnerze, i dopilnować, by nie zadawano mi w związku z nimi żadnych pytań.

– Mamy towar do dostarczenia i pasażerów płacących za przejazd, nie wolno nam zatrzymywać się na postój przy byle składzie opałowym. Co mam powiedzieć ludziom?

– Co tylko zechcesz. Jesteś pomysłowy, Abnerze. Ja zapewniłem naszej spółce wkład finansowy. Do ciebie należeć będzie wymyślanie przekonujących wymówek. – Mówił serdecznym, lecz stanowczym tonem. – Jeśli cię to pocieszy, pierwszy rejs będzie najgorszy. Podczas kolejnych spodziewam się odbyć znacznie mniej podobnych tajemniczych wypadów, a może nawet obejdziesz się bez nich. Przestanę ci sprawiać kłopoty, a ty będziesz mógł pobić rekord szybkości na trasie. – Uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że to cię zadowala. Odrobinę cierpliwości, przyjacielu. Dotrzemy w końcu do

Nowego Orleanu, a potem już będzie z górki. Czy potrafisz to przyjąć, Abnerze? A może coś jest nie tak?

Abner Marsh mocno mrużył powieki i prawie nie słuchał Yorka. Miał dziwny wyraz twarzy.

– Nie – odrzekł pospiesznie – chodziło mi tylko o te dwa dni. Nic więcej. Ale to już nieważne. To nieistotne. Będzie, jak powiedziałeś, Joshua.

York, najwyraźniej usatysfakcjonowany, pokiwał głową.

– Przebiorę się, namówię Toby’ego, aby zrobił mi coś do jedzenia, a potem pójdę do pilotówki, aby móc lepiej poznać tę rzekę. Kto ma dziś nocną wachtę?

– Pan Framm – odrzekł Marsh.

– Świetnie – mruknął York. – Karl jest bardzo zabawny.

– To prawda – rzucił Marsh. – Wybacz, Joshua. Muszę zejść na dół i dopilnować paru rzeczy, skoro jeszcze dziś wypływamy. – Odwrócił się gwałtownie i wyszedł z kajuty. Na zewnątrz jednak, pośród upalnej nocy, Abner Marsh oparł się ciężko na swojej lasce i wlepił wzrok w rozgwieżdżoną ciemność, usiłując wytłumaczyć sobie to, co, jak mu się zdawało, spostrzegł w kajucie drugiego kapitana.

Gdyby tylko miał lepszy wzrok. Gdyby York zapalił obie lampy naftowe zamiast jednej. Gdyby odważył się podejść bliżej. Tak trudno było to dostrzec, od komódki dzieliło go dobrych kilka kroków. Mimo to Marsh wciąż nie potrafił o tym zapomnieć. Ręcznik, w który York wycierał ręce, był poplamiony. Plamy były ciemne. Czerwonawe. Wyglądały co najmniej podejrzanie. Jak plamy krwi.

ROZDZIAŁ 9

Na pokładzie parowca „Fevre Dream” rzeka Missisipi, sierpień 1857

Dni płynęły leniwie, a „Fevre Dream” równie wolno sunął po Missisipi. Przeciętny parowiec handlowy mógł dotrzeć z St. Louis do Nowego Orleanu i z powrotem w dwadzieścia osiem dni, nawet biorąc pod uwagę niespodziewane postoje, załadunek oraz rozładunek towarów w portach i wyjątkowo paskudną pogodę. Jednakże w takim tempie, w jakim płynął „Fevre Dream”, samo dotarcie do Nowego Orleanu zajęło mu miesiąc. Abner Marsh miał wrażenie, że wszystko, pogoda, rzeka i Joshua York, sprzysięgło się, aby opóźnić żeglugę. Mgła wisiała nad wodą przez całe dwa dni, gęsta i szara niczym brudna bawełna. Dan Albright płynął w takich warunkach przez mniej więcej sześć godzin, ostrożnie manewrując parowcem pośród nieprzeniknionych wirujących oparów, które nikły i rozstępowały się przed wielkim statkiem, zmieniając Marsha w istny kłębek nerwów. Gdyby to zależało od niego, zarządziłby postój z chwilą pojawienia się mgły; nie chciał ryzykować, aby „Fevre Dream” spotkało coś złego, lecz na rzece o takich sprawach decydował nie kapitan, a pilot, Albright zaś postanowił płynąć dalej.

W końcu opary stały się zbyt gęste nawet jak dla niego i stracili półtora dnia na postój w pobliżu Memphis; zabijali czas, obserwując brunatne fale przepływające obok, obmywające burty statku i wsłuchując się w dochodzące z mgieł głośnie pluski. Raz minęła ich tratwa, na jej pokładzie płonęło ognisko, usłyszeli głosy pokrzykujących flisaków, słabe, ciche wołanie rozbrzmiewające po rzece przez dłuższą chwilę, zanim szarość pochłonęła zarówno tratwę, jak i dźwięki.

Kiedy mgła podniosła się w końcu na tyle, że Karl Framm uznał, iż można już bezpiecznie płynąć dalej, po zaledwie półgodzinnej żegludze wpłynęli na mieliznę. Była to wina pilota. Framm próbował skorzystać z nie sprawdzonego skrót, aby nadrobić nieco straconego czasu. Robotnicy, palacze i tragarze zeszli na brzeg pod komendą Kudłatego Mike'a i zepchnęli statek z piaszczystej łachy, ale zajęło im to z górą trzy godziny, później zaś „Fevre Dream” posuwał się już znacznie wolniej i ostrożniej. Albright w jolce płynął przodem, sondując rzekę. Wreszcie pokonali feralny odcinek „skrót” i znów wyszli na szerokie wody, lecz nie był to bynajmniej koniec ich kłopotów. Trzy dni później rozpętała się burza i „Fevre Dream” musiał niejednokrotnie pokonywać załom rzeki szerokim łukiem, w innych miejscach bowiem rzeka była zbyt płytka lub zagrodzona zwalonymi konarami oraz pniami drzew. I tak płynęli, z mozołem, a w niedużej jolce przed statkiem znajdował się nie mający akurat wachty pilot, oficer i kilku marynarzy, rzucali ołowiankę, po czym okrzykiwali wynik sondowania: „Ćwierć długości” albo: „Ćwierć minus trzy” lub: „Równo trzy długości”. Noce były na przemian czarne i zachmurzone albo mgliste. Parowiec, jeśli już płynął, utrzymywał niewielką prędkość, jedną czwartą pełnej mocy, a nawet mniej, w pilotówce obowiązywał zakaz palenia, wszystkie okna zaś starannie zasłonięta i pozamykano nawet okiennice, aby światło nie wypływało na zewnątrz i by sternik mógł wyraźniej widzieć rzekę. W takie noce brzegi były czarne jak smoła, wiły się niczym jadowite węże, jakby chciały zmylić człowieka, nie pozwalając mu domyślić się, gdzie jest głębina, gdzie kończy się woda, a zaczyna ład. Powierzchnia rzeki była atramentowoczarna, nie rozjaśniona światłem gwiazd ani blaskiem księżyca. W niektóre noce trudno było

nawet spostrzec „złodzieja”, urządzenie umieszczone na maszcie flagowym, dzięki któremu pilot określał poziom ich zanurzenia.

Framm i Albright, choć tak różni, byli jednak pierwszorzędnymi pilotami i gdy było to możliwe, kontynuowali rejs. Jeśli statek przybijał do brzegu, oznaczało to, że na rzece nic się nie poruszało, jeżeli nie liczyć tratw, spławianych kłód drewna oraz garstki łodzi płaskodennych i niedużych parowców o bardzo małej wyporności.

Joshua York stale im pomagał; każdej nocy zjawiał się w pilotówce, przejmując wachtę, jak na karnego ucznia przystało.

– Powiedziałem mu od razu, że w taką noc jak ta nie ma mowy o kontynuowaniu rejsu – rzekł Framm do Marsha podczas wspólnej kolacji. – Nie potrafię nauczyć go określenia głębokości rzeki, skoro sam nie jestem jej pewien, nieprawdaż? Mimo to ten człowiek widzi po ciemku jak nikt inny, kogo miałem okazję poznać. Mógłbym przysiąc, że czasami jest nawet w stanie wejrzeć w głębinę, choćby była nie wiadomo jak czarna i nieprzenikniona. Towarzyszy mi przez cały czas, gdy oszacowuję głębokość, i dziewięć razy na dziesięć zna wynik jeszcze przede mną. Ubiegłej nocy, podczas psiej wachty, znów przybiłbym do brzegu, gdyby nie Joshua.

Mimo to York również powodował opóźnienia w podróży. Na jego polecenie zarządzono sześć dodatkowych postojów: w Greenville, dwóch mniejszych miasteczkach, na prywatnej przystani w Tennessee i dwukrotnie przy składach drewna. Dwa razy nie było go przez całą noc. W Memphis York nie miał na brzegu nic do załatwienia, a jednak niemiłosiernie odwlekał wyjście z portu; kiedy zawinęli do Heleny, zniknął na całą noc, w Napoleon zaś nie było ani jego, ani Simona przez trzy dni; Bóg jeden wie, co w tym czasie robili. W Vicksburgu było jeszcze gorzej, zmitrężyli całe cztery noce, zanim Joshua York raczył w końcu wrócić na statek.

W dniu, w którym wypłynęli z Memphis, zachód słońca był wyjątkowo urzekający. Rzadkie pasma mgły nabrały pomarańczowej barwy, a chmury na zachodzie nabiegły wściekłą, krwistą czerwieńią; wydawało się, jakby całe niebo stanęło w ogniu. Jednakże Abner Marsh stojący samotnie na górnym pokładzie nie odrywał wzroku od rzeki. W zasięgu wzroku nie było innych parowców. Woda przed nimi była spokojna, tu i ówdzie wiatr burzył

powierzchnię drobnymi falami, a prąd opływał złowieszcze czarne konary zwalonego drzewa sterczącego z brzegu, ale nie licząc tego, stara wiedźma wydawała się dziwnie senna i rozleniwiona. Gdy słońce opadało coraz niżej, błotniste wody nabrały czerwonej barwy, której odcień nasycał się i ciemniał, aż mogło wydawać się, że „Fevre Dream” płynie po rzece krwi. Wreszcie słońce skryło się za drzewami i chmurami, krew zaś powoli ściemniała, początkowo brązowiejąc jak krzepnąca posoka, aż w końcu szerniała, nabierając odcienia cmentarnej ziemi. Marsh patrzył, jak resztki karmazynowej poświaty nikną wśród mroku. Tej nocy nie było gwiazd. Myśląc o krwi, kapitan zszedł na kolację.

Od postoju w New Madrid upłynęło dobrych parę dni, a Marsh nic w tej sprawie nie zrobił ani nie powiedział. Mimo to sporo rozmyślał o tym, co widział – lub co wydawało mu się, że zobaczył w kajucie Joshuy. Rzecz jasna, nie miał pewności, że w ogóle cokolwiek ujrzał. A zresztą gdyby nawet, to co z tego? Może Joshua zranił się o coś w lesie... aczkolwiek Marsh następnej nocy uważnie przyjrzał się dłoniom Yorka i nie dostrzegł na nich żadnych skaleczeń ani strupów. Może Joshua zabił jakieś zwierzę albo bronił się przed złodziejami – wyjaśnień mogło być wiele, wszystkie wszelako upadały w zetknięciu z milczeniem Yorka. Jeżeli nie miał nic do ukrycia, dlaczego był tak piekielnie skryty? Im dłużej Marsh o tym myślał, tym mniej mu się to podobało.

Abner wielokrotnie miał okazję widzieć krew w dużych ilościach – podczas bójek na pięści i z użyciem pałek, a także pojedynków z użyciem broni białej i pistoletów. Rzeka płynęła przez kraj, gdzie panowało niewolnictwo, i krew tych, którzy mieli czarną skórę, przelewano tu każdego dnia z najbliższych powodów. W wolnych stanach wcale nie było lepiej. Marsh spędził kiedyś trochę czasu w zauszonym Kansas, widział ludzi palonych żywcem i ginących od kul. W młodości służył w milicji w Illinois i walczył w wojnie z Czarnym Jastrzębiem. Wciąż śnił o bitwie pod Black Axe, kiedy to jego oddział wyrzwał w pień plemię Czarnego Jastrzębia, w tym także kobiety i dzieci, próbujące przekroczyć Missisipi i znaleźć schronienie na jej drugim brzegu. Był to krwawy dzień, ale w pełni uzasadniony. Czarny Jastrząb wstąpił na wojenną ścieżkę

i przeprowadzał najazdy aż do samego Illinois.

Tyle tylko, że krew na dłoniach Joshuy (jeśli to była krew) wyglądała jakoś inaczej. Widok ten wzbudził w Marshu niepokój i konsternację.

Niemniej jednak, upominał sam siebie, zawarł układ i musiał dotrzymać słowa. Dla Abnera Marsha dane słowo było droższe od pieniędzy, prawdziwy mężczyzna zaś winien przestrzegać paktów, niezależnie czy zawarł je z klechą, czy z samym Lucyferem. Joshua York wspominał, że ma wielu wrogów, a to, w jaki sposób mężczyzna sobie z nimi radzi, jest wyłącznie jego prywatną sprawą. Jak dotąd, York był wobec Marsha szczerzy.

I to by było na tyle, skonstatował Marsh, usiłując zapomnieć o całej sprawie.

Tylko że Missisipi spłynęła krwią i krew nawiedzała Marsha także w snach. Na pokładzie „Fevre Dream” nastroje były coraz bardziej minorowe. Jeden z palaczy zachował się nieostroźnie i poparzyła go para, skutkiem czego musiał zejść na brzeg w Napoleon. W Vicksburgu uciekł pewien robotnik; postąpił skądinąd głupio, znajdował się bowiem w kraju niewolnictwa, a on był kolorowym wyzwolencem. Wśród pasażerów z pokładu głównego wybuchały sprzeczki i bójki. To wszystko przez tę nudę i dławiący, wilgotny, parny, sierpniowy upał, tłumaczył mu Jeffers.

– Kiedy robi się gorąco, męty dostają szału – przytaknął Kudłaty Mike.

Abner Marsh nie był tego taki pewien. Odnosił wrażenie, jakby zostali naznaczeni i byli nękani kolejnymi, coraz dotkliwymi plagami.

Missouri i Tennessee pozostały w dali za nimi, a Marsh niepokoił się jeszcze bardziej. Mijali miasta, miasteczka i składy drewna, dni zmieniały się w długie, uciążliwe tygodnie; z powodu zarządzanych przez Yorka przestojów tracili kolejnych pasażerów i ładunek. Marsh schodził na brzeg, odwiedzając popularne wśród pracowników żeglugi rzecznej knajpy i hotele i nasłuchiwał, a to, co usłyszał na temat swego statku, bynajmniej nie przypadło mu do gustu. Powiadano, że pomimo olbrzymiej ilości kotłów „Fevre Dream” był za duży i za ciężki i wcale nie tak szybki, jak można by

przypuszczać. Krążyły plotki, jakoby miał kłopoty z silnikiem, kotły rzekomo nie wytrzymały i były bliskie wybuchu. To nie były pomyślne wieści – wszyscy obawiali się eksplozji kotłów. Pewien mat z nowoorleańskiego statku powiedział Marshowi w Vicksburgu, że choć „Fevre Dream” prezentuje się naprawdę okazale, jego kapitan jest nieopierzonym żółtodziobem, nie znającym tej części rzeki i nie mającym dość ikry, by pokazać, na co naprawdę stać jego jednostkę. Marsh omal nie roztrzaskał mu czaszki. Plotki krążyły także na temat Yorka oraz jego osobliwych przyjaciół i ich dziwacznych zachowań. „Fevre Dream” zaczął zyskiwać reputację, nie taką jednak, jakiej mógłby życzyć sobie Abner Marsh.

Zanim zawinęli do Natchez, cierpliwość Marsha była już na wyczerpaniu. Miał dość.

Na godzinę przed zmierzchem w oddali ukazały się pierwsze, słabo jeszcze widoczne zabudowania Natchez; było późne popołudnie, ale w kilku domach paliły się już światła, cienie od zachodu wydłużały się. Dzień był pogodny, lecz parny; od opuszczenia Cairo utrzymywali całkiem niezłe tempo. Rzeka miała złocisty poblask, słońce skrzyło się na jej powierzchni, nadając toni wygląd płynnego złota, a od zmarszczek na wodzie wywoływanych przez wiatr były oślepiające refleksy. Marsh nieco zmęczony upałem uciał sobie popołudniową drzemkę, wstał jednak i wyszedł z kajuty, usłyszawszy wizg syreny w odpowiedzi na sygnał innego parowca, sunącego gładko i dumnie po gładzi rzeki. Była to swoista rozmowa statków, o czym Marsh wiedział doskonale, rodzaj rywalizacji między jednostkami, od której wyniku zależało, z której strony będą się mijać, gdy się już spotkają. Przypadki takie zdarzały się wielokrotnie każdego dnia. Tyle tylko, że w syrenie tamtego statku było coś, co go przyzywało, zmuszało, by zwał się z nakrytego przepoconą, skotłowaną narzutą łóżka i wyszedł na górny pokład w chwili, gdy mijała ich druga jednostka; „Eclipse”, szybka i dumna, złote poroże pomiędzy kominami skrzyło się w słońcu, na pokładach było aż gęsto od pasażerów, z kominów buchał dym.

Marsh obserwował parowiec odpływający w górę rzeki, niknący coraz bardziej, aż w końcu widać było tylko pozostawioną przezeń smugę dymu, a w żołądku czuł dziwny, nieprzyjemny ucisk.

Kiedy „Eclipse” rozplynął się niczym złoty sen, Marsh odwrócił się i ujrzał w dali nabrzeże Natchez. Usłyszał dzwon, sygnał dobijania do brzegu i znów rozległ się przeraźliwy dźwięk syreny.

Przy nabrzeżu stało kilkanaście parowców, za nimi zaś dwa miasta czekały na „Fevre Dream”. Na wysokich stokach wznosiło się Natchez-on-the-hill, miasto właściwe, z szerokimi ulicami, drzewami, kwiatami i eleganckimi, wytwornymi domami. Każdy z nich miał swoją nazwę. Monmouth. Linden. Auburn. Ravenna. Concord, Belfast i Windy Hill. The Burn. Marsh był w Natchez kilkakrotnie, wiele lat temu, zanim jeszcze stał się właścicielem linii przewozowej, i miał okazję oglądać każdą z tych słynnych rezydencji. Były wielkie niczym pałace i Marsh nie czuł się wśród nich swobodnie. Stare rody, które w nich zamieszkiwały, także zachowywały się jak rodziny królewskie, wyniosłe i arogancko; ich przedstawiciele sączyli miętowe napoje alkoholowe, sherry oraz wino, które chłodzili lodem, a dla rozrywki urządzali wyścigi konne i polowania na niedźwiedzie, najmniejszy afront traktowali jak śmiertelną obrazę, którą należało zmasać w pojedynku na rewolwery lub noże myśliwskie. Marsh słyszał, że nazywano ich nababami. Byli elitą, wojskowymi, niemal każdy z nich miał stopień pułkownika. Niekiedy zjawiali się na molo, a wówczas niezależnie od tego, jak się zachowywali, należało zaprosić ich na pokład parowca i poczęstować cygarami oraz drinkami.

Byli jednak krótkowidzami. Spoglądając ze swych rezydencji na wzgórzach na roziskrzony słońcem majestat rzeki, nie dostrzegali tego, co rozpościerało się poniżej.

W dole zaś, pomiędzy rzeką a wzgórzami, znajdowało się drugie miasto – Natchez-under-the-hill. Nie było w nim marmurowych kolumn, a kwiatów też jak na lekarstwo. Ulice były albo pyliste, albo przypominały błotniste bajora. Przy nabrzeżu królowały zamtuzy, było ich przy Silver Street, a raczej przy tym, co z niej zostało, bez liku. Większą część ulicy wiele lat temu zabrała rzeka, ocalałe chodniki zapadły się, krążyły po nich krzykliwie ubrane kobiety i niebezpieczni, zimnoocy, aroganccy młodzi mężczyźni.

Przy głównej ulicy znajdowały się bary, salony bilardowe i kasyna gry, każdego wieczoru miasto obok miasta tętniło życiem

i emocjami. Bójki, pijaństwo i krew, ostry poker i hiszpańskie pogrzeby, dziwki gotowe spełnić niemal każdą zachciankę klienta i mężczyźni zdolni z uśmiechem zabrać komuś sakiewkę i poderżnąć mu później gardło. Takie było właśnie Natchez-under-the-hill. Whisky, ciała i karty, czerwone latarnie, pijackie przyśpiewki i rozwodniony dzin, takie było to życie nad rzeką. Pracownicy żeglugi rzecznej kochali Natchez-under-the-hill, a także jego powiększającą się populację tanich kobiet, rzeźmieszków, morderców, hazardzistów, wyzwolonych czarnych oraz Mulatów, a jednocześnie nienawidzili tego wszystkiego. Starsi mieszkańcy zapewniali, że miasto u podnóża wzgórz nie było ani tak brutalne, ani tak występne jak przed czterdziestu laty czy choćby przed nadejściem tornada, które, zesłane przez Boga, oczyściło to plugawe miejsce w roku 1840. Marsh nic o tym nie wiedział; jak dla niego miasto było dostatecznie występne i wyuzdane i spędził w nim przed laty kilka pamiętnych nocy. Tym razem wszelako patrzył na nie z niepokojem i odrobiną wahania.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie zrezygnować z postoju, był gotów udać się do pilotówki i nakazać Albrightowi, aby płynął dalej. Musieli jednak wysadzić na ląd pasażerów i wyładować towar, a załoga nie mogła już doczekać się spędzenia nocy w bajecznym Natchez, toteż Marsh, pomimo złych przeczuć, nie uczynił niczego, by się temu przeciwstawić.

„Fevre Dream” zawinął do portu i zacumował przy nabrzeżu. Miał pozostać tu przez całą noc. Statek został unieruchomiony, ciśnienie pary zmniejszono, pozwolono, by ogień w jego trzewiach wygasł, i dopiero wtedy załoga wylała się zeń jak krew z otwartej rany. Kilku mężczyzn zakupiło przy nabrzeżu mrożony krem lub owoce sprzedawane z wózków przez kolorowych, większość jednak od razu skierowała się w głąb Silver Street ku jasnemu, silnym światłom.

Abner Marsh pozostał na pokładzie teksaskim, aż na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Z okien zamtułów popłynęły dźwięki piosenek, niosąc się nad wodą, lecz nawet to nie poprawiło mu nastroju. Wreszcie Joshua York otworzył drzwi swojej kajuty i wyszedł w mrok nocy.

– Schodzisz na brzeg, Joshua? – zwrócił się do niego Marsh.
York uśmiechnął się chłodno.

– Tak, Abnerze.

– Jak długo nie będzie cię tym razem?

Joshua York lekko wzruszył ramionami.

– Nie potrafię powiedzieć. Wrócę najszybciej, jak będę mógł.
Czekaj na mnie.

– Wolałbym pójść z tobą, Joshua – odparł Marsh. – To Natchez.
A ściślej mówiąc, Natchez-under-the-hill. Straszna dziura.
Mordownia. Możemy czekać tu miesiąc, podczas gdy ty będziesz
leżeć w jakimś rynsztoku z poderżniętym gardłem. Pozwól mi pójść
z tobą, oprowadzę cię. Znam takie miejsca. Ty nie.

– Nie – rzekł krótko York. – Mam coś do załatwienia na brzegu.

– Jesteśmy współnikami, prawda? Twój interes jest także moim,
jeżeli tylko dotyczy „Fevre Dream”.

– Są interesy, które nie dotyczą naszego parowca, przyjacielu.
I rzeczy, w których nie możesz mi pomóc. Niektóre sprawy muszę
załatwić sam.

– Ale Simon ci towarzyszy, prawda?

– Czasami. To co innego, Abnerze. Simona i mnie łączą pewne...
zainteresowania, których ty ze mną nie podzielasz.

– Wspomniałeś kiedyś o wrogach. Jeżeli o to chodzi, o zajęcie
się kimś, kto żywi wobec ciebie silną urazę, powiedz mi. Pomogę ci.

Joshua York pokręcił głową.

– Nie, Abnerze. Moi wrogowie niekoniecznie muszą być twoimi.

– Pozwól, że ja o tym zadecyduję. Jak dotąd byłeś wobec mnie
szczery. Zaufaj mi, aby to odczucie było obustronne.

– Nie mogę – odparł Joshua ze smutkiem. – Abnerze,
zawarliśmy układ. O nic nie pytaj. Proszę. A teraz bądź łaskaw mnie
przepuścić.

Abner Marsh pokiwał głową i odstaąpił na bok, a Joshua York
prześlizgnął się obok niego i zaczął schodzić po schodach.

– Joshua! – zawołał Marsh, gdy tamten był prawie na dole. York
odwrócił się. – Uważaj na siebie – dokończył Marsh. – Natchez
bywa... krwawe.

York długo mu się przyglądał, a jego oczy były szare

i nieodgadnione jak dym.

– Oczywiście – odezwał się w końcu. – Będę miał się na bacności. – To rzekłszy, odwrócił się i już go nie było.

Abner Marsh patrzył, jak tamten schodzi na brzeg i znika w Natchez-under-the-hill, jego szczupła postać rzucała długie cienie w blasku dymiących latarni. Kiedy na dobre stracił Joshuę z oczu, Marsh odwrócił się i udał do kajuty kapitańskiej.

Drzwi były zamknięte, tak jak się tego spodziewał. Marsh sięgnął do głębokiej kieszeni i wyjął z niej klucz.

Zawahał się przed wsunięciem go do zamka. To, że polecił wykonanie duplikatów kluczy, które przechowywał w sejfie, nie było zdradą, lecz przejawem zdrowego rozsądku. Zdarzało się, że ludzie umierali w zamkniętych kajutach i lepiej było mieć pod ręką zapasowy klucz, niż wyważać drzwi. Zrobienie z klucza użytku to skądinąd całkiem co innego. Bądź co bądź zawarł układ. Wspólnicy powinni jednak sobie ufać, a skoro Joshua York nie chciał zaufać jemu, dlaczego nie miałby odwzajemnić mu się tym samym?

Marsh powoli, nieśmiało przekręcił klucz w zamku i wszedł do kajuty Yorka.

Znalazszy się w środku, zapalił lampę naftową i zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę stał niepewnie, rozglądając się dokoła i zastanawiając, co właściwie spodziewał się tu znaleźć. Kajuta Yorka, olbrzymie pomieszczenie mieszkalne, wyglądała tak samo jak podczas poprzednich wizyt Marsha. Aczkolwiek musiało tu być coś, co powiedziałoby mu więcej na temat Yorka i podsunęło jakiś trop w związku z naturą jego osobliwych zachowań.

Marsh podszedł do biurka, uznał, że najlepiej będzie zacząć właśnie od niego, zasiadł w fotelu Yorka i zabrał się do przeglądania gazet. Dotykał ich delikatnie, zapamiętując ułożenie każdej z nich, aby wychodząc, pozostawić wszystko w takim samym porządku. Gazety... no cóż, nie było w nich niczego niezwykłego. Na biurku leżało ich chyba z pięćdziesiąt, egzemplarze zarówno nowe, jak i stare, nowojorski „Herald” i „Tribune”, kilka gazet z Chicago, wszystkie dzienniki z St. Louis i Nowego Orleanu, a także periodyki z Napoleon, Baton Rouge, Memphis, Vicksburga i Bayou Sara i tygodniki z tuzina pomniejszych nadrzecznych miejscowości.

Wycięto z nich kilka artykułów.

Pod stertą gazet Marsh natknął się na dwie oprawne w skórę księgi. Wysunął je powoli, starając się ignorować nerwowy ucisk w dołku. Być może natrafił właśnie na dziennik lub pamiętnik, coś, co wyjaśni mu, skąd przybywał York i dokąd zmierzał. Otworzył pierwszą księgę i zmarszczył brwi rozczarowany. To nie był pamiętnik. Raczej zbiór wycinków prasowych, powklejanych na kolejnych stronach i zaopatrzonych w wykonane starannym charakterem pisma Joshuy oznaczenia daty i miejsca, z którego pochodziły.

Marsh przeczytał pierwszy z artykułów, pochodzący z gazety z Vicksburga, który traktował o odnalezionym na nabrzeżu, wyrzuconym przez wodę ciele. Wycinek pochodził sprzed sześciu miesięcy. Na sąsiedniej stronie umieszczono dwa artykuły, również z gazety vicksburskiej: w chacie odległej o dwadzieścia mil od miasta odkryto zwłoki zmarłej rodziny, w lesie zaś natrafiono na trupa młodej Murzynki, zapewne uciekiniarki, przyczyna zgonów pozostawała rzekomo nieznaną.

Marsh przewrócił stronę, przeczytał kolejne artykuły i przewrócił następną. Po jakimś czasie zamknął książkę i otworzył drugą. To samo. Kolejne strony artykułów o trupach, zagadkowych zgonach, ciałach odkrywanych to tu, to tam, klucz przy segregowaniu wycinków stanowiły miasta. Marsh zamknął księgi, odłożył je na miejsce i zamyślił się. W gazetach było sporo artykułów na temat śmierci i zabójstw, a jednak York ich nie wyciął. Dlaczego? Marsh przejrzał kilka świeższych gazet i przeczytał je, dopóki nie nabrał pewności. A wówczas zasepił się. Wyglądało na to, że Yorka nie interesowały strzelaniny, bójki na noże czy śmierć wskutek utonięcia lub eksplozji kotła na statku, nie zaprzętał sobie głowy ofiarami pożarów, hazardzistami ani złodziejami powieszonymi w majestacie prawa. Wycinki, które zbierał, były inne. Dotyczyły przede wszystkim nie wyjaśnionych, zagadkowych śmierci. Ludzi, którym rozszarpano gardła. Zwłok, które były tak zmasakrowane, rozdarte na strzępy lub przeżarte zgnilizną, że nie sposób było ustalić przyczyny zgonu. Pisano w nich także o ciałach, które nie miały żadnych widocznych obrażeń, o ludziach, którzy umarli z bliżej

nieokreślonych powodów, o ranach zbyt małych, by na pierwszy rzut oka można było je zauważyć, o zwłokach z pozoru nienaruszonych, a jednak zupełnie pozbawionych krwi. W tych dwóch księgach musiało znajdować się od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu artykułów, zapisy zgonów z ubiegłych dziewięciu miesięcy, które wydarzyły się wzdłuż dolnego biegu Missisipi.

Przez krótką chwilę Abner Marsh poczuł lęk, dojmującą zgrozę na myśl, że być może Joshua gromadził kronikę własnych morderczych czynów. Jednakże już po chwili przekonał się, że jego obawy były bezpodstawne. Zaledwie w kilku przypadkach daty tajemniczych eskapad Joshuy i zagadkowych zgonów pokrywały się. W większości przypadków, gdy owych ludzi spotykał tak smutny los, Joshua był z nim w St. Louis, New Albany lub na pokładzie „Fevre Dream”.

Nie mógł ponosić winy za ich śmierć.

Mimo to, jak stwierdził Marsh, York zarządzał kolejne postoje statku według pewnego wzorca. Schodził na brzeg i odwiedzał jedno po drugim kolejne miejsca zdarzeń opisywanych w artykułach. Czego szukał? Czego... lub kogo? Wroga? Wroga, który popełniał te plugawe zbrodnie, poruszając się w tę i z powrotem wzdłuż rzeki? Jeżeli tak, to Joshua musiał działać z ramienia prawa. Po cóż więc to milczenie, skoro przyświecał mu prawy i szlachetny cel?

Wrogów musiało być kilku, skonstatował Marsh. Jedna osoba nie mogła być odpowiedzialna za wszystkie zabójstwa opisane w artykułach z dwóch grubych ksiąg, a poza tym Joshua sam stwierdził, że „ma wielu wrogów”. W dodatku wrócił z New Madrid, mając na rękach krew, to jednak nie zakończyło jego poszukiwań.

Marsh nie potrafił tego wszystkiego pojąć.

Zaczął przetrząsać szuflady i rozmaite skrytki w biurku Yorka. Elegancka papeteria, kartki zdobione wizerunkiem „Fevre Dream” i stylizowanym napisem z nazwą firmy. Koperty, inkaust, pół tuzina piór, suszka, mapa systemu rzecznego z oznaczeniami, pasta do butów, wosk do lakowania, innymi słowy nic, co mogłoby rzucić choć odrobinę światła na tę sprawę. W jednej z szuflad natrafił na listy i natychmiast się nimi zainteresował. Nie dowiedział się z nich jednak niczego ciekawego. Dwa zawierały akredytywy, reszta zaś

korrespondencję handlową z agentami w Londynie, Nowym Yorku, St. Louis i kilku innych miastach. Marsh natrafił na list od bankiera z St. Louis zwracającego uwagę Yorka na firmę przewozową „Fevre River”. „Uważam, że po tym, czego się dowiedziałem, to właśnie ona powinna najlepiej odpowiadać pańskim celom” – pisał ów mężczyzna. „Jej właściciel to doświadczony kapitan żeglugi rzecznej, znany ze swej uczciwości i choć jak mówią, nieprzyzwoicie wręcz szpetny, jest człowiekiem honoru; ostatnio los nie szczędził mu kłopotów, powinien zatem chętnie przystać na pańską propozycję”. List był długi, nie zawierał jednak niczego, o czym Marsh mógłby nie wiedzieć.

Odłożywszy listy na miejsce, Abner Marsh wstał i przeszedł na drugi koniec kajuty, szukając czegoś innego, co mogłoby go oświecić. Nie odnalazł niczego, ubrania w szufladach, ohydny zajzajer Yorka na stojaku do wina, garnitury w szafie i cała masa książek. Marsh zerknął na tytuły książek leżących przy łóżku Yorka – był wśród nich tomik wierszy Shelleya i opasłe tomisko z zakresu medycyny, z którego treści nie rozumiał choćby jednego zdania. Przejrzał książki na regale. To samo. Sporo poezji i beletrystyki, dużo historii, książki medyczne, traktaty filozoficzne i naukowe, zakurzony tom z dziedziny alchemii oraz cała półka dzieł w obcych językach. Kilka woluminów było oprawnych w najprzedniejszą skórę i choć nie miały tytułów na grzbiecie, uwagę zwracały złożone krawędzie stronic.

Marsh wyjął jeden z nich w nadziei, że może to być dziennik albo pamiętnik, w którym znajdzie odpowiedzi na nurtujące go pytania. Okazało się jednak, że nie jest w stanie go przeczytać – słowa tworzone były z jakichś dziwaczkich, pokrętnych znaków, a dłoń, która je nakreśliła, z całą pewnością nie należała do Joshuy, pismo było znacznie drobniejsze i bardziej zwarte.

Marsh po raz ostatni przeszedł przez kajutę, aby się upewnić, że niczego nie przeoczył, i wreszcie postanowił opuścić pomieszczenie, choć zasób jego wiedzy na temat zagadkowego współnika bynajmniej się nie powiększył.

Wsunął klucz do zamka, przekręcił go ostrożnie, zgasił lampę, wyszedł na zewnątrz i starannie zamknął drzwi za sobą.

Zrobiło się nieco chłodniej. Marsh dopiero teraz uświadomił sobie, że cały ociekał potem. Włożył klucz do kieszeni i odwrócił się, by odejść.

Ale nagle stanął jak wryty.

Z odległości kilku jardów patrzyła na niego ta upiorna starucha, Katherine. Jej oczy pałały lodowatą wrogością.

Marsh postanowił temu zaradzić. Ukłonił się wytwornie i rzekł pogodnym tonem:

– Dobry wieczór pani.

Katherine uśmiechnęła się powoli, a grymas ten przydał jej lisiej twarzy wyglądu przeraźliwie wyszczerzonej nieludzkiej maski.

– Dobry wieczór, kapitanie – odrzekła.

Marsh zauważył, że miała żółte i bardzo długie zęby.

ROZDZIAŁ 10

Nowy Orlean sierpień 1857

Kiedy Adrienne i Alain odpłynęli na parowcu „Cotton Queen” zmierzającym do Baton Rouge i Bayou Sara, Damon Julian postanowił przejść się do portu, do znanej sobie francuskiej kafejki. Zgorzkniały Billy szedł nieśmiało obok niego, obrzucając podejrzliwymi spojrzeniami wszystkich, których mijali. Za nimi podążała reszta grupy Juliana; Kurt i Cynthia razem, Armand nieco z tyłu, niepewnie i jakby trwożliwie – zaczynał już odczuwać pragnienie.

Michelle pozostała w domu.

Pozostali odeszli, rozproszyli się, odpłynęli w górę lub w dół rzeki na pokładach parowców, wypełniając rozkaz Juliana. Udali się w drogę w poszukiwaniu pieniędzy, bezpieczeństwa, nowego miejsca, gdzie mogliby stworzyć grupę. Damon Julian wreszcie się ugiął.

Księżyc roztałcał łagodny blask, barwiąc powierzchnię rzeki srebrzystą poświatą. Nie było widać gwiazd. Przy nabrzeżu stały tuziny parowców, a obok nich żaglowce z wysokimi, dumnymi masztami i zrefowanymi żaglami. Czarni przynosili bawełnę, cukier

i mąkę z jednej jednostki na drugą. Powietrze było parne i przesycone różnymi zapachami, na ulicach tłuma ludzi.

Znaleźli dla siebie stolik, skąd mogli obserwować nocną krzątanicę. Zamówili cafe au lait oraz smażone słodkie placki, z których sływał ten lokal. Zgorzkniały Billy zabrał się do jedzenia i ubrudził sobie cukrem pudrem całą kamizelkę oraz rękawy. Zaklął głośno.

Damon Julian roześmiał się, a jego śmiech był słodki niczym blask księżycy.

– Wiesz, Billy, czasami jesteś naprawdę zabawny.

Zgorzkniały Billy nie znosił, gdy zeń podrwiwano, nienawidził tego bardziej niż czegokolwiek innego, ale spojrział Damonowi Julianowi prosto w oczy i wysilił się na uśmiech.

– Tak, oczywiście – powiedział, smętnie kiwając głową.

Julian zjadł swój placek bez najmniejszych problemów, nawet odrobina cukru pudru nie skalala jego ciemnoszarego garnituru ani lśniacego, szkarłatnego krawata. Gdy skończył, zaczął sączyć swoją cafe au lait, lustrując wzrokiem przechodniów.

– Tam – rzekł krótko – ta kobieta pod cyprysem. – Pozostali spojrzeli w tę stronę. – Czyż nie jest olśniewająca?

Była Kreolką, towarzyszyło jej dwóch groźnie wyglądających mężczyzn. Damon Julian patrzył na nią jak porażony strzałą Kupida nastolatek, jego pogodnego, bladego oblicza nie przecinała ani jedna zmarszczka, kędziory ciemnych włosów spadały mu na czoło, oczy były duże i przepełnione melancholią.

Mimo to nawet z drugiego końca stołu Zgorzkniały Billy czuł gorejący w nich żar i zaniepokoił się.

– Jest wyjątkowa – rzekła Cynthia.

– Ma takie włosy jak Valerie – dodał Armand.

Kurt uśmiechnął się.

– Weźmiesz ją, Damonie?

Kobieta i jej towarzysze oddalali się od nich, zmierzając w stronę ozdobnej bramy z kutego żelaza. Damon Julian obserwował ich z zamyśleniem.

– Nie – odrzekł w końcu, odwracając się do stolika i upijając kolejny łyk kawy. – Noc jeszcze młoda, na ulicach zbyt duży tłok,

a ja jestem zmęczony. Posiedźmy tu trochę.

Armand wydawał się przybity i zawiedziony. Julian uśmiechnął się lekko i przechyliwszy się nad stołem, położył mu dłoń na ramieniu.

– Napijemy się, zanim wstanie świt – obiecał. – Masz moje słowo.

– Znam pewne miejsce – dorzucił jakby mimochodem Zgorzkniały Billy – naprawdę fantastyczny lokal, z barem, czerwonymi, aksamitnymi fotelami i doskonałymi drinkami. Dziewczyny są przepiękne, przekona się pan. Może pan mieć jedną na całą noc za złotą dwudziestkę. A rankiem... no cóż... – Zachichotał. – Ale gdy znajdą to, co znajdują, nas już tam nie będzie, a w sumie to o wiele tańsze niż kupowanie najpiękniejszych dziewcząt. Tak. Właśnie tak.

W czarnych oczach Damona Juliana malowało się rozbawienie.

– Billy uważa, że mam węża w kieszeni – zwrócił się do pozostałych. – Stawia mnie w złym świetle, cóż jednak uczynilibyśmy bez niego? – Znów rozejrzał się dokoła znudzonym wzrokiem. – Powinienem być częściej zaglądać do miasta. Po zaspokojeniu pragnienia traci się ochotę na wszelkie inne rozkosze. – Westchnął. – Czujesz to? Powietrze wręcz tym cuchnie, Billy!

– Ale czym? – zapytał Zgorzkniały Billy.

– Życiem, Billy. – Julian uśmiechnął się drwiąco, ale Billy również wysilił się na uśmiech. – Życiem, miłością, pożądaniem, wystawnym jedzeniem, drogim winem, wielkimi marzeniami i nadziejami, Billy. To wszystko jest tutaj, wokół nas. Możliwości. – Jego oczy rozbłyły. – Czemu miałbym ścigać piękno, które nam umyka, skoro są jeszcze inne możliwości? Odpowiedz mi!

– Ależ, paniczku Julianie, ja naprawdę...

– Nie wiesz, Billy, prawda? – Julian zaśmiał się. – Moje zachcianki stanowią o życiu i śmierci tego bydła, Billy. Jeżeli chcesz kiedykolwiek stać się jednym z nas, musisz to zrozumieć. Jestem samą rozkoszą. Mam potęgę i władzę. Esencja zaś tego, czym jestem, rozkoszy i władzy, kryje się w możliwościach. Moje są bardzo szerokie, nie mam żadnych ograniczeń, jestem wieczny. Z drugiej strony stanowią ogranicznik dla tego bydła, jestem kresem ich

nadziei, ich możliwości. Zaczynasz rozumieć? Zaspokojenie czerwonego pragnienia nic nie znaczy, każdy czarnuch na łożu śmierci z chęcią by na to przystał. Jakże cudowniej jest pić krew młodych, bogatych i pięknych, którzy mają przed sobą całe życie, których noce i dnie skrzą się perspektywą najwspanialszych możliwości! Krew to tylko krew, każde zwierzę jest w stanie ją chleptać, nawet takie bydlę jak oni wszyscy. – Wykonał ręką zamaszysty, płynny gest, wskazując robotników na nabrzeżu, czarnuchów i zamożnych mieszkańców Vieux Carre.

– To nie krew uszlachetnia, nie ona czyni mistrza. To życie, Billy. Wysączaj z nich życie, a wydłużysz swoje. Karm się ich ciałami, a twoje nabierze krzepy. Syć się pięknem, abyś mógł podziwiać własne.

Zgorzkniały Billy słuchał z przejęciem, rzadko widywał Juliana w tak wylewnym nastroju. W mrokach swej biblioteki Julian bywał zwykle opryskliwy i przerażający. Poza nią, w świecie zewnętrznym, błyszczał, przypominając Zgorzkniałemu Billy’emu osobę, którą był, kiedy po raz pierwszy zjawił się na plantacji Charlesa Garoux, gdzie Billy pracował jako karbowy. Powiedział to.

Julian pokiwał głową.

– Tak – mruknął – plantacja jest bezpieczna, ale w bezpieczeństwie i sytości kryje się niebezpieczeństwo. – Jego białe zęby błysnęły w uśmiechu. – Charles Garoux – zadumał się.

– Ech, ten to miał możliwości! Był na swój sposób piękny, silny i zdrowy. Bawidamek, kochany przez kobiety i podziwiany przez mężczyzn. Nawet czarni kochali panicza Charles’a. Jakież cudowne mógł mieć życie! Był z natury otwarty, przyjacielski, ludzie lgnęli do niego, tak łatwo było się z nim zaprzyjaźnić, zyskać jego dożgonne zaufanie, wystarczyło tylko ochronić go przed naszym nieszczęsnym Kurtem. – Julian przerwał i wybuchnął śmiechem. – Później zaś, gdy stałem się mile widzianym gościem w jego domu, fraszka było odwiedzać go nocami i odsączać po trochu, by wyglądało, że podupadł na zdrowiu i zmarł wskutek wyniszczającej choroby. Któregoś razu obudził się, gdy byłem w pokoju. Sądził, że przyszedłem, by go pocieszyć. Nachyliłem się nad jego łóżkiem, a gdy mnie objął ramieniem i przyciągnął ku sobie, zaspokoilem

pragnienie. Ach, Charles, jakież był słodki, ile miał w sobie siły i piękna!

– Stary bardzo się zdenerwował, kiedy Charles tak nagle umarł – wtrącił Zgorzkniały Billy.

On sam był wniebowzięty. Charles Garoux zawsze mówił ojcu, że Billy zbyt brutalnie traktuje czarnych i próbował się go pozbyć. Jakby można było nakłonić czarnuchów do pracy inaczej niż batogiem. Te nieroby nie znały innego języka poza językiem siły.

– Tak, Garoux był zrozpaczony – ciągnął Julian. – Jakie to szczęście, że byłem tam, by pocieszyć go w tych trudnych chwilach. Najlepszy przyjaciel jego syna. Często mówił mi później, że ta żałoba sprawiła, iż stałem się dlań nieomal czwartym synem.

Zgorzkniały Billy pamiętał to doskonale. Julian nieźle to rozegrał. Młodszy synowie zawiedli starego; Jean-Pierre był pijakiem i awanturnikiem, Philip słabeuszem, który na pogrzebie brata szlochał jak kobieta, Damon Julian zaś wyglądał niczym bastion męskiej siły. Pochowali Charles'a na tyłach plantacji, w rodzinnym grobowcu. Ziemia była tam mocno podmokła, złożono go na spoczynek w wielkim, marmurowym mauzoleum z posągami skrzydlatej bogini zwycięstwa na szczycie. Wewnątrz nawet w upalne letnie dni panował przyjemny chłód. Zgorzkniały Billy w kolejnych latach wielokrotnie odwiedzał ten grobowiec, aby pić i oddawać mocz na trumnę Charles'a. Raz zabrał ze sobą czarną dziewczynę i na początek trochę ją zmiękczył, a potem wziął trzy, cztery razy, aby duch starego Charles'a nauczył się, jak należy postępować z czarnuchami.

Charles stanowił ledwie początek, jak wspominał Zgorzkniały Billy. Pół roku później Jean-Pierre wybrał się do miasta, aby trochę pohulać z dziewczkami i dać upust swej skłonności do hazardu, i już z tej wyprawy nie wrócił, a niedługo potem nieszczęsnego, bojaźliwego Philipa rozszarpało w lesie na strzępy jakieś zwierzę. Stary Garoux miał już wtedy słabe serce, ale Damon Julian chętnie służył mu pomocą i trwał dzielnie u jego boku. Ostatecznie Garoux adoptował go i spisał nowy testament, pozostawiając mu prawie wszystko.

Pewnej nocy, której Zgorzkniały Billy nigdy nie zapomni,

Damon Julian udowodnił, jak wielką ma moc nad Rene Garoux.

Całe zdarzenie rozegrało się w sypialni starego. Była tam Valerie, a także Adrienne i Alain, wszyscy oni mieszkali w wielkim domu, gdyż w rezydencji Garoux każdy przyjaciel Juliana witany był z otwartymi ramionami. Patrzyli, podobnie jak Zgorzkniały Billy, podczas gdy Damon Julian stał obok wielkiego łoża z baldachimem i świdrując starego spojrzeniem swych czarnych oczu, uśmiechając się półgębkiem, wyznał mu prawdę, całą prawdę o tym, co stało się z Charles'em, Jean-Pierre'em i Philipem. Julian miał na palcu sygnet Charles'a, drugi, taki sam, na łańcuszku na szyi nosiła Valerie.

Jej pierścień należał niegdyś do zaginionego Jean-Pierre'a. Nie chciała go nosić. Dręczyło ją pragnienie i była zdania, że należy skończyć ze starym Garoux szybko, bez zbędnych dyskusji. Damon Julian wszelako uciszył ją kilkoma łagodnymi słowami i lodowatym spojrzeniem, tak więc nałożyła pierścień, stała posłusznie i słuchała w milczeniu.

Gdy Julian skończył swą opowieść, Garoux był cały rozdygotany, jego zmęczone oczy wypełniały łzy, ból oraz nienawiść. I nagle Damon Julian polecił Billy'emu, aby podał staremu swój nóż.

– On jeszcze żyje, paniczu – zaprotestował Billy. – Wypruje panu flaki.

Ale Julian tylko na niego popatrzył i uśmiechnął się; Billy sięgnął więc za siebie i wyjąwszy nóż, wcisnął go w pomarszczoną, pocętkowaną plamami wątrobowymi dłoń Garoux. Ręce starego trzęsły się tak bardzo, że Billy obawiał się, iż upuści on nóż, ale tak się nie stało.

Damon usiadł na skraju łóżka.

– Rene – rzekł – moi przyjaciele są spragnieni. – Głos miał cichy i płynny.

Nie musiał mówić nic więcej. Alain przyniósł przepiękny, kryształowy kielich z herbem rodowym, a stary Rene Garoux starannie otworzył sobie żyłę na nadgarstku i napełnił szkło własną parującą krwią. Płakał przy tym i trząsał się jak osika. Valerie, Alain i Adrienne przekazywali sobie kielich z rąk do rąk, lecz zaszczyt dopicia zawartości należał do Damona Juliana, podczas gdy Garoux

wykrwawił się w łóżku na śmierć.

– Garoux dał nam kilka naprawdę niezłych lat – powiedział Kurt. – Jego słowa wyrwały Billy’ego z zamyślenia. – Byliśmy bezpieczni, opływaliśmy w dostatki i żyliśmy na uboczu, a w razie czego do miasta mieliśmy niedaleko. Jedzenie, picie i czarnuchy czekający tylko, by ich wziąć, a co miesiąc naprawdę śliczna dziewczyna.

– Ale to się skończyło – rzekł ze smutkiem i zamyśleniem Julian. – Wszystko ma swój kres, Kurt. Żałujesz tego?

– Nie jest już tak jak kiedyś – przyznał Kurt. – Wszędzie kurz, dom niszczeje, no i te szczury. Nie mam ochoty na kolejną przeprowadzkę, Damonie. W świecie zewnętrznym nigdy nie jesteśmy bezpieczni. Po polowaniu zawsze pojawia się strach, trzeba się ukrywać, uciekać. Nie chcę tego przeżywać od nowa.

Julian uśmiechnął się sardonicznie.

– To kłopotliwe, przyznaję, lecz nie pozbawione swego uroku. Jesteś młody, Kurt. Pamiętaj, że nawet jeśli będą cię tropić, to ty jesteś mistrzem. Ty zwyciężysz. Wyrznieś w pień ich wszystkich, ich dzieci oraz wnuki. Dom Garoux popadł w ruinę. Nic to. Wszystkie rzeczy tworzone przez bydło marnieją i niszczeją. Widziałem upadek Rzymu. Jedyne my wciąż trwamy. – Wzruszył ramionami. – I może uda się nam znaleźć kolejnego Rene Garoux.

– Jeżeli będziemy z tobą – wtrąciła z niepokojem Cynthia.

Była szczupłą, ładną kobietą o brązowych oczach i odkąd odprawił Valerie, stała się faworytą Juliana, ale nawet Zgorzkniały Billy widział, że nie była pewna swojej pozycji.

– To trudniejsze, gdy jesteśmy zdani sami na siebie.

– Rozumiem, że nie chcesz mnie opuścić? – zwrócił się do niej z uśmiechem Damon Julian.

– Nie – odrzekła. – Proszę. – Kurt i Armand także patrzyli na niego. Julian zgoła nieoczekiwanie zaczął przed miesiącem odprawiać swych towarzyszy. Pierwszą wygnał Valerie, tak jak go o to prosiła, aczkolwiek wysłał ją w górę rzeki nie z wichrzycielem Jeanem, lecz ze śniadym, przystojnym Raymondem, który, okrutny i silny, był, jak mawiali niektórzy, synem Juliana. Raymond z pewnością zatroszczy się o jej bezpieczeństwo – rzucił drwiąco Julian, gdy Valerie uklękła przed nim tamtej nocy. Jeana odprawił

następnej nocy samego; Zgorzkniały Billy sądził, że na tym się skończy. Pomylił się. Damon wpadł na nowy pomysł i w tydzień potem odesłał Jorge'a, a następnie Carę z Vincentem i pozostałych, również w parach. Ci, którzy pozostali, wiedzieli, że oni także nie są bezpieczni.

– Ach – rzekł Julian do Cynthii rozbawiony. – Zostało nas już tylko pięcioro. Jeśli będziemy ostrożni i postaramy się, by każda ze ślicznotek wytrzymała, dajmy na to, miesiąc lub dwa przy powolnym odsączaniu, powinniśmy, jak sądzę, swobodnie przetrwać do zimy. Do tej pory ktoś na pewno przesłał nam wiadomość. Zobaczymy. Do tego czasu możesz zostać, moja droga. A także Michelle i ty, Kurt.

Armand wydawał się wstrząśnięty.

– A ja? – wykrztusił. – Damonie, proszę.

– Czy to pragnienie, Armandzie? Czy to dlatego tak drżysz? Panuj nad sobą. Czy będziesz rozdzierał i rozrywał, kiedy dotrzemy do przyjaciół Billy'ego? Wiesz, że nie patrzę na to przychylnie. – Przymrużył powieki. – Wciąż się nad tobą zastanawiam, Armandzie.

Armand wlepił wzrok w dno pustej filiżanki.

– Ja zostaję – oznajmił Zgorzkniały Billy.

– Ach – rzekł Damon Julian. – Oczywiście. Cóż byśmy bez ciebie zrobili?

Zgorzkniałemu Billy'emu nie spodobał się uśmiech błędzący na ustach Damona, ale nic nie mógł na to poradzić.

Wkrótce potem udali się do miejsca, które obiecał wskazać im Billy. Dom znajdował się poza Vieux Carre, w amerykańskiej dzielnicy Nowego Orleanu, można było dotrzeć tam spacerkiem. Damon Julian szedł pierwszy, maszerując wąskimi uliczkami oświetlonymi blaskiem latarni gazowych i prowadząc pod ramię Cynthię; uśmiechał się, lustrując żelazne balkony, bramy ze znajdującymi się za nimi podwórzami, z kwietnikami i fontannami oraz latarnie gazowe na żelaznych słupach. Prowadził ich Zgorzkniały Billy. Wkrótce znaleźli się w mroczniejszej, surowszej części miasta, z budynkami z drewna lub z kruszącej się zaprawy wykonanej ze zmielonych skorup ostryg i piasku. Nawet rury gazowe nie sięgały tak daleko, choć oświetlenie gazowe działało w mieście od dwudziestu lat. Na rogach ulic z ukośnie

rociągniętych nad ulicą łańcuchów zamocowanych do ścian budynków zwieszały się lampy naftowe. Palily się, dając zmysłowo przyćmione światło. Julian i Cynthia przechodzili na przemian od plamy światła w cień i na powrót w światło. Billy i reszta szli za nimi.

Z jednej z uliczek wyszło trzech mężczyzn i zastąpiło im drogę. Julian zignorował ich, ale jeden z mężczyzn spostrzegł Zgorzkniałego Billy'ego, gdy ten przechodził przez oświetlony fragment ulicy.

– To ty! – zawołał.

Zgorzkniały Billy odwrócił się, by na nich spojrzeć, ale nie odezwał się słowem. Byli to młodzi Kreole, na wpół pijani i przez to niebezpieczni.

– Znam pana, monsieur – warknął jeden z nich. Podszedł do Zgorzkniałego Billy'ego z twarzą poczerwieniałą od alkoholu i wściekłości. – Nie pamięta mnie pan? Byłem z Georges'em Montreuilem tego dnia, gdy go pan obraził na francuskiej giełdzie.

Zgorzkniały Billy rozpoznał go.

– No proszę – mruknął.

– Monsieur Montreuil zniknął pewnej czerwcowej nocy po wieczorze gier hazardowych w St. Louis – ciągnął mężczyzna.

– Wielce mnie to zasmuca – odparł Billy. – Chyba musiał wygrać zbyt wiele i padł ofiarą napaści.

– Przegrał, monsieur. Przegrywał regularnie od kilku tygodni. Nie miał nic, co można by mu zwędzić. I wcale nie uważam, aby padł ofiarą złodziei. Sądzę, że to pańska robota, panie Tipton. Wypytywał o pana. Chciał rozprawić się z panem, tak jak pan na to zasługuje. Nie jest pan dżentelmenem, monsieur, w przeciwnym razie wyzwałbym pana na pojedynek. A jeśli odważy się pan jeszcze kiedyś zjawić w Vieux Carre, rozkażę pana wybatożyć i przepędzić przez całą dzielnicę jak czarnucha. Słyszysz pan?

– Słyszę – odrzekł Billy. I splunął tamtemu na but.

Kreol zaklął i z wściekłości pobladł na twarzy. Postąpił krok naprzód i wyciągnął rękę, by schwycić Billy'ego, lecz Damon Julian stanął pomiędzy nimi i powstrzymał tamtego, kładąc dłoń na jego piersi.

– Monsieur – rzekł miódopłynnym tonem. Mężczyzna przystanął zdezorientowany. – Mogę pana zapewnić, że pan Tipton nie skrzywdził pańskiego przyjaciela.

– Kim pan jest? – Nawet na wpół pijany Kreol w mig zorientował się, że Julian jest zupełnie innym typem człowieka niż Zgorzkniały Billy. Wytworne odzienie, delikatne rysy, sposób wysławiania się znamionowały džentelmena. Oczy Juliana zabłyśły groźnie w świetle lampy.

– Jestem pracodawcą pana Tiptona – wyjaśnił Julian. – Czy możemy omówić tę sprawę gdzieś indziej, niekoniecznie na ulicy? Znam pewne miejsce, niedaleko stąd, gdzie możemy porozmawiać, siedząc pod księżycem i sącząc drinki. Czy pozwoli pan zaprosić się wraz z kolegami na szklaneczkę czegoś mocniejszego?

Dwaj pozostali Kreole stanęli ramię w ramię obok swego przyjaciela.

– Wysłuchajmy, co ma do powiedzenia, Richardzie.

Ten, aczkolwiek niechętnie, przystał na propozycję.

– Billy – rzekł Damon Julian. – Prowadź. – Zgorzkniały Billy Tipton stłumił uśmiech cisnący mu się na usta, skinął głową i ruszył przodem. Przecnicę dalej skręcili w boczną uliczkę i dotarli nią do ciemnego podwórza.

Zgorzkniały Billy usiadł na skraju starej, zapuszczonej fontanny. Przemoczył siedzenie spodni, ale wcale się tym nie przejął.

– Co to za miejsce? – spytał przyjaciel Montreuila. – Tu nie ma żadnej karczmy!

– Cóż... – rzekł Billy. – Chyba pomyliłem drogę.

Pozostali Kreole wyszli na podwórze, a za nimi reszta grupy Juliana. Kurt i Cynthia stanęli u wylotu uliczki. Armand zajął pozycję przy fontannie.

– Nie podoba mi się to – powiedział jeden z mężczyzn. – Co to wszystko ma znaczyć?

– Co to ma znaczyć? – zapytał Damon Julian. – Ach.

Ciemne podwórze, światło księżyca, fontanna. W podobnym miejscu umarł pański przyjaciel, Montreuil. Nie tutaj, ale w miejscu bardzo podobnym do tego. Nie, proszę nie patrzeć na Billy'ego. To nie jego sprawka. Jeśli żywi pan do kogoś urazę, proszę wyrównać

rachunki ze mną.

– Z panem? – zapytał przyjaciel Montreuila. – Jak pan sobie życzy. Pan pozwoli, że go na chwilę opuszczę. Moi przyjaciele odegrają rolę mych sekundantów.

– Oczywiście – rzekł Julian.

Mężczyzna odszedł na stronę i przez chwilę konferował ze swymi dwoma towarzyszami. Jeden z nich postąpił naprzód. Zgorzkniały Billy wstał i podszedł do niego.

– Jestem sekundantem panicza Juliana – rzekł Billy. – Chce pan omówić warunki?

– Nie jestem pan odpowiednim sekundantem – zaczął tamten. Miał pociągłe, przystojne oblicze i gęste, kasztanowe włosy.

– Warunki – powtórzył Billy. Sięgnął ręką do tyłu. – Jeżeli chodzi o mnie, preferuję noże.

Mężczyzna stęknął cicho i zatoczył się w tył. Spuścił wzrok ze zgrozą. Nóż Billy'ego miał wbity w brzuch aż po rękojeść; czerwona plama wolno rozlewała się po jego kamizelce. Boże – jęknął mężczyzna.

– Ale to tylko moje preferencje – ciągnął Zgorzkniały Billy – a ja nie jestem dżentelmenem ani nie nadaję się na sekundanta. Poza tym noże też nie są właściwą bronią. – Mężczyzna osunął się na kolana, jego przyjaciele dostrzegli to i podbiegli do niego zatrwożeni. – Panicz Julian na przykład ma w tej kwestii inne zdanie. Jego bronią – Billy uśmiechnął się – są zęby.

Julian wziął przyjaciela Montreuila, Richarda. Trzeci Kreol odwrócił się i próbował uciec. Cynthia dopadła go w uliczce i obdarzyła długim, wilgotnym pocałunkiem. Wił się i szamotał, ale choć stawiał opór, nie zdołał uwolnić się z jej uścisku. Białe dłonie dziewczyny przesunęły się po jego karku, a długie paznokcie, ostre i cienkie jak brzytwy, rozplątały jego żyły. Jej usta i język stłumiły jego krzyk.

Zgorzkniały Billy odzyskał swój nóż, podczas gdy Armand pochylił się nad skomlącą ofiarą. W blasku księżyca krew ściekająca po ostrzu wydawała się niemal czarna. Billy już miał umyć nóż pod fontanną, lecz ostatecznie zmienił zamiar. Uniósł go do ust i z pewnym wahaniem oblizał ostrze. Skrzywił się. Smak był

ohydny, inny niż ten z jego snów. To jednak zmieni się, kiedy Julian pozwoli mu dostąpić przemiany. Wiedział o tym.

Zgorzkniały Billy opłukał nóż i wsunął do pochwy. Damon Julian przekazał Richarda Kurtowi i stał teraz samotnie, wpatrując się w księżyc. Zgorzkniały Billy podszedł do niego.

– Zaoszczędził pan nam wszystkim trochę grosza – powiedział.
Julian uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ 11

Na pokładzie parowca „Fevre Dream” Natchez, sierpień 1857

Dla Abnera Marsha ta noc nie miała końca. Spożył skromną przekąskę, aby napełnić żołądek i ukoić lęki, a wkrótce potem udał się do swojej kajuty, lecz nie był w stanie zasnąć. Leżał przez wiele godzin, wpatrując się w cienie, w głowie miał mętlik, myśli przepełniała mieszanina poczucia winy, gniewu i podejrzliwości. Pod cienkim, wykrochmalonym prześcieradłem Marsh pocił się jak wieprz. Gdy zasnął, często obracał się, wiercił, a nawet budził, nękały go krótkie, urywane i niezborne wizje krwi, płonących parostatków, żółtych zębów i Joshuy Antona Yorka, bladego i stojącego jak głaz w szkarłatnej poświacie, z oczyma palającymi gorączką, gniewem i śmiercią.

Następny dzień był w odczuciu Abnera Marsha najdłuższy w całym jego życiu. Wszystko, o czym myślał, ostatecznie sprowadzało się do jednego i tego samego. W południe wiedział już, co musi zrobić. Został przyłapany i nic nie mógł na to poradzić. Musiał załatwić tę sprawę z Joshuą raz na zawsze. Jeśli miało to oznaczać kres ich spółki, trudno, niechaj tak będzie, aczkolwiek myśl

o utracie „Fevre Dream” przepełniała Marsha dojmującym żalem i smutkiem, rozpaczą niemal równie silną jak ta, którą czuł, kiedy stracił w okowach lodu swe poprzednie jednostki. Oznaczałoby to dla niego koniec, i być może zasłużył na to, zdradzając zaufanie Joshuy. Ta sytuacja nie mogła jednak trwać dłużej. Joshua powinien usłyszeć jego wersję tej historii, postanowił Marsh, co oznaczało, że musiał zobaczyć się z nim przed Katherine. – Chcę, by powiadomiono mnie natychmiast, gdy się pojawi – polecił. – Niezależnie od tego, co będę wówczas robił, macie przyjść i powiedzieć mi, że on wrócił. Czy to jasne?

A potem nastąpiło znużające wyczekiwanie; zabijał czas przy sutym obiedzie złożonym z pieczonej wieprzowiny, cebulki i fasoli oraz połówki placka z jagodami na deser.

Dwie godziny przed północą odwiedził go jeden z członków załogi. – Kapitanie, wrócił kapitan York. Są z nim jacyś ludzie. Pan Jeffers przydziela im kajuty.

– Czy Joshua udał się do swojej? – zapytał Marsh.

Tamten skinął głową.

Marsh sięgnął po swoją laseczkę i ruszył w stronę schodów.

Przed kajutą Yorka zawahał się, przystanął na chwilę, wyprężył się i energicznie zastukał do drzwi gałką laski. York otworzył po trzecim uderzeniu.

– Wejdz, Abnerze – powiedział z uśmiechem. Marsh wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie, podczas gdy York przeszedł przez pokój i powrócił do przerwanej czynności. Wyjął srebrną tacę i trzy kieliszki. Obecnie dostawił do nich czwarty. – Cieszę się, że wpadłeś. Przyprowadziłem na pokład kilka osób, które chciałbym ci przedstawić. Przyjdą na drinka, gdy tylko rozgoszczą się w swoich kajutach. – York zdjął ze stojaka butelkę swego specjalnego trunku, wyjął nóż i zeskrobał lak z korka.

– To teraz nieistotne – rzucił obcesowo Marsh. – Joshua, musimy pomówić.

York odstawił butelkę i spojrzał na Marsha.

– Uhm? O czym? Wydajesz się czymś podenerwowany, Abnerze.

– Mam zapasowe klucze do wszystkich zamków na tym statku.

Pan Jeffers przechowuje je w sejfie. Gdy zawiniliśmy do Natchez, wyjąłem klucz z sejfu i przeszukałem twoją kajutę.

Joshua York prawie się nie poruszył, ale na dźwięk słów Marsha jego wargi zacisnęły się. Abner Marsh patrzył mu prosto w oczy, jak przystało mężczyźnie w takich sytuacjach, i dostrzegł w nich lodowaty chłód oraz gniew wywołany tą zdradą. Wolałby raczej, aby Joshua wrzasnął na niego czy nawet wyciągnął broń, wszystko było lepsze od tego spojrzenia.

– Znalazłeś coś ciekawego? – zapytał wreszcie York beznamiętnym tonem.

Abner Marsh odwrócił wzrok od szarych oczu Joshuy i wskazał łaską na biurko.

– Twoje księgi – odparł. – Wycinki traktujące o martwych ludziach.

York milczał. Zerknął na biurko, zmarszczył brwi i zasiadł w jednym z foteli z kieliszkiem swego specjalnego, obrzydliwego wina w dłoni. Zaczął pić je powoli, po czym skinął na Marsha.

– Usiądź – rozkazał. Gdy Marsh usiadł naprzeciw niego, York spytał krótko: – Dlaczego?

– Dlaczego? – warknął nieco zagniewany Abner. – Może zmęczyło mnie to, że mój partner o niczym mi nie mówi ani mi nie ufa.

– Zawarliśmy układ.

– Wiem, Joshua. Przykro mi, choć nie wiem, czy to coś zmienia. Przykro mi, że to zrobiłem i jeszcze bardziej, że zostałem przyłapany. – Uśmiechnął się smutno. – Katherine widziała mnie, jak stąd wychodziłem. Na pewno powie ci o tym. Czułem, że powinienem przyjść z tym bezpośrednio do ciebie, wyznać, co nie daje mi spokoju. Może już jest za późno, ale właśnie po to tu jestem. Joshua, kocham nasz statek bardziej niż cokolwiek innego, a dzień, gdy zmierzymy się z „Eclipse”, będzie najwspanialszy w moim życiu. Sporo jednak rozmyślałem i wiem, że zrezygnuję z tej jednostki, jeśli sytuacja między nami się nie wyklaruje! Na tej rzece jest mnóstwo szumowin, łajdaków, hazardzistów, złodziei, głosicieli Słowa Bożego, abolicjonistów, republikanów i innych dziwaków, ale ty bijesz ich na głowę. Słowo daję. Nie mam tu na myśli twego

nocnego trybu życia i to wcale mnie nie niepokoi. Księgi z wycinkami dotyczącymi zagadkowych zgonów to co innego, ale każdy ma prawo czytać, co mu się podoba, i nikomu nic do tego. Znałem kiedyś pilota z „Grand Turk”; zbierał księgi o treści, która zawstydziłaby nawet Karla Framma.

Ale... te zarządzane przez ciebie postoje... i tajemnicze wypadki... mam już tego dość. Przebrała się miarka. Spowalniaasz mój parowiec, niech cię wszyscy diabli, rujnujesz naszą reputację, zanim jeszcze zdołaliśmy ją sobie na dobre wyrobić. I to nie wszystko, Joshua. Miałeś na rękach krew. Zaprzecz, jeśli chcesz. Możesz się wypierać, kłąć, rób, co chcesz. Ale ja wiem. Miałeś na rękach krew i niech mnie piekło pochłonie, jeżeli się mylę.

Joshua York wypił spory łyk i zmarszczywszy czoło, nappełnił swój kieliszek. Gdy spojrział na Marsha, lód w jego oczach stopniał. Wyglądał na zamyślnego.

– Proponujesz rozwiązanie naszej spółki? – zapytał.

Marsh odniósł wrażenie, jakby muł kopnął go w żołądek.

– Jeżeli chcesz, proszę bardzo. Nie mam, rzecz jasna, pieniędzy, aby wykupić twoje udziały. Możesz jednak zatrzymać „Fevre Dream”, a mnie pozostanie „Eli Reynolds”, jeśli tylko zdobędę dzięki niemu jakieś dochody, wyślę ci pieniądze.

– Chcesz tego?

Marsh popatrzył na niego.

– Do kata, Joshua, przecież wiesz, że nie.

– Abnerze – powiedział York. – Jesteś mi potrzebny. Sam nie mogę pilotować „Fevre Dream” za dnia. Uczę się pilotażu i znam już co nieco rzekę oraz jej brzeg, niemniej obaj wiemy, że nie jestem specjalistą w tym fachu. Jeśli odejdziesz, wraz z tobą opuści statek połowa załogi. Będą wśród nich na pewno panowie Jeffers, Blake i Kudłaty Mike, a także wielu innych. Są wobec ciebie lojalni.

– Mógłbym rozkazać im, aby pozostali – zaproponował Marsh.

– Wolałbym, abys to raczej ty został. Czy gdybym puścił nasz mały incydent w niepamięć, mogłoby znów być tak jak do tej pory?

Gula w gardle Abnera była tak wielka, że Marsh miał wrażenie, iż lada moment się udusi. Przelknął ślinę i powiedział słowo, którego wypowiedzenie nigdy jeszcze tak wiele go nie kosztowało:

– Nie.

– Rozumiem – rzekł Joshua.

– Muszę ufać swemu wspólnikowi – stwierdził Marsh. – I on musi ufać mnie. Jeżeli zechcesz ze mną porozmawiać, powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi, odzyskasz wspólnika.

Joshua York skrzywił się i w zamyśleniu sączył swego drinka.

– Nie uwierzysz mi – odezwał się w końcu. – To bardziej nieprawdopodobna historia niż wszystkie opowieści pana Framma razem wzięte.

– Spróbuj. Co ci szkodzi?

– Może mi zaszkodzić, Abnerze. Uwierz mi, może – odparł z powagą York. Odstawił kieliszek i podszedł do regału. – Czy przeszukując kajutę, zerknąłeś na te księgi?

– Tak – odparł Marsh.

York wyjął jeden z oprawnych w skórę, nie oznaczonych tytułem woluminów, wrócił na fotel i otworzył księgę, której stronie pokrywały dziwne znaki.

– Gdybyś potrafił ją przeczytać – rzekł – ta księga i pozostałe mogłyby udzielić ci odpowiedzi, których poszukiwałeś.

– Przejrzałem je. Niczego jednak nie zrozumiałem.

– To oczywiste – odparł York. – Abnerze, to, co teraz powiem, będzie ci trudno zaakceptować. Jednakże wszystko, co tutaj usłyszysz, musi pozostać wyłącznie między nami, treść tej rozmowy nie może wyjść poza ściany tej kajuty. Czy to jest jasne?

– Tak.

W oczach Yorka pojawiło się powątpiewanie.

– Nie chcę, abyś zawiódł mnie ponownie. Czy na pewno dobrze to rozumiesz?

– Powiedziałem, że tak – burknął urażony Marsh.

– Dobrze więc – rzucił Joshua. Przyłożył palec do strony. – Ten szyfr jest w zasadzie dość prosty, Abnerze, jednak aby go złamać, musiałbyś uprzednio wiedzieć, że język, którego tu użyto, jest prymitywnym rosyjskim dialektem, którym nikt nie posługuje się już od kilkuset lat. Oryginalne pisma przełożone w tej księdze są bardzo, naprawdę bardzo stare. Opowiadają o pewnych ludziach, którzy żyli i umarli wiele stuleci temu na terytorium leżącym na północ od

Morza Kaspijskiego. – Przerwał. – Pardon. Nie chodzi o ludzi. Rosyjski nie jest językiem, którym władam najlepiej, ale wydaje mi się, że właściwszym słowem będzie tu odoroten.

– Co takiego? – spytał Marsh.

– To naturalnie tylko jedna z możliwości. W innych językach napotykaamy różne nazwy. Kruvnik, vedomec, wieszczy. Jak również vilkakais i vrkolak, choć te dwie nazwy mają nieco inne znaczenie.

– To jakieś bzdury – warknął Marsh, choć niektóre z wypowiedzianych przez Joshuę słów zabrzmiały w jego uszach znajomo i przypominały bełkot, którym posługiwali się między sobą na co dzień Smith i Brown.

– Wobec tego nie powiem ci, jak brzmią ich afrykańskie nazwy – ciągnął Joshua. – Ani azjatyckie czy jakiegokolwiek inne. Czy słowo „nosferatu” coś ci mówi?

Marsh spojrział na niego tępym wzrokiem. Joshua York westchnął.

– A „Wampir”?

Ta nazwa była Abnerowi znana.

– Co to za historia, którą chcesz mi opowiedzieć? – zapytał bez ogródek.

– Opowieść o wampirach – odrzekł z zawadiackim uśmiechem Joshua York. – Na pewno już o nich kiedyś słyszałeś. Żywe trupy, nieumarli, dzieci nocy, istoty bez dusz, wieczni wędrowcy, przeklęte istoty. Sypiają w trumnach wypełnionych ziemią z ich ojczyzny, unikają światła słonecznego i krzyży, a każdej nocy wyruszają na łów, by sycić się krwią żyjących. Są zmiennokształtnymi istotami, umiającymi przybrać postać nietoperza lub wilka. Tych, którzy często zamieniają się w wilki, nazywamy wilkołakami i uważa się ich, skądinąd błędnie, za przedstawicieli odrębnego gatunku. To dwie strony jednej, mrocznej monety, Abnerze. Wampiry potrafią także rozplýwać się jak mgła, a ich ofiary również stają się wampirami. To zadziwiające, że przy takim tempie rozprzestrzeniania się wampiry jak dotąd nie zajęły na tej ziemi miejsca żyjących.

Na szczęście prócz ogromnej mocy mają one też pewne słabości. Choć ich siła jest naprawdę przerażająca, nie mogą wejść do domu

nie zaproszone, czy to pod postacią człowieka, zwierzęcia czy nawet mgły. Emanują potężnym, zwierzęcym magnetyzmem, siłą, o której pisał Mesmer, i często nakłaniają swe ofiary, aby zaprosiły je do swych domów. Pierzchają jednak w popłochu na widok krzyża, nie znoszą czosnku ani nie są w stanie przekroczyć płynącej wody. Choć wyglądają tak jak ty czy ja, nie mają dusz, a co za tym idzie, nie odbijają się w lustrach. Woda święcona je parzy, nienawidzą srebra, a światło dzienne, jeśli nie zdążą wrócić przed świtem do swoich trumien, spali je na popiół. Można je również zabić poprzez odcięcie głowy lub przebicie serca drewnianym kołkiem. – Joshua usiadł wygodniej i sięgnawszy po kieliszek, upił kolejny łyk, uśmiechając się. – Oto czym są wampiry, Abnerze – powiedział. Postukał długim palcem w okładkę książki. – To historia kilkorga z nich. One istnieją. Są stare, wieczne i prawdziwe. Księgę tę napisał odoroten z szesnastego wieku, traktuje ona o tych, którzy odeszli przed nim. To dzieło wampira. Abner Marsh milczał.

– Nie wierzysz mi – rzekł Joshua York.

– Nie jest to proste – przyznał Marsh. Nerwowo skubał palcami końce swojej brody. Były jeszcze inne rzeczy, o których nie wspomniał. Opowieść o wampirach nie wzbudziła w nim tylu emocji co jego podejrzenia związane z Joshuą. – Nie przejmuj się tym, czy w to wierzę czy nie – powiedział. – Skoro jestem w stanie strawić historie pana Framma, mogę równie dobrze wysłuchać twojej. Kontynuuj.

Joshua uśmiechnął się.

– Spryciarz z ciebie, Abnerze. Powinieneś być do tej pory sam domyślić się wszystkiego.

– Wcale nie jestem taki sprytny – odparł Marsh. – Mów dalej.

York wysączył łyk trunku i wzruszył ramionami.

– To moi wrogowie. Oni istnieją, Abnerze, i są tu, wzdłuż całej tej rzeki. Dzięki książkom takim jak te oraz lekturze gazet i mozolnej pracy, o której tu nie wspomnę, śledzę ich od gór Europy Wschodniej, poprzez puszcze Polski i Niemiec, aż po stepy Rosji. Ich śladem dotarłem aż tutaj. Do doliny Missisipi, do Nowego Świata. Znam ich, przynoszę kres im wszystkim oraz temu, co sobą reprezentują. Temu, czym byli. – Uśmiechnął się. – Czy teraz już

rozumiesz, Abnerze? Pojmujesz, o co chodzi z tymi księgami? I co oznaczała krew na moich rękach?

Abner Marsh zamyślił się przez chwilę, zanim odpowiedział. W końcu jednak przemówił:

– Przypominam sobie, że zażyczyłeś sobie, aby cały wielki salon wyłożono lustrami, choć w takich miejscach wiesz się zwykle obrazy olejne. Po co to wszystko? Dla... ochrony?

– Właśnie. Podobnie jak srebro. Czy widziałeś kiedykolwiek parowiec, na którym byłoby tyle srebra?

– Nie.

– No i mamy również rzekę. Tę starą diablicę, Missisipi. Tyle płynącej wody świat jeszcze nie widział! „Fevre Dream” to sanktuarium. Azyl. Ja mogę ich ścigać, lecz oni nie mogą zbliżyć się do nas.

– Dziwię się, że nie kazałeś Toby’emu dodawać do wszystkiego czosnku – wtrącił Marsh.

– Myślałem o tym – odparł Joshua. – Ale nie przepadam za czosnkiem.

Marsh zadumał się.

– Powiedzmy, że w to wierzę – mruknął. – Nie do końca, co prawda, ale przyjmijmy, że wierzę. Wciąż jednak jest parę spraw, które nie dają mi spokoju. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

– Gdybym opowiedział ci o wszystkim w Posesji Plantatora, nie przyjąłbyś mnie na swego współnika. Muszę dotrzeć w kilka miejsc. To przykra konieczność.

– Dlaczego urządzasz swoje wypady wyłącznie nocą?

– Bo oni polują nocami. Łatwiej ich wówczas odnaleźć, niż gdy ukrywają się w swoich sanktuariach. Znam zachowania i zwyczaje tych, na których poluję.

– A twoi przyjaciele? Simon i reszta?

– Simon od dłuższego czasu jest moim pomocnikiem. Inni dołączyli do mnie niedawno. Znąją prawdę i towarzyszą mi w mojej misji. Mam nadzieję, że odtąd ty również się do niej przyłączysz. – Joshua zachichotał. – Bez obaw, Abnerze, podobnie jak ty, my wszyscy tutaj jesteśmy śmiertelni.

Marsh skubał brodę w zamyśleniu.

– Pozwolisz, że się napiję – powiedział. Kiedy York wychylił się do przodu, dorzucił pospiesznie: – Nie, nie tego zajzajeru, Joshua. Czegoś innego. Masz whisky?

York wstał i nalał mu szklaneczkę. Marsh opróżnił ją duszkiem.

– Nie powiem, żeby to wszystko mi się podobało. Umarlaki, picie krwi i cały ten ambaras. Nigdy nie wierzyłem w takie rzeczy.

– Abnerze, gram w naprawdę niebezpieczną grę. Nie chciałem mieszać w nią ciebie ani nikogo z twojej załogi. I nadal bym tego nie zrobił, gdyby nie to, że sam tego zapragnąłeś. Jeżeli nie chcesz się w to mieszać, nie musisz. Nie wymagam tego od ciebie. Wystarczy, byś wypełniał moje rozkazy, dowodził „Fevre Dream”, to wszystko, o co cię proszę. Ja zajmę się nimi. Czy wątpisz, abym mógł dać sobie z nimi radę?

Marsh spojrzął na siedzącego w niedbałej pozie Joshuę, przypomniał sobie moc tkwiącą w tych szarych oczach i jego silny uścisk dłoni.

– Nie.

– Byłem szczery w wielu sprawach, o których z tobą rozmawiałem – ciągnął Joshua. – Mój cel nie jest jedyną z mych obsesji. Kocham ten parowiec tak jak ty, Abnerze, i podzielam wiele twoich związanych z nim marzeń. Chcę go pilotować, poznać rzekę. Chcę stać za sterem w dniu, kiedy prześcigniemy „Eclipse”. Uwierz mi, kiedy mówię...

Rozległo się pukanie do drzwi.

Marsh zmieształ się. Joshua York uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Moi przyjaciele z Natchez zjawili się na proszonogo drinka – wyjaśnił. – Chwileczkę! – zawołał donośnie. A do Marsha rzekł cichym, pełnym przejęcia głosem: – Pomyśl o wszystkim, co ci dziś powiedziałem, Abnerze. Jeżeli zechcesz, odbędziemy kolejną taką rozmowę. Nie trać wiary i z nikim o tym nie dyskutuj. Nie chcę mieszać w to innych.

– Masz moje słowo – rzekł Marsh. – A poza tym, kto by w to uwierzył?

Joshua uśmiechnął się.

– Gdybyś był tak uprzejmy i wpuścił moich gości, podczas gdy ja przygotowuję drinki – poprosił.

Marsh wstał i otworzył drzwi. Stali za nimi, rozmawiając szeptem, mężczyzna i kobieta. Marsh dostrzegł w oddali księżyc zawieszony na niebie pomiędzy kominami niczym wielka, świecąca dekoracja. Usłyszał płynące od strony Natchez-under-the-hill słowa sprośnej piosenki, niosące się po przystani.

– Proszę wejść – powiedział.

Para nieznanym była całkiem atrakcyjna, stwierdził Marsh, kiedy oboje weszli do środka. Mężczyzna był młody, bardzo szczupły i przystojny, o niemal chłopięcej urodzie. Miał czarne włosy, jasną cerę i wydatne, zmysłowe usta oraz przenikliwe, lodowate spojrzenie czarnych oczu, którym omiół przelotnie Marsha. A ta kobieta...

Abner Marsh nie mógł oderwać od niej wzroku. Była naprawdę piękna. Długie włosy czarne jak noc, skóra niczym alabaster, wysokie kości policzkowe. W talii tak szczupła, że Marsh miał ochotę sprawdzić, czy zdołałby objąć ją całą swymi wielkimi dłońmi. Miał tego zerknął na jej twarz i wychwycił spojrzenie. Patrzyła na niego. Miała niesamowite oczy. Marsh nigdy jeszcze nie widział oczu w takim kolorze, były ciemnofioletowe i pełne obietnic. Odniosł wrażenie, że mógłby w nich utonąć. Przypominały mu barwę, którą dostrzegł kiedyś raz czy dwa na rzece o zmierzchu, dziwny fioletowy sztil zauważony przez krótką ulotną chwilę tuż przed zapadnięciem prawdziwych ciemności. Marsh wpatrywał się bezradnie w te oczy, a mijające chwile zdawały mu się wiecznością, aż w końcu kobieta posłała mu enigmatyczny uśmiech i odwróciła wzrok.

Joshua nalał whisky do szklaneczki Marsha, a dla siebie i dla gości napełnił kieliszki swoim specjalnym trunkiem.

– Cieszę się, mogąc was tu gościć – powiedział, częstując nowo przybyłych. – Ufam, że podobają wam się kajuty, które dla was wybrałem?

– Mogą być – odparł mężczyzna, unosząc swój kieliszek i wpatrując się weń z powątpiewaniem. Pamiętając jeszcze smak ohydneho napitku, Marsh wcale mu się nie dziwił.

– Ma pan piękny parowiec, kapitanie York – rzekła ciepłym tonem kobieta. – Rejs taką jednostką będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością.

– Mam nadzieję, że nasza wspólna podróż potrwa nieco dłużej – odparł wytwornie Joshua. – Co się tyczy „Fevre Dream”, jestem z niego bardzo dumny, ale prawdziwe pochwały należą się mojemu wspólnikowi. – Skinął ręką. – Pozwolą państwo, że im przedstawię tego oto szacownego dżentelmena, kapitan Abner Marsh, mój wspólnik w Kompanii Żeglugi Śródlądowej „Fevre River” i, prawdę mówiąc, faktyczny kapitan naszej jednostki.

Kobieta znów uśmiechnęła się do Abnera, a mężczyzna skinął lekko głową.

– Abnerze – ciągnął York – chciałbym ci przedstawić pana Raymonda Ortegę z Nowego Orleanu i jego narzeczoną, pannę Valerie Mersault?

– Naprawdę cieszę się, że jesteście państwo z nami – wykrztusił niepewnie Marsh.

Joshua uniósł swój kieliszek.

– Wznieśmy toast – zaproponował. – Za nowe początki!

Powtórzyli za nim słowa toastu i wypili.

ROZDZIAŁ 12

Na pokładzie parowca „Fevre Dream” rzeka Missisipi, sierpień 1857

Umysł Abnera Marsha był adekwatny do jego fizycznych gabarytów. Starannie o niego dbano, aż stał się obszerny i potrafił w sobie naprawdę wiele zmieścić. Odznaczał się również sporą siłą; kiedy Abner Marsh chwycił coś w rękę, niełatwo było mu to odebrać, a gdy coś trafiało do jego głowy, ciężko mu było o tym zapomnieć. Był potężnym mężczyzną o potężnym umyśle, ale zarówno ciało, jak i umysł charakteryzowała jeszcze jedna cecha – rozważa. Niektórzy mogliby nawet nazwać ją powolnością. Marsh nie biegał, nie tańczył, nie spieszył się ani za niczym nie gonił, szedł zawsze równym, dystygowanym krokiem i w tym tempie prędzej czy później dochodził tam, gdzie chciał dotrzeć. Podobnie rzecz się miała z jego umysłem. Abner Marsh nie wysławiał się ani nie kalkulował zbyt szybko, nie był wszelako głupcem, po prostu wszystko musiał dokładnie przemyśleć i przetrwać tak długo, jak to uważał za stosowne.

Kiedy „Fevre Dream” opuścił Natchez, Abner Marsh zaczął z wolna analizować historię, którą usłyszał z ust Joshuy Yoroka. Im

dłużej nad nią dumał, tym większe miał wątpliwości. Z pozoru dość nieprawdopodobna opowieść Joshuy o polowaniu na wampiry tłumaczyła wiele spośród tajemniczych przypadków, które nękały „Fevre Dream”. Nie wyjaśniała jednak wszystkiego. Powolna, lecz skrzętna pamięć Marsha dokładała kolejne pytania i wspomnienia błakające się w jego umyśle niczym połamane gałęzie unoszące się na falach rzeki; nie wnosiły nic nowego, ale budziły wątpliwości.

Na przykład Simon zlizujący zabite komary. Niesamowity wzrok Joshuy Yorka.

Ale przede wszystkim przerażający wybuch wściekłości tamtego dnia, kiedy Marsh wdarł się do jego kajuty. I to, że nie wyszedł na zewnątrz, aby zobaczyć, jak ścigają się z „Southernerem”. To poważnie zmartwiło Abnera Marsha. Wyjaśnienie Joshuy, jakoby prowadził nocny tryb życia ze względu na ścigane przez siebie wampiry, było dość przekonujące, lecz nie tłumaczyło jego zachowania tamtego popołudnia. Większość ludzi, których znał Abner Marsh, prowadziła dzienny tryb życia, co jednak nie oznaczało, że nie pozwoliliby wyrwać się z łóżka o trzeciej nad ranem, gdyby wydarzyło się coś naprawdę wyjątkowego, co należało zobaczyć.

Marsh miał coraz większą ochotę pogawędzić z kimś na ten temat. Jonathan Jeffers był mołem książkowym, a Karl Framm znał chyba wszystkie opowieści krążące wzdłuż i wszerz tej wielkiej rzeki, obaj na pewno dysponowali podstawową wiedzą na temat istot zwanych powszechnie wampirami. Tyle tylko, że nie mógł z nimi o tym porozmawiać. Obiecał to Joshui, a szczycił się opinią człowieka, który dotrzymuje danego słowa i nie zamierzał zawieść swego współnika po raz wtóry. W każdym razie nie bez solidnego powodu, a dysponował jedynie bliżej nieuzasadnionymi podejrzeniami. Jego przypuszczenia krystalizowały się jednak z dnia na dzień coraz bardziej, w miarę jak „Fevre Dream” pokonywał kolejne odcinki wielkiej rzeki.

Stało się już regułą, że płynęli wyłącznie za dnia, nocą zaś przybijali do brzegu, aby odbić od niego o wschodzie słońca. Pokonywali dłuższe odcinki niż przed Natchez i fakt ten nieznacznie poprawił Marshowi humor. Inne zmiany mniej mu przypadły do

gustu.

Marsh nie darzył sympatią nowych przyjaciół Joshuy; w mig zorientował się, że byli równie dziwaczni jak dawni znajomi Yorka i prowadzili podobnie jak on nocny tryb życia. Raymond Ortega wydał się Marshowi niespokojnym duchem, osobą nie wzbudzającą zaufania. Nie potrafił trzymać się obszarów wyznaczonych dla pasażerów i wciąż pojawiał się w miejscach dla niego niedozwolonych. Był dość uprzejmy na swój wyniosły, ospały sposób, ale sam jego widok wywoływał u Marsha lodowate ciarki. Valerie była osobą dużo bardziej przyjazną, lecz równie zagadkową i niepokojącą, ze swymi łagodnymi słowami, prowokacyjnymi uśmiechami i przenikliwymi oczyma. Nie zachowywała się bynajmniej jak narzeczona Raymonda Ortegi. Niemal natychmiast zaprzyjaźniła się z Joshuą. Obdarzała go nieco przesadnymi względami, skonstatował Marsh. To mogło oznaczać kłopoty. Prawdziwa dama pozostawałaby w swojej kajucie, Valerie natomiast spędzała noce z Joshuą w salonie lub niekiedy spacerując z nim po pokładzie. Marsh słyszał nawet, jak ktoś mówił, że podobno poszła z Joshuą do jego kajuty. Próbował ostrzec Yorka przed rodzącymi się skandalicznymi plotkami, ten jednak zbył go, mówiąc:

– Jeśli chcą skandalu, Abnerze, niechaj go mają. Valerie interesuje nasz statek i oprowadzanie jej po nim sprawia mi niewysłowioną przyjemność. Łączy nas jedynie przyjaźń, masz na to moje słowo. – To rzekłszy, dziwnie się zasmucił. – Może chciałbym, aby było inaczej, ale cóż, taka jest prawda.

– Lepiej uważaj na to, czego sobie życzysz – burknął Marsh. – Ortega może mieć w tej kwestii odmienne zdanie. Pochodzi z Nowego Orleanu i jest zapewne Kreolem. Oni pojedynkują się pod byle pretekstem. Nie zapomnij o tym, Joshua.

York uśmiechnął się.

– Nie boję się Raymonda, ale dziękuję ci za ostrzeżenie, Abnerze. A teraz pozwól, proszę, byśmy z Valerie zajęli się naszymi sprawami.

Marsh nie zaoponował, ale mimo to czuł się nieswojo. Był pewien, że prędzej czy później Ortega zacznie sprawiać problemy, zwłaszcza że od tej pory Valerie Mersault towarzyszyła Joshui

każdej nocy. Ta nieroztropna kobieta zamydlała mu oczy, tak że nie dostrzegał czającego się w pobliżu zagrożenia, ale o to akurat postanowił zatroszczyć się sam Marsh.

To był zaledwie początek. Podczas każdego postoju na pokład wchodzili coraz to nowi przybysze, Joshua zaś umieszczał ich w kajutach dla pasażerów. W Bayou Sara on i Valerie opuścili pewnej nocy „Fevre Dream” i powrócili z bladym, krępyim mężczyzną nazwiskiem Jean Ardant. Po kilku minutach rejsu w dół rzeki zarządzili postój przy składzie drewna i Ardant zszedł na brzeg, by przyprowadzić na statek mężczyznę o szarej, dziwnie niezdrowej cerze, dandysa imieniem Vincent. W Baton Rouge na pokład weszły cztery kolejne osoby, trzy dalsze dołączyły w Donaldsonville.

A potem zaczęły się te wieczery. Gdy jego dziwna kompania znacznie się powiększyła, Joshua York nakazał ustawić stół w salonie na pokładzie teksaskim, gdzie wraz z nowymi i starymi znajomymi spożywał o północy posiłki. Kolację jedli wraz z innymi w wielkim salonie, wieczery natomiast były urządzone wyłącznie dla nich.

Zwyczaj ten zapoczątkowano w Bayou Sara. Marsh napomknął kiedyś, że chętnie wzięłby udział w jednej z nich, nie został jednak zaproszony. Joshua tylko się uśmiechnął, wieczery urządzone regularnie, a liczba biesiadników stopniowo się powiększała. Wreszcie ciekawość wzięła nad Marshem górę i kilkakrotnie, niby to przypadkiem, przeszedł po pokładzie, aby ukradkiem zajrzeć przez okno do salonu. Zobaczył niewiele. Ot, grupa osób posilających się i rozmawiających z ożywieniem. Lampy naftowe ledwie się tliły, roztaczając słabe światło, zasłony były na wpeł zaciągnięte. Joshua siedział u szczytu stołu, Simon po jego prawicy, a Valerie po lewej stronie. Wszyscy sączyli z kieliszków paskudny trunek Joshuy, którego kilka otwartych butelek stało na stole. Kiedy Marsh po raz pierwszy przemaszerował obok, Joshua mówił coś z przejęciem, podczas gdy reszta słuchała. Valerie patrzyła na niego niemal z uwielbieniem. Gdy zajrzał do salonu powtórnie, Joshua słuchał Jeana Ardanta, opierając rękę na śnieżnobiałym obrusie. Marsh ujrzał, jak Valerie nakryła jego dłoń swoją. Joshua spojrział na nią i uśmiechnął się promiennie.

Valerie odpowiedziała uśmiechem. Abner Marsh pospiesznie odszukał wzrokiem Raymonda Orteę, mamrocząc pod nosem: – Nieroztropna kobieta – i oddalił się sposepniały.

Marsh próbował rozgryźć całą tę szaradę z udziałem dziwnych przybyszów, tajemniczych zdarzeń i opowieścią Joshuy Yorka o wampirach. Nie było to łatwe, a im dłużej się zastanawiał, tym bardziej czuł się zdezorientowany. W bibliotece na „Fevre Dream” nie było książek o wampirach ani niczego w tym rodzaju, a Marsh nie zamierzał zakradać się ponownie do kajuty Yorka. Gdy zawinęli do Baton Rouge, wybrał się do miasta i zamówił kilka głębszych w odwiedzanych przez siebie knajpach w nadziei, że tym sposobem uda mu się zasięgnąć języka. Gdy było to możliwe, wtrącał do rozmowy temat wampirów, zwracając się do kompanów od kieliszka takimi słowy:

– Powiedz no, słyszałeś może o jakichś wampirach nad rzeką?

Uznał, że tak będzie bezpieczniej. Nie chciał poruszać tego tematu na statku, gdzie samo słowo „wampir” mogło wzbudzić niepokojące plotki i złe skojarzenia.

Kilka osób wyśmiało go lub obrzuciło dziwnymi spojrzeniami. Pewien wolny czarny, o skórze koloru sadzy i ze złamanym nosem, którego Marsh napotkał w wyjątkowo podejrzanym speluncie, wziął nogi za pas, gdy tylko usłyszał zadane mu pytanie. Marsh pobiegł za nim, ale szybko dostał zadyszki i musiał zrezygnować z pościgu. Inni znali wiele historii dotyczących wampirów, ale żadna z nich nie wiązała się z Missisipi. Powtarzano te same mity, które usłyszał z ust Joshuy, o krzyżach, czosnku, trumnach wypełnionych ziemią i tym podobne.

Marsh czujniej obserwował Yorka i jego towarzyszy przy kolacji i później w salonie. Mówiono mu, że wampiry nie jedzą ani nie piją, ale Joshua i pozostali wypijali spore ilości wina, whisky i koniaku albo sączyli prywatny trunek Yorka, pałaszując przy tym pieczone kurczaki lub kotlety schabowe.

Joshua zawsze nosił swój srebrny sygnet z szafirem wielkości gołębiego jaja, a żaden z jego znajomych nie zdradzał zaniepokojenia srebremi, od których w pomieszczeniu aż lśniło. Przy posiłku elegancko posługiwali się srebrnymi sztućcami, lepiej nawet niż

większość załogi „Fevre Dream”.

Nocą zaś, gdy zapalano kandelabry, w zwierciadłach znajdujących się w całej sali pojawiały się ich wytwornie odziane odbicia, posilające się, tańczące, sączące trunki i grające w karty jak ich właściciele z krwi i kości. Abner Marsh każdej nocy spoglądał w te lustra. Joshua zawsze był tam, gdzie być powinien, uśmiechnięty, przepływający od lustra do lustra, ramię w ramię z Valerie, rozmawiający z innymi pasażerami o polityce, słuchający rzecznych opowieści Framma, dyskutujący o czymś na stronie z Simonem lub Jeanem Ardantem; wyglądało to tak, jakby każdej nocy tysiąc Yorków wędrowało po wyściełanych dywanami pokładach, wszyscy jednakowo żywi i elegancy. Przyjaciele Joshuy także odbijali się w lustrach.

To powinno wystarczyć, ale powolny, podejrzliwy umysł Marsha wciąż pozostawał niespokojny. Dopiero w Donaldsonville kapitan wpadł na pomysł, którego realizacja mogła położyć kres jego rozterkom. Udał się z manierką do miasta i napełnił ją wodą święconą nabraną w znajdującym się nad rzeką kościele papistów. Następnie odprowadził na stronę chłopca, który obsługiwał ich koniec stołu i dał mu pięćdziesiąt centów.

– Napełnij dziś wieczorem szklanek kapitana Yorka wodą z tej manierki, czy to jasne? – zwrócił się do chłopaka. – Chcę mu zrobić kawal.

Przy kolacji kelner niecierpliwie zerkał na Yorka, oczekując na bliżej nie określony efekt żartu.

Rozczarował się. Joshua ostentacyjnie opróżnił szklanek do dna i nic się nie stało.

– A niech mnie kule biją... – wymamrotał później do siebie Abner Marsh. – To powinno zakończyć sprawę.

Ale tak się nie stało i tej nocy Abner Marsh, przeprosiwszy wszystkich, opuścił salon, aby przemyśleć to i owo. Przez wiele godzin siedział samotnie na ganku na pokładzie teksaskim, na odchylonym do tyłu krześle, z nogami opartymi o reling, gdy nagle usłyszał szelest sukni na schodach.

Valerie stanęła obok niego, uśmiechając się.

– Dobry wieczór, kapitanie Marsh – powiedziała. Krzesło

Abnera Marsha ciężko opadło na pokład, kiedy kapitan zdjął nogi z relingu i obejrzał się przez ramię z gniewną miną.

– Pasażerom nie wolno wchodzić na ten pokład – burknął, usiłując ukryć rozdrażnienie.

– Na dole jest tak gorąco. Pomyślałam, że tu będzie trochę chłodniej.

– To fakt – przyznał niepewnie Marsh.

Nie wiedział, co ma powiedzieć. Kobiety zawsze go deprymowały. Czuł się przy nich niezręcznie. Nie było dla nich miejsca w świecie pracowników żeglugi rzecznej, a Marsh tak naprawdę nigdy nie nauczył się odpowiednio wobec nich zachowywać. Piękne kobiety wprawiały go w zakłopotanie, a Valerie mogła przyćmić urodą większość mieszkanek Nowego Orleanu.

Położyła swą szczupłą dłoń na zaokrąglonej gałce przy słupku relingu, spoglądając ponad wodą ku Donaldsonville.

– Jutro dopływamy do Nowego Orleanu, prawda? – zapytała.

Marsh wstał, uznawszy, że nieuprzejmością byłoby siedzieć w obecności kobiety.

– Tak, proszę pani – odparł. – To już niedaleko, zaledwie o kilka godzin drogi stąd, a ponieważ płyniemy pełną parą, ani się pani obejrzy, jak tam dotrzemy.

– Rozumiem. – Odwróciła się nagle, a jej blade, piękne oblicze spoważniało, skierowała na niego spojrzenie swych dużych, fiołkowych oczu. – Joshua mówi, że to pan jest prawdziwym kapitanem „Fevre Dream”. Na swój osobliwy sposób bardzo pana szanuje. Usłucha pana.

– Jesteśmy współnikami – odrzekł Marsh.

– Czy gdyby pańskiemu współnikowi groziło niebezpieczeństwo, pospieszyłby mu pan z pomocą?

Abner Marsh łypnął na nią spode łba, rozmyślając o opowieściach o wampirach, którymi uraczył go Joshua, świadom, jak blada i piękna wydawała się Valerie w świetle gwiazd i jak głębokie były jej oczy.

– Joshua wie, że w razie kłopotów zawsze może przyjść do mnie – stwierdził Marsh. – Człowiek, który nie pomógłby współnikowi w potrzebie, nie jest godzien, by zwać go tym mianem.

– Słowa – burknęła pogardliwie Valerie, odrzucając gęste, kruczce włosy do tyłu. Poruszone wiatrem omiotły jej twarz. – Joshua York to wspaniały mężczyzna, silny mężczyzna. Król. Zasługuje na lepszego współnika niż pan, kapitanie Marsh. Abner Marsh poczuł, że krew napływa mu do twarzy.

– O czym pani mówi, u licha? – rzucił gniewnie.

Uśmiechnęła się łobuzersko.

– Włamał się pan do jego kajuty – rzekła.

Marsh wpadł we wściekłość.

– Powiedział pani o tym? – zapytał. – Niech go kule biją, myślałem, że tę sprawę uznaliśmy za zakończoną. Poza tym to pani nie dotyczy. Nie powinna się pani w to mieszać.

– Wręcz przeciwnie – zaoponowała. – Joshua znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Jest odważny i zapalczywy. Potrzebna mu pomoc. Chcę mu pomóc, ale pan, kapitanie Marsh, oferuje mu jedynie słowa.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi – mruknął Marsh. – Jakiej to pomocy potrzebuje rzekomo Joshua? Zaproponowałem, że mu pomogę, jeżeli chodzi o te cholerne wam... o ten problem, który go nęka, ale on kategorycznie odmówił.

Oblicze Valerie nagle złagodniało.

– Naprawdę byłby pan gotów mu pomóc? – zapytała.

– Do licha, przecież jest moim partnerem.

– Wobec tego niech pan zawróci statek, kapitanie Marsh. Proszę skierować go z powrotem do Natchez lub St. Louis, to jest mi całkiem obojętne. Ale nie pływamy do Nowego Orleanu. Nie możemy tam dotrzeć.

Abner Marsh parsknął.

– A to dlaczego? – zapytał. Kiedy Valerie miała odpowiedzieć, odwróciła wzrok, ponownie się odezwał: – Chciałem pani przypomnieć, że nie jedziemy konno, lecz znajdujemy się na pokładzie parowca regularnej linii żeglugi śródlądowej. Muszę dotrzymywać terminów, dowieźć ludzi na miejsce i dostarczyć przewożone towary. Musimy dotrzeć do Nowego Orleanu. – Jego oblicze spochmurniało. – A co z Joshuą?

– Do zmierzchu będzie spał w swojej kajucie – odparła Valerie.

– Kiedy się obudzi, będziemy już na bezpiecznym terenie, w górze rzeki.

– Joshua to mój współnik – powiedział Marsh. – Wspólnicy muszą sobie ufać. Może faktycznie go szpiegowałem, ale to się już nie powtórzy, nie zrobię tego z własnej woli ani za czyjąkolwiek namową. I nie zawrócę statku bez powiadomienia o tym Joshuy. Jeśli on sam przyjdzie do mnie i powie, że nie chce płynąć do Nowego Orleanu, być może, ale tylko może, przystanę na to. W innym wypadku nie mamy o czym rozmawiać. Chce pani, abym poszedł do Joshuy i zapytał go o to?

– Nie! – zawołała Valerie zaniepokojona.

– Tak czy inaczej powiem mu – dorzucił Marsh. – Powinien wiedzieć, że spiskuje pani za jego plecami.

Valerie schwyciła go za rękę.

– Proszę, nie – rzekła błagalnie. Miała mocny uścisk. – Niech pan na mnie spojrz, kapitanie Marsh.

Abner Marsh chciał odwrócić się na pięcie i odejść, ale coś w jej głosie skłoniło go, by postąpić zgodnie z jej życzeniem. Spojrzał we fiołkowe oczy i znieruchomiał.

– Widziałam, jak pan na mnie patrzył, kapitanie. – Uśmiechnęła się. – Nie może pan oderwać ode mnie wzroku, prawda?

Marshowi zaschło w gardle.

– Hmm...

Valerie ponownie odrzuciła włosy do tyłu dzikim, wyuzdanym gestem.

– Z pewnością pańskie marzenia nie ograniczają się tylko do parowców, kapitanie Marsh. Ta jednostka to zimna dama i fatalna kochanka. Ciepłe ciało jest lepsze niż drewno i stal. – Marsh nigdy dotąd nie słyszał podobnych słów z ust kobiety. Stał jak skamieniały.

– Podejdź bliżej – rzekła Valerie i przyciągnęła go do siebie, aż odległość pomiędzy nimi zmalała do kilku cali. – Spójrz na mnie – powiedziała. Czuł jej ciepłe ciało, tak blisko, na wyciągnięcie ręki, a jej oczy przypominały dwa fiołkowe stawy, chłodne, jedwabiste i kuszące. – Pragniesz mnie, kapitanie – wyszeptwała.

– Nie – odparował Marsh.

– Ależ pragniesz mnie. Widzę w twych oczach pożądanie.

– Nie – zaprotestował Marsh. – Ty jesteś... Joshua...

Valerie roześmiała się dźwięcznym, perlistym, zmysłowym śmiechem.

– Nie zaprzataj sobie głowy Joshua. Bierz, co chcesz. Boisz się, dlatego tak się opierasz. Nie lękaj się.

Abner Marsh zadrżał potężnie i w głębi duszy zdał sobie sprawę, że dygocze z pożądania. Nigdy jeszcze w całym swoim życiu nie pożądał kobiety równie mocno jak teraz. Mimo to nie wiadomo czemu stawiał opór, walczył z tym uczuciem, choć oczy Valerie przyciągały go coraz mocniej, a cały świat wypełniał się jej zapachem.

– Zabierz mnie do swojej kajuty – wyszeptła. – Dziś wieczorem jestem twoja.

– Doprawdy? – zapytał słabym głosem Marsh. Poczłł krople potu ściekające po czole, spływające do oczu. – Nie – wykrztusił. – Nie, to nie jest...

– Ale może być – zapewniła. – Wystarczy, że mi obiecasz.

– Obiecuję? – powtórzył ochryple Marsh.

Fiołkowe oczy przyzywały i płonęły.

– Że zawrócisz, że nie dotrzemy do Nowego Orleanu. Obiecuję mi to, a będziesz mnie miał. Tak bardzo tego chcesz. Czuję to.

Abner Marsh uniósł ręce i schwycił ją za ramiona. Dygotał. Wargi miał suche. Chciał przytulić ją do siebie w mocnym, niedźwiedzim uścisku, rzucić na swoje łóżko. Miast tego jednak wyrzesał z siebie resztkę sił i odepchnął ją brutalnie. Krzyknęła, potknęła się i upadła na jedno kolano. Marsh, uwolniony od hipnotycznej mocy jej oczu, ryknął na całe gardło:

– Precz stąd! Wynocha na dół. Co z ciebie za kobieta z piekła rodem, precz stąd, nie jesteś damą, lecz... lecz... Wynos się stąd!

Valerie znów uniosła wzrok i lekko rozchyliła wargi.

– Mogłabym cię zmusić... – zaczęła gniewnie.

– NIE – rzekł stanowczo Joshua York.

Wyłonił się z cienia tak nagle, jakby sama ciemność przyobkleła się w ludzkie ciało. Valerie spojrzała na niego, wydała cichy, gardłowy jęk i zbiegła po schodach na dół.

Marsh był tak wyczerpany, że ślaniał się na nogach.

– Do stu piorunów – wybełkotał. Wyjął z kieszeni chustkę i otarł nią pot z czoła.

Joshua, przyglądając mu się, zaczął cierpliwie, aż skończy.

– Nie wiem, co widziałeś, Joshua, ale to nie to, co myślisz.

– Wiem, co tu zaszło, Abnerze – odparł Joshua. Nie wydawał się zagniewany. – Byłem tu prawie przez cały czas. Gdy zauważyłem, że Valerie wyszła z salonu, poszedłem za nią, a kiedy usłyszałem wasze głosy, wszedłem po schodach na górę.

– Nie słyszałem, jak wchodzisz – stwierdził Marsh.

Joshua uśmiechnął się.

– Kiedy to służy moim interesom, potrafię zachowywać się naprawdę cicho.

– Ta kobieta – rzekł Marsh. – Ona... zaproponowała mi... do licha... ona jest... ona jest cholerną... – Nie był w stanie wymówić tego słowa. – Ona nie jest damą – dokończył cichszym głosem. – Pozbądź się jej, Joshua, jej i Ortegi.

– Nie.

– Czemu nie? – ryknął Marsh. – Słyszałeś, co mówiła!

– To bez znaczenia – odparł ze spokojem Joshua. – Prawdę mówiąc, to, co tu usłyszałem, jeszcze bardziej mnie do niej zbliżyło. Zrobiła to dla mnie, Abnerze. Zależy jej na mnie bardziej, niż sądziłem, bardziej, niż mogłem oczekiwać.

Abner Marsh zaklął szpetnie.

– Nic z tego nie rozumiem.

Joshua uśmiechnął się promiennie.

– Wyobrażam sobie. Ale to nic. Nie przejmuj się, Abnerze. To ciebie nie dotyczy. Zostaw Valerie mnie. Nie będzie cię już więcej niepokoić. Ona po prostu się bała.

– Bała się Nowego Orleanu – rzekł Marsh. – Wampirów. Ona wie.

– Tak.

– Jesteś pewien, że potrafisz sobie poradzić z tym, co cię tam czeka? – zapytał Marsh. – Jeżeli chcesz ominąć Nowy Orlean, powiedz to! Valerie myśli...

– A co ty myślisz, Abnerze? – spytał York.

Marsh patrzył na niego przez długą, bardzo długą chwilę.

Wreszcie rzekł:

– Myślę, że powinniśmy zawinąć do Nowego Orleanu – i obaj się uśmiechnęli.

Tym sposobem następnego ranka „Fevre Dream” wpłynął do Nowego Orleanu, za sterem stał Dan Albright, Abner Marsh zaś tkwił dumnie na mostku w swym kapitańskim surducie i nowiutkiej czapce. Niebo było błękitne, słońce prażyło niemiłosiernie, każda mielizna i zatopiona kłoda odznaczały się na wodzie złocistymi zmarszczkami, co ułatwiało pilotowanie statku i pozwalało utrzymywać sporą prędkość. W nowoorleańskim porcie stało mnóstwo parowców i najróżniejszych statków żaglowych, rzeka tętniła życiem od muzyki syren i dzwonów okrętowych. Marsh oparł się na lasce i utkwivszy wzrok w rozpościerającym się przed nim mieście, zasłuchał się w zew „Fevre Dream”, pozdrawiającego inne jednostki dźwiękami dzwonka i donośnym, przeciągłym jękiem syreny. Bywał w Nowym Orleanie wielokrotnie podczas pracy na rzece, ale nigdy w ten sposób, stojąc na mostku własnego parowca, największego, najwspanialszego i najszybszego parowca w zasięgu wzroku. Czuł się jak pan wszelkiego stworzenia.

Jednakże gdy tylko przycumowali do nabrzeża, czekało ich mnóstwo pracy, rozładunek towarów, przechwycenie nowych na rejs powrotny do St. Louis, zamieszczenie reklam w lokalnych gazetach. Marsh uznał, że firma powinna pomyśleć o utworzeniu tutaj stałego biura, zabrał się więc do szukania najbardziej atrakcyjnego miejsca i poczynił przygotowania do otwarcia konta w banku i wynajęcia agenta. Tej nocy zjadł kolację w hotelu St. Charles z Jonathanem Jeffersem i Karlem Frammem, ale myślami zamiast przy posiłku był przy zagrożeniach, których tak bardzo lękała się Valerie, a także zastanawiał się, co zamierzał Joshua. Gdy Marsh powrócił na statek, Joshua rozmawiał ze swymi towarzyszami w salonie teksaskim, jak gdyby nigdy nic, aczkolwiek Valerie siedząca u jego boku wydawała się dziwnie przygaszona i zasmucona. Marsh udał się na spoczynek i wyrzucił wszelkie troski ze swego umysłu, w następnych dniach zaś nie miał wielu okazji, aby powrócić myślami do tej sprawy. Za dnia czekało go zbyt wiele obowiązków związanych z „Fevre Dream”, nocami ucztował w mieście, chełpiąc się swoim statkiem podczas

pijatyk w tawernach na nabrzeżu, wędrował uliczkami Vieux Carre, podziwiając urodę nadobnych Kreolek i sycąc wzrok pięknem placów, fontann i balkonów. Nowy Orlean był tak samo piękny jak dawniej, nic się tu nie zmieniło, pomyślał Abner Marsh.

Stopniowo jednak zaczął w nim narastać niepokój; uczucie, że coś było nie tak, sprawiło, iż ujrzał wszystko z całkiem nowej perspektywy. Pogoda dawała się porządnie we znaki, za dnia panowały potworne upały, powietrze było gęste i wilgotne i tylko tuż nad wodą można było liczyć na chłodniejszą, orzeźwiająca bryzę. W dzień i w nocy z rynsztoków i otwartych kanałów bił okropny fetor, woń zgnilizny unosząca się znad stojącej wody niczym zapach odrażających perfum. Nic dziwnego, że w Nowym Orleanie tak często szalała żółta febra, skonstatował Marsh. W mieście roiło się od wolnych kolorowych i pięknych, młodych Mulatek, noszących równie wytworne stroje jak białe kobiety. Jednakże nie brakowało tu także niewolników. Widywało się ich wszędzie, załatwiających sprawunki dla swoich panów, siedzących lub spacerujących żałośnie w zagrodach dla niewolników na ulicach Moreau i Common, zmierzających długimi kolumnami na targowisko albo sprzątających rynsztoki. Niewolników widać było nawet na nabrzeżu, wielkie bocznokołowce obsługujące nowoorleańską linię handlową zawsze przewoziły niewolników w górę i w dół rzeki, Abner Marsh stale zaś napotykał ich na swojej drodze, wracając na „Fevre Dream”. Niewolnicy, przeważnie skuci łańcuchami, siedzieli smętnie wśród stert rozmaitych towarów, pocąc się z gorąca buchającego z olbrzymich pieców.

– To mi się wcale nie podoba – Marsh poskarżył się Jonathanowi Jeffersowi. – Jest jakieś nieczyste. I powiadam panu, nie pozwolę, aby coś takiego trafiło na pokład „Fevre Dream”. Nikt nie będzie kłał mojego statku takim ładunkiem, rozumiemy się?

Jeffers spojrział na niego z ukosa.

– Ależ kapitanie, jeśli nie będziemy przewozić niewolników, stracimy mnóstwo pieniędzy. Mówi pan jak abolicjonista.

– Nie jestem cholernym abolicjonista – zaperzył się Marsh. – Ale mówię, co myślę. Jeśli džentelmen chce zabrać na pokład jednego czy dwóch niewolników w charakterze służących, proszę bardzo.

Mogę znaleźć dla nich miejsce na którymś z pokładów czy pod kajutami, nie powinno być z tym żadnych problemów. Nie będziemy jednak zabierać ich jak frachtu, skutych łańcuchami przez jakiegoś parszywego handlarza żywym towarem.

Siódmej nocy Abnerowi Marshowi Nowy Orlean zbrzydł do cna i jedyne, czego pragnął, to jak najszybciej stąd odpłynąć. Tej nocy Joshua York zszedł na kolację z jakimiś mapami rzecznyymi w dłoni. Odkąd zawinęli do portu, Marsh prawie w ogóle nie widywał swojego współnika.

– Jak ci się podoba Nowy Orlean? – zwrócił się do Yorka, kiedy on i pozostali usiedli za stołem.

– Miasto jest przepiękne – odrzekł York dziwnie niespokojnym głosem, który sprawił, że Marsh uniósł wzrok znad talerza ze zrazami. – Vieux Carre wzbudziło we mnie nieklamany podziw. Jest inne niż którakolwiek nadrzeczna osada, przypomina trochę miasto europejskie, a niektóre z domów w dzielnicy amerykańskiej są naprawdę wspaniałe. Mimo to nie podoba mi się tutaj.

Marsh zasepił się.

– A to czemu?

– Mam złe przeczucia, Abnerze. To miasto, ten żar, jaskrawe barwy, fetor, niewolnicy, wszystko zdaje się tętnić życiem, oto Nowy Orlean co się zowie, wewnątrznie jednak wydaje się trawiony jakąś chorobą, przerażającą zgnilizną. Wszystko jest tutaj takie bogate i piękne, kuchnia, maniery, architektura, jednakże pod tą fasadą... – Pokręcił głową. – Widzisz wszystkie te piękne place, na każdym z nich wznosi się dumnie studnia. A potem widzisz woziwodów sprzedających z beczek wodę rzeczną i uświadamiasz sobie, że woda ze studni jest niezdatna do picia. Radujesz się smakiem sosów i ostrością przypraw niemal wszystkich posiłków, a potem dowiadujesz się, że przyprawy mają zatuszować fakt, że mięso jest odrobinę nieświeże. Wędrujesz ulicami Nowego Orleanu, wodzisz wzrokiem po wszechobecnych marmurach i przepięknej kopule, przez którą światło spływa do wnętrza rotundy, i okazuje się, że to słynny targ niewolników, gdzie ludzi sprzedaje się jak bydło. Nawet cmentarze są pięknymi miejscami. Nie ma prostych nagrobków ani drewnianych krzyży, lecz marmurowe mauzolea, jedno świetniejsze

od drugiego, z poetyckimi inskrypcjami wyrytymi w zimnym kamieniu. Jednakże w każdym z nich spoczywają gnijące zwłoki, rojące się od robactwa. Trzeba je chować w kamiennych grobowcach, ponieważ ziemia nie nadaje się tu nawet do pochówku, a groby wypełnione są wodą. Nad tym pięknym miastem wciąż unosi się widmo zarazy. Nie, Abnerze – rzekł Joshua z dziwnym, jakby niewidzącym spojrzeniem. – Kocham piękno, lecz to, co piękne, skrywa w sobie czasami zepsucie i plugawość. Im szybciej opuścimy to miasto, tym lepiej.

– Do kata – rzucił Marsh. – Nie wiem czemu, ale podzielał twoje zdanie. Bez obawy, już wkrótce wyruszamy w dalszą drogę.

Joshua York skrzywił się.

– Doskonale – powiedział. – Wobec tego przejdźmy do rzeczy. – Odsunął talerz i rozłożył mapę obok na stole. – Chciałbym, abyśmy jutro o zmierzchu wyruszyli w dalszą drogę w dół rzeki.

– W dół rzeki? – zapytał ze zdumieniem Marsh. – Do licha, przecież w dole rzeki nie ma już nic, co mogłoby nas interesować. Są tu tylko plantacje, wielu Cajunów, bagna, zalewiska, a na samym końcu zatoka.

– Spójrz – powiedział York. Powiódł palcem po mapie wzdłuż biegu Missisipi. – Popłyniemy tędy, skrećmy w to zalewisko i po przepłynięciu kolejnych pięciu, sześciu mil dotrzemy do tego miejsca. To nie potrwa długo i następnej nocy będziemy mogli wrócić do Nowego Orleanu po naszych pasażerów płynących do St. Louis. Chcę, abyśmy zrobili krótki postój w tym miejscu. – Pokazał palcem.

Abner Marsh miał przed sobą solidny kawał steku, ale zignorował go i nachylił się, by spojrzeć na miejsce na mapie wskazywane przez Joshuę.

– Cypress Landing – odczytał nazwę. – Bo ja wiem?

Rozejrzał się po salonie, w pomieszczeniu było prawie pusto, wszyscy pasażerowie opuścili już pokład „Fevre Dream”. Karl Framm, Whitey Blake i Jack Ely posilali się przy drugim końcu stołu.

– Panie Framm – zawołał Marsh – zechce pan podejść do nas na chwilę!

Kiedy Framm zjawił się przy nich, Marsh wskazał mu trasę nakreśloną przez Yorka.

– Czy mógłby pan pilotować nas w dół rzeki, aż do tego tutaj zalewiska? A może mamy zbyt dużą wyporność?

Framm wzruszył ramionami.

– Niektóre z tych zalewisk są dość szerokie i głębokie, przez inne trudno byłoby przepłynąć nawet w szalupie, a co dopiero mówić o parowcu. Mimo to podejrzewam, że jest to wykonalne. Są tam plantacje i przystanie, do których zawijają inne parowce. Większość z nich nie dorównuje jednak rozmiarami naszej jednostce. Jedno jest pewne, będziemy musieli utrzymywać ślimacze tempo, przez całą drogę sondować rzekę, uważać na mielizny i pogrążone w wodzie kłody, a także odpiłowywać nisko zwieszające się konary drzew, jeżeli nie chcemy stracić któregoś z kominów. – Nachylił się, aby spojrzeć na mapę. – Dokąd płyniemy? Byłem w tej okolicy raz czy dwa.

– Do miejsca zwanego Cypress Landing – odparł Marsh.

Framm wydał wargi i zamyślił się.

– Mogło być gorzej. To dawna plantacja Garoux. Regularnie zawijały tam parowce przewożące bataty i trzcinę cukrową do Nowego Orleanu. Stary Garoux umarł, podobnie jak cała jego rodzina, i o Cypress Landing już od dawna nie było słyhać. Choć, jeśli sobie przypominam, o tej okolicy krążą ostatnio dziwaczne opowieści. Dlaczego mamy tam płynąć?

– To sprawa osobista – odrzekł Joshua York. – Proszę dopilnować, abyśmy dotarli na miejsce, panie Framm. Wypływamy jutro o zmierzchu.

– Jak pan każe, kapitanie – powiedział Framm. I wrócił do przerwane go posiłku.

– Gdzie jest, u licha, moje mleko? – poskarżył się Abner Marsh.

Rozejrzał się wokoło. Kelner, szczupły młody Negr stał u wejścia do kuchni.

– Przynieś mi kolację! – zawołał do niego Marsh, a chłopak wyraźnie zadrzał.

Marsh odwrócił się do Yorka.

– Ta podróż – powiedział. – Czy jest ona związana z tym, o

czym mi opowiadałeś?

– Tak – odrzekł oschle York.

– Czy jest niebezpieczna? – dopytywał się Marsh.

Joshua York wzruszył ramionami.

– Nie podoba mi się to – rzekł Marsh. – Cały ten ambaras z wampirami.

Wypowiadając słowo wampir, zniżył głos do szeptu.

– Niedługo będzie po wszystkim, Abnerze. Muszę się z kimś spotkać na tej plantacji, załatwić pewną sprawę, zabrać kilkoro przyjaciół i na tym się to zakończy.

– Pozwól mi płynąć z tobą – rzekł Marsh. – Chcę wziąć udział w tej wyprawie. Nie mówię, że ci nie wierzę, ale byłoby mi łatwiej, gdybym ujrzał jedną z tych istot na własne oczy.

Joshua spojrział na niego. Marsh przez moment patrzył mu w oczy, ale coś, co było w nich obecne, dosięgło go i dotknęło, i nagle, w zasadzie bez powodu, odwrócił wzrok. Joshua złożył mapę.

– Nie uważam, aby to było rozropne. – Wstał i odszedł od stołu.

Marsh odprowadził go wzrokiem, niepewny, co przed chwilą zaszło pomiędzy nimi. W końcu burknął pod nosem:

– A diabła go tam – i skupił swą uwagę na steku.

W kilka godzin później Marsha odwiedzili goście.

Był w swojej kajucie, próbując zasnąć. Ciche pukanie do drzwi obudziło go jak odgłos grzmotu i Marsh poczuł, że serce w jego piersi zabiło szybszym rytmem. Nie wiadomo czemu ogarnęła go trwoga. W kajucie było ciemno choć oko wykol.

– Kto tam? – zawołał. – Idź precz!

– To tylko ja, Toby, kapitanie – padła cicha odpowiedź.

Trwoga natychmiast odpłynęła z serca Marsha i w jednej chwili wydała mu się czymś zgoła absurdalnym. Toby Lanyard był najpocześniejszym człowiekiem, który kiedykolwiek znalazł się na pokładzie parowca, a także jednym z najłagodniejszych.

– Idę! – zawołał Marsh i zanim podszedł do drzwi, zapalił lampę stojącą przy łóżku.

Na korytarzu stało dwóch mężczyzn. Toby miał około sześćdziesięciu lat, był łysy, jego czaszkę okalały rzadkie kosmyki

siwych włosów, twarz zaś, zmęczoną i czarną jak para starych kaloszy, przecinały bruzdy niezliczonych zmarszczek. Towarzyszył mu młody Negr, niski, krępy, brązowoskóry mężczyzna w drogim garniturze. Dopiero po chwili Marsh rozpoznał w nim Jebediaha Freemana, golibrodę, którego wynajął w Louisville.

– Kapitanie – rzekł Toby – chcieliśmy z panem pomówić, jeśli to możliwe, na osobności.

Marsh wpuścił ich.

– O co chodzi, Toby? – zapytał, zamykając drzwi.

– Jesteśmy tak jakby rzeźnikami – powiedział kuk. – Zna mnie pan od lat, kapitanie, i wie pan, że nigdy bym pana nie okłamał.

– Oczywiście – rzekł Marsh.

– Ani bym nie uciekł. Dał mi pan wolność i w ogóle tylko po to, abym dla pana gotował. Tyle że inni czarni, palacze i nie tylko, nie chcą uwierzyć, gdy z Jebem tłumaczymy im, że prawy z pana człek. Boją się i planują ucieczkę. Chłopak posługujący dziś przy kolacji usłyszał, jak rozmawiał pan z kapitanem Yorkiem o rejsie do Cypress Landing i teraz wszyscy czarni rozmawiają już tylko o tym.

– Co takiego? – rzucił Marsh. – Przecież nikt z was tam nie był. O co chodzi z tym Cypress Landing? Co ono dla ciebie znaczy?

– Absolutnie nic – odrzekł Jeb. – Ale inni czarni słyszeli różne historie związane z tym miejscem. Złe historie. Wszyscy czarni uciekają jak najdalej od tego miejsca ze względu na to, co się tam działo. A były to straszne rzeczy. Niewyobrażalne. Prawdziwe okropieństwa, kapitanie.

– Przyszliśmy prosić pana, abyśmy tam nie płynęli, kapitanie – rzekł Toby. – Wie pan, że nigdy dotąd o nic pana nie prosiłem.

– Żaden kuk ani golibroda nie będzie mi mówił, dokąd mam płynąć lub nie – odparł srogim tonem Marsh. Nagle spojrzął na Toby'ego i nieco się rozchmurzył. – Nic się nie stanie – dodał łagodniejszym tonem. – Jeśli jednak wy dwaj chcecie poczekać na nasz powrót w Nowym Orleanie, to proszę bardzo. Podczas tak krótkiego rejsu obejdziemy się bez gotowania i golenia.

Toby odetchnął z ulgą.

– Ale palacze... – rzekł po chwili.

– Będą potrzebni.

– A oni nie zostaną na statku, powiadam panu, kapitanie...

– Sądzę, że Kudłaty Mike ma argumenty, które zdołają ich przekonać.

Jeb pokręcił głową.

– Czarni boją się Kudłatego Mike’a, to fakt, ale jeszcze większą trwogę wzbudza w nich miejsce, do którego chce pan popłynąć. Oni wszyscy uciekną, to pewne jak amen w pacierzu.

Marsh zaklął.

– Przekłęci głupcy – powiedział. – Niech to lichy, bez palaczy się nie obejdziemy. Jednak to nie ja, lecz Joshua wpadł na pomysł tego rejsu. Dajcie mi kilka chwil, abym się ubrał, chłopcy, poszukamy kapitana Yorka i porozmawiamy z nim o tej sprawie.

Dwaj czarni wymienili spojrzenia, ale nie odezwali się słowem.

Joshua York nie był sam. Kiedy Marsh podszedł do drzwi kajuty kapitańskiej, usłyszał dochodzący zza nich silny i melodyjny głos swego współnika. Marsh zawahał się, a potem jęknął, gdy zorientował się, że Joshua czytał poezję. Czytał wiersze na głos. Zakołatał do drzwi swoją laseczką, a York przerwał lekturę i zaprosił ich do środka.

Joshua siedział spokojnie, z książką na podołku, zaznaczając stronę długim, smukłym palcem, obok niego na stole stał kieliszek wina. Valerie zajmowała sąsiedni fotel. Popatrzyła na Marsha i czym prędzej odwróciła wzrok. Unikała go od owej nocy na górnym pokładzie i zignorowanie jej przyszło Marshowi z łatwością.

– Powiedz mu, Toby – rozkazał.

Toby z większym trudem dobierał słowa niż podczas rozmowy z Marshem, ale w końcu wyjaśnił, o co chodzi. Kiedy skończył, stanął ze spuszczonego wzrokiem, mnąc w dłoniach swoją starą, podniszczoną czapkę.

Joshua York miał ponurą minę.

– Czego lękają się ci ludzie? – zapytał uprzejmie lodowatym tonem.

– Boją się płynąć dalej.

– Przekaż im, że znajdują się pod moją ochroną.

Toby pokręcił głową.

– Kapitanie York, z całym szacunkiem, ale czarni boją się także

pana, zwłaszcza teraz, gdy chce pan nas zabrać w tamto miejsce.

– Sądzą, że jest pan jednym z nich – wtrącił Jeb. – Że pan i pańscy przyjaciele chcecie zwabić nas tam, do innych podobnych do was. Plotki głoszą, że tamci ludzie nigdy nie pokazują się za dnia i z panem jest tak samo, kapitanie, dokładnie tak samo. Oczywiście ja i Toby nie dzielimy tych poglądów, ale jesteśmy w mniejszości.

– Powiedźcie im, że za rejs na zalewisko otrzymają podwójne wynagrodzenie – rzekł Marsh.

Toby nie uniósł wzroku, tylko pokręcił głową.

– Im nie chodzi o pieniądze. Zamierzają uciec.

Abner Marsh zaklął.

– Joshua, skoro ani pieniądze, ani Kudłaty Mike nie są dla nich wystarczająco silnymi argumentami, znaczy to, że nic nie zdoła ich przekonać. Będziemy musieli zwolnić ich wszystkich i nająć nową załogę, ale to trochę potrwa.

Valerie wychyliła się i oparła dłoń na ramieniu Yorka.

– Proszę cię, Joshua – rzekła półgłosem. – Posłuchaj ich. To znak. Nie powinniśmy tam płynąć. Wróćmy do St. Louis. Obiecałeś, że mnie tam zabierzesz.

– Zabiorę – przytaknął Joshua – ale najpierw muszę zakończyć swoje sprawy. – Spojrzał spod wółprzymkniętych powiek na Toby'ego i Jeba. – Mogę z łatwością dotrzeć do Cypress Landing drogą lądową. Nie wątpię, że byłby to najszybszy i najprostszy sposób na osiągnięcie moich celów. To mnie jednak nie satysfakcjonuje, panowie. Albo to jest mój statek, albo nie. I albo jestem tu kapitanem, albo nie. Nie mogę pozwolić, aby załoga żywiła wobec mnie choćby cień nieufności. Nie chcę, aby moi ludzie obawiali się mnie. – Ze złością odłożył tomik poezji na stół. Widać było, że jest zdenerwowany. – Czy zrobiłem ci coś złego, Toby? – zapytał. – Czy niewłaściwie potraktowałem któregoś z twoich ludzi? Czy uczyniłem cokolwiek, by zasłużyć sobie na podejrzliwość z waszej strony?

– Nie, psze pana – odrzekł cicho Toby.

– Nie, powiadasz. A mimo to oni wszyscy zamierzają mnie opuścić?

– Tak, kapitanie, obawiam się, że tak – potwierdził Toby. Na

twarży Joshuy Yorka pojawił się wyraz zimnej, niewzruszonej determinacji.

– A gdybym udowodnił, że nie jestem tym, za kogo mnie uważają? – Przeniósł wzrok z twarzy Toby’ego na Jeba i z powrotem. – Czy gdyby zobaczyli mnie za dnia, zaufaliby mi?

– Nie – rzekła Valerie. Sprawiała wrażenie śmiertelnie przerażonej. – Joshua, nie możesz...

– Mogę – odparł – i zrobię to. Co o tym sądzisz, Toby?

Kucharz uniósł wzrok, odnalazł spojrzenie Yorka i powoli skinął głową.

– Cóż, może... gdyby przekonali się na własne oczy, że nie jest pan...

Joshua przez dłuższą chwilę przyglądał się dwóm czarnym.

– Dobrze więc – stwierdził w końcu. – Jutro po południu zjem z wami obiad. Nakryjcie dla mnie do stołu.

– A niech mnie kule biją – mruknął Abner Marsh.

ROZDZIAŁ 13

Na pokładzie parowca „Fevre Dream” Nowy Orlean, sierpień 1857

Joshua tego popołudnia założył do obiadu biały surdut, a Toby przeszedł samego siebie. Wieści, rzecz jasna, szybko się rozniosły i cała załoga „Fevre Dream” czekała niecierpliwie. Kelnerzy, elegancyjacy jak spod igły, w białych marynarkach krążyli w tę i z powrotem, wynosząc z kuchni kulinarne dzieła Toby’ego na wielkich, parujących półmiskach i w porcelanowych wazach. Podano zupę zółtą, sałatkę z homara, faszerowane kraby i krokiety, ostrygi w sosie i baraninę z rusztu, gotowane zółwie i smażone kurczaki, rzepę i nadziewaną paprykę, rostbef i kotlety cielęce, irlandzkie ziemniaczki, zielony groszek, kukurydzę, marchew, karczochy i fasolkę oraz naleśniki, bułeczki i chleb, wino i mocniejsze trunki z baru, świeże mleko z miasta, porcjowane masło na talerzach, na deser zaś pudding śliwkowy, placek cytrynowy i biszkopt z polewą czekoladową.

Abner Marsh nigdy w życiu nie uczestniczył we wspanialszej uczcie.

– Do kroćset – zwrócił się do Yorka. – Chciałbym, abyś częściej

jadał z nami obiady, moglibyśmy co dzień pałaszować takie frykasy.

Joshua prawie nie tknął jedzenia. W jasnym świetle dnia wydawał się inną osobą, dziwnie przygarbioną, mniej imponującą niż zazwyczaj. Jego skóra w promieniach słońca wpadających przez świetliki nabrała odcienia niezdrowej bledkości, a Marshowi zdawało się, że dostrzega w nim osobliwą kredową szarość.

Ruchy Yorka wydawały się ociężałe i od czasu do czasu gwałtowne, brakowało im zwykłej gracji i mocy.

Największą różnicę widać było jednak w oczach. W cieniu szerokoskrzydłego kapelusza, który nosił, jego oczy wydawały się zmęczone, nieskończenie strudzone i wyczerpane. Zrenice zwężyły się do wielkości łebków od szpilek, a białkówka wokół nich była blada, dziwnie poszarzała, pozbawiona intensywności.

Ale był tutaj i tylko to się liczyło. Wyszedł ze swojej kajuty w świetle dnia, przeszedł po otwartym pokładzie i zszedł po schodach, by uczestniczyć w obiedzie wraz z załogą i pasażerami. Rozwiał wszelkie obawy zrodzone z jego ekscentrycznego stylu życia; wydawały się teraz śmieszne i niedorzeczne, wypaliły je na proch promienie słońca, te same, które opływały Joshuę Yorka w jego eleganckim, białym surducie.

York przeważnie milczał podczas posiłku, choć skrzętnie odpowiadał na wszystkie zadawane mu pytania, a także od czasu do czasu wtrącał parę słów komentarza do prowadzonych przy jego stole dyskusji. Gdy podano deser, odsunął swój talerz i znużonym gestem odłożył nóż.

– Poproś tutaj Toby’ego – powiedział do kelnera.

Kucharz wyszedł z kuchni, upaprany mąką i olejem.

– Nie smakowało panu, kapitanie York? Prawie nic pan nie zjadł.

– Było pyszne, Toby. Niestety o tej porze nie mam zwykle apetytu. Mimo to jestem tutaj. Mam nadzieję, że coś w ten sposób udowodniłem.

– Tak jest – odparł Toby. – Odtąd nie będzie już żadnych problemów.

– Doskonale – mruknął York. Kiedy Toby wrócił do kuchni, Joshua zwrócił się do Abnera. – Postanowiłem odłożyć wyjście z portu o kolejny dzień – oznajmił. – Wyżywamy nie dziś, lecz

dopiero jutro wieczorem.

– Dobrze – zgodził się Marsh. – Jak chcesz. Podaj mi, proszę, jeszcze jeden kawałek tego placka.

York uśmiechnął się i podał mu ciasto.

– Kapitanie, sugeruję, abyśmy nie czekali z wypłynięciem do jutra – odezwał się Dan Albright, który dłużył w zębach wykałaczką.

– Czuję, że zbiera się na burzę.

– Jutro – zdecydował York.

Albright wzruszył ramionami.

– Toby i Jeb mogą tu zostać – ciągnął York. – Chcę zabrać w ten rejs możliwie jak najmniejszą załogę. Wszyscy pasażerowie, którzy znajdują się na pokładzie, zjedzą na kilka dni na ląd, aby oczekiwać tam na nasz powrót. Nie zabierzemy żadnego ładunku, toteż robotnicy pokładowi i tragarze również dostaną kilka dni wolnego. Weźmiemy tylko jedną obsadę wachty. Czy to jest wykonalne?

– Chyba tak – odrzekł Marsh. Powiódł wzrokiem wzdłuż stołu.

Oficerowie spoglądali na Joshuę ze zdumieniem.

– Wobec tego ruszamy jutro o zmierzchu – powiedział York. – A teraz proszę mi wybaczyć. Muszę odpocząć. – Wstał i przez moment zakołysał się na nogach. Marsh czym prędzej się poderwał, ale York zdecydowanym ruchem ręki odmówił przyjęcia od niego pomocy. – Nic mi nie jest – rzekł krótko. – Wrócę teraz do mojej kajuty. Dopilnuj, by mi nie przeszkadzano, dopóki nie będziemy gotowi do opuszczenia Nowego Orleanu.

– Nie zjedziesz dziś wieczorem na kolację? – zapytał Marsh.

– Nie – odparł York. Zlustrował wzrokiem wnętrze sali. – Jednak bardziej podoba mi się nocą – stwierdził. – Lord Byron miał rację. Dzień jest zbyt dumny.

– Że co? – burknął Marsh.

– Nie pamiętasz? – zagadnął York. – Myślę o wierszu, który zacytowałem w stoczni w New Albany. Pasuje do „Fevre Dream” jak ulał. „Idzie w piękności...”

– „...jak noc, która kroczy...” – dorzucił Jeffers, poprawiając okulary.

Abner Marsh spojrział na niego zaskoczony. Jeffers był demonem szachów, mistrzem rachunków i bywał w teatrze, ale Marsh nigdy

dotąd nie słyszał, by kiedykolwiek cytował wiersze.

– Zna pan Byrona! – rzekł wyraźnie uradowany Joshua. Przez chwilę znów był sobą. Było to jednak ulotne wrażenie.

– Owszem – przyznał Jeffers. Spojrzał na Yorka, unosząc jedną brew. – Kapitanie, czy sugeruje pan, że czas spędzony na pokładzie „Fevre Dream” to czas właściwie spożytkowany? – Uśmiechnął się. – No, no, to dopiero nowina, zwłaszcza dla obecnych tu panów Framma i Kudłatego Mike’a.

Kudłaty Mike parsknął rubasznym śmiechem, a Framm zaprotestował.

– Ejże, to że miałem trzy żony, nie świadczy, że ze mnie nic nie warty nicpoń, każda z nich na pewno o tym zaświadczy!

– O czym wy, u licha, mówicie? – wtrącił Abner Marsh. Większość załogi i oficerów wydawała się podobnie jak on zbита z tropu.

Joshua błysnął zagadkowym uśmiechem.

– Pan Jeffers przypomina mi ostatnią strofę wiersza Byrona – stwierdził. I wyrecytował:

*A na tym czole, na tej cichej twarzy
Spokojnej, niemej, a wymownej tyle
Uśmiech, co naci, ogień co się żarzy
Zwiastują w cnocie zbiegłe życia chwile,
Duszę, co wszystkich swym pokojem darzy,
I serce ufne w niewinności sile!*

– Czy jesteśmy niewinni, kapitanie? – zapytał Jeffers.

– Nikt nie jest całkiem niewinny – odrzekł Joshua York – ale mimo to wiersz ten wielce do mnie przemawia, panie Jeffers. Noc jest piękna i możemy mieć nadzieję, że zdołamy odnaleźć spokój i szlachetność w jej mrocznej wspaniałości. Zbyt wielu ludzi zgoła bezpodstawnie lęka się ciemności.

– Być może – mruknął Jeffers. – Choć czasem obawy te bywają uzasadnione.

– Bynajmniej – rzucił Joshua York i to rzekłszy, oddalił się, przerywając w tak gwałtowny sposób wymianę zdań z Jeffersem.

Gdy tylko odszedł, inni również zaczęli wstawać od stołu, by zająć się swymi obowiązkami, ale Jonathan Jeffers pozostał na

miejscu, pogrążony w myślach, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Marsh usiadł, aby dokończyć placek.

– Panie Jeffers – rzekł. – Nie wiem już, co się dzieje na tej rzece. Jakies przebrzydłe wiersze. Po co to komu? I ten napsuszony styl. Jeśli ów Byron miał coś do powiedzenia, czemu nie powiedział tego wprost, jasno i wyraźnie, w języku zrozumiałym dla wszystkich? Niech mi pan odpowie.

Jeffers spojrział na niego i zamrugał.

– Proszę wybaczyć, kapitanie. Próbowałem coś sobie przypomnieć. Co pan mówił?

Marsh przełknął kęs placka, popił łykiem kawy i powtórzył pytanie.

– Cóż, kapitanie – zaczął Jeffers, uśmiechając się nieśmiało. – Cały sens tkwi w pięknie poezji. W odpowiednim doborze słów, w ich rytmie i obrazach, które odmalowują. Recytowane na głos wiersze mogą brzmieć naprawdę wspaniale. Te rymy, wewnętrzna muzyka, brzmienie. – Upił łyk kawy. – Trudno to wytłumaczyć komuś, kto tego nie czuje. Ale to trochę tak jak ze statkiem, kapitanie.

– Nie sądzę, by jakikolwiek wiersz dorównał pięknnością parostatkowi – odburknął Marsh.

Jeffers uśmiechnął się.

– Kapitanie, czemu „Northern Light” ma na sterówce wielkie malowidło przedstawiające zorzę polarną? Przecież nie jest mu ono potrzebne. I bez niego koła łopatkowe obracałyby się równie sprawnie. Dlaczego naszą pilotówkę, podobnie jak wiele innych, zdobią bogate cyzelowania, wzory i zawijasy, czemu każdy liczący się na rzece parowiec ma wnętrza wyłożone drogą boazerią, dywanami i mozaikami, a jego ściany zdobią obrazy? Dlaczego kominy naszej jednostki mają fantazyjne wyloty? Również bez nich dym wypływałby na zewnątrz.

Marsh czknął i zamyślił się.

– Można budować proste, pospolite parowce – skonkludował Jeffers – ale przy ich obecnym wyglądzie są prawdziwą ucztą dla oka i przyjemniej się na nich pływa. Podobnie rzecz ma się z poezją. Poeta mógłby zapewne powiedzieć to i owo wprost, ale rymy

i metrum czynią jego słowa wspanialszymi.

– Bo ja wiem, może – zawahał się Marsh.

– Założę się, że udałoby mi się znaleźć wiersz, który również panu przypadłby do gustu – rzekł Jeffers. – Byron napisał taki jeden. Nosi tytuł *The Destruction of Sennacherib*.

– A gdzie to jest?

– To nie miejsce, lecz osoba – poprawił Jeffers. – Wiersz traktuje o wojnie. Ma cudowny rytm. Zdaje się galopować w równie żywym tempie jak *Dziewczeta z Buffalo*. – Wstał i poprawił surdut. – Proszę ze mną, pokażę panu.

Marsh dopił kawę, wstał od stołu i podążył za Jonathanem Jefferssem do biblioteki znajdującej się na rufie statku. Z lubością osunął się na wielki, miękki fotel, podczas gdy oficer przepatrywał kolejne półki regałów sięgających w całym pomieszczeniu od podłogi aż po sufit.

– O, już mam – powiedział wreszcie Jeffers, wyjmując z jednej z półek okazały wolumin. – Wiedziałem, że musimy tu mieć przynajmniej jeden tom poezji Byrona.

Zaczął go kartkować. Kilka stron było nie rozciętych i rozerwał je paznokciem, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Następnie wyprostował się i przyjąwszy dumną pozę, przeczytał *The Destruction of Sennacherib*.

Marsh musiał przyznać, że wiersz faktycznie miał niezgorszy rytm, zwłaszcza gdy recytował go Jeffers. Niemniej jednak nie były to *Dziewczeta z Buffalo*. Tak czy siak, wiersz spodobał mu się.

– Niezły – przyznał, kiedy Jeffers skończył. – Tylko końcówka marna. Ci religijni fanatycy wszędzie muszą wcisnąć wzmiankę o Bogu.

Jeffers wybuchnął śmiechem.

– Zapewniam, że lord Byron nie był religijnym fanatykiem. Niektórzy twierdzą wręcz, że był kompletnie pozbawiony wszelkich zasad moralnych. – Zamyślił się i znów zaczął kartkować tom poezji.

– Czego szuka pan tym razem?

– Wiersza, który usiłowałem sobie przypomnieć przy stole – odparł Jeffers. – Byron napisał inny wiersz o nocy, rzekłbym całkiem ciekawy, o, jest.

Wlepił wzrok w stronicę książki i skinął głową.

– Niech pan posłucha tego, kapitanie. Wiersz nosi tytuł *Ciemność*:

Zaczął recytować:

*Miałem dziwny sen, może i nie całkiem senny
Zdało mi się, że nagle zagasnął blask dzienny
A gwiazdy w nieskończoność biorąc lot niezwykle
Zbłąkawszy się, olśnawszy, uciekły i znikły
Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata
Wisiała ślepa wśród zaćmionego świata
Ranki wzeszły, minęły, ale dnia nie było
I wszystkie namiętności zatlumiła trwoga,
Serce rodu ludzkiego jedną żądzą biło,
Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga:
o światło...*

Głos Jeffersa przybrał w trakcie tej lektury posępnego, wręcz złowieszczonego tonu, a wiersz ciągnął się i ciągnął bez końca. Marsh wkrótce stracił wątek, ale sens słów boleśnie go dotknął, mroząc krew trwogą, która niepostrzeżenie zakradła się do cichego, spokojnego zwykle pomieszczenia. Poszczególne słowa i wersy wdzierały się do jego myśli, by w nich pozostać, cały poemat pełen był grozy, próżnych modlitw, rozpacz, szaleństwa, ogromnych stosów pogrzebowych, wojny i głodu, ludzie przedstawieni zostali jak dzikie bestie:

*... Z zakrwawionym kaskiem na stronie usiedli,
i w milczeniu rozpaczy samotni go jedli
Nie została miłości iskra w ludzkim łonie
Jedna była na całej ziemi myśl – o zgonie
Niechybny i niesławny – ząb głodu pożerał
Wszystkich i narodami świat cały wymierał
Nikt nie myślał o kości i o ciał pogrzebie
Chudy karmił się, jedząc chudsze od siebie.*

A Jeffers czytał dalej, snując opowieść o kolejnych okrucieństwach i przejawach zła, aż dotarł do wstrząsającego finału:

*Stoją gładkie rzek, jezior, oceanu tonie
I nic się nie poruszy w ich milczącym łonie*

*Okrety bez Żeglarzy pośród morza tkwiły
Maszty ich kawałami padały i gniły
I tonęły na wieki, w spokojnych wód bryle;
Burze usnęły, fale spoczęły w mogile
Bo nie było księżycy, co by je podźwignął
Wicher w stęchłym powietrzu uwiązł i zastygnął
Znikły chmury, to dawne ciemności narzędzie
Stało się niepotrzebnym – ciemność była wszędzie.
Zamknął książkę.*

– Brednie – mruknął Marsh. – Jak majaczenia chorego.

Jonathan Jeffers uśmiechnął się nieśmiało.

– I nie ma najmniejszej wzmianki o Bogu. – Westchnął. – Wydaje mi się, że Byron miał dwa rozbieżne poglądy na temat ciemności. W tym poemacie nie ma ani krzty naiwności. Ciekawe, czy kapitan York zna ten wiersz Byrona.

– Oczywiście – rzekł Marsh, podnosząc się z fotela. – Daj mi pan tę książkę. – Wyciągnął rękę.

Jeffers podał mu ją.

– Zainteresował się pan poezją, kapitanie?

– To bez znaczenia – odparł Marsh, wsuwając tomik do kieszeni.

– Czy nie ma pan aktualnie nic do roboty w swoim gabinecie?

– Oczywiście że mam – odparł Jeffers. I wyszedł.

Abner Marsh stał w bibliotece przez trzy lub cztery minuty, czując się co najmniej dziwnie; wiersz, który przed chwilą usłyszał, wywarł na nim wstrząsające wrażenie. Może mimo wszystko ta poezja ma w sobie coś, skonstatował. Postanowił przejrzeć tomik w wolnej chwili, aby się o tym przekonać.

Marsh miał jednak wiele spraw do załatwienia i zajęły mu one większość popołudnia i wczesnego wieczoru. Zanim się z nimi uporał, do cna zapomniał o schowanej w kieszeni książce. Karl Framm udał się do miasta, aby zjeść kolację w St. Charles, a Marsh postanowił do niego dołączyć. Gdy powrócili na „Fevre Dream”, dochodziła północ. Rozbierając się w swojej kajucie, Marsh przypomniał sobie o tomiku poezji. Odłożył go na nocny stolik, włożył koszulę nocną i usiadł, by trochę poczytać przy blasku świecy.

Ciemność wydała mu się jeszcze bardziej złowroga nocą, w mrocznej samotności niedużej kajuty, aczkolwiek same słowa nie wywarły na nim równie wstrząsającego wrażenia jak wtedy, gdy płynęły z ust Jeffersa. Tak czy owak wzbudziły w nim zaniepokojenie. Przekartkował tomik, odnajdując *Sennacherib*, *Idzie w piękności* i kilka innych wierszy, ale myślami wciąż wracał do *Ciemności*. Pomimo że noc była ciepła, na ciele Abnera Marsha pojawiła się gęsia skórka.

Na początku książki widniał portret Byrona. Marsh przyjrzał mu się. Poeta wyglądał dość atrakcyjnie, był ciemny i zmysłowy jak Kreol, nietrudno pojąć, czemu kobiety tak za nim przepadały, mimo że był kuternogą. Naturalnie był również szlachcicem. Świadczył o tym podpis przy portrecie:

GEORGE GORDON, LORD BYRON 1788-1824

Abner Marsh przez dłuższą chwilę przyglądał się twarzy Byrona i stwierdził, że zazdrości poecie urody. Piękno fizyczne nigdy nie było mu dane, być może dlatego właśnie marzył o wielkich, cudownych parowcach, pragnąc dzięki nim zyskać to, czego mu poskąpiono. Marsh, ze swą tuszą, brodawkami i płaskim, zniekształconym nosem, nigdy nie zaprzętał sobie głowy kobietami. Gdy był młodszy i pracował na rzece jako flisak, a także później, gdy przerzucił się na parowce, odwiedzał często pewne miejsca w Natchez-under-the-hill i w Nowym Orleanie, gdzie za rozsądną cenę mężczyzna może się należycie zabawić. Później zaś, kiedy jego firma przewozowa urosła w siłę w Galenie, Dubuque i St. Paul, nie brakowało kobiet gotowych go poślubić, gdyby tylko się im oświadczył; dobrych, silnych wdów o surowych twarzach, kobiet znających wartość takiego jak on, prawego i szczerego mężczyzny posiadającego kapitał w formie flotylii statków. Jednakże przestały się nim interesować wkrótce po tym, gdy dotknęło go nieszczęście, a poza tym żadna z nich nie była tą, której Marsh naprawdę pragnął. Kiedy Abner Marsh rozmyślał o takich sprawach, co nie zdarzało mu się często, śnił o kobietach w rodzaju ciemnoookich kreolskich dam i śniadych, ponętnych Mulatek z Nowego Orleanu, smukłych, pełnych gracji i dumnych jak jego statki.

Marsh parsknął i zdmuchnął świecę. Spróbował zasnąć. Miast

spokojnych wizji nawiedziły go jednak koszmary, słowa odbijały się posepnym i przerażającym echem w mrocznych zaułkach jego umysłu.

...Ranki wzeszły, minęły, ale dnia nie było.....Nie została miłości iskra w ludzkim łonie.....Nikt nie myślał o kości i ciał pogrzebie.....I z zakrwawionym kąskem na stronie usiedli.....i twarz ludzi z rozpaczy nie po ludzku błyska... Abner Marsh usiadł sztywno na łóżku, rozbudzony, wsłuchując się w przyspieszone bicie swego serca.

– Do kroćset – wymamrotał. Znalazł zapalną, zapalił stojącą przy łóżku świecę i otworzył tomik poezji na stronie z wizerunkiem Byrona. – Do kroćset – powtórzył.

Ubrał się szybko. Tęsknił za towarzystwem siły i gwałtowności, za mięśniami Kudłatego Mike'a i jego czarną, żelazną sztabą albo za Jonathanem Jefferssem z jego laską-rapierem. To jednak była sprawa wyłącznie pomiędzy nim a Joshuą i dał słowo, że z nikim więcej nie będzie na ten temat rozmawiał.

Spryskał sobie twarz wodą, wziął swoją laseczkę z hikory, po czym wyszedł na pokład; pragnął, by na pokładzie był kaznodzieja lub przynajmniej krucyfiks. W kieszeni miał tomik poezji. Nieco dalej przy nabrzeżu kolejny z parowców kończył załadunek, szykując się do opuszczenia portu.

Marsh słyszał głosy robotników, którzy wnosząc towary po wąskich deskach, śpiewali jakąś powolną, melancholijną pieśń.

Stanąwszy przed drzwiami kajuty Joshuy, Abner uniósł swoją laseczkę, aby zastukać, i nagle się zawahał pełen wątpliwości. Joshua z pewnością nie będzie zadowolony, usłyszawszy to, co miał mu do powiedzenia Abner Marsh. To wszystko było jednym wielkim błżeństwem, dziwny wiersz, po którym nawiedziły go okropne koszmary senne, a może wywołała je zwykła niestrawność. Niemniej jednak...

Stał w bezruchu, pogrążony w zamyśleniu, z laseczką w uniesionej dłoni, kiedy drzwi do kajuty uchyliły się bezgłośnie.

Wewnątrz było ciemno jak w krowim żołądku. Blask księżycy i gwiazd przenikał nieznacznie poza próg, w głębi kajuty jednak panowały egipskie ciemności.

Kilka kroków od drzwi stała mroczna postać. W świetle księżyca można było dostrzec bosc stopy, sylwetka mężczyzny była niewyraźna, jakby rozmyta.

– Wejdz, Abnerze – dobiegło z ciemności. Głos Joshuy brzmiał jak ochryply szepc.

Abner Marsh przestąpił próg.

Cień poruszył się i nagle drzwi się zamknęły. Marsh usłyszał trzask zasuwki. W kajucie panowała nieprzenikniona czerń. Nie widział nic. Zupelnie. Silna dłoń pochwyciła go za ramię i pociągnęła do przodu. Potem pchnięto go w tył. Ogarnęło go zaniepokojenie, zaraz jednak poczuł pod sobą krzesło.

W ciemności coś się poruszyło. Marsh rozejrzał się dokoła, usiłując przeniknąć wzrokiem czerń. Bez powodzenia.

– Nie zapukałem – usłyszał swój głos.

– Nie – odparł Joshua. – Usłyszałem twoje kroki, Abnerze. I spodziewałem się ciebie.

– Powiedział, że przyjdiesz – rozległ się inny głos z drugiego końca ciemności. Głos kobiety. Łagodny. Pełen goryczy. Głos Valerie.

– Ty – wykrztusił ze zdumieniem Abner Marsh. Nie spodziewał się tego. Był zbity z tropu, zagniewany, niepewny, a obecność Valerie jeszcze bardziej komplikowała całą i tak już skomplikowaną sytuację. – Co ty tu robisz? – rzucił Marsh.

– O to samo mogłabym zapytać pana – odpowiedział łagodny, miły głos. – Jestem tu, ponieważ Joshua mnie potrzebuje, kapitanie Marsh. Chcę mu pomóc. A to więcej niż pan dokonał, pomimo tak licznych i żarliwych zapewnień. Ech, wy ludzie, wszyscy jesteście tacy sami, pełni podejrzeń, pobożni...

– Dostyc, Valerie – uciał srogo Joshua. – Abnerze, nie wiem, dlaczego zjawileś się tu dzisiejszego wieczoru, ale prędzej czy później spodziewałem się twojej wizyty. Postąpiłbym rozsądniej, biorąc sobie na współnika tępego półgłówka, kogoś, kto potrafi słuchać i wykonywać rozkazy bez szemrania. Ty jesteś za sprytny. To niedobrze. Zarówno dla ciebie, jak i dla mnie. Wiedziałem, że nie kupisz bajeczki, którą zaserwowałem ci w Natchez. Musiałaś się domyślić. To była tylko kwestia czasu. Zorientowałem się, że nas

obserwujesz. Wiem również o twoich małych testach. – Zachichotał ochryple. – Woda święcona, to ci dopiero!

– Ale... a więc wiedziałeś? – zapytał Marsh.

– Tak.

– Niech лихо porwie tego chłopaka.

– Nie bądź dla niego zbyt surowy. Nie miał z tym wiele wspólnego, Abnerze, choć zauważyłem, że przyglądał mi się przez całą kolację. – Śmiech Joshuy, przeciągły, wymuszony, brzmiał przerażająco. – Nie, zdradziła mi to sama woda. Oto w kilka dni po naszej rozmowie pojawia się przede mną szklanka krystalicznie czystej wody; co, twoim zdaniem, powinienem sobie pomyśleć w tej sytuacji? Przez cały czas byliśmy na rzece, woda, którą czerpiemy, jest błotnista i pełna osadu. Z tego, co pozostaje na dnie mojej szklanki, mógłbym śmiało założyć mały ogródek. – Zachichotał z rozbawieniem. – Lub wypełnić tym moją trumnę.

Abner Marsh zignorował ostatnie zdanie.

– Zamieszaj i wypij razem z wodą – powiedział. – To uczyni cię prawdziwym człowiekiem rzeki. – Przerwał. – Albo po prostu człowiekiem.

– Ach – mruknął Joshua – przechodzimy do sedna. – Milczał przez dłuższą chwilę, wewnątrz kajuty zdawała się wypełniać nabrzmiewająca z każdą chwilą klaustrofobiczna ciemność i cisza. Kiedy Joshua w końcu się odezwał, jego głos był surowy i lodowaty. – Czy przyniosłeś ze sobą krzyż, Abnerze? Albo może kołek?

– Przyniosłem to – odrzekł Marsh.

Wyjął tomik wierszy i rzucił w stronę, gdzie siedział Joshua. Usłyszał ruch, cichy dźwięk, kiedy zwinne dłonie pochwytyły lejącą książkę. Zaszleściły kartki.

– Byron – stwierdził z rozbawieniem Joshua.

Abner Marsh nie zobaczyłby nawet własnych palców oddalonych cał od twarzy, tak starannie zaciemnione było pomieszczenie. Joshua jednak nie tylko widział na tyle dobrze, by złapać książkę, ale i by móc czytać po ciemku. Mimo że było gorąco, Marsh znów poczuł na plecach lodowate ciarki.

– Dlaczego Byron? – zapytał Joshua. – Zdziwiasz mnie. Jeszcze jeden test, krzyż, pytania, tego mogłem się spodziewać. Ale nie

Byrona.

– Joshua – zaczął Marsh – ile ty masz lat?

Cisza.

– Potrafię niezgorzej określać wiek ludzi – ciągnął Marsh. – Z tobą jest trudniej, bo masz siwe włosy i w ogóle. Mimo to, sądząc po wyglądzie, po twojej twarzy i dłoniach, powiedziałbym, że masz nie więcej niż trzydzieści, trzydzieści pięć lat. W tej książce napisano, że on umarł trzydzieści trzy lata temu. A przecież powiedziałaś mi, że go znałeś.

Joshua westchnął.

– Tak – odparł jakby ze smutkiem. – Głupi błąd. Tak mnie poruszył widok tego parowca, że zwyczajnie się zapomniałem. Później uznałem, że to nic wielkiego. Byron był ci obcy. Pomyślałem, że puścisz moje słowa w niepamięć.

– Nie zawsze szybko kojarzę fakty, ale nigdy niczego nie zapominam.

Marsh ścisnął mocno w rękę swoją laseczkę. To dodało mu otuchy.

– Joshua, chciałbym porozmawiać z tobą na osobności. Niech ta kobieta stąd wyjdzie.

Z ciemności dobiegł lodowaty śmiech Valerie. Była znacznie bliżej niż poprzednio, choć Marsh nie usłyszał, aby do niego podchodziła.

– Cóż za zuchwały głupiec – stwierdziła.

– Valerie tu zostanie, Abnerze – oznajmił butnie Joshua. – Ufam jej i jeśli masz mi coś do powiedzenia, ona również może to usłyszeć. Jest taka sama jak ja.

Marshowi zrobiło się zimno. Poczul się osamotniony.

– Taka jak ty – powtórzył ze znużeniem. – Dobrze więc. Powiedz mi, kim i czym jesteście naprawdę.

– Sam to odgadnij – odparł Joshua.

Nagle zgrzytnęła zapalka i czarną kajutę rozjaśnił wąty żółtawy płomyk.

– Boże drogi – szepnął Marsh.

Płomyk zapalki oświetlił twarz Joshuy. Jego wargi były spuchnięte i popękane. Czoło i policzki opinała spalona, poczerniała

skóra. Pęcherze nabrzmiące od wody i ropy pokrywały jego szyję i podbródek, a także czerwoną, poparzoną dłoń, w której trzymał zapalkę. Szare, zapadnięte oczy wydawały się niewidzące, jakby pokryło je bielmo. Joshua York uśmiechnął się posępnie, a Marsh usłyszał trzask pękającej poczerwiałej skóry. Białawy płyn spłynął wolno po policzku z długiej, ukośnej rany, która się na nim otworzyła. Kawalek skóry odpadł, ukazując znajdujące się pod nim surowe, różowe mięso.

Potem zapalka zgasła i zapadła błogosławiona ciemność.

– Uważa się pan za jego współnika – rzuciła oskarżycielskim tonem Valerie. – Twierdził pan, że mu pomoże. I oto jak mu pan pomógł, pan i pańska załoga, swoimi groźbami i podejrzeniami. Mógł przypłacić swój wyczyn życiem. Zrobił to dla pana. Jest bładym królem, a pan jedynie marnym robakiem, a jednak uczynił to, aby zaskarbić sobie pańską bezwartościową lojalność. Czy jest pan usatysfakcjonowany, kapitanie Marsh? Skoro pan tu przybył, śmiem twierdzić, że nie.

– Co ci się stało, u licha? – wybuchnął Marsh, ignorując Valerie.

– Przez blisko dwie godziny przebywałem na słońcu, w blasku dumnego dnia – odparł Joshua, a Marsh zrozumiał teraz jego zniekształcony bólem szept. – Byłem świadom ryzyka. Już to wcześniej robiłem, kiedy było trzeba. Cztery godziny na słońcu mogłyby mnie zabić. Sześć uśmierciłoby mnie na pewno. Dwie godziny zaś, i to niecałe, do tego w pomieszczeniu... wiedziałem, na co się pory wam. Znam swoje możliwości. Oparzenia nie są tak poważne, jak wyglądają. Ból jest znośny. Zresztą to szybko minie. Jutro o tej porze nikt nie domyśliłby się nawet, że coś mi dolegało. Moje ciało zaczęło się już goić. Pęcherze pękają, martwa skóra odpada. Sam widziałeś.

Abner Marsh zamknął oczy i otworzył je. Nic się nie zmieniło. Dokoła panował nieprzenikniony mrok, a on wciąż miał przed oczami niebieskawy powidok ognika zapalki i upiornego, udreżonego oblicza Joshuy, które ujrzał przed chwilą.

– A więc woda święcona i lustra są na nic – powiedział. – To wszystko jest bez znaczenia. Nie możesz wychodzić za dnia ze swej kajuty, w ogóle nie możesz wychodzić za dnia. Tak jak opowiadałeś

o tych przeklętych wampirach. One naprawdę istnieją. Tyle tylko, że mnie okłamałeś. Okłamałeś mnie, Joshua! Nie jesteś łowcą wampirów! Jesteś jednym z nich! Ty, ona i wy wszyscy. Jesteście przeklętymi wampirami!

Marsh uniósł przed sobą laseczkę i zaczął wymachiwać nią w mroku jak wążym, nieskutecznym rapierem z hikory, usiłując odegnąć od siebie coś, czego nawet nie widział. Nagle zaschło mu w gardle. Usłyszał cichy śmiech Valerie, wydawało mu się, że podeszła jeszcze bliżej niż poprzednio.

– Mów ciszej, Abnerze – rzekł spokojnie Joshua – i oszczędź mi, proszę, impertynencji. To prawda, okłamałem cię.

Na naszym pierwszym spotkaniu uprzedziłem, byś mnie w pewnych kwestiach nie naciskał, jeśli nie chcesz w odpowiedzi usłyszeć samych kłamstw. Wymusiłeś je ode mnie. Żałuję tylko, że nie wymyśliłem zgrabniejszych.

– Mój współnik – burknął gniewnie Abner Marsh. – Do kata, nawet teraz w to nie wierzę. Zabójca albo nawet coś gorszego. Co robiłeś we wszystkie te noce? Schodziłeś na brzeg, aby odnaleźć jakiegoś samotnego nieszczęśnika, wyssać mu krew i rozerwać na strzępy? A potem ruszyć w dalszą drogę, o tak, teraz to rozumiem. Niemal każdą noc spędzaliśmy w innym mieście, dzięki temu byłeś bezpieczny; zanim ludzie na łądzie odnajdywali twoje „dzieła”, ty byłeś już daleko. I wcale nie uciekałeś, parłeś naprzód w wielkim stylu na pokładzie wspaniałego parowca, gdzie masz własną kajutę i wszystko, czego tylko zapragniesz. Nic dziwnego, że tak bardzo chciałeś mieć własny parowiec, kapitanie York. Bądź przeklęty. Niech cię piekło pochłonie.

– Zamilcz – uciał York takim tonem, że Marsh natychmiast zamknął usta. – Opuść tę laskę, zanim coś nią potłuczysz. Przystań nią wymachiwać. Opuść laskę, powiadam. – Marsh opuścił laseczkę na dywan. – Świetnie – rzekł Joshua.

– Jest taki sam jak inni – wtrąciła Valerie. – Nic nie rozumie. Boi się ciebie i nienawidzi. Nie możemy wypuścić go stąd żywego.

– Być może – odrzekł z wahaniem Joshua. – Choć wydaje mi się, że nasz kapitan to niepospolita osoba. Ale mogę się mylić. Co ty na to, Abnerze? I rozważnie dobieraj słowa. Mów tak, jakby od każdego

z nich zależało twoje życie.

Abner był zbyt rozgniewany, aby móc racjonalnie myśleć. Strach, który go przepełniał, ustąpił przed szaleńczą wściekłością; został oszukany, uczyniono zeń współnika w całej tej maskaradzie, wystrychnięto go na dudka. Nikomu nie wolno było robić dumia z Abnera Marsha ani człowiekowi, ani żadnej innej istocie. York zmienił „Fevre Dream”, damę jego serca, w pływający koszmar.

– Od dawna pływam po tej rzece – powiedział Marsh. – Nie próbuj mnie zastraszyć, bo to ci się nie uda. Kiedy pływałem na moim pierwszym parowcu, widziałem, jak w saloonie w St. Joe mojemu kumplowi wypruto flaki. Dorwałem łotra, który to zrobił, wyrwałem mu nóż i zgruchotałem kręgosłup. Byłem też w Bad Axer i w parszywym Kansas, nie dam się zastraszyć jakiegokolwiek pijawie. Chcesz się ze mną zmierzyć, to chodź. Jestem dwakroć silniejszy od ciebie, a w dodatku ty doznałeś niedawno silnych poparzeń. Ukręciłbym ci łeb jak kurczakowi. Kto wie, może powinienem to zrobić za to, co uczyniłeś.

Cisza. I nagle stało się coś zdumiewającego, Joshua York wybuchnął długim, perlistym śmiechem.

– Ach, Abnerze – powiedział, kiedy się wreszcie uspokoił.

– Zaiste prawdziwy z ciebie człowiek rzeki. Na poły marzyciel, na poły chwalipięta i w każdym calu głupiec. Siedzisz w ciemnościach, choć wiesz doskonale, że mnie wystarcza w zupełności odrobina światła wpływająca przez zaciągnięte zasłony i szczelinę pod drzwiami. Siedzisz tam sobie, tłusty i powolny, choć wiesz, jaki jestem szybki i silny. Powinieneś zdawać sobie sprawę, że potrafię poruszać się bezszelestnie. – Nastąpiła cisza, potem coś skrzypnęło i głos Yorka dobiegł nagle z drugiego końca kajuty. – O tak. – Znów cisza. – Albo tak. – Z tyłu. – I tak.

– Wrócił na poprzednie miejsce.

Marshowi, który za każdym razem odwracał się w stronę, skąd dochodził głos, zakręciło się w głowie.

– Mógłbym wykrwawić cię na śmierć setką delikatnych muśnięć dłoni, których byś nawet nie poczuł. Mógłbym podkraść się do ciebie w ciemnościach i rozszarpać ci gardło, zanim zorientowałbyś się, że niespodziewanie zamilkłem. A mimo to wbrew wszystkiemu siedzisz

tam, spoglądając w złą stronę, z uniesioną głową, obrzucając mnie inwektywami i pogróżkami. – Joshua westchnął. – Masz wielkiego ducha, Abnerze. Kiepsko u ciebie z oceną, ale serce masz ogromne.

– Jeśli zamierzasz mnie zabić, to chodź, spróbuj szczęścia – rzucił Marsh. – Jestem gotowy. Może nigdy nie prześcignę

„Eclipse”, ale większość spośród swych marzeń już zrealizowałem. Wolę zgnić w jednej z nowoorleańskich mogił, niż dowodzić statkiem stada wampirów.

– Zapytałem cię któregoś razu, czy jesteś przesądny albo może pobożny – ciągnął Joshua. – W obu przypadkach zaprzeczyłeś. A teraz mówisz o wampirach jak jakiś ignorant.

– O czym ty gadasz? Sam powiedziałaś, że...

– Tak, tak. Trumny wypełnione ziemią, istoty bez dusz, które nie odbijają się w lustrach, nie mogą przekraczać płynącej wody, potrafią zmieniać się w wilki, nietoperze i mgłę, lecz pierzchają przed wiankiem czosnku. Jesteś zbyt inteligentny, Abnerze, aby uwierzyć w takie bzdury! Odrzuć na moment trawiące cię lęki i gniew i zacznij myśleć!

To przywołało Marsha do porządku. Drwiący ton Joshuy sprawił, że faktycznie zaczął postrzegać bezsens i irracjonalność tego, w co rzekomo miał wierzyć. Co prawda York doznał silnych poparzeń od przebywania na słońcu, ale to nie zmieniało faktu, że wypił święconą wodę, nosił srebro i odbijał się w lustrach.

– Chcesz powiedzieć, że nie jesteś wampirem czy jak? – warknął Marsh kompletnie zbity z tropu.

– Wampiry nie istnieją – odparł ze spokojem Joshua. – To duby smalone, zmyślane historie z rodzaju tych, w których celuje Karl Framm. Skarb „Drennana Whyte’a”, widmowy parowiec z Raccourci. Pilot tak sumienny, że nawet po śmierci pełnił wachtę na mostku. To wszystko mity, Abnerze. Wymyślane historie. Dorosły, poważny człowiek nie powinien traktować ich serio.

– Niektóre z nich są po części prawdziwe – zaproponował niepewnie Marsh. – Znam wielu pilotów, którzy twierdzą, że przepływając przez odnogę Raccourci, widzieli światła statku widma, a niektórzy rzekomo słyszeli nawet pokrzykiwania i przekleństwa jego dowódcy. Co się tyczy „Drennana Whyte’a”, nie

wierzę w klątwy, ale statek naprawdę poszedł na dno, tu w relacji pana Framma nie ma nawet słowa blagi, podobnie jak wszystkie jednostki, które usiłowały podnieść go z rzeki. Jeżeli chodzi o tego martwego pilota, znałem go osobiście. Był lunatykiem i pilotował statek we śnie, wyglądał przy tym jak trup. Po prostu historia ta, przekazywana z ust do ust, została nieco ubarwiona i zniekształcona.

– Otóż to, Abnerze. Ubarwienie i zniekształcenie, o to mi właśnie chodzi. Jeśli tak to ująć, muszę przyznać, że wampiry istnieją naprawdę. Jednakże opowieści na nasz temat zostały w znacznym stopniu przeinaczone. Po kilku latach od owego zdarzenia twój lunatyk zmienił się w nieboszczyka. Pomyśl o tym, co się z nim stanie za sto lub dwieście lat.

– Skoro zatem nie jesteś wampirem, to czym?

– Nie istnieje jedno ściśle określenie, konkretna nazwa, którą mógłbym ci podać – odparł Joshua. – Mógłbyś mnie nazwać wampirem, wilkołakiem, czarownikiem, wieszczym, magiem, demonem lub ghulem. W innych kulturach funkcjonują inne określenia – nosferatu, odoroten, upiór, loup garou. Oto nazwy, jakie twój lud nadał takim jak ja nieszczęśnikom. Nie lubię tych nazw. Nie określają tego, czym jestem. Mimo to nie jestem w stanie zaoferować ci niczego innego. Nie mamy własnej nazwy określającej nas samych.

– A w waszym języku... – zaczął Marsh.

– Nie mamy swojego języka. Używamy ludzkich języków i posługujemy się ludzkimi określeniami. Zawsze tak było. Nie jesteśmy ludźmi ani też wampirami. Jesteśmy... inną rasą. Określając siebie, używamy jednej z nazw z któregoś z waszych języków, któremu nadaliśmy własne, sekretne znaczenie. Jesteśmy ludem nocy, ludem krwi lub po prostu ludem.

– A my? – zapytał ostro Marsh. – Skoro wy jesteście ludem, to kim my jesteśmy?

Joshua York zawahał się przez chwilę i to Valerie odpowiedziała:

– Ludem dnia.

– Nie – mruknął Joshua. – To nazwa wymyślona przeze mnie. Mój lud jej nie używa. Pora kłamstw minęła, Valerie. Powiedz

Abnerowi prawdę.

– Nie spodoba mu się – odparła. – Joshua, ryzyko...

– To bez znaczenia – uciął Joshua. – Valerie, powiedz mu.

Przez chwilę w kajucie panowała grobowa cisza. Wreszcie Valerie łagodnym tonem rzekła:

– Bydłem. Tak was nazywamy, kapitanie. Jesteście bydłem.

Abner Marsh zasepił się i zacisnął wielką jak bochen chleba pięść.

– Chciałeś poznać prawdę, Abnerze – odezwał się Joshua. – Ostatnio sporo o tobie myślałem. Po Natchez obawiałem się, że będę zmuszony zaaranżować dla ciebie jakiś wypadek. Nie możemy ryzykować, że zostaniemy zdemaskowani, a niestety stanowisz dla nas zagrożenie. Simon i Katherine namawiali mnie usilnie, abym się ciebie pozbył. Moi nowi współtowarzysze, w rodzaju Valerie i Jeana Ardanta, także skłaniają się ku temu rozwiązaniu. Jednakże, choć bez wątpienia po twojej śmierci zarówno moi ludzie, jak i ja sam bylibyśmy bezpieczniejsi, coś stale mnie powstrzymywało przed zabiciem ciebie. Mam już dość śmierci, strachu i nieufności pomiędzy naszymi rasami. Doszedłem do wniosku, że być może udałoby się nam nawiązać współpracę, nie wiedziałem jednak, czy na pewno mogę ci zaufać. Aż do owej nocy w Donaldsonville, kiedy Valerie próbowała skłonić cię do zmiany kursu. Stawiając jej opór, udowodniłeś, że jesteś silniejszy, niż przypuszczałem, a w dodatku bezgranicznie lojalny. Wtedy to podjąłem ostateczną decyzję. Postanowiłem pozostawić cię przy życiu i jeśli znów do mnie przyjdiesz, wyznać ci całą prawdę, tę dobrą, jak i tę złą. Czy zechcesz mnie wysłuchać?

– A mam jakiś wybór? – zapytał Marsh.

– Nie – przyznał York.

Valerie westchnęła.

– Joshua, błagam, rozważ ponownie swoją decyzję. On jest jednym z nich, niezależnie od tego, jak wielką go darzysz sympatią. Nie zrozumie tego. A potem zjawią się oni. Przyjdą z zaostrzonymi kołkami. Wiesz, że tak będzie.

– Mam nadzieję, że nie – odparł Joshua. Zwrócił się do Marsha.

– Ona się boi, Abnerze. To, co zamierzam zrobić, jest czymś

zupełnie nowym, a to, co nowe, bywa zwykle niebezpieczne. Wysłuchaj mnie i nie osądzaj, a może zawiąże się między nami nic prawdziwego partnerstwa. Nigdy jeszcze nie wyznałem prawdy żadnemu z was...

– Bydląt – dokończył Marsh. – A ja nigdy nie miałem okazji słuchać wyznania wampira, tak więc jesteśmy kwita. Mów śmiało. To bydlę słucha cię z uwagą.

ROZDZIAŁ 14

Dni mrocznych a odległych wspomnienie

Posłuchaj więc, Abnerze, wpieryw jednak chciałem przedstawić ci moje warunki. Nie życzę sobie, byś mi przeszkadzał. Nie chcę widzieć gwałtownych wybuchów, nie zadawaj mi żadnych pytań ani nie próbuj osądzać. Przynajmniej dopóki nie skończę. Ostrzegam, że moja opowieść będzie mroczna i przerażająca, lecz chciałbym, abyś poznał ją od początku do końca, a być może wówczas zrozumiesz. Nazwałeś mnie zabójcą, wampirem i w pewnym sensie jestem nim. Jednakże ty również zabiłeś i potrafiłeś się z tym pogodzić. Wierzysz, że twoje poczynania usprawiedliwione są okolicznościami. Ja także. Jeżeli nawet nie są usprawiedliwione, to przynajmniej nieco złagodzone. Wysłuchaj wszystkiego, co mam do powiedzenia, zanim potępisz mnie i mi podobnych.

Zacznę od siebie, od mojego życia, a potem powiem resztę, tak jak ją poznałem.

Pytałeś, ile mam lat. Jestem młody, Abnerze, wedle standardów mojej rasy wchodzę dopiero w okres dorosły. Urodziłem się na francuskiej prowincji w roku 1785. Mojej matki nie znałem z powodów, które wyjaśnię później. Mój ojciec był pomniejszym

szlachcicem. Innymi słowy sam nadał sobie tytuł, pokonując kolejne szczeble francuskiej społeczności. Mieszkał we Francji od kilku pokoleń, tak więc zyskał pewien status, aczkolwiek twierdził zawsze, że pochodzi z Europy Wschodniej. Był zamożny, miał niewielki majątek ziemski. Z problemem długowieczności uporał się w latach sześćdziesiątych osiemnastego wieku za sprawą zmyślnego fortelu, kiedy to podał się za własnego syna, a ostatecznie przejął po „sobie” schedę.

Jak zatem widzisz, mam siedemdziesiąt dwa lata i faktycznie miałem przyjemność poznać lorda Byrona. Było to jednak nieco później.

Mój ojciec był taką samą istotą jak ja. Podobnie jak dwaj nasi służący, którzy tak naprawdę nie byli sługami, lecz towarzyszami. Trzej dorośli należący do mojej rasy nauczyli mnie języków, manier oraz przekazali wiedzę o świecie... i o zagrożeniach. Spałem za dnia, wędrując jedynie nocami, wpojono mi strach przed świtem, tak jak dzieci z twojej rasy, oparzone, lękają się ognia. Mówiono mi, że jestem inny, lepszy i potężniejszy, że należę do rasy panów. Nie wolno mi było rozpowiadać o tych różnicach, byłoby bowiem z obawy przede mną mogłoby próbować mnie zabić. Musiałem udawać, że mój tryb życia wynika jedynie z mojej ekstrawaganckiej natury. Musiałem uczyć się i obserwować katolickie obrządki religijne, a nawet przyjmować komunię na specjalnych nocnych mszach odprawianych w naszej kaplicy. Musiałem, no cóż, więcej już nie powiem. Powinieneś zrozumieć, Abnerze, byłem tylko dzieckiem. Z czasem mogłem nauczyć się więcej, może nawet zacząłbym pojmować zasady rządzące prowadzonym przez nas życiem. Być może stałoby się tak, gdyby moje życie nie potoczyło się inaczej. Byłbym wtedy całkiem innym człowiekiem.

Jednakże w roku 1789 płomień rewolucji na zawsze odmienił moje życie. Gdy nastał terror, zostaliśmy aresztowani. Pomimo zachowania szczególnej ostrożności, mszy w kaplicy, luster, nocny tryb życia mego ojca zaczął wzbudzać podejrzenia, podobnie jak jego samotność i całkiem spory, zagadkowo zgromadzony majątek. Nasi służący – ludzcy służący – zadenuncjowali go jako czarownika, satanistę, ucznia markiza de Sade. Poza tym on sam nadał sobie tytuł

szlachecki i to był najcięższy z popełnionych przez niego grzechów. Dwaj nasi towarzysze udający służących zdołali uciec, mego ojca i mnie natomiast aresztowano.

Choć byłem młody, doskonale pamiętam celę, do której nas wtrącono. Była zimna i wilgotna, cała z kamieni, z wielkimi żelaznymi drzwiami, tak grubymi i mocno okratowanymi, że nawet niepoślednia siła mego ojca nie mogła ich sforsować. Wokół śmierdziało moczem, spaliśmy na podłodze zasłanej brudną słomą. W celi znajdowało się okno umieszczone wysoko, ukośny kamienny prześwit w kamiennej ścianie o grubości dziesięciu stóp. Było maleńkie i okratowane od zewnątrz. Sądzę, że znajdowaliśmy się pod ziemią, w czymś w rodzaju lochu. Dochodziło tu niewiele światła, lecz jak na ironię było to dla nas szczęściem w nieszczęściu.

Gdy zostaliśmy sami, ojciec powiedział mi, co muszę zrobić. Nie był w stanie dostać się do okna, szczelina w murze była zbyt wąska, ja jednak, drobny i szczupły, mogłem tego dokonać. I miałem dość sił, by sforsować kraty. Rozkazał mi, bym go pozostawił. Dał mi jeszcze inną radę. Miałem przebrać się w łachmany i nie zwracać na siebie uwagi. Ukrywać się za dnia, nocami zaś kraść jedzenie. Nie wolno mi było pod żadnym pozorem zdradzać komukolwiek, że jestem inny. Miałem znaleźć dla siebie krzyżyk i nosić go przy sobie. Nie pojmowałem połowy z tego, co mówił, a wkrótce całkiem o tym zapomniałem, ale obiecałem wypełnić jego polecenia. Nakazał mi opuścić Francję i odnaleźć służących, którzy zdołali uciec. Zabronił mi szukać zemsty za to, co go spotkało. W swoim czasie zemsta i tak się dokona, powiedział, wszyscy ci ludzie bowiem umrą, a ja wciąż będę żył. I wtedy dodał coś, czego nigdy nie zapomnę: „Oni nie potrafią sobie pomóc. Ten naród jest dotknięty przekleństwem czerwonego pragnienia, które zaspokaja jedynie krew. To zguba nas wszystkich”. Zapytałem go, czym jest czerwone pragnienie. „Wkrótce się dowiesz” – odparł. „Nie sposób go z niczym pomylić”. I to rzekłszy, odprawił mnie. Przepchnąłem się przez wąski otwór do okna. Kraty były stare i przerdziały. Ponieważ nie można było się do nich dostać, nikt nie pokwapił się, by je wymienić. Jedno szarpnięcie i zostały mi w rękach.

Nigdy więcej nie zobaczyłem mego ojca, ale później, po

Restauracji, gdy pojawił się Napoleon, zacząłem o niego wypytywać. Moje zniknięcie przypieczętowało jego los. Uznano go za arystokratę i za czarownika. Został osądzony i skazany. Stracił głowę pod ostrzem prowincjonalnej gilotyny. Później, ze względu na oskarżenie o czary, jego ciało zostało spalone.

Wówczas jednak o tym nie wiedziałem. Uciekłem z więzienia, opuściłem prowincję i udałem się do Paryża, gdzie w owych czasach, z powodu panującego chaosu, przetrwanie było względnie proste. Za dnia kryłem się w piwnicach, im były ciemniejsze, tym lepsze. Nocami wędrowałem po mieście, kradnąc pożywienie. Głównie mięso. Nie przepadałem za warzywami czy owocami. Stałem się wprawnym złodziejem. Byłem szybki, cichy i potwornie silny. Moje paznokcie wydawały się z każdym dniem silniejsze i ostrzejsze. Gdybym zechciał, mógłbym rozdzierać nimi drewno. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi ani o nic nie pytał. Nikt mnie nie zatrzymał ani nie próbował przesłuchać. Posługiwałem się doskonale językiem francuskim, nieźle mówiłem po angielsku i dość przyzwoicie po niemiecku. W Paryżu poznałem także język ulicy. Poszukiwałem naszych zbiegłych służących, jedynych znanych mi przedstawicieli naszej rasy, ale nie wiedziałem, jak się do tego zabrać, i moje wysiłki spełzły na niczym.

Tak więc przyszło mi dorastać wśród twego ludu. Wśród bydła. Ludu dnia. Byłem sprytny i miałem zmysł obserwacji. Choć wyglądałem jak ci, którzy mnie otaczali, bardzo szybko zorientowałem się, jak wielkie dzielą nas różnice. Byłem tak bardzo inny. I lepszy, a przynajmniej tak mi mówiono. Silniejszy, szybszy i – jak wierzyłem – również długowieczny. Światło dnia było moją jedyną słabością. Dobrze jednak strzegłem swego sekretu.

Niestety, życie, jakie wiodłem w Paryżu, było parszywe, nędzne i nudne. Pragnąłem czegoś więcej. Prócz żywności zacząłem kraść również pieniądze. Znalazłem kogoś, kto nauczył mnie czytać, i odtąd zacząłem kraść też książki. Raz czy dwa omal mnie nie złapano, ale zawsze udało mi się uciec. Umiałem rozplływać się wśród cieni, błyskawicznie wspinać się po ścianach i poruszać bezszelestnie jak kot. Może ci, którzy mnie ścigali, sądzili, że zmieniam się w mgłę.

Niekiedy tak to zapewne wyglądało.

Gdy nadszedł czas wojen napoleońskich, starałem się unikać armii, musiałbym wówczas być narażony na poruszanie się za dnia, w blasku słońca. Podążałem za wojskiem śladem kolejnych kampanii. W ten sposób przewędrowałem całą Europę, widziałem śmierć i pożogę. Gdzie był cesarz, tam były i łupy czekające na mnie.

Swoją wielką szansę napotkałem w Austrii w roku 1805. Nocą na trakcie natknąłem się na wiedeńskiego kupca uciekającego przed armią francuską. Miał ze sobą cały majątek, w złocie i srebrze, prawdziwie bajońską sumę. Poszedłem za nim do gospody, gdzie zatrzymał się na noc, i odczekawszy, aż zaśnie, włamałem się, by go okraść. On jednak nie spał. Wojna uczyniła go nerwowym, wylekzionym. Czekał na mnie i był uzbrojony. Wyjął spod koca pistolet i strzelił do mnie.

Szok i ból sparaliżowały mnie. Impet trafienia powalił mnie na podłogę. Dostałem postrzał w brzuch i obficie krwawiłem. I nagle krew przestała płynąć, a ból zelżał. Wstałem. Chyba musiałem wyglądać przerażająco, pobladły na twarzy i umorusany własną krwią.

Za oknem, na niebie, widać było księżyc, kupiec wrzasnął, a ja instynktownie rzuciłem się na niego. Chciałem go uciszyć, zatkać mu ręką usta, ale... coś mną ovladnęło. Wyciągnąłem ręce, paznokcie miałem ostre i twarde. Rozdarłem mu gardło. Zaczął dławić się własną krwią.

Stałem tam drżący, patrząc na tryskającą zeń czarną krew, na jego ciało drgające konwulsyjnie w blasku księżycy. Umierał.

Widziałem już umierających ludzi w Paryżu i na wojnie. Tym razem było inaczej. To ja go zabiłem. Przepeliła mnie nienasycona żądza i... pragnienie.

Często czytałem o pragnieniach, rozmaitych formach pożądania, odczuwanych przez człowieka od zarania dziejów. Nigdy żadnego nie doświadczyłem. Patrzyłem na nagie kobiety, mężczyzn, pary złączone w akcie spółkowania i ani razu nie odczułem przy tym podniecenia. Nie pojmowałem wszystkich tych bzdur mówiących o niepohamowanych żądzach, namiętnościach palących niczym

ogień. Aż do teraz. Płynąca krew, ten bogaty tłuszcioch umierający na moich rękach, dźwięki, jakie wydawał, jego stopy uderzające o łóżko. Krew zbrukała moje dłonie. Była taka ciemna i gorąca. Buchając z jego gardła, aż parowała. Nachyliłem się więc i posmakowałem jej. Ten smak przepełnił mnie szaleństwem, gorączkową żądzą. Nagle przytknąłem twarz do jego szyi, rozdzierając ją zębami, ssąc krew, rozszarpując i przelykając. Przestał się szamotać. A ja się syciłem. Wtem drzwi otworzyły się i stanęli w nich mężczyźni z nożami i strzelbami. Jakże musiałem ich przerazić. Zanim zdążyli zareagować, wyskoczyłem przez okno i umknąłem w noc. Miałem dość przytomności umysłu, aby zabrać ze sobą należący do kupca pas z pieniędzmi. Znajdowała się w nim tylko cząstka jego fortuny, ale to i tak wystarczyło.

Tej nocy biegłem długo i daleko, a następny dzień przeczekałem w starej piwniczce na opuszczonej spalonej farmie.

Miałem dwadzieścia lat. Dla ludu nocy byłem zaledwie dzieckiem, ale oto rozpoczął się mój okres dojrzewania. Gdy obudziłem się tej nocy w piwnicy, ubabrany zaschniętą krwią, z zaciśniętym w rękę pasem na pieniądze, przypomniałem sobie słowa ojca. Wreszcie wiedziałem, czym było czerwone pragnienie. Ojciec powiedział, że może je zaspokoić jedynie krew. Czuję się syty. A w dodatku silniejszy i zdrowszy jak nigdy dotąd. Ale to jeszcze nie wszystko. Byłem również przerażony i zdruzgotany. Dorastałem wszak wśród twojego ludu i myślałem tak jak ty. Nie byłem zwierzęciem ani potworem. Właśnie wtedy postanowiłem zmienić swój styl życia, aby coś takiego nigdy więcej się nie powtórzyło. Umyłem się i ukradłem ubranie, najlepsze, jakie zdołałem znaleźć. Wyruszyłem na zachód, w przeciwnym kierunku, niż posuwała się wojna. Następnie skierowałem się na północ. Dni spędzałem w gospodach, a nocami przemieszczałem się wynajętymi powozami z miasta do miasta. W końcu, mimo trudności wynikłych z działań wojennych, dotarłem do Anglii. Przyjąłem nowe nazwisko, zamierzając zyskać status dżentelmena. Miałem pieniądze. Reszty mogłem się nauczyć.

Moje podróże trwały około miesiąca. Trzeciej nocy po przybyciu do Londynu poczułem się dziwnie; było mi niedobrze. Nigdy dotąd

nie chorowałem. Następnego nocy było jeszcze gorzej. Do tego czasu jednak zorientowałem się, co mi dolega. Dopadło mnie czerwone pragnienie. Wyłem i szalałem. Zamówiłem wyborny posiłek, wielki poć czerwonego mięsa, które, jak sądziłem, zaspokoi mój głód. Zjadłem je, próbując się uspokoić. Bezskutecznie. W ciągu godziny znalazłem się na ulicy. Zaczaiłem się w zaułku i czekałem. Pierwsza minęła mnie młoda kobieta. Cząstka mnie podziwiała jej piękność; paliła moje wnętrze niczym ogień. Inna po prostu odczuwała głód. Niemal oderwałem jej głowę, ale przynajmniej szybko było po wszystkim. Później zapłakałem.

Przez wiele miesięcy byłem pogrążony w rozpacz. Sporo czytałem i wiedziałem, kim jestem. Przez dwadzieścia lat uważałem się za istotę lepszą i stojącą na wyższym poziomie od człowieka. Teraz rozumiałem, że jestem czymś nienaturalnym, bestią, bezdusznym potworem. Nie potrafiłem określić, czy jestem wampirem czy wilkołakiem, co mnie trochę deprymowało. Ani ja, ani mój ojciec nie umieliśmy zmieniać kształtów, ale doświadczałem czerwonego pragnienia co miesiąc, zgodnie z cyklem księżycowym, choć nie zawsze podczas pełni. To, jak zapamiętałem z lektury, odpowiadało cechom wilkołaka. Sporo wówczas czytałem na ten temat, próbując zrozumieć samego siebie. Jak wilkołak z legend często rozrywał gardła moich ofiar, a gdy pragnienie doskwierało mi szczególnie mocno, pożerałem także fragmenty ich ciał. Kiedy nie odczuwałem pragnienia, byłem spokojnym, nie rzucającym się w oczy, przeciętnym człowiekiem, co również zgadzało się z legendami o wilkołakach. Z drugiej strony srebro na mnie nie działało, podobnie jak tojad, nie zmieniałem kształtów ani nie porastałem sierścią. Jak wampir mogłem poruszać się wyłącznie nocą. I wydawało mi się, że pragnę nie tyle mięsa, ile raczej krwi moich ofiar. Nie sypiałem jednak w trumnie, lecz w łóżku i przekraczanie płynącej wody nie sprawiało mi trudności, robiłem to chyba setki razy. Nie byłem martwy i nie mierzły mnie przedmioty kultu religijnego. Raz, dla pewności, zabrałem ze sobą ciało mojej ofiary, zastanawiając się, czy ożyje jako wampir czy jako wilkołak. Nie ożyło wcale. Gdy zaczęło cuchnąć, spaliłem je.

Możesz sobie wyobrazić moje przerażenie. Nie byłem

człowiekiem, ale nie byłem także jedną z tych legendarnych istot. Uznałem, że posiadane przeze mnie książki są całkiem bezużyteczne. Byłem zdany sam na siebie.

Czerwone pragnienie powracało miesiąc w miesiąc. Noce te przepełniało radosne wyczekiwanie. Odbierając życie, jak nigdy dotąd sam czułem, że żyję. Dopiero potem, nasyciwszy się, czułem odrazę do istoty, którą się stałem. Zabijałem przede wszystkim młodych, niewinnych i pięknych. Zdawali się mieć w sobie wewnętrzny blask, podsycający moje pragnienie; ludzie starzy i chorowici pozbawieni byli tego blasku. Z drugiej strony kochałem wartości, które stały się dla mnie kryteriami doboru ofiar.

Rozpaczliwie starałem się zmienić samego siebie.

Gdy dopadało mnie czerwone pragnienie, traciłem swą, zdawałoby się niezłomną, wolę. Z nadzieją skierowałem się ku religii. Gdy poczułem w sobie pierwszy dotyk macek gorączki, udałem się do kościoła i wyznałem wszystko księdzu, który otworzył mi drzwi. Nie uwierzył mi, ale zgodził się usiąść i pomodlić się wraz ze mną. Miałem na szyi krzyżyk, ukląknę przed ołtarzem i modliłem się żarliwie, wokół mnie stały posągi i płonęły świece, czułem się bezpieczny w tym miejscu w towarzystwie sługi bożego. W niecałe trzy godziny potem rzuciłem się na niego i zabiłem go w jego kościele. Odnalezienie zwłok księdza następnego dnia wywołało niewielkie poruszenie.

Później skoncentrowałem się na rozpatrzeniu mego problemu na drodze logicznego rozumowania. Skoro religia nie przyniosła odpowiedzi, to, co mną powodowało, nie mogło mieć nadnaturalnych korzeni. Zamiast mordować ludzi, zacząłem zabijać zwierzęta. Ukradłem ludzką krew z gabinetu lekarskiego. Włamałem się do domu pogrzebowego, dokąd przewieziono świeże zwłoki. Wszystkie te rozwiązania miały swoje plusy i minusy, pozwalały zaspokajać pragnienie, lecz nie zabijały go w pełni. Najlepszym z tych półśrodków było zabicie żywego zwierzęcia i picie jego ciepłej jeszcze krwi prosto z ciała. Rozumiesz, to było życie, prócz krwi wysączałem z nich życie i o to właśnie chodziło.

Przez cały ten czas dbałem o swoje bezpieczeństwo. Kilka razy przemierzyłem Anglię, aby śmierć i zniknięcia moich ofiar nie

zogniskowały się w jednym tylko obszarze. Pogrzebałem tyle swoich ofiar, ile zdołałem. W końcu zacząłem korzystać podczas łowów ze swego intelektu. Potrzebowałem pieniędzy, toteż postanowiłem wybierać wyłącznie zamożne ofiary. Stałem się bogaty i stopniowo pomnażałem owo bogactwo. Pieniądz rodzi pieniądz, toteż poziom mojej zamożności rósł i odtąd już powiększałem swój majątek w pełni uczciwie. Do tego czasu płynnie mówiłem po angielsku. Znów zmieniłem nazwisko, udawałem dżentelmena, nabyłem stojący na uboczu dom, na moczarach w Szkocji, gdzie moje zachowanie nie powinno wzbudzać zbytnich podejrzeń, i najałem dyskretną służbę. Żadna z moich ofiar nie mieszkała w pobliżu. Służba niczego nie podejrzewała.

Wreszcie natknąłem się na coś, co, jak sądziłem, mogło okazać się odpowiedzią. Jedna z moich służących, młoda, ponętna dzierlatka, zaczęła coraz bardziej się ze mną spoufalać. Wydawało się, że mnie lubi i bynajmniej niejako pracodawcę. Odwzajemniłem jej afekty. Była uczciwa, radosna i choć niewykształcona, całkiem inteligentna. Zacząłem uważać ją za przyjaciółkę i ujrzałem w niej wyjście dla siebie. Często rozważałem możliwość skuwania się łańcuchami lub zamknięcia się na cztery spusty aż do chwili, kiedy czerwone pragnienie przeminie, nigdy jednak nie doszło do realizacji owego planu. Gdybym zamknął się na klucz i odłożył go gdzieś, aby był pod ręką, z pewnością sięgnąłbym po niego ogarnięty czerwonym pragnieniem. Gdybym zaś wyrzucił go precz, jak później uwolniłbym się z okowów? Potrzebowałem pomocy innej osoby, ale wciąż miałem w pamięci ostrzeżenia ojca, abym nigdy nikomu nie powierzył swego sekretu.

Teraz postanowiłem zaryzykować. Odprawiłem resztę służby, zwalniając wszystkich i nie zatrudniając nikogo nowego. W domu wybudowałem specjalne pomieszczenie. Była to nieduża, pozbawiona okien izba o grubych, kamiennych ścianach i z żelaznymi drzwiami grubymi jak te w celi, do której wtrącono mnie i ojca. Odrzwia zamykane były od zewnątrz na grube, metalowe rygle. Sam nie zdołałbym wydostać się z tej celi. Kiedy została ukończona, przywołałem moją piękną służkę i wydałem jej odpowiednie polecenia. Niestety muszę przyznać, Abnerze, że nie

zaufałem jej na tyle, by wyjawic jej całą prawdę. Obawiałem się, że dowiedziawszy się, kim jestem w istocie, zadenuncjowałyby mnie lub niezwłocznie uciekła, a tym samym rozwiązanie, którego tak byłem bliski, przypadłoby wraz z moim domem, majątkiem i życiem, które stworzyłem. Powiedziałem jej tylko, że każdego miesiąca ogarnia mnie krótkotrwałe szaleństwo, ataki przypominające nieco epilepsję. Na czas owych ataków miałem wejść do specjalnego pomieszczenia, a moja służka miała zamknąć mnie w nim od zewnątrz i nie wypuszczać przez trzy doby. Do celi miałem zabrać ze sobą jedzenie, wodę oraz kilka żywych kurcząt, aby choć trochę ukoić pragnienie.

Dziewczyna była wstrząśnięta, skonsternowana i trochę zdezorientowana, ale w końcu zgodziła się wypełnić moje polecenie. Myślę, że mnie na swój sposób kochała i była gotowa uczynić dla mnie wszystko. Tak więc wszedłem do pomieszczenia, a ona zamknęła za mną drzwi.

Pojawiło się pragnienie. To było potworne. Mimo braku okien wiedziałem, kiedy nastał i przeminął dzień. Przespałem go jak zawsze, ale noce były jednym nie kończącym się koszmarem. Już pierwszej nocy pozabijałem wszystkie kurczaki i pożarłem je. Domagałem się, by mnie wypuszczono, ale moja lojalna służka nie otworzyła drzwi. Obrzucałem ją inwektywami i groziłem. Potem już tylko wylem jak oszalone dzikie zwierzę. Rzucałem się na ściany i napierałem na drzwi, tłukłem w nie pięściami aż do krwi, po czym przykucnąłem, aby zlizać posokę z posadzki. Próbowałem gołymi rękami przebić się przez miękki kamień. Nie zdołałem się jednak wydostać.

Na trzeci dzień zacząłem odzyskiwać rozum. Zupełnie jakby gorączka spadła. Odtąd miałem już z górki, znów stawałem się sobą. Czułem, jak pragnienie słabnie. Przywołałem służkę i powiedziałem, że jest już po wszystkim, po czym zażądałem, aby mnie wypuściła. Odmówiła, tłumacząc, że kazałem jej przetrzymywać mnie w zamknięciu przez trzy doby i faktycznie tak było. Roześmiałem się i przyznałem, że to prawda, ale stwierdziłem, że atak minął i nie wróci do następnego miesiąca. Dziewczyna w dalszym ciągu nie chciała odryglować drzwi. Nie wściekałem się na nią. Powiedziałem,

że to rozumiem i pochwaliłem za solidne wypełnianie otrzymanego polecenia. Poprosiłem, aby została i porozmawiała ze mną, gdyż w celi czułem się strasznie samotny. Zgodziła się i rozmawialiśmy prawie przez godzinę. Byłem spokojny i elokwentny, można by rzec czarujący, pogodziłem się z koniecznością spędzenia jeszcze jednej nocy w zamknięciu. Dyskutowaliśmy na wiele tematów tak dobitnie, że wkrótce dziewczyna przyznała, iż faktycznie jestem już chyba sobą. Pogratulowałem jej skrupulatności i sumienności. Długo rozwoździłem się nad jej przymiotami i tym, co czułem wobec niej. W końcu poprosiłem ją o rękę. Zamierzałem poślubić ją, gdy tylko wyjdę na wolność.

Otworzyła drzwi. Wydawała się taka szczęśliwa. Taka radosna i pełna życia. Podeszła, by mnie pocałować, a ja objąłem ją i przyciągnąłem do siebie. Całowaliśmy się. Potem podążyłem ustami do jej szyi, odnalazłem tętnicę, otworzyłem ją... i syciłem się. Długo. Bardzo długo. Byłem taki spragniony, a jej życie takie słodkie. Kiedy ją puściłem i odstepiła ode mnie na chwiejnych nogach, żyła jeszcze, właściwie dogorywała, blada jak trup i konająca, ale nadal przytomna. Ten wyraz jej oczu, Abnerze. Te jej oczy...

Ze wszystkich rzeczy, które zrobiłem w całym swoim życiu, ta była najplugawsza. I pozostanie ze mną na zawsze. Ten wyraz jej oczu.

Później ogarnęła mnie czarna rozpacz. Próbowałem się zabić. Kupiłem srebrny nóż z rękojeścią w kształcie krzyża – wtedy wciąż jeszcze wierzyłem w przesady. Rozpłatałem sobie nadgarstki i położyłem się w wannie wypełnionej gorącą wodą, aby umrzeć. Rany zagoiły się. Rzuciłem się na miecz, jak to robili starożytni Rzymianie. Rana zasklepiła się. Każdego dnia coraz lepiej poznawałem swoje właściwości. Wszelkie doznawane przeze mnie obrażenia goiły się w okamgnieniu, ból był krótkotrwały. Krew krzepła natychmiast, niezależnie od rozmiarów rany. Z całą pewnością należałem do istot wyjątkowych.

W końcu wpadłem na nowy pomysł. Do jednej z zewnętrznych ścian domu przymocowałem okowy z grubymi, solidnymi łańcuchami. Z nadejściem nocy zakułem się w kajdany i wyrzuciłem

klucz najdalej, jak tylko mogłem. Czyli bardzo daleko. Czekałem na świt. Słońce było okrutniejsze i jaśniejsze, niż pamiętałem. Jego promienie poparzyły mnie i oślepiły. Wszystko się rozmyło. Moja skóra płonęła. Chyba zacząłem krzyczeć. Wiem, że zamknąłem oczy. Spędziłem na zewnątrz wiele godzin, czekając na śmierć. Nie miałem w sobie nic prócz poczucia winy.

I wtedy, ni stąd, ni zowąd, w obliczu śmierci zapragnąłem żyć. Nie potrafię powiedzieć, co mnie do tego skłoniło. Chyba od zawsze kochałem życie, zarówno swoje, jak i każde inne. Właśnie dlatego tak bardzo pociągały mnie zdrowie, piękno i młodość. Nienawidziłem siebie, ponieważ niosłem światu śmierć, a mimo to znów postanowiłem zabić, choć tym razem ofiarą miałem być ja sam. Nie mogłem zmyć swoich grzechów kolejnym rozlewem krwi i śmiercią, skonstatowałem. Aby za nie odpokutować, musiałem żyć, na nowo wnieść życie, piękno i nadzieję do świata, z którego je usunąłem. Przypomniałem sobie zaginionych służących ojca. Gdzieś tam, w świecie, byli inni, podobni do mnie. Wampiry, wilkołaki, czarownicy, kimkolwiek byli, należeli do mojej rasy i czaili się gdzieś tam, pośród nocy. Zastanawiałem się, jak radzili sobie z czerwonym pragnieniem. Zastanawiałem się, czy byłbym w stanie ich odnaleźć. Im przynajmniej, w przeciwieństwie do ludzi, mogłem zaufać w najbardziej kluczowych kwestiach. Moglibyśmy pomóc sobie nawzajem w pokonaniu zła, które nas trawiło. Mógłbym się od nich wiele nauczyć.

Postanowiłem, że nie umrę.

Łańcuchy były bardzo solidne. Dopilnowałem tego w obawie, że mógłbym próbować uniknąć cierpienia oraz śmierci. Moja determinacja okazała się jednak potężniejsza niż jakiegokolwiek inne doznanie, którego kiedykolwiek doświadczyłem, nawet kiedy trawiło mnie czerwone pragnienie. Postanowiłem zerwać łańcuchy, wyszarpnąć je z kamiennej ściany, w którą je wprawiłem. Ciągnąłem, napinałem i szarpałem. Bez skutku. Łańcuchy nie pękały. Trwałem na słońcu przez wiele godzin. Nie potrafię powiedzieć, co sprawiło, że nie straciłem przytomności. Moja skóra była czarna i spalona. Ból tak silny, że prócz niego nie czułem już prawie niczego. A jednak wciąż mocowałem się z łańcuchami.

Wreszcie jeden z nich pękł. Lewy. Pierścień osadzony w murze został wyrwany wraz z fragmentem zaprawy. Byłem na wpół wolny, ale bardzo chory i bliski śmierci. Miałem dziwne wizje. Wiedziałem, że wkrótce zemdleję, a gdy osunę się na ziemię, już się więcej nie podniosę. Prawy łańcuch wydawał się równie silny i niewzruszony jak w chwili, gdy rozpocząłem tę walkę, całe wieki temu.

Łańcuch nie ustąpił, Abnerze. A jednak uwolniłem się i ukryłem w chłodnej, mrocznej i bezpiecznej piwnicy, gdzie przeleżałem ponad tydzień, śniąc, płonąc i wijąc się z bólu, ale powoli dochodziłem do zdrowia. Widzisz, aby się uwolnić, posunąłem się do brutalnych metod. Odgryzłem sobie prawą dłoń i pozostawiłem ją leżącą na ziemi, a wysunięcie kikuta z okowu było zwykłą błahostką.

Kiedy w tydzień później odzyskałem świadomość, znów miałem rękę. Była mała, delikatna, na wpół uformowana i bolała. Ból był potworny. Z czasem jednak skóra stwardniała. Potem dłoń nabrzmiała, skóra popękała, ze szczelin wypłynął gęsty, jasny śluz. Kiedy zasechł i odpadł, ciało pod spodem wyglądało na zdrowsze. Powtórzyło się to trzykrotnie. Cały proces trwał ponad trzy tygodnie, ale kiedy było po wszystkim, nigdy byś nie podejrzewał, że z moją ręką było coś nie tak. Zdumiało mnie to.

Był rok 1812 i okazał się on punktem zwrotnym w moim życiu.

Kiedy odzyskałem siły, stwierdziłem, że to, co się stało, zaowocowało we mnie pewnym postanowieniem – zapragnąłem mianowicie zmienić styl życia, mój i mego ludu, uwolnić nas od tego, co mój ojciec nazywał przekleństwem czerwonego pragnienia, abyśmy nie musieli dłużej pozbawiać tego świata piękna ani życia. Żeby tego dokonać, musiałem najpierw odnaleźć innych członków mojej rasy, a jedynymi, których znałem, byli zaginieni słudzy mego ojca. Wtedy jednak poszukiwanie ich było niemożliwe. Anglia toczyła wojnę z Francją i handel pomiędzy tymi dwoma krajami został wstrzymany. Wynikająca z tego tytułu zwłoka bynajmniej mnie nie zafrasowała.

Wiedziałem, że będę miał na to tyle czasu, ile dusza zapagnie.

Oczekiwanie wykorzystałem na studiowanie medycyny. O moim ludzie nic, rzecz jasna, nie wiadano. Uważano nas za mityczne istoty, o których od niepamiętnych czasów opowiadano rozliczne

wydumane historie. Mimo to sporo mogłem się dowiedzieć o twojej rasie, tak podobnej, a zarazem odmiennej od mojej. Zaprzyjaźniłem się z wieloma lekarzami, pewnym znanym chirurgiem i kilkoma luminarzami powszechnie znanej akademii medycznej. Czytałem traktaty medyczne, zarówno stare, jak i nowe. Interesowałem się chemią, biologią, anatomią, a nawet alchemią, aby poszerzyć swoją wiedzę. Stworzyłem laboratorium, aby prowadzić w nim eksperymenty, wykorzystałem do tego celu pomieszczenie pełniące ongiś rolę mego dobrowolnego więzienia.

Obecnie, odbierając życie, co czyniłem każdego miesiąca, gdy tylko mogłem, zabierałem zwłoki ze sobą, aby je badać i dokonywać sekcji. Jakże pragnąłem trupa jednej z istot mojej rasy, aby móc poznać różnice!

W drugim roku doświadczeń odciąłem sobie palec u lewej ręki. Wiedziałem, że odrośnie. Potrzebowałem moich tkanek do analiz i sekcji.

Odcięty palec nie wystarczył, by odpowiedzieć na jedną setną dręczących mnie pytań, ale biorąc pod uwagę to, czego się dowiedziałem, warto było trochę pocierpieć. Kości, tkanki i krew wykazywały znaczne różnice w porównaniu do ludzkich. Krew była jaśniejsza, podobnie jak ciało, a w naszej posoce brakowało kilku elementów zawartych w krwi ludzkiej. Kości natomiast na odwrót. Były zarazem silniejsze i bardziej elastyczne od ludzkich.

Tlen, ów cudowny gaz Priestleya i Lavoisiera, był obecny we krwi i tkance mięśniowej w znacznie większym stopniu niż w analogicznych próbkach pobranych od przedstawicieli twojej rasy.

Nie wiedziałem, co z tego wynika, ale miałem mnóstwo, ogólnie mówiąc, fantastycznych teorii. Odniosłem wrażenie, że być może to, czego brakuje w mojej krwi, ma jakiś związek z dążeniem do picia krwi innych. Tego miesiąca, kiedy pragnienie pojawiło się i odeszło, a ja uśmierciłem kolejną ofiarę, uroniłem nieco własnej krwi i zbadałem próbkę. Skład mojej krwi zmienił się! W jakiś sposób przemieniłem krew ofiary w moją własną, zagęszczając ją i wzbogacając, choćby tylko na pewien czas.

Odtąd upuszczałem sobie krew codziennie. Badania wykazały, że moja krew rozrzedzała się z każdym dniem. Być może, gdy

osiągała poziom krytyczny, wyzwalało się czerwone pragnienie, konstatowałem.

Moje przypuszczenia pozostawiły wiele pytań bez odpowiedzi. Dlaczego krew zwierzęca nie wystarczała do zaspokojenia pragnienia? Ani nawet krew ludzka pobrana z trupa? Czyżby po śmierci traciła niektóre ze swych właściwości? Dlaczego nie doświadczyłem pragnienia przed ukończeniem dwudziestu lat? Co ze wszystkimi wcześniejszymi latami? Nie znałem odpowiedzi na te pytania ani nie wiedziałem, jak je uzyskać, teraz jednak miałem przynajmniej nadzieję, punkt wyjścia. Zacząłem sporządzać wywary.

Cóż mogę ci o tym powiedzieć? Trwało to całe lata, niezliczone eksperymenty, badania. Wykorzystywałem krew ludzką i zwierzęcą, metale i rozmaite chemikalia. Gotowałem krew, suszyłem, piłem na surowo, mieszałem z piołunem, koniakiem, z okrutnie cuchnącymi medycznymi konserwantami, ziołami, solami, związkami żelaza. Piłem tysiące różnych wywarów, bez żadnego widocznego efektu. Dwukrotnie po wypiciu swego „wynalazku” tak się pochorowałem, że dostałem rozstroju żołądka i okrutnych torsji. Mimo to nie odniosłem sukcesu. Pochłaniałem setki napojów na bazie krwi i leków, ale czerwone pragnienie w dalszym ciągu zmuszało mnie do nocnych polowań. Zabijałem teraz bez poczucia winy, świadom, że szukam odpowiedzi, która w końcu pokona mą drapieżną, zwierzęcą naturę. Nie poddałem się rozpacz.

I w końcu w roku 1815 osiągnąłem sukces.

Widzisz, Abnerze, niektóre z moich mikstur skutkowały lepiej niż inne i skoncentrowałem się właśnie na nich, ulepszając je, zmieniając lub dodając to i owo, po czym wypróbowałem cierpliwie jedną po drugiej w poszukiwaniu tej właściwej. Napój, który ostatecznie wyprodukowałem, oparty był w dużej mierze na krwi owcy zmieszanej ze sporą dawką alkoholu, który, jak sadzę, jest odpowiedzialny za zachowanie jej właściwości. Naturalnie opis ten jest mocno uproszczony. W napoju znajduje się także duża dawka laudanum, dla uspokojenia i przyjemnych wizji, a do tego sole potasu, żelaza i piołun oraz rozmaite zioła i z dawna zapomniane preparaty alchemiczne. Prowadziłem poszukiwania przez trzy długie lata, aż w końcu pewnej nocy, latem 1815 roku, wypilem ten napój,

jak wcześniej wiele innych. I tej nocy nie odczułem czerwonego pragnienia.

Następnej nocy doświadczyłem gorąca i ogólnego zaniepokojenia zwiastującego nadejście pragnienia, nalałem więc do szklanki mego specyfiku i upiłem łyk z trwogą, że mój triumf okaże się ułudą, niespełnionym marzeniem. A jednak niepokój ustąpił. Także tej nocy nie zaznałem pragnienia ani nie wyruszyłem w noc, by polować i zabijać.

Natychmiast zabrałem się do dzieła, wytwarzając dużą ilość napoju. Nie jest łatwo sporządzić go, jak należy, a jeśli mikstura nie ma ściśle określonego składu, bywa nieskuteczna. Mimo to trud, jaki włożyłem w moje badania, opłacił się. Sam widziałeś rezultat, Abnerze. Mój prywatny trunek. Zawsze mam go przy sobie. Dokonałem tego, co nie udało się dotąd nikomu z mojej rasy, wtedy jednak w przyptywie gorączkowego, szaleńczego triumfu nie zdawałem sobie z tego sprawy. Zapoczątkowałem nową epokę dla mojego, ale i twojego ludu. Mrok bez trwogi, koniec podziałów na łowców i ofiary, kres ukrywania się i rozpaczy. Koniec z nocami pełnymi krwi i upodlenia. Abnerze, pokonałem czerwone pragnienie!

Teraz już wiem, że miałem niesamowite szczęście. Moja wiedza była powierzchowna i ograniczona. Sądziłem, że różnice między naszymi rasami zawierają się wyłącznie we krwi. Później zrozumiałem, jak bardzo się myliłem. Sądziłem, że to nadmiar tlenu był odpowiedzialny za gorączkę przenikającą moje żyły wraz z czerwonym pragnieniem. Dziś jestem zdania, że tlen daje mojej rasie przede wszystkim siłę i pomaga w leczeniu ran. Większość moich ówczesnych przekonań dzisiaj wydaje mi się nonsensowna. To jest jednak bez znaczenia, gdyż mój napój był jak najbardziej realny. I tylko to się liczy.

Od tej pory zdarzało mi się zabijać, nie przeczę. Czyniłem to jednak na modłę ludzi i z typowych dla nich pobudek. Od owej nocy zaś, w Szkocji 1815 roku, nie posmakowałem ludzkiej krwi ani nie czułem żaru czerwonego pragnienia.

Nie przestałem się uczyć ani wtedy, ani potem. Wiedza ma dla mnie swoiste piękno, a ja uwielbiam wszystko, co piękne; poza tym tak wiele mogłem się jeszcze dowiedzieć o sobie, o swoim ludzie.

Wraz z moim wielkim odkryciem zmienił się również cel mych poczynań i zacząłem poszukiwać innych przedstawicieli mojej rasy. Początkowo nająłem agencje i zacząłem słać listy. Później, gdy nastał pokój, sam wybrałem się w podróż na kontynent. Wtedy to dowiedziałem się, jak skończył mój ojciec. Co ważniejsze, w starych prowincjonalnych aktach odkryłem, skąd pochodził albo raczej skąd rzekomo się wywodził. Podążyłem tym szlakiem wiodącym przez Nadrenię, Prusy i Polskę. Polacy pamiętali go dość mgliście jako budzącego trwogę odludka, o którym szeptali ich pradziadowie. Niektórzy twierdzili, że był jednym z rycerzy teutońskich. Inni skierowali mnie jeszcze dalej na wschód, w okolice Uralu. Tak czy siak to niczego nie zmieniało, rycerze teutońscy nie żyli od stuleci, a Ural był wielkim pasmem górskim, zbyt rozległym, abym miał w pojedynkę, w ciemno, rozpoczynać na tym obszarze poszukiwania.

Znalazszy się w ślepych zaułku, postanowiłem zaryzykować. Nosząc wielki srebrny sygnet i krucyfiks, które, jak liczyłem, powinny rozwiać wątpliwości przesądnych, zacząłem otwarcie wypytywać o wampiry, wilkołaki i inne mityczne stworzenia. Niektórzy z moich rozmówców reagowali śmiechem lub drwiną, kilku przeżegnawszy się, czym prędzej się oddaliło, większość jednak chętnie podzieliła się z prostym Anglikiem ludowymi podaniami, które ów chciał usłyszeć, w zamian za posiłek lub coś mocniejszego. Zastyszane opowieści skłoniły mnie do wyboru dalszej drogi. To nigdy nie było łatwe. Poszukiwania zajęły mi wiele lat. Nauczyłem się polskiego, bułgarskiego, a także trochę rosyjskiego. Czytałem gazety w różnych językach, poszukując informacji o zgonach mogących sugerować, że ich przyczyną było czerwone pragnienie. Dwukrotnie byłem zmuszony powrócić do Anglii, aby sporządzić kolejną porcję napoju i dopilnować swoich spraw.

Aż w końcu to oni odnaleźli mnie.

Byłem wtedy w Karpatach, w obskurnej karczmie. Wypytywałem ludzi i wieści o moich poczynaniach przekazywane były pocztą pantoflową. Zmęczony, zniechęcony, na długo przed świtem udałem się do swego pokoju, zacząłem bowiem odczuwać pierwsze oznaki czerwonego pragnienia. Siedziałem przed

kominkiem, w którym buzował ogień, popijając mój napój, kiedy usłyszałem stukanie. Początkowo sądziłem, że to podmuchy wiatru zwiastującego burzę łomoczą o oszronione okna. Odwróciłem się, by spojrzeć – w pokoju było ciemno, jeśli nie liczyć poświaty bijącej z kominka – a wtedy okno zostało otwarte od zewnątrz, na tle czerni, śniegu i gwiazd ujrzałem sylwetkę mężczyzny stojącego na parapacie. Wszedł do środka zwinnie jak kot, łądując na podłodze bez najmniejszego hałasu; lodowaty wiatr surowej, szalejącej na zewnątrz zawieruchy omiótł go od stóp do głów. Był mroczny, ale jego oczy płonęły. Naprawdę płonęły, Abnerze. „Interesują cię wampiry, Angliku” – wyszeptał całkiem znośną angielszczyzną, zamykając za sobą okno.

To była przerażająca chwila, Abnerze. Być może chłód, który napłynął z zewnątrz, sprawił, że zadygotałem, ale w gruncie rzeczy sądzę, że przyczyna tego stanu była całkiem inna. Ujrzałem tego przybysza, jak wielu tobie podobnych widziało mnie, zanim ich obezwładniałem i odsączałem z życiodajnej krwi; był mroczny, przerażający, o gorejących oczach, straszliwy cień z zębami poruszającymi się z niezłomną gracją, jego głos brzmiał jak złowieszczy szept.

Gdy zacząłem podnosić się z krzesła, stanął w świetle. Ujrzałem jego paznokcie. Wyglądały jak szpony, długie na pięć cali, czarne i ostro zakończone. Potem uniosłem wzrok i zobaczyłem jego twarz. Było to oblicze, które znałem z dzieciństwa, a gdy spojrzałem raz jeszcze, przypomniałem sobie również jego imię. „Simon” – powiedziałem.

Przystanął. Nasze spojrzenia spotkały się.

Patrzyłeś mi w oczy, Abnerze. Ujrzałeś tkwiącą w nich moc, a być może również coś innego, mroczniejszego. Tak jest w przypadku całej naszej rasy. Mesmer pisał o zwierzęcym magnetyzmie, o dziwnych mocach, które tkwią we wszystkich żyjących istotach, przy czym w niektórych są one silniejsze niż w innych. Widziałem tę moc u ludzi. Na wojnie dwóch oficerów może rozkazać swoim ludziom, by przeprowadzili identyczne, nader ryzykowne i śmiałe natarcie. Jeden z nich wydanie takiego rozkazu przypłaci życiem, zabiją go jego żołnierze. Inny w tej samej sytuacji,

używając tych samych słów, nakłoni swoich ludzi, aby z własnej woli poszli za nim na pewną śmierć. Bonaparte miał taką moc. Tak mi się przynajmniej wydaje. Jednak u przedstawicieli naszej rasy jest ona najsilniejsza. Zawiera się w naszym głosie, ale przede wszystkim w oczach. Jesteśmy łowcami i potrafimy wzrokiem ujarzmić i uciszać nasze naturalne ofiary, sprawiać, by wykonywały nasze polecenia, a niekiedy nawet by same zadawały sobie śmierć.

Wtedy jeszcze nie miałem o tym pojęcia. Widziałem tylko oczy Simona, gorejący w nich żar, gniew i podejrzliwość. Czułem trawiące go pragnienie, a na ten widok moje także dało o sobie znać niczym zew, którego tak się obawiałem.

Nie mogłem odwrócić wzroku. On również. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, zataczając ciasne kręgi i ani na chwilę nie przerywając kontaktu wzrokowego. Kieliszek wypadł mi z ręki, roztrzaskując się na podłodze.

Nie potrafię powiedzieć, ile czasu upłynęło. W końcu jednak Simon spuścił wzrok i było po wszystkim. A wtedy zrobił coś dziwnego i zdumiewającego. Ukląkł przede mną, otworzył sobie żyłę na nadgarstku, puszczając krew, i uniósł rękę w moją stronę. „Mistrzu krwi” – rzekł po francusku.

Płynąca krew tuż obok mnie sprawiła, że poczułem suchość w gardle. Wyciągnąłem rękę i złapałem go za ramię, rozdygotany, po czym nachyliłem się ku niemu. I wtedy sobie przypomniałem. Odtrąciłem jego rękę i odwróciłem go, przy kominku na stoliku stała butelka. Napełniłem dwa kieliszki, opróżniłem jeden, a drugi podałem jemu; spojrzał niepewnie na ciecz w szkle. „Wypij” – rozkazałem i wypełnił polecenie. Byłem mistrzem krwi i nie mógł mi się sprzeciwić.

I tak się to zaczęło, w Karpatach, w roku 1826.

Simon był jednym z dwóch znanych mi popleczników ojca. Mój ojciec był mistrzem krwi. Gdy zginął, przywództwo objął silniejszy z nich dwóch, Simon. Następnej nocy zaprowadził mnie do miejsca, gdzie sypiał, zapomnianej piwnicy w ruinach starej górskiej twierdzy. Tam spotkałem innych: kobietę, w której rozpoznałem służącą z okresu mego dzieciństwa, oraz dwóch mężczyzn, których ty nazywasz Smithem i Brownem. Simon był ich mistrzem. Teraz

zostałem nim ja. Co więcej, przyniosłem ze sobą wyzwolenie od czerwonego pragnienia.

Wypiliśmy mój specyfik i spędziliśmy wspólnie wiele nocy, podczas których z ich ust poznałem historię i tradycje ludu nocy.

Byliśmy starym ludem, Abnerze. Na długo przed tym, jak twoja rasa wzniosła pierwsze miasta na gorącym południu, moi przodkowie polowali nocami, przemierzając całą północną Europę. Nasze podania głoszą, że przybyliśmy z Uralu lub może ze stepów, rozprzestrzeniając się przez stulecia na zachód i na południe. Żyliśmy w kraju Polan na długo przed Polanami, grasowaliśmy w germańskich puszczech, zanim jeszcze pojawili się w nich barbarzyńscy Germanowie, władaliśmy Rosją przed Tatarami, przed Wielkim Nowogrodem. Gdy mówię o starym ludzie, nie mam na myśli setek, ale tysiące lat. Milenia mroku i ciemności. Podania głoszą, że byliśmy dzikusami, sprytnymi, nagimi zwierzętami, stanowiącymi z nocą jedność, szybkimi, zabójczymi i cieszącymi się swobodą. Długowieczni w porównaniu do innych zwierząt, niemożliwi do zabicia, byliśmy mistrzami, panami wszelkiego stworzenia. Tyle nasze podania. Wszystko, co chodzi na dwóch lub czterech nogach, pierzchało przed nami w trwodze. Wszystko, co żyje, było dla nas źródłem pożywienia. Za dnia sypialiśmy w jaskiniach, całymi stadami, całymi rodzinami.

Nocą władaliśmy ziemią.

I wtedy z południa do naszego świata wkroczyła twoja rasa. Lud dnia, podobny do nas, a zarazem tak różny. Byliście słabi. Zabijaliśmy was z łatwością i czerpaliśmy z tego radość, mieliście bowiem w sobie pewne piękno, a piękno zawsze przyciągało mój lud. Może urzekąło nas podobieństwo pomiędzy naszą i waszą rasą. Przez stulecia byliście po prostu naszymi ofiarami. Z czasem jednak coś się zmieniło. Moja rasa była długowieczna, ale w sumie nieliczna. Nie odczuwamy prawie popędu płciowego, podczas gdy u ludzi jest on niemal równie silny jak nasze czerwone pragnienie. Zapytany o to Simon powiedział mi, że samce z mojej rasy odczuwają pożądanie, tylko gdy samica ma okres rui, co zdarza się nad wyraz rzadko, częściej zaś gdy samiec i samica dokonają wspólnie zabójstwa. Nawet wtedy jednak kobiety rzadko zachodzą

w ciężę – i bardzo dobrze – poczęcie bowiem oznacza u nas zwykle śmierć dla rodzącej. Simon wyjawiał, że zabiłem moją matkę, rozszarpując jej łono, by się zeń wydostać, i czyniąc w jej wnętrzu takie spustoszenia, że nawet przyspieszony metabolizm i zdolności regeneracyjne nie potrafiły sobie z nimi poradzić. Tak zwykle bywa, gdy nowi ludzie nocy przychodzą na ten świat. Nasze życie od samego poczęcia naznaczone jest krwią i śmiercią.

Jest w tym pewna równowaga. Bóg, jeśli w Niego wierzysz, albo może Natura, daje i odbiera. Możemy żyć tysiąc i więcej lat. Gdybyśmy byli tak płodni jak wy, wkrótce zaludnilibyśmy ten świat. Wasza rasa mnoży się i pleni jak muchy, ale i wymiera jak muchy wskutek drobnych obrażeń czy chorób, które dla nas są całkiem niegroźne.

Nic dziwnego, że z początku traktowaliśmy was lekceważąco. Wy jednak wciąż się mnożyliście, a ponadto budowaliście miasta i uczyliście się. Korzystaliście z waszych umysłów, podczas gdy nam nie było to potrzebne, bo przecież byliśmy od was lepsi i potężniejsi. To twój gatunek sprowadził do tego świata ogień, armię, łuki, włócznie, odzież, sztukę, pismo i język. Cywilizację, Abnerze. A ucywilizowani przestaliście być ofiarami. Zaczęliście na nas polować, zabijając nas ogniem i drewnianymi kołkami, najeżdżając za dnia nasze jaskinie. Nigdy nie było nas wielu, a teraz nasza liczba jeszcze bardziej zaczęła się zmniejszać. Walczyliśmy z wami i ginęliśmy albo uciekaliśmy, ale dokądkolwiek byśmy się udali, prędzej czy później docieraliście tam i wy. Wreszcie zaczęliśmy robić to, do czego nas zmusiliście. Uczy się od was.

Ubrania, ogień, broń, język i cała reszta. Widzisz, my tego wszystkiego wcześniej nie znaleźliśmy. Zapożyczyliśmy to od was. I zorganizowaliśmy się, zaczęliśmy myśleć i planować, aż w końcu całkiem się z wami stopiliśmy, żyjąc w cieniu świata stworzonego przez waszą rasę, udając, że należymy do waszego gatunku, przemykając cichcem wśród nocy, aby zaspokoić żądzę krwi, a za dnia ukrywając się w obawie przed wami i waszą zemstą. Tak wyglądała historia mojej rasy, ludu nocy, w minionych tysiącletniach.

Usłyszałem ją z ust Simona, tak jak on usłyszał ją od tych, którzy dawno temu zginęli i odeszli na zawsze. Simon był najstarszy

z grupy, którą odnalazłem, i miał rzekomo prawie sześćset lat.

Usłyszałem także wiele innych rzeczy, legend sięgających poza przekazywaną ustnie historię naszej rasy, aż do zarania dziejów. Nawet tam dostrzegłem wpływy twojego ludu, nasze mity bowiem zaczerpnięte były z waszej chrześcijańskiej Biblii. Brown, który udawał kiedyś kaznodzieję, przeczytał mi fragmenty z Księgi Rodzaju, o Adamie i Ewie oraz ich dzieciach, Kainie i Abla, pierwszych i jedynych ludziach. Kiedy jednak Kain zabił Abla, udał się na wygnanie i wziął sobie żonę z kraju Anod. Skąd ona się tam wzięła, skoro tamci byli jedynymi ludźmi na ziemi, tego Księga Rodzaju nie tłumaczy. Wytłumaczył mi to Brown. Nod była krainą nocy i mroku, powiedział, ta kobieta zaś była matką naszej rasy. Od niej i Kaina pochodziliśmy my i tym samym to my jesteśmy potomkami Kaina, nie zaś czarni, w co wierzą niektórzy z was. Kain zabił brata i ukrył się, podobnie jak my musieliśmy zabijać naszych dalekich krewnych, ukrywając się przed wschodzącym słońcem, które jest obliczem Boga. Pozostaliśmy długowieczni jak wszyscy ludzie u zarania dziejów, zgodnie z tym, co mówi Biblia, byliśmy jednak przekłęci i musieliśmy wieść żywot w trwodze i ciemnościach. Powiedziano mi, że wiarę tę podziela wiele spośród dzieci nocy. Inni członkowie naszej społeczności wyznają odmienne wierzenia, niektórzy zaś zaakceptowali treść ludowych podań o wampirach i uważają się za nieśmiertelne awatary zła.

Słuchałem opowieści o przodkach, którzy dawno odeszli, o walkach, prześladowaniach i migracjach naszego ludu. Smith opowiedział mi o wielkiej bitwie, która tysiąc lat temu rozegrała się na pustkowiu, nad brzegiem Bałtyku, kiedy setka moich ziomków napadła nocą na liczącą tysiące ludzi horde, a gdy wstał dzień, promienie słońca rozjaśniły równinę *zalaną* krwią i usłaną trupami. Przypomniano mi o *Sennacheribie* Byrona. Simon mówił o świetności starożytnego Bizancjum, gdzie żyło w dostatku wielu przedstawicieli naszej rasy, niewidzialnych w tym wielkim, tętniącym życiem mieście, dopóki nie dotarli tam rycerze krzyżowi, niszcząc, plądrując i mordując ogniem wielu naszych. Najeżdźcy ci nosili znak krzyża, ja zaś zastanawiałem się, czy może właśnie dlatego moja rasa obawia się i nienawidzi podstawowego symbolu

chrześcijaństwa. Wszyscy zgodnie przekazali mi legendę o zbudowanym przez nas mieście, olbrzymiej metropolii nocy wzniesionej z czarnego marmuru i żelaza, gdzieś w mrocznych jaskiniach w samym sercu Azji, nad brzegiem podziemnej rzeki i morza, którego nigdy nie dotknęły promienie słońca. Nasze miasto było wielkie na długo przed Rzymem czy nawet Ur, jak twierdzili, co stanowiło jednak rażącą sprzeczność z treścią wcześniejszych relacji, jakoby dawno temu cała nasza rasa biegła nago wśród puszczy skąpanych w blasku księżyca. Legenda głosi, że zostaliśmy wygnani z naszego miasta za karę, za jakąś zbrodnię i odtąd byliśmy skazani na nie kończącą się tułaczkę. A jednak miasto wciąż tam było i któregoś dnia wśród nas narodzi się król, mistrz krwi potężniejszy niż wszyscy jego poprzednicy, ten, który zbierze i zjednoczy naszą rasę rozproszoną po całym świecie i na powrót zaprowadzi do miasta nocy, nad brzegami czarnego morza.

Spośród wszystkich historii, które poznałem, właśnie ta wywarła na mnie największy wpływ. Wątpię, aby istniało wielkie podziemne miasto, wątpię, aby kiedykolwiek mogło istnieć, ale sama ta historia pozwoliła mi uwierzyć, że przedstawiciele mego ludu nie byli złymi, plugawymi wampirami z ludowych podań. Nie mieliśmy własnej sztuki, literatury ani nawet języka, ale ta opowieść świadczyła, że potrafiliśmy marzyć, że nie brakło nam wyobraźni. Nigdy nie budowaliśmy ani nie tworzyliśmy, kradliśmy wasze ubrania, żyliśmy w waszych miastach i syciliśmy się waszym życiem, witalnością, waszą krwią... ale gdyby dać nam szansę, potrafilibyśmy dokonać czegoś sami, mieliśmy w sobie tę zdolność, a objawiała się ona w przekazywanej od tysiącleci historii o naszym mieście. Czerwone pragnienie było przekleństwem, uczyniło nasze rasy wrogami, odarło mój lud z wszelkich szlachetnych inspiracji. Piętno Kaina, ni mniej, ni więcej.

Mieliśmy w przeszłości naszych wielkich przywódców, Abnerze, mistrzów krwi, prawdziwych i wymaginyowanych. Mieliśmy naszych Cezarów, Salomonów i Johnów Presterów.

Mimo to wciąż czekaliśmy na zbawiciela, na naszego Chrystusa.

Stłoczeni w ruinach posępnego zamczyska, nasłuchując zawodzenia wiatru na zewnątrz, Simon i inni pili mój trunek,

opowiadali kolejne historie i obserwowali mnie błyszczącymi, hipnotyzującymi oczami, ja zaś zdałem sobie sprawę, o czym musieli myśleć. Każdy z nich był setki lat starszy ode mnie, lecz to ja byłem tym silniejszym, zostałem wszak ich mistrzem krwi. Przyniosłem im eliksir zwalczający czerwone pragnienie. Wyda wałem się nieomal na wpół ludzki. Ujrzeni we mnie legendarnego zbawiciela, obiecane go króla wampirów. I nie mogłem temu zaprzeczyć. To było moje przeznaczenie, wiedziałem, że muszę wyprowadzić moją rasę z ciemności.

– Jest wiele rzeczy, które chciałbym zrobić, Abnerze, tak wiele pragnąłbym dokonać. Twój lud jest trwożliwy, przesądny i pełen nienawiści, dlatego mój rodzaj musi, przynajmniej na razie, pozostawać w ukryciu. Widziałem, jak wojujecie między sobą, czytałem o Vladzie Tepesu, który, nawiasem mówiąc, nie był jednym z nas, o nim, o Gajuszu Kaliguli i innych władcach. Widziałem, jak twoi ludzie palą na stosach stare kobiety podejrzewane, że należą do naszej rasy, tu zaś, w Nowym Orleanie, byłem świadkiem powszechnych wśród was niewolniczych praktyk, poniżania, chłostania i sprzedawania jednych ludzi przez drugich tylko dlatego, że ci pierwsi mają ciemną skórę. Czarni są wam bliżsi, bardziej z wami spokrewnieni aniżeli mój gatunek. Możecie mieć dzieci z ich kobietami, podczas gdy mieszane i płodne związki pomiędzy rasami nocy i dnia nie są możliwe. Musimy pozostać w ukryciu, nie możemy się przed wami ujawnić dla naszego bezpieczeństwa.

Jednakże wolni od czerwonego pragnienia mam nadzieję, że z czasem będziemy mogli zdradzić swą obecność najświetlejszym spośród was, ludziom nauki, waszym przywódcom. Tak bardzo możemy sobie nawzajem pomóc, Abnerze! Możemy nauczyć was waszej historii, od nas natomiast moglibyście nauczyć się samouzdrawiania, poznać sekret dłuższego życia. Z naszej strony to dopiero początek. Pokonałem czerwone pragnienie i wierzę, że mając odpowiednią pomoc, któregoś dnia pokonam samo słońce, tak że nasza rasa będzie mogła poruszać się za dnia’. Wasi chirurdzy i lekarze mogliby pomóc naszym kobietom przy porodach, aby prokreacja nie musiała oznaczać śmierci.

Nie ma granic tego, co moja rasa może stworzyć i czego może

dokonać. Słuchając Simona, uświadomiłem sobie, że mógłbym uczynić nas jednym z największych ludów na ziemi. Najpierw jednak musiałem odnaleźć przedstawicieli mojej rasy, aby zapoczątkować owo dzieło.

Zadanie nie było łatwe. Simon powiedział, że w czasach jego młodości było nas prawie tysiąc, rozproszonych po całej Europie, od Uralu po Brytanię. Legenda głosi, że niektórzy z nas przenieśli się na południe, do Afryki, lub na wschód, do Mongolii i Chin, nie istniały na to jednak żadne dowody. Z tysiąca zamieszkującego w Europie większość zginęła podczas wojen, padła ofiarą polowań na czarownice lub zginęła wskutek nieprzemyślanych, nieostrożnych zachowań. Simon domniemywał, że pozostało nas nie więcej niż stu. Dzieci rodziło się niewiele. Te, które przeżyły, były rozproszone i pozostawały w ukryciu.

Tak oto rozpoczęliśmy trwające dekadę poszukiwania. Nie będę zanudzał cię szczegółami. W cerkwi w Rosji natrafiliśmy na księgi, które widziałeś w mojej kajucie, jedyne znane dzieła wywodzące się spod pióra przedstawiciela naszej rasy. Trochę to trwało, ale w końcu je rozszyfrowałem i poznałem melancholijną historię liczącej pięćdziesiąt dusz nocnej społeczności, ich niedoli, wędrówek, bitew i śmierci. Wszyscy odeszli, ostatnią trójkę ukrzyżowano i spalono wiele stuleci przed moimi narodzinami. W Transylwanii napotkaliśmy wypalone ruiny górskiej kryjówki, w jaskiniach pod nią zaś szczątki dwóch przedstawicieli mojej rasy, pomiędzy ich żeber wystawały resztki zbutwiałych kołków, czerepy nabito na tyczki. Sporo się dowiedziałem, badając te szkielety, nie natrafiliśmy jednak na choćby jedną żywą istotę należącą do mojego gatunku. W Trieście odnaleźliśmy rodzinę, która nigdy nie opuszczała domu za dnia i którą, jak głosiły plotki, charakteryzowała wyjątkowa błądź. Rzeczywiście tak było. To byli albinosi. W Budapeszcie spotkaliśmy zamożną, poważnie chorą kobietę, która chłostała swoje służki i wykrwawiała je, stosując pijawki i raniąc je nożami, a potem nacierała się krwią, aby zachować urodę i młodość. Była jedną z was. Zabiłem ją, zrobiłem to gołymi rękami, tak wielką wzbudziła we mnie odrazę. Nie powodowało nią pragnienie, lecz najczystsze zło, była zła do szpiku kości i dlatego robiła to, co robiła, a mnie na samą

myśl ogarnęła niepohamowana wściekłość. Wreszcie, nie odnalazłszy, czego szukaliśmy, powróciliśmy do mego domu w Szkocji.

Minęły lata. Kobieta z naszej grupy, towarzysza Simona i moja służąca z dzieciństwa, zmarła w roku 1840 z przyczyn, których nie zdołałem nigdy ustalić. Miała niecałe pięćset lat. Zrobiłem jej sekcję i dowiedziałem się, jak bardzo jesteśmy inni i jak bardzo nieludscy. Miała co najmniej trzy organy, których nigdy nie widziałem w zwłokach ludzi. Mogłem się tylko domyślać, jakie funkcje pełniły. Serce miało o połowę większe od ludzkiego, jelita zaś znacznie krótsze i dodatkowo drugi żołądek, podejrzewam, że służący wyłącznie do trawienia krwi. Różnic było więcej, ale nie w tym rzecz.

Sporo czytałem, poznałem obce języki, pisywałem poezję, parałem się polityką. Należeliśmy do elit społecznych, w każdym razie Simon i ja. Smith i Brown, jak ich nazywasz, nigdy nie przejawiali zainteresowania językiem angielskim i zwykle trzymali się na uboczu. Simon i ja dwukrotnie wybraliśmy się na kontynent, na poszukiwania. Raz wysłałem go samego na trzy lata do Indii.

W końcu zaledwie przed dwoma laty napotkaliśmy Katherine; mieszkała w Londynie, tuż obok nas. Naturalnie należała do naszej rasy. Ważniejsza jednak była historia, którą nam opowiedziała.

Powiedziała, że około roku 1750 spora grupka naszych rozproszona była po Francji, Bawarii, Austrii i Włoszech. Wymieniła kilka nazwisk; Simon rozpoznał je. Bez powodzenia szukaliśmy tych osób od wielu lat. Katherine wyjaśniła, że jedna z nich została wyśledzona, osaczona i zabita przez policję w Monachium w 1753 roku i wydarzenie to przeraziło resztę grupy. Ich mistrz krwi uznał, że Europa była przeludniona i za bardzo zorganizowana, a zatem przestała być bezpieczna. Żyliśmy w szczelinach, pośród cieni, a tych najwyraźniej coraz bardziej ubywało. Wynajął więc statek i wraz z całą grupą odpłynął z Lizbony do Nowego Świata, gdzie dzikie, niezbadane puszcze i surowe kolonialne warunki gwarantowały bezpieczeństwo i łatwość polowań.

Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego mój ojciec i jego grupa nie wyemigrowali razem z tamtymi. Ona sama miała *zabrać* się z nimi,

ale deszcze, burze i złamane koło w powozie uniemożliwiły jej dotarcie do Lizbony na czas, a gdy wreszcie się tam znalazła, okazało się, że statek już odpłynął.

Naturalnie natychmiast udałem się do Lizbony i przejrzałem wszystkie stare zachowane rejestry rejsów. Trochę to trwało, ale w końcu odnalazłem to, czego szukałem. Zgodnie z moimi przypuszczeniami statek nie powrócił z ostatniego rejsu. Przebywając tak długo na morzu, ludzie nocy nie mieli wyjścia i musieli żywić się kolejnymi członkami załogi. Pytanie brzmiało, czy statek dopłynął bezpiecznie do Nowego Świata? Nie było na ten temat żadnej wzmianki. Odkryłem jednak planowany punkt docelowy – port w Nowym Orleanie. Stamtąd, dzięki Missisipi, cały kontynent stawał przed nimi otworem.

Reszta powinna być oczywista. Przybyliśmy tutaj. Byłem pewien, że ich odnajdę. Uznałem, że mając własny parowiec, będę mógł cieszyć się luksusami, do których przywykłem, a równocześnie zyskam środek transportu i swobodę niezbędną podczas prowadzenia poszukiwań. Na rzece roilo się od ekscentryków. Kilku więcej nie powinno nikomu rzucić się w oczy. Jeśli zaś opowieści o naszym bajecznym statku i dziwnym kapitanie, który pojawia się wyłącznie nocą, zaczną rozchodzić się jak rzeka długa i szeroka, to tym lepiej. Opowieści te mogą dotrzeć do właściwych uszu, a wówczas ci, których szukaliśmy, przybędą do mnie jak przed laty Simon. Popytałem tu i tam, aż w końcu spotkaliśmy się owej nocy w St. Louis.

Podejrzewam, że resztę już znasz albo przynajmniej jesteś w stanie się jej domyślić. W New Albany, kiedy zaprezentowałeś mi nasz parowiec, bynajmniej nie udawałem zadowolenia. Byłem urzeczony. „Fevre Dream” jest przepiękny, Abnerze, i tak właśnie być powinno. Po raz pierwszy dzięki nam ten świat zyskał coś pięknego. To nowy początek. Nazwa odrobinę mnie przeraziła, gorączka to inne, używane wśród mego ludu określenie czerwonego pragnienia. Simon jednak zauważył, że ta nazwa z pewnością zaintryguje każdego przedstawiciela naszej rasy, który będzie miał okazję ją usłyszeć.

I to już prawie cała moja historia. Prawda, której się domagałeś.

Na swój sposób byłeś względem mnie uczciwy i wierzę ci, gdy mówisz, że nie jesteś przesądny. Jeśli moje marzenia mają się ziścić, to musi nadejść czas, kiedy ludy nocy i dnia podadzą sobie ręce ponad brzaskiem i zmierzchem strachu, granicą, która dzieli nasze rasy. Musi nadejść czas, gdy trzeba będzie podjąć ryzyko. Niechaj to nastąpi teraz, przy twoim udziale. Moje i twoje marzenie, nasz parowiec, przyszłość mojej i twojej rasy, wampirów i bydła – oddaję to wszystko w twoje ręce, Abnerze. Ty zdecyduj, co będzie dalej. Strach czy zaufanie? Krew czy dobre wino? Przyjaciele czy wrogowie?

ROZDZIAŁ 15

Na pokładzie parowca „Fevre Dream” Nowy Orlean, sierpień 1857

W głębokiej, posepnej ciszy, jaka zapadła po opowieści Joshuy, Marsh słyszał własny oddech i łomot serca bijącego w piersi. Wydawało się, że Joshua mówił przez wiele godzin, ale w ciemnej kajucie trudno to było zweryfikować. Na zewnątrz mogło się już przejaśnić. Toby mógł szykować śniadanie, pasażerowie przechadzali się po promenadzie, nabrzeże tętniło życiem. Jednakże w kajucie Joshuy trwała wieczna noc.

Znów powróciły doń słowa poety i Marsh niejako mimowolnie powiedział:

- Ranki wzeszły, minęły, ale dnia nie było.
- Ciemność – rzekł półgłosem Joshua.
- A ty stale w niej żyjesz – mruknął Marsh. – Żadnych poranków, żadnego dnia. Na Boga, Joshua, jak ty to znosisz?

York nie odpowiedział.

– To czysty obłąd – ciągnął Marsh. – Najbardziej szalona historia, jaką kiedykolwiek dane mi było słyszeć. Ale, jak mi Bóg miły, wierzę w każde słowo, które usłyszałem.

– Miałem nadzieję, że mi uwierzysz – powiedział York. – I co teraz, Abnerze?

To było najtrudniejsze, skonstatował Abner Marsh.

– Nie wiem – odrzekł szczerze. – Choć, jak sam stwierdziłeś, zabiłeś wielu ludzi, jest mi ciebie żal. Nie wiem, czy słusznie. Może powinienem próbować cię zabić, może tak właśnie winien zachować się prawy chrześcijanin. A może powinienem spróbować pomóc ci. – Parsknął, rozdrażniony tą niepewnością i wewnętrznym rozdarciem. – Chyba wysłucham, co jeszcze masz do powiedzenia i wtedy zadecyduję. Bo coś przecież pominąłeś. O czymś mi nie powiedziałeś, prawda?

– To znaczy? – zapytał York.

– New Madrid – wycedził Marsh.

– Krew na moich rękach – rzekł Joshua. – Cóż mogę ci powiedzieć, Abnerze? W New Madrid odebrałem komuś życie. Lecz stało się to inaczej, niż mógłbyś przypuszczać.

– Opowiedz mi o wszystkim. No, mów.

– Simon wiele mi powiedział na temat historii naszego ludu, naszych tajemnic, obyczajów i praw. Jedno wszakże mocno mnie zaniepokoiło. Świat stworzony przez twój lud jest światem dnia, niełatwo jest nam w nim żyć. Czasami, jeśli jest to konieczne, jeden z naszych zwraca się o pomoc do jednego z was. Używamy mocy tkwiącej w naszych oczach i głosie. Możemy zrobić użytek z naszej siły, witalności, obietnicy wiecznego życia. Możemy także wykorzystać dla naszych celów legendy krążące na nasz temat wśród waszego ludu. Za pomocą kłamstw, gróźb i obietnic możemy pozyskiwać ludzkich niewolników. Taka istota bywa wielce użyteczna. Chroni nas za dnia, odwiedza miejsca dla nas niedostępne i nie wzbudzając podejrzeń, porusza się wśród ludzi.

W New Madrid popełniono zabójstwo. W tym samym składzie, przy którym zrobiliśmy postój. Po tym, czego dowiedziałem się z gazet, miałem nadzieję odnaleźć jednego z przedstawicieli mojej rasy. Miast tego napotkałem... nazwij go, jak chcesz – niewolnika, współtowarzysza, chowańca. Był stary. Bardzo stary. Mulać, łysy, o twarzy poranej głębokimi zmarszczkami i potwornymi bliznami, pozostałością po dawnym pożarze. Jedno oko zaszło mu bielmem.

Okropny widok, możesz mi wierzyć, w dodatku ów mężczyzna był zły do szpiku kości, zepsuty. Kiedy na niego spojrzałem, poderwał się, wymachując siekierą. A potem popatrzył mi w oczy. Rozpoznał mnie, Abnerze. W jednej chwili zorientował się, kim jestem. A potem upadł na kolana, szlochając i bełkocząc coś niezrozumiale. Oddawał mi cześć, płaszczył się przede mną, korzył się jak pies, błagając, bym dopełnił obietnicy.

„Obietnica – powtarzał – obietnica, obietnica”. Poprosiłem, aby przestał. W jednej chwili zamilkł. Skulił się, przerażony. Nauczono go wypełniać polecenia mistrza. Dostał surową lekcję. Poprosiłem, aby opowiedział mi swą historię w nadziei, że dzięki niej odnajdę mój lud.

Jego opowieść była równie posępna jak moja. Urodził się jako wolny kolorowy w Bagnie, jak zwą jedną z bardziej podejrzanych dzielnic Nowego Orleanu. Był alfonsem, rzezimieszkiem, a w końcu stał się także mordercą polującym na flisaków, którzy odwiedzali to miasto. Zanim skończył dziesięć lat, zabił już dwóch ludzi. Później służył pod Vincentem Gambim, najbardziej krwawym spośród piratów Baratarii. Był nadzorcą niewolników, których Gambi odbił z rąk Hiszpanów, by następnie odsprzedać ich w Nowym Orleanie. Parał się magią wudu. I służył nam.

Opowiedział mi o swoim mistrzu, który miał go w swej mocy, o człowieku, który śmiał się z wudu i obiecał nauczyć go większej, mroczniejszej magii. Mistrz obiecał, że jeśli tamten będzie mu służyć, uczyni go jednym z nas. Twe bliźny znikną, powiedział, znów przejrzysz na oko, będziesz pił krew i żył wiecznie, nigdy się nie zestarzejesz. Tak więc Mulat służył swemu panu. Przez blisko trzydzieści lat wykonywał każde jego polecenie. Żył dla obietnicy. Zabijał dla obietnicy, nauczono go jeść ciepłe mięso i pić krew.

Aż w końcu jego mistrz znalazł sobie nowego ucznia. Mulat, teraz stary już i schorowany, stał się niewygodny. Przestał być użyteczny, toteż go porzucono. Wyświadczone by mu przysługę, gdyby go zabito, lecz jedynie odesłano go w górę rzeki, gdzie miał odtąd sam troszczyć się o siebie. Niewolnik nie może wystąpić przeciwko swemu mistrzowi, mimo iż wie, że został oszukany. Tak oto stary Mulat wędrował pieszo w górę rzeki, żyjąc z kradzieży

i kolejnych zabójstw. Niekiedy zdarzało mu się zarobić parę groszy uczciwie, gdy najmował się jako łapacz niewolników albo robotnik na plantacji, zwykle jednak sypiał w lasach i wiódł nocny tryb życia. Jak mi powiedział, mieszkał pod New Madrid od prawie roku. Gdy nabierał śmiałości, żywił się ciałami i pił krew swoich ofiar, nadal wierząc, że to pomoże mu odzyskać zdrowie oraz młodość. Rąbał także drwa dla pracownika składu, człowieka zbyt starego i schorowanego, aby mógł robić to sam. Wiedział, jak rzadko ktokolwiek odwiedza ów skład. Resztę... już znasz.

Twój lud, Abnerze, może się ode mnie wiele nauczyć. Ale nie tego, czego ja się nauczyłem. Nie tego. Zrobiło mi się go żal. Był stary, odrażający i wyzuty z wszelkiej nadziei. Mimo to wzbudził we mnie również gniew, tak jak wtedy, gdy przebywałem w Budapeszcie z pewną zamożną szlachcianką, która lubiła się kąpać w ludzkiej krwi. W legendach twojej rasy mój lud przedstawiany jest jako esencja wszelkiego zła. Mówią, że wampir nie ma duszy, jest odrażający i plugawy, nie może liczyć na odkupienie. Nie zgadzam się z tym, Abnerze. Zabijałem niezliczoną ilość razy, robiłem przerażające rzeczy, ale nie jestem zły. Nie z mojego wyboru stałem się tym, kim jestem. Gdy nie ma wolnego wyboru, nie można mówić o dobru i złu. Nie można oceniać. Mój lud nigdy nie miał takiego wyboru. Rządzi nami czerwone pragnienie, to ono nas potępiło, odarło ze wszystkiego, czym moglibyśmy być. Twój lud natomiast nie ma takiego przymusu. Istota, którą napotkałem w lesie pod New Madrid, nigdy nie odczuwała czerwonego pragnienia, mogła być kimś innym, kimkolwiek, robić coś innego. Miast tego zapragnęła stać się podobna do mnie. Gwoli jasności, wina leżała też po stronie jednego z moich, tego, który oszukał owego mężczyznę, obiecując mu coś, czego nie był w stanie dopełnić. Mimo to rozumiem jego postępek, choć przepelnia mnie on odrazą. Sprzymierzeniec spośród twego ludu bywa nader przydatny. Wszyscy odczuwamy lęk, Abnerze, obie rasy, twoja i moja, znają go doskonale.

Nie pojmuję natomiast, czemu ktoś z was może pragnąć życia w mroku albo czerwonego pragnienia. A on tego pragnął, pożądał jednego i drugiego całym sercem. Błagał, bym go nie opuszczał, jak to uczynił tamten mistrz. Nie mogłem dać mu tego, o co prosił. I nie

uczyniłbym tego, nawet gdybym mógł. Miast tego dałem mu coś innego.

– Rozerwałeś mu gardło, zgadza się? – rzucił w ciemność Abner Marsh.

– Mówiłam ci – rzekła Valerie. Marsh nieomal zapomniał, że tam była, w ogóle się nie odzywała. – On nie rozumie. Posłuchaj tylko.

– Zabiłem go – przyznał Joshua. – Gołymi rękami. Tak. Jego krew spłynęła z moich palców, wsiąkając w glebę. Ale nie dotknęła moich ust, Abnerze. I pogrzebałem go nietkniętego.

W kajucie znów zapadła cisza, podczas gdy Abner Marsh skubał brodę i rozmyślał.

– Wybór, powiadasz – przemówił w końcu. – To, jak twierdzisz, zasadnicza różnica pomiędzy dobrem a złem. Wygląda na to, że teraz ja będę musiał dokonać wyboru.

– Każdy z nas dokonuje wyboru, Abnerze. Codziennie.

– Być może – przyznał Marsh. – W tym przypadku nie muszę się długo zastanawiać. Powiadasz, że potrzebujesz mojej pomocy. Założmy, że ci jej udzielę. W jaki sposób różnię się, twoim zdaniem, od tamtego parszywego Mulata, którego zabiłeś?

– Nigdy nie przeobraziłbym cię w... coś takiego – odparł Joshua. – I wcale nie próbowałem cię tym mamicić. Będę żył setki lat, po tym jak ty odejdziesz z tego świata, a twoje ciało rozpadnie się w proch. Czy kiedykolwiek kuśiłem cię obietnicą wiecznego życia?

– Kuśiłem mnie propozycją zbudowania parostatku – odrzekł Marsh. – I w swoim czasie wcisnąłeś mi niejedno kłamstwo.

– W każdym z nich kryło się ziarno prawdy, Abnerze. Wyznałem ci, że szukam wampirów, by położyć kres temu złu. Czyż nie ma w tym stwierdzeniu odrobiny prawdy? Potrzebuję twojej pomocy, Abnerze, ale chcę, byś był moim współnikiem, a nie sługą czy niewolnikiem.

Abner Marsh zamyślił się.

– W porządku – rzekł. – Dajmy na to, że ci wierzę. Może powinienem ci uwierzyć. Jeśli jednak mamy być współnikami, zaufanie musi być obustronne.

– Wyznałem ci mój sekret. Czy to ci nie wystarczy?

– Nie – odparł Abner Marsh. – Powiedziałaś prawdę, to fakt, a teraz czekasz na odpowiedź. Tyle tylko, że jeśli odpowiedź będzie niewłaściwa, nie wyjdę z tej kajuty żywy, zgadza się? Nawet jeśli ty tego nie zrobisz, zatroszczy się o to twoja przyjaciółka.

– Bystry z pana człowiek, kapitanie Marsh – z mroku dobiegł głos Valerie. – Nic do pana nie mam, ale muszę ochraniać Joshuę.

Marsh parsknął.

– Rozumiesz, o co mi chodzi? To nie jest zaufanie. Nie jesteśmy już nawet współnikami w interesach. Muszę tańczyć, jak mi zagrasz albo będzie po mnie. W moim odczuciu tak nie traktuje się partnera, lecz niewolnika. Ponadto jestem sam. Ty w razie kłopotów masz na pokładzie całą gromadę swoich ziomków-krwiopijców. Bóg jeden wie, co kombinujecie, ty mi tego nie wyjawiasz. Mówisz, że nie wolno mi z nikim rozmawiać na ten temat. Niech to licho, Joshua, skoro tak, może od razu mnie zabij. Ten układ ani trochę mi się nie podoba. Wypisuję się z takiej spółki.

Joshua York przez chwilę rozmyślał w milczeniu.

– W porządku – odezwał się wreszcie. – Rozumiem, o co ci chodzi. Co miałbym zrobić, by zaskarbić sobie twoje zaufanie?

– Na początek – odpowiedział Marsh – powiedz mi, w jaki sposób można cię zabić. Jak miałbym tego dokonać?

– Nie! – zakrzyknęła z przerażeniem Valerie. Marsh usłyszał jej kroki, gdy podchodziła do Joshuy. – Nie możesz mu tego powiedzieć. Nie wiesz, co on zamierza. Po co miałby pytać, gdyby nie...

– Dla wyrównania szans – odparł półgłosem Joshua. – Rozumiem go, Valerie, i jest to ryzyko, które musimy podjąć. – Znow zaczęła prosić, ale Joshua uciszył ją i zwrócił się do Marsha. – Możesz tego dokonać za pomocą ognia. Poprzez utopienie. I z broni palnej, celując w głowę. Wystarczy unicestwić mózg. Strzał w czaszkę uśmierci mnie, podczas gdy kula w serce jedynie unieruchomi do czasu, aż nastąpi pełna regeneracja uszkodzonego mięśnia. Pod jednym względem mity mówią prawdę. Gdy odetnie się nam głowę i przebije serce kołkiem, umrzemy. – Zachichotał ochryple. – Podobnie jest w waszym przypadku, jak sądzę. Jak sam widziałeś, zabójczy wpływ mają na nas promienne słońca. Reszta,

czyli srebro i czosnek, to stek bzdur.

Abner Marsh ostentacyjnie wypuścił powietrze, dopiero teraz uświadomił sobie, że na dłuższą chwilę wstrzymał oddech.

– A niech mnie kule biją.

– Zadowolony? – spytał York.

– Prawie – odparował Marsh. – Jeszcze tylko jedno.

Zapałka zgrzytnęła o skórę i nagle w stulonej dłoni Yorka pojawił się maleńki płomyk. Przytknął go do knota naftowej lampy i po chwili wewnątrz kajuty wypełniło się słabym, miodowym blaskiem.

– Proszę bardzo – rzekł Joshua, gasząc zapałkę machnięciem ręki. – Lepiej, Abnerze? Czy o to ci chodziło? Partnerstwo wymaga odrobiny światła, czyż nie? Abyśmy mogli spojrzeć sobie nawzajem w oczy.

Marsh poczuł, że pod mrugającymi powiekami ma łzy, po tak długim czasie spędzonym wśród egipskich ciemności nawet słabe światło wydało mu się osłepiająco jaskrawe. Mimo to wewnątrz kajuty jakby się trochę powiększyło, klaustrofobiczny strach odpłynął gdzieś w dal. Joshua York ze spokojem przyglądał się Marshowi. Jego twarz pokrywała popękana warstwa suchej, obumarłej skóry. Kiedy się uśmiechnął, jeden płatek odłamał się i odpadł. Usta wciąż miał napuchnięte i podkrążone oczy, ale pęcherze i ślady oparzeń zniknęły. Zmiana była zdumiewająca.

– Co jeszcze miałeś na myśli, Abnerze?

Marsh spojrział Yorkowi prosto w oczy, jak na współnika przystało, i rzekł:

– Nie chcę pakować się w tę kabałę samotnie – odparł. – Chciałbym powiedzieć o tym...

– Nie – zaoponowała Valerie stojąca tuż obok Joshuy. – Wystarczy, że jedna osoba zna prawdę, choć moim zdaniem źle, że w ogóle tak się stało. Nie możesz rozpowiadać o tym na prawo i lewo. Przyplacilibyśmy to zyciem.

– Do licha, kobieto. Nie zamierzałem pisać na ten temat artykułu do gazety.

Joshua złączył dłonie koniuszkami palców i popatrzył z namysłem na Marsha.

– Co zatem planowałeś, Abnerze?

– Chciałem wtajemniczyć jednego lub dwóch najbardziej zaufanych ludzi – wyznał Marsh. – Sam wiesz, że na naszym statku nie tylko ja cechuję się nadmierną podejrzliwością. Mam paru zaufanych ludzi. Jednym z nich jest Kudłaty Mike. Drugim pan Jeffers, ma wyjątkowo przenikliwy umysł i, o ile wiem, twoja osoba intryguje go już od jakiegoś czasu. Reszta nie musi wiedzieć. Pan Albright jest trochę za bardzo prawy i za miękki, aby usłyszeć prawdę, a gdyby wtajemniczyć pana Framma, nasz sekret po tygodniu stałby się tajemnicą poliszynela na całej Missisipi. Whitey Blake nie zwróciłby na nic uwagi, nawet gdyby spalił się nam cały górny pokład, dopóty, dopóki ogień nie dotarłby do silników. On także nie musi znać prawdy. W przeciwieństwie do Jeffersa i Mike'a. To dobrzy ludzie i możesz ich potrzebować.

– Potrzebować? – powtórzył Joshua. – A to czemu?

– Dajmy na to, że któremuś z twoich nie przypadnie do gustu ta rzekomo cudowna mikstura?

Szeroki uśmiech w jednej chwili znikł z ust Joshuy. Wampir wstał i zaczął spacerować w tę i z powrotem, po czym nalał sobie szklaneczkę whisky. Gdy się odwrócił, jego oblicze wciąż miało posepny wyraz.

– Być może – mruknął. – Muszę to przemyśleć. Jeżeli faktycznie można im ufać... Mam złe przeczucia co do rejsu w dół zalewiska.

Po raz pierwszy Valerie nie próbowała oponować. Marsh spojrział na nią i ujrzał mocno zaciśnięte wargi, a w oczach błysk czegoś, co mogło znamionować przerażenie.

– Co się stało? – zapytał. – Oboje wyglądacie dość... dziwnie.

Valerie uniosła głowę.

– To przez niego – odparła. – Prosiłam pana, aby zawrócił pan statek w górę rzeki. Powtórzyłabym prośbę, gdybym miała choć cień nadziei, że któryś z was zechce mnie wysłuchać. On jest w Cypress Landing.

– Kto? – spytał Marsh zdezorientowany.

– Mistrz krwi – odparł Joshua. – Zrozum, Abnerze, mój lud nie myśli tak jak ty. Nawet wśród moich popleczników nie wszystko jest, jak należy; Simon jest całkowicie lojalny, Smith i Brown są

obojętni, ale w Katherine od samego początku wyczuwam pewne... oburzenie. Sądzę, że jest w niej jakiś mrok, zamięłowanie do starych obyczajów, tęsknota za tym, co utraciła, i niechęć do poddania się mojej woli. Podporządkowuje mi się, bo musi. Jestem mistrzem krwi. To jednak nie przypadło jej do gustu. Co się tyczy innych zabranych na pokład – szczerze mówiąc, nie jestem ich pewien. Z wyjątkiem Valerie i Jeana Ardanta, żadnemu z nich nie ufam do końca. Pamiętasz, jak ostrzegałeś mnie przed Raymondem Ortega? Ja też mu nie ufam. Valerie nic dla niego nie znaczy, w grę zatem nie wchodzi zazdrość, ale poza tym nie omyliłeś się co do niego. Aby skłonić Raymonda, by w Natchez wszedł na pokład „Fevre Dream”, musiałem go pokonać, tak jak ongi, w Karpatach, pokonałem Simona. Z Cara de Grey i Vincentem Thibaultem też miałem wcześniej przepawy. Teraz podążają za mną, bo muszą. Tak już bywa u mojego ludu. Zastanawia mnie wszelako, czy są wśród nich tacy, którzy czekają cierpliwie. Wyczekują, aby przekonać się, co się stanie, kiedy „Fevre Dream” zapuści się w głąb zalewiska, a ja stanę twarzą w twarz z ich dawnym mistrzem.

Valerie sporo mi o nim mówiła. Jest stary, Abnerze. Starszy niż Simon czy Katherine, starszy niż ktokolwiek z nas. Nawet sam jego wiek budzi we mnie niepokój. Obecnie nazywa siebie Damon Julian, ale wcześniej nosił nazwisko Lamont, Giles Lamont, ten sam, któremu przez trzydzieści feralnych lat służył ów nieszczęsny Mulat. Mówiono mi, że ma teraz nowego ludzkiego sługę...

– Zgorzkniałego Billy’ego Tiptona – wtrąciła z odrazą Valerie.

– Valerie boi się Juliana – ciągnął York. – Inni także mówią o nim ze strachem, choć też z pewną dozą lojalności i oddania. Jako mistrz krwi troszczył się o nich, jak należało. Dał im schronienie, bogactwo i pożywienie. Karmili się niewolnikami. Nic dziwnego, że osiadł akurat w takim miejscu. Valerie pokręciła głową.

– Daj temu spokój, Joshua. Proszę. Jeżeli nie z innych powodów, zrób to dla mnie. Damon nie ucieszy się z twojej wizyty, nie uraduje go wolność, którą z sobą przynosisz.

Joshua skrzywił się z rozdrażnieniem.

– Wciąż są z nim nasi ludzie. Czy ich również miałbym porzucić? Nie. Poza tym możesz się mylić co do Juliana. Od

nieskończonych stuleci dręczy go czerwone pragnienie i oto zjawiam się, który może ukoić ten żar.

Valerie skrzyżowała ramiona, jej fioletowe oczy pałały z wściekłości.

– A jeśli nie da się tego ułagodzić? Nie znasz go, Joshuo.

– Jest wykształcony, inteligentny, świątły i miłuje wszystko, co piękne – rzekł z naciskiem York. – Sama tak mówiłaś.

– Jest również bardzo silny.

– Podobnie jak Simon, Raymond i Cara. A teraz są ze mną.

– Damon jest inny – upierała się Valerie. – To nie to samo!

Joshua York ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

– Nic nie szkodzi. Poradzę sobie. Przejmę nad nim kontrolę!

Abner Marsh w milczeniu obserwował ten spór, ale w końcu i on zabrał głos.

– Joshua ma rację – rzekł do Valerie. – Do licha, mnie także zdarzyło się raz i drugi spojrzeć mu w oczy, a gdy się po raz pierwszy spotkaliśmy, tak ścisnął mi rękę, że omal nie pogruchotał w niej wszystkich kości. Poza tym jak go pani kiedyś nazwała? Królem?

– Tak – odrzekła Valerie. – Błady król. Tak go nazwałam.

– Skoro nim jest, to znaczy, że powinien wygrać, czyż nie?

Valerie przeniosła wzrok z Marsha na Yorka i z powrotem.

Nagle zadrżała.

– Żaden z was go nie widział. – Zawahała się przez chwilę, przygładziła bladą, szczupłą dłonią swoje gęste włosy i spojrzała na Abnera Marsha. – Może jednak pomyliłam się co do pana, kapitanie. Nie jestem tak silna jak Joshua ani tak ufna jak on. Od pół wieku znajduję się w mocy czerwonego pragnienia. Żerowałam na pana ludzie. Z ofiarami nie sposób się zaprzyjaźnić. To wbrew rozsądkowi. Nie można im także ufać. To dlatego namawiałam Joshuę, aby pana zabił. Ostrożności nigdy za wiele. Zwłaszcza gdy od niej zależy nasze życie. Czy to jest zrozumiałe? Abner Marsh ze znużeniem pokiwał głową.

– Wciąż nie jestem pewna – ciągnęła Valerie – ale Joshua pokazał nam wiele nowych rzeczy i gotowa jestem przyznać, że być może faktycznie jest pan osobą godną zaufania. Być może. – Łypnęła

na niego gniewnie. – Ale czy miałam rację czy nie co do pana, wiem, że nie mylę się, jeżeli chodzi o Damona Juliana!

Abner Marsh zasępił się. Nie wiedział, co ma na to powiedzieć. Joshua ujął dłoń Valerie w swoją.

– Sądzę, że niepotrzebnie tak bardzo się przejmujesz – mruknął.
– Lecz aby sprawić ci przyjemność, postaram się zachować daleko posuniętą ostrożność. Abnerze, jeśli naprawdę chcesz, podziel się swoją wiedzą z panami Jeffersem i Dunne’em. Jeżeli Valerie ma rację, ich pomoc z pewnością się nam przyda. Wybierz ludzi na specjalną wachtę, a pozostali niech zejną na brzeg. Kiedy „Fevre Dream” wpłynie na zalewisko, chcę, aby na pokładzie zostało niewielu, ale za to najbardziej zaufanych ludzi. Nie mogą to być fanatycy religijni ani osoby trwożliwe.

– Wybierzemy ich wspólnie z Mikiem – odparł Marsh.

– Spotkam się z Julianem na pokładzie mojego statku o ustalonej przeze mnie porze, mając do pomocy doborową grupę pańskich ludzi. Przy wtajemniczaniu Jeffersa i Dunne’a proszę zachować szczególną ostrożność. Trzeba to zrobić we właściwy sposób. – Spojrzał na Valerie. – Zadowolona?

– Nie – odrzekła.

Joshua uśmiechnął się.

– Nic więcej uczynić nie mogę. – Przeniósł wzrok na Marsha. – Abnerze, cieszę się, że nie jesteś moim wrogiem.

Jestem już bliski realizacji mego marzenia. Pokonując czerwone pragnienie, odniosłem swój pierwszy wielki triumf. Chciałbym myśleć, że dzisiejszej nocy ty i ja odnieśliśmy drugi, budując podwaliny przyjaźni i zaufania pomiędzy naszymi rasami. „Fevre Dream” popłynie na granicy między nocą a dniem, przeganiając widma starych lęków wszędzie, dokądkolwiek dotrze. Wspólnie dokonamy wielkich rzeczy, drogi przyjacielu.

Marsh nigdy nie dawał się nabrać na gładkie słówka, ale pasja w głosie Joshuy przekonała go, skłaniając do szczerego uśmiechu.

– Zanim czegokolwiek dokonamy, czeka nas mnóstwo pracy – odrzekł Marsh, sięgając po swoją laseczkę i wstając. – To ja już pójdę.

– Dobrze – rzucił Joshua z uśmiechem. – Ja natomiast udam się

na spoczynek. Spotkamy się znowu o zmierzchu. Dopilnuj, aby statek był gotów do wypłynięcia. Wyruszymy w rejs, najszybciej jak to możliwe.

– Każę rozpaścić pod kotłem – dodał na odchodne Marsh.

Na zewnątrz wstał już dzień.

Jest chyba około dziewiątej, pomyślał Marsh, gdy mrugając, stał przed kajutą kapitańską. Joshua skrzętnie zamknął za nim drzwi na klucz. Poranek był paskudny, parny i gorący, słońce skrywało się za rzadką zasłoną szarych chmur. W powietrzu unosiły się sadza i dym z kominów parowców płynących po rzece. Znosi się na burzę, pomyślał Abner Marsh z osobliwym niepokojem. Dopiero teraz zorientował się, że tej nocy właściwie nie zmrużył oka i był potwornie zmęczony, ale miał mnóstwo pracy i nie mógł na razie pozwolić sobie nawet na krótką drzemkę.

Zszedł do głównego salonu, uznając, że sute śniadanie nieco poprawi mu nastrój. Wypił galon gorącej czarnej kawy, podczas gdy Toby przygotował dla niego śniadanie. Zabrał się do pałaszowania i w tej samej chwili do sali wszedł Jonathan Jeffers. Na widok kapitana natychmiast podszedł do jego stolika.

– Proszę usiąść i coś zjeść – rzekł Marsh. – Chciałbym z panem pomówić. To bardzo ważne. Ale nie tutaj. Gdy skończę, udamy się do mojej kajuty.

– Dobrze – odparł jakby z zamyśleniem Jeffers. – Gdzie się pan podziewał, kapitanie? Szukam pana od paru godzin. Nie było pana w pańskiej kajucie.

– Ucieliśmy sobie z Joshuą dłuższą pogawędkę – odparł Marsh. – A o co...?

– Ktoś chciał się z panem widzieć – wyjaśnił Jeffers. – Wszedł na pokład w środku nocy. Bardzo był natarczywy. I uparty.

– Nie lubię, gdy każą mi czekać jak jakiemuś śmieciowi – rzekł nieznajomy.

Marsh nie widział, jak tamten wszedł do sali. Mężczyzna, nie czekając na zaproszenie, przystawił sobie krzesło i usiadł. Był szpetny, o ospowatym, pociągłym, dziwnie wychudzonym obliczu. Rzadkie, brązowe włosy pozlepiane w strąki opadały mu na czoło. Miał niezdrową cerę, a na włosach i twarzy białe drobne płatki. Jakby

obsypał go śnieg. Mimo to nosił drogi, wytworny czarny garnitur, elegancką koszulę z żabotem, a na palcu duży sygnet.

Abnera Marsha nie poruszył jego wygląd, ton głosu, mocno zaciśnięte, cienkie wargi ani lodowate spojrzenie.

– Kim pan jest, u licha? – rzucił opryskliwie. – I lepiej, żeby miał pan dobry powód, by przeszkadzać mi przy śniadaniu, bo w przeciwnym razie wyląduje pan za burtą. – To rzekłszy, Marsh poczuł się nieco lepiej. W jego mniemaniu z pozycją kapitana łączył się przywilej zezwalający mu na obcesowe traktowanie natrętów.

Wyraz twarzy nieznanego nie zmienił się, ale w spojrzeniu, którym obrzucił Marsha, wyczuwało się otwartą wrogość.

– Zamierzam popłynąć w rejs na pańskiej łajbie.

– Akurat – odburknął Marsh.

– Czy mam zawołać Kudłatego Mike’a, aby zajął się tym impertynentem? – zaproponował ze spokojem Jeffers.

Mężczyzna obrzucił oficera spojrzeniem pełnym pogardy. Potem powrócił wzrokiem do Marsha.

– Kapitanie, zjawiłem się tu ubiegłej nocy ze specjalnym zaproszeniem dla pana i pańskiego współnika. Sądziłem, że spotkam na pokładzie przynajmniej jednego z panów. Cóż, jest już rano, zatem trzeba to odłożyć na dzisiejszą noc. Kolacja w hotelu St. Louis, godzinę po zachodzie słońca. Zapraszam pana i kapitana Yorka.

– Nie znam pana i nie dbam o to ani trochę – odburknął Marsh. – I bynajmniej nie zamierzam przyjąć pańskiego zaproszenia na kolację. Poza tym "Fevre Dream" dziś w nocy wypływa w rejs.

– Wiem. I wiem również dokąd.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – Marsh zmarszczył brwi.

– Widzę, że nie zna pan czarnuchów. Te małpy jak raz coś usłyszą, od razu zaczynają rozpowiadać i wkrótce wiedzą o tym czarnuchy w całym mieście. A ja umiem słuchać. Lepiej, żeby nie wypływał pan tym swoim wielkim parowcem na zalewisko. Ani chybi wpakowalibyście się na mieliznę, a kto wie, może nawet rozerwali całe dno. Mogę oszczędzić panu niepotrzebnego zachodu. Tak się składa, że ten, którego pan szuka, jest tutaj i czeka na was. Gdy zapadnie zmierzch, proszę pójść i powiadomić o tym drugiego

kapitana, czy to jasne? Niech pan mu powie, że Damon Julian oczekuje go w hotelu St. Louis. Panicz Julian nie może już doczekać się tego spotkania.

ROZDZIAŁ 16

Nowy Orlean sierpień 1857

Tego wieczoru Zgorzkniały Billy Tipton powrócił do hotelu St. Louis bardziej niż tylko trochę zaniepokojony. Julianowi nie spodoba się wiadomość, którą przynosił z „Fevre Dream”, a gdy coś nie przypadło mu do gustu, Damon był niebezpieczny i nieprzewidywalny.

W mrocznym saloniku ich wytwornego apartamentu paliła się tylko jedna nieduża świeca. Jej płomień odbijał się w czarnych oczach Juliana, który siedział w głębokim, aksamitnym fotelu przy oknie, sącząc sazerac. W pokoju panowała grobowa cisza. Zgorzkniały Billy czuł na sobie ciężar spojrzeń. Zasuwka szczęknęła cicho, gdy drzwi zatrzasnęły się za nim automatycznie.

– Słucham, Billy – rzekł łagodnie Damon Julian.

– Paniczu Julianie, oni nie przyjdą – rzucił pośpiesznie Billy zdyszczanym, niespokojnym głosem. W słabym świetle nie widział, jaka była reakcja Juliana. – Mówi, że to pan musi przyjść do niego.

– On? – powtórzył Julian. – To znaczy kto?

– On – rzekł Zgorzkniały Billy. – Ten drugi... mistrz krwi. Nazywa siebie Joshua York. To o nim pisał do ciebie Raymond. Ten

drugi, kapitan Marsh, grubas z naroślami i bokobrodami, także powiedział, że nie przyjdzie. Był bardzo grubiański. Zaczekałem do zmierzchu, aż mistrz krwi się przebudzi. W końcu zaprowadzili mnie do niego. – Zgorzkniały Billy wciąż czuł przeraźliwy chłód na wspomnienie szarych, przeraźliwie szarych i przenikliwych oczu Yorka, gdy ich spojrzenia spotkały się. Dostrzegł w nich tak głęboką i pełną goryczy pogardę, że natychmiast odwrócił wzrok.

– Opowiedz nam, Billy – rzekł Damon Julian – jaki on jest, ten drugi? Ten Joshua York. Inny mistrz krwi.

– On... – zaczął Billy, z trudem dobierając słowa – on jest... biały, to znaczy jego skóra jest naprawdę blada, a włosy barwy śniegu. Ubiera się od stóp do głów na biało, przez co wygląda jak jakiś upiór czy duch. A jak się porusza... niczym jeden z tych przeklętych Kreoli, paniczu, władczo i dumnie. Jest... taki jak pan. Jego oczy...

– Błady i silny – wymamrotała Cynthia z drugiego końca pokoju. – A w dodatku ma wino, które przemaga czerwone pragnienie. Czy on jest tym jedynym, Damonie? Chyba tak. To musi być on. Zatem to prawda. Valerie zawsze wierzyła w te opowieści, a ja z niej drwiłam, ale najwyraźniej miała rację. On nas zjednoczy, zaprowadzi na powrót do zaginionego miasta, mrocznego miasta. Do naszego królestwa. A więc to prawda, czyż nie? Jest wszechmistrzem krwi, władcą władców, królem, na którego wszyscy czekaliśmy.

Spojrzała na Damona Juliana, oczekując od niego odpowiedzi. Damon Julian skosztował sazeraca i uśmiechnął się tajemniczo.

– Król – rzekł z zamyśleniem. – I co ci powiedział ten król? Opowiedz nam, Billy.

– Powiedział, abyście wszyscy przyszli na jego parostatek. Jutro po zmierzchu. Na kolację. Tak właśnie powiedział. Ani on, ani Marsh tu nie przyjdą, a już na pewno nie sami, jak tego chciałeś. Marsh powiedział, że jeśli mieliby się tu zjawić, to wraz z całą resztą.

– Król wydaje się dziwnie trwożliwy – skomentował Julian.

– Niech pan go zabije! – wybuchnął nagle Zgorzkniały Billy. – Niech pan tam idzie i zabije go, wymorduje wszystkich! Z nim jest coś nie tak, paniczu Julianie. Te jego przeklęte kreolskie oczy

i sposób, w jaki patrzy... Jakbym był nikim, nędznym robakiem, choć przecież jestem pana sługą i poszedłem tam z pana polecenia. Uważają się za lepszych od pana, on i cała reszta, ten szemrany dandys i parszywy kapitan. Niech mi pan pozwoli go chlasnąć, ubrudzić posoką te jego eleganckie ciuchy. Musi go pan zabić, paniczu, po prostu musi pan.

Po pełnym emocji monologu Billy'ego w pokoju zapanowała głucha cisza. Julian wpatrywał się przez okno w mrok nocy. Okna otwarto na oścież, nocna bryza poruszała leciutko zasłonami, z dołu dobiegał uliczny hałas i gwar. Oczy Juliana, ciemne, posępne, wypatrywały światłał odległych latarni.

Kiedy w końcu odwrócił głowę, jego źrenice znów pochwyliły blask płomyka pojedynczej świecy i uwięziły w sobie, czerwony i migoczący. Oblicze Damona nabrało groźnego, złowieszczonego wyrazu.

– Napój, Billy – rzucił ponaglająco.

– Zmusz ich wszystkich, aby go wypili – odrzekł Zgorzkniały Billy. Oparł się plecami o drzwi i wyciągnął nóż. Trzymając go w dłoni, czuł się znacznie pewniej. Zaczął czyścić sobie nim paznokcie i wyjaśnił: – Cara twierdzi, że to nie tylko krew. Jest w nim coś jeszcze. To coś zabija pragnienie. Wszyscy to mówią. Obszedłem cały statek, rozmawiałem z Raymondem, Jeanem, Jorge'em i paroma innymi. Jean bez końca powtarzał, jak wielką poczuł ulgę po wypiciu tej mikstury, wychwalał ją pod niebiosa.

– Jean – burknął z pogardą Julian.

– Zatem to prawda – rzekła Cynthia. – On potrafi przezwyciężyć pragnienie.

– To nie wszystko – dodał Zgorzkniały Billy. – Raymond twierdzi, że York jest obecnie z Valerie.

W salonie zapadła pełna napięcia, elektryzująca cisza. Kurt zasepił się. Michelle odwróciła wzrok. Cynthia wolno sączyła swego drinka. Wszyscy wiedzieli, że Valerie, piękna Valerie, była ulubienicą Juliana; wszyscy też obserwowali go z uwagą.

Julian sprawiał wrażenie niewzruszonego.

– Valerie? – powtórzył. – Rozumiem.

Długie, blade palce zastukały w podłokietnik fotela.

Zgorzkniały Billy zadowolony zaczął dłubać czubkiem noża w zębach. Podejrzewał, że wzmianka o Valerie będzie kroplą, która przepełni czarę. Damon Julian miał własne plany wobec Valerie i nie chciał, by ktokolwiek mu je pokrzyżował. Opowiedział o nich Billy'emu z pewną dozą rozbawienia, kiedy Billy zapytał go, dlaczego zdecydował się ją odesłać. „Raymond jest młody, silny i będzie umiał utrzymać ją w ryzach” – wyjaśnił. „Będą sami, tylko we dwoje, on, ona i pragnienie. Cóż za romantyczna wizja, nie uważasz? A za rok, dwa, może za pięć lat Valerie będzie brzemienna. Mógłbym się o to założyć, Billy”. A potem wybuchnął tym swoim dźwięcznym, melodyjnym śmiechem. Teraz jednak nawet się nie uśmiechnął.

– Co zrobimy, Damonie? – zapytał Kurt. – Pójdziemy tam?

– Oczywiście że tak – odrzekł Julian. – Nie możemy odrzucić takiego miłego zaproszenia, i to w dodatku od króla. Czy nie chcielibyście skosztować jego wina? – Spojrzał na nich, ale żadne nie odważyło się odezwać choćby słowem. – No, no – mruknął Julian – a gdzież to podział się wasz entuzjazm? Jean zachwała nam ten niezwykły rocznik i Valerie z pewnością podziela jego opinię. Wino słodsze niżli krew, przesycone esencją życia. Pomyślcie o spokoju, którego zaznamy dzięki niemu. – Uśmiechnął się. Wszyscy milczeli. Damon odczekał chwilę. Wreszcie wzruszył ramionami i rzekł: – Cóż, mam nadzieję, że król nie obrazi się na nas tylko dlatego, że wolimy inne napoje.

– Zmusi pozostałych, aby skosztowali jego napoju – rzekł Zgorzkniały Billy. – Czy to im się spodoba czy nie.

– Damonie – powiedziała Cynthia – a co z tobą? Czy zamierzasz mu odmówić? Nie możesz. Musimy iść do niego. Musimy zrobić to, czego od nas zażąda. Po prostu musimy.

Julian powoli odwrócił głowę, aby na nią spojrzeć.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytał, uśmiechając się półgębkiem.

– Tak – wyszeptała Cynthia. – Musimy. To mistrz krwi.

Unikała jego wzroku.

– Cynthio – rzekł Damon Julian. – Spójrz na mnie.

Powoli, z niewiarygodnym wahaniem ponownie uniosła wzrok,

odnajdując spojrzenie Juliana.

– Nie – jęknęła. – Proszę, och, błagam.

Damon Julian milczał. Cynthia nie odwróciła wzroku. Zsunęła się z krzesła i dygocąc, ukłękła na dywanie. Na jej wąskim nadgarstku błyszczała złota bransoletka wysadzana ametystami. Przesunęła ją do tyłu, a jej usta rozchyliły się lekko, jakby chciała coś powiedzieć, po chwili jednak uniosła rękę i przytknęła wargi do nadgarstka. Popłynęła krew.

Julian odczekał, aż przepelzła doń po dywanie, unosząc rękę ku górze w geście absolutnego oddania. Z pełną dostojnością powagą ujął jej dłoń w swoją i przez długą chwilę pił krew z rozplątanej żyły. Kiedy skończył, Cynthia podniosła się niepewnie, osunęła się na jedno kolano i ponownie wstała rozdygotana.

– Mistrzu krwi – wyszeptwała, pochylając przed nim głowę. – Mistrzu krwi.

Wargi Damona Juliana były czerwone i wilgotne, z kącika ust ściekła mu maleńka kropla krwi. Julian wyjął z kieszeni chusteczkę, starannie otarł krew z podbródka i złożywszy chustkę, skrzętnie ją schował.

– Billy, czy to duży parostatek? – zapytał.

Zgorzkniały Billy wyćwiczonym, gładkim ruchem z uśmiechem schował nóż do pochwy za plecami. Rana na nadgarstku Cynthii, krew na podbródku Juliana, to wszystko rozpalało go do czerwoności i niewiarygodnie podniecało. Julian da popalić tym łajdakom z parowca, pomyślał.

– Największy, jaki widziałem – odpowiedział. – I bardzo wytwornie urządzone. Srebra, marmury, lustra, mnóstwo witrażowego szkła i grubych kobierców. Spodoba się panu, paniczu.

– Parostatek – rzekł z zamyśleniem Damon Julian. – Zastanawiam się, dlaczego nigdy nie pomyślałem o rzece. Ileż z tego korzyści. Przecież to takie oczywiste.

– A więc pójdziemy tam?

– Tak – odparł Julian. – O tak. Wszak wezwał nas sam wielki mistrz krwi. Król. – Wybuchnął głębokim, gardłowym śmiechem. – Król! – zawołał pomiędzy kolejnymi atakami śmiechu.

– Król! – Pozostali również zaczęli śmiać się w głos.

Julian podniósł się nagle, wyprostował się zwinnym, szybkim ruchem, a jego oblicze ponownie sposepniało; śmiech w salonie ucichł jak ucięty nożem. Damon wlepił wzrok w ciemność za hotelem.

– Musimy zanieść mu jakiś prezent – stwierdził. – Nie godzi się iść na audiencję u króla bez stosownego prezentu. – Odwrócił się do Zgorzkniałego Billy’ego. – Jutro udasz się na ulicę Moreau, Billy. Jest tam coś, co musisz dla mnie zdobyć. Małeńki prezent dla naszego bladego króla.

ROZDZIAŁ 17

Na pokładzie parowca „Fevre Dream” Nowy Orlean, sierpień 1857

Mogło się wydawać, że tego popołudnia Nowy Orlean postanowiła opuścić połowa znajdujących się tam parowców, tak przynajmniej pomyślał Abner Marsh, wchodząc na pokład huraganowy, by stamtąd obserwować wypływające jednostki.

Wedle zwyczaju statki udające się w górę rzeki opuszczały port o piątej rano. O trzeciej mechanicy rozpalali w piecach i zaczęli podsycać poziom pary. Kalafonia i nasączone sosnowe drewno trafiały do wygłodniałych paszcz parowców wraz z buczyną i węglem i stopniowo z kominów kolejnych statków zaczynał unosić się czarny, gęsty dym. Cztery mile stojących w porcie jeden przy drugim parowców może wytworzyć mnóstwo dymu. Słupy sadzy zaczynały zlewać się w jedną gigantyczną, czarną chmurę unoszącą się około stu stóp nad rzeką, chmurę wypełnioną popiołem i rozżarzonymi węglami porywanymi przez wiatr. Chmura, z każdą chwilą coraz większa, zdawała się wypełniać całe niebo, podczas gdy kolejne przygotowywane do drogi statki podsycaly jej rozmiary dymem ze swych kominów, aż w końcu czarne opary przesłaniały

słońce i rozciągały się ponad miastem.

Z pokładu huraganowego, gdzie stał Abner Marsh, wyglądało, jakby cały Nowy Orlean płonął, a parowce wypływały z portu, aby umknąć przed pożogą. Ogarnął go niepokój, odniósł wrażenie, że inni kapitanowie wiedzieli coś, o czym on nie miał pojęcia, i że „Fevre Dream” również powinien rozpocząć przygotowania do opuszczenia portu.

Marsh miał nieprzepartą ochotę wypłynąć w dalszą drogę. Pomimo przepychu i kwitnącego w najlepsze nowoorleańskiego handlu tęsknił za znanymi sobie rzekami; za górną Missisipi z jej kamienistymi, stromymi brzegami i gęstymi lasami, za dziką, błotnistą Missouri, która jak żadna inna pochłaniała nieostrożne jednostki, za wąską Illinois i nieprzejrzystą od osadów, wartką Fevre. Dziewiczy rejs „Fevre Dream” w dół Ohio wydawał mu się teraz nieomal idyllicznym wspomnieniem dużo prostszych, lepszych czasów. Choć nie minęły nawet dwa miesiące, miał wrażenie, że od tej wyprawy dzieliła go cała wieczność. Odkąd opuścili St. Louis i popłynęli w dół rzeki, sprawy zaczęły przybierać zły obrót, im dalej zapuszczali się na południe, tym było gorzej.

– Joshua ma rację – wymamrotał do siebie Marsh, lustrując wzrokiem panoramę Nowego Orleanu. – Dzieje się tu coś złego. Jakby całe to miejsce przesiąknięte było zgnilizną.

Było tu za gorąco, zbyt wilgotno, za dużo komarów, można by pomyśleć, że na całe to miejsce rzucono jakąś klątwę. Kto wie, może faktycznie tak było, aczkolwiek Marsh nie miał co do tego pewności. Pewien był jedynie tego, że chce nakazać Whiteyowi, aby rozpałał pod kotłami, i ściągnąć Framma lub Albrighta do pilotówki, aby mógł wyjść z portu i skierować „Fevre Dream” w górę rzeki. Teraz. Przed zmierzchem. Zanim pojawią się oni.

Abner Marsh tak bardzo pragnął wykrzyczeć te rozkazy, że niemal czuł w ustach smak poszczególnych słów, gorzkich i nie wypowiedzianych. Nadchodzący wieczór przepelniał go niewysłowioną trwogą, choć przecież nie należał do osób bojaźliwych ani tym bardziej przesadnych. Mimo to nie był przecież ślepy, niebo chmurzyło się, było gorąco i parno, zanosilo się na burzę; nadciągała z zachodu, zapowiadała się naprawdę potężnie,

burza, którą Dan Albright wyczuł już przed paroma dniami.

Parowce odpływały jeden po drugim, były ich dziesiątki. Marsh patrzył, jak nikną w oddali, rozplywając się wśród roziskrzonych, unoszących się leniwie fal żaru, i czuł się coraz bardziej osamotniony, jakby każdy z tych parowców udających się w górę rzeki zabierał na pokładzie jakąś jego częśćkę, odrobinę odwagi, fragment pewności siebie, marzeń lub ułamek złudnych nadziei. Każdego dnia z Nowego Orleanu wypływały parowce, pomyślał sobie Marsh, i dzisiaj jest podobnie, ot jeszcze jeden dzień, jak każdy inny na tej rzece w sierpniu: upalny i leniwy, wszyscy poruszają się wolno, jakby czekali na silniejszy podmuch chłodniejszego powietrza lub orzeźwiający, ulewny deszcz, który oczyści niebo z dymu.

Jednakże inna jego część, ta starsza i głębiej zakorzeniona, wiedziała, że to, na co czekano, nie było ani orzeźwiająca, ani czyste i nie przyniesie nikomu ulgi, nie uwolni czekających od upału i wilgoci, insektów ani trwogi.

Na dole Kudłaty Mike wrzeszczał na swoich ludzi i wykonywał groźne gesty czarną, żelazną sztabą, ale hałas płynący od nabrzeża, odgłosy dzwonek i syren z innych parowców zagłuszały jego słowa. Na nabrzeżu czekała góra towarów, niemal tysiąc ton, maksimum nośności „Fevre Dream”. Prawie jedną czwartą ładunku wniesiono już po wąskich deskach na główny pokład. Załadowanie reszty zajmie jeszcze dobrych parę godzin. Nawet gdyby chciał, Marsh nie mógłby teraz odpłynąć, nie zostawiłby w porcie takiej masy towarów. Kudłaty Mike, Jeffers i pozostali pomyśleliby, że zwariował.

Bardzo chciał opowiedzieć im o wszystkim, tak jak zamierzał, aby móc opracować wspólnie z nimi dalsze plany działania. Nie miał na to czasu. Wszystko toczyło się zbyt szybko, a dziś wieczorem na pokład „Fevre Dream” wejdzie zaproszony na kolację Damon Julian. Nie było czasu na rozmowę z Kudłatym Mikiem czy Jonathanem Jeffersem, nie było czasu na wyjaśnienia, perswazje czy uporanie się z wątpliwościami oraz pytaniami, którymi z pewnością zaczęliby go zasypywać. Dlatego też dzisiejszego wieczoru Abner Marsh będzie zdany wyłącznie na siebie lub niemal wyłącznie na siebie, do

pomocy będzie miał jedynie Joshuę w sali pełnej dzieci nocy. Marsh nie zaliczał do nich Joshuy. York był na swój sposób inny niż oni wszyscy. Poza tym Joshua powiedział, że wszystko pójdzie gładko, był pewien sukcesu, miał swój napój, mnóstwo ciepłych, uspokajających słów oraz swoje marzenia. Mimo to Abnera Marsha wciąż dręczyły niezliczone wątpliwości.

Na niemal pustym „Fevre Dream” panowała cisza. Joshua odesłał prawie całą załogę na brzeg, dzisiejsza kolacja miała charakter prywatny i zadbano o to możliwie jak najlepiej. Abner Marsh nie zapatrywał się na to zbyt przychylnie, ale z Joshuą nie było dyskusji, kiedy już coś sobie zaplanował. Stół w głównej sali był zastawiony do kolacji. Lamp jeszcze nie zapalono, a z powodu dymu, pary i nadciągającej burzy światło wpływające przez świetliki powyżej było przyćmione, wątle i posępne. Marsh odniósł wrażenie, jakby nad salonem i całym parowcem zapadł przedwczesny zmierzch. Dywany wydawały się prawie czarne, tafle luster spowily cienie. Za długim, marmurowym kontuarem barman czyścił kieliszki i szklanki, ale nawet on wydawał się niewyraźny i dziwnie rozmyty, jakby stapiał się z wszechobecną szarością. Mimo to Marsh skinął mu głową i skierował się do kuchni znajdującej się na rufie za sterówką. Za kuchennymi drzwiami napotkał pierwsze oznaki ożywienia, paru kuchcików Toby’ego mieszało w wielkich, miedzianych garach lub smażyło kurczaki, podczas gdy kelnerzy gawędzili o tym i owym albo opowiadali dowcipy. Marsh poczuł aromat pieczonych ciast i ślinka napłynęła mu do ust, ale dzielnie minął ogromne piece i pomaszerował dalej. Toby’ego spotkał w sterburtowej kuchni, otoczonego zewsząd klatkami z kurczętami, gołębiami, przepiórkami, kaczkami i innym ptactwem. Ptaki czyniły potworny harmider. Toby uniósł wzrok, kiedy Marsh wszedł do kuchni. Kucharz zabijał kurczaki. Obok niego leżały trzy bezgłowe ptaki, czwarty spoczywał na pieńku tuż przed nim i mocno się szamotoł. Toby dźwignął w rękę tasak.

– Witam, kapitanie Marsh – rzekł z uśmiechem. Wprawnym ruchem opuścił tasak, ostrze wgrzyzło się w drewno z głośnym łup! Trysnęła krew, a bezgłowy kurczak zaczął dziko trzepotać skrzydłami, kiedy Toby go puścił. Silne, czarne ręce kucharza były

zbroczone krwią. – Co mogę dla pana zrobić? – zapytał.

– Chcę, abyś dziś wieczorem, po kolacji, opuścił statek rzekł krótko Marsh. – Obsłużysz nas i naszych gości i jesteś wolny. I zabierzesz ze sobą wszystkich kuchcików i kelnerów. Czy to jest jasne? Słyszałeś, co powiedziałem?

– Oczywiście, kapitanie – odrzekł z uśmiechem Toby. – Pewno że tak. Szykuje się małe prywatne przyjęcie, no nie?

– To nieistotne – uciał Marsh. – Pamiętaj tylko, abyś po dopełnieniu swoich obowiązków niezwłocznie zszedł na brzeg. – Odwrócił się z posępną miną, aby odejść. Coś jednak skłoniło go, aby ponownie się odwrócić.

– Toby – rzekł.

– Tak, psze pana?

– Wiesz, że nigdy nie byłem gorącym zwolennikiem niewolnictwa, choć przyznaję, że nie robiłem wiele, aby z nim walczyć. Pewnie byłoby inaczej, ale ci abolicjoniści to straszni religijni fanatycy. Pomyślałem sobie jednak, że, kto wie, może oni mimo wszystko mają rację. Nie wolno ot tak... wykorzystywać innych ludzi i traktować ich, jakby nie byli istotami ludzkimi. Wiesz, o co mi chodzi? Prędzej czy później to się musi skończyć. Lepiej, żeby skończyło się spokojnie, ale musi się skończyć, nawet jeśli będzie temu towarzyszyć pożoga i rozlew krwi, rozumiesz? Może to właśnie chcą dać nam do zrozumienia abolicjoniści. Starasz się postępować rozsądnie i logicznie, ale jeśli twoje poczynania nie odniosą skutku, musisz być gotowy na ostrzejsze rozwiązanie. Pewne *rzeczy* są z gruntu złe. Trzeba położyć im kres.

Toby patrzył na niego dziwnym wzrokiem, wciąż obojętnie wycierając dłonie w przód fartucha.

– Kapitanie – odezwał się półgłosem – mówi pan o abolicji. To kraj niewolnictwa, kapitanie. Za takie gadanie mogą pana ubić.

– Mogą, to fakt, ale pewne rzeczy są konieczne i to właśnie chciałem powiedzieć.

– Stary Toby jest bardzo wdzięczny, kapitanie, za to, co pan zrobił, dał mi wolność i w ogóle, abym mógł dla pana kucharyczyć. Wiele pan dla mnie zrobił. Naprawdę.

Abner Marsh skinął głową. – Toby – rzekł – przynieś mi jakiś

dobry, mocny nóż.

Tylko nic nikomu nie mów, jasne? Ma być naprawdę ostry. I taki, żebym mógł wsunąć go do buta. Znajdziesz mi taki?

– Tak jest, kapitanie – odparł Toby. Delikatnie przymrużył powieki. – Oczywiście, że tak. – I popędził, by wykonać polecenie.

Przez następnych parę godzin Abner Marsh wyglądał trochę dziwnie, krążąc to tu, to tam z długim, kuchennym nożem zatkniętym za cholewę buta. Po zapadnięciu zmroku, wciąż chodząc z nożem za cholewką, poczuł się nieco pewniej i prawie o nim zapomniał.

Burza nadeszła tuż przed zmierzchem. Większość parowców zmierzających w górę rzeki dawno już odpłynęła, choć ich miejsca przy nowoorleańskim nabrzeżu zajęły inne statki. Burza rozszalała się przy wtórze rozdzierającego grzmotu przypominającego eksplozję kotła, niebo rozjaśnił błysk pioruna, a potem z gęstych chmur lunęły kaskady deszczu. Marsh stał pod okapem ganku na pokładzie kotłowym, wsłuchując się w dudnienie deszczu o pokład i obserwując ludzi szukających na nabrzeżu schronienia przed ulewą. Stał tam długo, opierając się o reling i rozmyślając, gdy wtem obok niego pojawił się Joshua York.

– Prawdziwe oberwanie chmury – rzekł Marsh, unosząc przed sobą laseczkę. – Może Julian mimo wszystko nie przyjdzie. Może nie będzie chciał zmoknąć.

Twarz Yorka przybrała dziwnie posępny wyraz.

– Przyjdzie – powiedział. Tylko tyle. – Przyjdzie. – I to wszystko.

I rzeczywiście się zjawił.

Do tego czasu burza nieco ucichła. Wciąż jeszcze padało, ale znacznie łagodniej, ulewa przerodziła się w delikatny kapuśniaczek. Marsh wciąż stał na pokładzie kotłowym i ujrzał, jak nadchodzą, przemierzając opustoszałe, złane deszczem nabrzeże. Nawet z tak dużej odległości wiedział, że to oni. Było coś w ich chodzie, osobliwa gracia, drapieżność i przeraźliwe piękno. Jeden z nich stapał inaczej, zawadiacko, kołyszącym krokiem, jakby nieudolnie starał się ich naśladować, być jednym z nich, a kiedy się zbliżyli, Marsh zauważył, że osobą tą był Zgorzkniały Billy Tipton. Niósł coś

i to utrudniało mu ruchy.

Abner Marsh wszedł do wielkiego salonu. Inni już siedzieli za stołem. Simon i Katherine, Smith, Brown, Raymond, Jean, Valerie i wszyscy pozostali, których Joshua odnalazł w różnych miejscach nad rzeką. Rozmawiali półgłosem, ale zamilkli, kiedy Marsh wszedł do salonu.

– Idą – rzekł.

Joshua York podniósł się z krzesła u szczytu stołu i wyszedł, by ich powitać. Abner Marsh podszedł do baru i nalał sobie whisky. Opróżnił szklaneczkę jednym haustem, po czym podszedł do stołu. Joshua upierał się, aby Marsh zajął miejsce u szczytu stołu, po jego lewicy. Krzesło po prawicy było zarezerwowane dla Damona Juliana. Marsh usiadł ciężko i łypnął spode łba na puste miejsce obok siebie.

I wtedy goście weszli do sali.

Marsh zauważył, że do salonu wkroczyło tylko czterech ludzi nocy. Zgorzkniały Billy został gdzieś po drodze, i to Marshowi w zupełności odpowiadało. W pomieszczeniu pojawiły się dwie kobiety i potężny mężczyzna o bladym licu, które sposepniało, gdy przybysz otrząsał płaszcz z kropel deszczu. A także on, ten czwarty, Marsh rozpoznał go natychmiast. Miał gładkie, ponadczasowe oblicze okolone czarnymi, gęstymi kędziorami i prezentował się niczym lord, w surducie koloru burgunda i białej, jedwabnej koszuli z żabotem. Na jednym palcu nosił złoty pierścionek z szafirem wielkości kostki cukru, a do czarnej kamizelki przypięty miał polerowany czarny diament w miękkiej, pajączej otoczce złotego złota. Przeszedł przez pomieszczenie, po czym, okrążywszy stół, przystanął za krzesłem Joshuy znajdującym się u szczytu stołu. Położył gładkie, białe dłonie na oparciu krzesła, po czym powiódł wzrokiem po twarzach siedzących przed nim ludzi nocy.

A ci wstali z miejsc.

Na początek trójka, która przybyła z nim pierwsza, potem Raymond Ortega, następnie Cara i pozostali, pojedynczo lub dwójkami. Valerie podniosła się ostatnia. Wszyscy w całym pomieszczeniu stali, wszyscy z wyjątkiem Abnera Marsha.

Damon Julian uśmiechnął się czarującym, promiennym

uśmiechem.

– Dobrze być znowu z wami – stwierdził. Patrzył na Katherine. – Moja droga, ile to już lat? Ile to lat?

Uśmiech, który rozjaśnił jej sępie oblicze, mroził krew w żyłach. Marsh postanowił wziąć sprawę w swoje ręce.

– Usiądź – warknął do Damona Juliana. Pociągnął go za rękaw. – Jestem głodny. Dostatecznie długo czekaliśmy na kolację.

– Tak – przyznał Joshua i to przełamało czar, wszyscy ponownie zajęli swoje miejsca. Julian usiadł jednak na krześle Joshuy, u szczytu stołu.

Joshua stanął obok Juliana.

– Zająłeś moje miejsce – powiedział. Głos miał cichy i pełen napięcia. – Twoje krzesło jest obok. Gdybyś był tak łaskaw... – York wskazał dłonią wolne miejsce. Wzrok miał utkwiony w Damonie Julianie, a Marsh, spojrzawszy na Yorka, dostrzegł tkwiącą w nim moc, intensywność i determinację.

Damon Julian uśmiechnął się.

– Ach – mruknął łagodnie. Wzruszył lekko ramionami. – Wybacz. – I to rzekłszy, nawet nie zerknąwszy na Joshuę Yorka, wstał, aby się przesiąść.

Joshua sztywno, z przejęciem, zajął swoje miejsce i wykonał niecierpliwy gest palcami. Z cienia wyłonił się kelner i postawił na stole przed Yorkiem charakterystyczną butelkę.

– Możesz teraz opuścić salon – rzekł do młodzieńca Joshua.

Butelka nie miała nalepki. W blasku kandelabrow, otoczona błyszczącymi kryształami i srebrem, wydawała się czarna i groźna. Była już otwarta.

– Wiesz, co to jest – rzekł Joshua York do Damona Juliana.

– Tak.

York wyciągnął rękę, ujął kieliszek Juliana i napełnił go. Wypełniony po brzegi ustawił następnie przed Damonem Julianem.

– Wypij! – rozkazał.

York nie spuszczał wzroku z Juliana. Damon wpatrywał się w kieliszek, a kąciki jego ust wykrzywił lekki uśmiezek, jakby stary wampir wspominał w duchu coś wyjątkowo zabawnego. W salonie zapanowała grobowa cisza. Z oddali dobiegło słabe zawodzenie

parowca sunącego pośród strug deszczu. Marsh odniósł wrażenie, że ta chwila nie ma końca.

Damon Julian wyciągnął rękę, podniósł kieliszek i wypił. Jednym haustem opróżnił naczynie i wydawało się, że tym gestem usunął z pomieszczenia całe napięcie.

Joshua uśmiechnął się, Abner Marsh chrząknął, a inni siedzący przy stole wymienili między sobą niepewne spojrzenia pełne zakłopotania i zdumienia. York napełnił jeszcze trzy kieliszki i podał je osobom towarzyszącym Julianowi. Wszyscy wypili. Przy stole zaczęły się pierwsze, prowadzone jeszcze szeptem rozmowy.

Damon Julian uśmiechnął się do Abnera Marsha.

– Ma pan doprawdy wspaniały statek, kapitanie Marsh – rzucił serdecznym tonem. – Mam nadzieję, że posiłki, które tu serwujecie, są równie wyborne.

– Posiłki – odrzekł Marsh – są jeszcze lepsze. – Ryknął śmiechem, znów poczuł się sobą, a kelnerzy zaczęli serwować dania przygotowane przez Toby'ego.

Jedli ponad godzinę. Ludzie nocy charakteryzowali się wykwintnymi manierami, ale apetytem dorównywali lubiącym suto podjeść flisakom. Rzucili się najadło niczym grupa robotników, którzy usłyszeli właśnie komendę od nadzorującego ich mata: „Do jedzenia przystąp!”

To znaczy wszyscy z wyjątkiem Damona Juliana. Julian jadł powoli, niemal dostojnie, przerywając od czasu do czasu, by upić łyk wina i uśmiechając się często bez żadnego wyraźnego powodu. Marsh spałaszował już zawartość trzeciego talerza, a Julian wciąż jeszcze borykał się z pierwszą porcją. Prowadzono luźne, nie zobowiązujące rozmowy. Siedzący dalej przy stole dyskutowali cicho, lecz z ożywieniem, Marsh nie słyszał treści ich rozmów. Joshua York i Damon Julian prowadzili konwersację o pogodzie, upale, burzy, rzece i „Fevre Dream”. Marsh ożywił się, gdy rozmowa dotyczyła jego parowca, większość uwagi poświęcał mimo wszystko posiłkowi.

Wreszcie podano kawę i brandy, po czym kelnerzy wyszli i w głównej sali zostali już tylko Abner Marsh oraz ludzie nocy. Marsh napił się brandy, a usłyszawszy towarzyszący temu dźwięk,

zorientował się, że wszystkie rozmowy przy stole niespodziewanie ucichły.

– Nareszcie razem – rzekł półgłosem Joshua. – To nowy początek dla nas, ludzi nocy. Ci, którzy żyją za dnia, mogliby nazwać go nowym świtem. – Uśmiechnął się. – Dla nas bardziej adekwatnym określeniem byłoby chyba „nowy zmierzch”. Posłuchajcie wszyscy. Opowiem wam o moich planach. Joshua wstał i zaczął mówić z przejęciem. Abner Marsh nie był pewien, jak długo trwał jego monolog. Słyszał to wszystko już wcześniej, wyzwolenie od czerwonego pragnienia, kres lęków, zaufanie pomiędzy dniem i nocą, początek partnerstwa, wspaniała, nowa epoka. Joshua mówił bez końca, elokwentnie, beznamiętnie, wtrącając w swój monolog fragmenty wierszy i wyświechtane słowa-klucze. Marsh zwracał większą uwagę na innych, na rzędy białych twarzy widniejących po obu stronach stołu.

Wszyscy wpatrywali się w Joshuę i słuchali go w milczeniu. Nie wszyscy reagowali jednakowo. Simon wydawał się lekko podenerwowany i wodził wzrokiem pomiędzy Yorkiem a Julianem. Jean Ardant sprawiał wrażenie poruszonego i ujętego słowami mistrza, inne twarze jednak pozostawały zimne, niewzruszone i trudne do odgadnięcia. Raymond Ortega uśmiechał się podejrzenie, wielkolud imieniem Kurt miał posępną minę, Valerie wyglądała na zdenerwowaną, twarz Katherine zaś przepełniał wyraz tak głębokiej odrazy, że na ten widok Marsh aż się wzdrygnął. Marsh spojrzał na Damona Juliana i stwierdził, że ten patrzy właśnie na niego. Jego oczy były czarne, twarde i błyszczące jak bliźniacze bryłki węgla. Marsh ujrzał w nich niezgłębione, bezdenne otchłanie, czeluść czekającą tylko, aby pochłonąć ich wszystkich. Odwrócił wzrok, nawet nie wdając się w walkę spojrzeń, jak ta, którą tak dawno temu stoczył w Posesji Plantatora z Joshuą Yorkiem. Julian uśmiechnął się, ponownie przeniósł spojrzenie na Joshuę, upił łyk zimnej kawy i wytężył słuch. Abnerowi nie spodobał się ani jego uśmiech, ani głębia oczu. W jednej chwili znów ogarnął go lęk. Joshua wreszcie skończył i usiadł.

– Parowiec to doskonały pomysł – pochwalił Julian. Jego miękki głos poniósł się przez całą długość salonu. – Twój napitek może się

nawet przydać. Od czasu do czasu. O reszcie, mój drogi Joshuo, musisz niestety zapamiętać. – Mówił łagodnym tonem z rozbrajającym, promiennym uśmiechem.

Ktoś westchnął głośno, ale nikt nie odważył się odezwać. Abner Marsh wyprężył się na krześle. Joshua zmarszczył brwi.

– Że co, proszę? – rzucił niepewnie.

Julian machnął lekceważąco ręką.

– Twoja historia zasmuciła mnie – stwierdził. – Wychowałeś się wśród bydła, Joshuo, i teraz myślisz tak jak ono. Naturalnie to nie twoja wina. W swoim czasie poznasz i pogodzisz się ze swą prawdziwą naturą. Bydło zepsuło cię, zbrukało, te żalosne zwierzęta wypełniły twoją głowę swoją nic nie wartą etyką, chwiejną religią i ulotnymi marzeniami.

– O czym ty mówisz? – W głosie Joshuy słychać było gniew. Julian nie odpowiedział bezpośrednio jemu. Miast tego odwrócił się do Marsha.

– Kapitanie Marsh – zaczął – smażone mięso, które tak panu smakowało, było kiedyś fragmentem ciała żyjącego zwierzęcia. Czy sądzi pan, że gdyby owo zwierzę umiało mówić, przystałoby na to, aby je pan spożył? – Spojrzenie jego dzikich, gorejących, czarnych oczu domagających się odpowiedzi skierowane było na Marsha.

– Ja... do krośset, nie... ale...

– Ale i tak je pan zjadł, czyż nie? – Julian zaśmiał się lekko. – Oczywiście, że tak, kapitanie, niech się pan tego nie wstydzi.

– Nie wstydzę się – odparł zuchwale Marsh. – To tylko krowa.

– Naturalnie, że tak – mruknął Julian. – Bydło to bydło. – Znów popatrzył na Joshuę Yorka. – Jednak bydło może mieć w tej kwestii inne zdanie. To wszelako nie interesuje tu obecnego kapitana. Jest istotą stojącą wyżej w hierarchii aniżeli jakaś tam krowa. W jego naturze jest zabijać i zjadać, a krowa jest tą, która jest zabijana i zjadana. Widzisz, Joshuo, życie jest w rzeczywistości bardzo proste.

Twoje błędy wynikają z faktu, że byłeś wychowywany wśród bydła, które nauczyło cię, że nie wolno ci go spożywać. Mówisz o złu. Gdzie poznałeś tę koncepcję? To bydło cię jej nauczyło. Dobro i zło to słowa trzody, puste i mające na celu jedynie ocalenie własnego bezwartościowego żywota. Bydło żyje i umiera

w śmiertelnym strachu przed nami, istotami z natury wyższymi od niego. Nawiedzamy je nawet w snach, szuka więc pocieszenia w kłamstwach i wymyśla bogów, pragnąc wierzyć, że w jakiś sposób krzyże i woda święcona mogą mieć nad nami władzę.

Musisz zrozumieć, drogi Joshuo, że dobro i zło nie istnieją. Jest tylko siła i słabość, panowie i słudzy, mistrzowie i niewolnicy. Jesteś przepełniony etyką trzody, poczuciem winy i wstydem. To głupie i nierozsądne. To nie są nasze, lecz ich słowa. Głosisz nowy początek, ale co mielibyśmy rozpocząć? Czy mamy stać się podobni bydłu? Płonać w promieniach ich słońca, pracować, jeśli tylko znajdzie się dla nas jakieś zajęcie, korzyć się przed ich bogami? Nie. To zwierzęta, niższa rasa, nasze naturalne i najcudowniejsze ofiary. Taka jest natura rzeczy.

– Nie – odezwał się Joshua York. Odsunął krzesło i wstał, górując nad stołem niczym smukły, blade goliat. – Oni myślą, marzą i zbudowali świat, Julianie. Mylisz się. Jesteśmy krewnikami, dwiema stronami jednej monety. Nie są ofiarami. Spójrz na to, czego dokonali! Dali temu światu piękno! Co my stworzyliśmy? Nic. Czerwone pragnienie było naszą zgubą.

Damon Julian westchnął.

– Ach, nieszczęsny Joshuo – powiedział. Upił łyk brandy. – Niechaj bydło tworzy życie, piękno i co tylko. My natomiast przejmujemy jego dzieła, wykorzystamy je i zniszczymy, jeśli taka będzie nasza wola. Taka jest bowiem natura rzeczy. Jesteśmy władcami. Panami. Władcy nie pracują. Niech ludzie szyją ubrania. My będziemy je nosić. Niech budują parowce. My będziemy na nich pływać. Niech marzą o życiu wiecznym. My będziemy je przeżywać i wysączać z nich życie, sycąc się ich krwią. Jesteśmy panami tej ziemi, a to nasze dziedzictwo. Albo, innymi słowy, nasze przeznaczenie, bo tak zapewne byś to ujął. Korzystaj ze swej natury, Joshuo, raduj się nią i nie próbuj zmieniać. Bydło, które ma możliwość nas poznać, zwykle nam zazdrości. Wszyscy oni pragną być podobni do nas i tylko czekają na swoją szansę. Marzą o tym. – Julian uśmiechnął się złowieszczo. – Czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego Jezus Chrystus nakazał swoim uczniom pić krew, jeśli chcą żyć wiecznie? – Zachichotał. – Oni wręcz palą się, aby stać się

takimi jak my, podobnie jak czarnuchy marzą, aby ich skóra stała się śnieżnobiała. Spójrzcie, jak daleko się posunęli. Aby grać role panów, zniewolili istoty należące do ich gatunku.

– Podobnie jak ty, Julianie – odparował Joshua York. – Jakże inaczej nazwać wpływ, jaki wywierasz na swoich ludzi? Nawet tych, których nazywasz panami, zniewoliłeś, by poddać ich swojej zdeprawowanej, spaczzonej woli.

– Wśród nas także są słabi i silni, mój drogi Joshuo – odparł Damon Julian. – Oczywiście jest, że przywództwo należy do silnych. – Julian odstawił kieliszek i przeniósł wzrok ku dalszej części stołu. – Kurt – rzucił donośnym głosem. – Zawołaj Billy’ego.

– Natychmiast, Damonie – odrzekł olbrzym, wstając.

– Dokąd idziesz? – zapytał Joshua, gdy Kurt przemaszerował przez salon; jego odbicia pojawiły się w lustrach znajdujących się na ścianach.

– Dostatecznie długo udawałeś, że należysz do trzody – rzekł Julian. – Zamierzam nauczyć cię, co znaczy być panem i władcą.

Abnerowi Marshowi z przerażenia zrobiło się zimno. Oczy wszystkich w całej sali były szkliste, zapatrzone, obserwowały dramat rozgrywający się u szczytu stołu. Joshua York, stojąc, zdawał się górować nad Damonem Julianem, ale nad nim nie dominował. Szare oczy Joshuy wydawały się wyjątkowo przenikliwe i pełne pasji. Nieludzko przenikliwe i pełne pasji, uznał Marsh.

Kurt wrócił w chwilę później. Zgorzkniały Billy musiał czekać gdzieś blisko na zewnątrz, jak niewolnik gotów odpowiedzieć na każde wezwanie swego pana. Kurt wrócił na swoje miejsce. Zgorzkniały Billy Tipton podszedł do szczytu stołu, niosąc coś z osobliwym podnieceniem w swych lodowatych oczach.

Damon Julian zamasztył ruchem ręki zgarnął stojące przed nim na stole naczynia.

Zgorzkniały Billy położył zawiniątko na oczyszczonej przez mistrza powierzchni i wyjąwszy z tobołka małe, brązowoskóre niemowlę, ułożył je przed Joshua Yorkiem.

– Co, u diabła? – ryknął Marsh.

Odsunął się od stołu i z gniewną miną zaczął się podnosić.

– Siadaj pan i ani mru-mru – rzucił chłodnym tonem Zgorzkniały

Billy. Marsh zaczął odwracać się ku niemu, gdy wtem poczuł coś zimnego i bardzo ostrego wpijającego mu się z boku w szyję. – Otwórz pan tylko usta, a rozplątam panu gardło – rzekł Zgorzkniały Billy. – Wyobraża pan sobie, kapitanie, co się stanie, gdy oni wszyscy zobaczą te strugi gorącej, smakowitej krwi?

Rozdygotany ze zgrozy i wściekłości Abner Marsh znieruchomiał na swoim krześle. Czubek noża Billy’ego wpił się głębiej w skórę, a Marsh poczuł, jak coś ciepłego i mokrego spływa mu za kołnierz.

– Świetnie – wyszeptał Billy. – Wręcz doskonale.

Joshua York zerknął na Marsha i Billy’ego, po czym znów skupił uwagę na Julianie.

– To odrażające – rzekł lodowatym tonem. – Nie wiem, po co sprowadziłeś tutaj to dziecko, Julianie, ale wcale mi się to nie podoba. Ta gra właśnie dobiegła końca. Każ swojemu człowiekowi odjąć nóż od gardła kapitana.

– Uhm-hmm – mruknął Julian. – A jeśli tego nie zrobię?

– Zrobisz – odparował Joshua. – Jestem mistrzem krwi.

– Doprawdy? – spytał jakby od niechcenia Julian.

– Tak. Nie przepadam za twoimi metodami zniewalania, ale nie mając innego wyboru, nie zawaham się ich użyć.

– Ach – rzucił Julian. Uśmiechnął się. Wstał, przeciągnął się leniwie niczym wielki czarny kocur po przebudzeniu z drzemki, po czym wyciągnął nad stołem rękę do Zgorzkniałego Billy’ego.

– Daj mi swój nóż, Billy – rozkazał.

– A co z... nim? – zapytał Billy.

– Kapitan Marsh nie będzie już nam sprawiał kłopotów – odparł Julian. – Nóż.

Billy podał mu go, rękojeścią do przodu.

– Doskonale – rzekł Joshua.

Nagle zamilkł. Niemowlę, małe, wychudzone, bardzo śniade i nagie wydało niespodziewanie dziwny, bulgoczący charkot i zadrżało konwulsyjnie.

Damon Julian zaś uczynił najbardziej przerażającą rzecz, jaką Abner Marsh miał okazję widzieć w całym swoim życiu. Szybko i nader delikatnie nachylił się nad stołem, po czym jednym cięciem

noża Billy'ego odciął dziecku prawą rączkę.

Niemowlę zaczęło przeraźliwie kwilić. Krew buchnęła na stół, zbryzgała kryształowe kieliszki, srebra i śnieżnobiały obrus. Dziecko zamachało niezdarnie kończynami, a na stole zaczęła rozlewać się kałuża krwi.

Po chwili Julian nabił odciętą rączkę, małą dłoń wielkości dużego palucha Marsha, na ostrze pożyczanego noża. Uniósł ją, wciąż ociekającą posoką, i podsunął w stronę Joshuy Yorka.

– Pij – powiedział, a jego głos nabrał nagle władczości i zdecydowania.

York odbił nóż w bok, wytrącając go z dłoni Juliana. Nóż wraz z nabitą na ostrze rączką wylądował sześć stóp dalej na dywanie.

Joshua pobladł jak trup. Pochylił się, przyłożył dwa palce po obu stronach kikuta rączki dziecka i mocno ścisnął. Krwawienie ustało.

– Dajcie mi kawałek sznurka! – rozkazał.

Nikt się nie poruszył. Niemowlę wciąż wyło wniebogłosy.

– Jest łatwiejszy sposób, aby je uciszyć – stwierdził Julian.

To rzekłszy, zacisnął bladą, szczupłą dłoń na ustach dziecka.

Ręka całkiem zakryła małą, brązową główkę, tłumiąc rozpaczliwy krzyk. Julian zaczął zaciskać palce.

– Puść je! – zawołał York.

– Spójrz na mnie – rzekł Julian. – Spójrz na mnie, mistrzu krwi.

Ich spojrzenia spotkały się, gdy tak stali przy stole z dłońmi zaciśniętymi na leżącym na blacie małym ludzkim kłębuszku.

Abner Marsh po prostu siedział w bezruchu, wstrząśnięty, zniesmaczony i rozjuszony, miał chęć zareagować, ale jakimś zrządzeniem losu nie był w stanie się poruszyć. Jak cała reszta także i on patrzył na Yorka i Juliana, śledząc ten osobliwy, milczący pojedynek.

Joshua York drżał. Usta miał mocno zaciśnięte z wściekłości, żyły wystąpiły mu na szyi, a szare oczy przypominały burzowe chmury, z których lada moment trysną błyskawice. Był niczym opętaniec, blade gniewne bóstwo odziane w błękit, srebro i biel. Nic nie mogło przeciwstawić się tej przepotężnej sile woli, jego nieokiełznanej potędze, pomyślał Marsh. To niemożliwe.

I wtedy spojrział na Damona Juliana.

W całej twarzy dominującym elementem były oczy: zimne, złowrogie, niewzruszone. Abner Marsh patrzył w głąb nich zbyt długo i nagle zakręciło mu się w głowie. Gdzieś, jakby z oddali, dobiegł go czyjś krzyk, a usta wypełnił smak ciepłej krwi. Ujrzał, jak maski przynależące do nazwisk Damona Juliana, Gilesa Lamonta, Gilberta d'Aquina, Phillipa Caine'a, Sergieja Aleksowa i tysiący innych tożsamości opadają, a za każdą z nich znajduje się kolejna, starsza i jeszcze bardziej przerażająca, warstwa po warstwie bardziej zwierzęca i dziksza od poprzedniej, ostatnia zaś ta istota nie miała w sobie ani odrobiny uroku, nie uśmiechała się, nie mamila gładkimi słówkami, nie nosiła wytwornych strojów ani klejnotów, nie miała w sobie żadnej ludzkiej cechy ani krzty człowieczeństwa, знаła jedynie pragnienie, czerwony zew, nienasyconą, przedwieczną żądzę. Owo coś było prastare, Nieludzkie i silne. Żyło, oddychało i syciło się strachem i było naprawdę wiekowe, starsze niż człowiek i wszystkie jego dokonania, starsze aniżeli rzeki i puszcze, starsze niż sny i marzenia.

Abner Marsh zamrugał i ujrzał siedzące naprzeciw siebie przy stole zwierzę, wysokie, przystojne zwierzę w stroju o barwie burgunda, istotę nie mającą żadnych cech ludzkich, rysy jego twarzy zostały wyżłobione strachem, oczy zaś, a raczej ślepia, nie były czerwone, lecz czarne, gorejące, pałające czerwienią, pełne żaru, ognia i pragnienia. Czerwone, głodne ślepia.

Joshua York puścił rączkę dziecka. Z kikuta natychmiast bryznęła krew, rozlewając się nierówną strugą po stole. W chwilę potem wnętrze salonu przeppełnił dźwięk przypominający wilgotny chrzęst.

Abner Marsh zaś, wciąż na wpół oszołomiony, wysunął nóż zza cholewy i poderwał się z krzesła, przeraźliwie krzycząc i tnąc na lewo i prawo. Zgorzkniały Billy próbował pochwycić go z tyłu, ale Marsh był zbyt silny i zbyt rozjuszony. Odepchnął Billy'ego na bok i rzucił się przez stół na Damona Juliana. Julian w ostatniej chwili oderwał wzrok od Joshuy i cofnął się nieznacznie. Nóż mierzący w jego gałkę oczną chybił o ułamek cala, złościąc długą, głęboką bruzdę w prawym policzku. Krew popłynęła z rany, a Julian wydał przeciągły, gardłowy warkot.

Wtem ktoś schwycił Marsha z tyłu, zwałókl go ze stołu i cisnął na drugi koniec salonu, dźwignął go i rzucił wążącego trzysta funtów mężczyznę, jakby był małym dzieckiem. Ładowanie miał ciężkie i bolesne, ale zdołał się przeturlać po podłodze i poderwać na nogi.

Okazało się, że został rzucony przez Joshuę, który stał teraz tuż przy nim, blade dłonie Joshuy drżały, szare oczy przepęniało przerażenie.

– Uciekaj, Abnerze – powiedział. – Uciekaj ze statku! Natychmiast!

Z tyłu za nim inni zaczęli wstawać od stołu. Białe twarze, wzrok pełen napięcia, blade dłonie, palce zakrzywione w szpony.

Katherine uśmiechała się do niego tak jak wtedy, gdy przyłapała go wychodzącego z kajuty Joshuy. Stary Simon trząśł się jak osika. Nawet Smith i Brown wolno sunęli w jego stronę, osaczali go, ich spojrzenia nie były przyjazne, wargi natomiast mieli wilgotne. Wszyscy wstali od stołu i ruszyli w ich stronę, Damon Julian również; sunął miękkiem, płynnym krokiem, jakby ślizgał się po podłodze, nie wydając przy tym żadnego dźwięku; krew na jego policzku już zaschła, rana zaczęła się właśnie zasklepieć. Abner Marsh widział to wszystko, a gdy spojrział na swoje dłonie, stwierdził, że są puste. Zgubił gdzieś swój nóż. Zaczął cofać się krok po kroku, aż plecami dotknął zwierciadlanych drzwi jednej z kajut.

– Uciekaj, Abnerze – powtórzył Joshua York.

Marsh sięgnął niezdarnie za siebie, ręką otworzył drzwi i wszedł do znajdującej się za nim kabiny. Zauważył jeszcze, jak Joshua odwraca się i zastępuje innym drogę do kajuty. Innym. Julianowi, Katherine i całej reszcie. Ludowi nocy. Dzieciom nocy, wampirom. I to była ostatnia rzecz, jaką ujrzał, zanim odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki.

ROZDZIAŁ 18

Na pokładzie parowca „Fevre Dream” rzeka Missisipi, sierpień 1857

Kiedy następnego ranka nad Nowym Orleanem wzeszło słońce, gorejące, żółte oko, nadające mgłom nad rzeką karmazynowy odcień i zapowiadające kolejny upalny dzień, Abner Marsh czekał na nabrzeżu.

Poprzedniej nocy pokonał szmat drogi, przemierzając oświetlone gazowymi latarniami Vieux Carre jak szalenie, zderzając się z przechodniami, potykając się i sapiąc; biegł jak nigdy dotąd w całym swoim życiu, aż w końcu poniewczasie zdał sobie sprawę, że nikt go nie ściga. Wówczas zaszedł do pierwszej napotkanej tawerny i wypił trzy małe whisky, jedną po drugiej, by uspokoić drżenie rąk. Wreszcie tuż przed świtem zawrócił w stronę „Fevre Dream”. Nigdy jeszcze Abner Marsh nie był równie wściekły ani równie zawstydzony. Zmusili go do ucieczki z jego własnego statku, przyłożyli do gardła nóż i na jego biurku zamordowali niemowlę. Zmusili go, by na to patrzył. Nikomu nie wolno traktować w ten sposób Abnera Marsha, pomyślał, ani białym, ani kolorowym, ani Indianom, ani tym bardziej parszywym wampirom. Damon Julian

srodze tego pożałuje, postanowił. Nadejdzie taki dzień, gdy łowcy staną się ofiarami.

Na nabrzeżu roiło się już od ludzi, gdy zjawił się tam kapitan Marsh. Obok „Fevre Dream” zacumował inny bocznokołowiec i obecnie trwał jego wyładunek, handlarze sprzedawali owoce i kremy lodowe z małych wózków, pojawiło się też kilka hotelowych omnibusów. Marsh ze zdumieniem i niepokojem zauważył, że „Fevre Dream” szykował się do wypłynięcia z portu. Czarny dym bił z kominów, a grupka robotników kończyła załadunek ostatniej partii towaru. Przyspieszył kroku i podszedł do jednego z nich.

– Hej, ty! – zawołał. – Zaczekaj!

Robotnik był potężnym, silnie zbudowanym Murzynem, łysym jak kolano i pozbawionym jednej małżowiny usznej. Na wołanie Marsha odwrócił się z baryłką opartą na prawym ramieniu.

– Tak, kapitanie?

– Co się tu dzieje? – zapytał Marsh. – Czemu szykujecie się do wypłynięcia? Nie wydałem takich rozkazów.

Robotnik zmarszczył brwi.

– Ja tylko ładuję towar, panie kapitanie. Więcej nic nie wiem.

Marsh zaklął i minął go. Na wprost niego pojawił się Kudłaty Mike Dunne z żelazną szablą w garści.

– Mike! – zawołał Marsh.

Kudłaty Mike zasępił się; na jego śniadej twarzy pojawił się wyraz głębokiego skupienia.

– Dzień dobry, kapitanie. Naprawdę sprzedał pan łajbę?

– Co?

– Kapitan York twierdzi, że odstąpił mu pan swoją połowę statku i że nie płynie pan z nami dalej. Wróciłem nad ranem z paroma chłopakami i York poinformował mnie, że doszliście do wniosku, iż dwóch kapitanów na łajbie to o jednego za dużo i wykupił pańską część „Fevre Dream”. Potem kazał Whiteyowi podsycić ogień pod kotłami, co ten niezwłocznie uczynił, i właśnie szykujemy się do wyjścia z portu. Czy to wszystko prawda, kapitanie?

Marsh zgrzytnął zębami. Wokół nich zaczęli się gromadzić zaciekawieni robotnicy, schwycił więc Mike’a za ramię i wyprowadził na pokład główny.

– Nie mam czasu, aby gadać po próżnicy – rzekł, gdy znaleźli się w dostatecznej odległości od pozostałych. – Słuchaj więc uważnie i o nic nie pytaj, jasne? Po prostu rób, co ci każe.

Kudłaty Mike skinął głową.

– Kłopoty, kapitanie? – zapytał, uderzając żelazną pałką w wielką, otwartą dłoń.

– Ilu wróciło? – spytał Marsh.

– Prawie cała załoga, kilku pasażerów. Prawie wszyscy.

– Nie będziemy czekać na resztę – rzekł Marsh. – Im mniej ludzi na pokładzie, tym lepiej. Znajdź Framma lub Albrighta, obojętne którego z nich, zaprowadź do pilotówki i każ mu wyprowadzić statek z portu. Natychmiast, rozumiemy się? Ja poszukam pana Jeffersa. Gdy odprowadzisz pilota na górę, spotkamy się w gabinecie Jeffersa. Nie mów nikomu, co się dzieje.

Jego wargi pod gęstymi, czarnymi wąsami wykrzywił lekki uśmiezek.

– Co robimy, odkupimy ten statek po nowej, niższej cenie?

– Nie – odparł Abner Marsh. – Nie, musimy kogoś zabić. I bynajmniej nie Joshuę. Rusz się, zrób to, co ci kazałem! Spotkamy się w gabinecie pana Jeffersa.

Jonathana Jeffersa nie było jednak w jego gabinecie, toteż Marsh musiał udać się do jego kajuty; dobijał się do drzwi tak długo, aż wreszcie się uchylily i ujrzał w nich zaspanego, wciąż ubranego w koszulę nocną Jeffersa.

– Kapitan Marsh – rzekł Jeffers, ziewając i przesłaniając usta dłonią. – Kapitan York mówił, że odsprzedał mu pan statek. Jak dla mnie nie miało to większego sensu, ale pana nigdzie nie było i nie wiedziałem, co mam o tym sądzić. Proszę wejść.

– Niech pan mi opowie, co się wydarzyło ubiegłej nocy – powiedział Marsh, znalazłszy się w bezpiecznym zaciszu oficerskiej kajuty.

Jeffers znów ziewnął.

– Pan wybaczy, kapitanie – mruknął. – Prawie nie zmrzyłem oka. – Podeszedł do komódki i wodą ze stojącej tam miednicy obmył sobie twarz, po czym sięgnął po okulary i nieco bardziej rozbudzony wrócił do kapitana Marsha. – Niech no przez chwilę pomyślę.

Byliśmy w St. Charles, tak jak zapowiedziałem. Mieliśmy spędzić tam całą noc, abyście pan i kapitan York mogli zjeść wspólnie kolację. – Jego brwi uniosły się w sardonicznym geście. – Był ze mną Jack Ely, Karl Framm, Whitey i kilku jego ludzi... w sumie całkiem spora gromada. Był z nami też ten żółtodziób od Framma. Pan Albright zjadł z nami posiłek, ale zaraz potem udał się na spoczynek, podczas gdy reszta w dalszym ciągu piła i dyskutowała na różne tematy. Mieliśmy pokoje i w ogóle, ale gdy tylko położyliśmy się do łóżek... było około drugiej, trzeciej nad ranem... Raymond Ortega, Simon i Zgorzkniały Billy Tipton przyszli po nas z poleceniem natychmiastowego powrotu na statek. Stwierdzili, że to rozkaz kapitana Yorka. – Jeffers wzruszył ramionami. – Wróciliśmy więc, a kapitan York spotkał się z nami w wielkim salonie, gdzie wyjaśnił, że wykupił pańskie udziały i że rankiem wypływamy w dalszą drogę. Kilku ludzi wysłano, aby odnaleźli tych, którzy wciąż przebywali w mieście, i by powiadomili pasażerów. Niemal cała załoga jest już, jak mniemam, na pokładzie. Załadunek został zakończony, podpisałem wszystkie dokumenty i postanowiłem trochę się przespać. Co naprawdę się dzieje? Marsh parsknął.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia, a poza tym i tak by pan nie uwierzył. Czy ubiegłej nocy dostrzegł pan w salonie coś dziwnego?

– Nie – odparł Jeffers. Jedna jego brew uniosła się. – A powinienem?

– Może – mruknął Marsh.

– Po kolacji uprzątnięto wszystko ze stołów – wtrącił Jeffers. – To dziwne, bo przecież wszyscy kelnerzy zeszli na ład.

– Podejrzewam, że to robota Zgorzkniałego Billy’ego – rzekł Marsh. – Ale to bez znaczenia. Czy był tam Julian?

– Tak, on i paru innych, których nigdy wcześniej nie widziałem. Kapitan York polecił mi wybrać dla nich kajuty. Ten Damon Julian jest jakiś dziwny. Nie odstępuje kapitana Yorka na krok. Wydaje się uprzejmy i dość przystojny, jeśli nie liczyć tej blizny.

– Powiada pan, że wybrał pan kajuty dla każdego z nich?

– Tak – odrzekł Jeffers. – Kapitan York chciał, aby Julian zajął pańską kajutę, ale nie zgodziłem się na to, bądź co bądź pozostały w niej wszystkie pańskie rzeczy. Wyzaczyłem dla niego jedną

z kajut pasażerskich, przynajmniej tymczasowo, dopóki się w tej kwestii z panem nie rozmówię. Julian przystał na to, więc na tym cała sprawa się zakończyła.

Abner Marsh uśmiechnął się.

– Świetnie – ucieszył się. – A Zgorzkniały Billy?

– Dostał kabinę tuż obok Juliana – wyjaśnił Jeffers. – Wątpię jednak, by w niej spał. Ostatnio widziałem go wędrującego po statku, zachowywał się, jakby ta łajba należała do niego, i bawił się tym swoim kozikiem. Trochę się ścięliśmy. Nie uwierzy pan, co robił

– w głównej sali rzucał nożem w jedną z tych ślicznych kolumn jak w zwyczajne drzewo. Kazałem mu przestać i zagroziłem, że w przeciwnym razie Kudłaty Mike wyrzuci go za burtę; co prawda usłuchał, ale spojrzał na mnie takim wzrokiem, że gdyby mógł, pewnie by mnie nim zabił. Ten facet to chodzący kłopot.

– Sądysz, że wciąż jest w głównej sali?

– Trochę się zdrzemnąłem, ale był tam jeszcze niedawno, drzemał na jednym z krzeseł.

– Proszę się ubrać – rzucił oschle Marsh. – Ale tak na jednej nodze. Spotkamy się pod pańskim gabinetem.

– Oczywiście, kapitanie – odparł Jeffers skonfundowany.

– I proszę wziąć swoją laseczkę z ostrzem – dodał na odchodne Marsh.

Niecałe dziesięć minut później on, Jeffers i Kudłaty Mike Dunne zebrali się w gabinecie oficera pokładowego.

– Proszę zająć miejsca, zachować ciszę i słuchać uważnie – rzekł Marsh. – Może to zabrzmieć jak majaczenia szaleńca, ale znanie mnie od lat i wiecie, że nie kłamię i nie zwykłem opowiadać dubów smalonych jak pan Framm. To, co wam teraz powiem, jest prawdą, klnę się na moje życie, i niechaj kocioł wybuchnie mi zaraz pod stopami, jeżeli kłamię.

Abner Marsh wziął głęboki oddech i zaczął opowiadać. Mówił długo, nie pomijając niczego, i przerwał tylko raz, gdy rozległ się przeciągły jęk syreny parowej, a pokład pod ich stopami zawibrował gwałtownie.

– Wypływamy – rzekł Kudłaty Mike. – Ruszamy w górę rzeki, tak jak pan kapitan kazał.

– Doskonale – powiedział Marsh i podjął swą opowieść, podczas gdy „Fevre Dream” odbił od nowoorleańskiego nabrzeża i mozolnie ją brnął pod prąd Missisipi w palących promieniach sierpniowego słońca.

Kiedy Marsh skończył, Jonathan Jeffers sprawiał wrażenie zamyślnego.

– Hmm – mruknął. – To fascynujące. Może powinniśmy zawiadomić policję.

Kudłaty Mike Dunne parsknął.

– To nie jest dobry pomysł. Na rzece trzeba samemu uporać się z własnymi kłopotami. – Zważył pałkę w dłoni.

Abner Marsh przyznał mu rację.

– To mój statek i nie zamierzam ściągać tu obcych, panie Jeffers. Takie było niepisane rzeczne prawo; w razie ewentualnych kłopotów sprawcę wyrzucało się za burtę lub pod koło łopatkowe, aby dokończyło dzieła – to było prostsze rozwiązanie. Rzeka – ta stara, paskudna diablica – umiała dochowywać sekretów. Skądinąd ściągnięcie tu policji z Nowego Orleanu miałyoby się z celem. Los niewolniczego, ciemnoskórego dziecka jest im obojętny, a w dodatku nie mamy przecież ciała. To banda łajdaków i typów spod ciemnej gwiazdy, na pewno by nam nie uwierzyli. A gdyby nawet, to co? Zjawiliby się tu z pistoletami i pałkami, które na nic im się zdadzą w starciu z Julianem i jego bandą.

– Tak więc musimy zająć się tym sami – rzekł Jeffers. – W jaki sposób?

– Zwołam moich chłopców i wybijemy ich wszystkich do nogi – stwierdził ze spokojem Kudłaty Mike.

– Nie – zaproponował Abner Marsh. – O ile wiem, Joshua jest w stanie zapanować nad pozostałymi. Już to wcześniej robił. Próbował zapobiec temu, co zaszło ubiegłej nocy, ale Julian okazał się dla niego zbyt silny. Musimy jedynie przed zmierzchem usunąć Juliana.

– To nie powinno być trudne – wtrącił Kudłaty Mike.

Abner Marsh skrzywił się.

– Nie byłbym tego taki pewien – stwierdził. – To, co o nich mówią legendy, w znacznej mierze rozmija się z prawdą.

Za dnia wcale nie są bezsilni i bezradni. Po prostu śpią. A jeśli się ich obudzi, są potwornie szybcy i silni jak jasny piorun, diabelnie ciężko ich zranić. Trzeba to zrobić we właściwy sposób. Podejrzewam, że we trzech damy sobie radę, nie ma sensu wciągać w to innych. Gdyby coś poszło nie tak, na długo przed zmierzchem sprowadzimy wszystkich na brzeg i zakotwiczymy w jakimś odludnym miejscu w górze rzeki, gdzie nikt nie wejdzie nam w paradę i gdzie żaden z ludzi nocy nie zdoła nam uciec, w razie gdyby trzeba było zabić kogoś więcej prócz Juliana. Czy ma pan duplikat klucza do kajuty, którą przydzielił pan Julianowi?

– W sejfie – odrzekł Jeffers, wskazując swoją laską w stronę czarnego, żelaznego sejfu.

– Świetnie – mruknął Marsh. – Mike, jak mocno możesz przywalić tą swoją łapką?

Kudłaty Mike uśmiechnął się i trzasnął żelazną sztabą w otwartą dłoń. Rozległ się zadowolająco głośny dźwięk.

– A jak mocno mam wałnąć, kapitanie?

– Tak mocno, żeby rozwalić łeb w drobny mak – odparował Marsh. – I musisz to zrobić za pierwszym razem. Na drugi cios może nie być czasu. Jeżeli tylko złamiesz mu nos, zanim zamachniesz się ponownie, rozerwie ci gardło.

– Jedno uderzenie – powiedział Kudłaty Mike. – Tylko jedno.

Abner Marsh pokiwał głową; wiedział, że postawny mat nie rzuca słów na wiatr.

– Wobec tego mamy tylko jeden problem: Zgorzkniałego Billy’ego. To pies łańcuchowy Juliana. Może faktycznie drzemie teraz na krześle w salonie, ale dam głowę, że obudzi się, gdy zauważy, że ktoś zmierza w stronę kajuty Juliana. Nie może nas zobaczyć. Kajuty na pokładzie kotłowym mają dwoje drzwi. Jeżeli Billy jest w salonie, wejdziemy od strony promenady. Jeśli jest na zewnątrz, wejdziemy przez salon. Zanim podejmiemy jakiegokolwiek działania, musimy upewnić się, gdzie jest Billy. To zadanie dla pana, panie Jeffers. Odnajdzie pan dla nas Billy’ego Tiptona i powie nam, gdzie się znajduje, a także dopilnuje, aby nie szwendał się po statku. Gdyby usłyszał hałas albo spróbował pobiec do kajuty Juliana, chcę, aby zrobił pan użytek z rapiera w swojej lasce.

– Zrozumiałem – rzekł posepnie oficer.

Poprawił okulary na nosie.

Abner Marsh przerwał na chwilę i spojrział na swoich dwóch sojuszników: szczupłego dandysa w okularach ze złotymi oprawkami i kamaszach zapinanych na guziki, z ustami ściągniętymi w wąską kreskę i włosami szczesanymi gładko do tyłu oraz stojącego przy nim potężnego mata w brudnym wygniecionym ubraniu, z bezwzględny wyrazem bezlitosnej twarzy, człowieka, który z niejednego pieca chleb jadł i którego zimne zielone oczy pały żądzą walki. Tworzyli dziwny, choć doborowy duet, pomyślał Marsh.

Chrząknął zadowolony.

– No dobrze, na co czekamy? – zapytał. – Panie Jeffers, proszę sprawdzić, gdzie obecnie znajduje się Zgorzkniały Billy.

Oficer wstał i poprawił ubranie.

– Oczywiście – powiedział.

Wrócił po niecałych pięciu minutach.

– Jest w głównej sali, je śniadanie. Musiał go obudzić dźwięk syreny. Pałaszuje jajka z gotowaną wołowiną i pije mnóstwo kawy; siedzi w takim miejscu, aby mieć stale na oku drzwi do kajuty Juliana.

– Dobrze – mruknął Marsh. – Panie Jeffers, czy nie burczy panu w brzuchu?

Jeffers uśmiechnął się.

– Wie pan, jakoś nagle zgłodniałem.

– Ale najpierw klucze.

Jeffers skinął głową i nachylił się nad sejfem. Otrzymawszy klucze, Marsh odczekał dziesięć minut, aby oficer wrócił do głównej sali, po czym wyprostował się i wziął głęboki oddech. Serce tukało mu się w piersi.

– Chodźmy – zwrócił się do Kudłatego Mike’a, otwierając drzwi prowadzące na zewnątrz.

Dzień był słoneczny i upalny, co Marsh przyjął za dobry omen. „Fevre Dream” gładko parł w górę rzeki, pozostawiając za sobą podwójny kilwater wzburzonej, spienionej wody.

Musi zrobić jakieś osiemnaście mil na godzinę, pomyślał Marsh,

a może nawet więcej. Przez chwilę zastanawiał się, w jakim czasie dotrą do Natchez, i niespodziewanie poczuł przemożną chęć znalezienia się teraz na samej górze, w pilotówce, skąd mógłby obserwować rzekę, którą tak bardzo kochał. Abner Marsh przełknął ślinę i pohamował łzy cisnące mu się do oczu; czuł się źle, ponieważ było to takie niemęskie.

– Kapitanie? – rzucił niepewnie Kudłaty Mike.

Abner Marsh zaklął.

– Nic to – burknął. – Ja tylko... do kroćset... chodźmy... – Pomaszzerował przed siebie, ściskając w garści klucz do kajuty Damona Juliana. Kłykcie jego wielkiej dłoni zbiały.

Przed kajutą Marsh przystanął i rozejrzał się wokoło. Promenada była prawie pusta. Przy rufowym relingu stała jakaś damulka, a kilkanaście drzwi dalej w stronę dziobu, na krześle opartym o drzwi kabiny, siedział mężczyzna w białej koszuli i kapeluszu z obwisłym rondem, żadne z nich jednak nie zainteresowało się Marshem ani Kudłatym Mikiem. Marsh ostrożnie wsunął klucz do dziurki.

– Pamiętaj, co ci mówiłem – wyszeptał do mata. – Szybko i cicho. Jeden cios.

Kudłaty Mike skinął głową, a Marsh przekreślił klucz.

Drzwi otworzyły się ze szcęknięciem, a Marsh pchnął je.

Wewnątrz było ciasno i ciemno, okna pozasłaniane, okiennice zamknięte jak w każdym pokoju zajmowanym przez ludzi nocy, w słabym świetle płynącym od drzwi dostrzegli jednak bladą postać leżącą na łóżku pod cienką narzutą.

Wślizgnęli się do środka najciszej, jak to możliwe, zważywszy na swoje gabaryty; Marsh zamknął za nimi drzwi, a Kudłaty Mike postąpił naprzód, unosząc nad głową długą na trzy stopy czarną żelazną sztabę. Marsh zauważył, że blada postać na łóżku poruszyła się, odwracając się w stronę, skąd dobiegały dźwięki i płynęło światło. Kudłaty Mike znalazł się przy niej w odległości dwóch kroków, a żelazo w jego potężnym ręku zatoczyło morderczy łuk i opadło ku bladej, słabo widocznej głowie; zdawało się, że ten ruch nigdy się nie zakończy.

W tej samej chwili drzwi kajuty domknęły się, odcinając dopływ

światła i w egipskich ciemnościach Abner Marsh usłyszał odgłos, jaki mógłby wydać poćiec mięsa rzucony na rzeźnicką ladę, a zaraz potem trzask jakby pękającej skorupki jajka i kapitan mimowolnie wstrzymał oddech.

W kajucie zrobiło się cicho jak makiem zasiał, Marsh nie widział, co działo się opodal niego. Z ciemności dobiegł cichy, gardłowy chichot. Zimny pot wystąpił kapitanowi na czoło.

– Mike – wyszeptał.

Sięgnął po zapalki.

– Tak jest, kapitanie – rozległ się głos mata. – Jeden cios, poprawka nie będzie konieczna. – Ponownie zachichotał.

Abner Marsh skrobął zapalką o ścianę i zamrugał. Kudłaty Mike stał przy łóżku z żelazną pałką w dłoni. Jej grubszy koniec był wilgotny i ociekał szkarłatem. Istota pod narzutą nie miała już twarzy. Czaszka została wgnieciona, z oblicza została miazga. Brakowało górnej połowy głowy, a krew powoli wsiąkała w pościel. Kępki włosów i innej ciemnej materii rozbryznięły się na poduszce, ścianie i ubraniu Mike'a.

– Czy on nie żyje? – zapytał Marsh, zaniepokoiwszy się nagle, że rozłupana czaszka zacznie się regenerować, a bładny trup wstanie i uśmiechnie się do nich.

– Nigdy nie widziałem kogoś bardziej martwego – rzekł Kudłaty Mike.

– Upewnij się – rozkazał Marsh. – Lepiej mieć pewność.

Kudłaty Mike powoli, leniwie wrzucił ramionami, uniósł okrwawione żelazo i opuścił je raz jeszcze na czerep i poduszkę. Potem jeszcze raz. I jeszcze. Gdy skończył, trudno byłoby uwierzyć, że istota na łóżku miała kiedyś głowę. Kudłaty Mike był piekielnie silny.

Zapalka oparzyła Marshowi palce. Zgasił ją.

– Chodźmy – rzucił oschle.

– Co z nim zrobimy? – zapytał Kudłaty Mike.

Marsh otworzył drzwi do kajuty. Widok słońca i rzeki przynosił ukojenie.

– Zostawimy go tam – powiedział. – Po zmierzchu wrzucimy go do rzeki.

Mat wyszedł za kapitanem na zewnątrz, a Marsh zamknął drzwi na klucz. Było mu niedobrze. Oparł swe potężne cielsko o reling i próbował powstrzymać wzbierające mdłości. Krwiopijca czy nie, to, w jaki sposób potraktowali Damona Juliana, było zbyt przerażające, aby nad tym deliberować, a co dopiero w tym uczestniczyć.

– Pomóc panu, kapitanie?

– Nie – odrzekł Marsh. Wyprostował się z wysiłkiem. Mimo wczesnej pory było upalnie, złociste słońce prażyło bez litości. Marsh ociekał potem. – Niewiele spałem – przyznał. Wysiłił się na uśmiech. – Właściwie w ogóle nie spałem. To, czego przed chwilą dokonaliśmy, sporo nas obu kosztowało.

Kudłaty Mike wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że jemu przyszło to bez trudu. – Niech pan się położy – poradził.

– Nie – odrzekł Marsh. – Nie mogę. Muszę się zobaczyć z Joshuą i powiedzieć mu, co zrobiliśmy. Musi wiedzieć, aby przygotować się na konfrontację z pozostałymi.

Nagle Abner Marsh zaczął się zastanawiać, jak Joshua York zareaguje na wieść o zamordowaniu jednego z jego ludzi. Po zeszłej nocy sądził, że Joshua niezbyt się tym przejmie, ale nie miał pewności, nie znał na tyle ludzi nocy, by móc przewidywać ich tok rozumowania, a jeżeli Julian był dzieciobójcą i krwiopijcą, pozostali z pewnością mieli na sumieniu podobne czyny. Joshua również. Na dodatek Damon Julian był mistrzem krwi Joshuy, królem wampirów. Czy zabicie króla, nawet znieawidzonego przez poddanych, nie skłoni ich do wzięcia na nim odwetu za ten czyn? Abner Marsh pamiętał zimną moc gniewu Joshuy i myśl ta pohamowała nieco jego chęć odwiedzenia współnika w jego kajucie; wiedział nazbyt dobrze, że po przebudzeniu tamten bywa wyjątkowo agresywny.

– Może jednak odłożę to na później – mruknął niepewnie

– a teraz trochę się zdrzemnę. Kudłaty Mike skinął głową.

– Nikt przede mną nie może spotkać się z Joshuą – zdecydował.

– Naprawdę czuł się fatalnie, było mu niedobrze, miał gorączkę i robiło mu się słabo. Musiał się położyć na kilka godzin.

– Nie można mu pozwolić wstać. – Obliznął wargi, suche jak papier ścierny. – Idź do Jeffersa, opowiedz mu o wszystkim i niech

jeden z was obudzi mnie przed zachodem słońca. Na długo przed zmierzchem, jasne? Muszę mieć co najmniej godzinę na rozmowę z Joshuą. Obudzę go i opowiem, co zaszło, a potem, już po zmierzchu, Joshua zajmie się pozostałymi ludźmi nocy. Będzie wiedział, jak to zrobić. Niech jeden z twoich chłopców ma na oku Zgorzkniałego Billy'ego... z nim także będzie się trzeba rozprawić.

Kudłaty Mike uśmiechnął się.

– Niech zajmie się nim rzeka.

– Może będziemy ją musieli wyręczyć – odparował Marsh.

– Może. Teraz muszę trochę odpocząć, ale pamiętaj, że masz mnie obudzić przed zachodem słońca. Nie zwlekaj z tym do zmierzchu, bo będzie za późno, czy to jasne?

– Taa.

Abner Marsh ze znużeniem wspiął się na górny pokład; z każdym krokiem czuł się coraz gorzej. Stając pod drzwiami swojej kajuty, poczuł nagle pod sercem lodowate ukłucie strachu – a jeśli, pomimo tego co powiedział Jeffers, w środku będzie jeden z nich? Gdy jednak otworzył drzwi i wpuścił do pokoju promienie słońca, okazało się, że nie ma w nim nikogo.

Chwiejnym krokiem wmaszerował do środka, rozsunał zasłony i otworzył okno, by wpuścić do środka tyle powietrza i słońca, ile tylko możliwe. Zamknął drzwi na klucz i ciężko usiadł na łóżku, by zdjąć mokre od potu odzienie. Nawet nie zadał sobie trudu, by nałożyć koszulę nocną. W kajucie było duszno, ale Marsh był zbyt wyczerpany, by zwrócić na to uwagę. Sen zmorzył go niemal natychmiast.

ROZDZIAŁ 19

Na pokładzie parowca „Fevre Dream” rzeka Missisipi, sierpień 1857

Ostre, natarczywe pukanie do drzwi kajuty wyrwało Abnera Marsha z głębokiego, pozbawionego marzeń snu. Poruszył się leniwie i usiadł na łóżku.

– Chwileczkę! – zawołał. Poczłapał w stronę miednicy jak wielki, nagi niedźwiedź przebudzony z zimowego snu i wielce z tego powodu niezadowolony. Dopiero gdy ochlapał sobie twarz zimną wodą, przypomniał sobie, dlaczego go obudzono. – Niech to wszyscy diabli! – zaklął gniewnie, wpatrując się w szare cienie gromadzące się w kątach małej kajuty. Za oknem niebo było ciemne i fioletowe. – Niech to wszyscy diabli – powtórzył, wciągając czyste spodnie. Następnie podszedł do drzwi i otworzył je szarpnięciem. – Czemu, do kroćset, pozwolił mi pan spać tak długo? – wrzasnął na Jonathana Jeffersa. – Kazałem Kudłatemu Mike’owi, aby obudził mnie na godzinę przed zachodem słońca.

– Do zmierzchu pozostała jeszcze godzina – odparł Jeffers. – Ale niebo jest zachmurzone i dlatego jest tak ciemno. Pan Albright uważa, że czeka nas kolejna burza. – Oficer wszedł do kajuty Marsha

i zamknął za sobą drzwi. – Przyniosłem to dla pana – rzekł, podając mu laseczkę z hikory. – Znalazłem ją w głównej kajucie.

Marsh nieco spuścił z tonu i przyjął podaną mu laseczkę.

– Zgubiłem ją ubiegłej nocy – powiedział. – Miałem zbyt wiele innych spraw na głowie. – Oparł laseczkę o ścianę i marszcząc brwi, ponownie wyjrzał przez okno. Za rzeką cały zachodni horyzont zasnuty był groźnie wyglądającymi chmurami sunącymi w ich kierunku niczym złowroga ściana ciemności. Zdawało się, że niebo miało zamiar runąć im na głowy. Nie było widać zachodzącego słońca. To ani trochę mu się nie spodobało. – Chyba lepiej już pójdę do Joshuy – mruknął, wyjmując koszulę i kończąc rytuał ubierania się.

Jeffers oparł się na swojej laseczce z ostrzem.

– Czy mam panu towarzyszyć? – zapytał.

– Powinienem pomówić z Joshuą w cztery oczy – rzekł Marsh, zerkając w lustro i zawiązując krawat. – Choć w gruncie rzeczy nie mam na to wielkiej ochoty. Może pójdzie pan tam ze mną i zaczeka na zewnątrz. Jeśli Joshua zechce, zaprosi pana do środka i we trzech omówimy nasze dalsze poczynania.

Marsh nie wspomniał ani słowem o innym powodzie, dla którego chciał, by jego zaufany oficer towarzyszył mu podczas tej wizyty. Kto wie, czy on sam nie zechce wezwać Jeffersa, gdyby Joshua York nie przyjął ze spokojem wiadomości o śmierci Damona Juliana.

– Doskonale – zgodził się Jeffers.

Marsh włożył kapitański surdut i sięgnął po laseczkę.

– Ruszajmy, panie Jeffers. Jest już nazbyt ciemno.

„Fevre Dream” płynął rażno naprzód, jego chorągiewki trzepotały na wietrze, z kominów bił czarny dym. W słabym blasku dziwnego, fioletowego nieba wody Missisipi wydawały się niemal czarne. Marsh skrzywił się i pomaszerował żwawo do kajuty Joshuy Yorka. Jeffers szedł tuż za nim. Tym razem, stając przed drzwiami, Marsh nie zawahał się, uniósł laseczkę i zastukał energicznie. Po trzecim uderzeniu zawołał:

– Wpuść mnie, Joshua. Musimy porozmawiać.

Po piątym uderzeniu drzwi otwały się, powoli uchylając się do wewnątrz i ukazując mroczne wnętrza kajuty.

– Zaczekaj na mnie – rzucił Marsh do Jeffersa.

Wszedł do kajuty i zamknął za sobą drzwi.

– Nie złość się na mnie, Joshua – rzekł w ciemność, czując nieprzyjemny ucisk w żołądku. – Nie zawracałbym ci głowy, ale to bardzo ważne i do zmerchów niedaleko. – Nie doczekał się odpowiedzi, ale w mroku usłyszał czyjś cichy oddech. – Niech to licho – burknął. – Joshua, dlaczego zawsze musimy rozmawiać po ciemku? Nie jest to dla mnie przyjemne. – Zmarszczył brwi. – Zapal świecę, dobrze?

– Nie. – Głos był cichy, oschły, surowy. I nie należał do Joshuy.

Abner Marsh cofnął się o krok.

– Boże. Jezu. Nie – powiedział i usłyszał cichy szelest, a jego dłoń odnalazła z tyłu drzwi i pchnęła je mocno.

Otworzyły się szeroko, a do tej pory jego oczy przywykły już do ciemności i nawet słaba poświata zachmurzonego nieba wystarczyła, aby przeniknąć wzrokiem cienie płożące się w kajucie kapitańskiej. Dostrzegł Joshuę Yorka, bladego i nagiego, rozciągniętego na łóżku, z zamkniętymi oczami i jedną ręką zwieszającą się aż do podłogi; na jego nadgarstku widniało coś, co wyglądało jak przeraźliwie ciemny siniak albo skrzep zaschniętej krwi. Spostrzegł też sunącego ku niemu, szybkiego jak śmierć, uśmiechniętego Damona Juliana.

– Przecież cię zabiliśmy! – ryknął Marsh z niedowierzaniem i potykając się, chwiejnym krokiem wyszedł z kajuty. W pewnej chwili poplątały mu się nogi i runął ciężko u stóp Jonathana Jeffersa.

Julian stanął w drzwiach. Jego policzek przecinała cienka, ciemna kreska, ledwie zadrapanie, w miejscu, gdzie poprzedniej nocy ziała głęboka rana, dzieło Marsha. Poza tym jednym nie miał żadnych innych śladów. Zdjął surdut i kamizelkę, a jego jedwabna koszula z koronkami była nieskazitelnie biała, bez żadnych plam czy dziur.

– Proszę wejść, kapitanie – rzekł półgłosem Julian. – Nie uciekaj. Wejdz, porozmawiamy.

– Ty nie żyjesz. Mike roztraskał ci łeb na tysiąc kawałków – stwierdził Marsh, czując, jak zaciska mu się gardło.

Nie patrzył Julianowi w oczy. Wciąż był jeszcze dzień, pomyślał, na zewnątrz był bezpieczny, Julian nie mógł go tutaj

dosięgnąć aż do zachodu słońca, jeśli tylko nie spojrzysz tamtemu w oczy, jeżeli nie wejdzie na powrót do kajuty.

– Nie żyję? – Julian uśmiechnął się. – Ach. Tamta kajuta. Biedny Jean. Tak bardzo chciał uwierzyć Joshui i popatrz, co go spotkało. Powiedziałeś, że Mike rozwalili mu łeb?

Abner Marsh podniósł się powoli.

– Zamieniłeś się na kajuty – mruknął ochryple. – Ty parszywy czarciu. Zmusiłeś go, aby spał w twoim łóżku.

– Mieliśmy z Joshuą do pogadania – odrzekł Julian. Wykonał przywołujący gest dłonią. – Chodź, kapitanie, mam już dość czekania. Chodź, napijemy się razem.

– Bodajbyś spłonął w piekle! – warknął Marsh. – Może dziś rano ci się udało, ale wciąż jeszcze możemy cię dopaść. Bądź co bądź nadal tu jesteś. Panie Jeffers, proszę zejść na dół i zawołać Kudłatego Mike'a i jego chłopców. Podejrzewam, że tuzin wystarczy.

– Nie – rzekł Damon Julian. – Nie zrobisz tego.

Marsh groźnie machnął laseczką.

– Ależ tak. Oczywiście, że to zrobię. A może mnie powstrzymasz?

Julian wbił wzrok w niebo, było teraz ciemnofioletowe, poprzecinane pasemkami czerni, zapowiadał się wyjątkowo posepny i pochmurny zmierzch.

– Tak – powiedział i wyszedł z kajuty.

Abner Marsh poczuł, że zimna, wilgotna dłoń zgrozy zaciska się wokół jego serca. Uniósł swoją laseczkę i zawołał:

– Nie zbliżaj się! – Jego głos zabrzmiał wyjątkowo piskliwie. Cofnął się o krok. Damon Julian uśmiechnął się i pomaszerował dalej. Nie jest dość jasno, pomyślał Marsh z coraz gwałtowniejszą desperacją.

Wtem rozległo się ciche zgrzytnięcie metalu o drewno i tuż przed nim pojawił się Jonathan Jeffers z wysuniętym ze swojej laski ostrzem. Ostra stal kreśliła w powietrzu groźne kręgi.

– Niech pan sprowadzi pomoc, kapitanie – rzekł półgłosem Jeffers. Wolną ręką poprawił na nosie okulary. – Ja postaram się zająć panicza Juliana.

Miękko, z wprawą doświadczonego fechtmistrza, Jeffers natarł

na Juliana, wykonując zamaszyste cięcie. W jego lasce znajdowało się ostrze rapiera, obosieczne i spiczasto zakończone. Damon Julian cofnął się niemal w ostatniej chwili, a uśmiech znikł z jego twarzy, gdy ostrze oficera przecięło powietrze o kilka cali przed jego twarzą.

– Zejdź mi z drogi – warknął złowrogo Julian.

Jonathan Jeffers milczał. Przyjął pozycję szermierczą, zbliżając się powoli na palcach stóp i spychając Juliana z powrotem ku drzwiom kabiny. Wykonał szybkie pchnięcie, ale Julian zręcznie uskoczył w tył poza zasięg rapiera. Jeffers zacmokał ze zniecierpliwieniem. Damon Julian znalazł się jedną nogą wewnątrz kajuty i odpowiedział śmiechem, który zabrzmiał prawie jak warknięcie. Jego białe dłonie uniosły się, palce rozwarły. Jeffers pchnął raz jeszcze.

Abner Marsh widział to wszystko. Pchnięcie było celne, a Julian nawet nie próbował się uchylić. Ostrze rapiera weszło w jego ciało tuż powyżej krocza. Julian skrzywił się i stęknął z bólu, ale nie cofnął się. Jeffers przebił go na wylot, Julian zaś nadział się jeszcze głębiej na ostrze i zanim zdumiony oficer zdążył się cofnąć, zacisnął obie ręce na jego gardle. Jeffers wydał przeraźliwy, ochrypty odgłos, oczy wyszły mu z orbit, a gdy próbował się wyrwać, okulary w złotych oprawkach zsunęły mu się z nosa i spadły na pokład.

Marsh rzucił się naprzód i trzasnął Juliana swoją laską, zasypując jego głowę i ramiona gradem ciosów. Julian, przebity na wylot ostrzem rapiera, zdawał się w ogóle tego nie czuć. Wykonał gwałtowny ruch obiema rękami, któremu towarzyszył trzask jakby pękającego konara. Jeffers zwiotczał.

Abner Marsh uderzył Juliana z rozmachem po raz ostatni, wkładając w ten cios całą swoją siłę i trafiając wampira w sam środek czoła; Julian zachwiał się nieznacznie. Kiedy rozwarł palce, Jeffers runął jak szmaciana lalka z głową skręconą tak groteskowo, że wydawała się odwrócona do tyłu.

Abner Marsh pospiesznie zrejterował.

Julian dotknął palcami czoła, jakby oceniał skutki otrzymanego ciosu. Nawet nie pocięła mu krew, stwierdził z konsternacją Marsh. Choć był krzepkim mężczyzną, nie dorównywał siłą Kudłatemu Mike'owi Dunne'owi, a hikota to nie żelazo. Damon Julian

kopnięciem wytrącił z pozbawionych już czucia palców Jeffersa rękojeść obronnej laski. Krzywiąc się, niezdarnie wysunął długie ostrze ze swego ciała. Jego koszula i spodnie były wilgotne i czerwone, przy każdym ruchu przylepiały mu się do ciała. Cisnął rapier precz, ostrze zawirowało w powietrzu, przeleciało nad relingiem i znikło w ciemnych, wartkich wodach poniżej.

Julian znów chwiejnie pomaszerował naprzód, pozostawiając za sobą na pokładzie krwawe odciski stóp. Wolno i niepewnie, ale jednak szedł dalej.

Marsh zaczął cofać się przed nim.

Nie można go zabić, pomyślał w przypiływie mdłającej, ślepej paniki, nic nie da się zrobić. Joshua i jego marzenia, Kudłaty Mike i jego żelazna sztaba, oficer Jeffers z jego rapierem, nikt i nic nie było w stanie powstrzymać Damona Juliana. Marsh zszedł na niższy pokład i rzucił się do ucieczki. Zdyszany skierował się ku rufie i zejściówce wiodącej z niższego pokładu na promenadę; tam, wśród ludzi, powinien być bezpieczny. Zmierzch zbliżał się milowymi krokami. Marsh pędem pokonał kilka wąskich stopni prowadzących na dół i zacisnąwszy mocno dłonie na poręczy, zatrzymał się, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

Zgorzkniały Billy Tipton i czwórka tamtych zmierzała w jego kierunku.

Abner Marsh odwrócił się i zaczął wspinać się po schodach. Byle dostać się na górę, do dzwonka, zadzwonić i wezwać pomoc... ale Julian zszedł już z pokładu teksaskiego i zastąpił mu drogę. Marsh zamarł w bezruchu, sparaliżowany rozpaczą. Nie miał dokąd uciec, był uwięziony pomiędzy Julianem a tamtymi i bezbronny, jeśli nie liczyć nic nie wartwej laseczki z hikory. Równie dobrze mógł poddać się już teraz. Julian, podchodząc do niego, uśmiechał się złowieszczym, okrutnym uśmieszkiem.

Oczyrna wyobraźnia Marsh ujrzał tę bladą twarz zbliżającą się ku jego szyi, z wyszczerzonymi zębami i oczyma palającymi pragnieniem i gorączką, nabiegłymi czerwienią, pradawnymi i niewyciężonymi. Gdyby Marsh zdołał wycisnąć z siebie choć jedną łzę, zapewne by w tej chwili zapłakał. Stwierdził, że nie jest w stanie ruszyć się z miejsca, był jak wrośnięty w ziemię, nawet jego

laseczka wydawała się zbyt ciężka, by mógł unieść ją w dłoni.

Wtem zza zakrętu rzeki wyłonił się w oddali inny bocznokołowiec; Abner Marsh zapewne by go nie zauważył, jednak pilot dostrzegł go aż nadto wyraźnie i uruchomił syrenę parową, dając sygnał drugiej jednostce, aby minęła „Fevre Dream” od bakburty. Piskliwy dźwięk potężnej syreny wyrwał Marsha z odrętwienia. Mężczyzna uniósł wzrok i dostrzegł światła sygnalizacyjne zbliżającego się statku, ogień buchający ze szczytów wysokich kominów, majaczące nad nimi, prawie czarne niebo, błyskawicę rozświetlającą od wewnątrz wiszące nisko chmury i rzekę, czarną i nieskończoną rzekę, która była jego domem, zajęciem, przyjaciółką, najzagorzalszym wrogiem, a także kapryśną, kochającą i bezwzględną zarazem małżonką, rywalką dla każdej z dam jego serca. Płynęła tak jak zawsze i nie miała pojęcia o istnieniu Damona Juliana oraz jemu podobnych, co więcej, byli jej oni obojętni, byli dla niej niczym, prędzej czy później odejdą w zapomnienie, a ta stara przeklęta rzeka wciąż będzie wartko płynąć naprzód, wytyczając nowe koryta, nawadniając jedno pola uprawne, a inne zalewając, niszcząc miasta i miażdżąc parostatki w uścisku swych lodowatych zębów.

Abner Marsh podszedł do miejsca, gdzie ponad pokład wznosiły się osłony wielkich kół łopatkowych. Julian podążył za nim.

– Kapitanie! – zawołał jadowitym, lecz wciąż kuszącym głosem.

Marsh zignorował go. Desperacja dodała mu siłę, o których nie miał dotąd pojęcia, a których starczyło, aby wspiął się na obudowę jednego z kół. Pod jego stopami obracało się ogromne koło łopatkowe. Czuł drżenie przenikające przez drewno i słyszał powtarzający się regularny plusk. Skierował się w stronę rufy, nie chciał wylądować w niewłaściwym miejscu, gdzie koła wessałyby go w głąb i zgniotły na miazgę.

Spojrzał w dół. Było już prawie zupełnie ciemno, woda wydawała się czarna, ale za „Fevre Dream” toń była spieniona i mocno wzburzona. Poświata z kominów parowca nadawała jej czerwonawy odcień, dzięki czemu wyglądała jak wrząca krew. Abner Marsh wbił w nią wzrok i zastygł w bezruchu. Znowu krew, pomyślał, znów ta przeklęta krew, nie mogę się od niej uwolnić,

nijkak nie potrafię się od niej uwolnić. W jego uszach pobrzmiwało echo dudnienia potężnych silników parowych statku.

Zgorzkniały Billy Tipton wdrapał się na osłonę koła i powoli, niepewnie ruszył w jego stronę.

– Panicz Julian chce ciebie, tłusciuchu – oznajmił. – Złaż stamtąd i tak nie masz już dokąd uciec.

Wyjął swój mały nóż i uśmiechnął się. Zgorzkniały Billy miał naprawdę przerażający uśmiech.

– To nie krew – powiedział na głos Abner Marsh – to tylko cholerna rzeka.

Ściskając w dłoni swoją laseczkę, wziął głęboki oddech i skoczył. W jego uszach brzmiały szpetne przekleństwa Billy'ego, gdy z impetem uderzył w wodę.

ROZDZIAŁ 20

Na pokładzie parowca „Fevre Dream” rzeka Missisipi, sierpień 1857

Raymond i Armand podtrzymywali Damona Juliana między sobą, kiedy Zgorzkniały Billy zeskokczył z obudowy koła. Julian wyglądał, jakby właśnie zaszlachtował wieprza; całe jego ubranie przesiąkło krwią.

– Pozwoliłeś mu uciec, Billy – rzucił lodowatym tonem. Ten ton zdenerwował Billy’ego.

– Już po nim – upierał się Billy. – Łopaty wciągną go pod koło i zmiążdżą albo utonie. Powinien pan być widzieć, z jakim pluskiem runął w wodę, prosto na ten swój wielki kałdun. Nie będzie pan już więcej oglądał jego parszywej, szpetnej gęby. – Mówiąc te słowa, Billy rozglądał się dokoła i to, co zobaczył, ani trochę mu się nie spodobało. Julian był cały we krwi, czerwony, rozmazany ślad ciągnął się w dół schodów z pokładu teksaskiego i przez połowę pokładu huraganowego, ten gogusiowaty oficer zwisał z górnego pokładu, z jego ust ciekła krew.

– Jeżeli mnie zawiedziesz, Billy, nigdy nie staniesz się taki jak my – rzekł Julian. – Mam nadzieję, że on nie żyje. Dla twojego

dobra. Rozumiesz?

– Tak – odparł Billy. – Co tu się stało?

– Zaatakowali mnie, Billy. Zaatakowali nas. Jak wyjaśnił nasz dobry kapitan, zabili Jeana. Rozwalili mu łeb, tak się właśnie wyraził. – Uśmiechnął się. – To robota Marsha, tego parszywego oficerka i jakiegoś Mike’a.

– Kudłatego Mike’a Dunne’a – wtrącił Raymond Ortega.

– To tutejszy mat. Postawny, głupi i arogancki. Jego zadaniem jest pokrzykiwać na czarnych i łoić im skórę.

– Ach – rzekł Julian. – Puśćcie mnie – zwrócił się do Raymonda i Armanda. – Czuję się już lepiej. Odzyskuję siły. Mogę stać sam.

Zmierzchało. Stali w cieniu.

– Damonie – ostrzegł Vincent. – Wkrótce zmiana wachty. Załoga uda się do kajut. Musimy coś zrobić. Powinniśmy zejść z pokładu, w przeciwnym razie odkryją naszą obecność. – Spojrzał na krew i na ciała.

– Nie – odrzekł Julian. – Billy to posprząta. Prawda, Billy?

– Tak – mruknął Billy. – Oficerek pójdzie w ślad za kapitanem.

– Więc zrób to, zamiast mi o tym opowiadać. – Julian uśmiechnął się chłodno. – A potem przyjdź do kajuty Yorka. Tam się obecnie ukryjemy. Muszę się przebrać.

Usunięcie śladów zbrodni na górnym pokładzie zajęło Billy’emu prawie dwadzieścia minut. Spieszył się, świadom, że w każdej chwili ktoś mógł wyjść ze swej kajuty lub wejść po schodach na górę. Było już niemal całkiem ciemno i to działało na jego korzyść. Zwlókł ciało Jeffersa na główny pokład, z niejakim trudem przeniósł je na obudowę koła łopatkowego (oficer był cięższy, niż Billy się spodziewał), po czym wrzucił je do wody. Noc i rzeka pochłonęły je, a plusk był znacznie cichszy niż przy uderzeniu w wodę ciała Marsha. Łoskot kół zagłuszył go niemal całkowicie. Zgorzkniały Billy ściągnął koszulę i zaczął zmywać krew, gdy na jego szczęście rozpętała się burza, na którą zbierało się całe popołudnie. Grzmot rozbrzmiał w jego uszach, piorun uderzył w rzekę i zaczęło padać. Czysty, zimny, rześisty deszcz, gęste strugi zalewające pokład, skapujące Billy’ego od stóp do głów i zmywające krew.

Zgorzkniały Billy ociekał wodą, gdy zjawił się w końcu

w kajucie Joshuy Yorka; swą niegdyś elegancką koszulę, zmięta w wilgotną kulę, trzymał zaciśniętą w jednej ręce.

– Już po wszystkim – powiedział.

Damon Julian siedział w głębokim, skórzanym fotelu. Przebrał się w nowe rzeczy, w dłoni trzymał drinka i wyglądał równie silnie i zdrowo jak zawsze. Raymond stał tuż przy nim, Armand zajął sąsiedni fotel, Vincent usadowił się na biurku, Kurt na krześle za biurkiem, Joshua York siedział na łóżku, wpatrując się w swoje stopy, głowę zwiesił na piersi, a jego skóra miała barwę kredy. Wyglądał jak zbity pies, pomyślał Billy.

– Ach, Billy – rzekł Julian. – Co my byśmy bez ciebie zrobili?

Zgorzkniały Billy pokiwał głową.

– Gdy byłem tam, na zewnątrz, trochę pogłótkowałem, paniczu Julianie – powiedział. – Doszedłem do wniosku, że mamy dwie możliwości do wyboru. Na statku jest jolka, używa się jej podczas sondowania i w ogóle. Moglibyśmy ją zabrać i odpłynąć stąd cichaczem. Albo, ponieważ właśnie rozpętała się burza, moglibyśmy poczekać, aż pilot przycumuje jolkę, i dopłynąć nią do brzegu. Niedaleko stąd jest Bayou Sara, moglibyśmy zatrzymać się tam na jakiś czas.

– Bayou Sara mnie nie interesuje, Billy. Nie zamierzam opuszczać tego cudownego parowca. „Fevre Dream” należy teraz do nas. Czyż nie tak, Joshua?

Joshua York uniósł głowę.

– Tak – odrzekł. Mówił tak cicho, że ledwie było go słyszeć.

– To zbyt niebezpieczne – upierał się Billy. – Kapitan i jego pierwszy zniknęli, co pomyślą o tym ludzie? Na pewno zwrócą na to uwagę, zaczną zadawać pytania. I to już niebawem.

– On ma rację, Damonie – wtrącił Raymond. – Płynę tym parowcem aż od Natchez. Pasażerowie wsiadają i wysiadają, ale załoga... tu jest dla nas niebezpiecznie. Jesteśmy obcy, nieznani, podejrzani. Gdy zniknięcie Marsha i Jeffersa zostanie zauważone, uwaga wszystkich skupi się na nas.

– No i jest jeszcze ten mat – dorzucił Billy. – Skoro pomagał Marshowi, to znaczy, że wie o wszystkim, paniczu Julianie.

– Zabij go, Billy.

Zgorzkniały Billy Tipton niepewnie przełknął ślinę.

– Dajmy na to, że go zabiję, paniczu Julianie. To nic nam nie pomoże. Jego zaginięcie także nie przejdzie bez echa, a przecież ten człowiek ma pod sobą innych, całą armię czarnuchów, głupkowatych Szwabów i przerośniętych Szwedów. Nas jest mniej niż dwudziestu, a za dnia muszę działać w pojedynkę. Powinniśmy opuścić ten parowiec, i to jak najszybciej. Nie możemy walczyć z załogą, a nawet gdybyśmy mogli, ja sam z całą pewnością nie dam im rady. Trzeba wiać.

– Zostajemy. To oni powinni bać się nas, Billy. Jak możesz kiedykolwiek zostać mistrzem, skoro wciąż myślisz jak niewolnik? Zostajemy.

– Co zrobimy, gdy zorientują się, że Marsha i Jeffersa nie ma na pokładzie? – zapytał Vincent.

– I co z tym matem? Stanowi zagrożenie – dodał Kurt.

Damon Julian spojrział na Billy'ego i uśmiechnął się.

– Ach – mruknął. Upił łyk drinka. – Naturalnie pozwolimy, aby to Billy uporał się z tymi drobnymi problemami. Billy udowodni nam, jak bardzo jest sprytny, prawda Billy?

– Ja? – Zgorzkniały Billy aż rozdziawił usta ze zdumienia. – Ale ja nie wiem...

– Prawda, Billy?

– Tak – odrzekł pospiesznie Billy. – Tak.

– Mogę załatwić tę sprawę bez dalszego rozlewu krwi – odezwał się nieco pewniejszym tonem Joshua York. – Wciąż jestem kapitanem tej jednostki. Mogę zwolnić pana Dunne'a i wszystkich innych, których się obawiacie. Możemy usunąć ich z pokładu „Fevre Dream” czysto i bez przemocy. Dość już zabijania.

– Doprawdy? – spytał Julian.

– Zwolnienie ich nic nam nie da – rzekł do Yorka Zgorzkniały Billy. – Wzbudziłoby jedynie ich podejrzenia i zażądałoby widzenia z kapitanem Marshem.

– To prawda – przyznał Raymond. – Nie pójda za Yorkiem – dodał, spoglądając na Juliana. – Nie ufają mu. Musiał wyjść na pokład za dnia, aby którykolwiek z nich zgodził się popłynąć w dalszy rejs pod jego komendą. Gdy wyjdzie na jaw, że Marsha

i Jeffersa nie ma na statku, sam York nie zdoła nad nimi zapanować.

Zgorzkniały Billy popatrzył ze zdumieniem i odrobiną szacunku na Joshuę Yorka.

– Zrobił to pan? – wykrztusił. – Wyszedł pan w dzień na pokład?

Innym zdarzyło się wyjść czasem o zmierzchu lub zabawić nieco dłużej po wschodzie słońca, żaden jednak nie wyszedł na zewnątrz w samo południe. Nawet Julian.

Joshua York posłał mu lodowate spojrzenie i milczał.

– Nasz drogi Joshua lubi bawić się w udawanie bydła – rzucił z rozbawieniem Julian. – Może miał nadzieję, że jego skóra zbrązowieje i stanie się chropowata.

Pozostali wybuchnęli śmiechem.

Gdy tamci się śmiali, Zgorzkniały Billy wpadł na pewien pomysł. Podrapał się po głowie i uśmiechnął od ucha do ucha.

– Nie zwolnimy ich – zwrócił się nagle do Juliana. – Mam pomysł. Przepłoszymy ich i sami uciekną. Wiem, jak to zrobić.

– Świetnie, Billy. Co my byśmy bez ciebie zrobili?

– Czy może go pan zmusić, aby zrobił to, co powiem? – zapytał Billy, wskazując palcem Yorka.

– Uczynię wszystko, co konieczne, aby ochronić moich ludzi – rzekł Joshua York – i by ochronić moją załogę. Przymus nie będzie konieczny.

– No, no – mruknął Billy – to naprawdę miło z pana strony. – Wyglądało na to, że pójdzie mu łatwiej, niż przypuszczał. Julian będzie pod wrażeniem. – Muszę założyć czystą koszulę. Pan też niech się przebierze, kapitanie York, a potem zajmiemy się ochroną pańskich ludzi.

– Doskonale – odezwał się półgłosem Julian. – Kurt także pójdzie z wami. – Uniósł szklaneczkę w stronę Yorka w milczącym toaście. – Tak na wszelki wypadek.

Pół godziny później Zgorzkniały Billy zaprowadził Joshuę Yorka i Kurta na pokład kotłowy. Ulewa straciła nieco na sile, a „Fevre Dream” zawinął do Bayou Sara i przycumował obok tuzina stojących tam mniejszych parowców. W głównym salonie podano kolację. Julian i pozostali zjawili się tam wraz z innymi, posilając się jak gdyby nigdy nic.

Miejsce kapitana było jednak puste i prędzej czy później ktoś zwróci na to uwagę. Na szczęście Kudłaty Mike Dunne znajdował się na dole, na pokładzie głównym, pokrzykując na robotników wnoszących na pokład kolejną partię towarów oraz drewno opałowe. Zgorzkniały Billy obserwował go uważnie z góry, zanim rozpoczął realizację swego planu; Dunne był niebezpieczny.

– Najpierw ciało – rzekł Zgorzkniały Bili, prowadząc ich do drzwi kajuty, w której śmierć dopadła Jeana Ardanta. Kurt roztrzaskał zamek jednym ciosem dłoni. Znalazszy się w środku, Billy zapalił lampę i podszedł do tego, co leżało na łóżku. Zgorzkniały Billy zagwizdał. – No, no – mruknął. – Pana koleśie odwalili kawał niezłej roboty! – zwrócił się do Yorka. – Połowa mózgu biednego Jeana wylała się na pościel, a druga połowa rozbryznęła na ścianie.

Szare oczy Yorka przepelniała odraza.

– Do dzieła – powiedział. – Podejrzewam, że chcesz, abyśmy wrzucili ciało do rzeki.

– Bynajmniej – zaproponował Billy. – Spalimy je. W piecu na dole. I nie zniesiemy go na dół po cichu. Wręcz przeciwnie, przejdziemy z nim przez salon i głównymi schodami dotrzemy na pokład kotłowy.

– Dlaczego, Billy? – zapytał lodowato York.

– Bo tak i już! – uciął Billy. – I proszę mi mówić panie Tipton, kapitanie!

Owinęli zwłoki Jeana w prześcieradło, aby nic nie było widać. York podszedł do Kurta, by pomóc mu nieść ciało, ale Billy odsunął go i sam schwycił jeden koniec prowizorycznego całunu.

– Nie wyglądałoby dobrze, gdyby kapitan i współwłaściciel statku musiał taszczyć sztywniaka. Po prostu będzie pan szedł obok nas i sprawiał wrażenie przygnębionego.

Z tym ostatnim York nie miał najmniejszych problemów. Otworzyli drzwi i weszli do salonu, Billy i Kurt nieśli pomiędzy sobą okutane w prześcieradło ciało Jeana. Przy stole połowa miejsc była wolna. Ktoś westchnął głośno, w jednej chwili ucichły wszystkie rozmowy.

– Czy mogę w czymś pomóc, kapitanie York? – zapytał niski

mężczyzna z białymi wąsami i plamami smaru na kamizelce. – Co się stało? Ktoś zmarł?

– Nie zbliżać się! – zawołał Zgorzkniały Billy, gdy mężczyzna postąpił krok w ich stronę.

– Rób, co on każe, Whitey – rzekł York.

Mężczyzna przystanął.

– No jasne, ale...

– To tylko trup – mruknął Zgorzkniały Billy. – Zmarł w swojej kajucie. Znalazł go pan Jeffers. Wszedł na pokład w Nowym Orleanie. Musiał być chory. Był cały rozpalony, gdy pan Jeffers usłyszał jego jęki.

Siedzący przy stole zaniepokoiли się. Jeden z mężczyzn pobladł i biegiem pognął do swojej kajuty. Zgorzkniały Billy z trudem pohamował uśmiech.

– Gdzie jest pan Jeffers? – zapytał Albright, drobny, szczupły pilot.

– Poszedł do swojej kajuty – odrzekł pospiesznie Billy. – Nie czuł się najlepiej. Jest z nim Marsh. Pan Jeffers dziwnie położył na twarzy, z pewnością nie przywykł do oglądania czyjejs śmierci.

Jego słowa wywarły spodziewany efekt, zwłaszcza kiedy Armand nachylił się nad stołem do Vincenta i, tak jak mu kazał Billy, głośnym szeptem powiedział:

– Brązowy John.

Następnie obaj wstali i wyszli, pozostawiając ledwie napoczęty posiłek.

– To nie jest Brązowy John! – rzucił donośnie Billy. Musiał niemal krzyknąć, bo przy stole zrobiło się nagle gwaro, a połowa gości podnosiła się już z krzesel. – Chodźcie, musimy spalić to ciało – dodał i wraz z Kurtem podjął przerwany marsz ku głównym schodom.

Joshua York został nieco w tyle; unosząc dłonie, starał się zbywać dziesiątki pytań, którymi go zarzucono. Przerażeni pasażerowie i załoga wyraźnie starali się omijać Kurta i Billy'ego oraz ich brzemie.

Na głównym pokładzie napotkali jedynie garstkę cudzoziemców, jeżeli nie liczyć robotników zatrudnionych do załadunku towarów.

Piece wygaszono, ale nadal były gorące i Billy oparzył sobie palce, kiedy wraz z Kurtem wpychał owinięte w prześcieradło zwłoki do najbliższego z nich. Wciąż jeszcze pocił się i machał ręką w powietrzu, gdy Joshua York zszedł na dół i zbliżył się do niego.

– Odchodzą – rzekł York z zakłopotaniem na swej bladej twarzy.

– Prawie wszyscy pasażerowie spakowali manatki, a połowa załogi żąda ode mnie natychmiastowej wypłaty należnych im pieniędzy. Palacze, pokojówki, kelnerzy, nawet drugi mechanik Jack Ely. Nic z tego nie rozumiem.

– Brązowy John wybrał się w rejs na pokładzie pańskiego parowca – rzekł Zgorzkniały Billy. – A przynajmniej oni tak myślą.

– Brązowy John? – powtórzył Joshua York, marszcząc brwi.

Billy uśmiechnął się.

– Żółta febra, kapitanie. Widać, że nie był pan w Nowym Orleanie, gdy szalał tam Brązowy John. Nikt nie zechce zabawić na pokładzie dłużej niż to konieczne, nikt nie będzie przyglądać się ciału ani nie spróbuje pomówić z Jeffersem lub Marshem. Pozwoliłem wszystkim sądzić, że złapali żółtą febrę. Widzi pan, febrą bardzo łatwo się zarazić. I szybko się z człowiekiem rozprawia. Robi się żółty, rzyga jakimś cuchnącym świństwem, pali go straszna gorączka, a potem wyciąga kopyta. Spalmy czym prędzej naszego biednego Jeana, niech pomyślą, że sprawa jest naprawdę poważna.

Rozpalenie w piecu zajęło im dziesięć minut, w tym celu musieli skorzystać z pomocy postawnego szwedzkiego palacza, ale udało się. Zgorzkniały Billy widział wyraz jego oczu, gdy ten spostrzegł ciało leżące wśród drewek opałowych, i uśmiechnął się, gdy palacz wziął nogi za pas. Wkrótce z Jeana nic nie zostanie. Ciało stanęło w ogniu. Zgorzkniały Billy patrzył, jak dymi, po czym odwrócił się znudzony. Zauważył beczki łoju stojące opodal.

– Używacie tego podczas wyścigów? – zwrócił się do Yorka.

Joshua skinął głową. Zgorzkniały Billy splunął.

– Tutaj, gdy kapitan staje do wyścigu i potrzebuje więcej pary, wrzuca do pieca wyjątkowo tłustego czarnucha. Łój jest za drogi. Widzisz, ja już znam się nieco na parowcach. Szkoda, że nie zachowaliśmy Jeana na wypadek wyścigu.

Słyszając te słowa, Kurt uśmiechnął się, ale Joshua York miał

marsową minę. Wyraz jego twarzy nie spodobał się Billy'emu, zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszał głos, na który czekał.

– Hej, ty!

Od strony forkasztelu nadciągał chwiejnym krokiem Kudłaty Mike Dunne. Krople deszczu ściekały z obwisłego ronda czarnego filcowego kapelusza i perliły się na jego czarnych wąsach, ubranie przylepiało mu się do ciała. Jego oczy wyglądały jak małe, zielone szklane kulki, w dłoni ścisnął żelazną pałkę i groźnie uderzał nią w otwartą dłoń. Za nim stał tuzin robotników, palaczy i pomocników. Był wśród nich olbrzymi Szwed i jeszcze większy Murzyn z jednym uchem, chudy Mulat dzierżący w dłoni deskę oraz paru facetów z nożami. Mat podszedł bliżej; inni podążyli za nim.

– Kogo tam palisz, chłopcze? – ryknął. – I co to za historia z żółtą febrą? Na tym statku nie ma żadnej zarazy.

– Rób swoje – wyszczał do Yorcka Billy.

Cofnął się od pieca, podczas gdy mat krok po kroku zbliżał się ku niemu.

Joshua York stanął pomiędzy nimi, unosząc ręce.

– Stać! – powiedział. – Panie Dunne, zwalniam pana w trybie natychmiastowym. Odtąd nie jest pan już matem na „Fevre Dream”.

Dunne rzucił mu podejrzliwe spojrzenie. – Nie jestem? – mruknął. A potem skrzywił się. – Akurat, nie może mnie pan wylać!

– Jestem kapitanem i właścicielem tej jednostki.

– Doprawdy? Jeżeli o mnie chodzi, przyjmuję rozkazy od kapitana Marsha. Jak mi powie: idź precz, to pójdę. Do tego czasu zostaję. I proszę nie wmawiać mi, że go pan wykupił. Dość się nasłuchałem kłamstw dziś rano. – Postąpił jeszcze jeden krok naprzód. – A teraz niech pan zejdzie mi z drogi, kapitanie. Pan Billy musi mi odpowiedzieć na kilka pytań.

– Panie Dunne, na tym statku jest zaraza. Zwalniam pana ze względu na pańskie bezpieczeństwo. – Joshua York kłamał z przekonującą szczerością, pomyślał Zgorzkniały Billy. – Pan Tipton będzie naszym nowym matem. Miał już styczność z chorym.

– On? – Żelazna pałka uderzyła w otwartą dłoń mata. – Nie jest pracownikiem żeglugi rzecznej.

– Byłem nadzorcą – rzekł Billy. – Umiem obchodzić się z czarnuchami.

Kudłaty Mike Dunne zaśmiał się.

Zgorzkniały Billy zamienił się w sopel lodu. Nie był w stanie znieść szyderstwa. Nienawidził, gdy się z niego śmiano. W tej sytuacji postanowił, że nie będzie próbował odstraszyć Dunne'a. Zabicie go będzie znacznie przyjemniejsze.

– Masz za sobą całą bandę czarnuchów i białego tałatajstwa – rzekł do mata. – Wygląda na to, że boisz się samemu stanąć ze mną twarzą w twarz.

Zielone oczy Dunne'a zwęziły się groźnie; uderzył pałką w otwartą dłoń jeszcze silniej niż dotychczas. Zrobił dwa szybkie kroki, stając w upiornym blasku bijącym z otwartego pieca, i spojrzał na gorejące zwłoki. Wreszcie znów odwrócił się w stronę Billy'ego.

– Jest tam tylko jeden – mruknął. – To dobrze. Gdyby to był kapitan albo Jeffers, przed zabiciem cię pogruchotałbym ci najpierw wszystkie kości. W tej sytuacji zabiję cię od razu.

– Nie – rzekł Joshua York. Znów zastąpił drogę matowi.

– Proszę opuścić mój statek – rzekł zdecydowanym tonem. – Jest pan zwolniony.

Kudłaty Mike odsunął go na bok.

– Proszę się w to nie mieszać, kapitanie. To będzie uczciwa walka, tylko on i ja. Jeśli mnie załatwi, przejmie funkcję mata. Bez obawy, rozwałę mu łeb, a potem pójdziemy razem, kapitanie, znajdziemy kapitana Marsha i zobaczymy, kto opuści pokład tego statku.

Zgorzkniały Billy sięgnął ręką za siebie i wyciągnął nóż.

Joshua York zrozpaczony wodził wzrokiem od twarzy mata do twarzy Billy'ego i z powrotem. Pozostali mężczyźni wycofali się i głośnymi okrzykami zachęcali Kudłatego Mike'a do walki. Kurt podszedł szybkim krokiem i odciągnął Yorka na bok, aby nie interweniował.

Skąpany w blasku płynącym z pieca Mike Dunne wyglądał jak istota z piekła rodem, dym kłębił się wokół niego, jego skóra poczerwieniała i zaogniła się, woda na włosach wyschła; zbliżał się do Billy'ego, stukając pałką w otwartą dłoń.

Uśmiechnął się.

– Walczyłem już z chłopakami uzbrojonymi w noże – mruknął, przedzielając kolejne słowa uderzeniami pałki w uniesionej dłoni. – To byli prawdziwi twardziele. – Trzask. – Niejeden z nich mnie chlasnął. – Trzask. – Ale widzisz, Billy, rany od noża mają to do siebie, że prędzej czy później się goją.

– Trzask. – Gorzej, gdy ma się rozwalony łeb. – Trzask. Trzask. Trzask.

Billy cofał się powoli, aż w końcu oparł się plecami o stertę skrzyń. Nóż trzymał luźno w dłoni. Kudłaty Mike zauważył, że tamten nie ma już dokąd uciekać i uśmiechnął się, unosząc żelazną sztabę nad głową. A potem z głośnym rykiem rzucił się naprzód.

W tej samej chwili Billy obrócił nóż w dłoni i cisnął nim z całej siły. Ostrze trafiło Kudłatego Mike'a poniżej szczęki, przebiło tkanki i zagłębiło się w mózgu. Mike osunął się na kolana, krew puściła mu się ustami, a potem runął na twarz.

– No, no – mruknął Zgorzkniały Billy, przestępując leżące na pokładzie ciało. Kopnął trupa w głowę i uśmiechnął się do czarnuchów, cudzoziemców i Kurta, przede wszystkim jednak do Joshuy Yorka. – No, no – powtórzył. – Chyba od teraz ja jestem tu matem.

ROZDZIAŁ 21

St. Louis *wrzesień 1857*

Abner Marsh zatrzasnął za sobą drzwi, wpadłszy jak burza do biura spółki Fevre River przy Pine Street.

– Gdzie on jest? – zapytał ostro, przechodząc przez pokój i opierając się o biurko, by spiorunować wzrokiem zdeorientowanego urzędnika. Mucha zakołowała mu nad głową, a Marsh odgonił ją machnięciem ręki.

– Spytałem, gdzie on jest?

Urzędnikiem był młody, wychudzony, śniady mężczyzna w koszulce w prążki i z zielonym daszkiem na czole. Mężczyzna zaczerwienił się.

– Ależ... – wykrztusił – ... kapitanie Marsh, to prawdziwa przyjemność... nigdy nie przypuszczałem... to znaczy my nie przypuszczaaliśmy, że pan, tutaj... Czy „Fevre Dream” zawiął do portu, kapitanie?

Abner Marsh parsknął, wyprostował się i z niesmakiem stuknął końcem swojej laseczki w parkiet.

– Panie Green – burknął – przestań pan bełkotać i słuchaj pan uważnie. Pytałem, gdzie on jest. Jak pan sądzi, panie Green, o co

mogłem pytać?

Urzędnik przełknął ślinę.

– Obawiam się, że nie wiem, kapitanie.

– O, "Fevre Dream"! – ryknął Marsh poczerwieniały na twarzy.
– Chcę wiedzieć, gdzie on jest! Przy nabrzeżu nie stoi, to akurat wiem, oczy mam zdrowe. Nie widziałem go także na rzece. Czy zawiął do portu i znów wypłynął w rejs? Popłynął do St. Paul czy na Missouri? A może na Ohio? Nie rób pan takiej zdziwionej miny, tylko gadaj. Gdzie jest mój przeklęty parowiec?

– Nie wiem, kapitanie – odrzekł Green. – To znaczy, skoro pan nim nie przyplynał, to naprawdę nie mam pojęcia. Nie było go w St. Louis, odkąd wypłynął pan stąd w dalszy rejs w lipcu. Ale słyszeliśmy... to znaczy... my...

– Tak? Co takiego?

– Febra, sir. Słyszeliśmy, że w drodze do Bayou Sara na „Fevre Dream” wybuchła żółta febra. Podobno ludzie marli jak muchy, dosłownie jak muchy. Pan Jeffers i pan też, tak nam powiedziano, wy także mieliście się zarazić. Dlatego nie spodziewaliśmy się... bo przecież wszyscy tam umierali, jeden po drugim. Sądziłyśmy, że go spalili, kapitanie. Parowiec, znaczy się. – Zsunął daszek i podrapał się po głowie. – Chyba przemógł pan gorączkę, kapitanie. Miło mi to słyszeć. Ale... skoro nie ma z panem „Fevre Dream”, to gdzie on jest? Może przyplynał pan tu na jego pokładzie, ale zwyczajnie o tym zapomniał? Słyszałem, że febra czyni ludzi roztargnionymi.

Abner Marsh łypnął na niego spođe łba.

– Nie miałem febry i może pan być pewien, panie Green, że potrafię rozróżnić jeden parowiec od drugiego. Przyplynałem na pokładzie „Princess”. Chorowałem tydzień czy dwa, ale nie była to żółta febra. Przeziębilem się po kąpieli w tej cholerniej rzece; omal nie utonałem po upadku do wody. To właśnie wtedy utraciłem „Fevre Dream” i muszę go odnaleźć, czy to jasne? – Parsknął. – Kto panu naopowiadał tych bujdy o żółtej febrze?

– Załoga, kapitanie, ci, którzy zeszli z pokładu w Bayou Sara. Parę osób zajrzało tu po przybyciu do St. Louis, mniej więcej przed tygodniem. Kilka pytało o pracę na „Elim Reynoldsie”, ale rzecz jasna mamy tam pełną obsadę, więc musiałem ich odprawić. Mam

nadzieję, że postąpiłem właściwie. Pan się nie pojawił, podobnie jak pan Jeffers, więc pomyślałem, że obaj nie żyjecie i nie bardzo wiedziałem, do kogo się zwrócić z prośbą o ewentualne zalecenia.

– Mniejsza o to – mruknął Marsh.

Wieści trochę poprawiły mu humor. Jeżeli Julian i jego banda zajęli parowiec, przynajmniej kilku członków jego załogi zdołało ująć z życiem.

– Kto tu był?

– Jack Ely, drugi mechanik, paru kelnerów i palaczy, Sam Kline i Sam Thompson.

– Czy któryś z nich jeszcze tu jest? Green wrzucił ramionami.

– Kiedy okazało się, że nie mam dla nich zatrudnienia, poszli szukać szczęścia na innych statkach. Nie wiem, kapitanie.

– Cholera – warknął Marsh.

– Chwileczkę. – Urzędnik uniósł jeden palec. – Już wiem! To pan Albright, pilot, mówił mi o febrze. Był tu jakieś cztery dni temu i nie szukał pracy, jego specjalnością jest dolny bieg rzeki, zresztą sam pan wie, toteż „Eli Reynolds” kompletnie się dla niego nie nadawał. Powiedział, że zatrzyma się w Posesji Plantatora, dopóki nie znajdzie zatrudnienia na jednym z bardziej luksusowych statków, jakimś wielkim bocznokołowcu.

– Albright, tak? – rzucił Marsh. – A co z Karlem Frammem? Widział go pan? Jeśli obaj, Framm i Albright, zeszli z „Fevre Dream”, odnalezienie parowca nie powinno okazać się trudne. Bez wykwalifikowanych pilotów statek daleko nie popłynie.

Green jednak zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, nie widziałem pana Framma.

Nadzieje Marsha okazały się płonne. Jeśli Karl Framm wciąż przebywał na statku, „Fevre Dream” mógł być właściwie wszędzie na rzece. Mógł wpłynąć w którąś z odnóg, a nawet powrócić do Nowego Orleanu, podczas gdy on dochodził do siebie w składzie drewna na południe od Bayou Sara.

– Złożę wizytę Danowi Albrightowi – rzekł do urzędnika. – Gdy stąd wyjdę, napisze pan kilka listów. Do agentów, pilotów i wszystkich osób, które pan zna, stąd aż po Nowy Orlean. Chodzi o informacje na temat „Fevre Dream”. Ktoś musiał go widzieć.

Parowiec taki jak ten nie może zniknąć bez śladu. Napisze pan te listy jeszcze dziś po południu, a potem uda się na nabrzeże i roześle je najszybszymi statkami, które napotka pan w porcie. Zamierzam odnaleźć mój parowiec.

– Oczywiście, kapitanie – odparł urzędnik.

Wyjął plik papieru listowego oraz pióro, umoczył je w kałamarzu i zabrał się do pisania.

Recepcjonista w Posesji Plantatora pokiwał głową na powitanie.

– Coś takiego, toż to kapitan Marsh – powiedział. – Słyszałem o tym nieszczęściu, to okropne, żółta febra na pokładzie, coś strasznego! Cieszę się, że już pan wydobrzył, kapitanie, naprawdę.

– Mniejsza o to – burknął Marsh z rozdrażnieniem. – W którym pokoju mieszka Dan Albright?

Albright glansował właśnie buty. Wpuścił Marsha, witając go lekkim skinieniem głowy, wrócił na swoje miejsce i podjął przerwana czynność jak gdyby nigdy nic.

Abner Marsh usiadł ciężko; nie zamierzał wdawać się w zbędne dyskusje.

– Dlaczego opuścił pan pokład „Fevre Dream”? – zapytał wprost.

– Febra, kapitanie – odrzekł Albright. Przez chwilę przyglądał się Marshowi, po czym bez słowa wrócił do glansowania butów.

– Proszę mi o tym opowiedzieć, panie Albright. Nie było mnie na statku.

Dan Albright zmarszczył brwi.

– Nie było pana na statku? Ale przecież podobno to właśnie pan i pan Jeffers zetknęliście się z pierwszym chorym.

– Jest pan w błędzie. Proszę mi o wszystkim opowiedzieć.

Albright, polerując buty, opowiedział mu całą historię – o burzy, kolacji, zwłokach, które Joshua York, Zgorzkniały Billy Tipton i ten trzeci przenieśli przez salon, o ucieczce pasażerów i załogi. Mówił krótko i rzeczowo. Kiedy skończył, jego buty lśniły. Wzuł je.

– Czy wszyscy odeszli? – zapytał Marsh.

– Nie – odparł Albright. – Kilku zostało. Niektórzy nie znają febry tak dobrze jak ja.

– Kto?

Albright wzruszył ramionami.

– Kapitan York. Jego przyjaciele. Kudłaty Mike. I garstka robotników oraz palaczy. Chyba nie odeszli dlatego, że bali się Kudłatego Mike’a. Zwłaszcza tu, w krainie niewolnictwa. Mógł także zostać Whitey Blake. I, jak sądziłem, pan oraz pan Jeffers.

– Pan Jeffers nie żyje – rzekł Marsh.

Albright nie skomentował tego.

– Co z Karlem Frammem? – zapytał Marsh.

– Nie wiem.

– Byliście współnikami.

– Ale diametralnie różnymi. Nie widziałem go. Nie wiem.

Marsh zmarszczył brwi.

– Co się stało po przyjęciu przez pana odprawy?

– Spędziłem dzień w Bayou Sara, a potem wyruszyłem w rejs na „Natchezie” z kapitanem Leathersem. Dotarłem do Natchez, trochę się tam rozejrzałem, spędziłem tam mniej więcej tydzień i wróciłem „Robertem Folkem” do St. Louis.

– Co się stało z „Fevre Dream”?

– Odpłynął.

– Odpłynął?

– Tak przypuszczam. Kiedy się obudziłem następnego ranka po wybuchu epidemii żółtej febry, nie było go już w Bayou Sara.

– Wypłynął bez załogi?

– Najwyraźniej na pokładzie zostało dość ludzi, by można go obsługiwać – mruknął Albright.

– Dokąd się udał?

Albright wzruszył ramionami.

– Będąc na „Natchezie”, nie widziałem go. Ale może zwyczajnie go przeoczyłem. Zresztą wcale go nie wypatrywałem. Może popłynął w dół rzeki.

– Naprawdę bardzo mi pan pomógł, panie Albright – rzekł Marsh.

– Nie mogę powiedzieć tego, czego nie wiem – odparował pilot.

– Może go spalono. Przez febrę. Chyba nie trzeba było nadawać mu takiej feralnej nazwy. To przynosi pecha.

Abner Marsh zaczął tracić cierpliwość.

– Nie został spalony – odrzekł. – Jest gdzieś tam, na rzece, i odnajdę go. I wcale nie jest pechowy.

– Byłem na nim pilotem, kapitanie. Widziałem. Burze, mgła, opóźnienia i potem ta febra. Ten statek był przeklęty. Na pańskim miejscu dałbym sobie z nim spokój. Nie przyniesie panu nic dobrego. Ta łajba to nieszczęście. Pływający pech. – Wstał. – Właśnie sobie przypomniałem, że mam coś, co należy do pana. – Wyjął dwie książki i podał Marshowi. – Z biblioteki „Fevre Dream” – wyjaśnił. – Graliśmy w Nowym Orleanie w szachy z kapitanem Yorkiem i wspomniałem mu, że lubię poezję, a następnego dnia dał mi te dwa zbiorki wierszy. Schodząc ze statku, przez pomyłkę wziąłem te dwa tomiki ze sobą.

Abner Marsh obrócił książki w dłoniach. Wiersze. Wybór poezji Byrona i Shelleya. Tylko tego było mu trzeba. Jego statek zniknął, jakby rozpułnął się w powietrzu, a jedyne, co mu po nim zostało, to dwa tomiki wierszy.

– Niech je pan zatrzyma – rzekł do Albrighta.

Ten pokręcił głową.

– Nie chcę ich. Nie przepadam za taką poezją, kapitanie. Jest bezbożna. Amoralna. Nic dziwnego, że pański statek diabli wzięli... skoro miał na pokładzie takie plugastwa...

Abner Marsh włożył tomiki do kieszeni i wstał z posępną miną.

– Dość tego, panie Albright. Nie pozwolę, by ktokolwiek w mojej obecności wyrażał się w ten sposób o moim statku. To najlepsza jednostka na tej rzece i wcale nie ciąży na niej przekleństwo. Zresztą nie ma czegoś takiego jak klątwa. „Fevre Dream” to najwspanialszy...

– To prawda – przerwał Dan Albright. On również wstał. – Muszę iść na nabrzeże – powiedział, prowadząc Marsha ku drzwiom. Marsh nie próbował oponować. Jednakże, gdy już byli przy drzwiach, niski elegancki pilot dodał: – Niech pan da temu spokój, kapitanie.

– Co takiego?

– Mówię o parowcu – rzekł Albright. – Nie przyniesie panu nic dobrego. Wie pan, że zawsze wyczuwam, gdy zbiera się na burzę?

– Tak – odparł Marsh. Albright wyczuwał burzę jak nikt inny.

– Niekiedy wyczuwam także inne rzeczy – ciągnął pilot. – Niech pan nie szuka tego statku, kapitanie. Proszę o nim zapomnieć. Sądziłem, że pan nie żyje. Pomyliłem się. Powinien się pan cieszyć. Odnalezienie „Fevre Dream” nie przysporzy panu radości.

Abner Marsh patrzył na niego.

– To pan tak twierdzi. Stał pan za sterem i przeprowadził mój statek w dół rzeki, wolno panu tak twierdzić.

Albright milczał.

– Cóż, nie zamierzam pójść za pańską radą – mruknął Marsh. – To mój parowiec, panie Albright, i któregoś dnia sam będę go pilotował, stanę do wyścigu z „Eclipse” i... i... – Poczzerwieniały z wściekłości Marsh nie był w stanie wykrztusić z siebie nic więcej.

– Pycha to grzech śmiertelny, kankanie – rzekł Dan Albright. – Niech pan da spokój. – Zamknął drzwi, pozostawiając Marsha na korytarzu.

Abner Marsh spożył lunch w hotelowej jadalni, wybierając nie rzucający się w oczy stół w kącie. Albright mocno nim wstrząsnął i znów zaczęły nawiedzać go myśli, które dręczyły go podczas rejsu w górę rzeki na pokładzie „Princess”.

Zjadł udziec jagnięcy w sosie miętowym z warzywami oraz trzy dokładki tapioki, ale nawet to go nie uspokoiło. Pijąc kawę, zastanawiał się, czy Albright nie miał czasem racji. Oto znów był w St. Louis, w tej samej sali, jak wtedy, przed spotkaniem z Joshua Yorkiem. Nadal miał swoją firmę, „Eliego Reynoldsa” i pewną sumkę na koncie w banku. Jego specjalnością był górny bieg rzeki, podróż do Nowego Orleanu wydała mu się fatalną pomyłką. Jego marzenie zmieniło się w koszmar, tu, w krainie niewolnictwa, na gorącym, gwałtownym południu. Ale teraz było już po wszystkim, jego parowiec przepadł, jakby się zapadł pod ziemię i gdyby tylko zechciał, mógłby udawać, że to wszystko w ogóle się nie wydarzyło, że nigdy nie istniał parowiec o nazwie „Fevre Dream” ani on sam nie spotkał Joshuy Yorka, Damona Juliana czy Zgorzkniałego Billy’ego Tiptona. Joshua przybył znikąd i wrócił tam, skąd przyszedł. W kwietniu „Fevre Dream” jeszcze nie istniał, a teraz znów go nie było, przynajmniej w mniemaniu Marsha. Kto przy zdrowych zmysłach uwierzyłby w taką historię – picie krwi, nocne wyprawy

i paskudny trunek w szczelnie zalakowanych butelkach. To wszystko zdawało się snem, majakiem wywołanym gorączką, pomyślał Marsh, ale teraz gorączka minęła i mógł zająć się sobą, ułożyć sobie życie tu, w St. Louis. Marsh zamówił kolejną kawę. Będą mordować nadal, pomyślał, sącząc wonny napar, nie zaprzestaną picia krwi i zabijania, dopóki ktoś ich nie powstrzyma.

– Mnie się nie udało – wymamrotał. Ale przynajmniej próbował, on, Joshua, Kudłaty Mike i nieszczęsny pan Jeffers, który nigdy się niczemu nie dziwił i który nigdy już nie zagra w szachy. Nie udało się im. Niczego nie osiągnęli. Powiadomienie władz również niczego nie da, kto uwierzyłby w opowieść o bandzie wampirów, która skradła parowiec jego kapitanowi? Uwierzono by raczej w wysaną z palca historię o żółtej febrze, a jego zamknięto by w zakładzie dla obłąkanych jako wariata.

Abner Marsh zapłacił rachunek i wrócił do biura swojej firmy. Przed budynkiem panował spory hałas i ruch. Niebo było czyste, bez jednej chmurki, rzeka płynęła leniwie, skrząc się w promieniach słońca, powietrze przesyciła silna woń, zapach dymu i pary; po chwili rozległo się zawodzenie syren okrętowych statków mijających się na rzece i dźwięk dzwonu bocznokołowca przybijającego do brzegu. Oficerowie krzyczeli na całe gardło, a robotnicy śpiewali podczas załadunku, Abner Marsh zaś stał, patrzył i słuchał. To było jego życie, tamto stanowiło jedynie marzenie wywołane gorączką. Joshua powiedział mu, że wampiry mordowały od tysięcy lat. Czy Marsh mógł ludzić się nadzieją, że zdoła zmienić ten stan rzeczy? A może Julian miał rację. Zabijanie tkwiło w ich naturze. Marsh miał w swej naturze pływanie po rzece. Nie był wojownikiem. York i Jeffers próbowali podjąć walkę i słono za to zapłacili.

Wchodząc do biura, Marsh był już niemal pewien, że Dan Albright miał rację. Zapomni o „Fevre Dream”, o wszystkim, co się wydarzyło, tak, to było najrozsądniejsze wyjście. Będzie prowadził swoją firmę, może zarobi trochę grosza i za rok lub dwa zbuduje kolejny, jeszcze większy statek.

Green krzątał się po pokoju.

– Kapitanie, napisałem dwadzieścia listów – powiedział do Marsha. – Już je wysłałem, tak jak pan kazał.

– Świetnie – mruknął Marsh, sadowiąc się w fotelu. Omal nie usiadł na tomikach wierszy, które miał w kieszeniach. Wyjął je i pospiesznie przekartkował, zerkając na kilka tytułów, poczym odłożył je na bok. Tak, rzeczywiście były to tomiki poezji. Marsh westchnął. – Proszę mi podać księgi, panie Green – rzekł. – Chcę na nie zerknąć.

– Oczywiście, kapitanie – odparł Green. Podeszedł i wyjął je. Nagle spostrzegł coś jeszcze i wyjąwszy, podał Marshowi wraz z księgami. – Och – mruknął. – Na śmierć o tym zapomniałem. – Wręczył Marshowi okazałą paczkę owiniętą w brązowy papier i przewiazaną sznurkiem. – Przyniósł to pewien drobny mężczyzna jakieś trzy tygodnie temu, powiedział, że miał pan to odebrać, ale się pan nie pokazał. Wyjaśniłem mu, że jest pan na „Fevre Dream” i zapłaciłem. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem.

Abner Marsh, zmarszczywszy brwi, spojrzał na paczkę, rozerwał gołymi rękami sznurek i rozdarł papier, by otworzyć pudełko.

Wewnątrz znajdował się nowy kapitański surdut z dwoma rzędami błyszczących, srebrnych guzików i wyszytą na każdym z nich nazwą „Fevre Dream”.

Wyjął surdut, pudełko spadło na podłogę, a w chwilę później z oczu kapitana pociekły łzy.

– Wyjdź pan stąd! – ryknął Marsh.

Urzędnik tylko raz na niego spojrzał i natychmiast opuścił pokój. Abner Marsh wstał, włożył białą marynarkę i pozapinał srebrne guziki. Surdut pasował, jak ulał. Był piękny, znacznie ładniejszy niż ten gruby, granatowy, który nosił. W biurze nie było lustra, toteż Marsh nie widział, jak wygląda, ale mógł to sobie wyobrazić. Oczyma wyobraźni postrzegał siebie jak Joshuę Yorka, eleganckiego, władczego i wytwornego. Ta biel jest nieskazitelna, pomyślał.

– Wyglądam jak kapitan „Fevre Dream” – rzekł sam do siebie Abner Marsh.

Stuknął laseczką o podłogę i poczuł, że krew napływa mu do twarzy, a stojąc tak, zaczął sobie przypominać. Przypomniawszy sobie, jak błyszczały lustra na jego statku, jak lśniły polerowane srebra, jak przejmująco zawodziła syrena parowa i jak donośnie pracował silnik,

jego dźwięk przywodził na myśl grzmot nadciągającej burzy.

Przypomniał sobie, jak zostawili w tyle „Southernera” i jak gładko prześcignęli „Mary Kaye”. Przypomniał sobie także załogę – Framma z jego wyssanymi z palca historiami, Whiteya Blake’a z płamami smaru, Toby’ego zabijającego kurczaki, Kudłatego Mike’a wrzeszczącego na swoich podwładnych, wiecznie zdenerwowanego i piekącego się z byle powodu, Jeffersa grającego w szachy i po raz setny pokonującego Dana Albrighta. Skoro Albright był taki bystry, pomyślał Marsh, jakim cudem nigdy nie zdołał wygrać z Jeffersem w szachy?

Przed wszystkim jednak Marsh przypomniał sobie Joshuę, odzianego od stóp do głów na białą, Joshuę popijającego swój trunek, siedzącego w ciemnościach i snującego swe marzenia. Szare oczy, silne dłonie i wiersze. „Wszyscy dokonujemy wyborów” – rozległ się szept z jego wspomnień.

Ranki weszły, minęły, ale dnia nie było.

– Green! – zawołał na cały głos Abner Marsh.

Drzwi otworzyły się i urzędnik niepewnie zajrzał do środka. – Chcę mój parowiec! – rzekł Marsh. – Gdzie on jest, u licha?

Green nerwowo przełknął ślinę.

Jak już mówiłem, kapitanie, „Fevre Dream”...

– Nie o niego mi chodzi! – zaoponował Marsh, stukając mocno końcem laski w podłogę. – Mam na myśli mój drugi statek. Gdzie, u licha, jest mój drugi parowiec, kiedy go potrzebuję?

ROZDZIAŁ 22

Na pokładzie parowca „Eli Reynolds” rzeka Missisipi, październik 1857

Pewnego chłodnego jesiennego wieczoru Abner Marsh i „Eli Reynolds” opuścili w końcu St. Louis i popłynęli w dół rzeki na poszukiwanie „Fevre Dream”. Marsh wypłynąłby już kilka tygodni wcześniej, ale miał zbyt wiele pracy. Musiał poczekać, aż „Eli Reynolds” wróci z ostatniego rejsu w górę Illinois, i sprawdzić, czy statek na pewno nadaje się do pływania w dolnym biegu rzeki, jak również zatrudnić paru pilotów znających Missisipi. Marsh musiał także rozliczyć się z plantatorami i spedytorami, którzy w St. Louis załadowali na pokład „Fevre Dream” towary do Nowego Orleanu i wściekli się na wieść o zaginięciu parowca. Marsh mógł upierać się, by pogodzili się ze stratą, nie domagając się od niego zwrotu poniesionych szkód, ale zawsze szczylił się swą uczciwością, przeto wypłacił każdemu z nich po pięćdziesiąt centów z dolara. Ponadto konieczne było również odbycie nieprzyjemnej rozmowy z krewnymi pana Jeffersa – Marsh uznał, że nie może powiedzieć im, co się wydarzyło naprawdę, poprzestał więc na bajeczce o żółtej febrze. Krewni pozostałych członków jego załogi, których los pozostawał nieznanym, zasypywali Marsha dziesiątkami pytań, na

które nie był w stanie odpowiedzieć, poza tym musiał jeszcze rozmówić się z inspektorem rządowym, pracownikiem stowarzyszenia pilotów, zrobić porządek w księgach rachunkowych, poczynić wszelkie przygotowania i wszystko to w efekcie spowodowało miesięczne opóźnienie, cztery tygodnie frustracji, smutku i niepokoju.

Mimo to przez cały ten czas Marsh nie ustawał w poszukiwaniach. Kiedy rozesłane przez Greena listy nie przyniosły rezultatu, wysłał następne. W wolnym czasie wychodził na spotkanie zawijających do portu parowców i wypytywał o „Fevre Dream”, Joshuę Yorka, Karla Framma, Whiteya Blake’a, Kudłatego Mike’a Dunne’a i Toby’ego Lanyarda. Wynajął paru detektywów i wysłał ich w dół rzeki z zaleceniem, by zebrali możliwie jak najwięcej informacji. Zapożyczył nawet sztuczkę od Joshuy – zaczął kupować gazety wydawane w górnym i dolnym biegu rzeki – nocami ślęczał nad kolumnami spedycyjnymi, ogłoszeniami oraz listami parowców przychodzących i odchodzących z tak odległych miast jak Cincinnati, Nowy Orlean i St. Paul. Częściej niż zwykle odwiedzał też Posesję Plantatora i inne nadrzeczne lokale, zadając tysiące pytań.

Nie dowiedział się niczego. Wydawało się, że „Fevre Dream” rozplynał się w powietrzu. Nikt go nie widział. Nikt nie rozmawiał z Whiteyem Blakiem, panem Frammem ani Kudłatym Mikiem. Nikt nie słyszał o żadnym z nich. W gazetach nie odnotowano informacji o jego zawinięciu do któregoś z portów lub wyjściu z nich.

– To nie ma sensu – poskarżył się głośno Marsh oficerom z „Eliego Reynoldsa” na tydzień przed wyjściem z portu. – Ma trzysta sześćdziesiąt stóp długości, jest nowiusieńki i tak szybki, że każdy kapitan parowca na jego widok wybałusza oczy. Takiego statku nie sposób nie zauważyć.

– Chyba że poszedł na dno – wtrącił Cat Grove, niski, żylasty mat z „Eliego Reynoldsa”. – Na rzece są głębiny, w których mogłyby zmieścić się całe miasta. Mógł zatonać z całą załogą.

– Nie – burknął z uporem Abner Marsh. Nie opowiedział im wszystkiego. Nie potrafił. Nikt z nich nie był na pokładzie „Fevre Dream”, nie uwierzyliby mu. – Nie, on nie poszedł na dno. Jest

gdzieś tam, ukrywa się przede mną. Ale prędzej czy później odnajdę go.

– W jaki sposób? – zapytał Yoerger, kapitan „Eliego Reynoldsa”.

– To długa rzeka – przyznał Marsh – z mnóstwem odnóg, mniejszych dopływów, załomów i zalewisk, w każdym z tych miejsc z łatwością mógłby się skryć parowiec pragnący zniknąć komuś z oczu. Nie jest jednak na tyle długa, by nie można przeszukać jej całej. Możemy zacząć od jej górnego krańca i płynąć w dół rzeki, rozpytując ludzi po drodze, a jeśli dotrzemy do Nowego Orleanu i wciąż nie natrafimy na jego ślad, powtórzymy tę samą czynność na Ohio, Missouri, Illinois, Yazoo, Red River i w każdym innym miejscu, gdzie może skrywać się ten cholerny statek.

– To pewnie trochę potrwa – rzekł Yoerger.

– A jeżeli nawet?

Yoerger wzruszył ramionami i oficerowie z „Eliego Reynoldsa” wymienili między sobą niepewne spojrzenia. Abner Marsh sposepniał.

– Nie zaprzatajcie sobie głowy, ile czasu to nam zajmie – uciął. – Po prostu przygotujcie mój parowiec do drogi, jasne?

– Tak jest, kapitanie – rzekł Yoerger.

Był wysokim, przygarbionym, chudym jak tyka starszym mężczyzną o cichym głosie; pracował na parowcach, odkąd tylko się pojawiły, nic go zatem nie dziwiło i jego ton jasno to wyrażał.

Gdy nadszedł dzień, Marsh włożył swój biały kapitański surdut z dwoma rzędami srebrnych guzików. Wydał mu się on najodpowiedniejszy na tę okazję. Zjadł sutą kolację w Posesji Plantatora – posiłki na „Elim Reynoldsie” nie należały do najlepszych, a kuk mógł co najwyżej służyć Toby’emu za pomywacza – po czym udał się na nabrzeże.

„Eli Reynolds” zwiększał już ciśnienie pary, co Marsh przyjął z aprobatą. Mimo to statek nie prezentował się okazale. Była to jednostka przeznaczona do pływania w górnym biegu rzeki, mała, wąska i niska, przystosowana do ciasnych płycizn będących jej domeną. Miała zaledwie jedną czwartą długości zaginionego „Fevre Dream”, połowę jego szerokości i mogła zabrać na pokład mniej

więcej sto pięćdziesiąt ton ładunku w porównaniu z wynoszącą tysiąc ton ładownością większego parowca. „Reynolds” miał tylko dwa pokłady, brakowało deku teksaskiego, a załoga zajmowała dziobowe kajuty na pokładzie kotłowym. Zresztą statek ten rzadko zabierał pasażerów. Koło rufowe napędzał jeden wielki wysokociśnieniowy kocioł, a sama jednostka wyglądała na bardzo toporną i prymitywną. Nie miała na pokładzie prawie żadnego ładunku, dzięki czemu Marsh mógł dostrzec znajdujący się w przedniej części statku ogromny kocioł. Rzędy prostych, bielonych, drewnianych kolumn wspierających górne pokłady wyglądały jak szczudła, te zaś, na których wznosił się taras spacerowy, kanciaste i pospolite, przywodziły na myśl sztachety w płocie. Sterówka rufowa była wielką, prostokątną, drewnianą skrzynią, koło rufowe zaś wyglądało jak ostatnie nieszczęście – wskutek długiego użytkowania pokrywająca je czerwona farba złuszczyła się i wyblakła. Gdzie indziej odpadała płatami. Pilotówka, przypominająca wygodkę z drewna i szkła, znajdowała się na samej górze jednostki, a grube, pękate, czarne kominy z bliska okazywały się pozbawionymi ozdób rurami z czarnego żelaza. Widać było, że „Eli Reynolds” ma już swoje lata, wyglądał na potwornie utrudzonego i miał lekki przechył, jakby lada moment zamierzał wyrzucić się do góry dnem i zatonać.

W starciu z potężnym, ogromnym „Fevre Dream” był pozbawiony szans. Marsh nie dysponował jednak niczym innym, i to musiało mu wystarczyć.

Zszedł na pokład parowca po starym, spaczonym i mocno już wytartym trapie.

Cat Grove spotkał się z kapitanem na forkasztelu.

– Wszystko gotowe, kapitanie – oznajmił.

– Proszę wydać pilotowi polecenie wyprowadzenia jednostki z portu – rzekł Marsh.

Grove wykrzyczał rozkaz i po chwili rozległ się dźwięk syreny parowej. Odgłos był cichy, płaczliwy i pełen osobliwej odwagi, pomyślał Marsh. Wspiął się po wąskich, stromych schodach do głównej sali, mrocznej i ciasnej, długości niespełna czterdziestu stóp. Podłoga wyłożona była wyświechtanym dywanem, landszafty na

drzwiach kabin dawno wyblakły. Wnętrze statku cuchnęło wonią zjełczałego tłuszczu, kwaśnego wina, smarów, dymu i potu. Na dodatek było tu potwornie gorąco, a przez brudny świetlik w suficie wpadało niewiele światła. Yoerger i pilot nie mający akurat wachty popijali kawę przy okrągłym stoliku, kiedy Marsh wszedł do sali.

– Czy mamy na pokładzie łój? – zapytał Marsh.

Yoerger pokiwał głową.

– I niewiele więcej poza tym, o ile zdołałem się zorientować – dodał Marsh.

Yoerger zasepił się.

– Pomyślałem sobie, że tak właśnie by pan wołał, kapitanie. Z pełnym ładunkiem bylibyśmy wolniejsi i musielibyśmy zarządzać częstsze postoje.

Abner Marsh zastanowił się przez chwilę, po czym z aprobatą pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział. – To całkiem sensowne. Czy moja druga paczka już przyszła?

– Jest w pańskiej kajucie – rzekł Yoerger.

Marsh opuścił ich i udał się do swojej kajuty. Koja zaskrzypiała pod nim, kiedy usiadł na brzegu, otworzył paczkę, po czym wyjął strzelbę i naboje. Przyjrzał się jej uważnie, zważył w dłoni, zajrzał w głąb lufy. Przyjemny ciężar. Poczul się nieco lepiej. Może lud nocy nic sobie nie robił z kul pistoletowych czy karabinowych, ale ta strzelba była prawdziwym cackiem wykonanym na specjalne zamówienie przez najlepszego rusznikarza z St. Louis. Była to strzelba na bawoły, z krótką, szeroką, ośmiokątną lufą, z przeznaczeniem do strzelania z konia i powalenia szarżującego bizona jednym pociskiem. Pięćdziesiąt naboji było większych niż jakiegokolwiek inne, wykonane dotąd przez miejscowych rusznikarzy. „Do licha” – poskarżył się wykonawca broni. „Te kule rozwalą na strzepy wszystko, w co trafią. Nie pozostanie nic do powieszenia na ścianie”. Abner Marsh tylko pokiwał głową. Celność broni pozostawiała nieco do życzenia, zwłaszcza w rękach Marsha, ale do tego zadania nadawała się idealnie. Z bliskiej odległości do cna zetnie uśmiech z twarzy Damona Juliana, a na dokładkę zmiecie mu jeszcze głowę z szyi. Marsh starannie naładował broń i zawiesił na

ścianie nad łóżkiem, gdzie mógł usiąść i zdjąć ją z haków jednym płynnym ruchem. Dopiero wtedy się położył.

I tak się to zaczęło. Dzień po dniu „Eli Reynolds” płynął w dół rzeki pośród deszczu i mgły, w prażącym słońcu i w nie pogodę, zatrzymując się w każdym mieście, punkcie postoju parowców i przy składach drewna, by kapitan mógł zadać napotkanym ludziom choćby kilka pytań.

Abner Marsh siedział na pokładzie huraganowym, na drewnianym krześle, obok starego, pękniętego dzwonu parowca, i godzina po godzinie obserwował rzekę. Czasami nawet tam jadał. Gdy musiał udać się na spoczynek, jego miejsce zajmował kapitan Yoerger, Cat Grove albo ich pierwszy oficer i tak czuwanie trwało dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdy mijali ich flisacy na tratwach albo płaskodenkach lub inne parowce, Marsh wołał:

– Hej, tam! Widzieliście może parowiec o nazwie „Fevre Dream”?

Niezmiennie otrzymywał jedną i tę samą odpowiedź:

– Nie, kapitanie, nie widzieliśmy. Na pewno.

Robotnicy portowi ani pracownicy składu drewna także nie potrafili im pomóc, na rzece roiło się od parowców, pływały po niej dzień i noc, duże i małe, brnące pod prąd i sunące z prądem, szybkie i uwięzione na piaszczystych mieliznach, żaden z nich nie był jednak poszukiwanym „Fevre Dream”.

„Eli Reynolds” był małą jednostką na wielkiej rzece, płynącą w takim tempie, że inny kapitan z pewnością zacerwieniłby się ze wstydu, a postoje i przestoje jeszcze bardziej opóźniały rejs. Mimo to mijali kolejne miasta, składy drewna, lasy, posesje i parowce, dni i noce zlewały się w jedno, wysepki i mielizny pozostawały za nimi, podczas gdy pilot wprawnie kierował statkiem, omijając niebezpieczne płycizny i kryjące się pod wodą kłody drewna, i choć niespiesznie, statek nieubłaganie posuwał się coraz dalej na południe. Dotarli do Sante Genevieve i minęli je, potem Cape Girardeau, Crusno, zabawili nieco w Hichran i trochę dłużej w New Madrid. Carutherville tonęło wśród mgieł, lecz odnaleźli je. Osceola była cicha, a Memphis hałaśliwa.

Helena. Rosedale. Arkansas City. Napoleon. Greenville. Lake

Providence.

Kiedy pewnego szarego październikowego ranka, "Eli Reynolds" zawinął do Vicksburga, na nabrzeżu czekało dwóch mężczyzn.

Abner Marsh odesłał na brzeg prawie całą załogę. Wraz z kapitanem Yoergerem i Catem Grove'em spotkali się z gośćmi w głównej sali na pokładzie parowca. Jeden z mężczyzn był potężnie zbudowany i barczysty, łysy jak kolano, choć o gęstych rudych wąsach i bokobrodach, miał na sobie prosty, czarny garnitur. Drugi, szczuplejszy, ubrany elegancko czarnoskóry mężczyzna miał niezwykle przenikliwe, ciemne oczy. Marsh zaprosił ich, by usiedli, i poczęstował kawą.

– No i co? – zapytał. – Gdzie on jest?

Łysy, który próbował dmuchaniem ostudzić kawę, skrzywił się.

– Nie wiemy.

– Zapłaciłem wam, abyście odnaleźli mój statek – rzekł Marsh.

– Jego nie da się odnaleźć, kapitanie Marsh – wtrącił czarny. – Hank i ja szukaliśmy, gdzie się dało, zaręczam panu.

– Nie mówię, że nic nie mamy – dodał łysy. – Tyle tylko, że nie zdołaliśmy jak dotąd ustalić miejsca, gdzie obecnie znajduje się pański statek.

– W porządku – burknął Marsh. – Mówcie, czego się dowiedzieliście.

Czarny wyjął z kieszeni marynarki kartkę papieru i rozłożył ją.

– Większość pańskiej załogi i prawie wszyscy pasażerowie zeszli z pokładu w Bayou Sara w obawie przed epidemią żółtej febry. Następnego ranka „Fevre Dream” ruszył w dalszą drogę. Popłynął w górę rzeki. Znaleźliśmy kilku czarnuchów obsługujących składy drewna, u których rzekomo uzupełniał zapas opału. Możliwe, że skłamaczy, choć nie widzę powodu, dla którego mieliby to robić. Znamy kierunek, w jakim zmierzał. Mamy oświadczenia wielu osób twierdzących, że widziały, jak płynął w stronę Natchez. A przynajmniej tak się im wydawało.

– Tyle tylko, że nigdy do Natchez nie dotarł – wtrącił jego kolega. – To... jakieś... osiem, dziesięć godzin rejsu w górę rzeki.

– Mniej – poprawił Abner Marsh. – „Fevre Dream” był diabło szybką jednostką.

– Szybka czy nie, zaginął gdzieś pomiędzy Bayou Sara a Natchez.

– W tej okolicy znajduje się odnoga Red River – wtrącił Marsh.
Czarny skinął głową.

– Ale pański statek nie dotarł do Shreveport ani do Aleksandrii, a żaden z pracowników składu drewna nie przypomina sobie, aby „Fevre Dream” pobierał u nich opał.

– Niech to szlag – zaklął Marsh.

– Może jednak zatonał – podsunął Cat Grove.

– Mamy coś jeszcze – dodał łysy detektyw. Upił łyk kawy. – Pańskiego parowca nie widziano w Natchez, jednak zauważono tam kilka z poszukiwanych przez pana osób.

– Proszę mówić dalej – ponaglił Marsh.

– Spędziliśmy sporo czasu przy Silver Street – powiedział łysy. – Wypytywaliśmy ludzi. Okazało się, że obecny na pańskiej liście Raymond Ortega jest tam dość znaną osobą. Wrócił którejs nocy na początku września, złożył towarzyską wizytę jednemu z nababów ze wzgórza i odbył sporo spotkań z podejrzanymi typami z dołu. Było z nim czterech innych. Opis jednego z nich pasuje jak ulał do Zgorzkniałego Billy’ego Tiptona. Zabawili tam tydzień. Robili ciekawe rzeczy. Wynajęli sporo ludzi, białych, kolorowych, bez różnicy. Wie pan, jakiego rodzaju ludzi można nająć w Natchez-under-the-hill.

Abner wiedział doskonale. Zgorzkniały Billy przepłoszył załogę Marsha i zastąpił ją podobnymi sobie typami spod ciemnej gwiazdy.

– Ludzi rzeki? – zapytał.

Łysy potaknął.

– To nie wszystko. Tipton odwiedził też Fork-in-the-Road.

– To wielkie targowisko niewolników – rzekł jego czarny towarzysz.

– Kupił sporo niewolników. Płacił złotem. – Łysy wyjął z kieszeni złotą dwudziestodolarówkę i położył na stole. – Płacąc takimi monetami, w Natchez kupił też wiele innych rzeczy.

– O jakich rzeczach mowa? – wtrącił Marsh.

– Dla niewolników – odrzekł czarny. – Łańcuchy. Okowy. Młoty.

– I mały zapas farby – dorzucił drugi.

Wtem prawda poraziła Marsha jak grom z jasnego nieba.

– Boże święty – wychrypiał. – Farba! Nic dziwnego, że nikt go nie widział. Są sprytniejsi, niż myślałem. Ależ ze mnie głupiec. Że też wcześniej na to nie wpadłem! – Rąbnął wielkim kułakiem w blat stolika tak mocno, że aż podskoczyły obie filiżanki z kawą.

– Domyślamy się, o czym pan myśli – powiedział łysy. – Przemalowali statek. I przemianowali go.

– Mały zapas farby nie wystarczy do odmienienia wyglądu słynnego parowca – zaproponował Yoerger.

– Nie – przyznał Marsh. – Ale mój statek nie był jeszcze sławny. Do kata, odbyliśmy raptem jeden kurs w dół rzeki, rejs w jedną stronę. Ilu ludzi mogło o nim słyszeć? Ilu mogłoby go rozpoznać? Każdego dnia na rzece pojawiają się nowe statki. Wystarczy przybić na osłonach kół tablice z nową nazwą, przemalować to i owo i ma się całkiem nową jednostkę.

– Ale „Fevre Dream” był olbrzymi – dodał Yoerger. – I, jak pan powiedział, szybki.

– Na tej przekłętej rzece jest mnóstwo wielkich parowców – odrzekł Marsh. – To prawda, wielkością przewyższał prawie wszystkie prócz „Eclipse”, ale ile osób jest w stanie ocenić rozmiary jednostki, nie mogąc porównać jej z inną? Co do szybkości, wystarczy, że będą utrzymywać umiarkowaną. W ten sposób nikt nie zwróci na nich uwagi. – Marsh był wściekły. To właśnie robili, był o tym przekonany, płynęli wolno, znacznie poniżej możliwości jednostki, aby ludzie nie zainteresowali się nią i nie zaczęli o niej mówić.

Nie wiadomo czemu wydało mu się to nader odrażające i plugawe.

– Kłopot w tym – ciągnął łysy – że nie wiemy, jaką nadali mu nową nazwę. W tej sytuacji odnalezienie pańskiego statku nie będzie proste. Możemy wejść na pokład każdej jednostki na rzece w poszukiwaniu ludzi, o których panu chodzi, ale... – Wzruszył ramionami.

– Nie – rzekł Abner Marsh. – Znajdę ich w prostszy sposób. Nawet morze farby nie odmieni „Fevre Dream” na tyle, abym go nie

rozpoznał na pierwszy rzut oka. Dotarliśmy aż tu i popłyniemy dalej, do Nowego Orleanu. – Marsh pociągnął się lekko za brodę. – Panie Grove – rzucił, odwracając się do mata

– niech pan przyprowdzi do mnie tych swoich pilotów. Pływają w dolnym biegu rzeki, więc doskonale powinni znać parowce na tej trasie. Niech pan ich poprosi o przyniesienie sterty gazet, którą mam u siebie, może wśród ogłoszeń natrafią na nie znaną im nazwę statku.

– Oczywiście, kapitanie – powiedział Grove.

Abner Marsh odwrócił się do detektywów.

– Sądzę, że panowie nie będziecie mi już potrzebni. Gdybyście jednak choćby przypadkiem natknęli się na ten parowiec, wiecie, jak można się ze mną skontaktować. Dopilnuję, abyście otrzymali wówczas sowitą zapłatę za swój trud. – Wstał. – A teraz, jeśli zechcecie przejść do gabinetu pierwszego oficera, wypłacę wam resztę należności.

Pozostałą część dnia spędzili w Vicksburgu. Marsh skończył właśnie kolację – porcję nie dopieczonego, niestety, kurczaka z marnymi ziemniaczkami – gdy na krzesło obok usiadł Cat Grove z kartką papieru w dłoni.

– Zabrało im to prawie cały dzień, kapitanie, ale zrobili to – oznajmił. – Trochę przydużo tych statków. Mniej więcej o trzydziestu nie słyszał wcześniej żaden z nich. Ja także przejrzałem te gazety, koncentrując się na ogłoszeniach i informacjach dotyczących wielkości jednostek, ich kapitanów i tym podobnych rzeczach. Kilka nazw okazało się znajomych, a poza tym wykreśliłem z listy wszystkie mniejsze jednostki oraz tylnokołowce.

– Ile zostało?

– Zaledwie cztery – odrzekł Grove. – Cztery wielkie bocznokołowce, o których nikt dotąd nie słyszał. – Podał listę Abnerowi Marshowi.

Nazwy wypisano wielkimi literami, jedna pod drugą:

B. SCHROEDER

QUEEN CITY

OZYMANDIAS

F.D. HECKINGER

Marsh wpatrywał się w kartkę przez dłuższą chwilę. Myślał

intensywnie. Jedna z tych nazw powinna mu coś mówić, wiedział o tym, ale za Boga żywego nie potrafił stwierdzić, co ani która z nich.

– I jak, kapitanie? Czy to choć trochę panu pomogło?

– To nie jest „B. Schroeder” – odezwał się nagle Marsh. – Zbudowano go w New Albany w tym samym czasie co „Fevre Dream”.

Podrapał się po głowie.

– Ostatnia jednostka – wtrącił Grove, wskazując palcem nazwę na kartce – proszę spojrzeć na te inicjały. F.D jak „Fevre Dream”.

– Być może – mruknął Marsh. Przeczytał na głos kolejno wszystkie nazwy. – „F.D. Heckinger”. „Queen City”. „Ozy...” – Ta była trudna. Dobrze, że nie musiał jej literować. – „Ozy-man-dias”.

I wtedy umysł Abnera Marsha, ten powolny, rozmyślny mechanizm, który niczego nie zapominał, podsunął mu odpowiedź.

Zastanawiał się nad tym piekielnym słowem niezbyt długo i niezbyt dawno temu, przeglądając pewną książkę.

– Proszę tu zaczekać – rzucił do Grove’a.

Następnie wstał i udał się do swojej kajuty. Książki znajdowały się w dolnej szufladzie komódki.

– Co to? – zapytał Grove, kiedy Marsh znów się pojawił.

– Cholerny wybór poezji – odparł Marsh.

Przekartkował tomik Byrona, nie znalazł tego, czego szukał, i zabrał się do Shelleya.

I nagle to odnalazł. Przeczytał szybko cały wiersz, odchylił się do tyłu, zmarszczył brwi i przeczytał raz jeszcze.

– Kapitanie Marsh? – rzucił Grove.

– Niech pan posłucha – rzekł w odpowiedzi Marsh.

Przeczytał na głos.

Ja jestem Ozymandias, król królów. Mocarze! Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą Gińcie z rozpacz! Więcej nic już nie zostało... Gdzie stąpić, gruz bezkształtny oczom się ukaże Piaski bielejące w pustyni obszarze.

– Co to ma być?

– Wiersz – odparł Abner Marsh. – Cholerny wiersz.

– Ale co to oznacza?

– To znaczy – Marsh zamknął tomik poezji – że Joshua czuje się przybity i pokonany. Ale nie rozumiałby pan dlaczego, panie Grove. Najważniejsze jest to, że szukamy parowca o nazwie „Ozymandias”.

Grove wyjął kolejną kartkę.

– Spisałem garść informacji z gazet – wyjaśnił, zerkając na swoje bazgroły. – Sprawdźmy, ten „Ozy...”, „Ozy...” jak mu tam... pracuje na szlaku z Natchez. Właściciel nazywa się J. Anthony.

– Anthony – mruknął Marsh. – Do licha. Joshua miał na drugie imię Anton. Szlak handlowy z Natchez, powiada pan?

– Z Natchez do Nowego Orleanu, kapitanie.

– Zostaniemy tu na noc. Jutro skoro świt wyruszymy do Natchez. Słyszysz pan, panie Grove? Nie chcę stracić ani minuty cennego dnia. Kiedy nadejdzie ten cholerny świt, pod kotłem ma buzować aż miło, abyśmy byli gotowi do natychmiastowego wyjścia z portu.

Może nieszczęsnemu Joshui nie pozostało nic prócz rozpacz, ale Abner Marsh miał jeszcze to i owo w zanadrzu. Pozostały rachunki do uregulowania, a gdy już się ostatecznie rozliczy, z Damona Juliana nie zostanie więcej niż z tego zafajdanego posagu, o którym opowiadał wiersz Shelleya.

ROZDZIAŁ 23

Na pokładzie parowca „Eli Reynolds” rzeka Missisipi, październik 1857

Tej nocy Abner Marsh w ogóle nie zmrzył oka. Długie godziny ciemności spędził w swoim fotelu na pokładzie huraganowym, odwrócony plecami do przesłoniętych dymem świateł Vicksburga i popatrując na rzekę. Od czasu do czasu w jego polu widzenia pojawiał się jakiś statek ciągnący za sobą smugi dymu, popiołów i ognia, obracający wniwecz wrażenie złudnego spokoju. W końcu jednak parowiec przybijał do brzegu albo odpływał, dźwięk syreny milknął w oddali, ciemność znów otulała wszystko jedwabistym, miękkim kokonem. Księżyc, jak wielka srebrna dolarówka, unosił się na wodzie, do uszu Marsha zaś dochodziły ciche, wilgotne, skrzypiące dźwięki z „Eliego Reynoldsa”, odgłos kroków, urywane fragmenty piosenek napływające od strony Vicksburga, a także, lub może przede wszystkim, szum rzeki, przelewających się bez przerwy nieprzebranych mas wody opływających jego statek, popychających go i usiłujących porwać ze sobą w dal, na południe, do miejsca, gdzie czekali „Fevre Dream” i dzieci nocy.

Marsh czuł się osobliwie przepelniony pięknem nocy, ciemności, która tak natchnęła ulubionego brytyjskiego wierszokletę Joshuy.

Przechylił fotel, opierając go o dzwon starego parowca i wpatrując się w księżyc, gwiazdy i rzekę, rozmyślał, że być może oto dane mu było po raz ostatni zaznać prawdziwego spokoju. Jutro bowiem lub najdalej pojutrze odnajdą „Fevre Dream” i letni koszmar rozpęta się na nowo.

Jego umysł wypełniały złowrogie przeczucia, wspomnienia i wizje. Wciąż widział Jonathana Jeffersa z jego rapierem, tak piekielnie buńczucznego i żałośnie bezradnego, kiedy Julian przesunął się po ostrzu w jego stronę. Usłyszał trzask pękającego kręgosłupa oficera i przypomniał sobie, jak z nosa Jeffersa zsunęły się okulary, złocisty błysk, gdy obracając się, spadły na pokład przy wtórze cichego stukotu. Zacisnął wielkie łapska na swojej laseczce. Na tle mrocznej rzeki dostrzegł także inne rzeczy. Małą rączkę nadzianą na nóż i ociekającą krwią. Juliana pijącego ciemny napój Joshuy. Wilgotne ślady na żelaznej pałce Kudłatego Mike’a, gdy ten zakończył swą upiorną misję w ciemnej kajucie. Abner Marsh bał się jak nigdy dotąd. Aby przegnać zjawy napływające poprzez noc, przywołał własny sen, wizję samego siebie stojącego ze strzelbą na bawoły w drzwiach kajuty kapitańskiej. Usłyszał huk broni i poczuł jej silne kopnięcie, a potem ujrzał, jak uśmiech i blada twarz Juliana przestają istnieć, rozpryskując się w deszczu poszarpanych czarnych włosów jak rzucony na chodnik melon wypełniony krwią.

Mimo to, nawet gdy samo oblicze zniknęło, a gryzący dym po wystrzale rozwiewał się, oczy wciąż tam były, wypatrujące, przywołujące, budzące w nim uśpione upiory, gniew, nienawiść oraz inne, mroczniejsze odczucia. Oczy, czarne jak otchłań piekielna i wypełnione czerwienią, niezgłębione czeluście, odwieczne jak sama rzeka przyzywały go, uwalniając jego żądze, jego czerwone pragnienie. Unosiły się przed nim, a kapitan Marsh patrzył na nie, zaglądał w głąb ciepłej czerni i dostrzegał w niej odpowiedzi, sposób na pokonanie wampirów, znacznie lepszy i pewniejszy niż ukryte w laskach szpady, kolki czy strzelby na bawoły.

Ogień! Gdzieś tam na rzece płonął „Fevre Dream”. Abner Marsh czuł to całym sobą. Przerażliwy, gwałtowny ryk rozdzierał uszy, donośniejszy niż najstraszliwszy grzmot. Kłęby dymu, z których strzelał ogień, płonące kawałki drewna i bryły węgla rozpryskujące

się na wszystkie strony, buchające kłęby uwolnionej gorącej pary, chmury białej śmierci pochłaniające statek, eksplodujące i płonące ściany, ciała lecące w powietrzu, palące się lub na wpół zwęglone, pękające i walące się kominy, wrzaski, parowiec przechylający się i pogrążający w rzece, skwierczenie, syk i dymiące, spalone ciała unoszące się twarzami w dół na wodzie, wśród potrzaskanych szczątków, wielki bocznokołowiec rozpadający się, dopóki nie pozostanie po nim nic prócz spalonego drewna i komina sterczącego pod kątem z topieli. W jego śnie, kiedy nastąpiła eksplozja kotła, parowiec wciąż nosił nazwę, "Fevre Dream".

To byłoby łatwe, Marsh zdawał sobie z tego sprawę. Ładunek z przeznaczeniem do Nowego Orleanu; nigdy by się nie domyślili. Beczki z materiałami wybuchowymi umieszczone lekkomyślnie na głównym pokładzie, nazbyt blisko rozpalonych do czerwoności pieców i ogromnych, niepewnych, wysokociśnieniowych kotłów. Mógł to zaaranżować, a to oznaczałoby koniec dla Juliana i wszystkich dzieci nocy. Lont, opóźniacz czasowy, to wszystko było do zrobienia.

Abner Marsh zamknął oczy. Kiedy znów je otworzył, płonący parowiec zniknął, krzyki i huk pękającego kotła rozplynęły się i wokoło ponownie zapanowała nocna cisza.

– Nie mogę – rzekł do siebie na głos. – Na pokładzie wciąż jest Joshua.

Joshua. I inni, taką miał przynajmniej nadzieję: Whitey Blake, Karl Framm, Kudłaty Mike Dunne oraz jego ludzie. No i nie mógł zapomnieć o damie swego serca, najwspanialszej jednostce na tej rzece – „Fevre Dream”. W taką noc jak dziś Marsh wyobrażał sobie, że widzi odległy załom rzeki i dwa wielkie, sunące burta w burcie parowce; pióropusze dymu ciągnące za nimi spłaszczyły się pod wpływem szybkości, z kominów buchał dym, koła obracały się wściekle. Szły łeb w łeb, aż w końcu jeden z nich zaczął wysforowywać się naprzód, zrazu tylko odrobinę, potem coraz bardziej, aż osiągnął nad konkurentem przewagę jednej długości. Powiększał ten dystans, ale zanim statki znikły Marshowi z oczu, kapitan zdążył jeszcze dostrzec ich nazwy; prowadzącym okazał się „Fevre Dream”, bandery trzepotały na wietrze, gdy gładko i płynnie

sunął w górę rzeki, za nim zaś podążał „Eclipse”, który nawet przegrany prezentował się nader okazale. Sprawię, że tak się stanie, pomyślał Abner Marsh.

Większość załogi „Eliego Reynoldsa” wróciła przed północą. Marsh patrzył, jak nadciągają od strony Vicksburga, i usłyszał, jak Cat Grove, skąpany w księżycowym blasku, wydaje serię krótkich, rzeczowych komend. Kilka godzin później z kominów parowca popłynęły pierwsze smużki dymu, gdy mechanik zaczął rozpalać pod kotłem. Do świtu została jeszcze godzina. Mniej więcej wtedy na pokładzie huraganowym pojawili się Yoerger i Grove z własnymi krzesłami i dzbankiem kawy. W ciszy zajęli miejsca obok Marsha i poczęstowali go kawą. Była gorąca i czarna. Wypił z zadowoleniem.

– Cóż, kapitanie – odezwał się po dłuższej chwili Yoerger. Jego pociągłe oblicze poszarzało od zmęczenia. – Czy nie sądzi pan, że powinien powiedzieć nam, o co naprawdę w tym wszystkim chodzi?

– Odkąd wróciliśmy do St. Louis – dodał Cat Grove – mówi pan wyłącznie o odzyskaniu swego statku. Być może jutro tak się stanie. Co wówczas? Niewiele nam pan mówi, z wyjątkiem tego, że nie chce pan w to mieszać policji. Czemuż to, skoro statek został zawłaszczony?

– Z tego samego powodu, dla którego nie wtajemniczyłem w to pana, panie Grove. Policja nie uwierzyłaby w ani jedno moje słowo.

– Załogę zżera ciekawość – dodał Grove. – Mnie również.

– To nie ich sprawa – uciął Marsh. – Ja jestem właścicielem tego parowca, czyż nie? Zarówno pan, jak i oni wszyscy pracujecie dla mnie. Macie wykonywać moje polecenia i o nic nie pytać.

– Kapitanie Marsh – wtrącił Yoerger – od kilku już lat pływam po tej rzece na pańskiej łajbie. Przekazał mi ją pan w pięćdziesiątym drugim, a sam przeniósł się na pański drugi parowiec, starego „Nicka Perrota”. Od tej pory to ja dbam o tę jednostkę i jak dotąd nie zwolnił mnie pan z owej funkcji. Jeśli zostałem odwołany, proszę mnie o tym powiadomić. Jeżeli jednak wciąż jestem tu kapitanem, chciałbym wiedzieć, w co pakuje pan mój statek. Uważam, że to mi się należy.

– Powiedziałem Jonathanowi Jeffersowi – odparł Abner Marsh, ponownie widząc złotawy błysk – i to go zabiło. Być może Kudłaty

Mike też umarł z tego powodu, nie wiem, jak dotąd, co się z nim stało.

Cat Grove przechylił się miękko i napełnił filiżankę Marsha ciepłą, słodką kawą z dzbanka.

– Kapitanie – powiedział – niewiele nam pan mówi, ale z tego, co usłyszałem, nie ma pan pewności, czy Mike żyje czy nie, nie o to jednak chodzi. Nie zna pan także losów kilku innych członków załogi. Whitey Blake, pański pilot i cała reszta pozostali na „Fevre Dream”. Zdradził pan swój sekret im wszystkim?

– Nie – przyznał Marsh.

– Wobec tego to bez znaczenia – uciął Grove.

– Jeśli tam, dokąd zmierzamy, czyha jakieś zagrożenie, powinniśmy o nim wiedzieć – dodał Yoerger.

Abner Marsh zamyślił się przez chwilę i stwierdził, że tamci mieli rację.

– Rzeczywiście – przyznał – ale i tak mi nie uwierzycie. A niestety nie mogę pozwolić wam odejść. Potrzebuję tego parowca.

– Nigdzie sienie wybieramy – zapewnił Grove. – Proszę opowiedzieć nam o wszystkim.

Abner Marsh westchnął i chcąc nie chcąc, opowiedział raz jeszcze całą historię. Gdy skończył, bacznie zlustrował ich twarze. Obie były niemal nieprzeniknione, pełne dystansu i zawoalowanej ostrożności.

– Trudno w to uwierzyć – przyznał Yoerger.

– Ja wierzę – stwierdził Grove. – To tak jak z wiarą w duchy. A duchy widziałem na własne oczy dziesiątki razy.

– Kapitanie Marsh – odezwał się Yoerger – sporo pan mówił o chęci odnalezienia „Fevre Dream”, ale rzadko o tym, co zamierza pan zrobić, kiedy już go znajdzie. Czy ma pan jakiś plan?

Marsh pomyślał o ogniu, ryczących, eksplodujących kotłach i wrzaskach wrogów. Odsunął od siebie te myśli.

– Odzyskam mój statek – oznajmił. – Widzieliście moją strzelbę. Gdy odstrzelę Julianowi łeb, podejrzewam, że Joshua zajmie się resztą.

– Twierdzi pan, że już raz próbował go zlikwidować, z Jefferssem i Dunne’em, kiedy jeszcze dowodził pan swoją jednostką. Teraz zaś,

jeśli wierzyć zapewnieniom detektywów, na statku roi się od niewolników i typów spod ciemnej gwiazdy. Nie zdoła pan niepostrzeżenie dostać się na pokład. Jak zamierza pan dopaść Juliana?

Abner Marsh nie zastanawiał się zbyt nad tą kwestią. Teraz jednak, gdy Yoerger zwrócił na to uwagę, stwierdził, że faktycznie nie zdoła ot tak, w pojedynkę, wejść na pokład, uzbrojony w swoją pokaźną strzelbę, jak początkowo planował. Zamyślił się nad tym przez chwilę. Gdyby udało mu się dostać na statek jako pasażer... nie, Yoerger miał rację, na pewno zostałby rozpoznany. To zatem nie wchodziło w rachubę. Nawet gdyby się ogolił... na całej rzece nie było osoby o równie charakterystycznym wyglądzie jak Abner Marsh.

– Wejdziemy tam siłą – odrzekł Marsh po krótkim zawahaniu. – Wedrzemy się na pokład całą załogą „Reynoldsa”. Julian i Zgorzkniały Billy zapewne uznali, że nie żyję; weźmiemy ich z zaskoczenia. Za dnia, ma się rozumieć. Żaden z ludzi nocy nigdy nie widział „Eliego Reynoldsa”, a jak mniemam, tylko Joshua słyszał kiedykolwiek tę nazwę. Podpłyniemy do nich, dokądkolwiek zawinęli, zaczekamy na szczególnie słoneczny poranek, a potem ja i wszyscy, którzy zechcą pójść ze mną, wejdziemy na ich pokład. Męty to męty, niezależnie od tego, jakie szumowiny najął w Natchez Zgorzkniały Billy, wątpię, aby zechcieli ryzykować głową przeciwko naszym nożom i broni palnej. Może będziemy musieli zlikwidować Zgorzkniałego Billy’ego, ale potem droga do kajut będzie wolna. Tym razem osobiście upewnię się, że to Julian, zanim odstrzele mu łeb. – Rozłożył ręce. – Zadawoleni?

– Brzmi nieźle – przyznał Grove.

Yoergera wyraźnie dręczyły jakieś wątpliwości.

Mimo to żaden z nich nie potrafił podsunąć bardziej konstruktywnych propozycji, tak więc po krótkiej dyskusji przystali na jego plan.

Do tego czasu wzgórza i wzniesienia Vicksburga skąpane już były w blasku wschodzącego słońca i „Eli Reynolds” zaczął szykować się do drogi. Abner Marsh wstał i przeciągnął się; jak na kogoś, kto przez całą noc nie zmrużył oka, był w świetnej formie.

– Wyływamy – rzucił do pilota, który minął ich, zmierzając do prostej, niedużej pilotówki. – Kierunek Natchez!

Zluzowano cumy łączące statek z nabrzeżem i po chwili tylnokołowiec odbił od brzegu i wpłynął do kanału, podczas gdy na wschodnim brzegu czerwone i szare cienie poczęły ścigać się między sobą, chmury na zachodzie zaś nabiegły czerwonawą poświatą.

Przez pierwsze dwie godziny utrzymywali niezłe tempo, mijając Warrenton, Hard Times i Grand Gulf. Wyprzedziły ich trzy lub cztery większe parowce, ale tego mogli się spodziewać, „Eli Reynolds” nie był stworzony do wyścigów. Abner Marsh tak bardzo ucieszył się z osiągnięć swojej jednostki, że na pół godziny zszedł pod pokład, aby sprawdzić i wyczyścić broń, załadować ją i spożyć szybkie śniadanie składające się z naleśników z borówkami i jajecznicy. Pomiędzy St. Joseph i Rodney niebo zaczęło się chmurzyć, co bynajmniej nie przypadło Marshowi do gustu. Wkrótce potem na rzece rozpętała się mała burza, piorunów było jak na lekarstwo, deszcz siąpił niemrawo, a grzmoty nie przstraszyłyby nawet muchy, ale pilot gwoli bezpieczeństwa jednostki zarządził godzinny postój przy najbliższym składzie drewna, kapitan Marsh przez cały ten czas krążył nerwowo po pokładzie, nie posiadając się z wściekłości. W taką pogodę Framm czy Albright odważnie popłynęliby dalej, ale na tego typu statku trudno było o naprawdę dobrego i bystrego pilota. Deszcz był zimny i szary.

Gdy w końcu przestało padać, na niebie pojawiła się prześliczna tęcza i jej widok nieznacznie dodał Marshowi otuchy, wciąż mieli dość czasu, aby zdążyć do Natchez przed zmrokiem.

Piętnaście minut po tym, jak odbili od brzegu, „Eli Reynolds” wpakował się na mieliznę.

Był to efekt głupiego szkolnego błędu. Młody pilot, jeszcze niedawno uczeń, próbował nadrobić stracony czas, wpływając w niepewną odnogę, zamiast trzymać się głównego kanału, który szerokim łukiem ciągnął się na wschód. Przed miesiącem lub dwoma przeprawa tą drogą byłaby możliwa, teraz jednak nawet statki o niemal zerowej wyporności, jak „Eli Reynolds”, nie miały szans, aby tamtędy przepłynąć.

Abner Marsh kłął, sarkał i srożył się, tupiąc gniewnie w pokład,

gdy okazało się, że statek na dobre ugrzązł w piachu.

Cat Grove i jego ludzie z tyczkami i kołowrotami natychmiast wzięli się do roboty. W dodatku parę razy zdrowo ich pokropiło, ale w końcu po czterech godzinach mozolnej pracy w deszczu pilot ponownie uruchomił tylne koło i „Eli Reynolds”, rozbryzgując dokoła fontanny błota i piachu, dygocząc, jakby lada chwila miał się rozlecieć, gwałtownie wyrwał się do przodu. I ponownie znalazł się na rzece. Rozległ się triumfalny ryk syreny parowej.

Przez kolejne pół godziny ostrożnie pokonywali skrót, gdy jednak wrócili na rzekę, porwał ich prąd. „Reynolds” zaczął nabierać prędkości. Niebawem statek mknął już w dół rzeki, jakby gonił go sam szatan, zostawiając za sobą kłęby dymu i snopy iskier, ale nie było mowy, aby zdołał nadrobić stracony czas.

Abner Marsh siedział na wyblakłej żółtej kanapie w pilotówce, gdy po raz pierwszy ich oczom ukazały się widoczne na wzgórzach w oddali zabudowania miasta. Odstawił filiżankę z kawą na fajerkę pękatego żelaznego piecyka i stanął za plecami pilota pochłoniętego wprowadzaniem statku do portu. Marsh nie zwracał na niego uwagi; wzrok miał utkwiony w odległe nabrzeże pod Natchez-under-the-hill, przy którym stało mniej więcej dwadzieścia parowców.

Był tam, Marsh wiedział, że tam będzie.

Rozpoznał go od razu. Na pierwszy rzut oka. Był to największy statek stojący w porcie, górujący nad innymi o trzydzieści i więcej stóp, miał również najwyższe kominy. Gdy „Eli Reynolds” podpłynął bliżej, Marsh zauważył, że statku nie zmieniono tak bardzo, jak się spodziewał. Dominującymi kolorami wciąż były niebieski, biały i srebrny, choć obudowy kół pomalowano na jasnoczerwono; przypominały teraz barwą usta dziwek z Natchez. Żółte, toporne litery na osłonach układały się w napis OZYMANDIAS. Marsh skrzywił się.

– Widzi pan tego olbrzyma, o, tam? – zapytał, wskazując palcem. – Proszę podpłynąć do niego możliwie jak najbliżej.

– Tak jest, kapitanie.

Marsh z odrazą zlustrował rozciągające się przed nimi miasto. Na ulicach płożyły się już cienie, wody rzeki nabiegły znamionującymi zachód słońca odcieniami złota i czerwieni. Było

pochmurno, piekielnie pochmurno. Stracili zbyt wiele czasu przy składzie drewna i podczas przeprawy, skonstatował, w październiku zaś słońce zachodziło szybciej aniżeli latem.

Kapitan Yoerger wszedł do pilotówki i podszedł do niego, a po chwili, jakby czytając w myślach Marsha, powiedział:

– Nie może pan pójść tam dzisiaj, kapitanie. Już za późno. Za niecałą godzinę się ściemni. Zaczekajmy do jutra.

– Ma mnie pan za idiotę? – warknął Marsh. – To oczywiście, że zaczekam. Już raz popełniłem błąd i nie zamierzam go powtórzyć. – Z frustracją mocno stuknął swoją laseczką o deski pokładu. Yoerger chciał coś dodać, ale Marsh go nie słuchał. Wciąż przypatrywał się stojącemu przy nabrzeżu olbrzymiemu bocznokołowcowi. – Do licha! – rzucił nagle.

– Co się stało?

Marsh wskazał swoją laseczką.

– Dym – powiedział. – Niech ich diabli, rozpalili pod kotłem! Chyba szykują się do wyjścia z portu!

– Co się odwlecze, to nie uciecze – rzekł Yoerger. – Jak wypłynie, to trudno, dopadniemy go w jakimś innym porcie w dole rzeki.

– Muszą płynąć nocą – rzekł Marsh – a za dnia cumują przy nabrzeżu. Mogłem się tego domyślić. – Odwrócił się do pilota. – Panie Norman – rzucił gromko – nie zawijamy do portu. Proszę płynąć dalej i przybić do brzegu przy pierwszym napotkanym składzie drewna. Zaczekamy tam, aż ten wielki parowiec nas minie. Wtedy popłyniemy za nim całą parą. Bocznokołowiec jest znacznie szybszy od „Reynoldsa”, proszę więc się nie martwić, jeśli go zgubimy. Niech pan kontynuuje rejs w dół rzeki w możliwie jak najmniejszej odległości za ściganą jednostką.

– Jak pan każe, kapitanie – odrzekł pilot.

Zakręcił drewnianym sterem i dziób „Eliego Reynoldsa” z wolna zaczął skręcać w stronę kanału.

Stali przy brzegu pod składem drewna przez półtorej godziny, od dobrych dwudziestu minut była już noc, gdy obok nich przepłynął jak statek widmo „Fevre Dream”. Na jego widok Marsh zadygotał. Olbrzymi bocznokołowiec sunął w dół rzeki z przeraźliwą gracją,

cicho i dostojnie; cechy te przywodziły Marshowi na myśl Damona Juliana i jego miękki chód. Połowa świateł na statku została wygaszona. Pokład główny jarzył się różowawo poświatą płynącą z pieców, ale tylko w kilku kajutach paliło się światło; pokład teksaski tonął w ciemnościach, podobnie jak pilotówka. Marshowi wydawało się, że dostrzega stojącą u steru samotną postać, ale odległość była zbyt duża, aby mógł mieć pewność. Blask księżyca rozjaśnił białe malowania i srebrne ozdoby, a czerwone osłony kół wyglądały wręcz obscenicznie.

Gdy odpływał, w dole rzeki pojawiły się światła innego parowca płynącego w przeciwnym kierunku i wśród nocy rozbrzmiał powitalny zew syreny. Marsh zawsze i wszędzie rozpoznalby ten dźwięk, teraz jednak wydał mu się on zimny i żalobny jak nigdy dotąd, w tym melancholijnym zawroźdzeniu zawierały się nuty niezmiernego bólu i rozpacz.

– Utrzymuj pan dystans – zwrócił się do pilota – ale płyn za nim.

Robotnik pokładowy zwolnił cumę mocującą „Elięgo Reynoldsę” do słupka przy brzegu, po czym „Eli” przełknął zaserwowaną mu porcję drewna opałowego i wypłynął na rzekę w ślad za swym większym, zbłąkanym kuzynem. Minutę lub dwie później nieznaną parowiec zmierzający do Natchez minął „Fevre Dream” i zaczął zbliżać się do nich, witając nadpływających krótkim, trzytonowym sygnałem. „Reynolds” odpowiedział, ale jego zew był w porównaniu z dzikim skowytym „Fevre Dream” cichy i pozbawiony mocy. Odgłos ten przepełnił Marsha niepokojem.

Spodziewał się, że „Fevre Dream” w kilka minut pozostawi ich daleko w tyle, ale okazało się inaczej. „Eli Reynolds” płynął w jego kilwacie przez bite dwie godziny. Zgubili większą jednostkę kilka razy przy kolejnych załomach rzeki, ale zawsze już po paru minutach nadrabiali stracony dystans. Odległość pomiędzy obiema jednostkami powiększała się, tak wolno jednak, że prawie niezauważalnie.

– Płyniemy niemal pełną parą – rzekł Marsh do kapitana Yoergera – oni natomiast wcale się nie wysilają. Jeżeli nie skręcą w Red River, podejrzewam, że zatrzymają się w Bayou Sara. Tam ich dopadniemy. – Uśmiechnął się. – To się nawet dobrze składa, czyż

nie?

Jako większa jednostka, zaopatrzona w osiemnaście wielkich kotłów, „Fevre Dream” pochłaniał znacznie więcej drewna niż sunący jej śladem mniejszy tylnokołowiec. Statek kilkakrotnie zatrzymywał się, by uzupełnić zapas opału, i za każdym razem „Eli Reynolds” odrobinę się doń przybliżał, pilot jednak na polecenie Marsha zmniejszył wówczas prędkość do jednej czwartej, aby nie prześcignąć większej, stojącej przy brzegu jednostki. „Reynolds” także raz się zatrzymał, aby załadować na niemal pusty pokład główny dwadzieścia sągów buczyny, a gdy wrócił na rzekę, światła, „Fevre Dream” zlewały się już w oddali w rozmytą czerwoną plamę na czarnych, przelewających się leniwie wodach. Marsh zarządził, aby dorzucono do pieca porcję łożu, i dodatkowy żar oraz para pomogły im wkrótce nadrobić stracony dystans.

U ujścia Red River do Missisipi odległość pomiędzy dwoma parowcami wynosiła milę z okładem. Marsh przyniósł do pilotówki dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą i pomógł pilotowi go opróżnić, gdy w pewnej chwili mężczyzna pochylił się nad sterem i przymrużywszy oczy, rzekł:

– Niech pan spojrzy, kapitanie, wygląda na to, że prąd spycha ich w bok. Tamtędy nie przejdą, nie ma mowy.

Marsh odstawił filiżankę i wyteżył wzrok. Rzeczywiście „Fevre Dream” wydawał się bliżej niż kiedykolwiek dotąd i to go zaniepokoiło; poza tym pilot miał rację, widać było sporą część bakburty większego statku. Skoro nie był to zamierzony manewr, może za znos odpowiedzialny był silny prąd wpływającej do Missisipi mniejszej rzeki, choć Marshowi trudno było pojąć, aby zdolny pilot nie umiał sobie z tym poradzić.

– Okrążają zwalone drzewo albo piaszczystą łacę – stwierdził, lecz bez przekonania, Abner Marsh.

Gdy tak patrzył, bocznokołowiec wykręcił jeszcze bardziej, teraz stał na rzece niemal prostopadle do nich. W blasku księżyca kapitan mógł odczytać nazwę wymalowaną na ścianie sterówki. Statek wyglądał, jakby dryfował, ale z kominów wciąż buchał dym i skry, a po chwili oczom kapitana Marsha ukazał się dziób większej jednostki.

– Niech to szlag – syknął Marsh. Zrobiło mu się zimno, jakby ponownie skapał się w rzece. – Robi zwrot. Do stu tysięcy kartaczy! Robi zwrot!

– Co mam robić, kapitanie? – zapytał pilot.

Abner Marsh nie odpowiedział. Z trwogą w sercu obserwował „Fevre Dream”.

Tylnokołowiec taki jak „Eli Reynolds” mógł zmieniać kierunek poruszania się na dwa sposoby, oba skądinąd dość prymitywne. Jeśli kanał był dostatecznie szeroki, mógł wykonać szeroki zwrot w kształcie litery U, co wymagało dużo miejsca i jeszcze więcej wysiłku. W drugim przypadku statek musiał się zatrzymać, przesterować obroty koła, wycofać się, obrócić, ponownie się zatrzymać i ruszyć naprzód, by dopełnić zwrotu. Oba manewry były czasochłonne, a w dodatku Marsh nie miał pewności, czy na tym odcinku rzeki wykonalne. Bocznokołowcem znacznie łatwiej było manewrować. Wystarczyło przesterować obroty jednego tylko koła na wsteczne, podczas gdy drugie kręciło się naprzód, a cała jednostka obracała się dokoła gładko jak baletnica. Abner Marsh widział teraz forkasztel „Fevre Dream”. Jego podniesione trapy w blasku księżycy wyglądały jak dwa białe zęby, w dziobowej części pokładu głównego i kotłowego dostrzec można było odziane na czarno postacie o bladych twarzach. Mający w oddali „Fevre Dream” wydawał się większy i wspanialszy niż kiedykolwiek. Statek niemal zakończył już zwrot, a „Eli Reynolds” wciąż płynął w jego stronę; przy wtórze głośniego pafpafpafpaf koła łopatkowego jednostka zbliżała się ku postaciom o chorobliwie bladych twarzach, gorejących czerwonych oczach i ku posępnej, złowrogiej ciemności.

– Przeklęty głupcze! – zakrzyknął Marsh. – Zatrzymaj statek! Na miły Bóg, zatrzymaj go i zawróć! Zrób zwrot i zawracaj, a żywo! Oczy ci odjęło? Nie widzisz, że oni będą nas ścigać?

Pilot posłał mu niepewne spojrzenie i wykonał ruch, by zatrzymać koło łopatkowe, rozpoczynając manewr zwrotu, lecz w tej samej chwili Abner Marsh zrozumiał, że jest już na to za późno. Nie zdołają obrócić statku na czas, a gdyby nawet, „Fevre Dream” i tak doścignie ich w kilka minut. Miał potężniejsze silniki, które pokażą, na co je stać, dopiero gdy obie jednostki zaczną brnąć pod prąd.

Marsh schwycił pilota za rękę.

– Nie! – zaoponował. – Proszę płynąć dalej tym samym kursem! Szybciej! Omińmy ich szerokim łukiem. Każ pan dorzucić do pieca sporą porcję łożu, abyśmy zdążyli wyminąć ich, zanim się zorientują, co zamierzamy. Czy to jasne?

„Fevre Dream” powoli obracał się w ich stronę, na pokładach roilo się od ludzi nocy. Z kominów buchał dym, a Marsh nieomal był w stanie policzyć wyczekujące sylwetki. Pilot sięgnął ręką, aby dać sygnał syreną, ale Marsh ponownie złapał go za dłoń i rzucił krótkie:

– Nie!

– Zderzymy się! – jęknął pilot. – Kapitanie, musimy powiadomić ich, z której strony będziemy ich mijać!

– Niech się zastanawiają – uciął Marsh. – Na Boga, to nasza jedyna szansa! I dorzućcie wreszcie łożu do tego cholernego pieca!

Oddzielony od nich przestworem mrocznych, skrzących się księżycowym blaskiem wód „Fevre Dream” wydał przeciągły, zwierzęcy ryk triumfu. Brzmiał jak skowyt wilka-demonia ruszającego w pościg za ofiarą, pomyślał z trwogą Abner Marsh.

ROZDZIAŁ 24

Na pokładzie parowca „Ozymandias” rzeka Missisipi, październik 1857

– Proszę, proszę – rzekł Zgorzkniały Billy Tipton – sam lezie nam w łapy. Czyż to nie miłe z jego strony?

– Jesteś pewien, że to Marsh, Billy? – zapytał Damon Julian.

– Niech pan sam zobaczy – odparł Billy, podając Julianowi lunetę. – Jest w pilotówce tej swojej łajby. Nikt nie jest tak tłusty ani nie ma tylu brodawek co on. A już się zastanawiałem, czemu tak się za nami wloką.

Julian opuścił lunetę.

– Tak – mruknął. Uśmiechnął się. – Co ja bym bez ciebie począł, Billy? – Jego uśmiech zgasł. – Ale przecież osobiście mnie zapewniałeś, że kapitan nie żyje. Że zginął podczas upadku do rzeki. Chyba to pamiętasz. Prawda, Billy?

Zgorzkniały Billy spojrział na niego trwożliwie.

– Tym razem nie zawiedziemy, paniczu Julianie.

– Ach – rzucił Julian. – Tak. Pilocie, chcę, abyśmy przeszli w odległości zaledwie kilku stóp od ich burty. Czy to jest jasne?

Joshua York na moment oderwał wzrok od rzeki, nie zwalniając pewnego chwytu na czarnosrebrnym kole sterowym. Jego zimne,

szare oczy odnalazły spojrzenie Juliana znajdującego się na drugim końcu pilotówki, ale trwało to tylko chwilę.

– Przepłyniemy tuż obok nich – zapewnił beznamiętnym tonem York.

Na kanapie obok piecyka Karl Framm poruszył się słabo, usiadł i podszedł, by stanąć obok Yorka; lustrował rzekę zamglonymi, na wpół martwymi oczami. Poruszał się wolno, niepewnie jak pijak lub słabowity starzec. Patrząc na niego, trudno było dostrzec w nim buńczucznego, niepokornego pilota, którym był kiedyś, pomyślał Billy. Damon Julian dobrze się zajął Frammem; gdy szczupły pilot wrócił podchmielony na statek, nieświadom zmian, jakie zaszły pod jego nieobecność, jął przechwalać się, że miał aż trzy żony. Julian usłyszał jego chełpliwe słowa. Rozbawiły go. „Ponieważ tamtych już pan nie zobaczy – rzekł później Julian do Framma – będzie pan mieć trzy nowe żony na pokładzie naszego parowca. Pilot musi wszak mieć pewne przywileje”.

Od tej pory Cynthia, Valerie i Cara odsączały go na zmianę, starając się nie wypić za dużo na jeden raz, ale posilały się w miarę regularnie. Ponieważ był jedynym licencjonowanym pilotem, nie mógł umrzeć, mimo iż ostatnio za sterami stał głównie York. Framm nie był już ani wysoki, ani silny, ani nie sprawiał kłopotów. Prawie się nie odzywał, a idąc, powłóczył nogami, na chudych rękach miał mnóstwo śladów po zębach i innych ran, a jego oczy pały jak w gorączce.

Mrugając na widok topornego tylnokołowca Marsha, Framm na chwilę nabrał animuszu. Uśmiechnął się nawet.

– Blisko – wymamrotał – może pan być pewien, że podejście naprawdę blisko.

Julian spojrzał na niego.

– Co chce pan powiedzieć, panie Framm?

– Nic – odparł Framm – tyle tylko, że ten drugi parowiec przyjął kurs na zderzenie. – Uśmiechnął się. – Chce was staranować. Założę się, że stary kapitan Marsh załadował całą tę łajbę materiałami wybuchowymi. To stara rzeczna sztuczka.

Julian przeniósł wzrok na rzekę. Tylnokołowiec sunął wprost na „Fevre Dream”, buchając dymem i ogniem z kominów.

– On łże – warknął Zgorzkniały Billy. – Zawsze łągał jak pies.

– Spójrz, jak szybko płynie – odparował Framm i to była prawda.

Statek płynął z prądem, a koło łopatkowe zawzięcie młóciło wodę. Tylnokołowiec mknął naprzód, jakby gonił go sam szatan.

– Pan Framm ma rację – rzekł Joshua York, a mówiąc te słowa, lekko zakręcił kołem, przekładając jedną rękę nad drugą płynnym, wprawnym ruchem. „Fevre Dream” wykonał ostry zwrot na bakburtę. W chwilę potem nadciągający jak burza tylnokołowiec odbił w przeciwną stronę, oddalając się od nich. Mogli odczytać wyblakłe litery zdobiące burtę jednostki – ELI REYNOLDS.

– To cholerna sztuczka! – wykrzyknął Zgorzkniały Billy. – On nas przepuszcza!

– Nie ma żadnych materiałów wybuchowych – odezwał się lodowato Julian. – Przybliź nas do niego.

York natychmiast zaczął obracać kołem, lecz było już za późno. Statek Marsha wykorzystał nadarzącą się okazję i rzucił się naprzód ze zdumiewającą prędkością, z przewodów odprowadzających buchały w górę syczące kłęby pary.

„Fevre Dream” zareagował błyskawicznie, dziób wrócił na poprzedni kurs, lecz „Eli Reynolds” znajdował się już trzydzieści jardów od sterburty i mijał ich w szybkim tempie, oddalając się bezpiecznie w dół rzeki. Gdy parowiec zniknął w dali, z jego pokładu padł strzał, odgłos wystrzału słyhać było wyraźnie nawet pomimo dudnienia silników „Fevre Dream” i hałasu kół łopatkowych, ale kula nie wyrządziła najmniejszych szkód.

Damon Julian odwrócił się do Joshuy Yorka, ignorując uśmiezek Framma.

– Dościgniesz go dla mnie, Joshua. Albo każę Billy’emu wrzucić twoje flaszki do rzeki i będziesz odczuwał pragnienie podobnie jak my wszyscy. Czy to jasne?

– Tak – odparł York.

Zarządził całą stop na obu kołach, po czym koło bakburtowe zaczęło pracować wolno naprzód, sterburtowe zaś wolno wstecz. „Fevre Dream” z pomocą prądu zaczął się powoli obracać. „Eli Reynolds” oddalał się od niego, koło rufowe obracało się

w zawrotnym tempie, z kominów tryskały skry i płomienie.

– Dobrze – powiedział Damon Julian. Odwrócił się do Zgorzkniałego Billy’ego. – Billy, idę do swojej kajuty. – Julian spędzał w niej coraz więcej czasu, siedząc samotnie jak palec w ciemnościach, sącząc brandy i wpatrując się w pustkę. Coraz częściej przekazywał dowództwo nad statkiem Billy’emu, tak jak wcześniej pozwolił mu kierować plantacją, podczas gdy sam przesiadywał w mrocznej, zakurzonej bibliotece. – Zostań tu – ciągnął Julian – i dopilnuj, aby nasz pilot dokładnie wykonał moje polecenie. Kiedy dopadniemy tamten parowiec, przyprowadź kapitana Marsha do mnie.

– A co z innymi? – spytał niepewnie Billy.

Julian uśmiechnął się.

– Na pewno coś wymyślisz – stwierdził.

Kiedy Julian odszedł, Zgorzkniały Billy odwrócił się, by obserwować rzekę. „Eli Reynolds” oddalił się od nich na całkiem sporą odległość, podczas gdy „Fevre Dream” zakręcał; miał nad nimi kilkaset jardów przewagi, lecz nie ulegało wątpliwości, że już nie na długo. „Fevre Dream” sunął naprzód w tempie, jakiego nie osiągał od wielu miesięcy, oba koła obracały się z pełną mocą, piece ryczały, pokłady dygotały w rytm potężnych silników. Billy widział wyraźnie, jak dystans między dwoma statkami zaczyna się zmniejszać; „Fevre Dream” dosłownie pożerał rzekę. Marsh już wkrótce odbędzie spotkanie z Damonem Julianem. Zgorzkniały Billy Tipton nie mógł się tego doczekać, wiedział, że to będzie naprawdę ostre spotkanie.

I wtedy Joshua York zarządził wolno naprzód dla koła sterburtowego i zakręcił sterem.

– Ejże! – zaprotestował Billy. – Pozwalasz im uciec! Co ty wyprawiasz? – Sięgnął ręką do tyłu, wyjął nóż i przytknął go do pleców Yorka. – Co ty kombinujesz?

– To klasyczny manewr rzeczny, panie Tipton – odparł beznamiętnie York.

– Zakręć tym kołem z powrotem. Marsh nie robił żadnych niezwykłych manewrów, a w każdym razie ja niczego nie zauważyłem, wciąż płynie przed nami i coraz bardziej się oddala.

York zignorował polecenie, a Billy rozzłościł się jeszcze bardziej. – Przerwij ten manewr, powiedziałem.

– Przed chwilą minęliśmy potok – rzekł York. – U jego wylotu znajdowała się zwalona topola. To znacznik. Przy tym znaczniku muszę wykonać manewr. Gdybym popłynął dalej, stracilibyśmy wodę pod kilem i poszlibyśmy na dno. Przed nami znajduje się kamienista rafa, jest zbyt głęboko pod wodą, by można ją dostrzec znad powierzchni, ale nie dość głęboko, aby nie rozpruła nam całego dna. Zgadza się, panie Framm?

– Sam nie powiedziałbym tego lepiej.

Zgorzkniały Billy rozejrzał się podejrzliwie dokoła.

– Nie wierzę ci – mruknął. – Marsh nie wykonał manewru ani nie rozpruł sobie dna o rafę, a w każdym razie nic takiego nie dostrzegłem. – Zaczął wymachiwać nożem. – Nie dopuszczę do tego, abyś pozwolił mu uciec – wysyczał.

„Eli Reynolds” zyskał kolejne sto stóp przewagi nad „Fevre Dream”. Teraz jednak mniejszy parowiec zaczął wykonywać lekki zwrot na sterburcie.

– To ci dopiero mat – rzucił z pogardą Karl Framm. – Tam do kata, ten mały tylnokołowiec, którego ścigamy, ma prawie zerową wyporność. Po solidnej ulewie mógłby przepłynąć przez pół Nowego Orleanu i nikt by się nawet nie zorientował, że nie porusza się po rzece.

– Abner nie jest głupcem – rzekł Joshua York – podobnie jak jego pilot. Wiedzieli, że rafa jest zbyt głęboko, by mogła im zagrozić nawet przy obecnym stanie wód w rzece. Przepłynęli dokładnie nad nią w nadziei, że podążymy ich śladem i rozprujemy dno. W najlepszym razie bylibyśmy tam uwięzieni do świtu. Czy teraz pan rozumie, panie Tipton?

Zgorzkniały Billy skrzywił się; nagle poczuł się jak ostatni dureń. Schował nóż, a Karl Framm w tej samej chwili wybuchnął śmiechem. Był to w zasadzie chichot, ale Billy i tak go usłyszał.

– Stul dziób – warknął – albo zawołam twoją panią. – I sam zaczął się śmiać.

„Eli Reynolds” znikł za załomem rzeki, ale w powietrzu wciąż jeszcze wisiał dym, a rzucany przez statek blask nadal rozjaśniał pnie

drzew.

Billy w milczeniu wpatrywał się w tę poświatę.

– Dlaczego tak bardzo zależy panu, abyśmy dopadli Abnera? – zapytał półgłosem York. – Panie Tipton, czy kapitan wyrządził panu jakąś krzywdę?

– Mam gdzieś tego brzydala – odparł chłodno Billy. – To panicz Julian chce go dopaść. Ja robię tylko to, czego życzy sobie panicz Julian.

– Co on by począł bez pana – mruknął Joshua York. Zgorzkniałego Billy’ego zdenerwował ton tych słów, ale zanim zdążył to powiedzieć, York znów się odezwał. – On pana wykorzystuje, Billy. Bez pana byłby nikim. I niczym. Myśli pan za niego i za niego działa, chroni go pan za dnia. To pan czyni go tym, czym jest.

– Tja – rzekł z dumą Billy.

Wiedział, jak bardzo był ważny. To mu się podobało. Na parowcu było jeszcze lepiej. Zupełnie jakby awansował na mata. Czarnuchy, których kupował, i najemne białe śmieci bały się go, zwracając się doń per „panie Tipton” i wykonując w mig wszystkie polecenia. Nie musiał nawet podnosić głosu ani piorunować ich wzrokiem. Kilku białych pracowników rzecznych z początku próbowało mu się przeciwstawić, ale Billy rozplątał jednemu z nich brzuch i wepchnął delikwenta z flakami na wierzchu do pieca. Od tej pory traktowali go z szacunkiem. Czarnuchy w ogóle nie sprawiały mu kłopotów, z wyjątkiem postojów przy brzegu, kiedy Billy zakuwał ich w kajdany zamocowane na głównym pokładzie, aby nie mogły uciec. To było lepsze niż funkcja karbowego na plantacji. Karbowy był białym śmieciem, wszyscy patrzyli na niego z góry. Na parowcu zaś mat miał sporo do powiedzenia, był oficerem, należało odnosić się doń z uprzejmością.

– Obietnica, którą złożył panu Julian, to kłamstwo – ciągnął York. – Nigdy nie będzie pan jednym z nas, Billy. Należymy do różnych ras. Nasza anatomia jest inna, podobnie nasze ciało i krew. Nie możemy uczynić pana jednym z nas, niezależnie od tego, co mówi Damon.

– Chyba masz mnie za skończonego głupca – odparł Billy.

– Ja nie muszę słuchać Juliana. Znam te historie. Wiem, jak wampiry mogą tworzyć inne, podobne sobie. Byłeś kiedyś taki jak ja, York, niezależnie od tego, co próbujesz mi wmówić. Tylko że ty jesteś słaby, a ja nie. Boisz się? – To o to chodziło, uznał Billy. York chciał skłonić go, aby zdradził Juliana, żeby ten go nie odmienił, gdyby bowiem stał się jednym z nich, byłby silniejszy od Yorka, a może nawet dorównałby samemu Julianowi. – Przerazam cię, prawda, Josh? Uważasz się za wspaniałego, ale poczekaj tylko, aż Julian mnie odmieni, a będziesz czołgać się u moich stóp. Ciekawe, jak smakuje twoja krew? Julian wie, prawda?

York milczał, ale Zgorzkniały Billy wiedział, że trafił go w czuły punkt. Damon Julian raczył się krwią Yorka z tuzin razy od swej pierwszej nocy na „Fevre Dream”. Prawdę mówiąc, nie pił nic innego. „Bo jesteś taki piękny, mój drogi Joshua” – mówił z bladym uśmiechem, podając Yorkowi kielich do napełnienia. Upokarzanie Yorka wyraźnie go bawiło.

– On wciąż się z pana śmieje – dokończył po chwili York.

– Każdego dnia, każdej nocy. Drwi z pana, gardzi panem. Uważa, że jesteś pan szpetny i śmieszny, pomimo że bywa pan użyteczny. Jest pan dla niego zaledwie zwierzęciem i odrzuci pana precz, gdy tylko znajdzie sobie silniejsze zwierzę, aby mu służyło. Bawi się panem, lecz zanim skończy, będzie pan tak zepsuty i przegniły na wskroś, że mimo odrzucenia wciąż będzie pan wierzył w te mrzonki, będzie pan płaszczył się przed nim jak nędzny robak, którym pan jest!

– Nie mam w zwyczaju płaszczyć się przed nikim – zaproponował Billy. – Zamknij się! Julian nie kłamie!

– Wobec tego niech go pan spyta, kiedy zamierza pana odmienić. Niech go pan zapyta, jak dokona tego cudu, jak rozjaśni pana skórę, nada nowe cechy ciału i nauczy czy widzieć w ciemnościach. Niech pan zapyta Juliana, jeśli mu pan wierzy. I niech pan uważnie słucha. Wyteżę słuch, a wychwyci pan drwiącą nutę w jego głosie.

Zgorzkniały Billy nie posiadał się z wściekłości. Z trudem hamował się, by nie wyjąć noża i nie wbić go Yorkowi w plecy; wiedział jednak, że Joshua w tej samej chwili rzuciłby się na niego, a i Julian nie byłby zadowolony z takiego obrotu sprawy.

– W porządku – mruknął. – Może go zapytam. Jest od ciebie starszy, York, i wie rzeczy, o których ty nie masz pojęcia. Może zapytam go już teraz, zaraz.

Karl Framm ponownie zachichotał i nawet York oderwał wzrok od steru, by uśmiechnąć się prowokująco.

– Na co więc pan czeka? – rzucił. – Niech pan idzie go zapytać.

Zgorzkniały Billy zszedł na niższy pokład, by uzyskać odpowiedź na nurtujące go pytanie.

Damon Julian zajął kajutę kapitańską należącą wcześniej do Joshuy Yorka. Billy zapukał delikatnie.

– Wejdz, Billy – rozległo się w odpowiedzi.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. W pokoju było ciemno, ale czuł obecność Juliana, siedzącego w mroku zaledwie o kilka stóp od niego.

– Czy dogoniliśmy już kapitana Marsha? – zapytał Julian.

– Jeszcze nie – odparł Billy – ale już wkrótce go dopadniemy.

– Hmm. Co cię zatem sprowadza, Billy? Kazałem ci zostać z Joshuą.

– Chciałem o coś zapytać – rzekł Billy.

Powtórzył wszystko, co usłyszał od Joshuy Yorka. Kiedy skończył, w pomieszczeniu zapanowała grobowa cisza.

– Biedny Billy – odezwał się w końcu Julian. – Czyżbyś wątpił, Billy, po tak długim czasie? Jeżeli zwątpisz, nigdy nie dostąpisz pełnej przemiany. To dlatego nasz drogi Joshua przeżywa takie udreki. Wątpliwości sprawiły, że zatrzymał się w połowie drogi pomiędzy mistrzem a bydlęciem. Rozumiesz to? Musisz uzbroić się w cierpliwość.

– Chcę zacząć – nalegał Billy. – To trwa już całe lata, paniczu. Mamy teraz ten parowiec, jest lepiej niż kiedykolwiek dotąd. Chcę być jednym z was. Obiecał pan.

– To prawda. – Damon Julian zachichotał. – Dobrze więc, Billy, zacniemy, skoro tak ci na tym zależy. Dobrze mi służyłeś, a ponieważ nalegasz, chyba nie mogę ci odmówić, prawda? Jesteś taki sprytny... nie chciałbym cię stracić.

Zgorzkniały Billy nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

– To znaczy, że zrobi pan to? – Joshua York srodze pożałuje

swoich słów, postanowił Billy.

– Oczywiście, Billy. Przecież obiecałem.

– Kiedy?

– Przemiany nie można dostąpić w jedną noc. Twoja transformacja wymaga czasu. Długich lat.

– Lat? – powtórzył z konsternacją Billy. Nie chciał czekać tak długo. W historiach, które słyszał, przemiana nie trwała latami.

– Niestety tak. Tak jak chłopiec z wolna przeradza się w mężczyznę, tak ty musisz przeistoczyć się z niewolnika w pana. W mistrza. Będziemy cię odpowiednio karmić, Billy, a krew da ci siłę, piękno i szybkość. Będziesz pił życie, a ono będzie krążyć w twych żyłach, aż odrodzisz się dla nocy. Nie da się tego zrobić szybko, niemniej jest to osiągalne. Stanie się tak, jak ci obiecałem. Otrzymasz życie wieczne, status mistrza i przepelni cię czerwone pragnienie. Zaczniemy już niebawem.

– To znaczy kiedy?

– Aby zacząć, musisz wypić, Billy. Potrzebna nam do tego ofiara. – Zaśmiał się. – Kapitan Marsh – rzucił nagle. – On będzie dla ciebie odpowiedni, Billy. Kiedy dopadniemy jego parowiec, przyprowadzisz go do mnie, tak jak ci kazałem. Całego i zdrowego. Ja go nie tknę. Będzie twój, Billy. Spętamy go i pozostawimy w jego wielkim salonie, a tam noc w noc będziesz mógł go odsączać. To kawał chłopca, musi mieć w sobie sporo krwi. Wystarczy ci na długo, Billy, i na dobre zapoczątkuje przemianę. Tak. Zacznieś od kapitana Marsha, gdy tylko wpadnie w nasze ręce. Dopadnij ich, Billy. Dla mnie i dla siebie.

ROZDZIAŁ 25

Na pokładzie parowca „Eli Reynolds” rzeka Missisipi, październik 1857

Abner Marsh patrzył z pilotówki „Eliego Reynoldsa”, jak „Fevre Dream” gładko omija płyciznę. Stuknął mocno laską w podłogę i zaklął, ale w głębi duszy nie był pewien, czy poczuł ulgę, czy raczej rozczarowanie. Pękłoby mu serce, gdyby zobaczył, jak jego ukochana jednostka dziurawi dno na podwodnej rafie. Z drugiej strony jednak „Fevre Dream” wciąż ich ścigał, a jeśli dopadnie „Reynoldsa”, bez wątpienia Damon Julian gołymi rękami wyszarpie serce z piersi Marsha.

I tak źle, i tak niedobrze. Marsh stał w pilotówce zasepiony, podczas gdy pilot „Eliego Reynoldsa” zakręcił zdecydowanie sterem i rozpoczął manewr przejścia. Sunący za nimi poprzez mrok pełną parą „Fevre Dream” prezentował się dość przerażająco. Marsh zbudował go z myślą o prześcignięciu „Eclipse”, stworzeniu najszybszego statku, jaki kiedykolwiek pływał po tej rzece, a teraz sam ścigał się z nim na tej żalosalnej łajbie, najnędzniejszej z możliwych.

– Nic na to nie poradzę – rzekł na głos, odwracając się do pilota.
– Mamy wyścig – dodał. – Proszę postarać się, aby nas nie dogonili.

Mężczyzna popatrzył na niego jak na szaleńca; być może nie bez racji.

Abner Marsh zszedł na pokład główny, aby sprawdzić, czy da się jeszcze coś zrobić. Cat Grove i pierwszy mechanik Doc Turney wzięli się już do roboty. Pokład skąpany był żarem. Z pieca płynęły ryki i trzaski, płomienie strzelały w górę, co kilka chwil palacze dorzucali nowe kawałki drewna. Grove ściągnął na dół wszystkich swoich ludzi, uwijali się jak frygi, spoceni, zziębnięci, sycąc czerwono-pomarańczową paszczę i przed wrzuceniem do środka pokrywając sosnowe i bukowe drewno łożem. Grove niósł cebrzyk z whisky i wielką mosiężną chochlę i podchodził kolejno do swoich ludzi, aby każdy z nich w wolnej chwili mógł się trochę napić. Pot spływał strugami po jego nagim torsie, a twarz jak u wszystkich palaczy poczerwieniała z gorąca. Trudno było sobie wyobrazić, jakim cudem to znoszą, ale ogień w piecu był regularnie podsycany.

Doc Turney obserwował wskaźniki ciśnienia przy kotle. Marsh także podszedł i rzucił okiem. Ciśnienie równomiernie rosło. Mechanik spojrzał na niego.

– Od czterech lat, odkąd pływam na tej łajbie, nie uzyskaliśmy tak wysokiego ciśnienia! – zawołał.

Musiał krzyczeć, aby można go było usłyszeć poprzez skwierczenie i ryk pieca, syk pary i dudnienie silnika. Marsh ostrożnie wyciągnął rękę, ale zaraz ją cofnął. Kocioł był zbyt gorący, aby mógł go dotknąć.

– Co z zaworem bezpieczeństwa, kapitanie? – zapytał Turney.

– Odbij go! – odkrzyknął Marsh. – Potrzebujemy więcej pary.

Turney zmarszczył brwi i wykonał polecenie. Marsh patrzył na wskaźnik, igła wciąż się wznosiła. Para nieomal wyła, przepływając przez rury, ale na efekt nie trzeba było długo czekać – silnik zadudnił i zagrzmiał, jakby lada moment miał rozlecieć się w drobny mak, a potem koło zaczęło się obracać szybciej niż kiedykolwiek dotąd. Kilwater za statkiem wzburzył się i spienił, cały statek zawibrował potężnie, pchany z niespotykaną dotychczas mocą. Drugi mechanik i palacze tańczyli wokół silnika, oliwiąc go i smarując, aby gładko chodził. Wyglądali jak małe czarne małpki utyłane w smole. Poruszali się równie szybko jak one. Musieli. Niełatwo było

przesmarowywać ruchome części w biegu, zwłaszcza teraz, gdy sterany, rachityczny silnik starego „Eliego Reynoldsa” coraz bardziej nabierał tempa.

– Szybciej! – zakrzyknął Grove. – Pospieszcie się z tym łożem!

Wielki rudowłosy palacz kołyszącym krokiem oddalił się od ziejącej paszczy pieca, z gorąca zakręciło mu się w głowie. Osunął się na kolana, ale natychmiast zastąpił go inny palacz. Grove podszedł do oszołomionego i wylał mu na głowę chochlę whisky. Mężczyzna uniósł wzrok, zamrugał powiekami, otarł moką twarz i otworzył usta, a mat wlał mu do gardła kolejną porcję alkoholu. Po kilku chwilach znów stał na nogach, nacierając łożem sosnowe bierwiona.

Mechanik skrzywił się i otworzył przepusty; gorąca para z sykiem wypłynęła w noc, a ciśnienie pod kotłem odrobinę zmalało. Wkrótce jednak znów zaczęło rosnać. W kilku rurach zaczął się topić lut, spływając srebrzystymi strużkami, ale obsługa już czekała, gotowa załatać każde poważniejsze uszkodzenie. Marsh ociekał potem wyciskanym przez wilgotny żar pary i suche podmuchy gorąca bijące z wnętrza pieca. Ludzie krzatali się wokół niego, pokrzykując, podając sobie z rąk do rąk bierwiona i łój, dorzucając do pieca, obsługując kocioł i silniki. Tłok i koło wydawały przeraźliwe odgłosy, płomienie z pieca nadawały wszystkiemu migotliwy, czerwonawy odcień. Było to istne piekło, inferno rozdierającej uszy kakofonii, gorączkowej pracy, dymu, pary i niebezpieczeństwa. Parowiec dygotał, rzeził i trząsał się jak dogorywający człowiek. Ale wciąż parł naprzód i tu, na dole, Abner Marsh ani prośbą, ani groźbą nie był w stanie zmusić go, aby płynął jeszcze szybciej.

Z prawdziwą ulgą wyszedł na forkaasztel, z dala od powalającego żaru; surdut, koszulę i spodnie miał mokre, jakby dopiero co wypelzł z rzeki. Omiótł go gwałtowny podmuch wiatru i przez chwilę Marshowi zrobiło się przyjemnie chłodno. W oddali przed nim, na środku rzeki, znajdowała się rozdzielająca ją wysepka, a nieco poza nią, na zachodnim brzegu, widać było światło. Zbliżali się szybko ku niemu.

– Niech to licho – rzekł Marsh. – Musimy robić ze dwadzieścia

mil na godzinę. Tam do kata, może nawet trzydzieści!

Powiedział to głośno, nieomal wykrzyczał to z siebie, jakby wypowiedzenie tych słów mogło je urealnić. „Eli Reynolds” przy dobrym dniu pokonywał osiem mil na godzinę. Oczywiście teraz rzeczny prąd działał na jego korzyść.

Marsh wbiegł po schodach na górę, przemaszerował przez główną salę i wpadł na pokład huraganowy, aby rozeznaczyć się w sytuacji.

Z wierzchołków małych, pękatych kominów buchał ogień i snopy iskier, a z przepustów znów popłynęła para, gdy Doc Turney raz jeszcze zmniejszył ciśnienie pod kotłem. Pokład pod stopami Marsha wibrował niczym żywa istota. Koło rufowe obracało się tak szybko, że tworzyła się za nimi ściana wody, jak odwrócony wodospad.

„Fevre Dream” sunął za nimi, mroczny, jakby rozmyty kształt, dym i ogień z wysokich kominów biły w niebo, jakby chciały przesłonić księżyc. Odległość między jednostkami, w czasie odkąd Marsh zszedł na dół, zmniejszyła się o jakieś dwadzieścia jardów.

Kapitan Yoerger stanął obok Marsha.

– Nie uciekniemy mu – powiedział posepnym tonem.

– Potrzeba nam więcej pary. Więcej żaru!

– Koło nie może już obracać się szybciej, kapitanie Marsh. Jeśli Doc kichnie w niewłaściwym momencie, kocioł eksploduje i pozabija nas wszystkich. Silnik ma siedem lat, cały się sypie. Zaczyna też brakować łożu. Kiedy się skończy, zostanie nam tylko drewno opałowe. To stara łajba, kapitanie. Póki co tańczy jak panna młoda na weselu, ale długo takiego tempa nie wytrzyma.

– Niech to szlag! – zaklął Marsh. Spoglądał w tył, za kilwater statku. „Fevre Dream” zbliżał się nieubłaganie. – Niech to szlag – powtórzył. Yoerger miał rację i Marsh doskonale o tym wiedział.

Marsh popatrzył do przodu. Zbliżyli się do wysepki. Rzeka i główny kanał kierowały się na wschód. Zachodnia odnoga była raczej nieduża.

Nawet z tej odległości Marsh widział, jak się zwęzła, drzewa, poskręcane, czarne i gruzłowate, pochylały się niczym mroczne sylwetki nad jej brzegami. Wrócił i wszedł do pilotówki.

– Skrećamy w mniejszą odnogę – zwrócił się do pilota.

Ten spojrział na niego wyraźnie wstrząśnięty. Na rzece takie decyzje podejmował pilot. Kapitan mógł jedynie sugerować to lub owo, ale nie wydawał rozkazów.

– Odmawiam, sir – odparł pilot z osobliwym spokojem, zważywszy na sytuację. – Proszę spojrzeć na te brzegi, kapitanie Marsh. Poziom rzeki opada. Znam tę odnogę, o tej porze roku nie zdołamy się przez nią przepawić, jeśli tam wpłyniemy, ugrzęźniemy na płyciźnie aż do wiosennych powodzi.

– Być może – potaknął Marsh – ale jeśli my się nie przedostaniemy, to z pewnością nie uda się to również „Fevre Dream”. Będzie musiał płynąć naokoło. Zgubimy go. Obecnie najważniejsze jest, aby uciec przed „Fevre Dream”; nie powstrzyma mnie przed tym kilka na wpół zatopionych kłód.

Pilot miał marsową minę.

– Nie musi mnie pan uczyć, jak pływać po tej rzece. Mam swoją reputację. Nigdy jeszcze nie wpakowałem statku na mieliznę i teraz też nie zamierzam. Zostaniemy na rzece.

Abner Marsh poczuł, że się czerwieni. Obejrzał się do tyłu. „Fevre Dream” był jakieś trzysta stóp za nimi i szybko się zbliżał.

– Ty głupcze – warknął Marsh. – To najważniejszy wyścig, jaki kiedykolwiek rozegrał się na tej rzece, i trafił mi się pilot-półgłówek. Dawno by nas dopadli, gdyby za sterem stał pan Framm albo gdyby mieli mata, który umie kierować taką jednostką. Prawdopodobnie palą w piecach drewnem jesionowym. – Wskazał laseczką na „Fevre Dream”. – Niech pan spojrzy, mimo że płynie w miarę wolno, już wkrótce i tak nas doścignie, chyba że go przechytzymy. Do tego potrzebny jest nam spryt i zdolny pilot. Słyszysz pan, co do niego mówię? Skrećamy w tę odnogę, ale już!

– Mógłbym donieść na pana do związku – odciął się pilot.

– A ja mógłbym wyrzucić pana za burtę – odparował Abner Marsh. I groźnie postąpił naprzód.

– Proszę wysłać szalupę, kapitanie – zaproponował pilot. – Wysondujemy dno i zobaczymy, czy da się tam wpłynąć.

Abner Marsh parsknął z rozgoryczeniem.

– Odsuń się pan – warknął, brutalnie spychając pilota na bok.

Mężczyzna potknął się i upadł.

Marsh przejął koło i przekreślił je ostro na sterburcie, a w odpowiedzi dziób „Eliego Reynoldsa” zaczął wykonywać zwrot. Pilot zaklął i nachmurzył się.

Marsh zignorował go i skoncentrował się na sterowaniu, dopóki parowiec nie minął wysokiego, błotnisteo wierzchołka wyspy, płynąc wzdłuż jej nierównego zachodniego brzegu. Obejrzał się przez ramię, by ujrzeć, jak „Fevre Dream”, znajdujący się teraz o niecałe dwieście stóp za nimi, zwalnia i zatrzymuje się, by gwałtownie dać całą wstecz. Kiedy w chwilę później obejrzał się raz jeszcze, statek zaczął wycofywać się w stronę wschodniego zakrętu rzeki. Potem nie było już czasu na rozglądanie się, „Eli Reynolds” bowiem wyrznął w coś dość mocno; sądząc po odgłosie, była to wielka kłoda. Wskutek uderzenia Marsh zgrzytnął zębami tak mocno, że omal nie odgryzł sobie języka, i z całej siły uchwycił się steru, aby nie upaść. Pilot, który właśnie się podniósł, ponownie runął na podłogę z głośnym jękiem. Prędkość pchnęła parowiec ponad przeszkodą, Marsh ujrzał ją przez moment. Było to wielkie, czarne, na wpół zanurzone pod wodą drzewo. Rozległ się potężny zgrzyt i jęk, przeraźliwy, ogłuszający łoskot, statek zakolebał się, jakby potrząsnął nim rozwścieczony olbrzym, a potem dał się słyszeć trzask gruchotanego drewna, gdy koło łopatkowe opadło na zatopioną kłodę..

– Do stu piorunów! – zaklął pilot, ponownie podnosząc się na nogi. – Proszę mi oddać ster!

– Z przyjemnością – odrzekł Abner Marsh, odsuwając się na bok.

„Eli Reynolds” pozostawił zatopione drzewo w tyle i pomknął jak oszalały przez płytką, wąską odnogę, dygocząc, gdy przyszło mu przedzierać się przez kolejne znajdujące się na jego drodze mielizny.

Każda z nich spowalniała go, a jeszcze bardziej pilot, który dzwonił jak opętany dzwonekami do maszynowni.

– Cała stop! – zawołał. – Cała stop! Zatrzymać koło! – Wielkie łopaty wykonały jeszcze kilka wolnych obrotów i zatrzymały się z jękiem, a z przewodów odprowadzających wystrzeliły pióropusze gęstej, gorącej pary.

„Eli Reynolds” zaczął lekko dryfować, a koło sterowe obróciło się luźno w dłoniach pilota.

– Straciliśmy ster – powiedział, gdy parowiec wgrzył się w kolejną mieliznę.

I ta go zatrzymała.

Tym razem Abner Marsh przygryzł sobie język, upadając do przodu na koło sterowe. Ktoś na dole krzyczał, usłyszał głośne wrzaski, gdy z wolna dochodząc do siebie, wypluł zebraną w ustach krew.

– Niech to licha! – rzucił pilot. – Proszę spojrzeć. Niech pan patrzy.

„Eli Reynolds” nie tylko stracił ster, ale i połowę koła łopatkowego. Wciąż trzymało się parowca, choć zwieszało się krzywo, pod kątem, a połowy drewnianych łopat brakowało lub zostały z nich tylko drzazgi. Z przepustów ponownie upuszczono parę, po czym statek z donośnym jękiem opadł na mieliznę, przechylając się lekko na sterburtę.

– Mówiłem panu, że nie przedrzemy się przez tę odnogę – rzekł pilot. – Ostrzegałem. O tej porze roku są tu tylko mielizny i zatopione kłody. Ja do tego nie doprowadziłem i nie przyjmę na siebie odpowiedzialności za to, co się tu stało!

– Stul dziób, durniu – warknął Abner Marsh. Spoglądał wstecz, za rufę, gdzie poprzez drzewa prawie nie było widać rzeki. Niczego nie dostrzegł. Może „Fevre Dream” popłynął dalej. Może. – Ile zajmie pokonanie tego zakrętu? – zwrócił się Marsh do pilota.

– Do krocset, co to pana obchodzi? Nie wydostaniemy się stąd do wiosny. Potrzebny będzie nowy ster i nowe koło, a także spory przyływ, aby podnieść nas z tej mielizny.

– Zakręt – rzucił z naciskiem Marsh. – Ile zajmie pokonanie tego zakrętu?

– Pół godziny – odburknął pilot. – Może dwadzieścia minut, gdyby utrzymać dotychczasową prędkość, ale co to ma za znaczenie? Mówię panu...

Abner Marsh otworzył drzwi pilotówki i zakrzyknął do kapitana Yoergera. Musiał zawołać trzykrotnie i odczekać pięć minut, zanim Yoerger wreszcie się pojawił.

– Przepraszam, kapitanie – rzekł starszy mężczyzna. – Byłem na dole, na głównym. Irlandczyk Tommy i Wielki Johansen zostali mocno poparzeni. – Zauważył zniszczone koło i przystanął. – O rany – jęknął zbolalym głosem.

– Pękła któraś z rur? – zapytał Marsh.

– Kilka – przyznał Yoerger, odrywając wzrok od uszkodzonego koła. – Wszystko wypełniło się parą, byłoby znacznie gorzej, gdyby Doc szybko nie otworzył przepustów i nie pozostawił ich uchylonych. To uderzenie spowodowało obluźowanie się większości rur.

Marsh stracił rezon. To była kropla, która przepelniła czarę.

Nawet gdyby udało się im zepchnąć statek z mielizny, zamontować nowy ster i jakimś cudem z uszkodzonym kołem pokonać pływiczną oraz wycofać się z tej przekłetej odnogi mimo blokującego jej wlot na wpół zatopionego drzewa – co samo w sobie nie było proste – musieli jeszcze na dokładkę uporać się z problemem uszkodzonych rur, a być może również kotła.

Zaklął siarczyście.

– Kapitanie – rzekł Yoerger – nie zdołamy ich dogonić, a więc z pańskich planów nici, ale przynajmniej jesteśmy bezpieczni. „Fevre Dream” pokona zakręt i uzna, że mu uciekliśmy, a wówczas bez wątpienia ruszy za nami w pościg w dół rzeki.

– Nie – powiedział Marsh. – Kapitanie, chcę, aby przygotował pan nosze dla poparzonych i zszedł na brzeg, do lasu, tu niedaleko. – Wskazał laseczką kierunek. Brzeg znajdował się o dziesięć stóp od nich, poziom rzeki był w tym miejscu dość niski. – Musicie dotrzeć do najbliższego miasta.

– To dwie mile stąd – wtrącił pilot.

Marsh skinął na niego.

– Świetnie. Zaprowadzi ich pan tam. Chcę, abyście wszyscy zeszli z pokładu, i macie to zrobić jak najszybciej. – Przypomniał sobie złoty błysk spadających z nosa Jeffersa okularów. Przerażliwy, słaby błysk. Tylko nie to, pomyślał Marsh, nigdy więcej. Nie dopuści, by coś takiego się powtórzyło. I to z jego winy. – Znajdźcie lekarza, który się nimi zajmie. Tam, jak sądzę, będziecie bezpieczni. Oni chcą dostać mnie, a nie was.

– Nie idzie pan z nami? – zapytał Yoerger.

– Mam swoją strzelbę – odrzekł Marsh. – I silną wolę. Zaczekam tu.

– Niech pan idzie z nami.

– Jeśli stąd odejdę, będą nas ścigać. Jeżeli mnie dostaną, przynajmniej wy będziecie bezpieczni. Tak sądzę.

– A jeśli się nie zjawią?

– To ruszę za wami o pierwszym brzasku – odrzekł Marsh. Zniecierpliwiony stuknął laseczką w podłogę. – Nadal jestem tu kapitanem, czyż nie? Przestańcie dyskutować i róbcie, co wam każę. Macie wszyscy zejść z pokładu mojego parowca, czy to jasne?

– Kapitanie – odezwał się Yoerger – może chociaż ja i Cat moglibyśmy panu pomóc.

– Nie. Klamka zapadła.

– Kapitanie...

– Precz! – wrzasnął Marsh poczerwieniały na twarzy. – Wyońście się!

Yoerger pobladł i ująwszy zdeorientowanego pilota za rękę, wyprowadził go z pilotówki. Gdy zeszli na dół, Abner Marsh ponownie spojrzął na rzekę – nadal nic – a potem udał się do swojej kajuty. Zdjął strzelbę ze ściany, sprawdził, załadował, po czym włożył do kieszeni surduta pudełko amunicji. Uzbrojony wrócił na pokład huraganowy i usiadł na krześle w miejscu, skąd miał najlepszy widok na rzekę. Gdyby byli sprytni, stwierdził Marsh, domyśliliby się, jak niski jest obecnie poziom rzeki.

Wiedzieliby, że „Eli Reynolds” może pokonać odnogę, ale gdyby nawet, będzie musiał to zrobić powoli i przez cały czas sondując rzekę. Pokonawszy zakręt, wiedzieliby, że wyprzedzili „Reynoldsa”. A w tej sytuacji na pewno nie popłynęliby w dół rzeki. Zatrzymaliby „Fevre Dream” u wylotu odnogi i zaczęli tam na „Reynoldsa”. W tym samym czasie załoga – albo lud nocy – zapuści się zapewne w głąb odnogi w małej szalupie, na wypadek gdyby „Eli” zatrzymał się lub ugrzązł gdzieś po drodze. Tak w każdym razie postąpiłby Abner Marsh.

Nieduży odcinek rzeki, który miał w zasięgu wzroku, wciąż pozostawał pusty. Zrobiło mu się trochę zimno, ale czekał wytrwale.

Spodziewał się, że w każdej chwili może ujrzeć jolkę wylaniającą się spoza drzew, pełną cichych, mrocznych postaci o bladych twarzach i uśmiechających się drwiąco w świetle księżyca. Ponownie sprawdził strzelbę i w duchu zaczął ponaglać Yoergera.

Yoerger, Grove i reszta załogi „Eliego Reynoldsa” opuścili pokład przed kwadransem, a na rzece wciąż nic się nie poruszało.

Noc wypełniały różnorodne dźwięki. Plusk wody opływającej uwieczony parowiec, szum wiatru w koronach drzew, odgłosy leśnych zwierząt. Marsh wstał z palcem na spuście strzelby i bacznie zlustrował widoczny fragment rzeki. Nie dostrzegł niczego podejrzanego, jedynie błotnistą wodę obmywającą piaszczyste mielizny, poskręcane korzenie oraz zwalone czarne drzewo, na którym roztrzaskało się koło łopatkowe małego parowca. Dojrzał też płynące z prądem oberwane konary drzew. Nic więcej.

– Może nie są tacy sprytni – wymamrotał pod nosem.

Kątem oka zauważył coś jasnego na wyspie opodal. Odwrócił się w tę stronę, unosząc broń do ramienia, ale nic tam nie było, jedynie czarny gąszcz lasu i tafla gęstego rzeczno-błocznego. Od mrocznej wysepki dzieliło go dwadzieścia jardów płycizny. Abner Marsh oddychał z trudem.

A co, jeżeli nie wyślą szalupy?, zastanawiał się. Jeżeli przybiją do brzegu i dotrą tu pieszo?

„Eli Reynolds” zaskrzypiał pod nim, a Marshowi zrobiło się nagle nieswojo. Statek osiada, zapewnił sam siebie, zanurza się głębiej w mule i piasku, nic więcej. Jednak jakiś głos w jego myślach podszeptał, że mógł to być odgłos skradania się, że być może ktoś próbował go podejść, podczas gdy on uporczywie obserwował rzekę. Może już weszli na statek. Może właśnie w tej chwili Damon Julian wspinał się po schodach, przemykał przez główną salę – wiedział, jak cicho potrafił stąpać Julian – i przeszukiwał kajutę, kierując się ku schodom, które doprowadzą go tu, na pokład huraganowy.

Marsh odwrócił krzesło w stronę schodów, tak na wszelki wypadek, gdyby nagle pokazało się na nich blade oblicze. Ręce zaczęły mu się pocić. Kolba broni była cała wilgotna. Otarł dłonie o nogawkę spodni.

W tej samej chwili od schodów dobiegł go cichy szept.

Byli na dole, pomyślał Marsh, zastanawiali się, jak go dopaść. A on był uwięziony na górze, w pojedynkę. Tym, że był sam, właściwie się nie przejmował. Wcześniej miał pomocników i na niewiele się to zdało. Marsh wstał i podszedł do schodów, zerkając w dół, w ciemność rozjaśnioną nieznacznie przez blask księżyca. Ścisnął w dłoniach strzelbę i zamrugał, czekając, aż coś się pokaże. Czekał niemal bez końca, wsłuchując się w te niewyraźne szepty, a jego serce dudniło jak stary, dychawiczny silnik „Eliego Reynoldsa”. Chcieli, aby ich usłyszał, pomyślał Abner Marsh. Chcieli, aby się bał. Zakradli się na jego statek niczym widma, ulotne i bezgłośnie, a teraz próbowali go przestraszyć.

– Wiem, że tam jesteś! – zawołał. – Wejdz na górę. Mam tu coś dla ciebie, Julianie.

Zważył strzelbę w dłoniach. Cisza.

– Niech cię diabli! – ryknął Marsh.

U podnóża schodów coś się poruszyło, śmignęła jakaś postać, błada i szybka. Marsh uniósł broń do strzału, ale sylwetka znikła, zanim zdążył do niej wymierzyć. Zaklął i zszedł dwa stopnie niżej, po czym przystanął. Tego właśnie chcieli, pomyślał. Próbowali zwać go na dół, na promenadę, pomiędzy tonące w ciemnościach kajuty, do zakurzonego, pełnego cieni salonu, gdzie przez brudny świetlik z trudem docierał blask księżyca.

Wiedział, że tu, na górze, na pokładzie huraganowym, mógł trzymać ich w szachu. Niełatwo byłoby im go podejść. Zobaczyłby ich, gdyby zaczęli wchodzić po schodach albo próbowali wspiąć się na górę po burtach. Na dole jednak byłby zdany na ich łaskę.

– Kapitanie – dobiegł go łagodny głos. – Kapitanie Marsh.

Uniósł strzelbę i przymrużył powieki.

– Proszę nie strzelać, kapitanie. To ja. To tylko ja. – Pokazała mu się, stając u podnóża schodów.

Valerie.

Marsh zawahał się. Uśmiechnęła się do niego, ciemne włosy rozbłysły w księżycowej poświacie, czekała. Miała na sobie spodnie i rozpiętą z przodu męską koszulę z żabotem. Jej skóra była błada i delikatna, fiołkowe oczy, gdy odnalazła jego spojrzenie, wydawały się błyszczeć niczym latarnie, były takie piękne i głębokie, bezdenne.

Mógłby utonąć w nich na zawsze.

– Chodź do mnie, kapitanie! – zawołała Valerie. – Jestem sama. Przysłał mnie Joshua. Zejdź na dół, porozmawiamy. – Marsh zszedł o kolejne dwa stopnie, nie mogąc oderwać wzroku od jej cudownych, ujmujących oczu.

Valerie wyciągnęła ku niemu rękę.

„Eli Reynolds” stęknął i ponownie osiadł, przechylając się gwałtownie na sterburtę. Marsh potknął się i boleśnie uderzył gołenią w stopień; ból sprawił, że jego oczy wypełniły się łzami. Usłyszał dochodzący z dołu słaby śmiech i spostrzegł, że uśmiech Valerie zaczyna nikać. Klnąc pod nosem, Marsh uniósł strzelbę do ramienia i wypalił. Kopnięcie broni omal nie urwało mu ręki i cisnęło go w tył na schody. Valerie zniknęła, rozplynęła się jak duch. Marsh zmełł w ustach przekleństwo, po czym wstał i sięgnął do kieszeni po kolejny nabój, wycofując się tyłem po schodach na górę.

– Joshua, akurat! – zakrzyknął w ciemność. – Przysłał cię Julian, niech go piekło pochłonie!

Gdy ponownie znalazł się na pokładzie huraganowym, przekrzywionym teraz pod kątem trzydziestu stopni, poczuł nagle, że coś ostrego wpiło mu się między łopatki.

– Proszę, proszę. – Z tyłu rozległ się czyjś głos. – Toż to kapitan Marsh we własnej osobie.

Kiedy Marsh upuścił strzelbę, na pokładzie jeden po drugim pojawili się inni. Valerie przybyła ostatnia i nawet na niego nie spojrzała. Abner Marsh obrzucił ją wiązką inwektyw, nazywając ją między innymi zdradziecką szmatą. W końcu posłała mu jedno przerażające, oskarżycielskie spojrzenie.

– Myślisz, że miałam wybór? – zapytała z goryczą w głosie, a Marsh w jednej chwili umilkł. Nie uciszyły go jej słowa, lecz wyraz oczu. W fiołkowej głębi przez ułamek sekundy Marsh dostrzegł błysk zawstydzenia, zgrozy... i pragnienia.

– Ruszaj – rozkazał Zgorzkniały Billy Tipton.

– Niech cię piekło pochłonie – rzucił Abner Marsh.

ROZDZIAŁ 26

Na pokładzie parowca „Ozymandias” rzeka Missisipi, październik 1857

Abner Marsh spodziewał się ciemności, ale gdy Zgorzkniały Billy wepchnął go przez drzwi do kajuty kapitańskiej, okazało się, że pomieszczenie rozświetlone jest łagodnym blaskiem lamp naftowych. Pokój był bardziej zakurzony, niż Marsh sobie przypominał, ale poza tym wyglądał tak, jak go pozostawił Joshua. Billy zamknął drzwi i Marsh pozostał sam na sam z Damonem Julianem. Ścisnął mocno w dłoni laskę z hikory – Billy wrzucił broń do rzeki, ale pozwolił Marshowi zatrzymać laseczkę – i patrzył spode łba.

– Jeżeli zamierzasz mnie zabić, to chodź, spróbuj szczęścia – mruknął. – Nie jestem w nastroju do żartów.

Damon Julian uśmiechnął się.

– Zabić pana? Ależ, kapitanie, zamierzałem poczęstować pana kolacją. – Na niedużym stoliku pomiędzy dwoma okazałymi skórzanymi fotelami stała srebrna taca. Julian uniósł pokrywę, ukazując talerz z plastrami pieczonego kurczaka z warzywami, rzepą i cebulką oraz kawałek jabłecznika z serem. – Jest także wino. Proszę usiąść, kapitanie.

Marsh spojrział na tacę i powąchał potrawę.

– Tuby wciąż żyje – rzekł z osobliwym przekonaniem.

– Oczywiście – potwierdził Julian. – Zechce pan usiąść?

Marsh zbliżył się niepewnie. Nie potrafił dociec, do czego zmierzał Julian, ale po chwili namysłu uznał, że jest mu to obojętne. Może jedzenie było zatrute, choć to wydawało się raczej niedorzeczne, istniało mnóstwo łatwiejszych sposobów uśmiercenia go. Usiadł i sięgnął po pierś kurczaka. Była jeszcze ciepła.

Wgryzł się w nią łapczywie i dopiero teraz uświadomił sobie, od jak dawna nie jadł przyzwoitego posiłku. Może już wkrótce umrze, ale przynajmniej nie z pustym żołądkiem.

Damon Julian ubrany w wytworny brązowy garnitur ze złotą kamizelką obserwował, jak Marsh się posila, z uśmiechem rozbawienia rozpromieniającym jego blade oblicze.

– Wina, kapitanie? – zapytał krótko. Napełnił dwa kieliszki i powoli zaczął sączyć trunek ze swojego.

Kiedy Abner Marsh uporał się z jabłecznikiem, rozsiadł się wygodnie na krześle, czknął i skrzywił się.

– Smaczny posiłek – burknął. – Czemu mnie tutaj sprowadziłeś, Julianie?

– Kapitanie, tamtej nocy, gdy zdecydował się pan na tak, rzekłbym, pospieszne wyjście, chciałem dać panu do zrozumienia, że chcę tylko porozmawiać. Ale pan mi nie uwierzył.

– Pewno, że nie – mruknął Marsh. – I nadal nie wierzę. Ale teraz nie mam w tej kwestii wiele do powiedzenia, więc wolę posłuchać ciebie.

– Zuchwalec z pana, kapitanie. Jest pan również silny. Podziwiam pana.

– Nie przypuszczam, abym mógł ci się do czegokolwiek przydać.

Julian wybuchnął śmiechem. Jego śmiech brzmiał jak najczystsza muzyka. Ciemne oczy lśniły.

– Zabawne – powiedział. – Tyle arogancji.

– Nie wiem, czemu próbujesz mi pochlebiać, ale to i tak nic nie da. Wszystkie pieczone kurczaki tego świata nie pozwolą mi zapomnieć, co zrobiłeś z tym nieszczęsnym dzieckiem i panem

Jeffersem.

– Najwyraźniej zapomniał pan, że Jeffers przebił mnie na wylot swoim rapierem – wtrącił Julian. – Trudno puścić coś takiego płazem.

– Tamto dziecko nie było uzbrojone.

– Niewolnik – rzucił jakby mimochodem Julian. – Element inwentarza, własność, wedle prawa pańskiego narodu.

A wedle pańskich ziomków podczłowiek. Istota gorszego rodzaju. Oszczędziłem mu życia w niewoli, kapitanie.

– Idź do diabła – warknął Marsh. – To było maleńkie dziecko, a ty odciąłeś mu rączkę, jak odcina się łeb kurczakowi, a potem zmiażdżyłeś mu główkę. Ono nic złego ci nie zrobiło.

– Nie – przyznał Julian. – Ale Jean Ardant także nie skrzywdził ciebie ani żadnego z twoich ludzi. A jednak ty i twój podwładny roztrzaskaliście mu czaszkę, gdy spał.

– Myśleliśmy, że to ty.

– Ach – rzekł Julian. Uśmiechnął się. – Cóż, pomyliliście się. Mimo to faktem jest, że zamordowaliście niewinnego człowieka. Nie sprawia pan wrażenia, że dręczą pana wyrzuty sumienia i poczucie winy.

– On nie był człowiekiem. Był jednym z was. Wampirem.

Julian zmarszczył brwi.

– Proszę. Podobnie jak Joshua nie cierpię tego określenia.

Marsh wzruszył ramionami.

– Przeczy pan samemu sobie, kapitanie Marsh – ciągnął Julian. – Osądza mnie pan, uznając, że jestem zły, ponieważ robię to samo co pan bez najmniejszych skrupułów – odbieram życie tym, którzy nie są tacy sami jak ja. Ale to nieistotne. Broni pan swojego gatunku. W tym także przedstawiciele ras ciemnoskórych. Szczerze mówiąc, podziwiam pana. Wie pan, kim jest, zna pan swoją naturę i własne miejsce w świecie. Jest tak, jak być powinno. Pan i ja jesteśmy tacy sami.

– Bynajmniej – zaprotestował Marsh. – Nie mam z tobą nic wspólnego.

– Ależ jak najbardziej! My obaj, pan i ja, akceptujemy swoją naturę, nie próbujemy stać się kimś, kim nie jesteśmy i kim nigdy nie

moglibyśmy być. Gardzę tymi, którzy są słabi, odmieńcami nienawidzącymi samych siebie do tego stopnia, że udają innych, niż są naprawdę. Pan odczuwa dokładnie to samo.

– Nieprawda.

– Czyżby? Czemu więc tak bardzo nienawidzi pan Zgorzkniałego Billy’ego?

– Bo to niegodziwiec.

– Oczywiście, że tak! – Julian wyglądał na rozbawionego. – Biedaczyna Billy jest słaby, a pragnie być silny. Uczyni wszystko, by stać się jednym z nas. Wszystko. Znałem takich jak on. Było ich wielu. Są użyteczni, niekiedy zabawni, ale nie sposób ich podziwiać. Gardzi pan Billym, kapitanie, bo naśladuje naszą rasę i żeruje na pańskiej. Drogi Joshua podziela pańskie odczucia, nie zdając sobie sprawy, że dostrzega w Billym odbicie samego siebie.

– Joshua i Billy Tipton są całkowicie różni – stwierdził autorytatywnie Marsh. – Billy to skończony łajdak. Joshua być może ma na sumieniu rozmaite ciemne sprawki, ale stara się im zadośćuczynić. Z chęcią pomógłby wam wszystkim.

– Uczyniłby nas podobnymi do pana. Pański naród, kapitanie Marsh, jest przeraźliwie podzielony w kwestii niewolnictwa, notabene niewolnictwa opartego na podłożu rasowym. Dajmy na to, że mógłby pan położyć temu kres. Że mógłby pan sprawić, iż w ciągu jednej nocy każdy biały w tym kraju stanie się czarny jak węgiel. Zrobił pan to?

Abner Marsh zastanowił się. Myśl, że miałby stać się czarny jak węgiel, niezbyt przypadła mu do gustu, ale zrozumiał, do czego zmierza Julian, i nie chciał drażnić tego tematu.

W tej sytuacji nie odezwał się ani słowem.

Damon Julian upił łyk wina i uśmiechnął się.

– Ach – mruknął. – No widzi pan. Nawet wasi abolicjoniści przyznają, że ciemnoskórzy są gorsi od białych. Nie patrzyliby przychylnym okiem na niewolnika udającego, że jest biały, i byłiby zdegustowani, gdyby biały miał wypić wywar, po którym czernieje mu skóra. Nie skrzywdziłem tego dziecka, ponieważ jestem zły, kapitanie. Nie ma we mnie zła. Zrobiłem to, by dotrzeć do Joshuy, mojego drogiego Joshuy. Jest piękny, ale okrutnie mnie mierzi.

Pan to co innego. Czy tamtej sierpniowej nocy naprawdę bał się pan, że pana skrzywdzę? Właściwie mogłem to zrobić, byłem wściekły, ranny i bardzo cierpiałem. Ale na pewno nie wcześniej. Przyciąga mnie piękno, a w panu go nie ma, kapitanie. – Wybuchnął śmiechem. – Chyba nigdy jeszcze nie widziałem równie szpetnego mężczyzny. Jest pan ogromny, istna beka łożu, z twarzą pełną obrzydliwych narośli i gęstą, szczeciniastą brodą; cuchnie pan potem, ma płaski nos, świńskie oczka i krzywe, pożółkłe zęby. Wzbudza pan we mnie tyle samo pragnienia co Billy. A jednak jest pan silny, wyjątkowo odważny i w dodatku zna pan swoje miejsce. Szczerze to w panu podziwiam. No i potrafi pan sterować parowcem. Nie powinniśmy być wrogami, kapitanie. Niech pan przyłączy się do mnie. Niech pan dowodzi dla mnie „Fevre Dream”. – Uśmiechnął się. – Czy jak się teraz nazywa. Billy uznał, że trzeba go przemianować, a Joshua wytrzasnął skądś tę nazwę. Może pan powrócić do jego starej nazwy, jeśli pan zechce.

– Obecnie statkiem dowodzi Billy Tipton, nieprawdaż? – spytał Marsh.

Julian wzruszył ramionami.

– Billy nie zna się na żegludze rzecznej. To dobry nadzorca, ale nikt ponadto. Jest bezużyteczny. Czy chciałby pan, abym się go pozbył, kapitanie? To byłaby pańska pierwsza nagroda za przyłączenie się do mnie. Śmierć Billy’ego. Zabiję go dla pana albo pozwolę, aby sam pan się tym zajął. Bądź co bądź zabił pańskiego zastępcę.

– Kudłatego Mike’a? – zapytał Marsh, czując na plecach lodowate ciarki.

– Tak – odrzekł Julian. – A w parę tygodni później pańskiego mechanika. Przyłapał go, gdy tamten próbował uszkodzić kotły i doprowadzić do ich eksplozji. Czy chciałby pan zemścić się na nim za swoich ludzi? Mógłby pan to zrobić. – Julian lekko wychylił się do przodu, jego ciemne oczy zabłyśły z podniecenia. – Może pan mieć znacznie więcej. Bogactwo. Mnie jest ono obojętne. Może pan zarządzać wszystkimi moimi pieniędzmi.

– Wszystkimi, które ukradłeś Joshui.

Julian uśmiechnął się.

– Mistrz krwi otrzymuje wiele prezentów – odparł. – Mogę zaproponować panu także kobiety. Żyłem wśród pańskich ziomków dostatecznie długo, by znać wasze pragnienia i żądze. Od jak dawna nie miał pan kobiety, kapitanie? Może chciałby pan Valerie? Jest wspanialsza od waszych kobiet i nie zestarzeje się ani nie zbrzydni, a przynajmniej nie za pańskiego życia. Może ją pan mieć. Inne również. Nie zrobią panu nic złego. Czego jeszcze mógłby pan sobie życzyć? Jedzenia? Topy wciąż żyje. Może przyrządzać panu sześć, nawet siedem posiłków dziennie, jeżeli pan zechce.

Praktyczny z pana człowiek, kapitanie. Nie podziela pan religijnych przesądów, jak inni członkowie pańskiej rasy. Niech pan się zastanowi nad tym, co proponuję. Otrzyma pan moc zdolną niszczyć pańskich wrogów i ochraniać przyjaciół, a do tego nigdy nie będzie pan cierpiał głodu, u pańskiego boku zawsze znajdzie się jakaś nadobna kobieta. I wszystko to za coś, czego pragnie pan z całego serca, za sterowanie parowcem. Pańskim „Fevre Dream”.

Abner Marsh parsknął.

– Nie jest już mój. Splugawiłeś go.

– Niech pan rozejrzy się dokoła. Czy jest aż tak źle? Regularnie odbywamy kursy pomiędzy Natchez a Nowym Orleanem, statek jest w dobrym stanie, setki pasażerów, których przewieźliśmy, nigdy niczego nie podejrzewały. Parę osób zniknęło tu i tam, głównie na brzegu, w miastach i miasteczkach, które odwiedzamy. Billy twierdzi, że tak jest bezpieczniej. Jedynie garstka zginęła na pokładzie pańskiego parowca, były to głównie osoby bardzo młode i wyjątkowo urodziwe. Co dzień w Nowym Orleanie umiera więcej niewolników, a jednak nie próbuje pan walczyć z niewolnictwem. Na świecie jest wiele zła, Abnerze. – Przybrał bardziej familiarny ton. – Nie każę ci w nim uczestniczyć ani nawet przykładać do niego ręki. Ty musisz jedynie sterować swoim statkiem i pilnować swoich spraw. Potrzeba nam twego doświadczenia. Billy odstrasza pasażerów, tracimy pieniądze przy każdym kursie. Nawet fundusze Joshuy nie są niewyczerpane. Pójdź, Abnerze, podaj mi rękę. Zgódź się. Przecież tego chcesz. Widzę to w twoich oczach. Czuję to. Chcesz odzyskać swój parowiec. To twoja pasja. Twoje pragnienie. Weź go więc. Dobro i zło to stek kłamstw, bzdury wymyślone, by

nękać uczciwych, rozsądnych ludzi. Znam cię, Abnerze, i mogę dać ci to, czego pragniesz. Dołącz do mnie, służ mi. Uściśnij moją dłoń, a wspólnie pokonamy „Eclipse”.

Jego ciemne oczy zawirowały i zapłonęły żywym ogniem, wydawały się bezdenne, wniknęły w głąb Marsha, dotykając go, penetrując, plugawe i uwodzicielskie zarazem, przyzywały go, przywoływały. Julian wyciągnął rękę. Abner Marsh wykonał lekki ruch, jakby chciał ją uściśnąć. Julian tak pięknie się uśmiechał i mówił całkiem rozsądnie. Nie nakłaniał Marsha do przerażających czynów, Abner miał jedynie sterować statkiem, pomóc mu chronić go i chronić jego przyjaciół. Przecież wcześniej ochraniał już Joshuę, a Joshua był wampirem, czyż nie? Zapewne nie obejdzie się bez ofiar, ale przecież w pięćdziesiątym czwartym na „Sweet Fevre” uduszono człowieka, a na „Nicku Perrocie” zastrzelono dwu hazardzistów; nie było w tym winy Marsha, on po prostu zajmował się swoimi sprawami, dowodził statkiem, sam przecież nikogo nie zabił. Należy chronić przyjaciół, ale całego świata nie obroni się w pojedynkę, Marsh dopilnuje, aby Billy Tipton dostał to, co mu się należało. Tak, ten układ wyglądał nader korzystnie. Oczy Juliana były czarne i głodne, skóra chłodna i twarda jak u Joshuy, jak tamtej nocy, w porcie...

...Abner cofnął dłoń.

– Joshua – powiedział głośno. – A więc o to chodzi. Jeszcze go nie pokonałeś, prawda? Wychłostałeś go, ale on wciąż żyje i nie potrafisz go zmusić do wypicia krwi, nie umiesz sprawić, by się zmienił. Ot co. – Marsh poczuł, że krew napływa mu do twarzy. – Nie obchodzi cię, ile pieniędzy przynosi ten statek. Nie przejąłbyś się, nawet gdyby jutro zatonął. Po prostu ruszyłbyś w dalszą drogę. Co się tyczy Billy’ego, może faktycznie chcesz się go pozbyć, wykorzystując do tego celu mnie, ale nie w tym rzecz. Chodzi o Joshuę. Gdybym do ciebie przystał, załamałby się, a ty osiągnąłbyś swój cel. Joshua mi zaufał. Chcesz mnie pozyskać, bo wiesz, jak wiele to znaczy dla niego. – Julian wciąż trzymał rękę przed sobą, na jego długich bladych palcach lśniły drogie pierścienie. – Niech cię diabli! – ryknął Marsh, machając laską i z całej siły odbijając jego rękę w bok. – Niech cię wszyscy diabli!

Uśmiech zniknął z ust Damona, a jego twarz nabrała niehumanicznego wyrazu. W jego oczach nie było nic oprócz mroku, starości i migoczących płomieni podsycanych przez prastare zło. Wstał i wyrwał Marshowi łaskę, gdy ten zamierzył się, by uderzyć go w twarz. Złamał łaskę gołymi rękami z taką samą łatwością, jak Marsh mógłby złamać spaloną zapalniczkę, i cisnął ją precz. Oba kawałki odbiły się z brzękiem od ściany i spadły na dywan.

– Mogłeś zostać zapamiętany jako człowiek, który prześcignął „Eclipse” – rzekł zjadliwym, lodowatym tonem Damon Julian. – A tak po prostu umrzesz. I będziesz umierał długo, kapitanie. Jesteś nazbyt szpetny. Oddam cię Billy’emu, aby mógł poznać smak krwi. Może Joshua także wypije szklaneczkę. Dobrze by mu to zrobiło. – Uśmiechnął się. – Co do twojej jednostki, kapitanie, możesz się nie martwić. Zaopiekuję się nią, gdy ciebie już nie będzie. Nikt na rzece nigdy nie zapomni twojej „Fevre Dream”.

ROZDZIAŁ 27

Na pokładzie parowca „Ozymandias” rzeka Missisipi, październik 1857

Wstawał świt, kiedy Abnera Marsha wyprowadzono z kapitańskiej kajuty. Na rzece płożyła się gęsta mgła, snując się pośród relingów i kolumnad parowca, wijąc się niczym żywe istoty, które już wkrótce spłoną i szeszną w świetle wschodzącego słońca. Damon Julian ujrzał czerwoną poświatę na wschodzie i pozostał w mroku swojej kajuty. Wypchnął Marsha za drzwi.

– Zaprowadź kapitana do jego kajuty, Billy – powiedział. – Czuwaj przy nim do zmierzchu. Będiesz tak łaskaw i przyłączysz się do nas przy kolacji, kapitanie Marsh? – Uśmiechnął się. – Wiedziałem, że tak.

Tamci czekali na zewnątrz. Zgorzkniały Billy w czarnym garniturze i kraciastej kamizelce siedział na odchylonym do tyłu, opartym o ścianę krzesle i czubkiem noża czyścił paznokcie. Kiedy otworzyły się drzwi, wstał i lekko podrzuciwszy nóż, schwycił go prawą ręką.

– Oczywiście, paniczu Julianie – mruknął, mierząc Marsha spojrzeniem swych lodowatych oczu.

Było z nim dwóch innych. Ludzie nocy, którzy pomogli

Billy'emu przeprowadzić Marsha z pokładu „Eliego Reynoldsa”, wrócili do swoich kajut w obawie przed świtem, toteż, jak się zdawało, Billy zawezwał do pomocy miejscowe szumowiny. Kiedy Julian zamknął drzwi, łotry te podeszły bliżej. Jednym z nich był korpulentny młodzik o brązowych włosach, z dębową pałką zatknietą za szeroki skórzany pas. Drugi był prawdziwym olbrzymem, na dodatek odrażająco szpetnym. Musiał mieć z siedem stóp wzrostu, ale przy tym miał maleńką głowę, zeza, drewniane zęby i ziejącą dziurę w miejscu nosa. Abner Marsh nigdy jeszcze nie widział takiego szkaradzieństwa. Zaczął mu się przyglądać.

– Nie gap się na Beznosego – rzekł Zgorzkniały Billy. – To nieuprzejme, kapitanie. – Beznosy, jakby na potwierdzenie tych słów, chwycił Marsha za rękę i brutalnie wykręcił ją do tyłu. – Aligator odgryzł mu nos – wyjaśnił Zgorzkniały Billy. – To nie jego wina. Beznosy, przytrzymaj teraz mocno kapitana. Kapitan lubi wskakiwać do wody, a nie chcemy przecież, żeby nam uciekł. – Billy podszedł i przytknął nóż do brzucha Marsha tak silnie, że czubek rozorał skórę do krwi. – Pływasz lepiej, niż przypuszczałem. To chyba przez ten tłuszcz tak dobrze unosisz się na wodzie, kapitanie. – Nagle przekręcił nóż i odciął srebrny guzik od marynarki Marsha. Guzik spadł na pokład i zaczął zataczać kręgi, dopóki Billy go nie przydepnął. – Dziś nie będzie pływania, kapitanie. Położymy cię do łóżka. Dostaniesz nawet własną kajutę. I niech ci nie przyjdzie do głowy stamtąd wychodzić. Ludzie nocy może i śpią, ale Beznosy i ja będziemy tu czuwać aż do zmierzchu. Idziemy.

Billy leniwie podrzucił nóż w dłoń, schował go do pochwy i odwrócił się. Poprowadził ich na rufę, Beznosy szedł za Marshem, popychając go naprzód, a trzeci mężczyzna zamykał pochod.

Skręcili za róg nadbudówki na pokładzie teksaskim i nieomal zderzyli się z Tobym Lanyardem.

– Toby! – wykrzyknął Marsh.

Próbował postąpić naprzód, ale Beznosy wykręcił mu rękę i Marsh, jęknąwszy z bólu, zatrzymał się.

Zgorzkniały Billy także przystanął, patrząc ze zdziwieniem.

– Co tutaj robisz, czarnuchu?

Toby w ogóle na niego nie spojrzał. Stał tam w postrzępionym

brązowym ubraniu, z rękoma za plecami i pochyloną głową, nerwowo szurając stopą o pokład.

– Pytam, co tu, do cholery, robisz, czarnuchu? – warknął groźnie Zgorzkniały Billy. – Czemu nie jesteś zakuty w łańcuchy, w kuchni? Odpowiadaj albo srodze pożałujesz!

– Zakuty w łańcuchy! – ryknął Marsh.

Dopiero wtedy Toby Lanyard podniósł głowę i pokiwał nią.

– Pan Billy powiedział, że znowu jestem niewolnikiem i już nie mam papierów wyzwolenca. Gdy nie pracujemy, on zawsze zakuwa nas w łańcuchy.

Zgorzkniały Billy sięgnął do tyłu i wyciągnął nóż.

– Jak się uwolniłeś? – zapytał.

– Ja rozerwałem łańcuchy, panie Tipton – rozległ się głos ponad nimi.

Wszyscy unieśli wzrok. Na szczycie nadbudówki, na pokładzie teksaskim, stał Joshua York i patrzył na nich. Jego biały garnitur lśnił w porannym słońcu, a szary płaszcz falował na wietrze.

– A teraz – rzekł York – uprzejmie proszę, aby pan puścił kapitana Marsha.

– Jest już dzień – wtrącił młody, gruby pomocnik, wskazując drewnianą pałką złocistą tarczę słońca. Wyglądał na przerażonego.

– Wynoś się stąd – rzucił do Yorka Zgorzkniały Billy Tipton, wyciągając szyję, aby lepiej widzieć intruza. – Tylko żadnych sztuczek, bo zawołam panicza Juliana.

Joshua York uśmiechnął się.

– Doprawdy? – zapytał, spoglądając na słońce. Było już wyraźnie widoczne, gorejące żółte oko pośród ognistej czerwieni i pomarańczowych chmur. – Sądzi pan, że przyjdzie?

Zgorzkniały Billy nerwowo przesunął językiem po cienkich wargach.

– Nie przestraszysz mnie. – Zważył nóż w dłoni. – Jest dzień, a ty jesteś sam.

– Nieprawda – uciął Toby Lanyard.

I wyciągnął ręce przed siebie. W jednej dzierżył szeroki tasak do mięsa, a w drugiej długi nóż rzeźnicki.

Na ten widok Billy Tipton cofnął się o krok.

Abner Marsh obejrzał się przez ramię. Beznosy wciąż zezował na Joshuę. Jego uchwyt nieco zelżał. Marsh uznał, że nadarza się doskonała okazja. Z impetem rzucił się w tył, wpadając na olbrzyma; Beznosy potknął się i przewrócił. Abner Marsh wylądował na nim swym ważącym trzysta funtów cielskiem, olbrzym stęknął, jakby trafiła go w brzuch kula armatnia, i stracił dech, a Marsh, uwolniwszy rękę, odtoczył się w bok. W samą porę, tuż przed jego twarzą w deski pokładu wbił się, dygocząc, długi nóż o ząbkowanym ostrzu. Marsh przełknął ślinę, po czym uśmiechnął się. Wyszarpnął nóż i wstał.

– Nie zbliżaj się! – rzekł Zgorzkniały Billy. Cofał się przed Tobym i wpadł na Marsha, który pochwycił go, obrócił i pchnął z całej siły na drzwi. – Nie zabijaj mnie! – pisał Billy.

Marsh unieruchomił go, wpijając mu przedramię w tchawicę i napierając z całej siły, po czym przytknął ostrze noża do jego klatki piersiowej w szczelinę między żebrami, tuż nad sercem.

W oczach koloru lodu pojawił się wyraz trwożliwej paniki.

– Nie! – wykrztusił Billy.

– Niby dlaczego nie?

– Abnerze! – ostrzegł Joshua, a Marsh odwrócił się, by ujrzeć podnoszącego się niezdarnie Beznosego.

Olbrzym, wydając nieartykułowany okrzyk, rzucił się naprzód, Toby jednak zareagował z szybkością, której Marsh nigdy się po nim nie spodziewał i gigant ni stąd, ni zowąd osunął się na kolana, dławiąc się własną krwią. Toby jednym cięciem noża rozplątał mu gardło. Buchnęła krew, a Beznosy zamrugał zezowatymi oczami i uniósł dłonie do szyi, jakby chciał powstrzymać uchodzące zeń życie. W końcu jednak upadł.

– To nie było konieczne, Toby – rzekł półgłosem Joshua York. – Mogłem go powstrzymać.

Łagodny Toby Lanyard tylko zmarszczył brwi, ściskając w dłoniach tasak i okrwawiony nóż.

– Nie jestem taki dobry jak pan, kapitanie York – stwierdził. Odwrócił się do Marsha i Billy'ego. – Niech go pan otworzy, kapitanie – zaproponował. – Założę się, że pan Billy nie ma serca.

– Nie rób tego, Abnerze. Dość już zabijania.

Abner Marsh usłyszał ich obu. Pchnął lekko nożem, przebijając koszulę Billy'ego, i zadrasnął mu skórę do krwi.

– Lubisz to? – zapytał. Pozlepiane w strąki włosy Billy'ego były całe mokre od potu. – Lubisz bawić się nożem, prawda?

Billy wybełkotał coś w odpowiedzi, a Marsh nieznacznie odsunął rękę od jego szyi, aby tamten mógł swobodnie mówić.

– Nie zabijaj mnie! – rzekł Billy piskliwym, przerażonym głosem. – To nie ja, to Julian, to on kazał mi robić te wszystkie rzeczy. Zabiłby mnie, gdyby się dowiedział, że nie wykonałem któregoś z jego rozkazów!

– Zabił Kudłatego Mike'a i Whiteya – stwierdził Toby – a także wielu innych. Jednego spalił w piecu. Na całym statku było słychać krzyki tego nieszczęśnika. Powiedział, że znów jestem niewolnikiem, a kiedy mu pokazałem dokument wyzwolenca, podarł go i spalił. Zarznij go, kapitanie.

– On łże! Ten cholerny czarnuch łże jak pies!

– Puść go, Abnerze – rzekł Joshua. – Masz jego broń, jest już niegroźny. Jeśli go teraz zabijesz, nie okażesz się lepszy od niego. A on może nam pomóc, gdyby ktoś zechciał przeszkodzić nam w ucieczce. Musimy przecież dotrzeć do szalupy i odpłynąć stąd.

– Do szalupy! – warknął Abner Marsh. – Do diabła z nią! Odzyskam swój parowiec. – Uśmiechnął się do Zgorzkniałego Billy'ego. – Nasz Billy zaprowadzi nas do kajuty Juliana.

Zgorzkniały Billy przełknął ślinę. Marsh poczuł, jak pod jego ręką poruszyło się jabłko Adama.

– Jeżeli zamierzasz zaatakować Juliana, będziesz musiał dokonać tego sam – rzekł Joshua. – Ja ci nie pomogę.

Marsh spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Po tym wszystkim, co zrobiłem?

Nagle Joshua wydał mu się potwornie osłabiony i zmęczony.

– Nie mogę – wyszeptał. – On jest za silny, Abnerze. To mój mistrz krwi, ma nade mną władzę. Nawet to, co teraz robię, nie ma precedensu w całej historii mojego ludu. Związał mnie z sobą tuzin razy, zmuszając, abym karmił go swoją krwią. Każde takie... karmienie... coraz bardziej mnie osłabia. Staję się jego niewolnikiem. Proszę, zrozum, Abnerze. Nie mógłbym tego uczynić. Spojrzyłby na

mnie i ledwie przeszedłbym dwa kroki, już miałby mnie w swojej mocy. Najprawdopodobniej zamiast Juliana zabiłbym wówczas ciebie.

– Wobec tego zrobię to wspólnie z Tobym – rzekł Marsh.

– Nie mieliście szans. Posłuchaj mnie, Abnerze. Możemy teraz uciec. Podjąłem wielkie ryzyko, aby was ocalić. Nie zmarnujcie tej szansy.

Marsh popatrzył na bezradnego Billy’ego i zamyślił się. Może Joshua miał rację. Poza tym nie dysponowali bronią, której można by użyć przeciwko Julianowi. Noże i tasaki nie zdałyby się na wiele, a Marsh nie zamierzał wdawać się w walkę wręcz.

– Uciekniemy – powiedział – ale po tym, jak go zabijemy.

Zgorzkniały Billy zaskomlał.

– Nie – zaprotestował. – Puść mnie, pomogę wam. – Jego ospowate oblicze było całe wilgotne. – Dla ciebie to takie łatwe, masz ten piękny parowiec i w ogóle, a ja nigdy nie miałem wyboru, nigdy nie miałem niczego, ani rodziny, ani pieniędzy, musiałem robić, co mi kazano.

– Nie ty jeden dorastałeś w ubóstwie – rzekł Marsh. – To żadna wymówka. Podjąłeś świadomą decyzję, aby stać się potworem, którym jesteś dzisiaj. – Jego dłoń drżała. Tak bardzo chciał wbić nóż, a jednak coś go przed tym powstrzymywało. – Niech cię diabli – warknął Marsh. – Odsunął rękę od szyi Billy’ego i cofnął się, a Billy osunął się na kolana. – Chodź, doprowadzisz nas do tej cholernej szalupy.

Toby mruknął coś pod nosem zdegustowany, a Zgorzkniały Billy spojrział na niego niepewnie.

– Trzymaj pan tego cholernego czarnucha z dala ode mnie! Niech się do mnie nie zbliża z tym swoim tasakiem!

– Wstawaj – rzucił Marsh. Zerknął na Joshuę, który przykładał dłoń do czoła. – Wszystko w porządku?

– Słońce – rzekł ze znużeniem York. – Musimy się pospieszyć.

– A inni? – wtrącił Marsh. – Co z Karlem Frammem? Czy żyje?

Joshua skinął głową.

– Tak, podobnie jak pozostali, ale nie możemy uwolnić ich wszystkich. Nie mamy czasu. I tak trwało to już zbyt długo.

Abner Marsh zasepił się.

– Być może – mruknął – ale nie odejdę stąd bez pana Framma. Tylko ty i on umiecie pilotować ten statek. Jeśli zabiorę stąd was obu, statek będzie musiał pozostać tu aż do naszego powrotu.

Joshua skinął głową.

– Trzymają go pod strażą. Billy, kto jest teraz z Frammem?

Zgorzkniały Billy podniósł się powoli.

– Valerie – odparł, a Marsh przypomniał sobie tę bladą postać i kuszące fiołkowe oczy przywołujące go w mrok.

– To dobrze – skomentował Joshua. – Pospieszmy się.

Ruszyli; Marsh baczny wzrokiem obserwował Zgorzkniałego Billy’ego, podczas gdy Toby ukrył broń w fałdach i kieszeniach swego fartucha. Kajuta Framma mieściła się na pokładzie teksaskim, ale na drugim końcu statku. Okno było zasłonięte, okiennice pozamykane, drzwi zaryglowane.

Joshua strzaskał zamek jednym krótkim uderzeniem swej silnej, bladej dłoni i otworzył drzwi. Marsh wszedł do środka, popychając przed sobą Billy’ego.

Framm leżał w ubraniu na łóżku, twarzą do dołu, martwy dla całego świata. Jednakże znajdująca się tuż przy nim blada postać usiadła i spojrzała na nich oczyma przepelnionymi wściekłością.

– Kto... Joshua? – błyskawicznie poderwała się z łóżka. Miała na sobie białą powłóczystą koszulę nocną. – Jest dzień. Czego chcesz?

– Jego.

– Jest dzień – powtórzyła z naciskiem Valerie. Jej wzrok zatrzymał się na Marshu i Billym. – Co robisz?

– Wynoszę się stąd – odrzekł Joshua York – i zabieram ze sobą pana Framma.

Marsh polecił Toby’emu, aby przypilnował Billy’ego, i podszedł do łóżka. Karl Framm nie poruszył się. Marsh odwrócił go.

Pilot miał rany na szyi, a na koszuli i podbródku ślady zaschniętej krwi. Był bezwładny, wiotki i pomimo wysiłków Marsha nie budził się. Ale wciąż oddychał.

– Byłam spragniona – rzekła cicho Valerie, spoglądając na Marsha i Yorka. – Po pościgu... nie miałam wyboru... Damon dał mi go.

– Żyje jeszcze? – zapytał Joshua.

– Tak – odparł Marsh. – Ale będziemy musieli go nieść.

– Wstał i machnął ręką. – Toby, Billy, przenieście go do łodzi.

– Joshua, proszę – rzuciła błagalnie Valerie. Gdy tak stała w koszuli nocnej, wydawała się bezradna i wystraszona. Trudno było wyobrazić ją sobie taką jak na pokładzie „Eliego Reynoldsa” czy pijącą krew Framma. – Gdy Damon zorientuje się, że on zniknął, ukarze mnie. Błagam, nie rób tego.

Joshua zawahał się.

– Musimy go zabrać, Valerie.

– W takim razie zabierzcie również mnie! – jęknęła. – Proszę.

– Jest dzień.

– Skoro ty jesteś gotów podjąć tak wielkie ryzyko, to ja też. Jestem silna. Nie boję się.

– To zbyt niebezpieczne – upierał się Joshua.

– Jeśli tu zostanę, Damon z pewnością uzna, że ci pomogłam – rzekła Valerie. – Zostanę ukarana. Czy nie dość już wycierpiałam? On mnie nienawidzi, Joshua... nienawidzi mnie, bo cię pokochałam. Pomóż mi.

Abner Marsh wychwycił jej przerażenie i nagle przestał postrzegać ją jako jedną z nich, a zaczął widzieć w niej kobietę, bezradną i błagającą o pomoc.

– Niech idzie z nami, zgódź się, Joshua.

– Ubierz się więc – rzekł Joshua York. – Szybko. Włóż coś z rzeczy Karla Framma. Są grubsze od twoich. I zakryj więcej ciała.

– Tak – szepnęła.

Zrzuciła koszulę nocną, ukazując szczupłe białe ciało, pełne, jędrne piersi i silne nogi. Wyjęła z szuflady jedną z koszul i włożywszy, pozapinała guziki. Ubrała się w niecałą minutę, włożyła spodnie, buty, kamizelkę, marynarkę i szerokoskrzydły kapelusz. Wszystko było na nią przyduże, ale przynajmniej nie spowalniało jej ruchów.

– Jazda! – uciął Marsh.

Billy i Toby dźwignęli bezwładnego Framma. Pilot wciąż był nieprzytomny, a jego buty szurały o pokład, gdy szli w stronę schodów. Marsh maszerował tuż za nimi, nie odrywając dłoni od

noża, który zatknął za pas i przesłonił połą surduta. Valerie i Joshua szli na końcu.

W wielkim salonie było mnóstwo pasażerów; kilkoro z nich spojrzalo na nich ze zdumieniem, ale nikt nie odezwał się słowem. Po zejściu na pokład główny musieli przestąpić kilku śpiących mężczyzn, robotników, których Marsh nie znał.

Gdy zbliżyli się do łodzi, podeszło do nich paru mężczyzn.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał jeden z nich.

– Nie wasza sprawa – uciął Zgorzkniały Billy. – Zabieramy Framma do lekarza. Nie czuje się najlepiej. Pomóżcie mi wsadzić go do łodzi.

Jeden z mężczyzn zawahał się, spoglądając na Valerie i Joshuę. Najwyraźniej po raz pierwszy widział ich na pokładzie za dnia.

– Czy Julian o tym wie? – zapytał.

Z głównego pokładu przyglądali się im inni. Marsh ścisnął mocniej w dłoni rękojeść noża, gotów poderżnąć Billy’emu gardło, gdyby ten wykrztusił z siebie choć jedno niewłaściwe słowo.

– Śmiesz mi się sprzeciwiać, Tim? – zapytał lodowato Billy. – Może pomyśl lepiej o tym, co się stało z Aligatorem George’em. A teraz rusz tyłek i zrób, co ci kazałem!

Tim drgnął i poderwał się, by wypełnić polecenie. Trzej pozostali pospieszyli mu z pomocą. W kilka chwil później szalupa unosiła się już na wodzie obok parowca i powoli opuszczono do niej Karla Framma. Joshua pomógł Valerie zejść do łodzi, a po nich zeskoczył do jolki Toby. Na pokładzie zaroilo się od zaciekawionych robotników. Abner Marsh przysunął się do Zgorzkniałego Billy’ego i wyszeptał:

– Jak na razie, spisałeś się całkiem nieźle. A teraz włącz do szalupy.

Zgorzkniały Billy spojrział na niego.

– Mówiłeś, że mnie puścisz – zaprotestował.

– Kłamałem – uciął Marsh. – Zostaniesz z nami, dopóki się stąd nie wydostaniemy.

Zgorzkniały Billy cofnął się.

– Nie – burknął. – Chcesz mnie zabić. – Podniósł głos. – Zatrzymajcie ich! – krzyknął. – Oni mnie porwali, chcę uciec ze

statku! Zatrzymajcie ich! – Odskoczył w tył, poza zasięg ramion Marsha. Ten zaklął i wyciągnął nóż, ale było już za późno, robotnicy i tragarze rzucili, się w jego stronę. Kilku z nich także miało noże. – Zabijcie go! – wrzeszczał Zgorzkniały Billy. – Sprowadźcie Juliana, wezwijcie pomoc, zabijcie ich!

Marsh schwycił linę, za pomocą której szalupa była przycumowana do parowca, przeciął ją jednym szybkim cięciem i cisnął nożem w otwarte do krzyku usta Billy’ego. Rzut był nieudany, Billy uchylił się przed lecącym ostrzem. Ktoś schwycił Marsha za surdut. Abner wyrznął go na odlew w twarz, odrzucając na znajdujących się za nim mężczyzn. Jolka powoli zaczęła dryfować z prądem. Marsh podszedł do relingu, aby wskoczyć do łodzi, zanim ta odpłynie. Joshua nawoływał kapitana, aby się pospieszył, ale ktoś złapał Abnera za szyję i odciągnął do tyłu. Marsh wściekle wierzgnął nogą, lecz mężczyzna trzymał go z całej siły, szalupa zaś coraz bardziej oddalała się od parowca. Joshua krzyczał. Marsh przez chwilę miał wrażenie, że wybiła jego godzina. I nagle tuż obok jego ucha świsnął wielki tasak Toby’ego Lanyarda, odcinając fragment małżowiny, i ramię opasujące jego gardło opadło, a policzek i bark kapitana zbryzgała struga krwi. Marsh rzucił się naprzód w stronę szalupy i pokonał mniej więcej połowę dystansu, zanim skoczył do wody i wylądował w niej ciężko na brzuchu. Uderzenie wycisnęło mu powietrze z płuc, a zimno wywołało szok termiczny. Zaczął wierzać nogami, wymachiwać rękoma i zanim wypłynął na powierzchnię, łyknął trochę mętnej, mulistej wody. Dostrzegł szalupę oddalającą się w dół rzeki i popłynął w jej stronę. Obok jego głowy plusnął w wodę ciśnięty kamień, nóż lub może coś innego, po chwili powierzchnia znów się wzburzyła, tym razem niecały jard przed nim, ale Toby opuścił już wiosła i nieco spowolnił szalupę; Marsh zdołał do niej w końcu dopłynąć i przerzucił jedną rękę przez burtę. Omal nie wywrócił łodzi, próbując się do niej wgramolić, lecz Joshua nachylił się i pociągnął go z całej siły, i zanim Marsh się zorientował, leżał już na dnies łodzi, wykastując z siebie wodę. Gdy podniósł się do pozycji siedzącej, znajdowali się dwadzieścia jardów od „Fevre Dream” i oddalali się coraz szybciej za sprawą wartkiego prądu, który pochwycił ich w swe objęcia.

Zgorzkniały Billy Tipton zdobył skądś pistolet i stał na forkaasztelu, strzelając w ich stronę, lecz bez żadnych widocznych rezultatów.

– Niech go szlag – mruknął Marsh. – Powiniennem był go zabić, Joshua.

– Gdybyś to zrobił, nie zdołalibyśmy uciec.

Marsh zmarszczył brwi.

– Cholera. Może masz rację. A może warto było zaryzykować. – Rozejrzał się dokoła. Tędy dzielnie pracował wiosłami, ale najwyraźniej przydałaby mu się pomoc.

Marsh wziął od niego jedno wiosło. Karl Framm był nadal nieprzytomny. Marsh zastanawiał się, ile krwi wysączyła zeń Valerie. Ona sama także nie wyglądała najlepiej. Okutana w rzeczy Framma, w kapeluszu wciśniętym głęboko na głowę, zdawała się kurczyć w promieniach wschodzącego słońca. Jej blada skóra nabrała różowego odcienia, a duże fiołkowe oczy wydawały się małe i zamglone bólem. Marsh zastanawiał się, czy naprawdę zdołają uciec. Powoli opuścił wiosło do wody i zaczął nim poruszać. Bolało go ramię, ucho krwawiło, a słońce świeciło jasno i pięło się coraz wyżej na nieboskłon.

ROZDZIAŁ 28

Na Missisipi, październik 1857

Abner Marsh nie wiosłował w zwykłej szalupie od dwudziestu lat z okładem. Ponieważ tylko on i Toby używali wiosł, kosztowało ich to mnóstwo wysiłku, mimo iż płynęli z prądem. Już po półgodzinie jego ramiona i plecy zaczęły pulsować tępym bólem. Marsh stękał i wiosłował dalej. „Fevre Dream” pozostał w tyle, powoli znikając im z oczu. Słońce wspinało się coraz wyżej, rzeka rozszerzała się. Wydawało się, że ma dobrą milę szerokości.

– Boli – szepnęła Valerie.

– Zakryj się – odparł Joshua York.

– Ja płonę – jęknęła. – Nie sądziłam, że to będzie aż tak bolało.

Spojrzała na niebo i schyliła głowę jak po otrzymanym silnym ciosie.

Marsh zdziwił się, widząc jej mocno zaróżowione oblicze.

Joshua York zaczął przesuwając się w jej stronę i nagle się zatrzymał. Wyglądał na zmęczonego. Uniósł dłoń do czoła i zaczerpnął głęboko powietrza. Potem ostrożnie przysunął się do Valerie.

– Usiądź w moim cieniu – powiedział. – Zdejmij kapelusz.

Valerie zwinęła się w kłębek na dnie łodzi, nieomal kładąc głowę na podółku Joshuy. Ten wyciągnął rękę i dziwnie czułym gestem poprawił kołnierz jej marynarki, po czym położył dłoń na jej potylicy.

Marsh zwrócił uwagę, że na obu brzegach rzeki stare drzewa zostały wykarczowane, pozostawiono jedynie rzędy ozdobnych młodych drzewek. Po obu stronach ciągnęły się nieomal w nieskończoność płaskie jak stół pola uprawne, których polać tu i ówdzie przedzielona była pełnymi splendoru plantacjami z budynkami w stylu greckiego odrodzenia i charakterystycznymi kopułami wznoszącymi się ponad szeroką, spokojną rzeką. Przed nimi, na zachodnim brzegu, ze sterty tłących się wytłoczyn, resztek przetworzonej trzciny cukrowej, bił w niebo słup gęstego dymu.

Sterta była wielka jak dom; dym rozchodził się na całą szerokość rzeki. Marsh nie widział płomieni.

– Może powinniśmy przybić do brzegu – rzekł do Joshuy. – Wokół nas jest pełno plantacji.

Joshua zamknął oczy. Otworzył je, usłyszawszy głos Marsha.

– Nie – odparł. – Jesteśmy zbyt blisko. Musimy oddalić się od nich najbardziej, jak to możliwe. Billy może ścigać nas za dnia pieszo, wzdłuż brzegu, a gdy zapadnie zmrok... – Nie dokończył.

Przez ponad godzinę w milczeniu płynęli w dół rzeki, słysząc było jedynie chłupot piór wiosł uderzających w wodę i od czasu do czasu odległy trzel jakiegoś ptaka. Toby Lanyard i Abner Marsh wiosłowali, podczas gdy Joshua i Valerie, pogrążeni, zdawałoby się, w głębokim śnie, spoczywali w bezruchu przytuleni do siebie na dnie łodzi. Karl Framm leżał obok nich przykryty kocem. Słońce wciąż pięło się coraz wyżej. Był chłodny, wietrzny dzień, ale bardzo słoneczny. Marsh cieszył się, że przepływali obok plantacji, gdyż gęsty szary dym z palonych na obu brzegach stert wytłoczyn dawał ludziom nocy jako taką osłonę przed zabójczymi promieniami słońca.

W pewnej chwili Valerie krzyknęła jakby z bólu. Joshua otworzył oczy i pochyliwszy się, pogładził jej długie czarne włosy i wyszeptał coś do ucha. Valerie jęknęła.

– Myślałam, że to właśnie ty nim jesteś, Joshua – powiedziała. –

Że jesteś bladym królem. Sądziłam, że przybywasz, aby odmienić nasz los, aby dać nam drugą szansę. – Gdy próbowała mówić, całym jej ciałem wstrząsały silne dreszcze. – Miasto, ojciec opowiadał mi o mieście. Czy ono istnieje, Joshua? Mroczne miasto?

– Cii – szepnął Joshua. – Nic nie mów. To cię osłabia.

– Ale czy ono istnieje? Myślałam, że zabierzesz nas do domu, mój drogi Joshua. Śniłam, marzyłam o tym. Tak bardzo byłam już tym wszystkim zmęczona. Myślałam, że przybywasz, aby nas ocalić.

– Cicho – szepnął Joshua. Starał się wymówić to słowo z naciskiem, ale głos miał smutny i pełen znużenia.

– Blady król – wyszeptwała. – Przybywający, aby nas ocalić. Sądziłam, że to ty przychodzisz, by nas uratować.

Joshua York pocałował ją lekko w napuchnięte, spierzchnięte usta.

– Ja też tak myślałem – mruknął z rozgoryczeniem. A potem przyłożył palce do jej ust, aby ją uciszyć, i znów zamknął oczy.

Abner Marsh wiosłował, rzeka szemrząc, płynęła leniwie, słońce świeciło nieubłaganie, a wiatr niósł nad wodę kłęby dymu i drobiny popiołu. Jedna z nich wpadła Marshowi do oka, kapitan kłął i pocierał oko, aż napuchło i poczerwieniało, ale łzy wreszcie przestały płynąć. Do tego czasu całe jego ciało pulsowało tęnym, dojmującym bólem.

Po dwóch godzinach rejsu w dół rzeki Joshua, nie otwierając oczu, przemówił głosem pełnym bólu i cierpienia.

– Wiesz, on jest szalony – powiedział. – To prawda. Odsącał mnie każdej nocy. To prawda, uważałem się za bladego króla, ale... Julian raz za razem brał nade mną górę, pokonywał mnie, a ja poddawałem się jego woli. Jego oczy, Abnerze, gdybyś widział jego oczy. Ta ciemność, niezgłębiona czerń. Wydawały się czarne jak smoła. I stare, pradawne, sądziłem, że jest zły, silny i sprytny. Dowiedziałem się jednak, że jest inaczej. Julian nie jest... Abnerze, on jest naprawdę obłąkany. Kiedyś był zapewne taki, za jakiego go uważałem, ale teraz... wydaje się, jakby spał.

Czasami budzi się na krótko i można ujrzyć go takim, jakim był kiedyś, dawno temu. Ty także to spostrzegłeś, Abnerze, tamtej nocy przy kolacji, widziałeś, jak Julian budzi się i otrząsa z odrętwienia.

Przez większość czasu jednak... nie interesuje go statek, rzeka, ludzie ani to, co się wokół niego dzieje. Zgorzkniały Billy dowodzi „Fevre Dream” i obmyśla plany, które zapewniają bezpieczeństwo moim ludziom. Julian rzadko wydaje rozkazy, a jeżeli już do tego dochodzi, bywają one kontrowersyjne, żeby nie powiedzieć głupie. Nie czyta, nie rozmawia ani nie gra w szachy. Je z konieczności. Bez cienia przyjemności. Chyba nawet nie czuje smaku tego, czym się posila. Odkąd przejął „Fevre Dream”, zapadł w coś w rodzaju mrocznego snu. Większość czasu spędza samotnie w ciemnościach, w swojej kajucie. To nie Julian, lecz Billy wypatrzył podążający za nami parowiec.

Początkowo sądziłem, że jest zły niczym mroczny król wiodący swój lud ku zagładzie, ale obserwując go... zrozumiałem, że on nic sobą nie reprezentuje, jest pusty, wydrażony. Karmi się życiem twoich ludzi, ponieważ nie posiada własnego, nie ma nawet prawdziwego imienia. Kiedyś zastanawiałem się, o czym tak rozmyśla, siedząc dniami i nocami samotnie po ciemku w swojej kajucie. Teraz już wiem, że nie myśli o niczym. On w ogóle nie myśli. Możliwe, że śni. Jeżeli tak, sądzę, że śni o śmierci, o końcu. Mieszka w tej czarnej, pustej kajucie jak w grobowcu, budząc się tylko, gdy zwietry zapach krwi. I to, co robi... to coś więcej niż lekkomyślność. Pragnie zostać zdemaskowany. Sądzę, że chce umrzeć. Domaga się unicestwienia, kresu, odpoczynku. Jest taki stary. Musi być straszliwie zmęczony.

– Zaproponował mi układ – rzekł Abner Marsh. Nie przerywając uciążliwego wiosłowania, Marsh opowiedział mu o swojej rozmowie z Damonem Julianem.

– Znasz tylko połowę prawdy, Abnerze – rzekł Joshua, gdy kapitan skończył mówić. – To prawda, on chciałby cię zepsuć, przekabacić, skłonić do zdrady, aby dzięki temu złamać mnie. Ale to nie wszystko. Mogłeś się zgodzić, a równocześnie dalej robić swoje. Mogłeś go okłamać, czekać na swoją szansę i próbować go zabić. Wydaje mi się, że Julian zdawał sobie z tego sprawę. Sprowadzając cię na pokład, igrał z własną śmiercią. Marsh parsknął.

– Skoro chciał umrzeć, mógł się nieco bardziej postarać.

Joshua otworzył oczy. Były małe i wyblakłe.

– Gdy zagrożenie jest realne i bliskie, on się budzi. Tkwiąca w nim bestia... jest stara, bezmyślna i zmęczona, ale gdy się budzi, rozpaczliwie walczy o życie... i jest silna, Abnerze. Silna i stara. – Joshua zaśmiał się słabo, z rozgoryczeniem. – Po tamtej nocy... kiedy wszystko wzięło w łeb... zapytywałem się raz po raz, jak mogło do tego dojść. Julian wypił cały kielich mego... mego napoju... to powinno było zabić w nim czerwone pragnienie, powinno było, a jednak... nie rozumiem... do tej pory zawsze skutkowało, zawsze, z wyjątkiem Juliana... u niego... nie zadziało. Początkowo sądziłem, że to za sprawą jego siły, jego potęgi i zła. A potem... którejś nocy on spostrzegł wyraz moich oczu, wyczytał tkwiące w nich pytanie, roześmiał mi się w twarz i odpowiedział. Pamiętasz, Abnerze... kiedy opowiedziałem ci moją historię... o tym, że w młodości, nie odczuwałem czerwonego pragnienia. Pamiętasz to?

– Taa.

Joshua powoli, słabo pokiwał głową. Skórę na twarzy miał mocno napiętą, poczerwieniałą i podrażnioną.

– Julian jest stary, Abnerze, naprawdę stary. Pragnienie... on nie odczuwał pragnienia od lat... od setek... tysięcy lat... to dlatego mój napój nie poskutkował. Nie wiedziałem o tym, nikt z nas nie wiedział. Czas może zabić pragnienie, a on... on już go nie odczuwa... mimo to karmi się... z własnej woli... tak zdecydował... pamiętasz, co mówił tamtej nocy o sile i słabościach, o panach, niewolnikach i całej reszcie. Czasami tak sobie myślę... że całe jego człowieczeństwo jest tylko fasadą, maską... a on sam jest w środku pusty... jest tylko starym zwierzęciem, tak pradawnym, że nie ma nawet ochoty się pożywiać, nie odczuwa smaku tego, czym się żywi, ale mimo wszystko poluje, bo tylko to umie, tylko to pamięta i to stanowi o wszystkim, czym jest.

A jest tylko dziką bestią. Legendy twojej rasy, Abnerze, historie o wampirach... żywych trupach, nieumarłych, w tych opowieściach tak nas właśnie nazywają. Julian... myślę, że w przypadku Juliana jest to zgodne z prawdą. On nawet nie odczuwa pragnienia. Jest nieumarły. Zimny, pusty i nieumarły.

Abner Marsh chciał wtrącić, że jego zdaniem, mówiąc o Damonie, Joshua powinien używać raczej słowa „umarły”, gdy

nagle Valerie podniosła się gwałtownie do pozycji siedzącej. Marsh drgnął i zastygł w bezruchu. Pod obwisłym rondem kapelusza skóra Valerie była zaogniona jak otwarta rana, pokryta pęcherzami i napięta, jej barwa przeszła z czerwieni w ciemny, cętkowany fiolet podbiegłego krwią sińca. Usta miała spękane, rozchyliła je w szalonym chichocie, ukazując długie białe zęby. Białka jej oczu tak się powiększyły, że wyglądała na niewidomą i obłąkaną.

– To boli! – wrzasnęła, unosząc nad głową dłonie czerwone jak szczypce homara w daremnej próbie osłonięcia się przed słońcem. Nagle omiotła wzrokiem wnętrze łodzi i zatrzymała go na pogrążonej w głębokim śnie postaci Karla Framma. Po chwili popęzła w jego stronę, otwierając usta.

– Nie! – krzyknął Joshua York. Rzucił się na nią i odepchnął w bok, zanim zdążyła wbić zęby w gardło Framma. Valerie szamotała się wściekle i wyła. Joshua przytrzymał ją i unieruchomił. Valerie zgrzytała zębami, aż w końcu rozorała sobie wargę. Z ust pociekła jej krwawa piana zmieszana ze śliną. Choć walczyła zawzięcie, nie mogła równać się z Joshua Yorkiem. Wreszcie straciła chęć do walki. Osunęła się ciężko na dno łodzi, wpatrując się w słońce ślepymi, białymi oczyma.

Joshua wziął ją w ramiona, zrozpaczony.

– Abnerze – powiedział – zajrzyj pod linkę z ciężarkami. Pod sondą. Ukryłem to pod nią wczorajszej nocy, kiedy poszli po ciebie. Proszę, Abnerze.

Marsh przerwał wiosłowanie i podszedł do zwoju mającej trzydzieści trzy stopy liny używanej do sondowania i zakończonej rurką wypełnioną ołowiem. Pod zwojem sznura Marsh odnalazł to, o co go prosił Joshua, nie oznakowaną butelkę, w trzech czwartych pełną. Podał ją Yorkowi, który wyjął korek i przyłożył szyjkę do nabrzmiałych, popękanych ust Valerie. Płyn ściekł jej po brodzie i poplamiał przód koszuli, ale Joshua zdołał wlać trochę do jej ust. Najwyraźniej pomogło. Natychmiast zaczęła pić chciwie, jak dziecko ssące podaną mu pierś.

– Spokojnie – rzekł Joshua York.

Abner Marsh zajrzał pod zwój z przodu i z tyłu, po czym zmarszczył brwi.

– Jest tylko ta jedna? – zapytał.

Joshua York pokiwał głową. Jego twarz również była zaogniona jak oblicze pewnego mata, który na oczach Marsha podszedł kiedyś zbyt blisko przewodu pary, a ten niespodziewanie pękł. Pojawiły się na niej pęcherze i pęknięcia.

– Julian przeniósł cały mój zapas do swojej kajuty i wydzielał mi zeń po jednej butelce. Nie śmiałem zaprotestować. Często dla zabawy rozważał możliwość zniszczenia zapasu mojego trunku. – Wyjął butelkę z rąk Valerie. Została jeszcze prawie połowa zawartości. – Myślałem... że to wystarczy, dopóki nie sporządzę nowej porcji napitku. Nie sądziłem, że będzie z nami Valerie. – Jego dłoń drżała. Westchnął i podniósł butelkę do ust, pociągając długi, głęboki łyk.

– Boli – zajęczała Valerie.

Zwinęła się w kłębek i choć dygotała od stóp do głów, atak najwyraźniej już minął.

Joshua oddał butelkę Marshowi.

– Pilnuj jej, Abnerze – powiedział. – Musi nam wystarczyć. Będzie trzeba ją racjonować.

Toby Lanyard przestał wiosłować i patrzył na nich bez słowa. Karl Framm leżący na dnie łodzi poruszył się nieznacznie. Szalupa dryfowała z prądem, a w oddali Marsh dostrzegł dym z komina parowca płynącego pod prąd.

Sięgnął po wiosło.

– Skieruj nas do brzegu, Toby – odezwał się. – No, dalej. Zamierzam zatrzymać ten cholerny parowiec. Musimy znaleźć się jak najszybciej w kajucie.

– Tak jest, kapitanie – odrzekł Toby.

Joshua dotknął dłonią czoła i wzdrygnął się.

– Nie – rzekł półgłosem. – Nie, Abnerze. Nie powinienes. Zaczną się pytania. – Spróbował wstać i zakołysał się niepewnie, osuwając się na kolana. – Oparzenia – mruknął. – Nie. Posłuchaj mnie. Nie możemy zatrzymać statku, Abnerze. Musimy iść dalej. Do miasta. Dotrzemy do jakiegoś miasta. Po zmroku... Abnerze?

– Ani myślę – warknął Marsh. – Przebywacie na słońcu od czterech godzin, nie dłużej, i spojrz, w jakim jesteście stanie. Popatrz

na nią. A jeszcze nie ma południa. Jeśli możliwie najszybciej nie znajdziecie się w chłodnych i zacienionych czterech ścianach, żadne z was nie doczeka zmierzchu. Spalicie się na popiół.

– Nie – zaprotestował York. – Oni zaczną nas wypytywać. Nie możesz...

– Zamknij tę durną jadaczkę – uciał Marsh, mimo obolałych pleców unosząc w dłoniach wiosło.

Łódź zaczęła zmieniać kurs w stronę brzegu. Parowiec wciąż zbliżał się do nich, proporce trzepotały na wietrze, po promenadzie przechadzała się garstka pasażerów. Był to, jak stwierdził Marsh, gdy podплыли bliżej, nowoorleański parowiec transportowy, średniej wielkości bocznokołowiec noszący nazwę „H.E. Edwards”.

Pomachał do statku wiosłem i zawołał na cały głos, podczas gdy Toby wciąż kierował kolebiącą się szalupę ku brzegowi. Pasażerowie na pokładach parowca zaczęli w odpowiedzi machać i wskazywać rękoma szalupę. Pilot dał sygnał syreną, Abner Marsh zaś odwrócił głowę i ujrzał drugą jednostkę w dole rzeki, małą białą kropkę widoczną w oddali. Serce zamarło mu w piersi. Trwał wyścig, a Marsh wiedział z doświadczenia, że w jego trakcie żaden parowiec nie zechce się zatrzymać.

„H.E. Edwards” przemknął obok nich z pełną prędkością, koła łopatkowe tak zawzięcie biły wodę, że wywołały fale, które zakołysały szalupą niczym podczas pokonywania kaskad. Abner Marsh zaklął i ponowił wołanie, groźnie wymachując trzymanym oburącz wiosłem. Drugi statek nadплыł i minął ich jeszcze szybciej, zostawiając za sobą kłęby dymu i snopy iskier buchających z kominów. Pozostawiono ich na środku rzeki, pośród pustych pól rozciągających się na obu brzegach. Słońce stało wysoko na niebie, a ze sterty tłących się wytlóczyn w dole rzeki bił słup gęstego, szarego dymu.

– Na ląd – polecił Marsh, zwracając się do Toby’ego, i skierowali się ku zachodniemu brzegowi.

Gdy przybili, wyskoczył z szalupy i wciągnął ją jeszcze dalej na brzeg, grzęznąc nieomal po kolana w błocie. Rozejrzawszy się dokoła, stwierdził, że nawet na brzegu nie znajdują choćby skrawka cienia. Nie rosło tam nic, ani drzewa, ani krzewy, które mogłyby

zapewnić im osłonę przed bezlitosnym słońcem.

– Wyłaż stamtąd! – warknął Marsh do Toby’ego Lanyarda. – Musimy wynieść ich na brzeg. Potem wywlecjemy tę cholerną łajbę z blocka, odwrócimy i ukryjemy ich pod nią.

Toby pokiwał głową. Najpierw wynieśli z szalupy Framma, a następnie Valerie. Kiedy Marsh ujął ją pod ramiona i podniósł, zadygotała gwałtownie. Twarz miała w tak fatalnym stanie, że bał się jej dotknąć, aby skóra nie została mu w ręku.

Gdy wrócili po Joshuę, ten już wygramolił się z łodzi.

– Pomogę wam – powiedział. – Jest ciężka. – Oparł się o burtę szalupy.

Marsh skinął na Toby’ego, po czym we trzech wspólnymi siłami wypchnęli jolkę z wody. Nie było to łatwe. Abner Marsh włożył w to całą swoją siłę. Blocko przy brzegu utrudniało ruchy, oblepiając wszystko wilgotnymi, lepkimi palcami. Bez Joshuy zapewne by się im nie udało. W końcu jednak przepchnęli łódź przez nasyp na znajdujące się za nim pole, a już samo odwrócenie szalupy okazało się błahostką.

Marsh ponownie uchwycił Valerie pod ramiona i ułożył ją pod łodzią.

– Ty też tam wejdź, Joshua – powiedział, odwracając się. Toby zajął się Karlem Frammem i wlał pomiędzy poblądłe wargi pilota odrobinę wody z rzeki. Joshuy nigdzie nie było widać. Marsh skrzywił się i obszedł szalupę dookoła. Spodnie, przemoczone i ciężkie od błota, przylepiały mu się do nóg. – Joshua! – ryknął – gdzieś ty się podział, u li...

Joshua York leżał na brzegu, tam, gdzie upadł, orząc błoto poczerwieniałą, oparzoną dłonią.

– Cholera! – warknął Marsh. – Toby!

Toby przybiegł natychmiast i wspólnie z kapitanem przyciągnął Yorka w cień. Joshua miał zamknięte oczy. Marsh wyjął butelkę i przyłożył mu ją do ust.

– Pij, Joshua, pij. Niech cię piekło pochłonie. – W końcu York zaczął przełykać. Skończył pić dopiero, gdy w butelce pokazało się dno. Abner Marsh trzymający butelkę zasepił się. Odwrócił ją do góry dnem. Ostatnia kropla prywatnego trunku Joshuy Yorka

skapnęła na ubłocony but Marsha. – Cholera – mruknął kapitan. Cisnął pustą butelkę do rzeki. – Zostań z nimi, Toby – powiedział. – Sprowadzę pomoc. To niemożliwe, aby w tej okolicy nie było żywego ducha.

– Tak jest, kapitanie – odparł Toby.

Marsh ruszył na przełaj przez pole. Trzcina cukrowa została już zebrana. Pola świeciły pustkami, ale ponad pagórkami Marsh dostrzegł wąską smużkę dymu. Pomaszerował w tym kierunku w nadziei, że dym unosi się z komina domu, a nie z kolejnej sterty palonych wyłoczyn. Nadzieje okazały się płonne, lecz kilka minut po tym, jak minął płonący stos, ujrzał gromadkę niewolników pracujących na polu; zawołał do nich, przyspieszając kroku. Zaprowadzili go na plantację, tam zaś opowiedział nadzorcy smutną historię o wybuchu kotła, który posłał na dno jego parowiec i uśmiercił niemal wszystkich na pokładzie, z wyjątkiem kilkorga szczęśliwców, którzy ocalili w szalupie do sondowania rzeki. Mężczyzna pokiwał głową i przyprowadził plantatora.

– Mam dwie osoby z poważnymi oparzeniami – poinformował go Marsh. – Trzeba im pomóc. I to jak najszybciej.

W kilka minut potem wóz z zaprzęgniętą parą koni potoczył się przez pole, zmierzając nad rzekę.

Kiedy dotarli do odwróconej jolki, Karl Framm stał o własnych siłach przy łodzi, choć wyglądał na bardzo osłabionego i oszołomionego.

Abner Marsh zeskoczył z wozu i machnął ręką.

– Ruszcie się – rzucił do mężczyzn, którzy z nim przyjechali. – Tych dwoje poparzonych znajduje się pod łodzią. Musimy wnieść ich do domu. – Odwrócił się do Framma. – Dobrze się pan czuje, panie Framm?

Pilot uśmiechnął się półgębkiem.

– Bywało lepiej, kapitanie – odparł – ale bywało także gorzej.

Dwóch mężczyzn przeniosło Joshuę Yorka na wóz. Jego biały garnitur był poplamiony błotem i winem. Joshua nie poruszał się. Trzeci mężczyzna, najmłodszy syn plantatora, wyczołgał się spod szalupy, otarł dłonie o spodnie i lekko przymrużył powieki. Wydawało się, że jest mu niedobrze.

– Kapitanie Marsh – powiedział, gorączkowo przetykając ślinę. –
Ta poparzona kobieta pod łodzią nie żyje.

ROZDZIAŁ 29

Plantacja Graya Luizjana, październik 1857

Dwóch służących zniosło Joshuę Yorka z paki wozu, wniosło do budynku i po szerokich łukowatych schodach przeniosło na piętro, do sypialni.

– Tylko żeby było w niej ciemno! – zakrzyknął do nich Abner Marsh. – I zaciągnijcie zasłony, słyszycie? Nie chcę, by do środka dostał się choćby jeden zafajdany promień światła. – Odwrócił się na chwilę do swoich towarzyszy, podczas gdy plantator z synami i dwójką niewolników wyszli na zewnątrz, by obejrzyć zwłoki Valerie. Framm objął Toby’ego ramieniem, aby utrzymać się na nogach. – Musi pan się posilić, i to solidnie, panie Framm – rzekł Marsh.

Pilot skinął głową.

– I proszę pamiętać, co się wydarzyło. Byliśmy na „Elim Reynoldsie”. Nastąpiła eksplozja kotła. Zginęli wszyscy prócz nas. Statek zatonął daleko stąd, w górze rzeki, na głębini. To wszystko, co pan pamięta, jasne? Ja opowiem resztę.

– Nie wiedziałem nawet połowy z tego, co pan mówi – mruknął Framm. – Jak się tu dostałem, u licha?

– Nieważne. Wystarczy, że zapamięta pan, co mu powiedziałem.
– Marsh odwrócił się i wszedł po schodach na piętro, podczas gdy Toby pomógł Frammowi usadowić się w fotelu.

Ułożyli Yorka na szerokim łożu z baldachimem i właśnie go rozbierali, kiedy Marsh wszedł do środka. Twarz i dłonie Joshuy były w najgorszym stanie, poparzone i pokryte bąblami, ale nawet pod ubraniem jego sinobiała skóra wyraźnie poczerwieniała. Poruszył się niezdarne, gdy zdejmowali mu buty, i jęknął.

– A niech mnie, ależ ten człowiek jest paskudnie poparzony – rzekł jeden z niewolników i pokręcił głową.

Marsh spochmurniał i podszedł do okna, które było szeroko otwarte. Zamknął je, podobnie jak okiennice.

– Dajcie mi koc czy coś takiego – rozkazał – aby można było zasłonić okna. Jest w dalszym ciągu zbyt jasno. I opuśćcie też zasłony wokół łóżka.

Wypowiedział te słowa donośnym, władczym, nie znoszącym sprzeciwu tonem, jak przystało na chwackiego kapitana.

Dopiero gdy w pokoju zrobiło się w miarę ciemno i zjawiała się w nim wychudzona, sterana życiem czarnoskóra kobieta z ziołami, maściami i zimnymi okładami, aby opatrzyć oparzenia Yorka, Abner Marsh opuścił pomieszczenie. Na dole plantator, szorstki mężczyzna o kamiennej twarzy i kanciastej szczęce, który przedstawił się jako Aaron Gray, oraz jego dwaj synowie siedzieli przy stole z Karlem Frammem. Zapach jedzenia uświadomił Marshowi, od jak dawna on sam nie miał nic w ustach. Kiszki zaczęły mu grać marsza.

– Proszę do nas dołączyć, kapitanie – rzekł Gray, a Marsh z lubością zajął miejsce przy stole i zaczął, aż na jego talerz zostanie nałożona duża porcja pieczonego kurczaka, chleba z mąki kukurydzianej, pachnącego groszku i ziemniaków.

Marsh uświadomił sobie, pałaszując posiłek, że Joshua miał rację co do pytań. Grayowie zadali ich setki, a Marsh odpowiadał najlepiej, jak potrafił, pomiędzy kolejnymi łykami. Framm podziękował i wstał od stołu, po czym udał się na spoczynek; wciąż wyglądał marnie. Marsh zdecydował się na dokładkę.

Czuł się coraz gorzej z każdym kolejnym pytaniem, na które odpowiadał. Nie był urodzonym łgarzem, jak niektórzy

kapitanowie, których miał okazję poznać, i wymyślanie kolejnych kłamstw przychodziło mu z coraz większą trudnością. Mimo to zdołał jakoś przetrwać posiłek, choć odnosił wrażenie, że Gray i jego najstarszy syn przyglądają mu się dość dziwnie, kiedy dojadł deser.

– Dobry ten pański czarnuch – powiedział drugi z synów, gdy wstali od stołu. – Robert wybrał się po doktora Moore’a, sprowadzi go tu, by zbadał tamtych dwóch. Póki co, zajmie się nimi Sally. Nie ma się czego bać, kapitanie. Może pan również powinien trochę odpocząć? Sporo pan przeszedł, stracił pan swój statek i przyjaciół...

– Tak – mruknął Abner Marsh. W chwili gdy usłyszał te słowa, poczuł się potwornie zmęczony. Nie zmrużył oka od dobrych trzydziestu godzin. – Chętnie – przytaknął.

– Jim, zaprowadź pana do pokoju – rzekł plantator. – Kapitanie, chciałbym, aby pan wiedział, że Robert zapłaci też grabarzowi. Za pochowanie tej nieszczęsnej kobiety. To straszna tragedia. Jak ona miała na imię?

– Valerie – odrzekł Marsh. Nie pamiętał, czy podała jakieś nazwisko. – Valerie York – zaimprovizował.

– Zostanie pochowana po chrześcijańsku – rzekł Gray. – Chyba że wolałby pan raczej zabrać ją do jej rodziny?

– Nie – odrzekł Marsh – nie.

– Świetnie. Jim, zaprowadź kapitana Marsha na górę. Ulokuj go przy jego nieszczęsnym przyjacielu.

– Tak jest, ojcze.

Marsh prawie nie przyjrzał się pokojowi, który mu przydzielono. Zasnął jak zabity.

Kiedy się obudził, było już ciemno.

Usiadł na łóżku całkiem zeszywniały. Wiosłowanie dopiero teraz dało mu się we znaki. Jego stawy skrzypiały, kiedy się poruszał, ścierpły mu ręce, a ramiona bolały jak po obiciu dębową lagą. Stęknął i przesunął się powoli na skraj materaca, opuszczając gołe stopy na podłogę. Choć przy każdym kroku czuł przejmujący ból, dotarł do okna i otworzył je, wpuszczając do pokoju chłodne nocne powietrze.

Na zewnątrz był nieduży kamienny balkon, a za nim rząd chińskich drzewek i pola, nagie i puste, skąpane w księżycowym

blasku. W oddali Marsh dostrzegł słabą lunę płonących wytłoczyn, z których stosu wciąż bił gęsty słup dymu. Jeszcze dalej, skrząc się w srebrzystym świetle, płynęła leniwie wielka, nieujarzmiona rzeka.

Marsh zadygotał, zamknął okno i wrócił do łóżka. W pokoju zrobiło się chłodno, przykrył się więc kocem i odwrócił na bok. Światło księżyca wytrawiało wszędzie mroki i cienie, a meble, obce i nieznanne, w osobliwym blasku wydawały się jeszcze dziwniejsze.

Nie mógł zasnąć. Zaczął rozmyślać o Damonie Julianie i „Fevre Dream”, zastanawiał się, czy parowiec nadal znajdował się tam, gdzie go pozostawił. Myślał także o Valerie. Dobrze się jej przyjrzał, kiedy wyciągnęli ją spod szalupy; nie wyglądała najlepiej. Nikt by nie przypuszczał, że była kiedyś prawdziwą pięknoscią, bladąskórą, pełną gracji i zmysłową, o dużych, fiołkowych oczach. Abnerowi było jej żal, uznał, że to dziwne, bądź co bądź, nie dalej jak ubiegłej nocy próbował ją zabić, używając strzelby na bawoły.

Świat był piekielnie dziwnym miejscem, skonstatował, skoro tak wiele mogło się zmienić w ciągu jednego dnia.

W końcu znowu zasnął.

– Abnerze – dobiegł go szept, wrywając go ze snu. – Abnerze. – Głos nieco przybrał na sile. – Wpuść mnie.

Abner Marsh usiadł gwałtownie. Joshua York stał na balkonie, stukając w szybę okna bladą, pooraną bliznami dłońią.

– Zaczekaj – rzekł Marsh.

Na zewnątrz wciąż było ciemno, w domu panowała cisza. Joshua uśmiechnął się, gdy Marsh wstał z łóżka i podszedł do niego. Twarz miał poprzecinaną głębokimi bruzdami i pęknięciami, z których zwisały płaty martwej, zaschniętej skóry.

Marsh otworzył drzwi na balkon, a Joshua wszedł do pokoju, wciąż miał na sobie biały garnitur, teraz brudny i potwornie wymięty. Dopiero gdy tamten go minął, Marsh przypomniał sobie pustą butelkę, którą wyrzucił do rzeki. Cofnął się energicznie.

– Joshua... nie odczuwasz pragnienia, prawda?

– Nie – odparł Joshua York. Jego szara peleryna falowała na wietrze wpadającym przez otwarte drzwi balkonowe. – Nie chciałem wyłamywać zamka ani tłuc szyby. Nie obawiaj się, Abnerze.

– Wyglądasz lepiej – rzekł Marsh, przyglądając mu się uważnie.

Wargi Yorka były popękane, oczy zapadnięte i podkrążone, ale mimo to Joshua wyraźnie dochodził do siebie. W południe wyglądał jak trup.

– Tak – zgodził się Joshua. – Abnerze, przyszedłem, by ci powiedzieć, że odchodzę.

– Co? – Marsh był zbity z tropu. – Nie możesz odejść.

– Muszę, Abnerze. Widzieli mnie, ktokolwiek jest właścicielem tej plantacji. Jak przez mgłę pamiętam, że zajmował się mną lekarz. Jutro będę już całkiem zdrow. Co wtedy sobie o mnie pomyślą?

– A co sobie pomyślą, gdy przyniosą ci śniadanie i nie zastaną cię w pokoju? – spytał Marsh.

– Będą z pewnością zaskoczeni, ale wbrew pozorom tę sytuację można łatwiej wytłumaczyć. Udasz wstrząśniętego, Abnerze. Powiesz im, że musiałem oddalić się w nagłym ataku gorączki. Nigdy mnie nie znajdą.

– Valerie nie żyje – powiedział Marsh.

– Wiem – mruknął Joshua. – Na zewnątrz stoi wóz z trumną. Pomyślałem sobie, że to dla niej. – Westchnął i pokręcił głową. – Zawiodłem ją. Zawiodłem cały mój lud. Nie powinienem był brać jej ze sobą.

– Sama dokonała wyboru – wtrącił Marsh. – Przynajmniej uwolniła się od niego.

– Uwolniła się – wycedził z goryczą Joshua. – Czy taką wolność miałem przynieść memu ludowi? Marny to dar. Przez pewien czas, zanim Damon Julian wkroczył w moje życie, ośmieliłem się marzyć, że któregoś dnia Valerie i ja możemy zostać kochankami. Niezgodnie z tradycją mego ludu, za sprawą żądy podsyconej przez krew, lecz za sprawą pasji zrodzonej z czułości, miłości i obustronnego pożądanego. Rozmawialiśmy o tym. Jego wargi wykrzywił grymas smutku. – Ona we mnie uwierzyła. A ja ją zabiłem.

– Akurat – burknął Marsh. – Pod sam koniec powiedziała, że cię kocha. Nie musiała uciekać z nami. Zrobiła to, bo chciała. Sam mówiłeś, że wszyscy dokonujemy rozmaitych wyborów. Że stale musimy wybierać. Sądzę, że ona dokonała słusznego wyboru. Była naprawdę piękną kobietą.

Joshua York wzdrygnął się.

– Idzie w piękność, jak noc... – wyszeptał, wlepiając wzrok w zaciśniętą pięść. – Czasami zastanawiam się, czy dla mojej rasy nadejdzie kiedyś upragniona godzina, Abnerze. Noce są pełne krwi i zgrozy, ale dni bezlitosne.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Marsh.

Joshua skrzywił się ponuro.

– Z powrotem.

Marsh zasepił się.

– Nie możesz.

– Nie mam wyboru.

– Przecież właśnie stamtąd uciekłeś – odparował Marsh. – Po tym wszystkim, co przeszliśmy, aby wydostać się ze statku, nie możesz ot tak, zwyczajnie tam wrócić. Zaczekaj. Ukryj się w lesie czy gdzieś albo zaszyj się w jakimś mieście. Ja też zwinę żagle i spotkamy się w jakimś umówionym miejscu, aby wspólnie opracować plan odzyskania parostatku.

– Znowu? – Joshua pokręcił głową. – Wiesz, Abnerze, jest pewna historia, której nigdy ci nie opowiedziałem. To się stało dawno temu, w pierwszych miesiącach mego pobytu w Anglii, kiedy jeszcze regularnie odczuwałem czerwone pragnienie, zmuszające mnie do polowań. Którejś nocy podjąłem z nim walkę, ale przegrałem i wyruszyłem na łowy. Natknąłem się na parę, mężczyznę i kobietę, spieszących się dokądś. Miałem zwyczaj unikać takich ofiar, dla bezpieczeństwa wybierałem tylko pojedyncze osoby. Pragnienie dawało mi się jednak mocno we znaki, nawet z dużej odległości zauważyłem, że kobieta była bardzo piękna. Przyciągała mnie jak ómę płomień świecy i zaatakowałem. Wyskoczyłem z ciemności, zacisnąłem dłonie na szyi mężczyzny i rozdarłem mu gardło. Wydawało mi się, że go zabiłem. Odepchnąłem go na bok i upadł. Był potężnym mężczyzną. Wziąłem kobietę w ramiona i delikatnie nachyliłem się do jej szyi, by wbić w nią zęby. Odnalazłem jej spojrzenie i zacząłem ją hipnotyzować. Ledwie zdążyłem posmakować jej gorącej krwi, zostałem pochwycony z tyłu i oderwany od niej. To był ten mężczyzna, jej towarzysz. Jednak go nie zabiłem. Miał grubą, mocno umięśnioną

i tłustą szyję i choć ją rozszarpałem, mężczyzna wciąż trzymał się na nogach. Nie powiedział ani słowa. Uniósł pięści jak wprawny bokser i uderzył mnie w twarz. Był silny. Cios oszołomił mnie i rozorał mi skórę nad okiem. Już i tak byłem dostatecznie zdezorientowany. Tak się dzieje, gdy zostajesz nagle oderwany od swojej ofiary. To nieprzyjemne, drażniące uczucie. Mężczyzna uderzył mnie raz jeszcze, a ja wyrząłem go na odlew. Upadł ciężko z długimi, głębokimi ranami na policzku i jednym okiem zwisającym z oczodołu.

Ponownie odwróciłem się do kobiety i przywarłem ustami do otwartej rany. Wtedy ten mężczyzna znów mnie zaatakował. Szarpnąłem go za ramię, uwalniając się z jego uścisku i wyrywając je ze stawu, a potem, niejako na dokładkę, złamałem mu nogę kopnięciem. Upadł. Tym razem patrzyłem na niego. To zdumiewające, ale znowu się podniósł i unosząc pięści, pokuśtykał w moją stronę. Powalałem go jeszcze dwukrotnie, a on wciąż wstawał. W końcu skręciłem mu kark i umarł, a potem zabiłem jego kobietę.

Odtąd nie mogłem o nim zapomnieć. Chyba musiał wiedzieć, że nie byłem zwykłym człowiekiem. Zdawał sobie sprawę, że choć silny jak byk, nie miał ze mną szans, nie mógł równać się z moją siłą, szybkością ani pragnieniem. Zdezorientowała mnie własna gorączka, a także uroda jego towarzyszk i sfuszerowałem atak. Mogłem go oszczędzić. Mógł także uciec. Mógł zacząć wzywać pomocy. Mógł wykorzystać chwilę mojej nieuwagi i sięgnąć po jakąś broń. A jednak tego nie zrobił. Widział swoją kobietę w moich ramionach i to, jak ją odsącam, i jedyne, o czym był w stanie myśleć, to aby znowu się podnieść i zaatakować mnie tymi wielkimi jak bochny chleba pięściami. Gdy miałem odrobinę czasu na refleksję, stwierdziłem, że podziwiam jego siłę, szaleńczą odwagę i miłość, jaką musiał darzyć tę kobietę.

Ale widzisz, Abnerze, tak czy owak było to głupie. Nie ocalił ani swojej kobiety, ani siebie. Przypominasz mi tego człowieka. Julian odebrał ci „Fevre Dream”, a ty myślisz tylko o tym, by go odzyskać, wstajesz więc, zaciskasz dłonie w pięści i ruszasz do walki, aby Julian mógł raz jeszcze cię powalić. Któregoś dnia nie wstaniesz,

jeśli nie zmądrzejesz i nie zaprzestaniesz tych ataków. Abnerze, daj temu spokój!

– O czym ty mówisz, u licha? – warknął gniewnie Marsh. – Martw się Julianem i jego wampirami, niczym innym nie zaprzataj sobie głowy. Ten cholerny statek nigdzie nie popłynie bez pilota.

– Ja mogę go pilotować – rzekł Joshua York.

– Zrobisz to?

– Tak.

Marsh był wściekły. Czuł się zdradzony i opuszczony.

– Dlaczego? – zapytał. – Przecież nie jesteś taki jak oni!

– Będę taki, chyba że powrócę na statek – odparł pośepnie Joshua. – Jeżeli nie odzyskam mojego trunku, dopadnie mnie pragnienie, silniejsze niż kiedykolwiek, bo przecież przez tyle lat udawało mi się nad nim zapanować. A wówczas zacznę zabijać, pić krew i stanę się podobny do Juliana. Gdy następnym razem wejść do twojej sypialni, to nie po to, aby uciąć sobie przyjacielską pogawędkę.

– Wracaj więc! Odzyskaj ten swój paskudny zajzajer! Ale nie stawaj za sterami statku, przynajmniej dopóki ja tam nie dotrę!

– Z uzbrojonymi ludźmi. Zaopatrzonymi w naostrzone kołki i z nienawiścią w sercach. Aby mordować. Nie pozwolę na to.

– Po czyjej jesteś stronie?

– Po stronie mojego ludu.

– Po stronie Juliana – uciął Marsh.

– Nie – zaoponował Joshua York. Westchnął. – Posłuchaj mnie, Abnerze, i spróbuj zrozumieć. Julian jest mistrzem krwi. On kontroluje ich wszystkich. Niektórzy z nich są tacy jak on, źli i zepsuci. Katherine, Raymond i paru innych podążają za nim z własnej woli. Ale nie wszyscy. Widziałeś Valerie, słyszałeś, co mówiła w łodzi. Nie jestem sam. Nasze rasy nie różnią się tak bardzo. Wszyscy mamy w sobie dobro i zło i wszyscy marzymy. Jeśli jednak zaatakujesz parowiec, jeśli wystąpisz przeciwko Julianowi, staną w jego obronie, niezależnie od tego, co w sobie naprawdę skrywają. Będą nimi powodować stulecia wrogości i strachu. Pomiędzy dniem a nocą popłynie rzeka krwi, której przekroczenie nie będzie łatwe. Ci, którzy się zawahają, jeżeli tacy

będą, zostaną siłą zmuszeni do działania. Jeżeli przybędziesz, Abnerze, jeżeli zjawisz się ze swymi ludźmi, śmierć zbierze obfite żniwo. I zabierze nie tylko Juliana. Inni będą go bronić i zgina, podobnie jak wielu twoich.

– Czasami trzeba podjąć takie ryzyko – odparł Marsh. – A ci, którzy pomagają Julianowi, zasługują na śmierć.

– Doprawdy? – Joshua wyglądał na zasmuconego. – Być może. Kto wie, może wszyscy powinniśmy umrzeć. Jesteśmy obcy w świecie zbudowanym przez twoją rasę. Twój gatunek wybił większość z nas, pozostała jedynie garstka. Może już czas, aby unicestwić tych, którzy ocaleli. – Uśmiechnął się ponuro. – Jeżeli to właśnie zamierzasz, Abnerze, pamiętaj o tym, kim jestem. Uważam cię za swego przyjaciela, ale oni są moim ludem, krwią z mojej krwi. Moje miejsce jest wśród nich. Sądziłem, że jestem ich królem.

Mówił z takim rozgoryczeniem i rozpaczą, że Abner Marsh poczuł, jak gorejący w nim gniew z wolna dogasa. Jego miejsce zajął żal.

– Przynajmniej próbowałeś – powiedział.

– Zawiodłem. Nie udało mi się. Zawiodłem Valerie, Simona i tych wszystkich, którzy we mnie uwierzyli. Zawiodłem ciebie, pana Jeffersa, a także to dziecko. Może nawet w jakiś pokrętny sposób zawiodłem również Juliana.

– To nie twoja wina – upierał się Marsh.

Joshua York wzruszył ramionami, ale jego szare oczy miały zimny i nieprzenikniony wyraz.

– Przeszłość to przeszłość. Co było, minęło. Interesuje mnie wyłącznie dzisiejsza noc, jutrzejsza i kolejne. Muszę wrócić. Oni mnie potrzebują, choć może nie zdają sobie z tego sprawy. Muszę wrócić i zrobić, co w mojej mocy, choć obawiam się, że nie stać mnie na wiele.

Abner Marsh parsknął.

– I ty mi radzisz, abym zrezygnował? Porównujesz mnie z tym głupcem, który atakował cię raz po raz? A co z tobą, Joshua? Ile razy Julian cię odsącał? Odnoszę wrażenie, że jesteś równie uparty i nieroztropny jak ja.

Joshua uśmiechnął się. – Być może – przyznał.

– Do licha – zaklął Marsh. – No dobra. Wrócisz do Juliana, choć to najgłupsze posunięcie, o jakim słyszałem. A co, twoim zdaniem, ja powinienem zrobić?

– Wynieść się stąd możliwie jak najszybciej – odparł Joshua – zanim nasi gospodarze staną się bardziej podejrzliwi niż dotychczas.

– Też zwróciłem na to uwagę.

– To koniec, Abnerze. Nie szukaj nas więcej.

Abner Marsh zasepił się.

– Gadaj zdrów.

Joshua uśmiechnął się.

– Ty cholerny głupcze – mruknął. – No dobrze, szukaj, jeżeli musisz. I tak nas nie znajdziesz.

– To się okaże.

– Może jest dla nas jeszcze nadzieja. Wróć i obłaskawię Juliana, a potem stworzę most pomiędzy nocą i dniem, abyśmy wspólnie, ty i ja, mogli kiedyś prześcignąć „Eclipse”.

Abner Marsh parsknął drwiąco, ale w głębi duszy chciał w to uwierzyć.

– Opiekuj się moim statkiem – powiedział. – Na tej rzece nigdy nie było szybszej jednostki i chciałbym, aby była w dobrym stanie, kiedy ją odzyskam.

Kiedy Joshua York uśmiechnął się, sucha, martwa skóra wokół jego ust popękała i naderwała się. Uniósł dłoń i usunął ją szybkim szarpnięciem. Zdarł skórę z całej twarzy jak maskę pokrytą bliznami, zmarszczkami i pęknięciami. Skóra pod nią była mlecznobiała, delikatna i nieskazitelna, bez zmarszczek czy bruzd, gotowa do tworzenia na niej całkiem nowej mapy doznań i przeżyć.

York zmiażdżył starą twarz w dłoni, pasemka starego bólu i kawałki skóry przesypały się pomiędzy jego palcami i spadły na podłogę. Otarł dłoń w pelerynę i wyciągnął rękę do Marsha. Uścisnęli sobie dłonie.

– Wszyscy musimy dokonywać wyborów – rzekł Marsh. – Sam tak mówiłeś, Joshua, i miałeś rację. Bywa, że trudno się na coś zdecydować. Wydaje mi się, że kiedyś ty również będziesz musiał wybierać. Pomiedzy swoim nocnym ludem i... nazwijmy to, tym, co dobre. Tym, co słuszne. Wiesz, o czym mówię. Dokonaj właściwego

wyboru, Joshua.

– Ty także, Abnerze. Dokonuj swoich wyborów roztropnie.

Joshua York odwrócił się, jego peleryna zafalowała na wietrze i wyszedł na zewnątrz. Z gracją i kocią zwinnością przeskoczył nad balustradą i opadł na ziemię; mimo sporej, dwudziestostopowej wysokości wylądował miękko, na ugiętych nogach, jakby podobne sztuczki były dlań codziennością.

A potem zniknął, poruszał się tak szybko, że zdawać by się mogło, iż rozpląnął się w mroku nocy. A może zmienił się w mgłę, pomyślał Marsh.

W oddali parowiec płynący po lśniącej wstędze rzeki uruchomił syrenę; dźwięk ten wydał się kapitanowi dziwnie smętny, nieomal melancholijny, przesycony tęsknotą i wywołujący uczucie zagubienia. To była zła noc na rzece. Abner Marsh zadygotał i przez chwilę zastanawiał się, czy noc będzie mroźna. Wreszcie zamknął drzwi balkonowe i wrócił do łóżka.

ROZDZIAŁ 30

Lata poszukiwań listopad 1857 – kwiecień 1870

Obaj dotrzyмали słowa; Abner Marsh nie zaprzestał poszukiwań, ale bez powodzenia.

Opuścili plantację Aarona Graya, gdy tylko Karl Framm odzyskał dość sił, by wyruszyć w drogę, w kilka dni po zniknięciu Joshuy Yorka. Marsh cieszył się z wyjazdu. Gray i jego krewni mogli zacząć się zastanawiać, dlaczego w gazetach nie było nawet najmniejszej wzmianki o wybuchu na parowcu, dlaczego żaden z ich sąsiadów nic o tym nie słyszał i co się stało z Joshuą. W dodatku Marsh zaczął plątać się w kłamstwach. Zanim on sam, Toby i Karl Framm udali się w górę rzeki, zgodnie z jego przypuszczeniami po „Fevre Dream” nie było już śladu. Marsh wrócił do St. Louis.

Prowadził poszukiwania przez całą surową, ciężką zimę. Słał kolejne listy, odwiedzał portowe knajpy i salony bilardowe, najął nowych detektywów, czytał mnóstwo gazet, odnalazł Yoergera, Grove’a i resztę załogi „Eliego Reynoldsa”, po czym rozesłał ich wzdłuż całej rzeki, aby udając pasażerów, wypatrywali jego zaginionej własności. Wszystko na nic. Nikt nie widział „Fevre Dream”. Ani „Ozymandiasa”.

Abner Marsh domyślał się, że ponownie zmieniono nazwę jednostki. Przeczytał wszystkie wiersze, które wyszły spod pióra Byrona i Shelleya, ale nic mu to nie dało. Nie tym razem. Doszło do tego, że kilku utworów nauczył się na pamięć i zainteresował się także twórczością innych poetów, ale jedynym parowcem, na który tym sposobem natrafił, był żaloszny z wyglądu, kursujący po Missouri tylnokołowiec o nazwie „Hiawatha”.

Marsh otrzymał raport od swoich detektywów, lecz nie zawierał on żadnych rewelacji. Bocznokołowy parowiec o nazwie „Ozymandias” opuścił Natchez tamtej październikowej nocy, zabierając czterysta ton ładunku, czterdziestu pasażerów i osiemdziesiąt osób załogi. Fracht nie dotarł do miejsca przeznaczenia. Zarówno parowca, jak i pasażerów nikt już więcej nie widział, z wyjątkiem paru pracowników składów drewna znajdujących się w okolicy Natchez. Abner Marsh przeczytał ten list pół tuzina razy, intensywnie rozmyślając. Po tej jednostce można się było spodziewać znacznie więcej, co oznaczało, że albo Zgorzkniały Billy kiepsko się starał, albo tak to właśnie zaplanowano, aby Julian i jego ludzie nocy nie mieli wiele do roboty.

Sto dwadzieścia osób znikło, jakby zapadło się pod ziemię. Marsh oblał się zimnym potem. Spojrzał na list i przypomniał sobie, co mu powiedział Damon Julian: „Nikt na rzece nigdy nie zapomni twojego »Fevre Dream«,».

Przez wiele miesięcy nękały Abnera Marsha okropne koszmary o statku pływającym w dół rzeki, jednostce czarnej jak smoła, z wygaszonymi lampami i świecami i rozciągniętymi na głównym pokładzie płachtami brezentu, aby ani odrobina światła bijącego z gardzieli pieców nie wydostała się na zewnątrz, parowcu mrocznym jak śmierć i czarnym niczym grzech, cieniu przemykającym w blasku księżyca i wśród oparów mgieł, nie rzucającym się w oczy, cichym i szybkim. W snach statek poruszał się bezszelestnie, a po jego pokładach i salonach przemykały bezgłośnie białe postacie, w kajutach zaś kulili się trwożliwie pasażerowie, aż któreś nocy drzwi kajut otworzyły się, a znajdujący się wewnątrz ludzie zaczęli krzyczeć. Raz czy dwa Marsh również obudził się z krzykiem i nawet na jawie nie potrafił zapomnieć

o statku ze snów, otulonym w woal cieni i wrzasków, buchającym dymem czarnym jak oczy Juliana i parą o barwie krwi.

Zanim w górnym biegu rzeki zaczęły pękać lody, Abner Marsh stanął przed trudnym wyborem. Nie odnalazł „Fevre Dream”, a poszukiwania omal nie doprowadziły go do ruiny. Księgi stawiały sprawę jasno, stał u progu bankructwa. Był właścicielem kompanii przewozowej nie posiadającym parowców i nie posiadającym funduszy na budowę choćby jednej skromnej jednostki. W tej sytuacji, mimo wahania, Marsh wysłał listy do swoich agentów i detektywów, nakazując im przerwanie poszukiwań.

Z niewielką kwotą, jaka mu jeszcze została, udał się w dół rzeki, do miejsca, gdzie na mieliźnie pozostał „Eli Reynolds”. Założono już nowy ster i połatano koło łopatkowe, a teraz oczekiwano na wiosenny przybór wód. Wreszcie nadeszła powódź i odnoga ponownie stała się zdatna do żeglugi, Yoerger i jego załoga niezwłocznie odprowadzili „Reynoldsa” do St. Louis, gdzie na statku zamontowano fabrycznie nowe koło łopatkowe, nowiutki, o dwukrotnie większej mocy silnik i drugi kocioł. Jednostkę odmalowano, a główny salon wyłożono nowym żółtym dywanem. Następnie Marsh wprowadził swój statek na nowoorleańską linię handlową, i choć był on zbyt mały, zbyt wolny i kiepsko wyposażony, dzięki temu posunięciu Abner Marsh mógł przynajmniej kontynuować poszukiwania.

Marsh, zanim jeszcze na dobre zaczął, wiedział, że sprawa jest prawie beznadziejna. Cairo i Nowy Orlean dzieli niemal tysiąc sto mil rzeki. A pozostawał jeszcze górny bieg Missisipi, od Cairo po Falls of St. Anthony, Missouri, Ohio, Yazoo, Red River i jakies pięćdziesiąt pomniejszych rzek i dopływów nadających się do żeglugi. Z kolei one również miały własne dopływy, nie mówiąc już o małych potokach, strumieniach i odnogach żeglownych w pewnych okresach roku, jeśli tylko za sterem parowca stał doświadczony pilot. „Fevre Dream” mógł ukrywać się na każdej z tych rzek, a gdyby „Eli Reynolds” akurat go minął, oznaczałoby to, że całą procedurę należy rozpocząć na nowo.

System rzeczny Missisipi przemierzały tysiące parowców, każdego miesiąca na rzece pojawiały się nowe jednostki, a to z kolei

oznaczało mnóstwo nieznanych nazw do wychwycenia w gazetach. Marsh był jednak uparty. Szukał dalej, a „Eli Reynolds” stał się jego domem.

Handel szedł kiepsko. Największe, najszybsze, najbardziej luksusowe parowce na rzece rywalizowały między sobą na trasie St. Louis – Nowy Orlean, a „Reynolds”, stary i powolny, nie mógł się równać z wielkimi bocznokołowcami.

– Nie w tym rzecz, że jest powolny jak ślimak i dwakroć od niego szpetniejszy – wyjaśnił Marshowi jego nowoorleański agent jesienią 1858 roku, rezygnując z jego usług. – Chodzi przede wszystkim o pana i niech mnie drzwi ścisną, jeżeli kłamię.

– O mnie? – ryknął Marsh. – O czym pan mówi, u licha?

– Ludzie na rzece mówią różne rzeczy. Według nich jest pan najbardziej pechowym właścicielem parowca, jaki kiedykolwiek pływał na tej rzece. Powiadają, że ciąży na panu klątwa, gorsza niż ta, którą jest obłożony „Drennan Whyte”. Mówią, że na jednym z pańskich statków eksplodowały kotły, zabijając całą załogę. Cztery zostały zmiażdżone w okowach lodu. Jeden spłonął po tym, jak wszyscy, którzy na nim byli, pomarli na żółtą febrę. A ostatni rzekomo zniszczył pan sam, popadając w obłęd i bijąc pałką pilota do nieprzytomności.

– Niech go diabli porwą – zaklął Marsh.

– Pytam więc, kto chciałby pływać z takim Jonaszem? Albo dla niego pracować? Ja na pewno nie. Nie ja.

Mężczyzna, którego wynajął w miejsce Jonathana Jeffersa, niejednokrotnie błagał Marsha, aby wycofał „Reynoldsa” z trasy nowoorleańskiej i skierował go na górną Missisipi lub Illinois, do których był lepiej przystosowany, lub też na Missouri, burzliwą i groźną, ale przynoszącą olbrzymie zyski, jeśli tylko miało się dość szczęścia i nie roztrzaskało swojej jednostki w drobny mak.

Abner Marsh odmówił i zwolnił tego mężczyznę, gdy stał się on zbyt natarczywy. Uznał, że poszukiwanie „Fevre Dream” na północnych rzekach mija się z celem. Poza tym przez ostatnie kilka miesięcy zarządzał sekretne nocne postoje przy pewnych składach drewna w Luizjanie oraz przy opustoszałych wysepkach na Missisipi i Arkansas, zabierając na pokład zbiegłych niewolników i przewożąc

ich na północ, do wolnych stanów.

Toby skontaktował go z grupą nazywającą siebie koleją podziemną, i to ona zajmowała się niezbędnymi przygotowaniem. Abner Marsh nie pracował na kolei i upierał się, by przemianować grupę na podziemną rzekę, ale to, że mógł pomóc owym ludziom, sprawiało mu niemałą satysfakcję, jakby tym sposobem ranił samego Damona Juliana. Niekiedy spotykał się z uciekinierami na pokładzie głównym i wypytywał ich o ludzi nocy i „Fevre Dream” w przekonaniu, że czarni wiedzą coś, o czym biali nie mają pojęcia, żaden z nich jednak nie przekazał mu naprawdę istotnej informacji.

Abner Marsh prowadził poszukiwania przez blisko trzy lata. Był to trudny czas. W roku 1860 Marsh był poważnie zadłużony z powodu strat wynikłych z użytkowania „Reynoldsa”. Został zmuszony do zamknięcia biur swojej firmy w St. Louis, Nowym Orleanie i innych nadrzecznych miastach. Koszmary już go nie dręczyły, ale w miarę upływu lat coraz bardziej izolował się od ludzi. Niekiedy odnosił wrażenie, że czas spędzony wraz z Joshuą Yorkiem na „Fevre Dream” był całym jego prawdziwym życiem, a późniejsze miesiące i lata zdawały mu się ulotne niczym sen. Kiedy indziej uważał dokładnie na odwrót, czuł, że to jest rzeczywistość, czerwony inkaust w księgach, pokład „Eliego Reynoldsa” pod stopami, zapach pary, plamy na nowym żółtym dywanie. Wspomnienia Joshuy, wspaniałość wielkiego parowca, który wspólnie zbudowali, lodowata groza, którą wzbudził w nim Julian, to wszystko wydawało się Marshowi snem, nic dziwnego, że przysło, nic dziwnego, że ludzie na rzece uważali go za szaleńca.

Wypadki lata 1857 roku stały się jeszcze bardziej ulotne, gdy jeden po drugim ci, którzy wraz z Marshem brali w nich udział, zaczęli odchodzić z jego życia. Stary Toby Lanyard udał się na wschód w miesiąc po ich powrocie do St. Louis. Wystarczyło mu, że choć na krótko znów stał się niewolnikiem i chciał znaleźć się możliwie jak najdalej od stanów, gdzie ucisk ów wciąż był praktykowany. Na początku roku 1858 Marsh otrzymał od niego krótki list z informacją, że Toby zatrudnił się jako kucharz w jednym z hoteli w Bostonie. Odtąd stary kuk już się więcej nie odezwał. Dan Albright załatwił sobie posadę na nowiułkim nowoorleańskim

bocznokołowcu. Latem 1858 roku jednak Albright i jego statek niefortunnym zrządzeniem losu znaleźli się w Nowym Orleanie podczas epidemii żółtej febry. Zaraza pochłonęła tysiące ofiar, w tym także Albrighta, i ostatecznie doprowadziła do poprawienia systemu sanitarnego miasta, aby latem nie przypominało ono kloaki. Kapitan Yoerger pływał dla Marsha na pokładzie „Eliego Reynoldsa” aż do końca sezonu 1859 roku, kiedy to odszedł w stan spoczynku i przeniósł się na farmę w Wisconsin, gdzie zmarł w rok później.

Kiedy zabrakło Yoergera, Marsh sam objął dowództwo tylnokołowca, aby zaoszczędzić trochę grosza. Do tego czasu wśród jego załogi pozostało zaledwie kilka znajomych twarzy. Poprzedniego lata Doc Turney został napadnięty, ograbiony i zamordowany w Natchez-under-the-hill, a Cat Grove opuścił rzekę, by wyruszyć na zachód, zrazu do Denver, później zaś do San Francisco, a ostatecznie do Chin, Japonii czy innego równie egzotycznego miejsca. Marsh najął Jacka Ely’ego, starego drugiego mechanika na „Fevre Dream”, w miejsce Turneya, chciał ściągnąć także kilku innych członków byłej załogi zaginionego parowca, okazało się jednak, że nie żyją, wyjechali lub najęli się do innej pracy. W roku 1860 jedynie Marsh i Karl Framm pozostali spośród tych, którzy przeżyli triumf i zgrozę roku 1857. Framm pilotował „Reynoldsa”, choć posiadał umiejętności niezbędne do kierowania o wiele większą i znaczniejszą jednostką. Pamiętał wiele rzeczy, o których nie rozmawiał z nikim, nawet z kapitanem Marshem. Wciąż był pogodny i wesoły, ale nie opowiadał już tylu barwnych historii co kiedyś, a Marsh dostrzegał w jego oczach smutek, którego tam wcześniej nie było. Framm nosił teraz przy sobie pistolet.

– Na wypadek, gdybyśmy ich znaleźli – wyjaśnił.

Marsh parsknął.

– Tą zabawką nie zdoła pan zabić Juliana.

Karl Framm wciąż uśmiechał się krzywo, błyskając swoim złotym zębem, ale w jego oczach nie było ani krzty rozbawienia, kiedy odrzekł:

– To nie dla Juliana, lecz dla mnie. Już mnie więcej żywcem nie wezmą. – Spojrzał na Marsha. – Gdyby przyszło co do czego, mogę zrobić to samo także dla pana.

Marsh zerknął na niego z ponurą miną.

– To nie będzie konieczne – mruknął i opuścił pilotówkę.

Nie zapomniał tej rozmowy do końca swoich dni. Pamiętał również wieczerzę wigilijną w St. Louis w 1859 roku, urządzoną przez kapitana jednego z wielkich statków pływających po Ohio. Obaj, Marsh i Framm, wzięli w niej udział, podobnie jak wszyscy inni pracownicy żeglugi rzecznej znajdujący się akurat w mieście. Kiedy goście sobie trochę podpili, zaczęli opowiadać rzeczne historie. Marsh znał doskonale te opowieści, ale wyciszał się i uspokajał, mając świadomość, że jego koledzy snują je po raz kolejny dla handlarzy, bankierów i pięknych kobiet, które nigdy wcześniej ich nie słyszały. Gawędzili o Starym Alu, królu aligatorów, statku widmie z Raccourci, Mike’u Finku, Jimie Bowiem, Ryczącym Jacku Russelu, o wielkim wyścigu pomiędzy „Eclipse” i „A.L. Shotwellem”, o pilocie, który choć skonał, przeprowadził swój statek przez niebezpieczny odcinek rzeki, o przeklętym parowcu, który przed dwudziestu laty zaniósł ospę w górę rzeki i tym sposobem uśmiercił dwadzieścia tysięcy Indian.

– Handel skórami diabli wzięli – dokończył opowiadający i wszyscy z wyjątkiem Marsha i paru innych wybuchnęli śmiechem.

Wtedy ktoś podjął temat niewiarygodnie wielkich parowców, „Hurricane”, „E. Jenkinsa”, gdzie na pokładach huraganowych rosły rzekomo całe lasy, których to drzew używano później na podpałkę, a ich koła łopatkowe były tak wielkie, że jeden obrót zajmował im cały rok. Abner Marsh uśmiechnął się.

Karl Framm przecisnął się przez tłum z kieliszkiem koniaku w rękę.

– Ja znam pewną historię. – Sprawiał wrażenie lekko wstawionego. – Jest całkiem prawdziwa. Istnieje taki parowiec, nazywa się „Ozymandias” i...

– Nigdy o nim nie słyszałem – odezwał się ktoś.

Framm uśmiechnął się półgębkiem.

– Módl się, abyś go nigdy nie zobaczył, bo jeśli go spotkasz, to już po tobie. Ten parowiec pływa wyłącznie nocami. I jest mroczny, niewiarygodnie mroczny. Cały pomalowany na czarno jak jego kominy, burty, pokłady, wszystko i tylko w głównym salonie

podłogę wyścielono dywanem w kolorze krwi; wszędzie wiszą srebrne lustra, w których nic się nie odbija. Lustra są zawsze puste, choć na pokładzie roi się od ludzi, bladolicych, wytwornie ubranych mężczyzn i kobiet. Często się uśmiechają. Ale nie odbijają się w lustrach.

Ktoś zadrzał. Wszyscy zamilkli.

– A to czemu? – zapytał pewien znany Marshowi z widzenia mechanik.

– Ponieważ są martwi – odparł Framm. – Wszyscy co do jednego. A jednak nie spoczywają w mogiłach. To grzesznicy, skazani na wieczną tułaczkę na pokładzie tego statku, czarnego parowca z czerwonymi dywanami i pustymi lustrami, krążącego w górę i w dół rzeki, choć nigdy nie zawijającego do żadnego portu.

– Widma – rzekł ktoś.

– Zjawy – dodała kobieta – jak ten okręt widmo z Raccourci.

– Bynajmniej – zaoponował Karl Framm. – Przez statek widmo można przepłynąć na wskroś, lecz nie przez „Ozymandiasa”. On jest jak najbardziej realny i przekonacie się o tym na własnej skórze, jeśli napotkacie go którejs nocy na swojej drodze. Ci truposze są głodni. A raczej zlaknieni. Oni żywią się krwią. Gorącą czerwoną krwią. Kryją się w mroku, a gdy spostrzegą światła innego statku, wyruszają za nim w pościg, gdy zaś go dogonią, wdzierają się na pokład całą watahą, jak głodne wilki. Wyobraźcie sobie zgraję krwiopijców o martwych, białych twarzach, ubranych jak spod igły. Potem zatapiają lub palą statek, a następnego ranka jedyną oznaką tragedii, jaka się wydarzyła, są wystające z rzeki szczyty kominów albo pełen trupów, zniszczony wrak. Jedynie grzesznicy mogą liczyć na ocalenie. Ci zabierani są na pokład „Ozymandiasa”, aby pływać na nim po wsze czasy.

– Upił łyk koniaku i uśmiechnął się. – Jeśli zatem będziecie na rzece i którejs nocy zobaczycie za sobą na wodzie czarny cień, przyjrzyjcie mu się uważnie. Być może to parostatek cały pomalowany na czarno, z czarnymi kołami bezgłośnie młóiącymi wodę i wygłodniałą załogą o białych, upiornych twarzach. Na „Ozymandiasie” nigdy nie palą się światła, więc bywa, że dostrzega się go dopiero w ostatniej chwili, a wtedy jest już za późno. Jeśli go

ujrzycie, módlcie się, abyście mieli na pokładzie bystrego pilota oraz choć trochę ropy albo łożu. To wielki i szybki statek, jeśli dogoni was nocą, będzie po was. Nasłuchujcie jego syreny. Jej zew rozlega się tylko wtedy, gdy wiadomo, że zostaniecie doścignięci, jeśli go zatem usłyszycie, zacznijcie się modlić i zróbcie rachunek sumienia.

– A jak brzmi dźwięk tej syreny?

– Jak ludzki krzyk – odparł Karl Framm.

– Jak brzmi nazwa tego statku? – spytał młody pilot.

– „Ozymandias” – odparł Framm. Umiał właściwie wymówić to słowo.

– Co to znaczy?

Abner Marsh wstał.

– To z wiersza – wyjaśnił. – Ja jestem Ozymandias, król królów. Mocarze! Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą gińcie z rozpaczy!

Zebrani spojrzeli na niego ze zdumieniem, a pewna tłusta matrona wybuchnęła nerwowym chichotem.

– Na tej starej diabelskiej rzece są rzeczy przeklęte i inne, o wiele gorsze – wtrącił jakiś urzędnik.

Zaczął mówić, a Marsh ujął Karla Framma za rękę i wyprowadził na zewnątrz.

– Czemu, u licha, opowiedział pan tę historię? – rzucił ostro Marsh.

– Aby wzbudzić w nich lęk – odrzekł Framm. – Aby jeżeli zobaczą ten statek, wiedzieli, że należy wiać co sił.

Abner Marsh zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym z pewnym wahaniem pokiwał głową.

– Chyba ma pan rację. Użył pan nazwy nadanej mu przez Zgorzkniałego Billy’ego. Gdyby powiedział pan „Fevre Dream”, panie Framm, skreśliłbym panu łeb jak kurczakowi, tam, przy wszystkich, na środku sali. Słyszysz pan?

Framm słyszał, ale było mu to obojętne. Historia została opowiedziana, na dobre i na złe. Marsh w miesiąc później usłyszał jej zniekształconą wersję z ust innego mężczyzny, gdy spożywał kolację w Posesji Plantatora, i jeszcze dwakroć tej zimy. Opowieść została poddana licznym przeróbkom, zmieniono nawet nazwę

czarnego parowca. „Ozymandias” była zbyt trudną i osobliwą nazwą dla większości opowiadających tę historię. Niezależnie jednak od nazwy, jaką nadawano statkowi, była to wciąż ta sama przerażająca opowieść.

Nieco ponad pół roku później Marsh usłyszał inną historię, która zmieniła jego życie.

Zasiadł właśnie do obiadu w niedużym hotelu w St. Louis, tańszym niż Posesja Plantatora i Southern, ale serwowano tu smaczne posiłki. Miejsce to było mniej popularne wśród ludzi rzeki, a Marshowi absolutnie to odpowiadało. Starzy przyjaciele i rywale w ostatnich latach dziwnie na niego patrzyli, unikali jako przynoszącego pecha albo przysiadali się doń, pragnąc porozmawiać o trapiących go nieszczęściach, na to zaś Marsh w ogóle nie miał ochoty. Wolał samotność. Tego dnia w roku 1860 siedział spokojnie przy stole, pijąc wino i czekając, aż kelner przyniesie mu pieczoną kaczkę z ziemniakami, fasolką i słodkie bułeczki, gdy wtem ktoś do niego podszedł.

– Nie widzieliśmy się chyba z rok – rzekł mężczyzna. Marsh spojrział na niego. Znał go z widzenia. Był to palacz, który kilka lat temu pracował na „A.L. Shotwellu”. Z pewnym wahaniem zaprosił gościa do stołu.

– Nie odmówię – mruknął były palacz, przysunął sobie krzesło i natychmiast rozpoczął niemal nie kończący się monolog. Był drugim mechanikiem na jakimś nowoorleańskim statku, o którym Marsh nigdy nie słyszał, znał mnóstwo plotek i nowinek znad rzeki.

Marsh słuchał uprzejmie, zastanawiając się, kiedy przyniosą mu obiad. Przez cały dzień nie miał nic w ustach.

Wreszcie podano mu kaczkę, a Marsh zaczął rozsmarowywać masło na bułeczce, kiedy mechanik zapytał:

– Słyszał pan o tej wichurze, co szalała w Nowym Orleanie?

Marsh pałaszował bułeczkę, odgryzając i powoli przełykając kolejne kęsy.

– Nie – odparł obojętnym tonem. Nie interesowały go wieści o nawałnicach, powodziach i tym podobnych klęskach żywiołowych.

Mężczyzna zagwizdał przez szczelinę między żółtymi zębami.

– Ależ to było diabelstwo, powiadam panu. Paru jednostkom

zerwało cumy i solidnie je pouszkadzało. Był wśród nich „Eclipse”. Słyszałem, że mocno ucierpiał.

Marsh przełknął kolejny kęs i odłożył sztućce, które wziął do rąk z zamiarem zabrania się do kaczki.

– „Eclipse” – powtórzył.

– Tja.

– Jak mocno ucierpiał? – zapytał Marsh. – Kapitan Sturgeon doprowadzi go do porządku, prawda?

– Nie sądzę. Uszkodzenia są zbyt poważne – zaproponował mechanik. – Słyszałem, że to, co z niego zostało, mają wykorzystać jako jednostkę nadbrzeżną, pływającą do Memphis.

– Jednostka nadbrzeżna – powtórzył smętnie Marsh, myśląc o tych steranych, szarych kadłubach stojących u nabrzeży St. Louis, Nowego Orleanu i innych wielkich, nadrzecznych miast, statkach odartych z silników i kotłów, pustych skorupach wykorzystywanych jedynie do przechowywania i transferu ładunków. – On nie... on...

– Według mnie nie zasłużył na nic innego – odparował tamten. – Do kroćset, pokonalibyśmy go na „Shotwellu”, tylko ze...

Marsh wydał zduszony, gardłowy dźwięk. – Wynoś się pan stąd! – ryknął. – Gdyby nie to, że pływał pan na „Shotwellu”, za to, co przed chwilą pan powiedział, osobiście wykopałbym pana na ulicę! A teraz precz! Żeby tu pana więcej nie widział!

Mechanik poderwał się z krzesła.

– Faktycznie jest pan obłąkany – rzucił na odchodne. – Ludzie jednak mówią prawdę.

Abner Marsh jeszcze długo siedział przy stole, nie tknąwszy nawet leżącego przed nim jedzenia; wpatrywał się w pustkę, a na jego twarzy malował się posępny, lodowaty grymas. Wreszcie kelner trwożliwie zbliżył się do niego.

– Czy coś nie tak z pańskim daniem, kapitanie? Kaczka nie smakuje?

Marsh spuścił wzrok. Kaczka wystygła. Tłuszcz wokół niej zaczął gęstnieć.

– Nie jestem już głodny – odparł.

Odsunął talerz, zapłacił rachunek i wyszedł.

Przez następny tydzień ślęczał nad księgami, rachując swoje

długi. Następnie spotkał się z Karlem Frammem.

– To na nic – rzekł do niego. – Już nigdy nie stanie do wyścigu z „Eclipse”, nawet gdybyśmy zdołali odnaleźć „Fevre Dream”, a to nam się nie uda. Mam już dość poszukiwań. Przenoszę „Reynoldsa” na Missouri. Muszę zarobić trochę grosza.

Framm rzucił mu oskarżycielskie spojrzenie.

– Nie mam licencji na Missouri.

– Wiem. Zwalniam pana. I tak zasługuje pan na lepszą jednostkę niż „Reynolds”. – Karl Framm pykał fajkę i milczał. Marsh nie potrafił spojrzeć mu w oczy. Zaczął sortować jakieś papiery. – Wypląć panu co do grosza uzgodnioną kwotę – powiedział.

Framm skinął głową i odwrócił się, by odejść. Przy drzwiach przystanął.

– Gdy tylko gdzieś się zahaczę – rzekł – na nowo podejmę poszukiwania. Znajdę go i poinformuję pana o tym.

– Nie znajdzie go pan – odparował beznamietnie Marsh. Framm zamknął drzwi i szedł ze statku, zamykając ten rozdział swego życia, Abner Marsh zaś poczuł się samotny jak nigdy dotąd. Teraz już tylko on pamiętał „Fevre Dream”, biały surdut Joshuy albo piekielną czeluść otwierającą się w oczach Damona Juliana. Wspomnienia te żyły już tylko w jego pamięci, a Marsh zamierzał je stamtąd usunąć.

Minęły lata.

„Eli Reynolds” zarobił niezłą sumkę na szlaku handlowym Missouri. Pływał po nim prawie rok, a Marsh dowodził swoją jednostką, nie szczędząc trudu, by zadbać o powierzony jego pieczy ładunek, przewożonych pasażerów i swoje księgi rachunkowe. To, co zarobił na dwóch pierwszych kursach, wystarczyło, by spłacić trzy czwarte jego niemałych długów. Byłby się wzbogacił, gdyby wydarzenia większej wagi dla całego świata nie sprzysięgły się przeciw niemu: wybór Lincolna na prezydenta (Marsh głosował na niego, pomimo iż był republikaninem), secesja, oblężenie fortu Sumter. Marsh w obliczu nadchodzącej rzezi przypomniał sobie słowa Joshuy Yorka: „Ten naród jest trawiony czerwonym pragnieniem i tylko krew może je zaspokoić”.

Potrzeba było morza krwi, rozmyślał potem Marsh

z rozgoryczeniem. Rzadko mówił o wojnie lub o swoich doświadczeniach z tego okresu, drażnili go także ludzie, którzy bez końca przeżywali bitwy, w których uczestniczyli. „Była wojna” – mawiał. „Wygraliśmy. Teraz to już przeszłość i nie pojmuję, dlaczego musimy wciąż o tym paplać, jakbyśmy faktycznie mieli się czym szczycić. Jedynym plusem tego, co się wydarzyło, było zniesienie niewolnictwa. Reszta jest bez znaczenia. Strzelanie do ludzi to nie powód do chluby, nie ma się czym chlępić”.

Marsh i „Eli Reynolds” wrócili na górną Missisipi w początkowym okresie walk, przewożąc żołnierzy z St. Paul, Wisconsin i Iowy. Później Marsh służył na kanonierce Unii i wziął udział w kilku bitwach rzecznych.

Karl Framm także walczył na rzece. Marsh słyszał, że tamten zginął pod Vicksburgiem, ale informacja ta nie została potwierdzona.

Gdy nastał pokój, Marsh wrócił do St. Louis i przeniósł „Eliego Reynoldsa” na szlak handlowy na górnej Missisipi.

Zawarł krótkotrwały sojusz z właścicielami/kapitanami czterech konkurencyjnych jednostek i zorganizował regularną linię przewozową, mogącą skuteczniej rywalizować z większymi kompaniami władającymi tym odcinkiem rzeki. Byli to jednak silni, uparci i zdecydowani mężczyźni, toteż po pół roku sprzeczek i nieporozumień spółka przestała istnieć. Do tego czasu Abner Marsh stwierdził, że stracił ochotę na dalsze prowadzenie rzeczno interesu. Odnosił wrażenie, że zmieniła się także sama rzeka. Po wojnie liczba obecnych na niej parowców zmniejszyła się o dwie trzecie, ale konkurencja stała się bardziej zawzięta i bezwzględna, ponieważ statki zaczęły tracić klientów na rzecz kolei żelaznej. Gdy obecnie wpływało się do St. Louis, napotykało się nie więcej niż tuzin statków stojących przy nabrzeżu, przy którym kiedyś nie było gdzie wetknąć szpilki. Następowaly też inne zmiany, jedna po drugiej, w kolejnych latach po zakończeniu wojny. Węgiel zaczął wypierać drewno niemal wszędzie, z wyjątkiem bardziej dzikich odcinków Missouri. Federalni regulatorzy zaczęli wprowadzać mające powszechnie obowiązywać zasady i prawa, pojawiły się przepisy bezpieczeństwa, rejestry i inne formy kontroli, próbowano nawet zakazać wyścigów. Zmienili się także ludzie rzeki. Większość

tych, których znał Marsh, umarła albo przeszła na emeryturę, a ci, co zajęli ich miejsca, byli obcymi ludźmi posługującymi się obcymi prawami. Stary wilk rzeczny, chełpliwy, klnący na czym świat stoi, nieokrzesany typ, który klepał rozmówcę po plecach i przez całą noc stawiał kolejki, opowiadając przy tym niestworzone historie, należał do wymierającego gatunku. Nawet Natchez-under-the-hill było cieniem dawnej metropolii. Marsh słyszał, że miejsce to ucywilizowało się, z wolna przeistaczając się w oazę spokoju, jak miasto na szczycie wzgórza, z jego wytwornymi rezydencjami o fantastycznych nazwach.

Pewnej nocy, w maju 1868 roku, ponad dziesięć lat odkąd ostatni raz widział Joshuę Yorka i „Fevre Dream”, Abner Marsh wybrał się na przechadzkę po nabrzeżu. Powrócił myślami do tamtej nocy, kiedy on i Joshua spotkali się po raz pierwszy i szli po tym samym nabrzeżu, przy którym ciągnął się wówczas długi niemal na milę rząd parowców, wielkich, dumnych bocznokołowców i twardych, małych tylnokołowców, jednostki stare i nowe, a wśród nich „Eclipse” cumujący do łodzi nadbrzeżnej.

Teraz „Eclipse” sam stał się taką łodzią, a na rzece roilo się od ludzi mieniących się palaczami, załogantami i młodymi pilotami, którzy nigdy go nie widzieli. A nabrzeże świeciło pustkami. Marsh stanął i policzył. Pięć jednostek, sześć, jeśli liczyć „Elięgo Reynoldsa”. Sam „Reynolds” miał już tyle lat, że Marsh obawiał się nieco wypływać nim na rzekę. To chyba najstarszy parowiec świata, pomyślał, mający najstarszego kapitana. I zarówno statek, jak i on sam byli śmiertelnie zmęczeni.

„Great Republic” zabierał ładunek towarów. Był to nowy bocznokołowiec, który rok wcześniej opuścił stocznię w Pittsburghu. Miał podobno trzysta trzydzieści pięć stóp długości, co teraz, gdy „Eclipse” i „Fevre Dream” odeszły w zapomnienie, czyniło go największym parowcem na rzece. Trzeba przyznać, że był to naprawdę wspaniały statek. Jego pilotówkę pokrywały liczne zdobienia oraz zgrabna, ozdobna kopała na szczycie, a obrazy, szkło, lakierowane drewno i dywany znajdujące się wewnątrz zapierały dech w piersiach. Miał to być najświetniejszy, najpiękniejszy parowiec, jaki kiedykolwiek zbudowano, tak luksusowy, by

przyćmić wszystkie inne jednostki. Nie odznaczał się jednak nadmierną szybkością i podobno przynosił swemu właścicielowi coraz większe straty. Marsh stał z rękoma splecionymi na piersiach i z poważną miną, zamyślony, w czarnym, długim płaszczu, patrzył, jak robotnicy kontynuują załadunek towarów.

Wszyscy tragarze byli czarni. To jeszcze jedna zmiana. Wszyscy robotnicy portowi wzdłuż całej rzeki byli czarnoskórzy. Imigranci, którzy przed wojną pełnili te funkcje, zniknęli; Marsh nie wiedział, co się z nimi stało, tak czy siak zastąpili ich czarni wyzwolenicy.

Robotnicy śpiewali przy pracy. Była to cicha, melancholijna pieśń.

„Noc jest ciemna, długi dzień, dom nasz hen daleko gdzieś, płaczcie bracia, płaczcie wraz”. Marsh znał tę pieśń. Była jeszcze jedna zwrotka: „Noc minęła, dnia już kres, dom nasz niedaleko jest, krzyczcie bracia, krzyczcie wraz”. Tej zwrotki jednak nie śpiewali. Nie dziś, nie tego wieczoru, na niemal pustym nabrzeżu, podczas załadunku frachtu na nowiutki, wspaniałe statek mogący pomieścić znacznie więcej towarów. Obserwując ich i słuchając, Marsh odniósł wrażenie, jakby cała rzeka umierała, a on wraz z nią. Miał za sobą dostatecznie dużo ciemnych nocy i długich dni, aby starczyło mu do końca życia, i nie był pewien, czy ma jeszcze dom.

Abner Marsh opuścił nabrzeże i wolnym krokiem pomaszerował do hotelu. Następnego dnia zwolnił swoich księgowych i załogę, rozwiązał firmę przewozową Fevre River i wystawił „Eliego Reynoldsa” na sprzedaż.

Marsh zabrał resztę pieniędzy, jaka mu jeszcze została, opuścił St. Louis i nabył mały domek w swoim rodzinnym mieście, Galenie, dom z widokiem na rzekę. Tyle że nie była to już Fevre River. Przed laty zmieniono jej nazwę na Galena River, dawna zaś popadła w zapomnienie. Abner Marsh wciąż nazywał ją Fevre River, jak w latach swego dzieciństwa.

W Galenie miał niewiele do roboty. Czytał gazety. Nawyk ten, pozostałość z okresu, kiedy poszukiwał Joshuy, pozwalał mu na bieżąco śledzić losy szybkich statków pływających po wielkich rzekach. Wciąż było ich kilka. W 1866 roku ze stoczni w New Albany wyszedł „Robert E. Lee” i był to prawdziwy postrach rzek.

Niektórzy ludzie rzeki nazywali go „Dziki Bob Lee” albo „Paskudny Bob”. Poza tym w roku 1869 kapitan Tom Leathers, twardy jak skórzana podeszwa, nieokrzesany i nie przebierający w słowach dowódca, jeden z nielicznych przedstawicieli „starej gwardii”, zwodował nowego „Natchez”, szósty już statek noszący to miano. Leathers nadawał tę nazwę wszystkim swoim jednostkom. Jak donosiła prasa, nowy „Natchez” był szybszy od swoich poprzedników. Ciął wodę jak nóż, a Leathers chełpił się, że już wkrótce da nauczkę kapitanowi Johnowi Cannowi i jego „Dzikiemu Bobowi Lee”.

W gazetach było na ten temat głośno. Nawet w Illinois czuło się, że nadchodzi czas wielkiego wyścigu, takiego, o którym będzie się mówiło przez wiele lat.

– Chciałbym zobaczyć ten cholerny wyścig – rzekł pewnego dnia Abner do kobiety, która u niego sprzątała. – Choć żaden z tych statków, możesz mi wierzyć, nie mógłby się równać z „Eclipse”.

– Oba mają lepsze czasy niż pański stary „Eclipse” – stwierdziła. Ta kobieta lubiła się z nim przekomarzać. Marsh parsknął.

– To o niczym nie świadczy. Rzeka jest teraz krótsza. Z każdym rokiem staje się coraz krótsza. Niedługo będzie można dotrzeć z St. Louis do Nowego Orleanu na piechotę.

Marsh czytał nie tylko gazety. Dzięki Yorkowi zasmakował w poezji, a od czasu do czasu nie pogardził również powieścią. Zaczął też rzeźbić w drewnie i wykonywać z pamięci modele swoich parowców. Malował je starannie, dopracowując szczegóły. Wykonał je wszystkie w jednej skali, aby można je było postawić jeden przy drugim i przekonać się, jakiej były wielkości.

– To „Elizabeth A.” – oznajmił z dumą, prezentując gosposi swój szósty i największy model. – Statek jak marzenie. A jak się prowadził! Ustanowiłby niejeden rekord, gdyby nie ten przeklęty łód. Widzisz, jaki był olbrzymi, prawie trzysta stóp. Mój stary „Nick Perrot”, ten tutaj, to przy nim karzelek. – Pokazał jej wzmiankowany statek. – To „Sweet Fevre” i „Dunleith”, ten miał spore kłopoty z silnikiem bakturtowym, naprawdę poważne kłopoty, a obok niego „Mary Clarke”. Jej kotły eksplodowały. – Marsh pokręcił głową. – Zginęło wielu ludzi. Może to była moja wina. Nie wiem. Czasami

o tym myślę. Ten mały na końcu to „Eli Reynolds”. Nie prezentuje się okazale, ale miał naprawdę wielkiego ducha. To był twardziel co się zowie. Brał wszystko, co mu się dało, a nawet więcej i szedł pełna parą, mówiąc kołem fale rzeki. Wiesz, ile lat spędził na rzece ten mały, szpetny tylnokołowiec?

– Nie – odrzekła gospościa. – Ale czy nie miał pan jeszcze jednego statku? Naprawdę wielkiego i wspaniałego? Słyszałam...

– Nieważne, co słyszałaś, do licha! Tak, miałem jeszcze jeden statek, „Fevre Dream”. Nadałem mu nazwę na cześć rzeki. Gospościa ofuknęła go.

– Nic dziwnego, że to miasto nigdy się nie rozrosło, skoro ludzie tacy jak pan sławią na prawo i lewo wątpliwe zalety Fevre River. Ani chybi wszyscy mają nas za chorych albo wariatów. Dlaczego nie nadał mu pan właściwej nazwy? Rzeka nazywa się teraz Galena.

Abner Marsh parsknął.

– Zmienić cholerną nazwę cholernej rzeki, nigdy jeszcze nie słyszałem czegoś równie absurdalnego. Dla mnie to była, jest i zawsze będzie Fevre River, niezależnie od tego, co ma w tej sprawie do powiedzenia jakiś zafajdany burmistrz. – Łypnął z ukosa na gospozię. – Albo dajmy na to ty. Zresztą rzeka jest tak bardzo zamulona i zapuszczona, że pewnie wkrótce trzeba będzie ją przemianować na cholerny Potok Galena.

– Cóż za wulgarny język. Sądziłam, że osoba gustująca w poezji jest w stanie pohamować się przed używaniem nieprzyzwoitych słów.

– Nie jest istotne, jakich używam słów – odparował Marsh. – I nie rozgłaszaj po mieście, że czytuję poezję, jasne? Znałem kiedyś kogoś, kto lubił wiersze, i tylko dlatego zatrzymałem te tomiki. Rób, co do ciebie należy, i dbaj, aby moje statki nie pokrywały się kurzem.

– Oczywiście. Czy zamierza pan wykonać model swego ostatniego statku? Tego „Fevre Dream”?

Marsh zasiadł w głębokim, miękkim fotelu i zamyślił się.

– Nie – odparł. – Nie zamierzam. To jedyny statek, o którym pragnę zapomnieć. Bierz się do odkurzania i przestań zasypywać mnie swoimi kretyńskimi pytaniami. – Sięgnął po gazetę i zaczął

czytać artykuł o „Natchezie”, a w nim kolejną chełpliwą wypowiedź Leathersa. Gosposia zacmokała w głos i wzięła się do ścierania kurzu.

Dom Marsha miał wysoką, okrągłą wieżyczkę skierowaną na południe. Wiezorami Marsh często tam przesiadywał z kieliszkiem wina albo filiżanką kawy, a niekiedy także z kawałkiem ciasta. Nie jadał już tyle co kiedyś. Od wojny nie znajdował w jedzeniu takiej przyjemności jak dawniej. Wciąż był potężnym mężczyzną, ale od czasów kiedy pływał z Joshuą na pokładzie „Fevre Dream”, stracił dobre sto funtów. Skóra wisiała na nim jak zbyt obszerne, niedopasowane ubranie. Miał również spore, obwisłe wola.

– Jestem szpetniejszy niż kiedykolwiek – mamrotał do siebie, spoglądając w lustro.

Ze swego miejsca przy oknie wieżyczki Marsh mógł zobaczyć rzekę. Spędzał tam wiele nocy, czytając, pijąc i wpatrując się we wstęgę wody. Rzeka była naprawdę piękna, lśniła w blasku księżyca i toczyła swe wody nieprzerwanie, tak jak to czyniła przed jego narodzinami i tak jak będzie płynąć, gdy on sam umrze, szcześnie i rozpadnie się w proch. Jej widok uspokajał Marsha, a kapitan wielce sobie cenił owo uczucie. Zwykle bywał zmęczony lub pogrążony w głębokiej melancholii. Przeczytał kiedyś wiersz Keatsa, w którym autor twierdził, że nie ma nic smutniejszego aniżeli śmierć czegoś pięknego, a Marsh odnosił niekiedy wrażenie, że oto jest świadkiem powolnego konania wszystkiego, co piękne na tym bożym świecie. Marshowi doskwierała także samotność. Spędził na rzece tyle lat, że nie miał w Galenie prawdziwych przyjaciół. Nikt go nie odwiedzał, nie rozmawiał z nikim prócz swej irytującej gosposi. Drażniła go, ale Marshowi było to obojętne, teraz już tylko ona potrafiła rozgrzać krew w jego żyłach. Czasami wydawało mu się, że jego życie dobiegło końca, i unosił się gniewem, aż czerwieniały mu policzki. Było tyle rzeczy, których nie zrobił, tak wiele nie dokończonych spraw... nie mógł jednak zaprzeczyć, że coraz bardziej się starzał. Kiedyś nosił swoją laseczkę z hikory, gdyż dodawała mu szyku i elegancji. Teraz zwyczajnie się nią podpierał, mocno zaciskając palce na jej drogiej, złoconej gałce. Wokół oczu, a nawet pomiędzy brodawkami, zrobiły mu się zmarszczki, na wierzchu

lewej dłoni zaś pojawiła się zabawna, brązowa plamka. Czasami patrzył na nią, zastanawiając się, skąd się wzięła. Nawet nie zauważył, kiedy to się stało. Zwykle kłął wtedy w głos, sięgając po gazetę lub książkę.

Marsh siedział w saloniku, czytając dzienniki Dickensa z jego podróży po rzece i Ameryce, kiedy zjawila się gosposia, przynosząc mu list. Chrząknął zaskoczony i odłożył książkę, mamrocząc pod nosem:

– Przeklęty, głupi Angol, chciałbym wrzucić go do tej cholernej rzeki. – Sięgnął po list i rozerwał, upuszczając kopertę na podłogę.

Rzadko otrzymywał listy, ten zaś był jeszcze dziwniejszy, wysłano go na adres firmy przewozowej Fevre River w St. Louis, a stamtąd do Galeny. Abner Marsh rozłożył szorstką kartkę pożółkłego papieru i nagle wstrzymał oddech.

To była stara papeteria, pamiętał ją doskonale. Zamówił ją jakieś trzynaście lat temu, aby umieścić jej zapas w każdej z kajut swego statku. U góry znajdował się wykonany tuszem rysunek wielkiego bocznołowca i ozdobne, pełne zawijasów litery układające się w napis FEVRE DREAM. Znał dłoń, która je nakreśliła, tę miękką, szczupłą, bladą dłoń. List był krótki.

Drogi Abnerze!

Dokonałem wyboru i podjąłem decyzję.

Jeśli cieszysz się dobrym zdrowiem i miałbyś po temu ochotę, spotkaj się ze mną w Nowym Orleanie, możliwie jak najszybciej. Znajdziesz mnie w Green Tree przy Gallatin Street.

Joshua

– Niech to wszyscy diabli! – zaklął Marsh. – Czy ten głupiec sądzi, że po tylu latach wystarczy, aby przysłał mi jeden list, a ja w te pędy rzucę wszystko i wybiorę się do Nowego Orleanu? Toż to kawał drogi! W dodatku nie pokwapił się o choćby jedno słowo wyjaśnienia! Za kogo on się, u licha, uważa?

– Ja tam nie wiem! – odrzekła gosposia.

Abner Marsh podniósł się z fotela.

– Kobieto, gdzie, do stu piorunów, podziałaś mój biały surdut? –

ryknął na całe gardło.

ROZDZIAŁ 31

Nowy Orlean maj 1870

Gallatin Street nocą wyglądała jak jedna z ulic piekła, pomyślał Abner Marsh, maszerując różnym krokiem wzdłuż niej. Po obu jej stronach królowały dancingi, saloony i domy uciech, wszystkie jednakowo zatłoczone, brudne i gwarne, na chodnikach zaś roilo się od pijaków, dziwek i rzezimieszków.

Dziwki wołały doń, gdy je mijał, a zalotno-kuszące słowa zmieniały się w potok inwektyw, kiedy je ignorował. Surowi mężczyźni o zimnych oczach, z nożami i kastetami, obrzucali go pogardliwymi, taksującymi spojrzeniami, a Marsh żałował, że tak dobrze wygląda i że jest już tak stary. Przeszedł przez ulicę, aby uniknąć gromadki mężczyzn stojących przed jednym z dancingów z solidnymi, dębowymi pałkami w dłoniach, i znalazł się przed wejściem do Green Tree.

Był to dancing jak wszystkie inne, podejrzana speluna otoczona całą masą innych, równie szemranych przybytków. Marsh wszedł do środka. Wewnątrz było ciemno, tłoczno i smrodliwie od tytoniowego dymu. Pary sunęły wśród niebieskawej mgiełki, tańcząc w rytm głośniejszej, tandetnej muzyki. Jeden z mężczyzn, krępy, silnie

zbudowany, nie ogolony typ w czerwonej flanelowej koszuli, kręcił się po parkiecie z partnerką, która sprawiała wrażenie nieprzytomnej. Mężczyzna ścisnął jej pierś przez cienką tkaninę sukni, podtrzymując ją i wlokąc za sobą. Inni tancerze ignorowali ich. Kobieta była typową fordanserką w wyblakłej, perkalowej sukience i postrzępionych pantofelkach. W pewnym momencie na oczach Marsha mężczyzna w czerwonej koszuli potknął się, upuścił partnerkę i przewrócił się na nią, wywołując gromką salwę śmiechu.

Facet zaklął szpetnie i chwiejnie podniósł się z parkietu. Kobieta nie poruszyła się. Po chwili, kiedy śmiech ucichł, pochylił się nad nią, schwycił za gors sukni i pociągnął. Materiał pękł, a mężczyzna odrzucił oderwany fragment tkaniny, śmiejąc się w głos. Kobieta nie miała pod spodem nic prócz czerwonej podwiązki na jednym białym, mięsistym udzie. Za podwiązką miała zatknięty mały sztylecik. Rękojeść była różowa, w kształcie serca. Mężczyzna w czerwonej koszuli zaczął rozpinać spodnie, gdy tuż obok niego pojawiło się dwóch wykidajłów. Byli to postawni mężczyźni o czerwonych twarzach, z kastetami i drewnianymi pałkami.

– Zabierz ją na górę – warknął jeden z nich.

Facet w czerwonej koszuli zaczął kłąć na czym świat stoi, w końcu jednak zarzucił sobie kobietę na ramię i odszedł kołyszającym krokiem pośród kłębow dymu, przy wtórze rechotliwego śmiechu.

– Chce pan zatańczyć, mister? – rozległ się tuż przy uchu Marsha bełkoczący kobiecy głos.

Odwrócił się i posłał jej gniewne spojrzenie. Kobieta musiała ważyć tyle samo co on. Była trupioblada i golućka jak ją pan Bóg stworzył, z wyjątkiem cienkiego skórzanego pasa, u którego zwieszały się dwa noże. Uśmiechnęła się i pogładziła Marsha po policzku, zanim odwrócił się od niej i zniknął w tłumie. Krążył po sali, usiłując odnaleźć Joshuę. W jednym wyjątkowo hałaśliwym kącie tuzin mężczyzn zgromadził się wokół drewnianej skrzyni i czkając oraz klnąc siarczyście, obserwował walkę szczurów. Przy barze stały co najmniej dwa rzędy spragnionych dusz, a wszystkie uzbrojone po zęby i bynajmniej nie nastawione przychylnie do świata. Marsh przeprosił i przecisnął się obok chudego jak tyka mężczyzny z garotą zaplecioną u pasa, który rozmawiał

z ożywieniem z niskim facecikiem obwieszonym pistoletami. Mężczyzna z garotą przerwał konwersację i posłał Marshowi nieprzyjemne spojrzenie, podczas gdy drugi wrzasnął coś do niego i powrócił do rozmowy.

– Whisky – zażądał Marsh, opierając się o kontuar.

– Whisky wyżre ci dziurę w kałdunie, Abnerze Marsh – rzekł półgłosem barman, a jego cichy głos przeniknął przez panujący dokoła gwar.

Abner aż rozdziawił usta ze zdumienia. Mężczyzna uśmiechający się doń zza baru nosił workowate spodnie z szerokim pasem, przy którym wisiał kordelas, białą koszulę, tak brudną, że wydawała się szara, i czarną kamizelkę. Twarz jednak wyglądała tak samo jak przed trzynastu laty, blada i pozbawiona zmarszczek, okolona prostymi białymi włosami, nieco obecnie zaniedbanymi. Szare oczy Joshuy zdawały się lśnić wewnętrznym blaskiem w panującym w sali półmroku. Wyciągnął rękę ponad kontuarem i schwycił Marsha za ramię.

– Chodź na górę – rzucił ponagłajaco – tam będziemy mogli porozmawiać.

Kiedy wyszedł zza szynkwasu, drugi barman zerknął na niego, a niski typ o twarzy łasicy i w czarnym garniturze zapytał obcesowo:

– A ty dokąd? Wracaj na swoje miejsce i nalewaj klientom whisky.

– Rzucam tę robotę – odparł krótko Joshua.

– Rzucasz? Poderżnę ci gardło, łajdaku!

– Doprawdy? – spytał Joshua. Czekał, rozglądając się po sali, w której nagle zapanowała grobowa cisza, i rzucając pozbawione słów wyzwanie otaczającym go osiłkom. Nikt się nie poruszył. – Gdyby któryś z was chciał spróbować szczęścia, będę na górze z moim przyjacielem – rzekł do pół tuzina wykidajłów stojących przy barze.

Następnie ujął Marsha za łokieć i poprowadził go przez środek sali ku wąskim, tylnym schodom. Na górze znajdował się krótki korytarz oświetlony blaskiem pojedynczej lampy gazowej i pół tuzina pokoi. Spoza jednych zamkniętych drzwi dobiegał hałas, głośnie stęknięcia i jęki. Inne były otwarte, a w progu leżał twarzą do

dołu jakiś mężczyzna. Przystępując go, Marsh stwierdził, że był to znany mu już z widzenia nie ogolony typ w czerwonej koszuli. – Co mu się stało, u licha? – zapytał głośno Marsh.

Joshua York wzruszył ramionami.

– Bridget najwyraźniej ocknęła się, dała mu po głowie i zabrała pieniądze. To dopiero kocica. Sądzę, że tym swoim małym nożykiem zabiła co najmniej czterech mężczyzn. Robi karby na gałce w kształcie serca. – Skrzywił się. – A skoro już mowa o rozlewie krwi, Abnerze, mój lud ma twojemu niewiele do zaoferowania. – Joshua otworzył drzwi do pustego pokoju. – Może tutaj, jeśli nie masz nic przeciw temu. – Zamknął je za nimi, zapaliwszy uprzednio jedną z lamp.

Marsh ciężko usiadł na łóżku.

– Do stu piorunów – mruknął – ściągnąłeś mnie na samo dno piekieł, Joshua. To równie zakazana dziura jak Natchez-under-the-hill dwadzieścia lat temu. Nie sądziłem, że spotkam cię w takim miejscu.

Joshua York uśmiechnął się i usiadł w starym, wyświechtanym fotelu.

– Podobnie jak Julian albo Zgorzkniały Billy. W tym sęk. Wiem, że mnie szukają. Ale gdyby nawet przyszło im na myśl odwiedzić Gallatin Street, nie będą mieli łatwego zadania. Julian padnie ofiarą napaści, ponieważ sprawia wrażenie zamożnego, a Billy’ego znają tu z widzenia. Zabrał zbyt wiele kobiet, których nikt już nigdy potem nie widział. Dziś wieczorem w Green Tree było co najmniej dwóch mężczyzn, którzy zabiliby go, gdyby go tylko ujrzeli. Ulice na zewnątrz należą do Live Oak Boys, którzy mogliby zatłuc Billy’ego na śmierć ot tak, dla zabawy, chyba że zdecydowałiby się mu pomóc. – Wzruszył ramionami. – Policja nigdy tu nie zagląda. Jestem tu bezpieczny jak nigdzie indziej, a na ulicy moje nocne nawyki nie wzbudzają podejrzeń. Tutaj to normalka.

– Nieważne – przerwał mu Marsh ze zniecierpliwieniem. – Wysłałeś mi list. Pisałeś w nim, że dokonałeś wyboru. Wiesz, dlaczego przybyłem, ja natomiast nie mam pewności, czemu po mnie posłałeś. Może zechcesz mi to wytłumaczyć.

– Nie bardzo wiem, od czego zacząć. Minęło sporo czasu,

Abnerze.

– Dla nas obu – burknął Marsh. Nagle jego ton złagodniał. – Szukałem cię, Joshua. Przez wiele lat, tak długo, że nie sposób ich wszystkich spamiętać, próbowałem odnaleźć ciebie i mój statek. Ale ta cholerna rzeka okazała się za wielka, a mnie nie starczyło ani czasu, ani pieniędzy.

– Abnerze – powiedział York – mogłeś mieć tyle czasu, ile dusza zapragnie, i wszystkie pieniądze świata, lecz nie odnalazłbyś nas na rzece. Przez ostatnie trzynaście lat „Fevre Dream” znajdował się na łądzie. Jest ukryty w pobliżu starych zbiorników indygo na plantacji należącej do Juliana, mniej więcej pięćset jardów od zalewiska, ale bardzo starannie zamaskowany.

– Jak, u diabła... – zaczął Marsh.

– To moje dzieło. Pozwól, że zacznę od początku i opowiem ci o wszystkim. – Westchnął. – Muszę cofnąć się o trzynaście lat, do nocy, kiedy cię opuściłem.

– Pamiętam.

– Najszybciej, jak potrafiłem, udałem się w górę rzeki – zaczął Joshua. – Chciałem wrócić, martwiłem się, że owładnie mną czerwone pragnienie. Wędrówka była uciążliwa, ale już drugiej nocy po moim odejściu z plantacji odnalazłem „Fevre Dream”. Nie dotarł daleko. Stał opodal brzegu, czarna woda opływała go z obu stron. Była zimna, mglista noc, gdy zbliżyłem się do statku, który, nawiasem mówiąc, tonął w ciemnościach i wyglądał jak wymarły. Nie było dymu, pary ani ognia i żadnych odgłosów, niewiele brakowało, a w tej mgle zupełnie bym go przeoczył. Nie chciałem wracać, ale wiedziałem, że muszę. Popłynąłem do niego. – Zawahał się przez chwilę. – Abnerze, wiesz, jakie życie prowadziłem. Widziałem i zrobiłem mnóstwo strasznych rzeczy. Nic jednak nie mogło równać się z tym, co zobaczyłem na pokładzie parowca. Nie byłem przygotowany na taki widok. – Utkwił wzrok w twarzy Marsha, jednak wydawał się on szklisty, jakby zamglony, odtwarzający obraz, który na zawsze już pozostanie w jego oczach.

York przerwał.

– Mów dalej, Joshua – zachęcał go Marsh.

Usta Joshuy ściągnęły się w wąską kreskę.

– To była rzeźnia, Abnerze. – Odczekał chwilę, aż znaczenie tych słów dotrze do świadomości Marsha, po czym mówił dalej: – Wszędzie wałały się ciała. Dosłownie wszędzie. I wcale nie były nietknięte. Przeszedłem przez pokład główny i odnalazłem trupy... wśród stert ładunku, a nawet przy silnikach. Oderwane ręce, nogi i inne części ciał... były rozwłócone po całym statku. Rozszarpane, poodrywane. Niewolnicy, palacze, których kupił Billy, większość z nich wciąż była zakuta w łańcuchy, ale wszyscy nie żyli, mieli rozdarte gardła. Mechanik został powieszony do góry nogami nad tłokiem, później zaś poderżnięto mu gardło, spuszczając krew do maszyny, jakby mogła zastąpić smar. – Joshua pokręcił głową. – Tak wiele ciał, Abnerze. Nie wyobrażasz sobie tego. I to, jak były zmasakrowane, rozdarte na sztuki. Statek otoczyła mgła, nie zobaczyłem więc wszystkiego od razu. Szedłem, maszerowałem przed siebie i te widoki pojawiały się nagle przede mną jakby znikąd, materializowały się tam, gdzie jeszcze przed chwilą były jedynie rozmyte cienie i wirujący woal mgieł. Patrzyłem na te coraz to nowe przejawy okrucieństw i przemocy ujawnione mym oczom przez rozstępujące się białe opary i szedłem dalej, ale po przejściu dwóch lub trzech kroków zatrzymywałem się znowu, porażony kolejną, jeszcze bardziej makabryczną sceną.

Wreszcie wstrząśnięty, zbulwersowany i przepełniony gniewem, który trawił mnie niczym gorączka, wszedłem po wielkich schodach na pokład kotłowy. W salonie... napotkałem jeszcze więcej tego samego. Trupy i fragmenty ciał. Przelano tyle krwi, że nawet wtedy dywan był wciąż wilgotny od posoki. Wszędzie napotykałem na ślady walki. Mnóstwo lusterek zostało stłuczonych, drzwi do trzech lub czterech kajut wyłamano, powywracano stoły. Na jednym z nienaruszonych stołów na srebrnej tacy leżała oderwana ludzka głowa. Nigdy jeszcze nie spotkałem się z grozą bardziej porażającą niż wtedy, gdy przemierzałem wielki salon, trzysta stóp nie kończącego się koszmaru. W ciemnościach i we mgle nic się nie poruszało. Nic żywego. Kręciłem się niespokojnie w tę i z powrotem, nie wiedząc, co mam dalej robić. Przystanąłem przed chłodziarką na wodę, tą wielką ozdobną chłodziarką, którą postawiłeś w dziobowej części salonu. Miałem sucho w gardle. Sięgnąłem po jeden ze

srebrnych pucharów i przekręciłem zawór. Woda... popłynęła bardzo wolno, Abnerze. Przerażliwie wolno. Nawet mimo ciemności, jakie panowały w salonie, zauważyłem, że była czarna i kleista. Na wpół... skrzepnięta.

Stałem z pucharem w rękę, rozglądając się niepewnie dokoła, a w nozdrza uderzyła mnie woń... ta woń, nie wspomniałem jeszcze o fetorze, smród był potworny... jak zapewne jesteś sobie w stanie wyobrazić. Stałem pośród całej tej jatki, patrząc na gęsty strumyk lejący się powoli z chłodziarki. Miałem wrażenie, że się duszę. Byłem przerażony, byłem wściekły... i poczułem, jak to we mnie narasta. Cisnąłem puchar na drugi koniec sali i wrzasnąłem na całe gardło.

A potem rozbrzmiały te odgłosy. Szepty, stuki, błagania, płacz, szloch, groźby. Głosy, Abnerze. Głosy żywych ludzi. Rozejrzałem się dokoła i poczułem jeszcze większą odrazę i jeszcze silniejszy gniew. Drzwi co najmniej sześciu kajut zabito gwoździami, czyniąc ich mieszkańców więźniami. Wiedziałem, że ich godzina nadejdzie jeszcze tej lub może następnej nocy. Stanowili zapas pożywienia dla Juliana. Zacząłem dygotać. Podeszedłem do najbliższych drzwi i zacząłem odrywać poprzybijane w poprzek nich deski. Towarzyszyło temu głośnie skrzypienie, jak gdyby agonalny jęk. Wciąż jeszcze mocowałem się z drzwiami, kiedy doszedł mnie jego głos: „Mój drogi Joshua, przestań natychmiast. Musisz przestać. Drogi, zbłąkany Joshua, musisz do nas powrócić”.

Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem ich. Julian uśmiechał się do mnie, Zgorzkniały Billy stał obok niego, a inni, wszyscy inni, nawet moi ludzie, Simon, Smith i Brown, wszyscy, którzy pozostali... obserwowali mnie. Wrzasnąłem na nich, to był dziki, nieartykułowany okrzyk. Byli moimi ludźmi, a jednak zrobili coś takiego. Przepęłniła mnie tak głęboka odraza...

Później, wiele dni później usłyszałem całą historię i poznałem głębię szaleństwa Juliana. W pewnym sensie to wszystko było moją winą. Ocaliłem życie tobie, Toby'emu i panu Frammowi, lecz podpisałem tym samym wyrok śmierci dla ponad setki niewinnych pasażerów. Abner Marsh parsknął.

– Nie obwiniaj się o to – powiedział. – To, co się stało, było

dziełem Juliana i to on zna prawdziwą odpowiedź na pytanie, dlaczego do tego doszło. Ciebie tam nie było, nie możesz więc ponosić za to odpowiedzialności, słyszysz?

W szarych oczach Joshuy malowało się zakłopotanie.

– Powtarzałem to sobie po wielokroć – stwierdził. – Pozwól, że dokończę moją opowieść. Oto, co się stało... Owej nocy Julian obudził się i odkrył nasze zniknięcie. Wpadł w furję. Ogarnęło go szaleństwo. A nawet gorzej... te słowa nie są w stanie oddać głębi jego wściekłości. Może po tylu stuleciach obudziło się w nim w końcu czerwone pragnienie. Co więcej, musiał zdawać sobie sprawę, że jest bliski porażki. Jego piloci zniknęli. Bez pilota parowiec nie może poruszać się po rzece. Zapewne zdawał sobie sprawę, że zamierzasz powrócić, zaatakować za dnia i unicestwić go. Nie domyślał się, że zamiast tego wrócę ja, aby ich ocalić. Bez wątplenia moja zdrada i ucieczka Valerie przepelniły go trwogą, uświadomiły mu, że jego przyszłość jest, delikatnie mówiąc, niepewna. Utracił nad sobą panowanie. Był mistrzem krwi, a jednak wystąpiliśmy przeciwko niemu. W całej historii ludu nocy takie zdarzenie nie miało dotąd precedensu. Sądzę, że owej strasznej nocy Damon Julian poczuł przez chwilę dotknięcie śmierci, której tak pożądał i której tak bardzo się lękał.

Później dowiedziałem się, że Zgorzkniały Billy namawiał ich, aby dobili do brzegu, rozdzielili się, wyruszyli łądem oddzielnie i spotkali się ponownie w Natchez, w Nowym Orleanie albo jakimś innym, równie dużym mieście. To byłoby całkiem rozsądne posunięcie. Julian jednak nie myślał wtedy rozsądnie. Wszedł do głównej sali z oczyma pałającymi szaleństwem, kiedy jakiś pasażer podszedł doń, skarżąc się, że parowiec ma spore opóźnienie, a przecież przez cały dzień na statku nic się nie dzieje. „Ach tak – rzekł Julian – wobec tego niech zacznie się coś dziać”. I skierował statek na środek rzeki, aby nikt z pasażerów nie mógł dotrzeć do brzegu. Następnie wrócił do głównego salonu, gdzie pasażerowie jedli właśnie kolację, podszedł do mężczyzny, który mu się poskarżył, i zabił go przy wszystkich.

A potem zaczęła się rzeź. Naturalnie ludzie krzyczeli, uciekali, chowali się, zamykali w swoich kajutach. Nie mieli jednak dokąd

uciec. W dodatku Julian wykorzystał swoją moc zawartą w głosie i we wzroku i nakazał swoim ludziom mordować. O ile wiem, na pokładzie „Fevre Dream” znajdowało się tamtej nocy prawie stu trzydziestu pasażerów. Mieli oni przeciwko sobie dwudziestkę ludzi nocy kierowanych bądź to przez pragnienie, bądź przez Juliana. W takich chwilach jednak pragnienie bywa przerażające. Przenosi się jak zaraza od jednej osoby do drugiej, aż w końcu gorączka trawi wszystkich bez wyjątku. W walce brali też udział najemni zbóje zabrani przez Billy’ego z Natchez-un-der-the-hill. Billy wyjaśnił im, że wszystko to było częścią planu, którego celem było ograbienie i wymordowanie pasażerów, oni zaś zostaną uwzględnieni przy podziale łupów. Zanim moi ludzie zwrócili się przeciwko swym ludzkim pomocnikom, było już za późno. Wszystko to działo się, kiedy ty i ja rozmawialiśmy tamtej ostatniej nocy, Abnerze. Krzyki, rzeź, dziki spazm śmierci Juliana. Nie wszystko poszło po jego myśli. Pasażerowie podjęli walkę. Powiedziano mi, że właściwie wszyscy moi ludzie odnieśli rany, choć obrażenia te naturalnie się zagoiły. Vincent Thibault otrzymał postrzał w oko i zginął. Katherine została pochwycona przez dwóch palaczy i ciśnięta w czeluść jednego z pieców. Spalili ją, zanim Kurt i Alain zdążyli przyjść jej z pomocą. Tak oto poniosło śmierć dwoje moich ludzi. Dwoje naszych i ponad setka twoich. Tych, co ocaleli, uwięziono w ich kajutach.

Gdy rzeź dobiegła końca, Julian zaczął wyczekiwać. Inni, przepełnieni trwogą, chcieli uciekać, ale Julian nie zezwolił na to. Chyba chciał, by go zdemaskowano. Podobno wspominał o tobie, Abnerze.

– O mnie? – spytał Marsh kompletnie zaskoczony.

– Stwierdził, że obiecał ci, iż na rzece nikt nigdy nie zapomni twojego „Fevre Dream”. Roześmiał się i powiedział, że osobiście tego dopilnował.

W Abnerze zaczął wzbierać gniew, który znalazł ujście w głośnym parsknięciu.

– Niech go piekło pochłonie! – rzekł dziwnie przygaszonym tonem.

– I tak to się stało – ciągnął Joshua York. – Ja wszelako po

powrocie na „Fevre Dream” nie znałem szczegółów owej nocy. Wiedziałem jedynie to, co ujrzałem na własne oczy, to, co poczułem, czego mogłem się domyślić i co sobie wyobraziłem. Byłem jak dziki zwierz, Abnerze. Jak dziki zwierz. Wspomniałem już, że zacząłem zrywać deski i nagle usłyszałem głos Juliana, a wówczas zawyłem przeciągle, to był przeraźliwy, nieartykułowany krzyk. Pragnąłem zemsty. Chciałem go zabić, jak nigdy nikogo przed nim, chciałem rozszarpać jego białą szyję i posmakować jego plugawej krwi! Mój gniew... ach, słowa są takie bezużyteczne!

Julian zaczekał, aż przestanę krzyczeć, a potem rzekł półgłosem: „Zostały jeszcze dwie deski, Joshua. Wyrwij je i wypuść go, musisz być bardzo spragniony”. Zgorzkniały Billy zachichotał. Ja natomiast milczałem. „No dalej, mój drogi Joshua” – rzekł Julian. „Dzisiejszej nocy naprawdę do nas dołączysz, abyś już nigdy więcej nie próbował uciec. Dalej, Joshua. Uwolnij go i zabij”. Odnalazł moje spojrzenie. Poczułem jego moc wciągającą mnie w głąb niego, usiłującą mną owładnąć, abym był posłuszny jego woli. Gdybym znów posmakował krwi, byłbym jego, duszą i ciałem, na zawsze. Pokonał mnie wielokrotnie, zmusił, bym przed nim klękał, abym otwierał sobie dla niego żyły, pił moją krew. Nie zdołał jednak zmusić mnie, abym zabił. To była ostatnia ostoja tego, czym byłem i w co wierzyłem, a także czego próbowałem dokonać, teraz zaś jego wzrok przelamywał ten mur, za nim była tylko śmierć, krew i zgroza, a także puste noce bez końca, które wkrótce miały stać się moim życiem.

Wtem Joshua zamilkł i odwrócił wzrok. W jego oczach było coś niewyraźnego i chmurnego. Abner Marsh ku swemu zdumieniu stwierdził, że dłoń Joshua silnie drży.

– Joshua – powiedział. – Cokolwiek się wydarzyło, stało się to trzynaście lat temu. Było, minęło, to przeszłość, tak jak ci ludzie, których zabiłeś w Anglii czy gdzie indziej. Poza tym nie miałeś wyboru. Sam mówiłeś, że gdy ktoś nie ma wyboru, trudno poddawać jego czyny ocenom moralnym.

York popatrzył mu w oczy i lekko się uśmiechnął. To był dziwny uśmiech.

– Abnerze, ja nie zabiłem tego człowieka.

– Nie? Co zatem...?

– Stawiłem opór Julianowi – odrzekł Joshua. – Byłem wściekły, Abnerze. Spojrzałem mu w oczy i rzuciłem mu wyzwanie. Stawiłem mu opór. Stoczyłem z nim walkę. I tym razem zwyciężyłem. Staliśmy tak dobre dziesięć minut, aż w końcu Julian odwrócił wzrok, warknął i udał się po schodach na piętro, do swojej kajuty.

Zgorzkniały Billy popędził za nim. Reszta moich ludzi patrzyła na mnie zdezorientowana. Raymond Ortega postąpił naprzód i rzucił mi wyzwanie. Po niespełna minucie klęczał przede mną. „Mistrzu krwi” – rzekł, pochylając głowę. Potem jeden po drugim ukłękli przede mną pozostali. Armand i Cara, Cynthia, Jorge, Michel de Coeur, a nawet Kurt, wszyscy bez wyjątku. Na twarzy Simona malował się wyraz triumfu. U innych zresztą też. Dla kilkorga z nich rządy Juliana okazały się prawdziwą tyranią. A teraz byli wolni. Pokonałem Damona Juliana, pomimo całej jego siły i wieku. Znów byłem przywódcą mego ludu. Wtedy właśnie uświadomiłem sobie, że oto stanąłem przed poważnym wyborem. Jeśli nic nie zrobię, i to szybko, „Fevre Dream” zostanie odkryty i ja sam, Julian i cała nasza rasa umrzemy.

– Co zrobiłeś?

– Odnalazłem Zgorzkniałego Billy’ego. Bądź co bądź był na statku matem. Zastałem go pod drzwiami kajuty Juliana, zakłopotanego, zdezorientowanego i zagubionego. Zleciłem mu pieczę nad pokładem głównym i nakazałem innym, aby wykonywali jego polecenia.

Zabrali się do pracy. Przejęli funkcje palaczy i mechaników.

Podczas gdy Billy umierał z przerażenia, wydawał kolejne rozkazy, oni rozpalali pod kotłami i podsycali ciśnienie pary. Paliliśmy w piecach drewnem, łojem i trupami. Wiem, to upiorne, ale musieliśmy pozbyć się ciał i nie mogliśmy zarządzić postoju przy którymś ze składów, ryzyko było zbyt wielkie. Poszedłem do pilotówki i stanąłem za sterem.

Tam, na górze, nikt przynajmniej nie umarł. Statek szedł z wygaszonymi światłami, toteż nikt nie mógłby nas zobaczyć, nawet gdyby udało mu się przeniknąć wzrokiem opary mgieł. Niekiedy trzeba było sondować dno i pokonywać niektóre odcinki bardzo

powoli, kiedy indziej znów, gdy mgła opadała, mknęliśmy w dół rzeki w takim tempie, że mógłbyś być z nas dumny, Abnerze!

W mroku minęliśmy kilka parowców, powitałem je dźwiękami syreny, one zaś odpowiedziały tym samym, żaden jednak nie zbliżył się na tyle, by móc odczytać nazwę naszej jednostki. Tej nocy na rzece było pusto, ruch wstrzymano ze względu na mgłę. Byłem pilotem-ryzykantem, ale alternatywę stanowiło dla nas zdemaskowanie i pewna śmierć.

Z nadejściem świtu wciąż byliśmy na rzece. Nie mogłem im pozwolić na przerwanie pracy. Billy rozciągnął wokół głównego pokładu brezentowe płachty dla ochrony przed słońcem. Ja pozostałem w pilotówce. Przed zmierzchem minęliśmy Nowy Orlean, popłynęliśmy dalej w dół rzeki i skręciliśmy w zalewisko. Było wąskie i płytkie, ta część naszej podróży okazała się najtrudniejsza. Musieliśmy sondować każdy cal dna przed nami. W końcu jednak dotarliśmy na starą plantację Juliana. Dopiero wtedy schroniłem się w swojej kajucie. Doznałem silnych poparzeń. Znowu. – Uśmiechnął się smętnie. – Chyba weszło mi to w nawyk – stwierdził. – Następnej nocy rozejrzałem się po posiadłości Juliana. Przycumowaliśmy statek do na wpół zbutwiełego nabrzeża na zalewisku, ale zanadto rzucał się w oczy. Gdybyś jakimś trafem zawitał do Cypress Landing, odnalazłbyś go z łatwością. Mierziła mnie myśl o zniszczeniu go, gdyż mogliśmy go kiedyś jeszcze potrzebować, bądź co bądź dawał nam możliwość przemieszczania się, ale wiedziałem, że trzeba go gdzieś ukryć.

Wreszcie wpadłem na pomysł. Niegdyś była to plantacja indygo. Ponad pięćdziesiąt lat temu właściciele przerwali się jednak na bardziej lukratywną trzcinę cukrową, a Julian rzecz jasna nie uprawiał niczego, aczkolwiek na południe od głównego budynku natknąłem się na stare zbiorniki na indygo, przy kanale spławnym ciągnącym się od zalewiska. Kanał był na tyle szeroki, że „Fevre Dream” z ledwością się w nim mieścił, nie był jednak dostatecznie głęboki.

Postanowiłem go zatem pogłębić. Rozładowaliśmy statek i zaczęliśmy wycinać krzewy, karczować drzewa i pogłębiać kanał. Zajęło nam to miesiąc. Miesiąc ciężkiej pracy, Abnerze, noc w noc.

Potem wyprowadziłem statek na zalewisko i skierowałem go w głąb kanału, nie było to łatwe, ale jednak jakoś się precyzyjnie. Gdy go zatrzymałem, szorował dnem o ziemię, ale był całkiem niewidoczny, otoczony ze wszystkich stron gęstym listowiem. W następnych tygodniach zablokowaliśmy wylot kanału przy zalewisku, używając piasku i mułu, który jeszcze niedawno z takim mozołem wydobywaliśmy, pogłębiając przejście.

W przeciagu miesiąca z okładem „Fevre Dream” spoczął na wilgotnym, błotnistym gruncie, otoczony dębami i cyprysami i nikt nigdy nie domyśliłby się, że w pobliżu znajdował się stary kanał.

Abner Marsh westchnął ze smutkiem.

– To nie jest dobry koniec dla parowca – rzekł z rozgoryczeniem.
– Zwłaszcza dla takiego jak nasz. Zasłużył na coś lepszego.

– Wiem – odparł Joshua – ale musiałem myśleć przede wszystkim o bezpieczeństwie mego ludu. Dokonałem wyboru, Abnerze, a gdy to uczyniłem, poczułem zadowolenie i triumf. Wiedziałem, że nikt nas już nie znajdzie. Większość ciał została spalona lub pogrzebana. Juliana prawie nie widziałem od tamtej nocy, kiedy stawiałem mu czoło i zwyciężyłem. Rzadko opuszczał swoją kajutę, wychodził tylko, aby się posilić. Rozmawiał z nim jedynie Zgorzkniały Billy. Ten człowiek był zastraszony i posłuszny, wszyscy inni zaś” podporządkowali się mnie i pili wraz ze mną. Rozkazałem Billy’emu wynieść cały zapas mojego trunku z kajuty Juliana i umieścić go za kontuarem w głównym salonie. Sączyliśmy mój napitek każdego wieczoru przy kolacji. Pozostał już tylko jeden poważny problem, a po uporaniu się z nim mogłem zająć się zważaniami nad przyszłością mojej rasy – nasi więźniowie, pasażerowie, którzy przeżyli ową koszmarną noc. Trzymaliśmy ich w zamknięciu przez cały ten czas, ucieczkę i okres prac przy pogłębianiu kanału, ale żaden z nich nie ucierpiał. Dopilnowałem, aby mieli co jeść i byli dobrze traktowani. Próbowalem nawet z nimi rozmawiać, przemówić im do rozsądku, lecz moje wysiłki spełzły na niczym, gdy tylko wchodziłem do ich kajut, z przerażenia dostawali ataku hysterii. Nie miałem ochoty przetrzymywać ich w nieskończoność pod kluczem, ale przecież byli świadkami całego tego zdarzenia i nie mogłem puścić ich wolno.

Problem rozwiązał się sam, bez mojego udziału. Którejś ciemnej nocy Damon Julian opuści swoją kajutę. Nadal mieszkał na statku, podobnie jak kilkoro innych, tych, którzy byli z nim najsilniej związani. Byłem tej nocy na brzegu wraz z tuzinem innych, pracowaliśmy w głównym budynku, który Julian przez swą nieroztropność doprowadził do ruiny. Gdy wróciłem na „Fevre Dream”, stwierdziłem, że dwóch więźniów zostało wyprowadzonych z ich kajut i zamordowanych. Raymond, Kurt i Adrienne siedzieli w wielkim salonie nad ciałami, posilając się, nad całością zaś sprawował pieczę Julian. Abner Marsh parsknął.

– Niech to szlag, Joshua, trzeba go było zabić, kiedy miałeś po temu okazję.

– To prawda – przyznał Joshua York, zaskakując tym Marsha. – Sądziłem, że mogę nad nim zapanować. Popełniłem poważny błąd. Oczywiście tej nocy, gdy to się stało, próbowałem naprawić swoją omyłkę. Byłem wściekły i pełen obrzydzenia. Wymieniliśmy szereg gorzkich słów, a ja postanowiłem, że to będzie ostatnia zbrodnia, jaką popełnił w swym długim i potwornym życiu. Rozkazałem, by spojrział mi w oczy. Zamierzałem zmusić go, by ukląkł i otworzył dla mnie żyły, by powtarzał tę czynność tyle razy, ile to będzie konieczne, dopóki nim nie owładnę, nie złamię i odsączywszy z krwi, nie uczynię go nieszkodliwym. On wstał i spojrział mi w oczy i... – York wybuchnął krótkim, nerwowym śmiechem.

– Pokonał cię? – zapytał Marsh.

Joshua skinął głową.

– Z łatwością. Jak za każdym razem, nie licząc tego jednego. Usiłowałem wykrzesać z siebie wszystkie siły, całą swoją wolę i wściekłość, a jednak nie mogłem się z nim równać. Chyba nawet sam Julian nie spodziewał się tego. – Pokręcił głową. – Joshua York, król wampirów. Znowu ich zawiodłem. Moje rządy trwały nieco ponad dwa miesiące. Przez ostatnie trzynaście lat Julian był naszym mistrzem.

– A wasi więźniowie? – zapytał Marsh. Znał odpowiedź, choć hudył się, że może mimo wszystko się myli.

– Nie żyją. Pozabijali ich, jednego po drugim, w ciągu paru kolejnych miesięcy.

Marsh skrzywił się.

– Trzyście lat to szmat czasu. Dlaczego nie uciekłeś? Na pewno miałeś niejedną okazję.

– Mnóstwo – przyznał Joshua. – Podejrzewam, że moje zniknięcie byłoby nawet Julianowi na rękę. Od tysiąca lat, a może nawet dłużej, był mistrzem krwi, najsilniejszym i najbardziej przerażającym drapieżcą, jaki kiedykolwiek stapał po ziemi, a ja na dwa miesiące uczyniłem zeń niewolnika. Nie było to co prawda nic wielkiego, ot krótkie, gorzkie zwycięstwo, ale ani ja, ani on nie mogliśmy o tym zapomnieć. Przez kolejne lata stale ze sobą walczyliśmy i za każdym razem, kiedy Julian wykorzystywał całą swoją moc, dostrzegałem w nim objaw powątpiewania, strach, że być może tym razem znów zostanie pokonany. Ale to się już nie powtórzyło. Zostałem z nim. Dokąd miałbym pójść? Co mogłem zrobić dobrego? Moje miejsce było wśród mego ludu. Przez cały ten czas nie traciłem nadziei, że któregoś dnia wyrwę ich z jego mocy. Mimo iż zostałem pokonany, czułem, że moja obecność jest dla Juliana solą w oku. To zawsze ja inicjowałem kolejne wyzwania, on nigdy się na to nie zdobył. Nigdy nie próbował zmusić mnie, abym zabił. Kiedy zapas mego trunku znacznie się uszczuplił, rozstawiałem swój sprzęt i uzupełniałem go, a Julian nie próbował mi w tym przeszkodzić. Pozwolił nawet innym, aby do mnie dołączyli. Simonowi, Cynthii, Michelowi i jeszcze paru. Wypiliśmy i uciszyliśmy pragnienie.

Julian wciąż przesiadywał w swojej kajucie. Można by rzec, że zapadł w letarg. Bywało, że przez wiele tygodni widywał go jedynie Zgorzkniały Billy. Tak minęło parę lat, Julian zatracił się w swoich snach, choć jego obecność wciąż była dla nas wszystkich silnie wyczuwalna. On sam, rzecz jasna, nadal pił krew. Co najmniej raz w miesiącu Zgorzkniały Billy jeździł do Nowego Orleanu i wracał z ofiarą. Przed wojną były to głównie niewolnice. Później zaś tancerki, prostytutki, pijacy, szumowiny, wszyscy, których zdołał do nas zwabić. Wojna była trudnym okresem. Podczas wojny Julian nieco się ożywił i kilka razy zawitał nawet do miasta. Później wysyłał tam innych. Wojna zwykle ułatwiała mojemu ludowi zdobywanie ofiar, niosła jednak ze sobą liczne zagrożenia. Ta wojna

także nie obyła się bez ofiar z naszej strony. Pewnej nocy w Nowym Orleanie Carę zaatakował żołnierz Unii. Naturalnie zabiła go, ale żołnierz miał kolegów... Ona zginęła pierwsza. Philippe'a i Alaina aresztowano pod jakimś zarzutem i uwięziono. Zamknięto ich za otwartym ostrokołem, gdzie mieli oczekiwać na przesłuchanie. Gdy wzeszło słońce, obaj zginęli. Którejś nocy żołnierze podpalili dom na plantacji. Budynek był w ruinie, ale bynajmniej nie opustoszały. W pożodze zginął Armand, a Jorge i Michel doznali okropnych poparzeń, z których jednak się z czasem wylizali. Reszta z nas rozpierzchła się, a gdy maruderzy odeszli, wróciła na „Fevre Dream”. Od tej pory statek stał się naszym domem.

Minęły lata, a między mną i Julianem trwało niepewne zawieszenie broni. Niewielu nas zostało, niespełna tuzin, i w dodatku jesteście podzieleni. Moi zwolennicy mają mój trunek, a ci od Juliana piją krew. Simon, Cynthia i Michel należą do mnie, pozostali zaś do niego, jedni dlatego, że myślą podobnie jak on, dla innych jest po prostu mistrzem krwi. Kurt i Raymond są jego najpotężniejszymi sojusznikami. A także Billy. – Jego oblicze sposepniało. – Abnerze, Billy to kanibal. Od trzynastu lat, jak twierdzi, Julian przeistacza go w jednego z nas. Choć upłynęło już tyle czasu, krew wciąż wywołuje u Billy'ego mdłości. Widziałem go wiele razy wymiotującego. Mimo to od jakiegoś czasu ze smakiem zajada się ludzkim mięsem, choć przed zjedzeniem odpowiednio je przyrządza. Julian uważa, że to zabawne.

– Powinieneś być pozwolić, abym go zabił.

– Może. Choć gdyby nie Billy, zginęlibyśmy wszyscy tamtego dnia na parowcu. Ma bystry umysł, choć spaczony przez Juliana, spaczony jak umysły wszystkich, którzy go słuchają. Gdyby nie Billy, styl życia Juliana, runąłby w okamgnieniu. To Billy jeździ do miasta i przyprowadza Julianowi kolejne nieszczęsne ofiary. To Billy wyprzedaje srebra ze statku albo kolejne parcele gruntu, aby stale mieć pod ręką pewną ilość gotówki. I poniekąd to dzięki Billy'emu ty i ja znowu się spotkaliśmy.

– Domyślałem się, że dojdiesz do tego prędzej czy później – rzekł Marsh. – Spędziłeś z Julianem sporo czasu, nie uciekałeś ani nic nie robiłeś. I nagle trafiasz tutaj, ścigają cię Julian i Zgorzkniały

Billy, a ty jak gdyby nigdy nic wysyłasz do mnie list. Dlaczego właśnie teraz? Co się zmieniło?

Joshua zacisnął dłonie na podłokietniku fotela.

– Zawieszenie broni, o którym wspomniałem, zostało zerwane – odrzekł. – Julian się obudził.

– Jak to?

– Billy – rzekł Joshua. – To on jest naszym łącznikiem ze światem zewnętrznym. Gdy udaje się do Nowego Orleanu, często przywozi dla mnie gazety i książki, oprócz jedzenia, wina i, rzecz jasna, nowych ofiar. Billy interesuje się także nowinkami i plotkami, opowieściami krążącymi w mieście i wzdłuż rzeki.

– No i? – zapytał Abner Marsh.

– Ostatnio większość rozmów zdominował jeden temat. Piszą także o tym sporo w gazetach. To temat drogi twemu sercu, Abnerze. Parowce. Ścisłej mówiąc, dwa z nich. Abner Marsh zmarszczył czoło.

– „Natchez” i „Dziki Bob Lee” – stwierdził.

Nie pojmował, do czego zmierza Joshua.

– Właśnie – potwierdził York. – Z tego, co wyczytałem w gazetach i co mówił mi Billy, jasno wynika, że wyścig jest nieunikniony.

– Racja – zagrział Marsh. – I to już niedługo. Leathers wciąż się przechwala i podobno podebrał wielu klientów „Bobowi”. Kapitan Cannon nie pozwoli, aby ten stan trwał długo. Zapowiada się nie lada wyścig. – Pociągnął się za brodę. – Tyle tylko, że nie pojmuję, co to ma wspólnego z Julianem, Billym i twoimi przekłętymi ludźmi nocy.

Joshua York uśmiechnął się.

– Billy za dużo gadał. Wzbudził zainteresowanie Juliana. A on pamięta, Abnerze, nie zapomniał o złożonej tobie obietnicy. Raz go powstrzymałem. Ale, niech go piekło pochłonie, on zamierza Zrobić to ponownie.

– Co takiego?

– Powtórzy masakrę, jaka wydarzyła się na „Fevre Dream” – odparł Joshua. – Abnerze, rywalizacja pomiędzy „Natchezem” i „Robertem E. Lee” wzbudziła zainteresowanie w całym kraju.

W gazetach napisano, że nawet w Europie ludzie fascynują się tym wyścigiem. Jeśli odbędzie się na trasie Nowy Orlean – St. Louis, potrwa trzy lub cztery dni. I trzy lub cztery noce, Abnerze. Trzy lub cztery noce.

Nagle Abner Marsh zrozumiał, do czego zmierzał Joshua, i zrobiło mu się zimno. Nigdy jeszcze nie doświadczył podobnego uczucia.

– „Fevre Dream” – powiedział.

– Znów chcą go zwodować – odrzekł York. – Oczyszczają zasypany kanał. Zgorzkniały Billy gromadzi fundusze. Pod koniec miesiąca zjawi się w mieście, aby nająć nową załogę, która obsadzi statek, gdy nadejdzie czas. Julian uważa, że to bardzo zabawne. Zamierza popłynąć do Nowego Orleanu i poczekać w porcie aż do dnia wyścigu. Pozwoli, aby „Natchez” i „Robert E. Lee” wypłynęły pierwsze, a potem ruszy za nimi. Gdy zapadnie zmrok, doścignie prowadzącą jednostkę, zbliży się do niej i... sam wiesz, co zamierza. Na obu parowcach nie będzie licznej załogi ani pasażerów, którzy mogliby je spowalniać. Dla Juliana to będzie błahostka. I zmusi nas, byśmy wszyscy wzięli w tym udział. Jestem jego pilotem. – Zaśmiał się gorzko. – A raczej byłem. Gdy dowiedziałem się, co planuje w swoim szaleństwie, rzuciłem mu wyzwanie, ale znów przegrałem. Następnego dnia o świcie ukradłem Billy’emu konia i uciekłem. Pomyślałem sobie, że moja ucieczka pokrzyżuje Julianowi szyki. Bez pilota nie zdoła wypłynąć na rzekę. Zanim jednak doszedłem do siebie po doznanych poparzeniach, zrozumiałem, że się przeliczyłem. Billy po prostu wynajmie pilota.

Abner Marsh poczuł nieprzyjemny ucisk w dołku. Jakąś jego część przepelniała odraza i wściekłość na Juliana, zamierzającego uczynić z „Fevre Dream” nowego upiora nocy, demoniczny statek, o którym ludzie przez lata będą mówić z trwogą. Z drugiej zaś strony zuchwałość tego planu zafrapowała go. Oczywiście duszy widział, jak „Fevre Dream” pokonuje ich obu, Cannona i Leathersa, pokazując, na co naprawdę go stać.

– Pilota, akurat – rzucił Marsh. – Te dwa parowce to najszybsze jednostki na tej przeklętej rzece. Jeśli puści je przodem, nie zdoła ich już doścignąć ani nikogo nie zabije.

Jednak Marsh nie wypowiedział tych słów z pełnym przekonaniem.

– Julian uważa, że to doda całemu wyścigowi pikanterii – odparł Joshua York. – Jeśli zdołają mu umknąć, przeżyją. Jeżeli nie... – Pokręcił głową. – Poza tym mówi, że wierzy w twój parowiec. Chce uczynić go sławnym. Później oba statki zostaną zniszczone, a Julian planuje, że zejdziemy na brzeg i uciekniemy na wschód, do Filadelfii albo może do Nowego Jorku. Powiada, że ma już dość rzeki. Moim zdaniem to tylko puste słowa. Julian jest zmęczony życiem. Jeżeli zrealizuje swój plan, będzie to oznaczało koniec mojej rasy.

Abner Marsh poderwał się z łóżka i w przypiływie wściekłości stuknął swoją laską w podłogę.

– Niech to wszyscy diabli! – ryknął. – On ich dopadnie, wiem o tym, gdyby miał możliwość, dogoniłby nawet samego „Eclipse”, przysięgam. Bez trudu prześcignie zarówno „Natcheza”, jak i „Roberta E. Lee”. Do kroćset, żaden z nich nie mógłby się równać z „Eclipse”! Niech to cholera! Joshua, nie pozwolę, aby on zrobił coś takiego z moim statkiem. Nie dopuszczę do tego! Jak mi Bóg miły!

Joshua York uśmiechnął się ponuro, a gdy Abner Marsh spojrział mu w oczy, dostrzegł w nich tę samą determinację, którą widział już wcześniej podczas spotkania w Posesji Plantatora. A także lodowaty gniew, jak wówczas, gdy za dnia wdarł się do kajuty Yorka.

– Nie – powiedział York. – Nie dojdzie do tego. Właśnie dlatego do ciebie napisałem, modląc się, abyś wciąż cieszył się dobrym zdrowiem. Sporo o tym myślałem. Podjąłem decyzję. Zabijemy ich. Nie ma innej możliwości.

– Do kroćset! – rzekł Marsh. – Długo trwało, zanim to pojąłeś. Mogłem powiedzieć ci to samo trzynaście lat temu. Cóż mam rzec, pomogę ci. Tylko... – wycelował laskę w pierś Yorka – pamiętaj, że statek ma wyjść z tej kabały bez szwanku. W planie Juliana nie podoba mi się jedynie to, że chce wszystkich pozabijać. Reszta jak najbardziej mi odpowiada. – Uśmiechnął się. – Cannona i Leathersa czeka nie lada niespodzianka. Nie uwierzą własnym oczom.

Joshua podniósł się z uśmiechem.

– Abnerze, obiecuję, że uczynimy, co w naszej mocy, aby „Fevre Dream” pozostał nietknięty. Pamiętaj, by odpowiednio przestrzec

swoich ludzi.

Marsh zdumiał się.

– Jakich ludzi?

Z twarzy Joshuy znikł uśmiech.

– Twoją załogę – odparł. – Sądziłem, że przyplynałeś tu na jednym ze swych parowców wraz z całą załogą.

Marsh przypomniał sobie nagle, że Joshua wysłał list na adres jego firmy przewozowej w St. Louis.

– Do licha – mruknął. – Joshua, nie mam już ani swoich statków, ani tym bardziej ludzi. To prawda, przyplynałem do Nowego Orleanu parowcem. Jako pasażer.

– A Karl Framm? – rzekł Joshua. – Toby? I inni, którzy byli z tobą na „Elim Reynoldsie”...?

– Nie żyją albo odeszli. Wszyscy bez wyjątku. Ja też omal nie wyzionąłem ducha.

Joshua zmarszczył brwi.

– Sądziłem, że zaatakujemy ich za dnia, sporą grupą. To zmienia postać rzeczy, Abnerze.

Abner Marsh spochmurniał jak gradowa chmura, która lada moment uwolni swoje brzemię.

– Akurat – rzucił z emfazą. – Jak dla mnie to nie zmienia niczego. Może ty wykoncypowałeś sobie, że wędziemy się tam z całą armią, ale ja mam w tej kwestii inne zdanie. Jestem stary, prawdopodobnie niedługo umrę i Damon Julian już mnie nie przeraża. Zbyt długo panoszył się po moim statku, nie podoba mi się to, co z nim wyprawiał, i zamierzam odzyskać swoją własność, choćbym miał to przyplacić życiem. Napisałeś mi, że podjąłeś decyzję. Skoro tak, to powiedz jasno tu i teraz: idziesz ze mną czy nie?

Joshua York słuchał w milczeniu gniewnego wybuchu Marsha i z wolna jego blade oblicze rozjaśnił nieśmiały, delikatny uśmiech.

– W porządku – odezwał się w końcu. – Zrobimy to sami.

ROZDZIAŁ 32

Plantacja Juliana Luizjana, maj 1870

Opuścili Nowy Orlean w środku nocy, przemierzając mroczne, zapuszczone drogi na kołyszającym, klekocącym wozie zakupionym przez Joshuę Yorka. Ubrany na ciemnobrązowe w płaszczu z kapturem powiewającym za nim na wietrze, Joshua wyglądał równie dobrze jak dawniej, gdy strzelając lejcami, ponaglał konie do szybszego biegu. Abner Marsh spochmurniały siedział obok niego, podskakując i dygocząc, gdy wóz napotykał na drodze kamienie i koleiny, a w dłoniach ścisnął mocno ułożoną na udach dwulufową strzelbę. Kieszenie surduta miał wypchane nabojami.

Gdy tylko opuścili miasto, Joshua zjechał z głównej drogi, a wkrótce zostawili w tyle także drugorzędne szlaki, wybierając jedynie wąskie, mało uczęszczane trakty, o tej porze, w środku nocy, całkiem opustoszałe. Drogi zmieniły się w wąskie, kręte ścieżki biegnące pośród sosen, magnolii, cyprysów, drzew gumowych i dębów. Konary drzew w niektórych miejscach spletały się ponad ich głowami i mogło się wydawać, jakby wjeżdżali w długi czarny tunel. Marsh chwilami nic nie widział, zwłaszcza gdy gałęzie drzew przesłaniały księżyc, Joshua jednak nie zwolnił ani na chwilę.

W ciemnościach widział jak kot.

W końcu po lewej pojawiło się zalewisko i przez dłuższy czas droga ciągnęła się wzdłuż jego brzegu. Białe światło księżyca padało na czarną, nieruchomą powierzchnię wody. Robaczki świętojańskie krążyły leniwie pośród nocy, a Marsh zasłuchał się w gardłowy rechot żab rogatych i napawał się płynącą od wody ciężką, słodkawą wonią, zapachem lilii i porastających brzegi śnieżnobiałych dereni oraz „siwobródków” pod starymi, strzelistymi drzewami. To może być ostatnia noc mego życia, pomyślał Abner Marsh. Dlatego też chłonał ją pełną piersią, napawał się jej zapachami, delektując się ich słodko-kwaśną różnorodnością. Joshua York patrzył przed siebie i wioził ich z hurkotem przez mrok, nieustępliwy i beznamiętny, zatopiony w myślach.

Przed świtem, gdy na wschodzie niebo z wolna zaczęło jaśnieć, a gwiazdy blednąc, minęli stary hiszpański dąb, obecnie uschnięty, z pasmami szarego mchu zwieszającymi się z jego spróchniałych konarów, i wyjechali na szerokie, zarośnięte pole. Marsh dostrzegł w oddali rząd szałasów, czarnych jak zepsute zęby, nieco bliżej zaś osmalone i pozbawione dachu ściany starej plantacji, pozbawione szyb okna zdawały się łypać na nich złowrogo.

Joshua York zatrzymał wóz.

– Dalej pójdziemy pieszo. Wóz zostanie tutaj – powiedział. – Już niedaleko. – Spojrzał ku horyzontowi, gdzie jasność rozprzestrzeniała się, pochłaniając gwiazdy. – O brzasku uderzymy.

Abner Marsh potaknął burkliwie i zsiadł z wozu, mocno ściskając w dłoniach strzelbę.

– Zapowiada się piękny dzień – rzekł do Joshuy. – Może tylko trochę za słoneczny.

York uśmiechnął się i opuścił kapelusz na oczy.

– Tędy – mruknął. – Pamiętaj, jaki mamy plan. Ja sforsuję drzwi i stawię czoło Julianowi. Kiedy cała jego uwaga będzie skupiona na mnie, wejdiesz i strzelisz mu w głowę.

– Do stu piorunów – zaklął Marsh. – Na pewno tego nie zapomnę. Nawet w snach widzę siebie, jak rozwalam mu łeb w drobny mak.

Joshua szedł szybko, stawiając długie kroki; Abner Marsh stapał

ciężko, z trudem za nim nadążając. Marsh zostawił swoją laseczkę w Nowym Orleanie. Dziś rano po raz pierwszy od wielu lat poczuł się znów młody. Powietrze było słodkie, chłodne i pełne rozmaitych zapachów, a on już wkrótce miał odzyskać swoją damę, swój statek, swój „Fevre Dream”.

Minęli plantację. Przeszli obok szałasów niewolników. Przemaszerowali przez sąsiednie pole, gdzie wśród różowych i fioletowych kwiatów indygo pienilo się w najlepsze. Minęli starą wierzbę, której obwisłe gałęzie musnęły twarz Marsha delikatnie niczym kobieca dłoń. Weszli w zagajnik, rosły tu głównie cyprysy, ale dostrzec można też było karłowate palmy, kwitnące trzciny, dereń oraz irysy we wszystkich kolorach tęczy. Ziemia była wilgotna i gdy tak szli, stawała się jeszcze bardziej mokra. Abner Marsh poczuł wilgoć przesączającą się przez podeszwy jego starych butów.

Joshua schylił się, by przejść pod grubym szarym nawisem hiszpańskiego mchu, zwieszającym się z niskiego, poskręcane konara, Marsh idący krok za nim uczynił to samo i wtedy go zobaczył.

Ścisnął mocniej w dłoniach dubeltówkę.

– Piekło i szatani – wysyczał.

Stary kanał znów wypełnił się wodą – stał w nim „Fevre Dream”; poziom wody nie był dostatecznie duży, aby parowiec mógł się na niej swobodnie unosić. Spoczywał na piaszczysto-błotnistej łasze, z dziobem lekko wzniesionym ku górze, przechylony o dziesięć stopni na sterburtę, jego koła łopatkowe były niemal kompletnie suche. Niegdyś statek był biało-srebrno-niebieski. Teraz był prawie całkiem szary, szarością starego, butwiejącego drewna, które zbyt długo było wystawione na działanie słońca i wilgoci i któremu wyraźnie poskąpiono farby. Statek wyglądało tak, jakby Julian i jego przekłete wampiry do cna wyskali zeń życie. Na sterówce Marsh dostrzegł ślady wulgarnego szkarłatu, który nałożyła tam ręka Zgorzkniałego Billy’ego, i litery OZ, wyblakłe i złuszczone jak stare wspomnienia. Reszty nie było i ponownie dało się dostrzec starą, prawdziwą nazwę w miejscach, gdzie świeższa farba odpadła płatami. Bielone relingi i kolumny prezentowały się najgorzej, tu szarość wydawała się najciemniejsza, a gdzieś tam Marsh

dostrzegł splachcie zieleni przywierające do drewna i rozprzestrzeniające się bez przeszkód. Na widok statku cały aż zadygotał. Wilgoć, żar i gnicie, pomyślał, a w dodatku coś mu wpadło do oka. Potarł je gwałtownie. Kominy ze względu na przechył statku wydawały się przekrzywione. Hiszpański mech ozdobił szarymi festonami jedną ścianę pilotówki i zwieszał się z masztu flagowego. Liny, które podtrzymywały podest bakburtowy, pękły dawno temu, a sam podest roztrzaskał się o forkasztel. Wielkie schody, kosztowna, wytworna krzywizna lakierowanego drewna, pokryta była śliską warstwą grzyba. Tu i ówdzie Marsh zauważył dzikie kwiaty wyrastające ze szczelin między deskami pokładu.

– Niech to szlag – zaklął. – Niech to szlag, Joshua, jak, u licha, mogłeś dopuścić, aby doprowadzono go do takiego stanu? Jak, u licha ciężkiego...

I wtedy głos mu się załamał, zdradzając go, i Abner Marsh stwierdził, że nie znajduje w sobie słów mogących wyrazić to, co obecnie odczuwał.

Joshua York delikatnie położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

– Przykro mi, Abnerze. Próbowałem.

– Ach, wiem – warknął Marsh. – To on tak potraktował moją damę, sprawił, że zaczęła gnić i obracać się wniwecz jak wszystko, czego się dotknął. Wiem, czyja to sprawka, wiem to doskonale. Nie wiem natomiast, dlaczego, u diabła, mnie pan okłamał, panie York. Chodzi mi o tę sprawę z „Natchezem” i „Robertem E. Lee”. Ta jednostka nikogo już nie prześcignie ani nawet nigdy więcej nie popłynie. – Jego twarz była czerwona jak burak, zdawał sobie z tego sprawę, mówił coraz bardziej podniesionym głosem. – Niech to wszyscy diabli, on tak już tu zostanie, aby szczeznąć, a ty o tym wiedziałeś! – Nagle przerwał, zdawał sobie sprawę, że jeszcze chwila i zaczęłby krzyczeć, budząc tym samym wszystkie wampiry w okolicy.

– Wiedziałem – przyznał ze smutkiem w oczach Joshua York. – Za nim świeciło wschodzące słońce, podkreślając jego bladeść i sprawiając, że wydawał się słaby. – Ale byłeś mi potrzebny, Abnerze. Nie wszystko było kłamstwem. Julian wymyślił plan, który ci podsunąłem, ale to Billy powiedział mu, w jak kiepskim stanie jest

„Fevre Dream”, i natychmiast się zmitygował. Reszta jest prawdą.

– Jak mam ci wierzyć? – zapytywał w głos Abner Marsh. – Po tym wszystkim, co przeszliśmy, okłamałeś mnie. Niech cię piekło pochłonie, Joshuo York, jesteś moim współnikiem, a jednak posunałeś się do kłamstwa!

– Posłuchaj mnie, Abnerze. Proszę. Pozwól mi wyjaśnić. – Uniósł dłoń do czoła i zamrugał.

– Gadaj – uciął Marsh. – Mów, co masz do powiedzenia. Słucham.

– Potrzebowałem cię. Wiedziałem, że w pojedynkę nie pokonam Juliana. Inni... nawet ci, co są ze mną, nie mogą wystąpić przeciw niemu, on potrafiłby zmusić ich do wszystkiego. Byłeś moją jedyną nadzieją, Abnerze. Ty i ludzie, których, jak sądziłem, ze sobą przyprowadzisz. Cóż za tragiczna ironia. Lud nocy od tysięcy lat zerował na ludziach dnia, a dziś zmuszony jestem zwrócić się do ciebie o pomoc w ocaleniu mojej rasy. Julian nas unicestwi. Być może twoje marzenie przepadło, ale moje wciąż ma szansę się ziścić. Kiedyś pomogłem ci. Gdyby nie ja, nie zbudowałbyś tego statku. Teraz ty pomóż mnie.

– Wystarczyło poprosić – rzekł Marsh. – Mogłeś wyznać mi całą, choćby najgorszą prawdę.

– Nie wiedziałem, czy zechcesz mi dopomóc w ocaleniu mojego ludu. Ale byłem pewien, że przyjdiesz tu dla swego statku.

– Przyszedłbym dla ciebie. Bądź co bądź jesteśmy współnikami, czyż nie? Zgadza się?

Joshua York spojrział na niego z niezmaconą powagą.

– Tak – odrzekł krótko.

Marsh popatrzył na szary, przegniły wrak, który był jego dumą i chlubą, i zauważył, że w jednym z kominów uwił sobie gniazdo jakiś parszywy ptak. Inne, spłoszone, przefruwały z jednego drzewa na drugie z przeraźliwym hałasem, który drażnił mało zazwyczaj wrażliwe uszy Abnera Marsha.

Promienie wschodzącego słońca padły na parowiec jasnożółtymi pręgami, przebijając się pośród drzew; w ich blasku wirowały drobiny kurzu. Ostatnie cienie umykały przed świtem w gąszcz krzewów.

– Czemu akurat teraz, u licha? – zapytał Marsh, ponownie zerkając z wyrzutem na Yorka. – Jeśli w grę nie wchodzi wyścig z „Natchezem” czy „Robertem E. Lee”, to o co właściwie chodzi? Co czyni dzisiejszy dzień innym od pozostałych z okresu ubiegłych trzynastu lat, co cię skłoniło, aby się przełamać i do mnie napisać?

– Cynthia jest brzemienna – odparł Joshua. – Nosi w łonie moje dziecko.

Abner Marsh przypomniał sobie opowieści zasłyszane od Yorka przed laty. Wydawało mu się, że to było tak dawno temu.

– Zabiliście kogoś wspólnie?

– Nie. Po raz pierwszy w naszej historii poczęcie było wolne od czerwonego pragnienia. Cynthia od lat piła mój napój. Zaczęła odczuwać pobudzenie seksualne... i to nawet nie pijąc krwi ani nie poddając się gorączce. Ja także na nie zareagowałem. To było niewiarygodnie silne, Abnerze. Tak silne jak pragnienie, aczkolwiek odmienne, czystsze. Miał śmierci odczuwaliśmy pragnienie życia. Ona umrze, gdy nadejdzie jej czas, chyba że pomogą jej twoi ludzie.

Julian nigdy by na to nie zezwolił. Myślę także o dziecku. Nie chcę, aby zostało splugawione, zepsute, zniewolone przez Damona Juliana. Chcę, aby te narodziny stanowiły dla mojej rasy nowy początek. Musiałem zacząć działać. Musiałem coś zrobić.

Przeklęte wampirze dziecko, pomyślał Marsh. Miał stawić czoło Julianowi dla dziecka, które gdy dorośnie, może stać się takie samo jak Damon. A może nie. Może będzie podobne do Joshuy.

– Skoro chcesz coś z tym zrobić – burknął Marsh – to po co tu stoimy i strzepimy języki po próżnicy? – Skierował strzelbę w stronę wielkiego, zniszczonego parowca.

Joshua York uśmiechnął się.

– Przepraszam, że cię okłamałem – powiedział. – Nie ma drugiego takiego jak ty, Abnerze. Z całego serca dziękuję.

– Nie ma za co – odburknął Marsh. – Nie czas teraz na to. – Wydawał się zakłopotany wylewnością Joshuy. Wyłonił się z cieni drzew, ruszając w stronę „Fevre Dream” i przegniłych, pokrytych fioletowymi plamami zbiorników indygo, majaczących z tyłu, za statkiem.

Gdy zbliżył się do brzegu kanału, jego buty zapadły się

w gęstym bloku. Kiedy uwolnił stopy, dały się słyszeć dwa głośnie obsceniczne młaśnięcia. Marsh ponownie upewnił się, że ma naładowaną strzelbę. Po chwili odnalazł starą, podniszczoną deskę leżącą na płyciźnie, oparł ją o kadłub i wspiął się na główny pokład parowca. Joshua York szybko i bezszelestnie podążył za nim.

Na wprost nich zamajaczyły wielkie schody wiodące w mrok pokładu kotłowego, do zaciemnionych kajut, gdzie spali ich wrogowie, i pełnego ech i szarości salonu. Marsh przystanął na chwilę.

– Chcę obejrzeć mój statek – odezwał się w końcu i omijając schody, pomaszzerował do maszynowni.

W kilku kotłach popękały łączenia. Rdza przeżarła przewody odprowadzania pary. Wielkie silniki były brązowe i płatami odchodziła z nich farba. Marsh stapał ostrożnie, by noga nie zapadła mu się w którąś z przegniłych desek podłogi. Podszedł do pieca. Wewnątrz zalegały wystygłe, stare popioły i coś jeszcze, coś brązowo-żółto-czarnego. Sięgnął do środka i wydobyl kość.

– Kości w piecu – powiedział. – Przegniły pokład. Na podłodze walają się kajdany dla niewolników. Rdza. Piekło i szatani. Piekło i szatani! – Odwrócił się. – Widziałem już dość.

– Przecież ci mówiłem – wtrącił Joshua York.

– Chciałem go obejrzeć. – Wyszli na skąpany w słońcu forkasztel. Marsh obejrzał się przez ramię, lustrując cienie, przezarte zgnilizną, rdzewiejące cienie wszystkiego, czym była jego ukochana, wymarzona jednostka. – Osiemnaście wielkich kotłów – rzekł ochryple. – Whitey kochał te silniki.

– Chodź, Abnerze. Musimy zrobić, co mamy do zrobienia. Po to tu przyszedliśmy.

Ostrożnie weszli po wielkich schodach. Szlam na stopniach był śliski i cuchnął. Marsh zbyt mocno oparł się na rzeźbionej drewnianej poręczy i jej fragment pozostał mu w dłoni. Promenada była szara, opuszczona i nie wyglądała na bezpieczną. Weszli do głównej sali, a Marsh zmarszczył brwi na widok trzystu stóp piękna i przepychu, które powoli, acz nieubłaganie niszczało, gnilo i butwiało w ponurym zapomnieniu. Dywan był poplamiony, porozrywany i przezarty pleśnią. Zielone spłachcie grzyba pieniały się

na nim niczym rak pochłaniający duszę statku. Ktoś zamalował świetlik czarną farbą. W pomieszczeniu było ciemno. Długi marmurowy kontuar pokrył się kurzem. Drzwi do kajut zwisały wyrwane z zawiasów lub leżały na podłodze roztrzaskane. Jeden z kandelabrow runął. Obeszli stertę pogruchotanego szkła. Jednej trzeciej luster nie było lub zostały porozbijane. Pozostałe przestały pełnić swoją funkcję, usunięto z nich srebrny podlew lub zamalowano na czarno.

Gdy weszli na pokład huraganowy, Marsh ucieszył się, ujrawszy słońce. Ponownie sprawdził strzelbę. Pokład teksaski górował nad nimi, drzwi kajut były zamknięte i czekały.

– Czy on nadal zajmuje kajutę kapitańską? – zapytał Marsh.

Joshua skinął głową. Weszli po schodkach na pokład teksaski i ruszyli ku swemu zasadniczemu celowi.

W cieniu, na teksaskim ganku, czekał Zgorzkniały Billy Tipton. Gdyby nie oczy, Abner Marsh nigdy by go nie rozpoznał. Zgorzkniały Billy był w równie fatalnym stanie jak „Fevre Dream”.

Zawsze był chudy. Teraz przypominał ożywiony szkielet, spod pozółklej, niezdrowej skóry wystawały ostre kości. Jego skóra miała podobny odcień jak u ludzi przykutych latami do łóżka. Twarz przypominała trupa czaszkę obciągniętą pozółkłą, ospowatą skórą. Stracił niemal wszystkie włosy, a wierzchołek czaszki pokrywały strupy i świeże, czerwone zadrapania. Był w czarnych łachmanach, a jego paznokcie miały około czterech cali długości. Tylko oczy pozostały nie zmienione – barwy lodu, pałające z gorączki, złowrogie, usiłujące wyglądać groźnie, naśladujące oczy wampira, oczy Damona Juliana. Zgorzkniały Billy wiedział, że nadchodzą. Musiał ich usłyszeć. Gdy skręcili za róg, był tam, z nożem w dłoni, w swej wprawnej, zabójczo szybkiej ręce.

– No, proszę... – powiedział.

Abner Marsh uniósł strzelbę i wypalił z obu luf, nieomal z przyłożenia trafiając tamtego w pierś. Marsh nawet nie pozwolił mu dokończyć zdania. Już nie. Nie tym razem.

Strzelba huknęła i kopnęła potężnie, kolba uderzyła Marsha w ramię, pozostawiając na nim pokaźny siniec. Pierś Zgorzkniałego Billy’ego pokryła się w stu miejscach czerwienią, impet cisnął go

w tył. Przegniły reling ganku pękł za jego plecami i mężczyzna runął na niższy pokład huraganowy. Wciąż dzierżąc w ręku nóż, usiłował się podnieść. Zakotył się i zatoczył do przodu jak pijany. Marsh zeskokczył za nim na pokład huraganowy i ponownie załadował broń. Zgorzkniały Billy sięgnął po zatknięty za pasem pistolet. Marsh ponownie wypalił z obu luf, strącając Billy'ego z pokładu huraganowego. Pistolet wyslizgnał się mu z ręki, a Marsh usłyszał, jak Billy, przeraźliwie krzycząc, objął się o coś, spadając jeszcze niżej. Spojrzał na forkasztel. Billy leżał twarzą do dołu, wykrzywiony pod nienaturalnym kątem, pod jego ciałem rozlewała się coraz większa plama czerwieni. W dalszym ciągu ścisnął w garści swój zabójczy nóż, ale nic nie wskazywało, aby mógł nim jeszcze kiedykolwiek komuś zaszkodzić. Abner Marsh chrząknął, wyjął z kieszeni następane dwa naboje i wrócił na pokład teksaski.

Drzwi kajuty kapitańskiej były otwarte na oścież, Damon Julian stał na ganku naprzeciwko Joshuy, blada, złowroga postać o czarnych, gorejących oczach. Joshua York wyglądał jak obrócony w kamień albo jak pogrążony w głębokim transie.

Marsh spuścił wzrok, spoglądając na strzelbę i trzymane w ręku naboje. Udawaj, że go tam nie ma, rzekł do siebie. Stoisz w słońcu, nie może cię tknąć, nie patrz na niego, załaduj broń, naładuj strzelbę i wypal mu z obu luf prosto w łeb, póki Joshua trzyma go w szachu.

Jego dłonie zdrząły. Zwalczył dreszcze i wsunął jeden nabój do komory.

Wtedy Damon Julian roześmiał się. Na ten dźwięk Marsh mimo woli uniósł wzrok, ujmując drugi nabój w dwa palce. Śmiech Juliana był tak dźwięczny, melodyjny, pełen ciepła i szczerego rozbawienia, że trudno było się obawiać starego wampira. Marsh nie potrafił ujrzeć go teraz takim, jakim był w rzeczywistości, ani przypomnieć sobie popełnionych przez niego plugawych zbrodni.

Joshua upadł na kolana.

Marsh zaklął i energicznie postąpił trzy kroki naprzód. W tej samej chwili Julian odwrócił się z uśmiechem i skoczył na niego. A w każdym razie próbował. Przeskokczył nad zniszczonym fragmentem bariery i znalazł się na pokładzie huraganowym, jednak Joshua natychmiast podniósł się i dał susa za nim, chwytając Juliana

od tyłu. Przez chwilę tarzali się po pokładzie, walcząc zaciekle. Nagle Marsh usłyszał krzyk bólu Joshuy, odwrócił wzrok, wsunął drugi nabój do komory, zatrzasnął strzelbę, ponownie spojrzął w górę i zobaczył nadciągającego Juliana, bladą, wyszczerzoną twarz oraz długie, błyszczące, przerażające zęby. Konwulsyjnie zacisnął palec na spuście i ściągnął go, zanim zdążył wymierzyć. Strzał poszedł w pustkę. Odrzut powalił Marsha na pokład i zapewne to ocaliło mu życie. Atak Juliana chybił celu, wampir odwrócił się... i na widok podnoszącego się Joshuy, na którego policzku widniały cztery krwawe, głębokie draśnięcia... zawahał się.

– Spójrz na mnie, Julianie! – zawołał półgłosem Joshua. – Spójrz na mnie.

Marshowi został w strzelbie tylko jeden nabój. Leżąc na pokładzie, uniósł broń, lecz uczynił to zbyt wolno. Damon Julian odwrócił wzrok od Yorka i dostrzegł wymierzoną w siebie lufę. Obrócił się i strzał chybił celu.

Zanim Joshua York pomógł Abnerowi wstać, Julian zbiegł już po schodach na dół.

– Za nim! – rzucił Joshua ponaglająco. – I bądź czujny! On może na ciebie czekać!

– A ty?

– Dopilnuję, aby nie opuścił statku – odparł Joshua. To rzekłszy, odwrócił się i zwinnie jak kot zeskoczył z pokładu huraganowego, przeskakując nad forkaszelem. Wylądował o jard od miejsca, gdzie leżał Zgorzkniały Billy, i przeturlał się. W mgnieniu oka znów był na nogach i wbiegł po wielkich schodach na górę.

Marsh wyjął dwa następne naboje i załadował strzelbę. Ruszył w stronę schodów, rozglądając się bacznie wokoło, i zaczął schodzić krok po kroku z bronią gotową do strzału. Drewno skrzypiało pod jego ciężarem, lecz poza tym nic więcej nie było słychać. Marsh wiedział, że to nic nie znaczyło. Każdy z nich poruszał się szybko i bezszelestnie.

Domyślał się, gdzie może się ukrywać Julian. W wielkim salonie lub w którejś z przylegających do niego kajut. Marsh zacisnął palec na spuście i wszedł do środka, przystając tylko na chwilę, by przyzwyczaić oczy do ciemności.

Na drugim końcu sali coś się poruszyło. Marsh wycelował i zamarł w bezruchu, zaraz się jednak rozluźnił. To był Joshua.

– Nie opuścił statku! – zawołał Joshua, przepatrując wnętrze pomieszczenia oczami bardziej przenikliwymi niż oczy Marsha.

– Tak też myślałem – odrzekł Marsh.

Nagle zorientował się, że w salonie jest przeraźliwie zimno. Lodowato i ponuro jak we wnętrzu dawno nie otwieranego grobowca. Było też ciemno choć oko wykol. Marsh nie widział nic prócz groźnych, rozmytych cieni.

– Potrzeba mi trochę światła – mruknął.

Uniół strzelbę ku górze i wypalił z jednej lufy w świetlik. Huk wystrzału wydawał się ogłuszający wewnątrz zamkniętego pomieszczenia, na podłogę posypał się grad tłuczonego szkła. Świetlik przestał istnieć. Do salonu wpadły złociste promienie słońca. Marsh wyjął nabój, aby załadować strzelbę.

– Nic nie widzę – powiedział, ruszając naprzód ze strzelbą pod pachą.

Może Julian ukrył się za barem, pomyślał Marsh. Ostrożnie podkrał się w stronę kontuaru.

Usłyszał cichy brzęk, odgłos uderzających o siebie kryształów poruszonych wiatrem. Zastygł w bezruchu.

– Abnerze, nad tobą! – krzyknął Joshua York.

Marsh uniósł wzrok w chwili, gdy Damon Julian puścił wielki, rozkołysany kandelabr i runął na niego jak błyskawica.

Marsh próbował unieść strzelbę i wycelować, ale było już za późno i zareagował zbyt wolno. Julian spadł na Marsha, wytrącając mu broń z ręki, po czym obaj wylądowali na podłodze. Marsh chciał odtoczyć się w bok. Coś pochwyciło go i szarpnęło. Zamachnął się, uderzając na oślep swą wielką jak bochen chleba pięścią. W odpowiedzi jakby znikąd otrzymał cios tak silny, że omal nie zerwał mu głowy z szyi. Przez chwilę leżał oszołomiony. Wykręcono mu rękę do tyłu. Krzyknął. Nacisk nie zelżał. Próbował się podnieść i wstać. W tej samej chwili trzymający go za rękę wykręcił ją jeszcze silniej ku górze. Marsh usłyszał trzask pękającej kości i krzyknął raz jeszcze, znacznie głośniejszym głosem, gdy od stóp do głów przeszła go fala bólu. Przyciśnięto go brutalnie do podłogi, twarzą dotykał

cuchnącego pleśnią dywanu.

– Jak się nie przestaniesz szarpać, kapitanie, złamię ci drugą rękę – usłyszał miodopłynny głos Juliana. – Nie ruszaj się.

– Odejdź od niego! – rzucił Joshua.

Marsh uniósł wzrok i ujrzał go stojącego dwadzieścia stóp dalej.

– Raczej nie – odparł Julian. – Ani kroku dalej, Joshua. Jeśli spróbujesz się zbliżyć, rozszarpię kapitanowi Marshowi gardło, zanim zdążysz mnie dopaść. Nie ruszaj się, a go oszczędzę. Czy wyrażam się jasno?

Marsh usiłował się poruszyć i z bólu przygryzł dolną wargę. Joshua znieruchomiał z uniesionymi dłońmi i palcami zakrzywionymi w szpony.

– Tak – odparł. – Dostatecznie jasno.

W jego morderczych, szarych oczach malowała się niepewność. Marsh rozejrzał się dokoła, wypatrując strzelby. Leżała pięć stóp dalej, poza jego zasięgiem.

– Doskonale – rzekł Damon Julian. – A może teraz trochę się tu rozgościmy? – Marsh usłyszał, jak Julian przysuwa sobie krzesło. Usiadł tuż za Marshem. – Usiądę sobie tutaj, w cieniu. Ty weź krzesło i usiądź w świetle, które dzięki swojej pukawce zapewnił nam nasz przezorny kapitan. No dalej, Joshua. Rób, co mówię, chyba że chcesz zobaczyć, jak kapitan Marsh umiera.

– Jeśli go zabijesz, zabraknie ci atutów – wtrącił Joshua.

– Może jestem gotów podjąć to ryzyko – odparował Julian. – A ty?

Joshua York rozejrzał się powoli, zmarszczył brwi, przystawił sobie krzesło i usiadł pod zniszczonym świetlikiem. Zajął miejsce na skąpanym w słońcu krześle, dobre piętnaście stóp od nich.

– Zdejmij kapelusz, Joshua. Chcę zobaczyć twoją twarz. York skrzywił się, zdjął swój szerokoskrzydły kapelusz i zamaszystym ruchem cisnął go w cień.

– Doskonale – mruknął Damon Julian. – Teraz trochę tu sobie poczekamy, Joshua. – Roześmiał się w głos. – Do zmierzchu.

ROZDZIAŁ 33

Na pokładzie parowca „Fevre Dream” maj 1870

Zgorzkniały Billy Tipton otworzył oczy i próbował krzyknąć. Spomiędzy jego warg wydobyło się tylko ciche stęknęcie. Nabrał powietrza i przełknął krew.

Zgorzkniały Billy wypił dość krwi, by rozpoznać smak. Tym razem jednak była to jego własna krew. Zakasłał i łapczywie zaczął chwycić powietrze.

Nie czuł się dobrze. Cała jego klatka piersiowa płonęła żywym ogniem, a miejsce, gdzie leżał, było wilgotne. Mokre od krwi. Było jej mnóstwo.

– Pomocy! – zawołał z trudem.

Jego głos mógłby usłyszeć ktoś, kto akurat znalazłby się dwie, trzy stopy od niego. Zadrżał i ponownie zamknął oczy, jakby chciał zasnąć w nadziei, że gdy znów się przebudzi, ból minie.

Ale ból pozostał. Zgorzkniały Billy leżał długo, bardzo długo, z zamkniętymi oczami i płytkim, urywanym oddechem, od którego drżała mu klatka piersiowa i chciało mu się wyć. Myślał wyłącznie o krwi, która zeń wypływała, o twardym pokładzie, do którego

przywierał twarzą, i o smrodzie. Otaczał go silny, odrażający fetor.

Wreszcie Billy zdołał go zidentyfikować. Gdy było po wszystkim, sfajdał się w spodnie. Nic nie czuł oprócz przykrego zapachu.

Zapłakał.

Wreszcie zabrakło mu łez. Jego policzki wyschły, a sam płacz zaczął sprawiać mu ból. Silny, dojmujący ból. Starał się myśleć o czymś innym, o czymś oprócz bólu, licząc, że dzięki temu zdoła o nim zapomnieć. Lecz on stale wracał. Marsh i Joshua York, wystrzał z dubeltówki, prosto w twarz. Przypomniawszy sobie, że przybyli, aby skrzywdzić Juliana, a on starał się ich powstrzymać. Tylko że tym razem nie był dostatecznie szybki. Raz jeszcze spróbował krzyknąć – Julian! – nieco głośniejszym głosem niż poprzednio, ale wciąż za cicho.

Bez odpowiedzi. Zgorzkniały Billy zaskomlał i znów otworzył oczy. Spadł ze szczytu górnego pokładu. Obecnie, jak stwierdził, znajdował się na forkaście. I był już dzień. Damon Julian nie mógł go usłyszeć. A gdyby nawet, było już po wschodzie słońca, zbyt jasno, aby Julian mógł przyjść tu po niego. Julian nie wyjdzie na pokład aż do zmierzchu. Do zmierzchu zaś on będzie już martwy.

– Zanim zajdzie słońce, będę trupem – powiedział na głos, tak cicho jednak, że prawie sam siebie nie słyszał. Zakasłał i znów przełknął trochę krwi. – Paniczu Julianie... – rzekł łamiącym się głosem.

Odpoczywał przez chwilę, rozmyślając lub starając się myśleć. Był cały podziurawiony. Jak sito. Powinien nie żyć, Marsh stał tuż przy nim, powinien być martwy. Ale nie był. Zgorzkniały Billy zachichotał drwiąco. Wiedział, dlaczego nie umarł. Pociski z dubeltówki nie mogły go zabić. Już nie. Teraz był prawie jednym z nich. Dokładnie tak jak powiedział Julian. Billy czuł, co się z nim działo. Za każdym razem gdy spoglądał w lustro, odnosił wrażenie, że jest nieco bledszy, a jego oczy coraz bardziej przypominają oczy Damona Juliana. Nie miał co do tego wątpliwości i być może ostatnio widział w ciemnościach znacznie lepiej niż przed paroma laty. To dzieło krwi, pomyślał. Gdyby tylko tak przez nią nie chorował, mógłby posunąć się w przemieszanie znacznie dalej. Czasami

było mu naprawdę niedobrze, dostawał skurczów żołądka i wymiotował, ale pił dalej, tak jak mu radził Julian, i to czyniło go silniejszym. Czasami to czuł, a teraz miał jawny dowód, został postrzelony i spadł z pokładu, a jednak nie wyzionął ducha, bynajmniej. Dochodził do siebie, tak jak Damon Julian. Był już prawie jednym z nich.

Zgorzkniały Billy uśmiechnął się i postanowił, że poleży tu, aż całkiem się wykuruje, a potem odszuka i zabije Abnera Marsha. Wyobrażał sobie wyraz przerażenia na twarzy Marsha, gdy ujrzy sunącego ku niemu Billy'ego, całego i zdrowego mimo otrzymanego postrzału.

Gdybyż tylko tak bardzo nie bolało. Zgorzkniały Billy zastanawiał się, czy Julian też tak cierpiał, gdy ten przeklęty oficerek dandys przeszył go rapierem na wylot. Panicz Julian dał mu wtedy szkołę. I to jak! Billy też miał chęć odpłacić paru osobom pięknym za nadobne. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, rozmyślając o tym, co by zrobił i z kim. Spacerowałyby w tę i z powrotem po ulicy Gallatina i wszyscy odnosiliby się doń z szacunkiem, miałyby dla siebie najpiękniejsze dziewczęta z wyższych sfer i najładniejsze Kreolki zamiast dziwek i podrzędnych tancerek, a potem, gdy mu się znudzą, odsączyłyby każdą z nich z krwi, tak by nie miał ich już po nim nikt inny i by żadna z nich nigdy zeń nie zadrwiła.

Zgorzkniały Billy Tipton lubił rozmyślać o przyszłości. O tym, jak będzie. Jednakże po pewnym czasie, kilku minutach lub może godzinach, odechciało mu się, nie był już w stanie skupić na tym uwagi. Miast tego myślał o bólu, o dojmującym cierpieniu, którego doświadczał przy każdym oddechu. Nie powinno tak boleć, pomyślał. A jednak bolało. I wciąż obficie krwawił, tak obficie, że zaczęło mu się kręcić w głowie. Skoro dochodził do siebie, skoro zdrowiał, czemu wciąż krwawił? I nagle Zgorzkniały Billy zaczął się bać. Może przemiana nie osiągnęła odpowiedniego stadium. Może wcale nie wyzdrowieje, aby móc wstać i dopaść, a potem zabić Abnera Marsha. Może po prostu wykrwawi się na śmierć.

– Julianie! – zawołał.

Krzyknął tak głośno, jak tylko potrafił. Julian mógł dopełnić przemiany, mógł go uleczyć. Gdyby tylko zdołał go tutaj ściągnąć,

wszystko będzie dobrze. Julian dostarczy mu krwi, która go wzmocni, Julian zaopiekuje się nim. Billy był o tym przekonany. Cóż mógłby Julian zdziałać bez niego? Zawołał raz jeszcze, tak donośnie, że aż rozboleło go gardło.

Nic. Cisza. Nasłuchiwał odgłosu kroków Juliana lub innych, śpieszących mu z pomocą. Nic. Chociaż... wyteżył słuch. Wydawało mu się, że usłyszał głosy. Jeden z nich należał do Damona Juliana! Usłyszał go! Poczł tak głęboką ulgę, że zrobiło mu się słabo.

Tyle tylko, że Julian nie usłyszał Billy'ego. A gdyby nawet, nie mógł wyjść na zewnątrz, na pokład skąpany w promieniach słońca.

Ta myśl przeraziła Billy'ego. Julian przyjdzie doń dopiero po zmroku, aby dokończyć przemianę. Tylko że po zmierzchu będzie już za późno.

Musiał sam dotrzeć do Damona Juliana, postanowił, gdy tak leżał trawiony bólem, w kałuży krwi. Musiał pójść do Juliana, zejść do niego, aby Damon mógł mu wreszcie pomóc.

Zgorzkniały Billy zagryzł wargi i próbował wstać.

A potem wrzasnął.

Ból, który go przeszył, gdy próbował się poruszyć, był niczym rozpalone ostrze przenikające na wskroś jego ciało. Jedno pchnięcie gorejącego sztyletu pozbawiło go wszelkich nadziei i lęków, nie pozostawiając nic prócz samego bólu. Wrzasnął przeraźliwie i znieruchomiał, a jego ciało zaczęło pulsować tępym bólem. Poczł, że jego serce tłucze się w piersi jak oszalałe, a ból powoli zaczyna słabnąć. Dopiero wtedy Zgorzkniały Billy uświadomił sobie, że już nie czuje nóg. Próbował poruszyć palcami stóp. Poniżej pasa nie czuł nic. Zupełnie.

Umierał. To nie w porządku, pomyślał Billy. Był tak blisko. Od trzynastu lat pił krew i nabierał sił, poddając się przemianie. Tak niewiele brakowało. Mógłby żyć wiecznie, a teraz mu to odbierano, zawłaszczono to, o co tak usilnie walczył, a przecież nigdy niczego nie posiadał. Zawsze go ograbiono. Został oszukany. Nie po raz pierwszy zresztą. Świat znów go oszukał, czarnuchy, Kreole i bogaci dandysi zawsze go oszukiwali i kpili zeń, a teraz na dodatek oszukali go najdotkliwiej, ograbiając go z życia, możliwości zemsty i z całej reszty.

Musiał dotrzeć do Juliana. Gdyby tylko zdołał dopełnić przemiany, wszystko będzie w porządku. W przeciwnym razie skona tutaj, a oni będą wyśmiewać się z niego, nazywając go głupcem, śmieciem i obrzucając całą masą innych, jeszcze paskudniej szych inwektyw, jak to zwykle bywało; będą kpić zeń i zbezczeszczą jego grób. Musiał dotrzeć do panicza Juliana. Wówczas to on będzie śmiał się ostatni. O tak. Na pewno.

Zgorzkniały Billy wziął głęboki oddech. Czuł, że wciąż ścisną w dłoni swój wierny nóż. Poruszył ręką i drżącym, niepewnym ruchem włożył nóż między zęby. O tak! Nie bolało tak bardzo, jak się spodziewał. Ręce nadal miał sprawne. Rozcapierzył palce i spróbował uchwycić się nimi czegoś na śliskim, wilgotnym od pleśni i krwi pokładzie. Wpił się palcami w pokład i najmocniej, jak potrafił, podciągnął się do przodu, przesuwając się na brzuchu jedynie za pomocą dłoni i silnych, mocno umięśnionych ramion. Jego pierś zdawała się płonąć, a w plecy znów wbił się rozpalony do białości niewidzialny sztylet. Billy zadygotał i krzywiąc się z bólu, zacisnął zęby na nożu, który miał w ustach. Po chwili osunął się ciężko na pokład, wyczerpany i obolały. Kiedy jednak ból nieco osłabł, Billy otworzył oczy i uśmiechnął się, nie wypuszczając noża z ust. Przeczłołgał się kawałek! Niedużo, stopę, może trochę więcej, ale jednak! Jeszcze pięć lub sześć takich podciągnięć i znajdzie się u podnóża wielkich schodów. A wówczas będzie mógł podciągnąć się w górę, chwytając się poręczy przy barierce. Głosy dochodziły z góry, skonstatował. Był w stanie dostać się na piętro. Wiedział, że może tego dokonać. Musiał. Nie miał innego wyjścia!

Zgorzkniały Billy Tipton wyciągnął obie ręce przed siebie, wbił długie, twarde paznokcie w deski pokładu i ścisnął mocno zębami nóż, który trzymał w ustach.

ROZDZIAŁ 34

Na pokładzie parowca „Fevre Dream” maj 1870

Godziny mijały w ciszy, a cisza przetykana była strachem.

Abner Marsh siedział obok Damona Juliana, oparty plecami o czarny, marmurowy bar, tuląc do piersi złamaną rękę i obficie się pocąc.

Julian pozwolił mu wreszcie usiąść, kiedy tępe pulsowanie nazbyt dało się Marshowi we znaki i zaczął jęczeć z bólu. W tej pozycji ręka nie dokuczała mu tak bardzo, wiedział jednak, że ból powróci, gdyby spróbował wykonać najmniejszy ruch. Dlatego też siedział w bezruchu, ścisnął bolące ramię i rozmyślał.

Marsh nie miał talentu szachowego, co Jonathan Jeffers udowodnił niejednokrotnie. Czasami zapominał nawet, jak poruszają się na szachownicy dane figury. Obecnie jednak nie musiał się zbytnio wysilać, by zrozumieć, że znalazł się w sytuacji patowej.

Joshua York siedział sztywno na krześle, wyraz jego ciemnych oczu był z tej odległości nieodgadniony, ciało wydawało się naprężone jak struna. Światło słoneczne padało na niego, wysączając zeń życie, siły wyparowywały z niego, rozplýwał się w oczach jak

mgła rozwiewająca się nad rzeką. Nie poruszał się. Ze względu na Marsha.

Joshua wiedział, że gdyby zaatakował, Abner Marsh zacznie dławić się własną krwią, zanim York dopadnie Juliana. Może Joshua zdołałby zabić Damona, a może nie, ale dla Marsha nie miałyby to już większego znaczenia.

Julian także znalazł się w martwym punkcie. Gdyby zabił Marsha, utraciłby swoje jedyne zabezpieczenie. A wówczas Joshua nie zawahałby się go zaatakować. Damon Julian najwyraźniej się tego obawiał. Abner znał to uczucie. To wynik poniesionej porażki, nie uniknął jej nawet stwór nazywający siebie Damonem Julianem. Wielokrotnie Julianowi udało się złamać Joshuę Yorka i poprzez ceremonię picia krwi zmusić go do uległości. Ale to należało do przeszłości. Julian nie był już niczego pewien. Utracił wewnętrzną siłę. Strach zżerał go jak robak gnijącego trupa.

Marsh czuł się słaby i bezradny. Ręka bolała go jak diabli i nic nie był w stanie zrobić. Kiedy nie obserwował Yorka i Juliana, jego wzrok podążał ku strzelbie. Za daleko, upewnił sam siebie. Za daleko. Kiedy usiadł przy barze, jeszcze bardziej oddalił się od broni. Co najmniej siedem stóp. Nie ma o czym marzyć. Marsh wiedział, że nawet będąc w pełni sił, nie zdołałby tego dokonać. A co dopiero ze strzaskaną ręką... przygryzł wargę i próbował wymyślić coś innego. Może gdyby na miejscu Marsha siedział Jonathan Jeffers, wykoncypowałby nowy, zmyślniejszy plan. Zaskakujący, rewelacyjny i podstępny. Ale Jeffers nie żył i Marsh mógł polegać wyłącznie na sobie, a jedyne, co mu przychodziło do głowy, to proste, bezkompromisowe działanie – próbować osiągnąć tej cholernej strzelby. Marsh wiedział, że gdyby to zrobił, jego chwile byłyby policzone.

– Czy światło cię męczy, Joshua? – zapytał Julian po dłuższym milczeniu. – Musisz do niego przywyknąć, jeśli chcesz stać się jednym z nich. Każde dobre bydlę uwielbia światło słoneczne. – Uśmiechnął się. Wtem uśmiech zgasł równie szybko, jak się pojawił. Joshua York nie odpowiedział, a Damon więcej się nie odezwał.

Obserwując Juliana, Marsh po raz pierwszy spostrzegł u niego objawy powolnego rozkładu, niszczenia, tak jak w przypadku

parowca i Zgorzkniałego Billy'ego. Damon wydawał się teraz inny, odmieniony i jeszcze bardziej przerażający. Po tym krótkim pytaniu nie próbował już podrwiwać z Joshuy. W ogóle się nie odzywał. Nie patrzył na Joshuę Yorka, na Marsha ani na nic konkretnego. Wzrok miał wlepiony w pustkę, oczy zimne, czarne i martwe jak węgle. Wciąż promieniały lekkim blaskiem, rozpraszając cienie, wśród których siedział Damon Julian. Nie wyglądały jednak jak oczy ludzkie. Julian także nie przypominał człowieka. Marsh pamiętał noc, kiedy Julian wszedł na pokład „Fevre Dream”. Gdy spojrzął mu wtedy w oczy, odniósł wrażenie, jakby z jego twarzy jedna po drugiej zaczęły opadać maski, aż w końcu ukazało się tkwiące pod nimi oblicze bestii. Teraz było inaczej. Zupełnie jakby maski przestały istnieć. Damon Julian był najbardziej złą osobą, jaką Abner Marsh miał okazję spotkać, ale część jego zła była złem człowieczym: wrogość, zawiść, obłuda, przeraźliwy, drwiący śmiech, okrucieństwo, rozkosz czerpana z zadawania cierpień, umiłowanie piękna i pragnienie unicestwienia go. Teraz to wszystko gdzieś przepadło. Pozostała tylko bestia czająca się w mroku, bestia o dzikich ślepiach, osaczona, przerażona i bezrozumna. Julian nie drwił już z Joshuy, nie mówił o dobru i złu, o sile i słabościach ani nie mamił Marsha mrocznymi, kłamliwymi obietnicami. Siedział tylko i czekał, otulony ciemnością, a jego ponadczasowe oblicze pozbawione było wszelkiego wyrazu, oczy zaś wydawały się puste i przedwieczne.

Abner Marsh uświadomił sobie wtedy, że Joshua miał rację. Julian był obłąkany albo nawet gorzej. Zdawał się duchem, a to, co żyło w jego wnętrzu, z całą pewnością było bezrozumne.

A jednak, pomyślał z rozgoryczeniem Marsh, to właśnie ono zwycięży. Damon Julian mógł umrzeć, tak jak szczyły wszystkie jego maski w minionych stuleciach. Bestia żyć będzie dalej. Julian śnił o mroku i śnie, ale bestia nie mogła umrzeć. Była sprytna, cierpliwa i silna.

Abner Marsh ponownie zerknął na strzelbę. Gdyby tylko zdołał jej dosięgnąć. Gdyby był tak szybki i silny jak przed czterdziestu laty. Gdyby Joshua zdołał przykuć uwagę bestii na dostatecznie długą chwilę. Nic z tego. Bestia nie próbowała odszukać spojrzenia

Joshuy. Marsh nie był ani szybki, ani silny, miał złamaną i potwornie bolącą rękę. Nie zdołał podnieść się i na czas pochwycić strzelby. Poza tym jej lufa wymierzona była w złą stronę. Broń upadła tak, że celowała teraz w Joshuę. Może gdyby była odwrócona w przeciwnym kierunku, gra byłaby warta świeczki. Wtedy rzuciłby się szczupakiem, szybko pochwycił broń, podniósł ją i nacisnął spust. Teraz jednak musiałby ją najpierw odwrócić, aby wymierzyć w istotę nazywającą siebie Julianem. Ze złamaną ręką. Nie. Marsh wiedział, że byłby to próżny trud. Bestia była zbyt szybka.

Spomiędzy warg Joshuy dobył się jęk, na wpół zduszony okrzyk bólu. York przyłożył dłoń do czoła, po czym wychylił się do przodu i ukrył twarz w dłoniach. Jego skóra już się zaróżowiła. Wkrótce poczerwienieje. Potem szernieje i popęka zwięglona. Abner Marsh widział, jak z tamtego ucieka życie. Nie wiedział, co trzymało Yorka w płonącym, słonecznym kręgu. Musiał przyznać, że Joshua miał ikrę. I nagle stwierdził, że musi coś powiedzieć.

– Zabij go! – zawołał. – Joshua, wyjdź stamtąd i spróbuj go pokonać. Zabij go, do stu piorunów! Mną się nie przejmuj.

Joshua York uniósł wzrok i uśmiechnął się słabo.

– Nie.

– Do kroćset, ty uparty głupcze! Rób, co ci każę! Jestem już stary, moje życie nie jest warte funta kłaków! Rób, co mówię, Joshua.

Joshua pokręcił głową i ponownie ukrył twarz w dłoniach.

Bestia patrzyła na Marsha dziwnym wzrokiem, jakby nie pojmowała słów albo może zapomniała ich znaczenia. Marsh spojrział jej w oczy i zadygotał. Bolała go ręka, do oczu napływały łzy. Syczał i kłął, aż poczerwieniały mu policzki. To było lepsze niż łzy. Płacz był dobry dla kobiet.

– Byłeś najlepszym współnikiem, jakiego można sobie wymarzyć, Joshua! – zawołał. – Nie zapomnę cię do końca życia.

York uśmiechnął się. Nawet uśmiechanie się sprawiało mu ból, stwierdził Marsh. Joshua wyraźnie osłabł. Światło go zabijało, wkrótce umrze, a wówczas Marsh pozostanie tu sam jak palec.

Do zmierzchu pozostało jeszcze wiele godzin. Czas płynął jednak szybko. W końcu nadejdzie noc. Abner Marsh nie mógł

powstrzymać jej nadejścia, tak jak nie był w stanie osiągnąć tej cholernej strzelby. Słońce zajdzie, a nad „Fevre Dream” pojawią się gwiazdy, wówczas bestia uśmiechnie się i wstanie z krzesła. Drzwi w całym salonie otworzą się, a inni z wolna zaczną się budzić, tamci, dzieci nocy, wampiry, synowie, córki i niewolnicy bestii. Wypełnią spoza potrząskanych zwierciadeł i wyblakłych olejnych obrazów, cisi, z zimnymi uśmiechami, białymi twarzami i przeraźliwymi oczami. Niektórzy byli przyjaciółmi Joshuy, a jedna nosiła jego dziecko, ale Marsh był pewien, że to i tak niczego nie zmieni. Należeli do bestii. Joshua miał słowa, sprawiedliwość i marzenia, bestia zaś dysponowała mocą, władzą, dzięki której budziła tkwiące w tamtych potwory, wywoływała czerwone pragnienie i zniewalała ich.

Sama nie odczuwała czerwonego pragnienia, ale nadal je pamiętała.

A kiedy drzwi zaczną się otwierać, Abner Marsh umrze.

Damon Julian mówił, że go oszczędzi, jednak bestii nie wiązały obłudne obietnice Juliana, stwór wiedział, jak niebezpieczny był kapitan Marsh.

Szpetny czy nie, tej nocy zaspokoi ich głód. Joshua także umrze lub, co gorsza, stanie się taki sam jak oni. Jego dziecko wyrośnie na jeszcze jedną bestię i zabijanie będzie trwać dalej, czerwone pragnienie przez kolejne stulecia pozostanie nie zaspokojone, gorączkowe, szaleńcze marzenia szczyzną, obrócą się w proch i przepadną.

Czyż mogło się to skończyć inaczej? Bestia była potężniejsza od nich, stanowiła siłę natury. Była odwieczna, jak rzeka. Nie miała wątpliwości, myśli, marzeń ani planów. Joshua York mógł pokonać Damona Juliana, ale gdyby padł Julian, wciąż pozostałaby przy życiu bestia – silna, złowroga, bezlitosna. Joshua uspił swoją bestię, odurzył ją, obłąkawił i pozostało mu jedynie człowieczeństwo, nie miał nic innego, co mógłby przeciwstawić bestii żyjącej w Julianie. A człowieczeństwo to za mało. Nie mógł ludzi się, że wygra ten pojedynek.

Abner Marsh zamyślił się. Coś nie dawało mu spokoju. Próbował zorientować się, co go tak zaniepokoiło, lecz to stale mu

umykało. Jego ręka pulsowała tęnym bólem. Żałował, że nie ma choć odrobiny tego obrzydliwego trunku Joshuy. Smakował okropnie, ale Joshua wspominał kiedyś, że zawierał laudanum, a to pomogłoby złagodzić ból. Zresztą łyżeczek alkoholu z pewnością by mu nie zaszkodził.

Kąt światła wpadającego przez przestrelony świetlik zmienił się. Było już po południu, stwierdził Marsh. Zbliżał się wieczór. Zostało jeszcze parę godzin. A potem zaczną się otwierać drzwi. Spojrzał na Juliana, na strzelbę. Ścisnął palcami ramię, jakby to mogło choć trochę złagodzić ból. O czym myślał, u licha. O łyku napitku Joshuy mogącym ukoić jego cierpienia... nie, o bestii, o tym, że Joshua nie ma w walce z nią żadnych szans... o...

Zmrużył oczy i popatrzył na Joshuę. A jednak raz go pokonał, pomyślał Marsh. Tylko raz, jeden jedyny, mimo że w tamtym tkwiła bestia. Dlaczego nie miałby tego powtórzyć? Dlaczego? Zacisnąwszy palce jeszcze mocniej, zakolysał się w tył i w przód, usiłując zabić w sobie ból i zmusić się do intensywnego myślenia.

I wtedy doznał olśnienia, jak zawsze w podobnych przypadkach. Może był powolny, ale nigdy nie zapominał.

I właśnie sobie przypomniał. Napitek, pomyślał. Widział to wszystko oczyma duszy. Wlał resztę zawartości butelki do ust Joshuy, kiedy ten zemdlął na słońcu. Ostatnia kropla skapnęła mu na but, butelkę wyrzucił do rzeki. Kilka godzin później Joshua odszedł i powrót na „Fevre Dream” zajął mu... no właśnie, ile? Kilka dni. Co najmniej kilka dni. Biegł, gnał jak wiatr do swoich przeklętych butelek, uciekając przed czerwonym pragnieniem. A potem odnalazł parowiec, na pokładzie były same trupy, zaczął zrywać deski i zjawił się Julian... Marsh przypomniał sobie słowa Joshuy: „...Wrzeszczałem na niego, krzychałem coś niezrozumiale. Pragnąłem zemsty. Chciałem go zabić, nigdy dotąd nie pragnąłem bardziej niczyjej śmierci, byłem gotów rozerwać mu to blade gardło i posmakować jego przeklętej krwi! Mój gniew...”

Nie, pomyślał Marsh, nie tylko gniew. Pragnienie. Joshua był tak wścickły, że nie zdawał sobie z tego sprawy, ale osiągnął pierwsze stadium czerwonego pragnienia! Musiał wypić swego drinka, gdy tylko Julian odszedł, i dlatego nie zorientował się, co go spotkało,

dłaczego tym razem było inaczej.

Nagle Marshowi zrobiło się zimno, zaczął zastanawiać się, czy Joshua znał prawdziwy powód, dla którego wyrwał tamte deski i co by się stało, gdyby Julian nie zainterweniował. Nic dziwnego, że Joshua zwyciężył tylko raz.

Jego oparzenia, lęki, rzeź dokoła, brak napitku przez wiele dni... to wszystko musiało wywołać pragnienie. Tamtej nocy obudziła się w nim bestia i okazała się silniejsza od Juliana.

Przez krótką chwilę Abner Marsh czuł rosnące ożywienie. I nagle uświadomił sobie, że wszelkie jego nadzieje są płonne. Może faktycznie zdołał coś zrozumieć, wykoncypował to i owo, lecz i tak na nic mu się to nie zda. Joshua zabrał spory zapas swego trunku na ostatnią swoją ucieczkę. Wypił pół butelki w Nowym Orleanie, zanim wyruszyli na plantację Juliana. Marsh nie widział sposobu, by obudzić w Yorku pragnienie, a było ono ich jedyną szansą... podążył wzrokiem ku strzelbie, tej cholernej, bezużytecznej strzelbie.

– Niech to szlag – wymamrotał.

Zapomnij o tej pukawce, powiedział sobie w duchu, nic ci ona nie da, myśl, myśl, tak jak robiłby to teraz pan Jeffers, wykombinuj coś. Jak podczas wyścigu parowców. Nie możesz tak po prostu stanąć do wyścigu, skoro wiesz, że ta druga jednostka jest szybsza, musisz być sprytny, wynająć bystrego pilota znającego najbardziej zdradliwe odcinki rzeki, umiejącego pokonywać je w możliwie najkrótszym czasie, a na dokładkę wykupić też cały zapas buczyny, żeby twój konkurent musiał zadowolić się drewnem topolowym. Poza tym przyda się też nieduży zapas łoju. Tak na wszelki wypadek. Sztuczki!

Marsh skrzywił się i zdrową ręką zaczął skubać wąsy. Wiedział, że nie zdoła nic zdziałać. Wszystko zależało od Joshuy. A tymczasem Joshua płonął, spalał się, słabł z każdą minutą coraz bardziej i nie zamierzał się poruszyć, dopóki zależało od tego życie Marsha. Gdyby istniał jakiś sposób, aby zmusić go do działania... obudzić w nim pragnienie... Jak to z nim było? Powracało co miesiąc, jakoś tak, a gdy Joshua pił swój trunek, nie pojawiała się w ogóle. Czy było coś jeszcze? Co mogło obudzić pragnienie? Marsh czuł, że można je było wywołać w inny sposób, ale nic mu nie

przychodziło do głowy. Może skuteczny byłby gniew, ale to raczej nie wystarczy. Piękno? Prawdziwe piękno budziło w Yorku silną pokusę, i to nawet gdy pił swój preparat. Prawdopodobnie wybrał mnie, ponieważ ktoś powiedział mu, że jestem najszeptniejszym człowiekiem na tej cholernej rzece, pomyślał Marsh. Tak czy siak, to wciąż za mało. Ten przeklęty Damon Julian był całkiem urodziwy i wzbudzał w Yorku silny gniew, ale Joshua wciąż przegrywał, zawsze przegrywał, to sprawka napoju, bez wątpienia... Marsh zaczął wracać myślami do historii, które opowiadał mu Joshua, relacji z owych mrocznych nocy, pełnych śmierci, gorzkich czasów grozy, kiedy pragnienie ovladnęło jego ciałem i duszą. „...dostałem postrzał w brzuch – rzekł Joshua – i obficie krwawiłem... Wstałem. Chyba musiałem wyglądać przerażająco, pobladły na twarzy i umorusany krwią. A potem poczułem coś dziwnego... coś mną ovladnęło”.

Julian upił łyk wina, uśmiechnął się i zapytał: „Czy naprawdę bał się pan, że mogę zrobić panu coś złego tamtej sierpniowej nocy? Cóż, może faktycznie tak by się stało, w przypiływie bólu i gniewu. Ale nie wcześniej niż...” Marsh spostrzegł jego twarz, wykrzywioną i zwierzęcą, gdy wyciągał ze swego ciała rapier Jeffersa... przypomniał sobie Valerie, płonąącą i umierającą na dnie łodzi, pamiętał, jak krzyczała i rzucała się Frammowi do gardła... usłyszał głos Joshuy mówiącego: „Uderzył mnie raz jeszcze, a ja wyrznięłem go na odlew... znów mnie zaatakował.

To musiało być to, pomyślał Marsh, musiało, nic innego nie przychodziło mu na myśl. Spojrzał na świetlik. Kąt był teraz ostrzejszy, a światło, przynajmniej zdaniem Marsha, przybrało lekko czerwony odcień. Joshua znalazł się częściowo w cieniu. Jeszcze godzinę temu uświadomiwszy to sobie, Marsh poczułby ulgę. Ale nie teraz. Już nie.

– Po...mo...cy – rozległ się zduszony szept, upiorny, zboląły charkot. Mimo to usłyszeli go. W mrocznej ciszy usłyszeli go wszyscy.

Zgorzkniały Billy Tipton wypełził z półmroku, zostawiając za sobą na dywanie rozmazany czerwony ślad. Marsh zauważył, że tamten w zasadzie się nie czołgał. Podciągał się, wbijając swój przeklęty mały nóż w pokład i podkurczając ramiona, pełzył naprzód,

wlokąc za sobą bezwładną dolną połowę ciała.

Jego kręgosłup wykrzywiony był pod nieprawdopodobnym i z pewnością niewłaściwym kątem. Billy nie przypominał już człowieka. Od stóp do głów oblepiony brudem, kurzem i smarami, pokryty zaschniętą krwią, krwawił nawet teraz, gdy na niego patrzyli. Podciągnął się o kolejną stopę w ich stronę. Jego klatka piersiowa wyglądała na wgniecioną, zapadniętą, ból wykrzywił mu twarz, zmieniając ją w odrażającą maskę.

Joshua York wolno jak lunatyk podniósł się z krzesła. Marsh zauważył, że jego twarz była przeraźliwie czerwona.

– Billy... – zaczął.

– Ani kroku dalej, Joshua – rzekła bestia.

York spojrział na niego tępo, oblizując suche, spierzchnięte wargi.

– Nie zaatakuję cię – powiedział. – Pozwól mi go zabić. To będzie akt miłosierdzia.

Damon Julian uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Jeśli zabijesz Billy’ego – mruknął – ja zabiję kapitana Marsha.

– Przez chwilę znów przypominał dawnego Juliana, mówiącego łagodnym tonem przesyconym nutą rozbawienia, a równocześnie lodowatym i przerażającym.

Zgorzkniały Billy zbliżył się o kolejną stopę i cierpiąc potworne katusze, zatrzymał się; jego ciałem wstrząsnęły dreszcze. Krew puściła mu się z nosa i ust.

– Julianie – rzekł.

– Mów głośniej, Billy. Nie słyszałem cię. Zgorzkniały Billy ścisnął nóż w dłoni i skrzywił się. Na tyle, ile był w stanie, uniósł głowę.

– Ja... pomóż mi... boli. Bardzo cierpię. Źle ze mną. Wszystko... w środku... paniczku Julianie...

Damon Julian podniósł się z krzesła.

– Widzę, Billy. Czego chcesz?

Kąciki ust Billy’ego zadrżały leciutko.

– Pomocy... – wyszeptał. – Przemiany... dokończ przemianę... musisz... ja... umieram.

Julian patrzył na Billy’ego, obserwując przy okazji także Joshuę. Joshua stał bez ruchu. Abner Marsh napiął mięśnie i zerknął na

strzelbę. Teraz, gdy Julian wstał z krzesła, jego plan nie mógł się powieść. Nie miał szans dosięgnąć broni, odwrócić ją i wypalić. Ale może... spojrzał na Billy'ego, którego cierpienie sprawiło, że Marsh niemal zapomniał o swojej złamanej ręce. Billy błagał:

– ...wieczne życie... Julianie... zmień mnie... w jednego z was...

– Ach – mruknął Julian. – Obawiam się, Billy, że mam dla ciebie smutną nowinę. Nie mogę cię zmienić. Czy naprawdę sądziłeś, że takie stworzenie jak ty może stać się jednym z nas?

– ...Obiecałeś – wyszeptał ochryple Billy. – Obiecałeś! ja umieram!

Damon Julian uśmiechnął się.

– Co ja bym zrobił bez ciebie? – zapytał.

Zaśmiał się krótko i Marsh zrozumiał, że znów ma przed sobą tego dawnego Damona; bestia ponownie go uwolniła. To był śmiech Juliana, donośny, melodyjny i głupi. Marsh usłyszał śmiech, przeniósł wzrok na twarz Billy'ego i zauważył drżenie jego ręki, kiedy wyszarpnął nóż z desek pokładu.

– Idź do diabła! – ryknął do Juliana Marsh, wstając.

Julian obejrzał się przez ramię zdezorientowany. Marsh zduł w sobie ból i sięgnął po strzelbę, dając susa na drugi koniec pokoju. Julian był stokroć szybszy od niego. Marsh ciężko wylądował na strzelbie i omal nie zemdlął z bólu, który przeszył go od stóp o głów, ale gdy poczuł na brzuchu twardość lufy, zimne białe dłonie Juliana zacisnęły się na jego szyi.

Zaraz jednak zniknęły, a Damon Julian wrzasnął przeraźliwie. Abner Marsh odturlał się w bok. Julian zatoczył się w tył, unosząc obie dłonie do twarzy. Z jego lewego oczodołu sterczała rękojeść noża Billy'ego, krew wypływała spomiędzy bladych, szczupłych palców.

– Zdychaj, potworze! – ryknął Marsh, ściągając spust.

Strzał zbił Juliana z nóg. Odrzut kolby trafił Marsha w ramię.

Abner krzyknął. Na krótką chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczami. Kiedy ból ustał na tyle, że znów zaczął widzieć, z niejakim trudem podniósł się z podłogi. A jednak zdołał to zrobić. W tej samej chwili usłyszał ostry trzask, jakby łamanej mokrej gałęzi.

Joshua York wyprostował się, stając nad ciałem Billy'ego

Tiptona. Miał zakrwawione ręce.

– Nie było dla niego nadziei – powiedział krótko.

Marsh gorączkowo łapał powietrze, serce tłukło mu się w piersi.

– Udało nam się, Joshua – powiedział. – Zabiliśmy tego cholernego...

Ktoś się roześmiał. Marsh odwrócił się i cofnął o krok.

Julian uśmiechał się. Nie był martwy. Stracił oko, ale nóż nie wbił się dostatecznie głęboko, aby dosięgnąć do mózgu. Damon był na wpół oślepiiony, ale na pewno nie martwy. Marsh zbyt późno uświadomił sobie, że popełnił błąd. Strzelił Julianowi w pierś, w klatkę piersiową, choć powinien był rozwalić mu łeb. Zamiast dokończyć dzieła rozpoczętego przez Billy'ego, zdecydował się na łatwy strzał.

Ze szlafroka Juliana zostały krwawe strzępy, ale on sam wciąż uparcie trzymał się życia.

– Nie tak łatwo mnie zabić, jak nieszczęsnego Billy'ego – stwierdził. Krew wypełniła jego oczodół i zaczęła spływać po policzku. Zastygała pomatu i krzepła. – Nie tak łatwo, jak zaraz zabiję ciebie. – Powolnym krokiem ruszył w stronę Marsha.

Marsh złamaną ręką próbował przytrzymać strzelbę, podczas gdy drugą wyłuskał z kieszeni dwa nowe naboje. Docisnął broń łokciem do ciała, cofnął się o dwa kroki, ale ból osłabił go i pozbawił zręczności. Jeden nabój wyslizgnął mu się z palców i spadł na podłogę. Marsh oparł się plecami o gładką, smukłą kolumnę. Damon Julian wybuchnął śmiechem.

– Nie – rzekł Joshua York. Stał pomiędzy nimi, twarz miał zaognioną i poczerwieniałą. – Zabraniam. Jakem mistrz krwi. Przestań, Julianie.

– Hm? – mruknął Julian. – Znowu zaczynasz, mój drogi? Dobrze więc, niech ci będzie. Ale to już ostatni raz. Nawet Billy dowiedział się prawdy o swojej naturze. Chyba już czas, abyś i ty poznał prawdę o sobie, mój drogi Joshua. – Jego lewe oko przesłaniała skorupa zakrzepłej krwi, prawe było rozszalałą, czarną otchłanią.

Joshua York stał w bezruchu.

– Nie możesz go pokonać – rzekł Abner Marsh. – To przeklęta bestia. Nie rób tego, Joshua.

Ale Joshua już go nie słuchał. Strzelba wyslizgnęła się spod złamanego ramienia Marsha. Pochylił się, podniósł ją zdrową ręką, położył na stole za sobą i zaczął ładować. Jedną ręką szło mu to nader opornie. Naboje wciąż wypadły mu z ręki. Palce wydawały się grube i niesprawne. W końcu jednak udało się, zatrzasnął broń i wetknął niezdarnie pod zdrowe ramię.

Joshua York odwrócił się powoli, tak jak „Fevre Dream” tamtej nocy, gdy wykonał zwrot, by ruszyć w pościg za „Elim Reynoldsem”. Postąpił krok w stronę Abnera Marsha.

– Nie, Joshua – rzekł Marsh. – Nie podchodź. – Joshua nie usłuchał. Cały dygotał i próbował opanować drżenie. – Odsuń się – powiedział Marsh. – Zasłaniasz mi cel. – Joshua sprawiał wrażenie, jakby go nie słyszał. Jego twarz wydawała się przeraźliwie blada, nieruchoma, martwa. Należał do bestii. Powolnym ruchem uniósł w górę blade, silne ręce. – Niech to szlag – zaklął Marsh. – Do licha, Joshua. Muszę to zrobić. Wreszcie do tego doszedłem. To jedyny sposób.

Joshua York chwycił Abnera Marsha za szyję, jego szare oczy były rozszerzone i wyglądały diabolicznie. Marsh wbił lufę strzelby pod pachę Joshui i nacisnął spust. Rozległ się donośny huk, pomieszczenie przeppełnił gryzący dym oraz woń krwi. York obrócił się na pięcie i upadł ciężko, wyjąc z bólu; Abner Marsh zdecydowanym krokiem odstąpił od niego.

Damon Julian uśmiechnął się sardonicznie i błyskawicznym ruchem, jak atakujący grzechotnik, wyszarpnął dymiącą broń z ręki Marsha.

– Zostaliśmy już tylko my – powiedział. – Tylko ty i ja, kapitanie.

Uśmiechał się jeszcze, gdy Joshua wydał z siebie ni to wrzask, ni to warkot i rzucił się na niego z tyłu. Julian krzyknął zaskoczony. Turlali się po podłodze, walcząc z dziką zawziętością, aż w końcu uderzyli w kontuar baru i roztrzaskali go. Damon Julian podniósł się pierwszy, Joshua zaraz po nim. Ramię Yorka zostało rozszarpane i ociekało krwią, ręka zwisała bezwładnie wzdłuż ciała, ale w przymrużonych szarych oczach, przesłoniętych mgiełką bólu i krwi, Abner Marsh spostrzegł gniew szalejącej bestii, którą

spuszczono z uwięzi. York cierpiał, a ból mógł obudzić w nim pragnienie.

Joshua zbliżał się powoli, Julian cofał się z uśmiechem.

– To nie ja, Joshua – powiedział. – To kapitan cię zranił. Kapitan Marsh. To on sprawił ci ból. – Joshua przystanął i zerknął na Marsha. Kapitan przez długą chwilę czekał, by przekonać się, czy pragnienie odniesie pożądany skutek i kto okaże się zwycięzcą w tym pojedynku woli – Joshua York czy tkwiąca w nim bestia.

Wreszcie York uśmiechnął się słabo do Damona Juliana i rozpoczęła się bezgłośnie walka.

Odetchnąwszy z ulgą, mocno osłabiony Marsh przystanął na chwilę, aby zebrać siły, po czym schylił się i podniósł strzelbę upuszczoną na podłogę przez Juliana. Położył ją na stole, złamał, po czym wolno, mozolnie załadował. Kiedy znów ją podniósł i docisnął ramieniem do boku, Damon Julian klęczał na podłodze. Sięgnął palcami do oczodołu i wyrwał zeń niewidzące, okrwawione oko. Uniósł je na otwartej odwróconej dłoni, podczas gdy Joshua York pochylił się nad tą krwawą daniną.

Abner Marsh szybko postąpił naprzód, przyłożył strzelbę do skroni Juliana, mierzwiąc gęste czarne włosy, po czym wypalił z obu luf.

Joshua wydawał się oszołomiony, jakby przebudził się nagle z głębokiego snu.

Marsh stęknął i upuścił strzelbę.

– Wcale tego nie chciałeś – rzekł do Joshuy. – Zostań tu. Mam to, czego ci potrzeba.

Ciężkim krokiem poczłapał za bar, gdzie znalazł ciemne, nie oznakowane butelki na wino. Marsh podniósł jedną z nich i zdmuchnął z niej kurz. W tej samej chwili uniósł wzrok i spostrzegł, że drzwi w całej sali zostały otwarte, a stojące w nich postacie o bladych twarzach obserwują go z uwagą.

To przez te strzały, pomyślał. Przyciągnęły ich tutaj odgłosy wystrzałów.

Marshowi trudno było jedną ręką wyjąć korek z butelki. W końcu poradził sobie z tym zębami. Joshua York powolnym, lunatycznym krokiem skierował się w stronę baru. Marsh podał mu

butelkę, a Joshua chwycił go za rękę. Marsh znieruchomiał. Przez dłuższą chwilę nie wiedział, co się stanie, czy Joshua pociągnie z butelki, czy rozerwie mu żyły w nadgarstku.

– Wszyscy musimy dokonywać wyborów, Joshua – rzekł półgłosem, czując na przegubie nacisk silnych palców Yorka.

Czas stanął w miejscu.

Joshua York przyglądał się Marshowi beznamietnym wzrokiem. Wreszcie wyłuskał butelkę z ręki kapitana, odchylił głowę do tyłu i przyłożył szyjkę do ust. Ciemny płyn popłynął gęstą strugą, wypełniając jego usta i ściekając po podbródku.

Marsh wyjął drugą butelkę ohydneho trunku, odbił szyjkę o kant marmurowego kontuaru i uniósł butelkę do ust.

– Za „Fevre Dream”, niech go kule biją! – powiedział.

Wypili obaj.

EPILOG

Cmentarz jest stary, zarośnięty i wypełniony poszumem rzeki. Rozciąga się na wzniesionym wysoko brzegu, a w dole, tak jak czyniła to od tysięcy lat, przetacza swe leniwe wody stara Missisipi. Można usiąść na brzegu, zwiesić zeń nogi i wpatrując się w toń rzeki, chłonąć jej piękno i spokój. Tutaj rzeka ma tysiąc twarzy. Czasami jest złocista, ożywiona delikatnymi falami wywoływanymi przez owady śmigające po jej powierzchni i tymi gwałtowniejszymi, opływającymi na wpół zatopioną w nurcie gałąź. O zmierzchu na krótko przybiera barwę spizu, a potem staje się czerwona. Ta czerwień rozprzestrzenia się, a patrzącemu przywodzi na myśl Mojżesza i inną rzekę, dawno temu i w zupełnie innym miejscu. Gdy noc jest pogodna, woda jest ciemna i czysta jak czarna satyna, a pod jej roziskrzoną powierzchnią kryją się gwiazdy i bajeczny księżyc, który tańczy i faluje, a niekiedy wydaje się jakby większy i piękniejszy niż ten wiszący na niebie. Rzeka zmienia się także wraz z porami roku. Gdy nadchodzą wiosenne powodzie, staje się błotnista i brunatna, podkradając się chyłkiem do granicy bezpieczeństwa zaznaczonej na drzewach i na brzegu. Jesienią liście o tysiącu barw spływają leniwie z jej nurtem, splecione z nią w błękitnym wodnistym uścisku. Zimą rzekę skuwa lód, a zmrożoną tafłę zaściela miękki śnieżny puch, zmieniając ją w dziką białą drogę, po której nikt nie jest w stanie podróżować, gdyż jest tak jaskrawa, że aż bolą oczy. Pod lodem woda wciąż płynie, mroźna i wzburzona,

ani na chwilę nie spowalnia swego biegu. Wreszcie nadchodzą roztopy, a rzeka wzdryga się, zrywając lodowe okowy, pękając z głuchym trzaskiem, na białej twardej powierzchni pojawiają się rozszerzające się rysy.

Z cmentarza można obserwować wszystkie te zmienne nastroje wielkiej rzeki. Stąd wygląda dokładnie tak samo jak przed tysiącem lat. Nawet dziś brzeg od strony Iowy nie wyróżnia się niczym szczególnym, ot, mnóstwo drzew i wysokie skaliste zbocza.

Sama rzeka jest spokojna, pusta, nieruchoma. Tysiąc lat temu można było patrzeć stąd całymi godzinami i nie zobaczyć nic prócz samotnego Indianina w dłubance z pnia brzozy. Dziś można obserwować równie długo i spostrzec tylko jeden długi sznur połączonych barek pchanych przez nieduży holownik o napędzie dieslowskim.

Pomiędzy tamtymi dniami a teraźniejszością był czas, kiedy rzeka tętniła życiem, gdy nad wodą unosiły się kłęby dymu, a po jej powierzchni niosło się echo syren parowych. Obecnie parostatków już nie ma.

Na rzece panuje spokój. Tym, którzy spoczywają na cmentarzu, widok ten nie przypadłby raczej do gustu. Połowa spośród pochowanych tu ludzi pracowała na rzece.

Na cmentarzu również panuje spokój. Większość kwater zajęto dawno, bardzo dawno temu i obecnie nawet wnuków tych, którzy tu spoczywają, nie ma już na tym świecie. Goście zjawiają się z rzadka, a ci, co przychodzą tutaj z wizytą, odwiedzają jedną tylko, nie wyróżniającą się niczym mogiłę.

Niektóre z grobów ozdobione są wielkimi pomnikami. Jeden z nich przedstawia wysokiego mężczyznę noszącego kapitański mundur, trzymającego w dłoniach fragment koła sterowego i wpatrującego się w dal. Na kilku nagrobkach dostrzec można barwne inskrypcje opowiadające o życiu i śmierci na rzece, o ludziach, którzy zginęli w wyniku wybuchu kotła, utonięcia lub podczas wojny.

Goście nie odwiedzają żadnego z tych grobów. Mogiła, którą odwiedzają, wygląda raczej skromnie. Zdobiający ją kamień nagrobny zmurszał nieco pod wpływem stu lat wietrzenia, ale wciąż trzyma się

dzielnie. Słowa, jakie w nim wyryto, są wyraźne i czytelne: nazwisko, kilka dat i dwie linijki wiersza.

KAPITAN ABNER MARSH

1805-1873

Już nie pomkniemy po chyżych falach

Hen, pośród nocy.

Ponad nazwiskiem w kamieniu wyryto nader pieczołowicie i z wielką wprawą niewielki wizerunek przedstawiający w najwierniejszych szczegółach dwa wielkie ściąające się na rzece parostatki. Czas i warunki pogodowe były dla rzeźby niełaskawe, lecz w dalszym ciągu można dostrzec kłęby dymu bijące z kominów obu jednostek i nieomal odczuć ich szybkość. Gdyby się trochę nachylić i przesunąć palcami po płycie, można by nawet odczytać ich nazwy. Statek płynący w tyle to „Eclipse”, słynny w swoim czasie parowiec. Ten, który go wyprzedza, jest nie znany większości historyków. Wydaje się, że nosił nazwę „Fevre Dream”.

Gość, który przychodzi tu najczęściej, zawsze czule dotyka wizerunku tego parostatku... jakby na szczęście.

Może to dziwne, lecz zjawia się tylko nocą.